

PISMA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

P I S M A
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

WYDANIE JUBILEUSZOWE

TOM II

WŁADYSŁAW HERMAN. — AGAJ-HAN

KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA, GEBETHNER I WOLFF

1912.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0170101

Nr 8269



149521/
2

Czcionkami drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

b-15/05/284032

WŁADYSŁAW HERMAN
I DWÓR JEGO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z DZIEJÓW NARODOWYCH
XI WIEKU.

Z. Krasiński. Pisma. T. II.

ROZDZIAŁ I.

Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Strasзлиwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliznie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiedną
I będą żółte, jako piersi gadu.

Wallenrod.

Dzień 8 maja 1089 r. był jednym z najpiękniejszych dni wiosny. Niebo czyste, żadną nie pokryte chmurą, odbijało się w wodach, licznie po błoniach rozlanych. Wschodzące zboża zieleniły szerokie Mazowska pola, a Płock wznosił się z ich środka z swojemi wieżami i niebotycznym zamkiem. Słońce błyszczało po srebrzystych strumieniach i kopule kościoła katedralnego stolicy. Wszystko oddychało szczęściem i odświeżoną pięknnością natury, ale serca ludzi wśród tych pięknych łąk, wśród tych gajów rozkosznych, przy potokach światłości, przez gwiazdę dnia rozlewanych, srogimi szarpane namiętnościami, nie umiały cenić dobrodziejstw Boga. Wszystko w przyrodzeniu było zachwycającem, a tymczasem srogie gotowały się burze i walki pośród mieszkań ludzi.

O pół mili od miasta wznosił się wzgórek, killkoma

drzewami ocieniony. Z pomiędzy nich wystawał krzyż drewniany z wizerunkiem Zbawiciela, u którego nóg pełno zawieszonych kwiatów i wianków świadczyło o pobożności mieszkańców. U stóp krzyża leżał kamień, na którym mech już zaczynał pokrywać wyryty napis. Przy nim stał mąż, zbrojny od stóp do głowy, z założonemi na piersiach rękoma; kopia spoczywała przy jego stopach, koń dzielny rżał, przywiązany do drzewa, a u siodła wisiał szyszak, po którym białe spływały pióra.

Twarz rycerza wydawała głębokie zamyślenie, męstwo, na niej wyryte, mieszało się z wyrazem okrucieństwa, nie odpowiadającym czarnym, żywym oczom, w których najśłodsze uczucia i najgwałtowniejsze namiętności z równą łatwością malować się mogły. Czasem zwracał on bystry wzrok na drogę, do miasta wiodącą, jak gdyby się kogoś spodziewał z tej strony, ale ciągle w największym pograżony zadumaniu, rozmyślał nad ważnym zapewne przedmiotem.

Lekki wietrzyk rozwijał, to znów skręcał czarne jego włosy, krótka broda tego samego koloru przy bladej twarzy przypominała godło smutku i żałoby, a miecz, u boku wiszący, ogromem swoim dowodził, że nie słaba zwykle go dźwigała ręka. Wtem ukazał się z daleka białawy tuman kurzu, który coraz się przybliżał; wkrótce blask stali wydobył się z jego środka. Pojrzał mąż zbrojny i nagle ruszył z miejsca. Leciał ku niemu na rozpędzonym koniu człowiek ze spuszczoną przyłbicą; niezdługo stanął u wzgórka i skoczył na ziemię, a oddawszy pokłon, zbliżył się

do rycerza, który, niecierpliwy, śpiesznie zeszedł z góry na jego przyjęcie.

— A cóż? — zawołał — jest, czy niema?

Te jedyne tylko wyrzec mógł słowa. Zamilkł i czekał w najsroźszej niepewności, aż nowoprzybyły się odezwie. Ten ostatni wysokiego był wzrostu i w bogatej zbroi, na puklerzu nosił węża z wyrzuconem na nieprzyjaciela żądłem, z temi słowy: »Śmierć temu, który się mnie dotknie«.

— Mestwinie! — powtórnie krzyknął rycerz — czy ci piekła przymknęły usta? Mów, bo już dalej wytrzymać nie zdołam!

Odkrył wtenczas Mestwin przyłbicę i okazał twarz, której rysy dowodziły, że stał na środku drogi życia, równie oddalony od burzliwej młodości, jak od zgrzybiałego wieku.

Są ludzie, którzy, nic nie mając szpetnego w twarzy, nieprzyjemne jednak czynią wrażenie.

Do ich rzędu należał Mestwin. Pomimo wysokiego czoła, ognistych oczu, orlego nosa, było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych. Otarł naprzód pot z czoła i, jakgdyby z upodobaniem patrzył na niecierpliwość towarzysza, kilka chwil jeszcze pozostał w milczeniu, nareszcie powtórzył swój ukłon.

— Gierda — rzekł — uwiadomił mię, że w tem miejscu będziesz czekał na mnie. Przybyłem więc i donoszę ci, że ję przywiozł i że jest w twojej mocy.

Na te słowa rycerz rzucił się w jego objęcia, ści-

snał mu kilka razy rękę i z głębokiego zamyślenia do najżywszej przeszedł radości.

— Żałuję — ozwał się — że nie mogłem tam być przytomnym, ale wiesz, że musiał walczyć z tym rycerzem pomorskim, z Ottonem z Strontheim; zabiłem go, opuściłem zaraz mój zamek pomorski i przyjechałem tutaj. Ale opowiedz mi wszystko!

— Tak — dalej mówił Mestwin — tak, mój panie i księżę. Dostałem się do niej w nocy, oszukałem czujne czaty, przebrnąłem przez szerokie wody, wdarłem się na wieżę. Czekala już, gotowa rzucić się w objęcia miłości.

Zeszła po giętkiej drabinie, ale kiedy byliśmy na pół drogi, zawieszeni między szumnemi jeziora falami i pochmurnem niebem, nagle rozruch wszczął się w zamku. Do oręża porwali się męże, tłumne krzyki obłyły nam się o uszy. Przez jedną chwilę tylko, przez jedną chwilę wahała się i chciała wrócić do swojej komnaty; już cofała lekkie kroki, ale ja, pomnąc na ciebie, pochwyciłem ją w silne ramiona i z miłym tobie ciężarem pośród ciemności zeszedłem na dół.

Wskoczyłem w łódkę z kilkoma towarzyszami, uderzyłem wiosłem dwa razy i już byłem na przeciwnym brzegu. Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę wrzaski i wołania zbrojnych ludzi Wszebora, ale wkrótce wysokie Ciechanowa wieże znikły nam z oczu. Leciałem, co koń mógł wydolać, a ona pytała mi[ę] się o Zbigniewa; twoje imię sto razy w jej ustach było.

Nad rankiem przybyliśmy do Płocka, a gotowe mieszkanie przyjęło twą kochankę. Czeką teraz na ciebie; ale, panie, trzeba tu nam tajemnicy, trzeba skry-

tości! Bo już wieść się rozchodzi, że Wszebor z Ciechanowa na czele swych przyjaciół i panów jedzie na skargę do twego ojca.

— Niech sobie jedzie! — odparł Zbigniew¹. — Znasz mnie dobrze. Nie ulegnę trwodze; ani krzyki szlachty mazowieckiej, ani dumnych panów zażalenia i skargi nie wyrwą jej z rąk moich. Kocham ją, ją pierwszą kocham, a taką miłością, że wszystkobyłem dla niej poświęcił i oddał. Ona wzajemnie mnie tylko polubiła, gardzi moim bratem. Niech tam sobie Mieczysław² teraz gryzie wargi, niech zobaczy, jak przychylnego ma we mnie brata!

— Ale upamiętaj się, księżę i panie mój! — rzekł Mestwin głosem, w którym już nie znać było tyle uszanowania, ale raczej przekonanie, że słuchający ulegnie danej radzie — upamiętaj się! Dla dogodzenia twym żądom naraziłem się na setne niebezpieczeństwa; nie pierwszą już porywam dziewicę, nie jednego już zabiłem rycerza. Dopóki widziałem, że dopełnienie twych chęci może tylko przyjemność i rozkosz ci zjednać, wszystkich twoich słuchałem rozkazów. Nie straszyły mnie przeszkody, ni liczne trudności. Ale nadszedł teraz czas, pełen zamięszania i kłótni. Ojciec nieprzychylnem na ciebie patrzy okiem, a mały Bolesław³ z swoją szabelką i zbroją wszystkie jego chwile zajmuje. Panowie Mazowska dają się codzień słyszeć z głośniami skargi. A któż jest celem tych żalów, tych

¹ Zbigniew, — syn Władysława Hermana i włościanki.

² Mieczysław — syn wygnanego Bolesława Śmiałego.

³ Bolesław Krzywousty — syn Władysława Hermana.

przekleństw? — Książę Zbigniew i zawsze książę Zbigniew. Teraz już przepaść bezdenna otworzy się pod twoimi krokami, jeśli sędziwy Wszebor i rozkochany Mieczysław dowiedzą się, że piękna Hanna, nadzieja ojca, podpora jego starości, uwiedziona przez pana mego i księcia, przemieszkuję w Płocku i tam w ukryciu dni pędzi ze szczęśliwym kochankiem.

— Mężem, mów lepiej — przerwał mu Zbigniew — spodziewam się, żeś nie zapomniał na dzisiejszą noc uprzedzić kapłana! Bo postanowiłem oddawna dzisiaj jeszcze się z nią na wieki połączyć.

— Nie zapomniałem — odparł Mestwin — ale, choć twoje rozkazy tkwiły mi w pamięci, nie uczyniłem im zadość, bom sądził, że nie mogę ich wykonać bez ujemy czci i sławie mego pana i księcia.

— Od jakiegoż to czasu — zawołał gniewnym Zbigniew głosem — śmiesz sprzeciwiać się mej woli? Jeśli mogą się wasale w Niemczech lub na Pomorzu przeniewierzać panom swoim lennym, wiedz, że nie taki jest u nas zwyczaj, nie taki, na Boga i Najświętszą Pannę, nie taki, na wszystkich Świętych! Bo u nas, panów polskich, miecz zawsze jest przy boku i prawica skora do jego wydobycia!

— Poskrom gniew niepotrzebny! — odparł Mestwin. — Na ileż przykrości, na ileż niebezpieczeństw odważyłem się dla ciebie! Czym kiedy nie był posłuszny najmniejszym twoim chęciom? Ale wszystko nam teraz grozi. Władysław,¹ pan tego kraju, nie jest

¹ Władysław Herman, brat Bolesława Śmiałego, a po jego wygnaniu książę polski.

panem, ani królem, ani książęciem. Zasiada na tronie, ale na tem kończy się jego władza. To Sieciech, wojewoda krakowski, to Wszebor, to Skarbimir z Guleczewa rządzą jego umysłem, a wszyscy tobie nienawistni. Jakże chcesz w takiej chwili pojąć za żonę córkę Wszebora, narzeczoną brata? Ojciec się twój dowie, a Wszebor podszeptnie mu przekleństwo na ciebie, a tysiąc mieczów, skierowanych w pierś twoją, wzniesie się na głos Mieczysława. Znasz go dobrze, wiesz, jak dzielny, jak zakochany w Hannie. Zachował dumę wygnanego ojca, a ręka jego przypomina prawicę, która odnowiła szczyrb na Złotej bramie Kijowa.

— Stój! Czyś zapomniał, że i w Zbigniewie krew bohaterów płynie? czyś zapomniał moje walki i zwycięstwa? Dopiero 24 rok życia mego liczę, a mógłbym ci nierównie więcej narachować rycerzy, poległych pod moimi ciosy.

— Panie — ozwał się znów Mestwin — i komuż opowiadasz swe czyny? Temu, który je widział i dziwił się nad nimi. Ale posłuchaj mojej rady, ona cię zbawi: nie rzucaj się na sztylety nieprzyjaciół!

— Cóż więc mam czynić?

— Chcesz się ożenić? — odparł Mestwin ze śmiechem szyderczym — pocóż? Zrób kilka obietnic dziewczynie, kilka słów miłośnych wyrzec, a posiędziesz przedmiot najgorętszych pragnień! Tym sposobem unikniesz gniewu ojca i tysiącznych nieprzyjemności; bo ona cię nie wyda, a nikt ciebie do wyznania nie będzie mógł przymusić. Po kilku miesiącach zostawisz ją, a...

— Precz mi, szatanie! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — precz mi z taką radą! Takież to wam dają nauki w szkole rycerstwa w Niemczech? Takichże to zasad się uczycie po dworach najświetniejszych Europy? Prawda, że moje serce skażone, że moja dusza wieloma obciążona zbrodniami; prawda, zdradą i otwartym bojem zabijałem podobnych sobie; prawda, uwodziłem dziewczyny, zrywałem ugody! Ale została się iskra cnoty w mojem sercu. Nie, nigdy nie pójdę wskazaną od ciebie drogą! Ona mnie tak kocha, ona tak niewinna! Jazbym miał pograżać ją w nieszczęściu, okrywać hańbą najcięższą, najpiękniejszą Mazowsza dziewicę? Nie, tak mi dopomóż, Boże i szablo moja, nigdy Zbigniew, księżę polski, tego nie uczyni!

To mówiąc, kląkł przed krzyżem, złożył ręce, zbroję w żelazne rękawice, i wzniosł oczy do nieba. Była to chwila, w której Zbigniew najszlachetniejszym był może w ciągu całego życia. Stał za nim Mestwin i szyderczym wzrokiem poglądał na schyłonego księcia. Oczy jego zdawały się mówić: »Darmo wzywasz Boga, musisz mnie posłuchać!«

Powstał po chwili Zbigniew i rozkazującym rzekł do Mestwina głosem:

— Jeśli chcesz dłużej pozostać w naszej łasce, wykonaj śpieszno nasze rozkazy! Niech dzisiaj wieczorem w kaplicy mego zamku czeka na nas kapłan i Hanna, bo takeśmy postanowili i nie cofniemy na krok naszego zamiaru, a później nie odzywaj się, rycerzu, z tak nieroztropnemi mowami.

— Nie są nieroztropne i owszem — odparł do ży-

wego tknięty Mestwin. — Władysław, twój ojciec, musiał pójść za podobną radą przed 24-ma latami.

— Szatanie podły! — krzyknął Zbigniew i rzucił się na Mestwina z rozognionem okiem, z rumieńcem na twarzy — obmierzły sługo! i ty będziesz przymawiał panu, z którego łaski żyjesz!

To mówiąc, szeroką prawicą ścisnął tak silnie Mestwina za garło, że aż zgięła się zbroja, pokrywająca mu szyję. Usunął się Mestwin; z początku chciał dobyć miecza, ale po chwili namysłu odjął rękę od szabli i tak się z gniewem odezwał:

— Zatrzymaj się, mości księżę, ani kroku dalej, bo poczujesz ostrze niemieckiego żelaza! I ja, rycerz Mestwin z Wilderthalu, takiejże miałem się spodziewać nagrody za usługi i poświęcenie bez granic? I ja, pasowany na rycerza przez cesarza rzymskiego, przybyłem do Polski, żeby znosić obelgi od Zbigniewa? Nie myśl, że przestałem być wolnym człowiekiem i że się zamieniłem na twego sługę lub niewolnika! Karć ostremi słowy lub żelazem poddanych lub wiesniaków, ale nie tak porywczo wpadaj na rycerza, wstawionego po turniejach Europy! Nie myśl, bym szukał mojemu czynić krzywdę twojemu rodowi! Niedawnemi jeszcze laty ów sławny Wilhelm¹ wyprawił się z brzegów Francji i posiadał tron angielski, a czemże on był? Podobnym do ciebie księciem, a nie brał sobie tego za obelgę. Owszem, potężny pan

¹ Wilhelm Zdobywca, księżę Normandji, naturalny syn Roberta II Dyabła, wyładował w Anglii z 60-tysięcznym wojskiem i pobijwszy pod Hastings (1066 r.) swego współzawodnika Haralda, ukoronował się na króla Anglii; um. 1087 r.

Normanów, zasiadłszy na tronie, mianował się nieprawym synem ojca swego i gardził obmowami słabszych lub dumnych panów. Szczerze i otwarcie postępowałem z tobą. Szukałeś mojej rady, dałem ci ją, a teraz odchodzę, bo nie potrzebuję opieki książąt polskich, bo o tęż opiekę nie chcę się starać, bo w tym mieczu znajdę dla siebie opiekę i sławę. Byłem twoim przyjacielem; zerwałeś wszystkie nasze związki, żegnaj cię. Nie pomogą ci obelżywe słowa, ni groźby, bo widziałem już w życiu gniew mocarzów, a jednak przed nimi nie cofnąłem kroku.

To mówiąc, położył nogę na strzemieniu, ale, wsiadając na konia, oglądał się na Zbigniewa, wiedząc, że ten bez niego obejść się nie zdoła.

Zbigniew bowiem, choć walecznego był serca i nie słabej duszy, nie mógł pozbyć się Mestwina. Uważał go oddawna za najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradcę. Trzeba tu oddać sprawiedliwość rycerzowi niemieckiemu; kochał on swego pana, o ile jego serce kochać go mogło, serce, zbrodniami i brzydkimi skażone namiętnościami. Pragnął nadewszystko swego wywyższenia, a zatem i potęgi Zbigniewa, której część zawszeby się na niego złała. Dlatego teraz odradzał księciu zamęście z Hanną, upatrując w tem przyczynę gniewu Władysława Hermana i zgubnych zamachów Mieczysława i Wszeborą.

Zresztą we wszystkich okolicznościach dopomagał Zbigniewowi to radą, to orężem, nakłaniał jego umysł to do podstępu, to do szlachetności, to do zbrodni, to do cnoty; ale niedobrze teraz wyrachował swój wpływ na księcia, bo syn Władysława Hermana, choć w pó-

źniejszych czasach niejedną skalał się plamą, choć już teraz niejedną popełnił zbrodnię, zachował jeszcze część szlachetności dzielnych pradziadów i brzydził się zdradą tem bardziej, że najgorętsza miłość wymownie mu ją pod najbrzydszem wystawiała światłem.

Mestwin więc zabierał się do podróży. Ostatni raz rzucił wzrokiem na Zbigniewa, niewzruszenie stojącego na miejscu, a ten wzrok, biegły w sztuce udawania, przeszył wyrzutami serce księcia. Ostatnie to pożegnanie przyjaźni, choć nieme, zniszczyło gniew w jego duszy; rzucił się i zatrzymał Mestwina.

— Rycerzu! — rzekł — jakem cię obraził, tak gotów jestem, jak to każdy czynić powinien, spróbować się z tobą. Może w mojej krwi znajdziesz ulgę poniesionej krzywdzie. Wyznacz miejsce i godzinę, a mój pałasz zetrze się z twoim!

— Księżę i panie mój — zawołał Mestwin — dosyć mi na tem, żeś poznał niesprawiedliwość swojego uniesienia. Przebaczam ci z głębi duszy i gotów jestem na twoje rozkazy.

— Więc daj mi radę, ale nie tak szkaradną!

— Milczę, mości księżę, nie chcę twojego ponawiać gniewu.

— Słuchaj, Mestwinie, powiedz mi, kogo mam zabić, a zabiję, wskaż zamek i rzeknij: »Niech będzie spalony!«, a wnet pochłona go płomienie, bo wiem, żeś do mnie przywiązany, jak klinga do rękojeści, bo wiem, że radzisz mi dla dobra mego; ale w tym jednym przypadku nie usłucham cię. Stała jest moja wola, jak kamień grobowy, leżący pod tym krzyżem. Nie uwiodę Hanny, będzie ona moją żoną, przysię-

gam na Boga i na krew św. biskupa,¹ nie dlatego, żebym, jak słabe dziecko lub niewiasta, cofał się przed zbrodnią, ale dlatego, że moje serce pierwszy raz kocha i kocha niebieskim ogniem. Nie chcę piekielną zdradą niszczyć anielskiego szczęścia. Tak, Mestwinie, wyrzekłem i niech się stanie mojej woli zadość! Przywiedź kapłana! Wobec nieba przysięgnę jej niezłomną wiarę.

— A potem ogłosisz przed całą Polską i wobec ojca, żeś pojął za żonę córkę Wszebora, pana Ciechanowa i znacznych posiadłości?

— To co innego, przyjacielu. Zaczekam, aż, przyniósłszy za twoją pomocą dumnych panów, miłości ojca nie pozyskam. Wtenczas wobec świata całego, przed zuchwałymi lennikami wyprowadzę Hannę. U stóp tronu odbiorę błogosławieństwo Władysława, a lud uradowany wołać będzie: »Długie życie księciu Zbigniewowi i nadobnej Hannie!«

— Marzenia młodości! — przerwał Mestwin. — Ale ponieważ to ma twe szczęście ustalić, wykonam dane mi rozkazy. Dzisiaj w nocy przy ołtarzu czekać na ciebie będą: kapłan, Mestwin i Hanna. Ale jedźmy do Płocka, pokaż się ojcu! Wszebor już pewno zaniósł swe skargi do niego. Mieczysław lata po zamku z dobytym orężem. Nie daj się przestraszyć!

— Przestraszyć? — zawołał książę, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu. — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć.

¹ Stanisława, zabitego przez stryja, Bolesława Śmiałego.

— Chciałem powiedzieć — odparł Mestwin — bądź ostrożnym, ale siadaj na koń i jedźmy! Powiesz zapewne ojcu, że wracasz z swojego zamku i że cię łowy zatrzymały, bo nie radziłbym wspominać o tym Ottonie de Strontheim.

Zbigniew ścisnął rękę towarzysza, dosiedli koni. Przeżegnał się przed krzyżem książę polski, niemiecki rycerz się rozśmiał i oba wyruszyli.

ROZDZIAŁ II.

. Wcześniej się zasłona rozdarła
I ojczyzna i wdzięczność w twym sercu umarła;
Idź, ani pragnę w dalszych zarzutach się szerzyć,
Ni przywozić

Władysław pod Warną.

W zamku płockim, w niewielkiej komnacie, siedział sędziwy Władysław Herman na szerokim krześle, złotymi poręczami opatrzonym.

Piękne rysy, żadnym nie ożywione ogniem, z daleka go czyniły podobnym do martwego posągu. Broda biała spływała na piersi. Suknia z czarnego aksamitu szerokimi aż do nóg obwijała go fałdy, a obraz Najświętszej Panny, zawieszony na łańcuchu złotym, błyszczał mu na piersiach. Na blizkim stole leżało berło, miecz i korona wśród mnóstwa rozrzuconych obrazków świętych i drogich relikwii.

Pokój nie lśnił się złotem ani bogatemi obiciami. Rozwieszone po ścianach krzyże i obrazy świętych świadczyły o bogobojności króla polskiego (choć go

bowiem późniejsi dziejopisowie już księciem mianują, Polacy, żyjący za niego, nie przestawali go darzyć imieniem króla). Ciasne, wysokie okna rzadkie promienie słońca przepuszczały przez malowane szyby, wystawujące śmierć i mękę Zbawiciela. U stóp królewskich, na aksamitnej poduszce, siedział mały Bolesław, później Krzywoustym przezwany. Czasem wstawał i, biegnąc po pokoju, małą wywijał szablą.

Z prawej strony krzesła królewskiego stał młodzienc nadobnej twarzy, świetnego ubioru, płomienistych oczu, z lewej zaś starzec, którego twarz, okryta bliznami, pełną była grozy i surowości. Choć wiekiem sterany, ciężki miał pancerz na piersiach, pomimo zmiany, zaszłej za Bolesława Śmiałego w uzbrojeniu rycerstwa. Miecz wisiał u boku, a w ręku trzymał podługowatą czapkę, podbitą wewnątrz żelazną blachą. Do niego król najczęściej się obracał i w te przemówił słowa:

— Wierny nam Wszeborze, zaręczamy ci słowem królewskim, że zbrodniarz odbierze należyłą karę i że wszystkich środków za pomocą Boga i Najświętszej Panny użyjemy do jego odkrycia. Niemaszże żadnych śladów? Czy nie wiesz, z jakiej strony przybył i gdzie się udał? Rzeknij, a natychmiast rozpoczniemy śledztwa i poszukiwania!

— Najjaśniejszy panie, nie mogę nikogo oskarżać. W ciemnej nocy porwali moje dziecię i, ledwo głos »do broni!« rozległ się po dziedzińcu zamkowym, już jej nie było. Skoczyli moi do oręża, ale nikogo nie ujrzeli. Wszystko nieprzyjaciół przewidział z szatańską przezornością. Łódki przyjęły zbrodniarzy i znikły, do

mgły zwodnej podobne. Ach, miłościwy królu, jedną tylko miałem córkę, dziedziczkę dawnej sławy i zamożnych włości! Twój synowiec, a tu przytomny książę Mieczysław, o jej ubiegał się rękę. Miałem nadzieję, że przed zgonem ujrzę spełnione szczęście mojej Hanny, ale Bóg ukarał mnie za grzechy i straciłem najdroższy skarb po ojczyźnie.

— Stryju mój! — zawołał młody Mieczysław — nie trzeba tu zwlekać, rycerzy i moich ludzi zebrać kazałem; na ich czele pójde szukać wyrwanej z rąk moich narzeczonej, a śmierć i zaguba temu, który ją śmiał wydrzeć synowi Bolesława!

— I ja pójde z tobą — przerwał mały Bolesław.

To mówiąc, dobył szabelki, stanął naprzeciwko ojca, a w oczach dziecinnych znać było już męstwo, które później w czterdziestu bitwach zgromiło nieprzyjaciół Lechii.

— Jeszcze dosyć będziesz miał czasu przypatrzeć się klęskom i mordom — rzekł Władysław — a ty, synowcze, zanadto porywczy jesteś. Czyż nie możesz poczekać na przybycie Zbigniewa, którego co chwila się spodziewam? Roztropny jego towarzysz, Mestwin, dobrą zapewne nam da radę.

— Zbigniew! — powtórzył Mieczysław.

— Zbigniew! — powtórzył Wszebor, a na twarzy ich obu malowała się niechęć i nieufność.

— Nie lubię Zbigniewa — zawołał syn królewski — nie dawno prosiłem go, ażeby mi pożyczył sztyletu na kilka godzin, a on pojrzał na mnie i odmówił tej broni, zowiąc mnie dzieckiem. Ale pokażę mu — do dał przyszły bohater, uderzając o rękojęść małego pa-

Z. Krasiński. Pisma. T. II.



łasza — pokażę mu, kiedy dorosnę, czy tak z bratem się obchodzić trzeba!

Słaby król pozostał przez chwilę w milczeniu i smutku, widząc niechęć, którą otaczający go pałali ku synowi, choć wiedział dobrze, że jest zasłużona. Wtem otwarły się drzwi pokoju i wszedł Zbigniew z Mestwinem, oba w zbrojach i okryci kurzem.

— Witam cię, najjaśniejszy panie i ojczy, dobry dzień, bracie! Witam cię Wszeborze! —

Po tych słowach przysunął krzesło Zbigniew i usiadł, ocierając pot z czoła; Mestwin stanął za nim.

— Dawnośmy cię nie oglądali — rzekł Władysław — i wcale nie wiemy ani domyślać się możemy przyczyny nieprzytomności twojej, mimo często posyłanych do ciebie gońców z rozkazem, żebyś natychmiast tu stanął.

Dotąd chciał słaby ojciec i słabszy król jeszcze utrzymać swoją powagę, ale, widząc twarz kochanego syna, wyrażającą wewnętrzne boleści i długie znużenie, łagodniejszym dodał głosem:

— Nie chcemy cię jednak o to winić, ulubiony synu, bo wiemy, że ważne często zajmują cię sprawy.

Odplacił dobroć ojca Zbigniew zimną odpowiedzią:

— Byłem na łowach, a wiesz ojczy, że kiedy moje psy gonią jelenia lub dzika, nic mnie od boru oderwać nie zdoła.

— Ale teraz nie o łowach mowa, bracie! — zawołał srogim głosem Mieczysław. — W wielkiej jesteśmy niepewności. Zdarzył się wypadek, mogący wielkie ściągnąć kłęski; ponieważ przybyłeś z Mestwinem, waszej wymagamy rady.

— Co wam po moich lub Mestwina radach — odparł Zbigniew, domyślając się, o czym będzie mowa — kiedy tak często bez nich obejść się możecie?

— Ale teraz nie chcemy się bez nich obchodzić — przerwał mu Wszebor — bo tu idzie o zhańbienie domu i rodziny, zasłużonej w Mazowszu, bo tu idzie o śmierć, sławę i życie!

— Słucham więc — rzekł Zbigniew, pokrywając najsroższą mękę pozorem lekkomyślności — słucham tej tak ważnej sprawy.

Wszebor i Mieczysław opowiadali więc Zbigniewowi, jak niecni zbrodniarze porwali i unieśli Hannę. Mieszali do swego opowiadania tysiączne przekleństwa i pogrożki. To gniew, to zawiść miały jego sercem, czuł jednak, że trzeba udawać dla ocalenia siebie i Hanny.

Ale kilka razy, podczas długich skarg i uzaleń Wszebora już mu nie stało cierpliwości i, gdyby nie Mestwin go wstrzymał, wstałby i, pogardzając nieprzyjaciółmi, z dumą na czołe wyznałby czyn popełniony i oświadczył, że gotów jest bronić oblubienicy do ostatniej krwi kropli.

Nareszcie ozwał się Władysław Herman:

— A my, synu, postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań dla wykrycia złośliwych i szkaradnych ludzi, którzy śmieli taki gwałt popełnić. Spodziewamy się, że i radą i orężem dopomożesz wykonaniu naszej woli, jako i wyprawie twego tu przytomnego brata, a naszego synowca, który sobie zamierza ścigać ogniem i mieczem podłych i zbrodniczych wykonawców czynu, po-

grążającego w smutek najgłębszy i księcia naszego domu i zacnego znacznych posiadłości pana.

Ale widząc, że Zbigniew brwi zmarszczył i ścisnął wargi:

— Nie chcemy cię jednak przymuszać, synu. Możeś słaby na zdrowiu, możeś długą zmęczony podróżą: zostań, bo dalecy jesteśmy od wszystkiego, coby mogło szkodzić naszemu Zbigniewowi!

— Anim znużony, anim słaby na zdrowiu, najjaśniej-szy panie i ojciec mój! — odparł Zbigniew, powstając i spojierając okiem pogardy na Mieczysława i Wsze-bora. — Ale dziwi mnie, że tak długo poważnego brata zajmować może porwanie jakiejś dziewczyny. Z początku sądziłem, że idzie tu o dobro kraju, o oca-lenie Polski, sądziłem, że niebezpieczeństwo grozi na-szej ojczyźnie i już gotowy byłem do zdobycia miecza w obronie kraju i ojca mego. Ale teraz dowiaduję się, że celem tej narady, że zatrudnieniem syna Bo-le-sława Śmiałego jest jakaś dziewczyna, porwana przez niewiedzieć kogo i niewiedzieć kiedy! Niechże ją so-bie ojciec szuka po Polsce, ale niech nie przycho-dzi zatrudniać próżnemi skargi umysł króla, wa-żniejszymi zajętego sprawy!

— Jakaś dziewczyna! — powtórzył Wszebor i naj-żywsze uniesienie, żal najżywszy twarz mu zachmu-rzył. — Cóż to, mości książę, czy sądzisz, że życie i sława córki są obojętną dla ojca, że życie i sława Polki są obojętną dla króla rzeczą? Gdzież takich uczył się nauk? Czy dzicz pruska lub pomorska w two-jem sercu tak piękne zaszczepiła uczucia? Wiedz, Zbi-gniewie, że król sprawiedliwy winien się ująć za po-

krzywdzonym poddanym i oddać mu sprawiedliwość, choćby wyrokiem tej sprawiedliwości była śmierć własnego syna!

To mówiąc, rzucił Wszebor tak przenikającym na Zbigniewa wzrokiem, że ten się zmieszał i oniemiał.

— Bracie — ozwał się Mieczysław — nie wąż się na dalszy czas z takimi oświadczać się słowy, bo wiedz, że dziewica, przedmiot naszych smutków i po-szukiwań, miała być moją żoną! Z większem więc o niej winienes mówić uszanowaniem! Z większem, na Boga, bo nie wiem, co mnie wstrzymuje, że cię jeszcze za tak bezczelne nie skarciłem zuchwalstwo!

— Niechże cię więc nic nie wstrzymuje! — zawołał Zbigniew, zapominając o przytomności ojca i o wszyst-kiem, i dobył napół miecza.

— Synowcze, Zbigniewie, Wszeborze! — przerwał im nieszczęśliwy rozterkami krewnych i przyjaciół Władysław. — Czyż zawsze kłótnie i zatargi najmil-szemi wam będą? Kiedyż przestaniecie wzajemną nie-chęcią smucić dni moje i własne zatruwać szczęście?

To mówiąc, przycisnął do ust z pobożnością obraz Najświętszej Panny i podniósłszy oczy do nieba:

— Królowo niebios — zawołał — i ty, święty Pio-trze i Pawle, wdajcie się do Syna Bożego za nami, wdajcie się do Boga świata! Niech kłótnie, zajazdy i niezgody przestaną rozrywać Polskę, niech wszyscy moi poddani, połączeni węzłem pobożności i cnoty, dla Twojej tylko chwały, o Boże, żyją i dla Twoich Świętych chwały! —

Przez chwilę trzymał jeszcze oczy wzniesione do nieba, potem obrócił się do Mestwina i rzekł:

— Rycerzu, twojej rady roztropnej tu trzeba! Pozwólcie mu mówić, proszę was, moi mili!

— Jeśli taka twoja, najjaśniejszy panie, wola, to dobrze — odparł Wszebor.

— Ja cię wyratuję — po cichu szepnęła Zbigniewowi do ucha Mestwin i wystąpił na środek komnaty, ukłonił się naprzód, a potem dźwięcznym głosem, z ułożoną postawą przemówił:

— Najjaśniejszy królu, i ty, książę Mieczysławie, i ty, stroskany ojczyźnie, jedyną macie w pośpiechu i orężu nadzieję. Daleko już zapewne za Płock uwięźli twą córkę zbrodniarze. Każcie więc osiodłać konie i weźcie się do szabel! W szybkiej pogoni, w dzielnym natarciu cała wasza otucha. Ślady bezwątpienia znajdziecie po drodze, a zdrajca legnie pod waszymi ciosy. W Płocku darmobyście jej szukali, bo jakże można myśleć, aby zbrodniarze przebywali wobec króla i walecznych, otaczających go rycerzy, przechwalać się z podłego i karygodnego czynu? Powtarzam więc jeszcze raz: pośpiech jeden tylko w tej sprawie waszą sławę i najdroższy skarb ocalić potrafi.

Zamilkł Mestwin, ale mówił z takim pozorem szczerości, że Mieczysław skoczył do niego i podziękował, że Wszebor rękę mu ścisnął. Wszystkie podejrzenia na Zbigniewa znikły na chwilę z ich myśli, kiedy przekonali się, że jego towarzysz i powiernik tak się ujmuje za ich krzywdy i tak zbawienne daje rady.

Pożegnali się z królem książę Mieczysław i ojciec Hanny, idąc gromadzić zbrojnych ludzi.

— Naszą jest wolą — rzekł słabym głosem Włady-

śław — żeby uniknąć, o ile będzie można, krwi rozlewu i oszczędzać życie naszych poddanych.

— Ja zaś, mój stryju — odparł żywo Mieczysław — wyrwę, choćby po krwi strumieniach, oblubienicę z rąk wrogów.

— Żegnam cię, miłościwy mój królu — ozwał się Wszebor — i przyrzekam ci, że jako Polak przeciw Polakom walczyć nie pozwolę, chyba, że sława córki wymagać niezbędnie tego będzie. Mam nadzieję, że wkrótce ją do twoich stóp przywiodę.

— Czy Zbigniew się z wami także oddała? — zapytał Władysław.

— Jak chce — krzyknął Mieczysław.

— Jeśli tak, to nie chcę — odparł Zbigniew — i zostanę z Mestwinem przy zmartwionym ojcu.

Długo milczał król polski; Zbigniew, siadłszy blisko niego, założył ręce na piersiach i spuścił głowę, a Mestwin w oddalonym kącie bawił się z małym Bolesławem.

Nakoniec Władysław Herman do syna swą mowę obrócił:

— Zbigniewie, synu ukochany, ilem-że już razy cię upominał, ilem razy błagał jako ojciec, rozkazywał jako król polski! Czyż nigdy nie przestaniesz gwałtów i krwi rozlewu, czyż zawsze będziesz postrachem dla ziomków, hańbą dla ojca, wrogiem dla niewinności? Prawda, Bóg ci dał odważne serce i prawicę, do bojów nawykłą, ale dla bronienia ojczyzny i cnoty, nie dla napadania na braci, na krewnych, na współobywateli. Gorzkim żalem zatrujesz mą starość i muszę przeklinać dzień, w którym poznałem twą matkę.

Upamiętaj się, Zbigniewie, przestań zdzierstw i kłótni! Stań się prawym mężem, godnym ojca, króla Lechii, godnym dziadów walecznych i cnotliwych! Widzisz, do czego namiętności brata i poprzednika mego przywiodły. Bolesław, tułacz z mocarza, przekłęty z błogosławionego, zginął marnie wśród najpiękniejszych nadziei i najświetniejszych powodzeń. Czyż i ty chcesz podobnego doznać losu?

Na te słowa żywym rumieńcem pokryła się twarz Zbigniewa. Powstał i, przechodząc się po komnacie, urywane wymawiał słowa:

— Do szatana, czyż nigdy tych kazań nie zaprzestanie? Czy bierze mnie za mnicha lub niewinną dziewczynę? Na Boga, jużem znudzony!

— Znudzonyś, wyrodny synu! — zawołał król rozniewany. — Znudzonyś łagodnemi rady, kiedy surowe mogę ci dać rozkazy, kiedy na mój głos tysiąc mężów się uzbroi na twoją karę i zagubę!

Zamilkł Władysław, widząc iskrzące się od wściekłości oczy Zbigniewa, bo czuł aż nadto, że z trudnością mu przyszło uścić wyrzeczone groźby.

— Zbigniewie, przebłagaj ojca, to moja rada — ozwał się głos cichy. — Obrócił się książę i ujrzał Mestwina, pokazującego pałasz, wyjęty z pochwy, małemu Bolesławowi.

— Zbigniewie, Zbigniewie, czyż przyjdzie mi — dalej ciągnął Władysław — jak królowi Hebreów¹, za-

¹ Królem Hebreów jest tu Dawid, którego syn ulubiony Absalon powstał przeciw ojcu, lecz został pokonany przez wodza królewskiego Joaba i zginął w ucieczce.

wołać na ciebie: »Absalon! Absalon!« i oddać cię wściekłości nowego Joaba? Upokórz się, dopóki czas jeszcze, bo jakiś głos mówi mi w duszy, że porwanie Hanny nie bez twojego zaszło udziału!

— Upokorzyć się, najjaśniejszy panie — odparł zmieszany Zbigniew — jest nieznaną mi rzeczą. Ale daję ci słowo, że nic nie wiem o Hannie.

— Wierzę — przerwał mu król rozczerwony — słowo syna i rycerza, pasowanego mieczem, tu obok leżącym, dostatecznem jest dla mnie.

Zbigniew, widząc dobroć ojca, oniemiał. Smutek i zgryzoty szarpały mu serce. »I ja — pomyślał — który tylekroć oparłem się burzom i gniewom, teraz kłamię, jak słabe dziecko, dla uniknięcia chłosty! Ale taka rada Mestwina, cóż robić?«

— Chodź, synu, w moje objęcia i niech będzie zgoda między nami! Wtenczas nikt czoła podnieść się nie ośmieli — nikt i oba, węzłem zgody połączeni, straszni będziemy wrogom...

Rzucił się Zbigniew na pierś ojca i z prawdziwym uniesieniem ścisnął rękę królewską.

— Chodź, Bolesławie — zawołał Herman — pogodzić się z bratem!

— Nie chcę — odpowiedziało dziecie — dawniej go o pożyczenie sztyletu prosiłem. Teraz, jeśli mi go daruje, może się z nim pogodzę.

— I ty także wszczynasz kłótnie! — zawołał nieszczęśliwy monarcha i łza smutku spłynęła na głowę Zbigniewa, który po chwili, pożegnawszy ojca, wyszedł z Mestwinem.

ROZDZIAŁ III.

Walter pojął Aldonę... Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłośnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę.

Wallenrod.

Zamek księcia Zbigniewa w Płocku wznosił się nad brzegiem szerokiej Wisły. Znacznie oddalony od królewskiego, wystawiał widok warowni, opatrzonej we wszystkie wojenne porządki. Z jednej strony rozległa rozciągała się równina, z drugiej zaś toczyły się fale poważnej rzeki; w oddali ukazywał się środek miasta, z którego wieże zamku królewskiego i kopuła kościoła katedralnego, jak dwa olbrzymy panujące, się wznosiły. Nie oszczędził niczego Zbigniew w własnym zamku, coby mogło służyć ku obronie. Dowodziły tego wysokie mury, szerokie baszty, liczne strzelnice, ogromny rów, opasujący zamek, most zwodzony, brama opatrzona kratami żelaznymi i z dębowego drzewa zrobiona. Tą bramą wchodziło na obszerny dziedziniec, na którym stały stajnie dla koni orszaku księcia i budowle, na skład broni wszelkiego rodzaju i ubiorów służące.

Na środku dziedzińca wznosiła się szubienica, ostrzegająca każdego o losie, nań czekającym, gdyby się oparł woli możnego tych miejsc pana. Dalej ukazywał się wysoki gmach, w którym liczne pokoje służyły to dla Zbigniewa, to dla jego przyjaciół i najmniejszych gości.

Wieże z ciemnymi lochy i okropnemi więzieniami

strzegły obu stron gmachu i wszystko dowodziło, że choć wśród pokoju, zawsze księżę Zbigniew gotów był do walki i odparcia napaści, które mogły nań kiedyś sprowadzić jego postęпки i duma. Nie dziwiono się jednak temu, gdyż to było zwyczajem wtenczas w Polsce, że pośród nędznych domów drewnianych, składających miasta, często przedniejsi panowie i książęta zamki i gmachy warowne sobie budowali.

I tak w Płocku oprócz zamku króla Władysława, księcia Zbigniewa i kościoła katedralnego wszystkie inne domy, do chat wieśniaczych podobne, były drewniane.

Pośród ciągłych kłótni i rozruchów nie miał czasu ani panujący starać się o upiększenie miasta, ani mieszkańcy o to się nie ubiegali; owszem, panowie, chcąc utrzymać swoją powagę i potęgę, niechętnem patrzyli okiem na tych, którzy przy ich dumnych zamkach lepsze i porządniejsze wznosili domy.

Ale zamek księcia Zbigniewa teraz był pusty, choć już noc ciemna i pochmurna pokryła ziemię. Nie widziano w nim żadnego światła, tylko w jednym oknie migał się kaganiec i małą część murów przeciwnych bładawo oświecał i jeden tylko człowiek przechadzał się po dziedzińcu, uderzając pałaszem o kamienie, po ziemi rozrzucone. Słyszał on dzwony kościoła katedralnego, ogłaszające czas, przeznaczony na spoczynek, a jednak pozostał i wciąż szerokimi krokami w różnych kierunkach dziedzińca zamkowy okrążał.

Wtem silny, choć cichy głos zawołał: »Gierdo!« — a natychmiast się odwrócił, pobiegł do bramy, mniejsze drzwi w murze otworzył i wpuścił męża wysokiego wzrostu i pięknej postawy.

— Stój na warcie, Gierdo — rzekł — a ktokolwiek tu przyjdzie, możesz go posłać do piekła!

— Dobrze, potężny mój panie — odparł sługa i podniósł ciężki topór — nieraz on ci już podobne wyświadczał usługi. Wypełniłem twoje rozkazy, córkę moją Katarzynę posłałem na usługi tej urodziwej pani, którą tu przywieźli. Ale gdyby szło — dodał cichszym i nieznacznym głosem — gdyby szło, potężny panie, o jakie morderstwo lub otrucie lub zdradę, mnie wyznacz, córki mojej nie namawiaj, bo serce jej dotąd czyste, jak serce anioła niebieskiego!

— Milcz, nie myślę nawet o tem! — odparł Zbigniew, którego czytelnicy zapewne już poznali. Oddalił się, rzuciwszy kilka sztuk srebra usłużnemu mordercy i wszedł do zamku. Doskonale znał drogę i pomimo ciemności doszedł bez żadnego przypadku do komnaty, którą samotny kaganiec oświecał. Nie zastał tu nikogo, a zapaliwszy pochodnię, szedł dalej. Bładość, jego liccom zwyczajna, zamieniła się na żywy radości i spełnionych życzeń rumieniec. Ogniste czarne oczy pałały miłością, kształtny i bogaty strój, na pół ciemnym zakryty płaszczem, dodawał mu jeszcze piękności. Miał na głowie aksamitną czapkę, okręconą kilka razy łańcuchem złotym, spiętym drogim nad czołem kamieniem, z pod którego białe wznosiły się pióra. Na piersiach nosił kolczugę,¹ aż do kolan spadającą, której pierścienie, ze świetnej wyrobione stali, błyszczały tysiącnymi połyski. U pasa, wytwornie tkanego złotem i srebrem, wisiał z jednej strony miecz, nigdy

¹ Por. t. I, str. 243.

nie opuszczający boku pana, z drugiej tkwił sztylet z kosztowną rękojeścią. Złote ostrogi zdobiły buty z giętkiej skóry, pokrywające stopy, które nieraz wśród pocisków i szczęku broni wdarły się na wysokie wały i najeżone rycerzami mury. Złoty łańcuch, oznaka godności rycerskiej, błyszczał na piersiach. W takim więc ubiorze szedł książę Zbigniew na spełnienie czynu, usprawiedliwiającego po części porwanie córki bez zezwolenia ojca.

Liczne komnaty, któremi przechodził, smutny wystawiały widok. Znać było, że już nikt ich nie zamieszkał oddawna, a nawet w tej części swego zamku nigdy nie przebywał Zbigniew i nigdy nie przyjmował gości. Te pokoje smutne, niezamieszkane, bronią i orężem, rozwieszonym po ścianach, nie zabawy ani wesele, ale srogie mordy i klęski przypominały. Tu szyszak, rdzą pokryty, z żalem odpierał promienie pochodni, nie mogące, jak dawniej, płomieni z niego wydobyć, tu zbroja, okryta kurzem, na rogu jelenim wisiała. Tam znowu miecz poszczerbiony dowodził, że wytrwał długie wojny, tam kopia, oparta o ścianę, zdawała się żałować, że teraz w nieczynności, zapominając o bojach, musi się stawać pastwą zepsucia i czasu. Przybył nareszcie nasz bohater do szerokiej komnaty, żadnego nie mającej wyjścia; ale, dobrze znajomy tajemnic swego zamku, zbliżył się do ściany i pchnął silną ręką żelazny gwóźdź, na którym wisiały rycerskie rękawice. W mgnieniu oka otworzyły się drzwi, tak przystające do ściany, że niepodobna było ich rozeznąć. Odkryły się schody, na dół zstępujące; poszedł nimi Zbigniew i po jakimś czasie

dostał się do komnaty, błyszczącej świetnemi obiciami i mnóstwem lamp srebrnych, u sklepionego sufitu zawieszonych.

Siedzenia, krzesła, stoły, największym wyrobione kosztem, ozdabiały salę, podpartą rzędem marmurowych filarów, za którymi ukazywało się łożo, purpurowemi zasłonięte firankami, które w lekkich fałdach spadając na ziemię, kończyły się złotymi brzegami. Przy niem, na stole z dębu czarnego, stały pyszne naczynia, zdobne drogimi wschodu kamieniami. Kołowrotek z kości słoniowej z śnieżną wełną, do jedwabiu podobną, dowodził, że to było pomieszkание Hanny, kochanki, a za kilka chwil żony Zbigniewa. Z tej pierwszej komnaty przeszedł książę do drugiej, równie świetnej, w której wszystko nagromadzono, co się oczom kobiety podoba. Kosztowne ozdoby, naszyjniki, drogie pierścienie zewsząd błyszczały, piękne obicia, tkane w złoto i srebro, pokrywały ściany, a Pismo święte, największa rzadkość w tym wieku, oprawne w skórę, leżało na hebanowej półce pod obrazem Najświętszej Panny. Dwie jeszcze podobne komnaty przeszedł książę i stanął wreszcie u drzwi żelaznych, na których wyrobiony był kształtnie wieniec cierniowy, nad trupa głową. Za ich otwarciem ukazała się kaplica, oświecona rześnistem światłem i strojna w obrazy świętych i pyszne narzędzia kościelne. Ołtarz z marmuru dźwigał ogromny krzyż srebrny, a przy nim stał kapłan w zakonnym ubiorze, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym, z założonemi rękoma na piersiach. Przy drugich drzwiach, wiodących wprost na brzeg Wisły, bo kaplica stała nad samą rzeką, opierał się

o filar Mestwin w bogatym stroju ówczasowych rycerzy niemieckich, a po drugiej stronie ołtarza klęczała najpiękniejsza Mazowska dziewczica.

— Przebac, Hanno, moje kochanie! — zawołał książę — nie mogłem przyjść pierw, bo mnie ojciec zatrzymał w swoim zamku. Ale zapewne z radością się dowiesz, że przychodzę połączyć się z tobą na wieki, pogodziwszy się z moim rodzicem i królem.

Na głos, tak dobrze znany, odwróciła się Hanna z Ciechanowa i okazała oblicze, godne zazdrości aniołów. Bładość, je pokrywająca, była skutkiem gwałtownych wzruszeń, doznanych od dni kilku, ale już z tą bladością mieszał się powracający rumieniec, który zwyczajnie boskie jej wdzięki umilał.

Słodycz nadludzka odbijała się w niebieskich oczach i nadawała jej uśmiechowi, jej twarzy powab, wszystko pociągający. Znać jednak czasem było we wzroku, że duma nie opuściła córki Wszebora i że pani Ciechanowa, że przyszła żona księcia polskiego, czuła swoją godność, czuła, że jej się należą hołdy i poszanowania, i to jej spojrzenie nieraz odparło lekkomyślne słowa Mestwina, nieraz pokryło zmieszaniem bezwstydne jego czoło. Za ujrzaniem Zbigniewa powstała, zdało się, jak gdyby chcąc się rzucić w jego objęcia; wstrzymała się nagle i poważnym wyrzekła głosem:

— Zbigniewie, wykonywam, com ci obiecała, oddając ci rękę, i świadczę się niebem, jak i tobą, szanowny kapłanie, że z własnej to czynię woli. Niech więc kara moich grzechów na mnie tylko spada!

To powiedziawszy, zbliżyła się do Zbigniewa i, poglądając na młodzieńca okiem pełnem miłości:

— Za chwilę będę twoją żoną — rzekła — za chwilę Hanna wieczną poprzysięgnie wiarę, którą już ci oddawna w sercu przyrzekła.

— Hanno! — zawołał księżę — podaj mi rękę i klęknijmy u stóp ołtarza, odtąd nic nas nie rozłączy!

Podczas obrzędu ślubnego stał Mestwin niewzruszony. Przewidywał on nieszczęścia, mające wypłynąć z tego kroku, i niechętnie patrzył okiem na czyn Zbigniewa. Ale, kiedy zwracał wzrok na kapłana, oczy jego wyrażały coś zgubnego i okropnego, choć nie znać było w nich ani niechęci, ani gniewu, owszem, zdawało się, że zimny rozmyśl jego zamiarami kierował. Przy końcu modlitw, podczas ślubu odmawianych, wyjął sztylet i oglądał go z spokojną rozważą, potem zbliżył się do księcia i Hanny, odchodzących od ołtarza, i, oddawszy głęboki pokłon:

— Przyjm pani — rzekł — moje usługi, przyjm usługi tej ręki, nawykłej do bronienia twego męża!

Ale podczas tych słów nie mógł wstrzymać szyderczego uśmiechu, który tak był wydatnym, że Hanna odwróciła głowę. Tymczasem Zbigniew, wyjąwszy worek pełen srebra, oddał go swemu powiernikowi.

— Te pieniądze mają mnie zapewnić o milczeniu. Jest to pewny sposób zachowania tajemnicy.

— Znam ja pewniejszy — odparł po cichu Mestwin i, znów się ukłoniwszy, wyszedł wraz z kapłanem drzwiami, wiodącymi nad brzeg Wisły.

W kilka chwil później usłyszano słaby krzyk i wkrótce potem łoskot, podobny do tego, jaki sprawia ciężkie ciało, wrzucone w wodę. Zadrżała córka Wszebora, Zbigniew mimowolnie cofnął się kilka kroków.

— Idź, moje kochanie — rzekł do żony — idź do swojej komnaty, ja zaraz za tobą pośpieszę!

Posłuszna radzie Hanna niepewnym oddaliła się krokiem, a Zbigniew sam został w kaplicy. Są chwile w życiu, kiedy człowiek, otoczony weselem i szczęściem, wśród przyjaciół, po osiągnięciu celu najgorętszych życzeń, przypomni nagle swoje winy, przypomni nieszczęścia, mogące nań runąć, a wtenczas smutek okropny jest jego udziałem; trwa to tylko przez jedną chwilę, ale ta chwila zatrzuwa radość serca, ta chwila jest piekłem. Właśnie w podobnym był Zbigniew położeniu. Sam wśród nocy, u stóp ołtarza, otoczony przepychem i bogactwami, po dopełnieniu najżywszych pragnień, czuł jakiś ciężar na sercu.

Wszystkie klęski i niebezpieczeństwa, mogące nań się zwalić, stanęły mu na myśli, a choćby w innym czasie nie wzdygnął się na ich wspomnienie, uczuł teraz nieznana, nadzwyczajną trwogę. Ujrzał przeklinającego ojca, ujrzał postawę Wszebora, wyrzucającego mu porwanie córki i widział Mieczysława pałasz, na swoją podniesiony głowę; zobaczył najzaciętszych wrogów, przesuwających się przed oczyma, dawne, zatarte pamiątki ozwały się groźnie, popełnione występki tłumnie się gromadziły w jego umyśle. Chciał kilka razy wyrwać się z tego przykrego położenia, ale, jak gdyby przykuty, pozostać musiał na miejscu, głowę oparł o ołtarz, przy którym niedawno najżywsze czuł szczęście, i, pogrążony w rozpacz, zapomniał o żonie. Zamknął oczy, nie mogąc znieść światła, błyszczącego w kaplicy, oświeconej licznymi lampami, których blask podwoił się, odbity od bogatych naczyń

i złotych krzyżów. Dopiero usłyszane kroki Mestwina wróciły mu przytomność i wstydząc się słabości, porwał się z miejsca i udając najżywszą radość, poszedł ku niemu.

— A cóż — zawołał — czy pomogło srebro, czy nie wyda tajemnicy?

— Na co — odparł ze zwyczajnym uśmiechem Mestwin — na co tak drogiego używać kruszcu, kiedy nierównie podniejszym można wymódl milczenie, i wieczne milczenie? — To mówiąc, pokazał panu swemu sztylet, z którego krew, świeżo wylana, kroplami spływała.

— Niepotrzebna zbrodnia — rzekł oziębło Zbigniew, który już odzyskał był moc duszy.

— Niemalą jest rzeczą życie człowieka — rzekł Mestwin — i gdyby nagle nie wymagała tego potrzeba, nie byłbym dni jego skracał.

— Mestwinie, zazdroszczę ci tak zimnej krwi, tak zimnego serca!

— A zdaje mi się, panie i książę mój, że w kraju, gdzie królowie zabijają biskupów, wolno prostemu rycerzowi prostego zamordować zakonnika.

Po tych słowach rozśmiał się Mestwin i pytał Zbigniewa o rozkazy, mówiąc, że zapewne teraz zechce sam pozostać.

— Wyszlij natychmiast gońców, Mestwinie — zawołał książę — do moich ludzi, do moich zamków, do moich przyjaciół; niech zaraz siadają na koń i tu przybywają! Trzeba nam się przygotować na wszelki przypadek. Może za kilka dni krew na tych dziedzińcach lać się będzie.

— Jużem wszystko przewidział i wszystko poczynił. Jutro, najdalej pojutrze, ten zamek napelni się ludźmi, gotowymi umrzeć za księcia mego i pana. Ale najlepiej trzymać wszystko w skrytości i nikomu nic nie wyjawiać; może przejdzie burza i nie rzuci piorunu, o czym jednak bardzo po wczorajszych pogroźkach wątpię.

— Nieoszacowany przyjacielu! — krzyknął Zbigniew, rzucając się w objęcia Mestwina — odprowadź mnie do pokoju żony!

Książę polski, wzięwszy za rękę rycerza, udał się do pięknej Hanny. Zastał ją klęczącą przy obrazie Matki Zbawiciela. Za przybyciem męża powstała i pośpieszyła na jego przyjęcie.

— Zbigniewie, nieznana trwoga opanowała me serce, całą mą duszę przeraziła. Czy nie spotkało jakie nieszczęście sługę bożego, który przed chwilą połączył nas na zawsze?

— Nie — nie wiem — odparł Zbigniew.

— Słyszałam jakiś łoskot...

— Zapewnie, pani — przerwał jej Mestwin — łoskot, sprawiony rzuconymi pieniędzmi do Wisły przez tegoż sługę bożego, który mi odpowiedział, że nie potrzebuje zapłaty dla zachowania tajemnicy.

Słowa Mestwina, szyderczym wyrzeczone głosem, nową bojaźnią napęłniły serce Hanny. Wtem zbliżył się do niej rycerz niemiecki i, uklękawszy przed nią:

— Witam cię księżną — zawołał — witam cię moją panią! — i śmiało rękę wyciągnął po rękę córki Wszebor.

Odkoczyła w tył o kilka kroków Hanna, ale Zbigniew prosił ją, by dała ten dowód łaski najwierniejszemu przyjacielowi.

— Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę — odparła księżna, oddając swą rękę rycerzowi, który ją z taką siłą do ust przycisnął, że aż krzyknęła przerażona Hanna; ale w tym krzyku znać było przerażenie, pomieszane z pogardą. Zrozumiał ten głos Mestwin, ścisnął usta, powstawszy, oddał głęboki pokłon i odszedł. Została się Hanna sama ze Zbigniewem.

— Odszedł już — po chwili rzekła, jak gdyby ciężar jaki spadł z jej serca — odszedł — po tych słowach zamilkła, ale nagle porwała się z siedzenia, zbliżyła się do Zbigniewa i, porywając go za rękę, z okiem, pełnem rozrzewnienia, głosem przenikającym do duszy, z zapalem cnoty i miłości zawołała:

— Mężu mój, oddał chytrego powiernika, odrzuć zdrady i obłudę, dopóki czas jeszcze, odepchnij od piersi węża, nim w swoje zamknie cię kłęby, z których się już nie będziesz mógł wydobyć! Zbigniewie, uwierz przecuciom mojej duszy! Mestwin grozi ci zagubą i nieszczęściem. Mestwin jest twoim najzaciętszym wrogiem. Zbierz całą moc swoją i, uwolniony od tego szatana, który pod pozorem przyjaźni mami twoje serce, wróć do spokojności i cnoty! Czy myślisz, Zbigniewie, że nie postrzegła twojego zadumania? Czy myślisz, że kiedy cię pierwszy raz poznałam, że kiedy przychodziłam do ciebie w borach ciechanowskich, czy myślisz, że nie postrzegła burzy, miotającej tobą? Ileż razy widziałam cię niespokojnym, błędne wymawiającym słowa! Ileż razy niepewny wzrok zwracałeś na mnie, a w tym wzroku znać było srogie wspomnienia i srogie przyszłości przewidywanie! Tak, mężu mój, Hanna wie, żeś wiele

złego popełnił, wie, żeś przekroczył po wielokroć granice, nakazane ludziom od Boga, a jednak oddała ci serce i rękę, bo cię kochała nadewszystko, bo wiedziała, że jesteś szlachetnym i wielkim, bo wiedziała, że źli doradcy, że obłudnicy i podstępni doprowadzili cię do przestępstw i gwałtów. A któż do tego czasu nieprawie ci wskazywał cele? Kto wiodł twe kroki dotąd po drodze skażenia i zepsucia? — Mestwin, Mestwin; on cię zamieniał, często szlachetnego i wzniosłego, na niskiego i niegodnego rodu i sławy naddziadów!

— Hanno — odparł uroczystym głosem Zbigniew — nadszedł czas wyznania ci moich przestępstw i odkrycia serca, bo nie myśl, że chcę cię zwodzić! Nie, wystawię ci wszystko w prawdziwym świetle. Jedną tylko kochałem na świecie kobietę. Ty nią jesteś, a ta, dla której wszystko poświęciłem, dla której naraziłem się na przekleństwo ojca i mordercze zamachy wrogów, nie będzie nigdy miała prawa wyrzucać mężowi, że krył się pod pozorem cnoty i sprawiedliwości. Tak, Hanno, słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj słów, które jedna tylko na tym świecie usłyszysz i raz tylko w życiu!

Tu zamilkł Zbigniew i jak gdyby coś sobie przypominał, dosyć długo dumał, oparty o filar, podpierający bogatą komnatę; nareszcie w te się odezwał słowa:

— Kochanko mego serca, żono ulubiona, jestem zbrodniarzem! Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami, daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsycala mnie chęć sławy, to znów

żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednemu już tą ręką stracił z tego padółu nieszczęść. Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności lub prośby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się puharach posyłałem śmierć w darze zawziętym na mnie. Ale przyjaźni, dopóki mi wierną była, nigdy nie zdradził. Dlatego kocham Mestwina, bo nigdy mi się ani słowem ani czynem nie przemieszał. Tak, Hanno, tak, córko Wszebora, truchlejesz, ale już wyrzekła przysięgę, już moją jesteś, a choć trwoga twą duszę napęnia, widzę w twych oczach miłość dla Zbigniewa. Odtąd nasz los nierozłączny: jeśli zstąpię do piekła, i ty pójdziesz za moimi ślady; jeśli zasiądę na tronie, i twoje czoło świetna okryje korona. A chociaż twój Zbigniew był mordercą, zbrodniarzem, chociaż wszystko, co może ciężać na duszy człowieka, obarcza moje sumienie, musisz kochać mnie, i kochać bez granic, musisz wszystko dla mnie znosić. Twe serce pała ogniem, wszystko pożerającym. Zapomnij więc o zbrodniach i oddaj się miłości! Dopełniłem mego obowiązku, znasz teraz Zbigniewa, a wiem jednak, żebyś mnie nie opuściła i za nic w świecie nie chciała rozłączać się ze mną.

To mówiąc, przyłożył do ust żony gorejące usta i przycisnął ją do piersi z całym uniesieniem najgwałtowniejszej namiętności.

— Zgadłeś, mężu mój — zawołała Hanna — zgadłeś; miłość moja wszystkie względy przemaga, a choć może teraz wieczności brama zamyka się przedemną, nie

odstąpię Zbigniewa! Ale możesz nas oboje jeszcze uratować, wracając do cnoty, poskramiając burze, miotające szlachetnem sercem. Upokórz się przed Panem niebios — dodała, wznosząc oczy i ręce ku niebu — zawołaj: »Panie, Panie!«, a usłucha cię Bóg i okiem litości spojrzy na grzesznika!

— Już zapóźno, Hanno — odparł Zbigniew — już zapóźno! Za dalekom się posunął. Zbrodnia żadna mnie nie straszy, rzadko odzywają się zgryzoty sumienia, bo w ciągłej wrzawie, wśród wojen i bojów, zapominam o własnych winach, by nowe popełniać lub zaniebane dokonywać jeszcze. Ale, jeśli Bóg zechce, to spojrzy na mnie, jeśli to Jego wola, wyratuje mnie z tej toni; jeśli nie, niech się dzieje wola boża! Poświęconym na wszystko; na tej ziemi nieraz znosiłem rany i okropne bólesci, nie przstraszyły mego serca zbrojnych wojsk tysiące ni miecze, na moją wzniesione zagubę.

Podczas tych słów jakiś rodzaj dumy rozjaśnił mu czoło i zaświecił w oczach; a po chwili kląkł na ziemi, złożył ręce i głosem, w którym odbijała się najwyższa wiara i największa pobożność, zawołał:

— Niech się dzieje wola twoja, o Boże!

Tak więc ten nieszczęśliwy młodzieniec brał za wolę Boga własne skażenie i pociąg do złego.

— Zbigniewie, Zbigniewie, a cóż się z moim ojcem stało? — krzyknęła Hanna, nagłem uderzona wspomnieniem — Ojciec! ojciec! — i padła na krzesło, obfite łzy lejąc.

— Twój ojciec, moje kochanie, szuka cię teraz z dobrym naszym bratem, księciem Mieczysławem, po

okolicach Płocka; ale nie smuć się, Hanno, przyjdzie czas, w którym twój ojciec przyjmie cię na swoje łono i pobłogosławi córcę!

Wtem nagle porwała się Hanna i upadła do nóg mężowi.

— Zbigniewie, znam przewagę twojej ręki i gniew gwałtowny twego serca. Ale zlituj się nad starcem, chcącym uratować córkę; on może myśli, że ją rozbójnicy porwali, że jest bliską utraty czci lub życia! Zlituj się, mój mężu, i przysięgnij, że nigdy, uniesiony gniewem lub zemstą, nie podniesiesz miecza na siwą głowę ojca twojej żony!

Pobiegła Hanna do półki i przyniósłszy księgę:

— Przysięgnij! — powtórzyła mdłym głosem w najsroższym oczekiwaniu.

Zbigniew zbliżył się do stołu i położył prawicę na księdze.

— Przysięgam ci przed Bogiem, na miłość, którą czuję ku tobie, że przytłumię w sercu zemstę, że poskromię gniew i że nigdy nie podniosę ręki ani dam rozkazu na uczynienie najmniejszej krzywdy ojcu mej żony.

— Zbigniewie, szlachetny mój mężu, otwórz boską księgę, a na każdej jej karcie znajdziesz, że Bóg rozkazał ludziom złe dobrem odpłacać. Jeszcze jest jeden człowiek, ku któremu pałasz nienawiścią. Zacznij od tego dnia powracać do cnoty i przyrzecz podobnie, że nie będziesz go ścigał, że krewnego, że członka własnej rodziny nie zamordujesz!

— O kim chcesz mówić? — zapytał Zbigniew z dziwnym spojrzeniem.

— O bracie twoim, o Mieczysławie.

— Lepiejbyś nigdy nie wymówiła jego nazwiska! — krzyknął książę, a w oczach jego odbijała się wściekłość i gniew najsroższy. Odepchnął daleko od siebie księżkę, uderzył o rękojeść miecza. — Zapomnij — dodał srogim głosem — że Mieczysław żyje na świecie, bo wkrótce żyć przestanie! Pierwszemu człowiekowi od urodzenia darował swoje krzywdy Zbigniew za twoją prośbą, boś podobniejsza do anioła, niż do ziemianki, ale drugi raz już to się nie powtórzy. Zapomnij o nim, bo ile razy powtórzysz jego imię, o tyle chwil śmierć jego przyspieszysz!

— Daruj mu, o Boże — zawołała Hanna — daruj mnie, zem się stała nieszczęścia bliźniego przyczyną! Ale nie, nie tak źle sędzę o sercu Zbigniewa, usłucha on głosu i żony i cnoty.

— Nie, zginie Mieczysław. Śmierć jemu i wieczna zaguba! — odparł książę — Dopóki miecz mi wierny będzie, dopóki ta ręka zdoła udźwignąć oręż lub czarę, pełną trucizny, żadnej niema dla niego nadziei.

— Bądź jednak pewny — rzekła nakoniec Hanna — że nigdy nie przestanę wołać na ciebie: »Nawróć się, mój mężu, i pokochaj cnotę!« bo mi same nieba ten obowiązek wskazują!

— Dosyć już na tem, moja luba Hanno — zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona.

ROZDZIAŁ IV.

Gdzie ona? mów prędzej, gdzie ona?
Odynec.

Musiemy teraz opuścić Zbigniewa i przenieść naszych czytelników do jednej z komnat zamku królewskiego, w której kilka dni później siedział książę Mieczysław z Wszeborom przy stole, zastawionym dzbanami i pułkami, pełnymi węgierskiego wina. Ich twarz oznaczała smutek i znużenie, pochodzące z męczącej wyprawy, odbytej w zamiarze szukania we wszystkich okolicach Płocka i Ciechanowa śladów Hanny, ale, jak łatwo się domyślić, nadaremnie.

— A teraz coś poczyć? — rzekł smutnym głosem Wszebor. — Gdzież znaleźć, gdzie wysledzić zdrajców? O Boże, Boże, czyż nie zesłesz anioła dla wskazania drogi i odzyskania jeszcze nadziei opuszczonemu ojcu? Biedna moja Hanna bezwątpienia wzdycha teraz za wolnością w czarnym więzieniu! I ja po tylu trudach takiej miałem pociechy się spodziewać! Po życiu, ojczyźnie poświęconem, po usługach, królowi oddanych, nie przyszło mi spokojnie umrzeć! W nadziei moich zamku nie przyszło patrzeć na szczęście córki! Muszę się o jej życie, o jej sławę obawiać. Taki koniec przeznaczony był ostatnim dniom moim, ostatnie chwile miałem przepędzić w smutku i rozpacz.

— Powziąłem już stały zamiar — odparł młody Mieczysław. — Pójdę z wiernym mieczem, na lotnym

moim koniu, szukać jej po Polsce, po całym świecie, jeśli tego będzie potrzeba; nie zdejmę zbroi, nie odkryję twarzy z pod ciężkiej przyłbicy, dopóki nie wynajdę najdroższej mi na świecie istoty. Jeśli zginę, pocieszą mnie łzy twoje, wylane na przyjaciela grobie.

To mówiąc, ścisnął rękę starca, a błogosławieństwo stroskanego ojca spłynęło na jego głowę.

— Sam szatan, sam duch ciemności musiał w to się wmięszać — rzekł po chwili Wszebor. — Tylu mam przyjaciół, tylu poddanych, którzyby mi donieśli, gdyby odkryli najmniejsze światło w tej ciemnej sprawie, a dotąd żadnego od nich nie odebrałem uwiadomienia. Milczenie i nieszczęście wszystko pokryło. Dzielna straż mego zamku tyle razy dała mi dowody męstwa, a teraz żadnego nie zabiła z przeciwnej strony, żadnego w niewolę nie pojmała zbrodniarza. Powtarzam, władca piekieł musiał wdać się w tę sprawę.

— Choćby i tak było, choćby tysiące złych duchów sprysnęło się na nasze nieszczęście, nie opuszczę twej córki i mam nadzieję, że Bóg litościwy nie będzie chciał mnie karać za przestępstwa ojca. Choć jednak — dodał ponurym głosem — poznałem już oddawna, że jakiś los okrutny niweczy wszystkie moje zamiary, niszczy najpiękniejsze nadzieje. Czyż jęki Stanisława¹ niebios na mnie oburzyły? Czyż Rzymu przeklęstwa z ojca nieszczęśliwego na syna się zwały? Ale czemuż mam uleść trwodze? Czemuż mam odstąpić szczęścia i pomyślności? Nie, z sercem odważnem,

¹ Stanisława, biskupa krakowskiego.

z sercem ufnem w Bogu pójdę ją ratować i uratuję, lub nie posłyszysz więcej o Mieczysławie.

— Nie myśl, książę — rzekł wtenczas Wszebor — żebym ja córkę opuścił; i ja osłabłe ciało powlokę za tobą, i ja osłabłą ręką dobędę jeszcze szabli na obronę córki! Ale pierwej jeszcze z królem się nam widzieć trzeba; odkryjemy mu nasze zamiary, a potem puścimy się na niebezpieczeństwa i walki.

— Zaiste, trzeba mi wprzód stryja zobaczyć, niech się tylko przebiorę!

Ale wtem wszedł człowiek zbrojny i oznajmił, że Skarbimir z Gulczewa na czele licznej orszaki przybywa odwiedzić księcia.

— Dałbym wszystko — zawołał niecierpliwy Mieczysław — żeby się nie widzieć z tym chytrym króla doradcą, ale trzeba go przyjąć. Będę się starał jak najprędzej go pozbyć.

Po tych słowach usiadł książę na krześle, kazał zabrać wino i z należytą powagą przyjął wchodzącego Skarbimira, jednego z dwunastu radców królewskich i podskarbnika Władysława Hermana. Miernego ten pan był wzrostu, a choć jeszcze zgrzybiała starość ciężarem go nie przygniotła, schylone miał ciało ku ziemi i wydawał się długimi pracami strudzonym. Twarz wcale za nim nie przemawiała; w małych, żywych oczach znać było chęć zysku i zręczną przebiegłość. Do włosów czarnych już siwe mieszać się zaczynały; ubiór nie odpowiadał wysokiej jego godności i licznym dostatkom, rdza pokrywała rękaje pałaza, suknia była wytarta, a obraz króla Władysława, zawieszony na miedzianym łańcuszku, spadał na piersi. Pierścień

tylko złotem i drogimi kamieniami błyszczał na wyschłej jego ręce.

— Siadaj, potężny panie Gulczewa i innych włości! — rzekł Mieczysław, wskazując niższe od swojego siedzenie.

Wszebor powitał go prawie nieznacznym schyleniem głowy, a Skarbimir, głęboki oddawszy pokłon, usiadł z uniżonością, dowodzącą, iż, czuje, że jest w przytomności księcia krwi królewskiej; ale w chwili, kiedy Wszebor i Mieczysław od niego wzrok odwrócili, żywe jego oczy pokój przebiegły, uśmiech chwilowy zbladłe rozszerzył usta i najwyrachowańsza chytryść odbiła się na zwierciadle duszy — na zwiędłej jego twarzy.

— Najjaśniejszy książę! — ozwał się nareszcie — za dobry jesteś na sługę swego, wołając nań tak pysznym imieniem. — Ubogi jestem i łaska tylko króla mnie wywyższyła. Zato też codzień pomimo lichego majątku daję na mszę, prosząc niebios o zachowanie tak dobrego i mądrego pana.

Uśmiech niedowiarstwa był jedyną odpowiedzią Mieczysława.

Skarbimir drugi, jeszcze głębszy pokłon oddał Mieczysławowi, który znowu nic nie odpowiedział, a Wszebor brwi zmarszczył i poszedł do blizkiego okna.

— Ale — dodał Skarbimir — niebo usłuchało gorących próśb grzesznika i dzisiaj jeszcze raczyło mnie oświecić. Tak, mam pewne wiadomości o Hannie z Ciechanowa.

Te ostatnie słowa tak cicho wyrzekł, oglądając się na wszystkie strony, że ledwo je Mieczysław usłyszał;

ale jak tylko imię kochanki obito się o jego uszy, skoczył do pana Gulczewa i, zapomniawszy o znanej jego obłudzie, ścisnął mu rękę i zawołał:

— Mów prędzej, co wiesz!

— Mów — powtórzył Wszebor — mów jasno i bez niepotrzebnych przydatków, a nadewszystko nie mijaj się z prawdą, mości podskarbniku królewski!

— Jeśli książę mi pozwoli zawołać człowieka z mego orszaku, on najlepiej całą tę rzecz wyłuszczy.

— Zawołaj! zawołaj!

— Bardanie, do mnie! — krzyknął Skarbimir, a natychmiast wszedł człowiek zbrojny, wychudły i posępnej twarzy. — Mów, coś słyszał i coś widział — rzekł Skarbimir — ale pierwszej drzwi przymknij!

— Naco ta ostrożność? — rzekł Wszebor — któż nam może mieć za złe, że chcemy znaleźć...

— Kto? Ja wiem, kto — odparł podskarbnik, zmieniając swój głos na rozkazujący, bo wiedział, że trzyma w swej mocy słuchaczy. — Przymknij drzwi; zarygluj drzwi, Bardanie, zatknij dziurkę czemkolwiek, kawałkiem, oddartym od szaty, za którą ci książę Mieczysław wynadgrodzi, bo ja za ubogi jestem!

— Masz — zawołał Mieczysław, rzucając mu kilka naciętych sztuk srebra — tylko mów prędzej, prędzej, przyjacielu, jeśli dbasz o moje życie!

— Najjaśniejszy panie — rzekł żołnierz — i ty potężny rządczo zamku Ciechanowskiego, ponieważ pan mój Skarbimir, władca Gulczewa i Kościelca...

— Prędzej tylko, prędzej! — przerwał mu Mieczysław.

— Racz mi przebaczyć, wielmożny i potężny panie i książę, ale trzeba zawsze od początku zaczynać, tak przynajmniej nam ksiądz mówił na nauce w kościele gulczewskim, wystawionym przez mego pana, Skarbimira z Gulczewa — i...

— Prędzej, prędzej, co mi po twoim kościele! — zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— Otóż, najjaśniejszy książę, ponieważ mówiłem, że trzeba zacząć od początku, powiem ci, że tego samego dnia świętej Agnieszki, w którym porwano córkę wysokiego i możnego pana Wszebora z Ciechanowa przyjechałem na moim siwym koniu do Ciechanowa, bo różne tam sprawunki miałem, a wyznając wszystko ci szczerze, najjaśniejszy panie, córka Bartłomieja Krzywonogiego jest ładną dziewczyną, a ojciec jej wziął mnie pod brodę, pogłaskał i rzekł...

— Przekłęty gaduło — krzyknął Mieczysław — mów, kto ją porwał, opuść wszystko insze, bo ci inaczej łeb zdruzgocę!...

— Przepraszam wielmoż...

— Nie przepraszaj, tylko mów, ale prędzej, prędzej! — i stanął o dwa kroki od żołnierza.

Przestraszony Bardan zaczął więc zwięźlej trochę swą rzecz opowiadać.

— Więc przyjechałem do Ciechanowa i, stanąwszy u Bartłomieja Krzywonogiego, bawiłem się z Małgorzatą; wtem wszedł człowiek i prosił o czarę miodu, którą spełniwszy za zdrowie — i tu Bardan za znakiem danym przez Skarbimira, głos znacznie zniżył — księcia Zbigniewa, położył pieniądze na stole i wyszedł mówiąc, iż dobrze, że pokrzepił siły, bo wiecz-

rem będzie miał wiele do roboty. Zbroja jego była podobną do zbroi żołnierzy tegoż księcia; a zatem Bartłomiej...

— Zbigniew, niema wątpliwości! — przerwał mu Mieczysław — Zbigniew, ale niech teraz się spowiada i żegna z tym światem, bo niedługie mu dni zostały! Hej, giermku mój, podaj mi zbroję i szyszak, Henryku, przedź!

Wyszedł nadobny młodzieniec w kwiecie wieku i podał księciu żadaną zbroję.

— Zatrzymaj się! — rzekł Wszebor — pierwszej pójdziemy do króla, a potem pomyślimy o środkach odebrania z rąk Zbigniewa córki mojej.

— Niema co myśleć — zawołał Mieczysław — naco mi króla, naco mi myśleć, kiedy wiem, gdzie znajdę wroga, i mam wierną szablę w ręku!

— Nigdy nie zezwolę na to — rzekł poważnym głosem Wszebor — by dla mojej córki zaszło rozdwojenie w rodzinie panującej, by brat podniósł oręż na brata; usłuchaj zdrowej rady, Mieczysławie, zmiękczyć się mojemu prośbie! Chodź raczej do Władysława! On synowi rozkaże oddać mi córkę.

— Nie znasz Zbigniewa, starcze, nie znasz. Twoja córka może teraz... — i tu zatrzymał się Mieczysław, ani słowa dalej nie mógł wymówić, oczy jego zabłysły zapalczywym gniewem i dobywszy miecza, skoczył do drzwi, ale nim je mógł otworzyć, powstał Skarbimir, a Wszebor zatrzymał księcia.

— Księżę Mieczysławie — zawołał Wszebor — nie sądź, by ci Hanna droższą, niż mnie była; ale przez długi przeciąg lat, strawionych na usłudze krajowej,

nauczyłem się przekładać ojczyznę nad najmilsze uczucia! Cóż stąd wyniknie? Walka między tobą a bratem, śmierć jednego z was, klęski dla Polski i żal ciężki dla króla. I któż jeszcze wie pewno, że Zbigniew porwał moją Hannę? Czyż słowa żołnierza, pijącego zdrowie swego pana, są dostatecznym dowodem? Upamiętaj się, panie, nie wszczynaj niezgód i rozterek w Polsce, już i tak nieszczęśliwej! Przekonaj się pierwszej, a potem znajdziesz sprawiedliwość u króla!

— Musi zginąć z mojej ręki! — przerwał cichym głosem księżę, ale schował miecz do pochwy, a ochłoniwszy nieco z gwałtownego gniewu, usiadł. Wtenczas Skarbimir ponowił swe ukłony i prosił, by mu pozwolono dać radę. Za zezwoleniem Wszebora i księcia zaczął płynnie mówić i znać było w jego słowach wyćwiczonego na dworach i biegłego doradzcę.

— Wyjdz, Bardanie! Najjaśniejszy księżę, widziałem cię małym i na moich nosiłem rękach. Twój ojciec nieraz łaskawem na mnie rzucił okiem, a teraz nam panujący Władysław Herman przypuścił do swego boku. Ośmielam się więc podać wam radę. Bez wątpienia Zbigniew trzyma w swojej mocy Hannę, ale nie można mu tego zarzucić, bo nie mamy pewnych i niczem niezbitych dowodów. W ich niedostatku możemy sobie przywieść na pamięć gwałty i łupiestwa, mordy i grabieże, które ten księżę często popełniając, stał się klęską dla narodu. Dotąd go miłość króla ochraniała, ale teraz przyszedł czas zrzucenia go ze szczytu potęgi. Temu kilka dni przysięgł Władysławowi, że nic nie wie o Hannę, a kiedy się ojciec przekona, że przeniewiercę

i krzywoprzysięcę ma za syna, odepchnie go od łona, w czym twój najniższy sługa, teraz mówiący do ciebie, najjaśniejszy książę, będzie ci się starał dopomódz.

— Nie potrzebuję wcale tego — przerwał Mieczysław. — Nie przystoi mi cichymi podszepty, zdradnemi słówkami oburzać serce mego stryja na syna, choć ten syn całego mego gniewu jest godzien. W otwartych szrankach się spotkamy, ale nigdy nie zezwolę na ukryte drogi, na ciemne ścieżki, któremi chcesz mnie poprowadzić; ale mów dalej, mów! Jednejbym tylko pragnął rzeczy, żeby można Zbigniewa o zbrodnię zupełnie przekonać, a wtenczas śmierć mnie lub jemu!

— Tego chcesz? — rzekł Skarbimir. — Nic łatwiejszego; tylko króla poproście, by zwołał swoich panów radnych i urzędników do tronowej sali; tam niech na księdze świętej poprzysięgnie ścigać zdrajcę, niech każe przejrzeć wszystkie domy w Płocku, a odkryje się zbrodnia!

— Na to się zgadzamy — odparł Mieczysław wraz z Wszeborem.

— Ale byłoby lepiej — ciągnął dalej Skarbimir — naprzód królowi z daleka dać poznać, że Zbigniew należy do tej sprawy. Potem coraz bardziej zbliżać się do celu, powoli niszczyć w jego sercu miłość ku synowi, a na koniec odkryciem wszystkiego zupełnie ją wyrugować. Potrafiłbym to uczynić, bo moje poświęcenie się dla ciebie jest bez granic.

— Milcz z takimi zamiary! — krzyknął Mieczysław. — Syn Bolesława Śmiałego otwartą idzie drogą, nikogo na świecie się nie boi, zawady nie zdradą, ale dzielną przełamuje ręką, wrogów nie tajnymi sposobami,

ale mieczem pokonywa; milcz, mówię ci, Skarbimirze, jeśli nie chcesz się wydać przedemną z podłością serca i nizkością duszy.

— Źle sądzisz o mnie, najjaśniejszy...

— Dziękuję za radę, a teraz nie mam więcej cię słuchać czasu i żegnam.

To mówiąc, zawołał na pazia, kazał sobie podać płaszcz książęcy i, wzięwszy czapkę z czarnymi piórami, wyszedł do króla z Wszeborem, który w milczeniu tał głęboki smutek duszy, sądząc, że niegodnem jest męża słabość okazywać.

Skarbimir został sam w komnacie.

— Piękna nagroda — szemrał — za rady moje; ale przyjdzie czas, że i ty uznasz moją wyższość. Tymczasem już jeden upadnie, już groźny Zbigniew się ukorzy. Gińcie, przepadajcie wszyscy: niech się sam Skarbimir zostanie! Czołga się teraz przed wami, ale kiedyś jego łaski zebrać będziecie, a on wasze zajmie miejsca! — A potem obracając się do pazia:

— Czy tak zawsze żegna się z przyjaciółmi twój książę, mój chłopcze?

— Książę mój i pan — odparł młodzieniec — szanuje tylko tych, którzy są godni tego; z wszystkimi innymi podobnie się, jak z tobą, żegna.

Po tych słowach wskazał drzwi podskarbnikowi, który z nienawiścią i zręcznym ukrytym gniewem wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ V.

Królu mój, straszna twoja powinność!
Twoje święte przeznaczenie
Jest: karać zbrodnie, pomścić niewinność,
Cierpiącym podać ulżenie.

Serbska duma.

W przedpokoju królewskim zastał Mieczysław z Wszeborem Sieciecha, wojewodę krakowskiego, hetmana Władysława i wodza jego straży. Siedział on, otoczony zbrojnym rycerstwem, i nie powstał za zbliżeniem się księcia, choć bowiem jeszcze wtenczas nie nabył tej ogromnej na dworze przewagi, która się stała później przyczyną wielu kłótni i niezgód, dumny jednak z swego męstwa i znaczenia, nikomu kroku nie ustępował. Jeszcze młody, choć już pożegnał się z wiosną życia, wysokiego był wzrostu i męskiej postawy. Wiele usług oddał królowi, a choć często poświęcić był gotów dobro powszechne własnej chwale, umiał cenić szlachetne uczucia i nieraz im się jego serce poddawało. W lekkiej zbroi i świetnym szyszaku, rozmawiał z swoimi żołnierzami, których umiał przywiązywać do siebie hojnymi podarunkami i przepuszczaniem największych bezprawów. Z drugiej strony komnaty siedział w szerokim krześle człowiek otwartej i wesołej twarzy, na blizkim stole leżała czapka z czaplemi pióry, torba borsukowa ze srebrnymi guzikami i nóż myśliwski; na lewej ręce trzymał ogromnego sokoła, który, do tego przyzwyczajony, snem twardym ujęty, spuścił był głowę.

— Wolimirze z Moskorzowa, jak się masz? — rzekł Wszebor, wchodząc do pokoju.

— Jakem sokolnik króla Władysława, tak to Wszebor z Ciechanowa! — zawołał Wolimir. — A cóż, gdzie córka? czy puścić za nią mego sokoła? — To mówiąc, wznosił rękę. Ptak roztoczył skrzydła, jak gdyby gotował się do lotu i bystrym wzrokiem szukał zdobywcy; ale za słówkiem, wymówionem przez Wolimira: »Niżej, niżej z piórami!«, znów do dawnej wrócił ospałości.

— Niema córki mojej i na nieszczęście idę teraz mojemu królowi i panu to oznajmić.

— Nie można się teraz widzieć z najjaśniejszym panem — rzekł Sieciech, udając, że nie poznaje Wszebora ani Mieczysława.

— A ja mówię, że można, mój Sieciechu — odpart książę z uśmiechem pogardliwym na ustach i, nie dbając więcej na słowa wojewody, wszedł do Władysława, prowadząc za sobą Wszebora.

— Odpłacisz mi to »mój Sieciechu!« — zawołał gniewny hetman i tak ściał usta gwałtownie, że aż mu krew z dolnej wytrysła wargi.

Nie słyszał tej groźby książę, bo już był przy krześle, na którym król siedząc, oglądał przyniesione pargaminy i podpisywał się na nich znakiem krzyża, bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu.

— Witamy was, moi mili — ozwał się Władysław. — Ale cóż widzimy? Czoło twoje zachmurzone, synowcze, a łzę smutku napróżno usiłuje wstrzymać

wierny nasz Wszebor. Czyż Hanna dotąd nie wróciła ojcu?

— Miłościwy królu i stryju mój, nie mogliśmy odkryć zbrodniarzy; nie odpoczęliśmy ani dniem ani nocą, po wszystkich okolicach Płocka daremnieśmy błądzili.

— Królu mój — zawołał Wszebor i rzucił się do nóg Władysława — sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam, królu, wyrwij mnie z toni nieszczęść, ocal cześć i życie mojej córki!

— Wszystko zrobimy w tym względzie, co będzie w naszej mocy, i na to dajemy ci nasze słowo królewskie. Może chcecie ludzi zbrojnych? Każemy wam ich z własnej dać straży, pošlemy z wami Sieciecha, rozgłosimy po całym królestwie, żeby wszyscy wzięli się do broni i siedli na koni dla szukania twojej córki; nie powiedzą, że Władysław, król polski, opuścił poddanego w nieszczęściu.

— Powiedz mu domysły nasze o Zbigniewie — rzekł po cichu Wszebor do Mieczysława — bo ja się nie mogę odważyć na zmartwienie tak dobrego pana!

— A ja nie chcę oskarżać, kiedy tylko same mam domysły — odparł Mieczysław — ale pójdźmy za radą Skarbimira, bo choć chytry i niegodziwy, w tej okoliczności nic nie mamy innego do uczynienia. Gdybyś mnie nie był wstrzymał, możebyś już teraz błogosławił córkę.

— Dobrze — rzekł Wszebor i znów się obrócił do króla. — Najjaśniejszy panie, mam prośbę do ciebie, której wykonanie może ci przykrem będzie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co może wrócić

mi szczęście i zgon mój niedaleki przytomnością córki pocieszyć.

— Nie, zapewne, że nie odmówię — odparł Władysław, ale znać było na twarzy, że się lękał przyrzekać.

— Królu polski, wzywam więc twojej sprawiedliwości i zanoszę do podnóża twego tronu pokorne prośby, byś kazał zebrać się panom twoim radnym rycerstwu i wobec wszystkich oświadczył, że srodcę ukarzesz sprawcę niesłychanej zbrodni, tę obietnicę przysięgą stwierdził i rozkazał wszystkie domy w Płocku obejrzeć i przetrząść, bo może w tych murach jęczy moja Hanna w mocy tak potężnego zbrodniarza, że go własny monarcha i... — ale zatrzymał się tu Wszebor, bo chciał już wymówić: »i ojciec«, ale po chwili dodał: własny monarcha i pan nie ustraszy.

— Boże! — zawołał nieszczęśliwy Władysław, domyślający się przyczyny chwilowego zamknięcia Wszebora, i łza boleści na siwą brodę spłynęła. — Boże! dodaj mi mocy, pokrzep mój umysł! —

To mówiąc, wstał z krzesła, poszedł do blizkich drzwi, za których otwarciem ukazał się mały ołtarz, oświecony srebrną lampą. Klękawszy przed nim, krótką modlitwę odmówił. Obrócił się potem do Wszebora i z powagą prawdziwie królewską:

— Zadosyć się stanie — rzekł — twojej prośbie; Bóg dobrotliwy udzielił mocy mej duszy. Oddam ci sprawiedliwość. Jutro zasiądę na tronie i ogłoszę to, o coś mnie prosił. Czuję, że to moja powinność, i dlatego ją wypełnię.

Nie mógł dalej mówić i upadł na krzesło, a Wszebor i Mieczysław, ucałowawszy mu rękę, wyszli z komnaty.

— Synowcze — zawołał król osłabionym głosem za odchodzącym młodzieńcem — powiedz Sieciechowi, by jeszcze dzisiaj rozkazał uwiadomić panów moich i biskupa płockiego o jutrzejszej naradzie, bo Bóg zesłał na mnie ciężkie bóle i nie mógłbym teraz z nikim rozmawiać.

Uklonił się Mieczysław i, przymknąwszy drzwi królewskiego pokoju, poszedł do Sieciecha.

— Hetmanie królewski, Władysław Herman, król i stryj mój, każe ci przez moje usta powiedzieć, żebyś uwiadomił natychmiast wszystkich panów radnych, biskupa płockiego i znakomitych rycerzy o wezwaniu królewskiem stawienia się jutro tutaj w zamku i zgromadzenia się w tronowej sali.

— Nie zwyczajny-m odbierać rozkazy pana mego i króla przez trzecią osobę, więc...

— Więc przyzwyczaj się teraz — przerwał groźnie Mieczysław — i wypełnij, co ci powiedziałem!

To mówiąc, wyszedł. Sieciech wstał z miejsca, a choć go Wolimir z Moskorzowa chciał wstrzymać, wyszedł i dognał księcia u bram zamkowych.

— Synu przekłętego ojca — zawołał — wstrzymaj swe kroki, bo mam kilka słów ci powiedzieć!

— Sieciechu, do kogóż się tak odzywasz? — rzekł Wszebor — czy nie wiesz, czyś zapomniał, że to książę Mieczysław?

— Właśnie dlatego, że nie zapomniał — odparł

dumny wojewoda — mianuję go synem mordercy i świętokradcy.

— Nie wymówiłbyś ani słowa więcej — krzyknął Mieczysław, z trudnością poskramiający gniew gwałtowny — gdyby te mury zamku królewskiego nie przypominały mi, że jest zbrodnią na tym dziedzińcu potykać się z wrogiem.

— Krokiem dalej postąp, a już nic cię nie wstrzyma — zawołał Sieciech, dobywając miecza.

— Stój, wojewodo! — odparł z zimną krwią Mieczysław. — Owszem, byłoby zasługą uwolnić króla mego i monarchę od tak bezczelnego sługi, co później, spodziewam się, że przy pomocy Boga i mojej szabli uczynię. Ale ważniejsza sprawa nad wszystkie względy ziemskie zajmuje teraz mój umysł. Po jej ukończeniu, po uwolnieniu najcięższej i najpiękniejszej dziewczyny spotkam się z tobą, jak na rycerza i Polaka przystoi. Ale pierwszej nie więcej pomogą twoje krzyki i obelgi od skowyczeń małego psa, którego podróżny kijem z swojej drogi odpędza. Milcz więc, jeśli prawy z ciebie rycerz, i czekaj, aż pan i książę twój zniży się do walczenia z tobą!

— Dobrze, będę milczał, ale głos mój, kiedy się odezwę, będzie do pioruna podobny; legniesz pod moimi ciosy.

To mówiąc, z dumą na czole wrócił do zamku, a Mieczysław i Wszebor z zasępionem obliczem oddalili się.

— Wojewodo krakowski i hetmanie króla Władysława — rzekł do wchodzącego Sieciecha Wolimir — nie udało ci się polowanie, bo ani zwierza, ani na-

wet farby na mieczu nie widzę. Podobno lepszy mój sokół.

Nic nie odpowiedział Sieciech, usiadł w milczeniu, a Wolimir zaczął ulubionego ptaka nakarmiać kawałkami mięsa, które z świetnej torby wyjmował.

ROZDZIAŁ VI.

Usiadły wodze. Troski na wszystkich wyrte;
Powstał król..., lejąc łzy obfite,
I gęstym przerywane jękiem słowa rzecze.

Iliada, XIX księga.

Salą tronową czyli naradną nazywano obszerną komnatę w zamku płockim, wystrojoną prawdziwie z królewskim przepychem. Obicia z aksamitu purpurowego lśniły się, pozawieszane po ścianach, wyrobionymi na nich ze złota i srebra kwiatami. W środku zaginającego się sklepienia wymalowany był pierwszy król chrześcijański, przyjmujący chrzest z rąk świętego biskupa, a przy nim jego żona, piękna Dąbrówka, i Polacy z dobytym orężem. Choć za naszych czasów niezgrabnym i niekształtnymby się wydawał ten obraz, wzbudzał on wtenczas podziwienie i uwielbienie rzadkich i nieumiejętnych miłośników sztuk pięknych. Gdzieniegdzie wisiały nabijane złotem zbroje i stalowe kolczugi, pomieszane z szablami i tarczami, po których świetności można było poznać, że więcej ku ozdobie, niż do boju, służyły. Sam tron, szkarłatnem obity suknem, stał w głębi sali pod pokryciem niebieskiem, nad którym wznosił się herb polski, orzeł

biały z srebrzystemi pióry; pięć marmurowych stópni prowadziło do niego, a trzy rzędy filarów z obu stron podpierało wysokie sklepienie, na każdym filarze widziano bogatą koronę, wznoszącą się nad dwoma, w krzyż złożonemi berłami. Żelazna krata oddzielała tron od drugiej połowy sali. Przy siedzeniu królewskim było kilka niższych, przeznaczonych dla książąt krwi i znakomitszych urzędników. Okna, różnemi malowaniami zdobne, sięgały od podłogi do początku sklepienia; przy każdym z nich paliły się najdroższe kadzidła w alabastrowych naczyniach.

Teraz cała sala napęczniała była mnóstwem osób, czekających ukazania się monarchy; świetne ubiory zgadzały się z przepychem miejsca. Przy tronie królewskim stał Zbigniew, a za nim wierny Mestwin; poblizkie siedzenie z drugiej strony zajmowali Wszebórz, Skarbimir, Sieciech, Wolimir z Moskorzowa z sołosem na prawicy, inni panowie radni i Stefan, naówczas biskup płocki.

— Patrz — rzekł Wolimir Sieciechowi do ucha — jak na to zgromadzenie przybył Zbigniew w zupełnej zbroi i z szyszakiem żelaznym na głowie, jak gdyby, poczuwając się do porwania kuropatwy, obawiał się jakiego niebezpieczeństwa, kiedy my wszyscy i ty nawet, wodzu straży królewskiej, jesteśmy bez pancerzy, bez hełmów! Patrzże, jak brwi zmarszczył, kiedy teraz zbliżył się Mestwin do niego i coś mu po cichu powiedział, patrz, jak się nagle wzruszył i położył rękę na szyi! Na Boga, zdaje mi się, że na łowach. My wszyscy jesteśmy psy, król dojeżdżacz,

Wsebor myśliwy, a księżę Zbigniew dzik osaczony... A co, czy-m nie trafił?

— Ale wiele psów legnie pod jego kłami, nim się podda — odparł Sieciech. — Lubię Zbigniewa; dzielny, a choć czasem popełni zbrodnię, lubię go jeszcze. Trudno obejść się bez gwałtu na tym świecie. Jaka postać rycerska, jakie męskie rysy, jaka piękna na nim zbroja! Lubię go za to...

— Ale co to się znaczy — rzekł sokołnik królewski — że naszego wysokiego i wielce miłościwego pana dotąd nie widać, czy nie zaśląb czasem?

— Może się boi przyjść do nas, lub jeszcze nie pokończył pacierzy — odpowiedział Sieciech.

Lecz wtem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali.

Czoło Sieciecha pokryło się chmurą, wszyscy powstali. Wszedł król drzwiami, blizkiemi tronu, opierając się na rękę synowca, i zbliżając się do tronu, lekkim ukłonem zgromadzonych panów powitał. Twarz jego nosiła piętno boleści i rozdzierających duszę smutków; szedł powolnym krokiem, z koroną na głowie, z berłem w ręku, szerokim, białym otoczony płaszczem, na którym srebrne błyszczały orły. Podawał mu rękę Mieczysław w kształtnym, niebieskim stroju; nie miał pancerza na piersiach, zamiast ciężkich rycerskich rękawic białe z giętkiej skóry pokrywały mu ręce. Łańcuch złoty, oznaczający godność rycerza, spadał mu na piersi. Płaszcz książy w lekkich fałdach spływał mu z ramion, a zamiast czapki z piórami, stosownej do tego ubioru, miał na głowie ciężki hełm stalowy ze spuszczoną przyłbicą, co było

skutkiem uczynionego ślubu, że nie odkryje twarzy, dopóki nie wykryje śladów lub nie dowie się o losie Hanny z Ciechanowa.

Szmer, dotąd panujący w sali, zamienił się na głośne okrzyki: »Niech żyje król Władysław! niech żyje Herman! chwała jemu i błogosławieństwo!«

Ale kiedy król usiadł na tronie, wrzawa ta, pochodząca bardziej ze zwyczaju, niż z przywiązania do monarchy, ucichła. Wszyscy oczy zwrócili na Władysława, wzrok i słuch natężając. Jeden Zbigniew został niewzruszony przy tronie; za zbliżaniem się króla kroku nie postąpił ani cofnął, żadnego znaku wzruszenia nie okazując. Czasem tylko za przelatującym wspomnieniem lekki rumieniec występował mu na lica, które wkrótce potem wracały do grobowej bladości, i gdyby nie to jedyne znamię życia, można go było raczej wziąć za martwy posąg, niż za żyjącą istotę. Mestwin stał za nim; ale ile razy chciał mówić, nieznacznym prawie ruchem ręki nakazywał mu księżę milczenie i musiał rycerz niemiecki przedstawiać na szyderskim uśmiechu, który nigdy jego ust nie opuszczał.

— Panowie, tu zgromadzeni — rzekł król słabym głosem — i dzielni rycerze, zebrani za naszym rozkazem, postanowiliśmy dzisiaj roztrząsnąć sprawę, przyczyniającą nam wiele zmartwienia i smutku; bo nasze serce ojcowskie ubolewa nad nieszczęściami naszych poddanych, nad kłótniami i niezgodą naszych panów, nad gwałtami i zdzierstwami naszego rycerstwa. — To mówiąc, pomimowolnie rzucił okiem na Zbigniewa, ale książe stał na tem samem miejscu

i najmniejszej zmiany w tej chwili nie można było dostrzedz na jego twarzy. — Dniem i nocą w własnym zamku i w kościołach błagaliśmy Boga o wrócenie pokoju, o oddalenie zamięszania i rozbojów. Ale ciężkie musieliśmy popełnić grzechy, kiedy Pan niebios nie raczył się do naszych prośb przychylić; owszem, widzimy ze smutkiem najgłębszym, że codzień złe się wzmaga, codzień szerzą się kłótnie i łupiestwa, codzień ponawiają się mordy, zajazdy, łupiestwa i kłęski, pogrążające naród w nędzy i porządek społeczny wywracające. Niema zakątka w Polsce, gdzieby zacięte nie odbywały się walki między ziomkami, synami wspólnej ojczyzny. Krew się leje, a nasza powaga królewska nie może jej wstrzymać ani namową, ani prośbą, do której królby nigdy nie powinien się zniżać; nie zdołamy skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów. Czyż piekło nasało hufce złych duchów na naszą ziemię? Czyż dzikie, otaczające nas narody przelały swe uczucia w serca naszych panów i naszej szlachty? A jednak bywały dawniej czasy porządku i wewnętrznego pokoju! Za Bolesława Wielkiego, założyciela naszej chwały i potęgi, w pierwszych latach panowania nieszczęśliwego mego brata, nikt nie śmiał dobywać na braci oręża i wszystkie szable polskie skierowane były w pierś wrogów. Ale teraz ojciec w niezgodzie z synem, stryj zagrabią synowca majątki, brat podnosi oręż na brata, wszędzie zamięszanie i szczęk broni, a tymczasem kościoły puste daremno wzywają na modlitwę rycerzy dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów, groby świętych opuszczone i w pogardzie

miane. Sami tylko kapłani zapełniają przybytki pańskie, a wszędzie naokoło krew rumieni ziemię i Polak ściera się z Polakiem. Nie, poddani moi, nic nie przesadziłem w tym opisie. Samiście tego świadkami i sumienie wasze zgadzać się musi z naszymi słowy. Przykład tego właśnie teraz się wydarzył. Oto....

Ale w tem miejscu król zamilkł; wystawiał dotąd ogólne zarysy, ogólnie do wszystkich przemawiał; ale kiedy przyszło do opowiadania wypadku, dotyczącego tak blisko przytomnych i mogącego ściągnąć na syna nieszczęśliwe skutki (dowiedział się bowiem Władysław od Skarbimira o opowiadaniu Bardana), nie czuł już w sobie potrzebnej do tego mocy. Myśl, że wypełnia świętą powinność, nakazaną przez niebios, utrzymywała go dotąd w zamiarze; ale teraz jakiś ciężar przycisnął mu serce, głos ustał i przymknęły się usta.

Przez kilka chwil głębokie panowało milczenie; nareszcie nabrał więcej siły i często przerywanym głosem się odezwał:

— Wszebor, pan Ciechanowa, zasłużony w ojczyźnie, dzielny w boju, mądry w radzie, ze łzami w oczach przybył nam oznajmić przed tygodniem, że mu córkę nadobną, Hannę z Ciechanowa, której wdzięków i cnoty sławą całe brzmi Mazowsze, porwali w nocy zbrojni ludzie i że to tak prędko i niespodzianie się zdarzyło, że nie mogli ledwo ze snu obudzeni jego żołnierze schwycić ni ujrzyć nikogo z porwających. Obiecaliśmy mu, że jeśli pogoń i wyprawa, którą zamierzył, bezskutecznymi będą, wtenczas do-

łożymy wszelkich środków za pomocą władzy, od Boga nam nadanej, na wyśledzenie, odkrycie i ukaranie zbrodniarzy. —

Tu ciężko westchnął Władysław i znów się zatrzymał.

Ale Wszebor, widząc, że w jednej chwili wszystko stracić może przez słabość i niestałość króla, kląkł przed tronem i głośno: »Sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam!« zawołał.

— I otrzymasz ją, wierny nasz sługo. Wrócił po kilku dniach — mówił dalej Władysław — na próżnych staraniach i zabiegach strawionych, do nas oto przytomny Wszebor, a my, dopełniając obietnicy i w niczem nienaruszonego słowa królewskiego, zgromadziliśmy was, panowie i poddani, żeby przed wami ogłosić i oznajmić naszą wolę królewską i, co następuje. Słuchajcie więc uważnie, słuchajcie, a kto się poczuwa do zbrodni, niech wyzna przestępstwo, bo za chwilę nie czas już będzie!

Tu znów umilkł król polski i czekał, czy jaki głos się nie odezwie; ale grobowe milczenie nieprzerwanem zostało. Zbigniew tylko rzekł po cichu do Mestwina:

— Idź do mego zamku, uzbrój wszystkich żołnierzy, rozstaw ich po murach i basztach! Niech każdy z gotowym do boju orężem czeka na mnie!

— Książę i panie mój, nie rzucaj się dobrowolnie w sidła nieprzyjaciół; tajemnica i milczenie wszystko pokryć może, przysięga i słowo książęce uwolni cię od poszukiwań i śledzeń.

— Wykonaj moją wolę, przyjacielu — odparł Zbigniew — bo już nadchodzi czas i niezapługo błysnie wierna moja szabla!

— Do śmierci wiernym ci będę, ale powtarzam...

— Ani słowa więcej, wykonaj moje rozkazy!

— Już nic, nic cię nie wyratuje: zgubionyś! — były ostatnie słowa Mestwina, wychodzącego z sali, co nie mało wszystkich zdziwiło. Wtenczas Stefan, biskup płocki, z powagą do tronu przystąpił, zdjął z swojej szyi bogaty relikwiarz, zawierający kość z głowy świętego Wojciecha, i, złożwszy go w ręce królewskie, uroczyście wyrzekł:

— Władysławie, królu Polski i panie mój, wypełń teraz powinność, nakazaną od nieba i świętego Kościoła! — a widząc pomięszanie monarchy, dodał: — a za to Bóg ci przez moje usta obiecuje szczęście i nagrodę w życiu przyszłym. Wezwij na pomoc anioła stróża, świętych męczenników, którzy krwią własną dowiedli nienaruszonej wiary, i dwunastu apostołów Zbawiciela naszego! Wypij kielich goryczy w tem życiu, a po śmierci wieniec nieśmiertelnej chwały niebieskiej okryje ci skronie! Wypełń więc obowiązek i powinność swoją, Władysławie, królu Polski!

Całe zgromadzenie odpowiedziało: »Amen«.

Zebrawszy wszystkie siły, powstał Władysław Herman, a choć bliżej tronu stojący postrzegli łzę, toczącą się w oku, dość silnym odezwał się głosem:

— Wzywamy wszystkich naszych poddanych, tak panów i rycerzy, tak wolnych, jak niewolnych ludzi, żeby wszystkimi środkami starali się wykryć zbrodniarzy, którzy porwali Hannę z Ciechanowa. Wzy-

wamy i rozkazujemy, aby nasi rycerze wsiedli na koń i dopomogli ojcu do szukania straconego dziecięcia, a to pod utratą względów i łaski naszej. Dalej wzywamy naszego hetmana i wojewodę Sieciecha, by na czele przybocznej naszej straży uczynił przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa... Ktokolwiek się dowie o Hannie z Ciechanowa, a nie doniesie natychmiast o tem nam i Wszeborowi, jej ojcu, tego czeka kara, żadnem nieodwrócona prośby; a teraz pozostanie nam jeszcze ogłosić wolę naszą, żeby występny i winowajca porwania Hanny ukaranym był śmiercią, co następną stwierdzamy przysięgą.

W tem miejscu wszyscy przytomni powstali i, dobywszy z pochew oręż, głośnymi okrzyki świadczyli się niebem, że wszelkich dołożą starań dla wybawienia Hanny. Łzy radości zakręciły się w oczach Wszebora, kiedy zobaczył, że taki zapal wzbudziła jego sprawa. Twarzy Mieczysława pod przyłbicą nie można było dostrzedz, ale równie, jak inni, dobył miecza i wznosił go w powietrze; jeden tylko Zbigniew milczał i niewzruszony pozostał na miejscu.

Po przywróceniu milczenia król, wznosząc z pobożnością święty relikwiarz i odebrawszy błogosławieństwo biskupa Stefana: »Przysięgam« — rzekł...

— Nie przysięgaj, ojcze, śmierci własnego syna! — przerwał mu Zbigniew głosem, do pioruna podobnym, i postąpił o kilka kroków, a założywszy ręce na piersi, tak zawołał z uśmiechem pogardy:

— Ja Hannę z Ciechanowa porwałem. U mnie, tu, w Płocku, w moim przemieszkuję zamku. A teraz

niech kto wystąpi, niech kto poważy się na mnie powstać!

Zamilkł, a czoło jego zajaśniało dumą i ręką, gotową do boju, spoczęła na rękojeści miecza. Wszyscy w zadziwieniu nieporuszeni stali. Władysław upadł na krzesło i schylił głowę, zleciała z niej świetna korona i wraz z berłem, przez słabą rękę opuszczonem, runęła aż do stóp tronu. To się wszystko stało w mgnieniu oka i w tej samej chwili Mieczysław podniósł przyłbicę i skoczył do Zbigniewa, ale kiedy wściekły rzucał się na wroga, widok konającego prawie króla i stryja wstrzymał go, a szlachetny książę, zapomniawszy o własnej zemście, pobiegł do Władysława Hermana i starał się go wrócić do zmysłów. Podniósł powoli król polski oczy i, wracając do życia, ujrzał przy sobie Mieczysława, a pamiętny na samo tylko niebezpieczeństwo Zbigniewa, wszystkiemi siłami uchwycił się ręki synowca podobnie, jak tonący rzuconej liny, w której jedyną pokłada nadzieję. Darmo usiłował się wyrwać Mieczysław i musiał, stojąc o kilka kroków od śmiertelnego nieprzyjaciela, patrzeć na jego postać dumną, nie mogąc do niego się posunąć. Widział przed sobą sprawcę wszystkich swoich nieszczęść i uciemężyciela Hanny i spokojnie przypatrywać się musiał wyrazowi pogardy, który na licach Zbigniewa się odbijał. Czuł mocniej książę bijące serce, czuł oręż, zawieszony u boku, w każdej chwili czuł wzrastający gniew na wroga, a nie mógł na niego się rzucić, nie mógł krwią się jego nasycić i wobec wszystkich pomścić się krzywdy i zbrodni, przed

wszystkimi wyznanej. Władysław Herman tymczasem pozostał w milczeniu i błędny wzrok, pomieszanie duszy oznaczający, rzucał na przytomnych.

Wszebor zaś, klękawszy u stóp tronu, znowu:

— Sprawiedliwości, najjaśniejszy panie, sprawiedliwości się domagam! — zawołał; ale nie słyszał go król Władysław, bo wciąż miał wzrok wlepiony w Zbigniewa. Gniew bowiem i sprawiedliwe oburzenie ustąpiło miłości ojcowskiej, trwożnej o syna, otoczonego mnóstwem nieprzyjaciół.

Zbigniew patrzył na wszystkich z spokojną twarzą, wzrok jego tylko zdawał się mówić: »Niech się zbliży ten, który śmie mnie wzywać! Nareszcie obrócił się do ojca:

— Najjaśniejszy panie, oddalam się stąd, bo wszędzie widzę wrogów. Czekam na nich na murach mego zamku. Tam zobaczymy, komu Bóg przeznaczył zwycięstwo. Mieczysławie, tam ze mną będziesz mógł się spróbować. Wszeborze, nie masz po co przychodzić, bom przysiągł, że nigdy się ciebie nie dotknę, chyba, że chcesz widzieć szlachetny zgon narzeczonego kiedys twojej córki. Żegnam was, panowie i rycerze. Kto się chce ze mną rozmówić, niech się pierwej w dobrą zbroję i miecz niezłomny opatrzy! — To mówiąc, zszedł Zbigniew po stopniach, do tronu prowadzących, na szeroką salę.

— On ją uwiódł, on ją hańbą okrył! — zawołał Wszebor.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Mieczysław, darmo usiłujący opuścić rękę królewską.

— Śmierć Zbigniewowi!

— Długie życie księciu Zbigniewowi!

— Nie puszczajcie go!

— Kto go zatrzyma, mnie z tego zda sprawę! — wołało rycerstwo, na dwa podzielone stronnictwa.

Przeszedł syn Władysława powolnym krokiem wśród dwóch rzędów rozstępujących się przed nim panów i szlachty.

Miecze dobyte, podniesione sztylety zatrzymywały się w powietrzu za zbliżeniem się jego. Nikt nie śmiał przystąpić, wszyscy, zdziwieni bohaterską męża postawą, w osłupieniu stali, a Zbigniew bez pośpiechu z powagą przybliżał się do drzwi sali, odpowiadając na krzyki to przyjaznym, to pogardliwym uśmiechem. Mając wychodzić, obrócił się raz jeszcze i ujrzał przy sobie pana z Gulczewa.

— Najjaśniejszy książę, w trudnem jesteś położeniu; wszyscy moi ludzie do ciebie należą, jeśli za poniesione koszta odstąpisz mi zamek w...

— Precz mi z taką usługą! — krzyknął Zbigniew i odepchnął podłego Skarbimira. Potem raz jeszcze rzucił wzrokiem na całe zgromadzenie, przez chwilę jeszcze patrzył na błyszczące otaczających go orężę, przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się ich wrzaskom. Nareszcie: »Żegnam was — dodał — i zapraszam na biesiadę, gdzie wino krwi strumienie, a potrawy trupy zastępują«. — Po tych słowach, gardząc długim usprawiedliwianiem się i oznajmieniem, że Hannę pojął za żonę, wyszedł z radością w sercu, ciesząc się, że wkrótce z wież swego zamku upokorzy nieprzyjaciół i niecierpianemu Mieczysławowi śmiercią się odpłaci.

Tymczasem wrzawa i największe powstało zamieszanie. Jedni drugich wyzywali. Krzyki nie ustawały, choć już Wszebor i Sieciech prosili o uspokojenie się burzliwej szlachty. Już nawet dawał się słyszeć szcęk orężów, uderzonych o siebie. Dopiero teraz król Władysław puścił rękę synowca, który natychmiast, roztrącając otaczających, wybiegł z sali i bez zbroi i szyszaka, z mieczem dobytym rzucił się w pogoń za Zbigniewem. Ale Wszebor poszedł za nim i zatrzymał zapal młodzieńczy roztropną radą.

— Książę, gdzie lecisz bez pancerza i hełmu? Zbigniew już zapewne bezpieczny w swoich murach.

— Prawda! — odparł Mieczysław. — Ach, gdyby nie mój stryj, gdyby nie to ściśnienie ręki konającego prawie brata mego ojca! Ach! ale za to dzisiaj jeszcze obłężemy jego zamek. Władysław da nam posiłki.

— Na własnego syna? — rzekł Wszebor. — Książę, znać, że nie masz jeszcze dzieci.

— To sam bez nikogo rozwałę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń, wydrę mu życie z piersi, wydrę z rąk jego Hannę.

— Ale nie bezemnie — odparł Wszebor. — Teraz już pewni jesteśmy. Dotąd nie chciałem się stać wojny domowej przyczyną, ale kiedy jedyna nadzieja w orężu... Ale wróćmy, mości książę, do króla!

Za wejściem do sali z trudnością im przyszło przecisnąć się przez tłumy rycerstwa. Setne błyszczały miecze i straszne groźby odbijały się o wklęsłe sklepienie.

Szlachta, przeczuwając wojnę, na dwie strony się już przedzieliła. Jedna Zbigniewa wielkość i czyny

w tłumnych głośli wrzaskach, druga z uniesieniem witała Wszebora i księcia Mieczysława. Najwięcej sędziwych, w bojach wyćwiczonych rycerzy ujmowało się za potomkiem Bolesława Śmiałego i, przypominając głośno dzielność i hojność walecznego ojca, najpochlebniejsze sypało pochwały synowi, kiedy znowu młodzież, lubiąca łupiestwa i gwałty, wynosiła pod niebiosa Zbigniewa i bohaterskie jego męstwo. Z trudnością Sieciech, wojewoda krakowski, mógł podnieść głos wśród tej wrzawy, a dopiero kiedy biskup Stefan zabrał się do mówienia, ucichło zgromadzenie, opadły uzbrojone ręce i schylone głowy dowiodły uszanowania dla poważnego sługi Boga.

— Chrześcijanie i Polacy, czyż tak dowodzicie uszanowania dla monarchy, zesłanego od niebios? Widzicie go zbladłym, osłabionym na siłach, a ten widok stroskanego ojca przestępstwami syna nie wzrusza ztwardziałych serc waszych. Przestańcie nieprzystojnych krzyków i w milczeniu posłuchajcie woli królewskiej, bo władza królów daną im jest od Boga, a obrażając władzę najwyższą na ziemi, obrażacie tem samem władzę najwyższą w niebie! Uciszcie się więc, schowajcie oręż, bo nie powinniście ich wydobywać, jak za rozkazem panującego wam króla lub świętego Kościoła!

Te słowa wróciły spokojność i milczenie, głuche milczenie, podobne do cichości niebios przed burzą i rykiem pioruna. Wtenczas odwrócił się Stefan i zbliżył do króla:

— Dokończ — rzekł — zaczętego dzieła i dopełnij świętego przyrzeczenia! Wszebor z Ciechanowa wzywa

cię przemiesznie, byś rozkazał wojewodzie krakowskiemu, jakieś to dawniej, miłościwy królu, obiecał, dać mu pomoc w zbrojnych ludziach i rynsztunkach wojennych.

Władysław słabym odpowiedział głosem:

— Róbcie, co chcecie; bierzcie, oddawajcie, walczcie, zawierajcie pokój, ale nie zmuszajcie ojca, by powstawał na kości swoich kości i wnętrzności swoich wnętrzności!

— Królu! — zawołał nieubłagany biskup — przed sprawiedliwością ojca narodu polskiego znika syn własny, a zostaje się zbrodniarz. Nie odrzucaj zesłanego kielicha goryczy! Znieś, jak na chrześcijanina przystoi, smutek za karę grzechów swoich! Spełń obowiązek monarchy, a za to zbawienie czeka cię w wieczności! A widząc, że Władysław Herman, niewzruszony, zabierał się do odejścia: — Zbawienie — dodał — lub wieczna zaguba: obieraj królu! Zaklinam cię na błogosławieństwo nieba i Kościoła, wyratuj duszę, dopóki czas jeszcze! Zbawienie lub piekło!

Te straszne wyrazy przeszły bojaźnią słabe serce Władysława, przywołał Sieciecha i zaledwie słyszalnymi wyrzekł wyrazy:

— Wojewodo, weź straż moją, wiesz co robić, wiesz, rozumiesz mnie; bo nie mogę wymówić tego straszego rozkazu! Nie zabijaj go, bo zginę!

— Miłościwy królu i panie mój — odparł wzruszony tym widokiem Sieciech — nic mnie nie przymusi do walczenia z twoim synem, dopóki nie wyrzeczysz rozkazu; gotów jestem go nawet bronić, jeśli żądasz.

— Ciszej dodał: — Książę Mieczysław dziś jeszcze legnie pod moimi ciosy!

— Nie, nie chcę — zawołał przerażony monarcha, — rób, co ci biskup rozkaże!

— Czym u ciebie, miłościwy królu i panie mój — odparł Sieciech — czy u biskupa wojewodą krakowskim?

— Sieciechu — zawołał głos cichy — wyznacz godzinę i miejsce, a dzisiaj jeszcze spotkam się z tobą, jeśli zechcesz połączyć się z Wszeborem i dać mi słowo, że, jeśli zginę, nie złożysz oręża, dopóki Hanny nie uwolnisz, bo jej szczęście nad własne życie zakładam.

Odwrócił się wojewoda i ujrzał za sobą Mieczysława. Szlachetność księcia wzruszyła serce Sieciecha, który, choć dumny bez granic, umiał jednak cenić piękne uczucia i bohaterskie poświęcenie się.

— Temi słowy — odparł — zmieniłeś mnie, książę, zupełnie. Odtąd twoim jestem przyjacielem. Pójdę z tobą dobywać zamku śmiałego Zbigniewa. Ale nie sądzę, bym to czynił dla ślepego posłuszeństwa, bo nikogo niema na świecie, któryby przymusił Sieciecha do wydobywania miecza, kiedy go chce mieć w pochwie, lub do schowania, kiedy go chce mieć dobytym, bo chwilę przedtem mówiłem królowi, że gotów zamordować ciebie! Ale czynię to z własnej woli, uwielbiając szlachetność i wspaniałość twego serca.

Odpowiedział na te słowa Mieczysław ściśnięciem ręki Sieciecha.

— Zbawienie lub piekło! powtarzam raz jeszcze i ostatni! — zawołał przekonany Stefan, że jest jego

obowiązkiem czuwać nad wykonaniem surowej sprawiedliwości.

Usłyszawszy tę groźbę, powstał król z trudnością:

— Sieciechu! — zawołał — rozkazujemy ci pomagać we wszystkim Wszeborowi z Ciechanowa. Pano-
wie, tu zwołani, wierni nasi poddani, tu zgromadzeni,
skończyły się nasze obrady.

— Synowcze! — dodał, znów opadając na siłach —
oszczędzaj Zbigniewa, przysięgnij, że...

— Przysięgam, że go zdradą nie zabiję, królu i pa-
nie mój! — przerwał syn Bolesława Śmiałego.

— Więcej żądać nie mogę, niepodobna! — rzekł
król konającym głosem. — Ojciec niebieski, daruj Zbi-
gniewowi, daj mu długie życie dla upamiętania się
i odpokutowania za grzechy! Boże, widziałeś moje
poświęcenie dla Ciebie! Nie karz nieszczęśliwego zgo-
nem syna!

ROZDZIAŁ VII.

Bezpieczni tarczą hasła: »Zginę lub zwyciężę«,

Na żelazie oparci spoczywają męże.

Noc cichość na uśpioną rozlała naturę,

Mnie tylko sen wspomnienie przerywa ponure.

Tymowski: Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii.

Przywilejem, pisarzom powieści właściwym, musimy
znów zmienić scenę naszych działań i z sali naradnej
przenieść się do zamku Zbigniewa, który teraz wcale
inny wystawiał widok od tego, w którym go pierwszy
raz przedstawiliśmy czytelnikom naszym; napełniały

go bowiem hufce zbrojne, składające straż i wojsko
Zbigniewa, które ściągnął z rozmaitych swoich zamków
i włości. Gotowy zawsze do napaści lub odporu, cią-
gle utrzymywał po swoich dobrach żołnierzy, poświę-
conych sobie. Męstwo dzikie, najczęściej przechodzące
w okrucieństwo, i przywiązanie do wodza jedynymi
ich przymiotami były. Zresztą chęć grabieży i łupie-
stwa wszystkie u nich tamowała uczucia. Zbrodnia
jakakolwiek dla takich ludzi małą była rzeczą, pożary
i mordy najpiękniejszym widokiem, a przyszłe nie-
szczęścia i klęski najmilszą nadzieją. Umiał ich trzy-
mać w porządku Zbigniew i do woli mógł rozpuszczać
lub skracać ich namiętności.

Tak wielkiej nad nimi nabył przewagi, że na głos
jego drżeli, że na skinienie ręki uciszali tłumne gwary
i, z uszanowaniem słuchając woli księcia, schylali
głowy, które wkrótce wśród bojów podnieść mieli.
Przy pomocy Mestwina urządzał ich teraz Zbigniew,
rozstawiał po murach i wieżach. Każdemu obiecywał
nagrodę, zachęcał do waleczności i groził karą w przy-
padku nieposłuszeństwa. Wszyscy, należycie uzbrojeni
w pałasze, łuki, tarcze i topory, z jednakowymi szy-
szakami i pancerzami, stanęli na swoich miejscach
niewzruszeni, czekając chwili, w której zabrzmi trąba,
wzywająca ich do walki, a w każdego oku znać było
pragnienie krwi i mordów.

Gierda, już nam znajomy, wielkie miał między ni-
mi znaczenie i największą łaskę u księcia, bo serce
jego nigdy nie zadrżało przed nikim, bo ręka jego
nigdy się jeszcze nie cofnęła, kiedy szło o wykonanie
zabójstwa. Przechadzał się teraz szerokim krokiem

po murze i patrzył na nadciągające wojsko nieprzyjaciół.

Długim snuły się rzędem bitne Sieciecha szeregi, z pośród których wznosiła się chorągiew królewska. Dalej Wszebor z swoimi postępował ludźmi, a obok niego na białym koniu, w błyszczącej zbroi odbitymi słońca zachodzącego promieniami jechał książę Mieczysław. W mgnieniu oka podnosiły się na polu namioty dla żołnierzy i wodzów. Obszerna bowiem równina otaczała z jednej strony zamek Zbigniewa, z drugiej płynęła Wisła. Kilka chat, rozsypanych po polu, należało jeszcze do Płocka, którego najludniejsze ulice otaczały zamek królewski i katedralny kościół, znacznie oddalony od zamku, ku którego oblężeniu zabierały się teraz liczne nieprzyjaciół rotty. Na samym końcu przybył Skarbimir z Gulczewa z niewielkim orszakiem, dowodzącym uzbrojeniem i ubiorem skąpstwo pana, wielu bowiem z jego ludzi nie miało nawet pancerzy, a jeden tylko Bardan nosił stalowy szyszak, wszyscy inni skórzane mieli czapki. Skarbimir nie myślał sam dowodzić swoim ludziom, bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była do oręża, kazał jednak wystawić swój namiot przy namiotach Wszebora, Sieciecha i księcia Mieczysława.

Tymczasem Zbigniew, ukończywszy swoje rozporządzenia i przewidując, że dopiero nazajutrz rozpocznie się walka, wyszedł na wysoką wieżę, z której w milczeniu poglądał na obóz, rozwijający się przed oczyma. Pod jego stopami wszystko już ucichło, rozstawieni po basztach żołnierze z bronią w ręku czekali spokojnie na hasła do bitwy, tylko czasami sły-

szano turkot wozów, obładowanych żywnością, które przez Mestwina sprowadzone z miasta, gromadziły się przed śpichrzem i piwnicami księcia, ale wkrótce i ten łoskot się uciszył.

Namioty zaczynały już mieszać się w zmroku, chorągwie i znaki, na nich zatknięte, w różnobarwnych powiewały fałdach; nad wszystkimi wznosił się sztandar Mieczysława z książęcą koroną, niżej trochę widziano znany Topór¹ Sieciecha. Krzyki i gwar żołnierzy, niesiony na skrzydłach zrywającej się burzy, dochodził do uszu Zbigniewa, jak gdyby wyzwanie do boju. Co chwila przesuwwały się na równinie trudne już do rozeznania to męże, to konie; tam błyszczała kopia przy obozowym ognisku, tu znów stalowa migiała się tarcza. Wodzowie dawali rozkazy do jutrzejszej walki i powoli jeden za drugim do swego wchodził namiotu, a podczas tego giermkowie, siedząc na murawie, czyścili przy ogniu zbroje i oręż swoich panów. Można było uważać, jak stopniowo strudzeni, schylając głowy na piersi, z początku chcieli walczyć ze snem, na powiekach ciężącym, po chwili znów zabierali się do pracy; ale zwolna z ich ręki wypadał świetny hełm lub ciężki pałasz, patrzeli jeszcze przez jakiś czas niewzruszeni na broń leżącą, a potem, sami przy niej rozciągnięci na ziemi, zapominali o bojach i powinności; niektórzy jednak, nie opuszczając swojej roboty, układali w porządku rycerzy swoich zbroje. Przy końcu zaś obozu, przy każdym wodza namiocie stały czujne czaty, a krzyk przeciągły,

¹ Topór — herb Sieciecha.

którym dowodzili pilności, jeden już teraz przerywał milczenie.

Ten krzyk mięszął się do świstu coraz bardziej wzrastającego wichru. Czarne chmury pozazdrościły ziemi srebrzystego światła księżyca i zasępiły niebo. Smutna i zbrodni sprzyjająca ciemność pochłonęła cały obóz. Gasnące tylko ogniska, czasem za przelatującym wiatrem, znów w czerwonych płomieniach wzbijały się w górę, oświecając pobliskie namioty; ale wkrótce już konające ostatnim promieniem żegnały się ze zbrojami, leżącymi naokoło, i krwawem je oblewały światłem, jak gdyby przepowiednią mordów i rzezi, nastąpić mających.

Poglądał na to Zbigniew z spokojnem sercem, bo, zaufany w własne męstwo i dzielność nieraz doświadczonych towarzyszy, żadnego nie obawiał się niebezpieczeństwa. Ale kiedy wspomniął na ojca, srogie uczuł boleści; przekonał się bowiem, o ile Władysław go kochał. Myśl, że może w tej chwili w srogiej niespokojności gorzkie łyżę leje, rozrzewniła syna i księżę usiadł na szerokim kamieniu, pogrążony w zadumaniu i smutku. Dosyć długo pozostał niewzruszony, sam z swojemi myślami. A tymczasem burza wzmagala się coraz więcej.

Wiatr, dotąd czasami tylko wiejący, przybrał siły i, wznosząc się ponad dumne wieże, wirem swoim porwał liście i kurzawę. Ogromne chmury, na jego skrzydłach przyniesione, z hukiem ścierać się zaczęły, a blade błyskawice chwilowo ziemię oświecały. To wzburzenie przyrodzenia, ten zamęt zgadzał się z bu-

rzą serca Zbigniewa. Z pewnym rodzajem uniesienia i przyjemności przypatrywał się temu obrazowi.

Ciemność go otaczająca, świsty wiatru, przedzierającego się przez puste zamku korytarze, huk odległego piorunu przejmowały jego duszę to smutkiem, to wzniosłym zapalem. Wyobrażał sobie, że sam na tej ziemi walczy z siłami natury i nie ulega ich zapędowi, wszystko przewyciężającym.

Z okiem, w niebo wlepionem, z założonemi na pierśiach rękoma uragał się z usiłowań wichru, wstrząsającego murami, na których dumnie, jak gdyby pan przyrodzenia, przypatrywał się jego niemocy. Śmiało myślał, wyzywał wszystkie świata siły i, gdyby w tej chwili ozwała się trąba anioła ostatniego sądu, zapewnieby jego serce nie zadrżało. Ale nareszcie słodsze uczucia zstąpiły w jego duszę, miłość potężnym ozwała się głosem, a obraz Hanny, której nie odwiedził jeszcze od swego powrotu, całkiem mu umysł zajął. Obrócił się więc, chcąc iść do ukochanej żony, ale wtem ujrzał stojącego za sobą męża wysokiej postawy; nie mógł go z początku rozeznąć i silnie zapytał się:

— Kto jesteś? czego chcesz?

— Dziwno, żeś mnie nie poznał, mości księżę! — odparł Mestwin ze zwyczajnym uśmiechem. — Głębokość musiał dumać, kiedyś o kilka kroków nie mógł rozeznąć przyjaciela.

— Prawda, że głęboko dumał i nie myślałem, że przyjdiesz śledzić moje kroki i najskrytsze duszy uczucia.

— Im to częściej czynię — odparł rycerz niemiecki

— tem lepiej uczyć się poznawać ludzi, a trzeba mi ich znać, trzeba mi umieć odkrywać najmniejsze wzruszenia i serca zakątki, żeby wiedzieć, komu rękę mam podać, a kogo odrzucić; ale pomimo nabytego w tem doświadczenia darmo starałem się domyślić przyczyny, która przynagliła ciebie do odkrycia ojcu i wszystkim tego, co najbardziej przed kilkoma dniami chciałeś mieć ukrytem.

— Kiedym cię przyjmował do służby mojej, nie pamiętam, rycerzu, żeby zaszła jaka między nami ugoda odkrywania uczuć serca. Tyś tylko przyobiegał mi być wiernym i dopomagać orężem i radą, ja zaś łask ci moich i względów nie odmówiłem.

— Zapewnie, dobrą masz pamięć, panie — odparł urażony Mestwin — ale nie przypominam sobie, żebyś się obowiązał na twoje skinienie porywać dziewice, zabijać rycerzy; miałem cię tylko w boju bronić, a w domu wypełniać nie zbrodnie, ale rozkazy, zgadzające się z chrześcijańskim sumieniem — a tu głośno się rozśmiał — nie wynajdować coraz nowsze zdrady, ale wiernie i cnotliwie rozrządzać twoją strażą i majątkiem.

— Za śmiało często nam odpowiadasz, rycerzu, a chociaż dobrze ci w pamięci stoją warunki naszej ugody, zdaje się, żeś zapomniał, z kim ją zawarłeś.

— Z tym — przerwał żywo Mestwin — któremu poświęciłem się z duszą i ciałem, dla którego naraziłem nieraz i sławę i życie, któremu dotąd wierny byłem, jak przyjaciel przyjacielowi, z tym, który zawsze wspomina o swoich zaszczytach, a nigdy o moich usługach, który sprowadza na siebie nieszczęścia,

nie słuchając dobrej rady, a potem gniewem odstręcza najprzywiązanego do siebie człowieka. Jeśli tak dalej będzie, łatwo mi przyjdzie osiodłać konia i opuścić zamek księcia Zbigniewa.

— Mestwinie! przebacz, drogi przyjacielu, bo teraz tyle ciosów ugodziło w moje serce!

— Mogłeś ich uniknąć....

— Nie chciałem i nie potrzebowałem ich unikać — odparł dumnie Zbigniew. — Z początku sądziłem, że Mieczysław i Wszebor po daremnej wyprawie uspokoją się, a wtenczas zacząłbym z ogłoszeniem mojego ślubu dogodniejszej pory; ale kiedy ujrzałem wszystkich oczy zwrócone na mnie, kiedy się przekonałem, że domysły, wkrótce w rzeczywistość mogące się zamienić, mnie za sprawcę tego czynu ogłaszały, postanowiłem, przyznając się do niego, upokorzyć nieprzyjaciół, którzyby za kilka dni powiedzieli, że ich się przeląkł, a wolałbym śmierć i wieczną zagubę od hańby. Ja, który tyle razy mieczem sobie drogę wśród wrogów torowałem, ja, który na trupach pośród rzezi z spokojną twarzą na zgon szlachetny czekałem, ja teraz, jak słabe dziecko, miałem przerażać się widokiem kilku panów radnych i zgrzybiałego biskupa! Daleki od tego, ogłosiłem, że porwał Hannę, o ślubie nie wspominałem i słowa, bo pierwiej chcę ich pobić i zwyciężyć i po ich ciałach zawieźć moją żonę do ojcowskiego zamku. Niech poznają szablę Zbigniewa, niech zadrzą nikczemnicy przed tym, na którego śmieli wznosić krzyki i obelżywe słowa! Tak osiągnąłem cel życzeń i przyspieszyłem szczęście moje. Nie przeciągiem czasu i trwożliwym zwlekaniem, ale

mieczem poniżę ich dumę, a depcąc po hardych karkach, pokażę światu i męstwo moje i wyższość moją. Takie powody nakłoniły mnie do nieroztropnego na pozór czynu. Ani słowa więcej, Mestwinie, bo nie cofniesz tego, co się stało, ani przekonasz Zbigniewa, że lepiej było w nędznym milczeniu i poniżającej spokojności tajnemi drogi pracować nad zwycięstwem, niż wśród szczęku broni i srogich bojów nabywać chwały, równać się sławą z dzielnymi naddziady. Cała moja nadzieja spoczywa w tej szabli, a jeśli jeszcze wyrok niebios nie padł na moją głowę, zabłyśnie ona i zdruzgoce wrogów. Zostaw mnie; idę do Hanny, po długich dnia tego trudach potrzeba mi szukać osłody w jej miłości!

— A ja tu się zostanę, bo mogę stąd śledzić wszystkie ich obroty; może dzisiaj w nocy zechcą nas napaść.

— Zaręczam ci, że nie, bo choć szalony Mieczysław, bitny Sieciech, roztropny Wszebor i hojny Skarbimir zaszczycają mnie swoją nienawiścią, nie sądzę, by chcieli w nocy tak ciemnej odważać się na niepewne spotkanie; możesz pójść do swojej komnaty.

— Nie, zostanę się tutaj; lubię czasem patrzeć na noc pochmurną i, słysząc ryk burzy, przyzwyczajam mój umysł do piekła, które podług świętej naszej wiary zapewne kiedyś prawo do mnie rościć będzie.

— Jeśli tak — rzekł Zbigniew — to nie przeszkadzam — i poszedł do żony.

Hanna z Ciechanowa przez cały dzień nie widziała męża, a jednak dowiedziała się przez Katarzynę, córkę Gierdy, która zwyczajnie dnie całe z nią przepędzała

i, starając się przerwać smutek pani, usłyszane powtarzała wieści, o wypadkach dnia tego. Wielu bowiem rycerzy, przytomnych na zgromadzeniu w sali tronowej, przybyło do zamku Zbigniewa i bronić go przysięgło; od nich więc słyszała Katarzyna wszystkie szczegóły i śpiesznie opowiedziała je Hannie, sądząc, że jej tym sposobem przyjemność uczyni, a w rzeczy samej pograżyło to córkę Wszebora w smutek najgłębszy. Gniew ojca, rozpacz Mieczysława, boje, mające się zacząć, niebezpieczeństwa, na które wystawił się Zbigniew, wszystko to razem stanęło jej na myśli, a w tem wszystkim jedyną tylko widziała przyczynę, to jest, siebie i zawsze siebie; ale kiedy Zbigniew, wróciwszy ze zgromadzenia, nie przyszedł ją zwyczajem swoim powitać, kiedy upłynęły liczne godziny, a mąż się nie ukazał, w najśrodszej męce martwa i zbladła, klęcząc w kaplicy, błagała niebios o przebaczenie winy i odwrócenie klęski. Katarzyna, widząc smutek pani, opowiadała wszystkie przygotowania do odporu, powtarzała słowa ojca i, znów wracając do zgromadzenia, mówiła, że księżę Zbigniew uniknął grożącej śmierci, stawiając nieugięte męstwo i niewzruszoną spokojność przeciw wściekłości wrogów; nareszcie zakończyła, dowodząc, że wszystko to jest rzetelną prawdą, słyszaną od kilku rycerzy, a osobliwie od Henryka, giermka księcia Mieczysława, z którym się widziała chwilą przed rozkazem, danym od Zbigniewa, zawarcia bramy zamkowej. Wśród takich rozmów i ciągłego oczekiwania przepędziła Hanna z Ciechanowa dzień cały, aż wieczór nie nadszedł; słyszała słabo do niej dochodzące krzyki żołnierzy,

słyszała oddalone kroki, raz zbliżające się, znów oddalające się od jej ukrytych komnat. Za każdym poruszeniem usłyszaniem biło jej serce żywiej, bo miała nadzieję, że to może Zbigniew przybywa, a choć tysiąc razy omylona, zawsze wpadała w błąd ten sam i nadzieję też samą.

Nareszcie, kiedy już noc ciemna zastąpiła jasność dnia świetnego i kiedy zabłyśła lampa wieczorna, poznała z daleka jeszcze Hanna kroki męża i, drżąc zarazem i uniesiona radością, poszła naprzeciw niemu i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. Przez chwilę zapomnieli o wszystkim i prawdziwe szczęście zstąpiło w ich serca i, choć tak krótko trwałe, nagrodziło za długie cierpienia i smutki.

— Zbigniewie, czyż prawda, com słyszała? Książę Mieczysław i mój ojciec oblegają ten zamek?

— I cóż z tego — odparł Zbigniew — kiedy czuwam nad tobą i tysiąc wiernych mi mieczy tych murów bronią!

— Ale, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora...

— Tyś żona Zbigniewa — przerwał książę z zapałem — a przed tem imieniem wszystko upada i nieknie; przysiągłem ci wiarę, dochowam ją do grobu i dla ciebie teraz będę walczył i zwyciężał.

— Ale, Zbigniewie, jakąż chęć ich uniosła, jakiz dziki zapał, że, dowiedziawszy się z twoich ust, żeś mnie pojął za żonę, chcą mnie wyrwać z rąk męża? Czyż nie wierzą twojemu słowu?

— Któż ci mówił, że wiedzą, żeś moją żoną? Nie, Zbigniew nie myślał usprawiedliwiać się przed nimi,

niegodnem to jego było. Nie zebrząc przebaczenia, ale nakładając warunki, zwycięstwem nauczę ich mojej woli, pokażę, com uczynił; kiedy u nóg moich schyleni prosić będą o pokój, wezmę cię za rękę i całej Polsce ukażę. Ale przedtem nikt się nie dowie, że Hanna z Ciechanowa zawarła ze mną małżeńskie śluby. Niech się wysilają, niech padają pod wieżami mego zamku, a kiedy, z potężnego wojska w małą przemienieni garstkę, poznają własną słabość, wtenczas się dowiedzą, że próżne były ich zabiegi, że darmo poświęcali życie na wyrwanie z rąk moich uwiedzionej, jak mówią, dziewicy! Widzę już ich żal i rozpacz, patrzę już na ich zbladłe i posępne twarze. Poznacie, co to jest targnąć się na Zbigniewa!

Podczas tej mowy Hanna niewzruszona stała; z początku kilka łez spłynęło po anielskich licach, ale przy końcu nabrała więcej siły i rzekła do męża:

— Niech wola Boża dzieje się na ziemi, odbieram karę grzechów i nieposłuszeństwa! Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił; kiedy jednym słowem mógł swoją i żony sławę ocalić, wolał, uwiedziony widokiem niepewnej i niegodnej chrześcijanina zemsty, pokryć żalobą i goryczą życie swojej Hanny. Ale przebaczam ci, Zbigniewie — dodała głosem rozrzewnienia, a w jej oczach ogień niebieski zajaśniał — przebaczam ci i korzę się przed wolą Boga!

Zmarszczył brwi książę i pozostał niewzruszony na miejscu. Ale po chwili rzekła Hanna:

— Choć niesława jest najgorszą życia trucizną, zniosłabym ją dla ciebie, gdyby mój ojciec nie myślał,

że jego córka mogła opuścić cnotę i zostać kochanką księcia Zbigniewa.

— Moja miła — zawołał Zbigniew z nadzwyczajnym zapalem — wszystkobyś poświęciła dla mnie; znam twoją miłość, wiem, że, gdybym był chciał, zapomniabyś o ojcu, rzucając się w objęcia miłości. Nie zapieraj się, Hanno: wszystkobyś uczyniła dla Zbigniewa. Oddawna poznałem, że moje słowa, że twarz moja pociąg mają zwodniczy; ileż to dziewic nadobnych cnotę dla mnie porzuciło, ileż to razy jednym słowem, jednym spojrzeniem pokonałem wyrzuty sumienia i przyciągnąłem niewinność na bijące me serce! Tak, Hanno, łatwoby mi przyszło uwieść ciebie i twą cnotę w zbrodnią zamienić; a teraz śmiej mi jeszcze wyrzucać, żem cię zhańbił, zniesławił, kiedy, mogąc cię rzucić w przepaść, a sam zostać się u brzegu, wołałem losy nasze połączyć! Kiedym tyle dla ciebie uczynił, możesz pozwolić, byś, przez kilka dni pograżona w ciemności, wyszła z niej świetniejszą, otoczona sławą męża. Hanno droga, Hanno! wyrzuty twoje niesprawiedliwymi były.

— Nie chcę już ich wspominać, Zbigniewie — odparła. — Wyznam ci szczerze, że dziwnymi dowodami nie przekonałeś mego rozumu, ale jedno twoje słowo już uspokoiło me serce, a choć ojciec może teraz córkę przeklina, ona, dochowując przysięgi, ciebie wiecznie kochać, tobie się poświęcać będzie.

— Porzuć więc smutki, żono moja, rozjaśnij czoło, przeznaczone do radości, wstrzymaj łzy, któreby nigdy z twoich oczu płynąć nie powinny! Wkrótce piękniejsze zabłyszczą nam chwile, chwała moim stanie

się udziałem, a wśród całej Lechii jeden tylko bohater wzniesie swoją głowę nad zgromionymi wrogami.

ROZDZIAŁ VIII.

Już w czystych blonach tej nowej Farsali
Stały szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawej stali
Zadawać ciosy morderskie.

Śpiewy Historyczne.

Za pierwszym ukazaniem się wschodzącego słońca na niebie, złotemi obsypanem chmurami, dał się słyszeć głos księcia Mieczysława, zwołujący do broni wiernych towarzyszków. W jaśniejącej zbroi obiegał na koniu hufce zbrojnych; zachęcając wszystkich i nagląc z całym zapalem młodego wieku i wrzących namiętności, przyspieszał uzbrojenie żołnierzy i dawał rozkazy. To z Sieciechem, to z Wszeborem rozmawiał.

— Do broni, Bardanie — krzyknął, widząc ociągającego się zastępcę Skarbimira — do broni! Jeśli twój pan niezdatny do bitwy, ty przynajmniej popraw jego sławę! Wojewodo krakowski, każ swoim ludziom się uszykować! Wszeborze, panie Ciechanowa, niech kilku twoich żołnierzy przysposobi drabiny do murów, bo, na Boga, zdobędziemy jego zamek, odbierzemy Hannę! Bardanie, cóż to się znaczy? czy twoi żołnierze zwyczajni walczyć w czapkach? czyż ich głowy tak twarde, że zdolne stal i żelazo zastąpić?

— Najjaśniejszy książę — odparł Bardan — pan

nasz, Skarbimir z Gulczewa, dowódcą mnie mianował, mówiąc: »Słuchaj, Bardanie, jeśli dobrze się sprawisz, to ci nową dam zbroję, choć taki jestem ubogi, bo mi Pan Bóg odmówił dostatków!«

— Dajże pokój! — przerwał Mieczysław. — Ale nim pan twój da ci nową zbroję, możesz tysiąc razy zginąć w tym dziurawym pancerzu i pogiętym szyszaku. Pójdź do mojego giermka Henryka; da ci całkowitą zbroję, pamiętaj tylko odważnie się potykać!

Schylił się prawie do ziemi Bardan, dziękując księciu. Mieczysław go opuścił i wrócił do Sieciecha, szykującego swoich ludzi z Wszeborem.

— Zwycięzimy, panie wojewodo — zawołał — bo Bóg zawsze dobrej błogosławi sprawie. Coś mi powiada w głębi duszy, że jeszcze dzisiaj ten zamek przed nami bramy otworzy.

— Wątpię o tem — odpowiedział Sieciech, głaszcząc sobie brodę — bo choć Zbigniew jest zdrajcą, mordercą, słowem zbrodniarzem, nie słabe serce bije mu pod zbroją, a potem ta brama wytrzyma mnogie razy, te mury oprą się taranom. Tylu zbrojnych stoi po wałach i basztach, a w każdego ręku łuk spostrzegam i sędzę, że każdego oko niemylnie wysła ciosy. Mestwin także zna się na sztuce wojennej, a nade wszystko nasz główny nieprzyjaciół, księżę Zbigniew, dzielnie walczył w licznych potyczkach. Nie jedno on już widział oblężenie, nieraz już i bronił i dobywał zamków. Niechże więc próżna cię nie łudzi nadzieja! Dzisiaj, ani jutro, ani w tym tygodniu nie zdobędziemy tej warowni; jednak spodziewam się, że z przeciągiem czasu, za pomocą wytrwałości i męstwa, do-

staniami się do tych dumnych wież i przełamiemy te wysokie mury.

— Wszystkiego dokazać można z szablą w ręku — przerwał z żywością Mieczysław.

— Prawda, że wszystkiego — odpowiedział wojewoda — dlatego też Zbigniew nie tak prędko się nam podda. Zapewnie, Wszeborze, jednego ze mną jesteś zdania?

— Boli mnie — rzekł, podnosząc głowę, Wszebor głosem głębokiego smutku — że dla mojej córki tylu synów jednej ojczyzny walczyć będzie, że tylu poczciwych ludzi krew popłynie. Dopóki mogłem, starałem się uniknąć wojny domowej; ale świadczę się Bogiem, że okoliczności zmusiły mnie do wzniesienia oręża na syna mego króla, do przynaglenia mego monarchy, żeby, oddając mi sprawiedliwość, najświętsze, najmiłsze wyrugował z serca uczucia. Nie możecie pojąć, jak to mnie martwi. Spędziwszy długie lata w usłudze ojczyzny, nauczyłem się walczyć z Rusinem, to z dzikim Prusakim, to z nieuległym Czechem, ale trudno mi teraz przychodzi, osłabłemu i styranemu pracą i wiekiem, dobywać miecza na Polaków i braci. Wolałbym upadek domu mego, zniszczenie majątków, śmierć samą. Ale córki opuścić nie mogę, sława jej droższą mi jest nad wszystko. Trzeba się potykać z nimi, ale matki i siostry moich przeciwników na moim grobie łzy nie uронią, owszem, będą miały prawo powiedzieć: »On zabił swoich braci«.

— Nie troszcz się o to, panie Ciechanowa! — krzyknął Sieciech. — Owszem, lepiej, kiedy czasem woj-

sko sobie wojnę przypomni, bo w ciągłej spokojności drętwieje i staje się podobnem do sokoła, któremu strzelec za długo oczy kapturem zakrywa. Wierz mnie, takie cząstkowe walki przynoszą pewną korzyść dla kraju; żołnierze, szlachta, rycerze, nawykają do miecza i sposobniejszymi się stają do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół, a potem szczerze ci wyznam, żem niezmiernie rad tej wojnie, czyli raczej temu oblężeniu, bo już moi ludzie gnuśnieć zaczęli. Teraz mają co robić i daj Boże ci za to zdrowie, panie Ciechanowa! — dodał Sieciech z uśmiechem, ściskając rękę smutnego starca. — Jaroszu z Kalinowy! — po chwili zawołał na człowieka wysokiego wzrostu i twarzy, napiętnowanej szczerości wyrazem, stojącego przed szeregi — kiedy zaczniemy oblężenie, pamiętaj zawsze i ciągle ich napadać z lewej strony, blisko kaplicy przy brzegu Wisły, bo tam najsłabsza ich strona; spraw się dobrze, nie zważając na nic, z szablą w ręku naprzód się posuwaj, za tobą pójdą inni, a zawsze wołajcie: »Król, Mieczysław i Wszebor!« — jeśli zaś czasem moje będziesz mógł wsunąć imię, krzyknij i »Sieciech!«

— Na Boga, wodzu mój — odparł Jarosz — będę całemi pierściami krzychał i całemi siłami rąbał pałaszem! Ale wołałbym na otwartem potykać się polu, bo w tych przeklętych murach nie można dostrzedz wroga. Świśnie strzała z ręki ukrytej za kamieniem, i już po człowieku; najlepiej, kiedy widzę przeciwnika: przez chwilę oko w oko spozieramy na siebie, a potem do oręża! Tak to najlepiej, ale te baszty, niech je Pan Bóg piorunem zrzuci! Wypełnię zresztą

twoje rozkazy i zobaczę, ile tych sów, na nas z poza murów patrzących, dziś pošlę na cmętarz.

— Prawda — rzekł po chwili, jak gdyby zamyślony, Sieciech — prawda, nie myślą wyjść na pole; niewzruszeni stoją, zakryci warowniami, głowy im tylko wystają. W każdej strzelnicy dostrzegam łuk napięty i strzałę. Książę Mieczysławie, ginąć będziemy pod ich ciosami, kiedy tymczasem oni bezpieczni w żart nasze usiłowania obróć. Na Boga! sądziłem, że za naszym zbliżeniem się nie wytrzyma Zbigniew, że wypadnie na pole zetrzeć się z nami, ale ten szatan niemiecki musiał tak roztropnie obronę urządzić. Wszeborze! książę! trzeba nam szyk zmienić! Ale co widzę? Zbliża się do nas Skarbimir, bogaty i hojny właściciel Gulczewa. Zobaczycie, jak z niego zażartuję! Wszeborze, trzeba cię trochę pocieszyć; książę, nic lepszego przed bitwą nad żarty i śmiechy!

Po tych słowach zbliżył się do starego skąpca i tak silnie ścisnął go za rękę, że wyraz boleści skrzywił usta Skarbimira.

— Najbogatszy z Polaków, najhojniejszy z panów, mam nadzieję, że nam dasz dzisiaj waleczności dowody. Dobrześ obeznany z kopią i mieczem, z sztyłem i toporem, jak to głoszą wszystkie narody, z którymiś kiedykolwiek walczył, a choć lubisz trochę rabunek i zdobycz, zawsze ci to przepuszczają przez wzgląd na nieugięte męstwo. Dzisiaj spodziewamy się, że dopomożesz nam dzielnie; cała nadzieja nasza jest w twoich skarbach i w twojej prawicy.

Poznał chytry Skarbimir zamiar wojownika, a oczy jego zaiskrzyły się wściekłością; bojaźń wkrótce po-

tem jej miejsce zajęła, kiedy o skarbach swoich usłyszał, a wreszcie przytłumił gniew wewnętrzny i ze zwykłą uniżonością odpowiedział:

— Jakżebym chciał, żeby twoje słowa prawdą były, potężny wojewodo krakowski! Zapewniebym wtenczas wszystkie dostatki poświęcił tak świętej sprawie; ale na nieszczęście, a może i na szczęście, bo często bogactwa cnotę w zapomnienie podają, ubogi jestem, najuboższy ze wszystkich panów, a nabierane pieniądze z łaski boskiej obracam na kościoły i ubogich, odmawiam sobie wszystkiego dla dawania jałmużny. Co tylko mogłem uczynić, już dla was uczyniłem; ludzi moich tu przywiodłem, sam się stawiłem, choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomódz własną osobą. Wiek i choroby wyniszczyły ostatek sił w moim ciele.

— Ale gdzież tam, Skarbimirze — przerwał mu Sieciech — wyglądasz na młodego rycerza. Przy moim boku dzisiaj się bić będziesz; zobaczymy, kto z nas dzielniejszy, choć zawsze gotów jestem ustępować przed wślawionymi, a do tego skromnymi bohaterami. Więc zgoda, będziesz, panie Gulczewa, dziś walczyć przy mnie?

Nie mógł odmówić przerażony Skarbimir bez wystawienia się na największą hańbę. Z ściśnionem więc sercem, z bladeścią na licach, przystał na żądanie wojewody, obiecując mu za to w duszy skrytą i nieubłaganą zemstę.

— Zdaje mi się — zawołał Mieczysław, litując się nad starcem — że nie można tego wymagać od podskarbnika mego stryja i króla, kiedy chory, osłabły, znużony...

— Choćby z łoża śmierci — krzyknął Sieciech — prawy rycerz powstać powinien, kiedy go król lub przyjaciele wzywają! Więc naprzód, Skarbimirze, dzielnie się potykaj, bo jeśli mi zechcesz uciekać — dodał po cichu, schylając się do ucha człowieka, którym pogardzał — sam ci pierwszy tym toporem głowę rozwalę! Jaroszu, stawaj na czele swojego oddziału! Wszeborze, wypada ci się oddalić do swoich ludzi. Książę Mieczysław niech będzie łaskaw to samo uczynić! Pan Gulczewa i Kościelca i kościoła, tam wystawionego, z nami się zostanie!

— Ale jakież to hufiec do nas się zbliża od strony miasta? — zawołał Mieczysław, który sokolim wzrokiem dostrzegł z daleka na polu błyskanie stali i tuman kurzu.

— Może przyjaciele, może nieprzyjaciele — odpowiedział spokojnie Sieciech. — Na wszelki przypadek stójcie w pogotowiu żołnierze, dobądźcie mieczy z pochew, strzał z kołczanów! Zdaje mi się, że niewielki orszak. Niech mi tylko kto powie, kto to jest? — zawołał głośnie — czy nikt lepszych oczu nie ma od nas?

— Może król — rzekł Wszebor — przybywa przezywać boje.

— Do szatana z taką myślą! — krzyknął wojewoda. — Gdybym był tego pewny, natychmiast szturmowałbym rozpoczął.

— To biskup Stefan! — zawołał młodzieniec w lekkiej zbroi i świetnym hełmie.

— Mylisz się, Henryku — przerwał książę Mieczysław.

— Książę i panie mój, jakem wierny tobie, tak prawdą jest, że się biskup płocki do nas zbliża; widzę przed nim jadącego kapłana z krzyżem świętym, z tyłu zaś straż jego przyboczną. Powtarzam, że to biskup Stefan.

— Chwała niech będzie Tobie, o Boże! — rzekł Wszebor — może go natchnął, może przeszkodzi wojnie z Polakami!

— Żeby go Bóg był zabrał do chwały swojej — rzekł Sieciech do Jarosza — nim taka myśl wpadła mu do głowy!

Po kilku chwilach wszyscy się przekonali, że giermek księcia Mieczysława miał prawdę, bo za zbliżeniem się orszaku doskonale już można było rozeznąć sędziwego Stefana, jadącego na spokojnym koniu, księdza, niosącego przed nim krucyfiks, i rycerzy, za nim w świetnych zbrojach postępujących; bo było zwyczajem w tych wiekach duchownych osób wysokiego dostojenstwa, żeby trzymali przy sobie ludzi zbrojnych i rycerzy. Ten widok różne sprawił wrażenie na różnych umysłach. Mieczysław z niecierpliwością czekał przybycia leniwo jadącego biskupa, a nawet wyraz nieukontentowania malował się na jego twarzy; bo choć kochał ojczyznę i ze smutkiem patrzył na klęski, ją rozdzierające, pragnął nadewszystko walki i wyrwania z rąk wroga narzeczonej.

Sieciech, lubiący rozlew krwi i boje, zmarszczył brwi, domyślając się, że Stefan przychodzi z warunkami pokoju, bo uparty wojewoda i dumny z przyrodzenia nie cierpiał, by się kto mieszał w jego sprawy, przeszkadzał dokończeniu rozpoczętego dzieła, a wre-

ście sława, którą sobie obiecywał z pokonania Zbigniewa, droższą mu była nad wszystkie korzyści kraju i współobywateli. Wszebor, poświęcając własne potrzeby szczęściu ojczyzny, miał nadzieję, że biskup spór załagodzi, oddalając wojnę domową. Skarbimir cieszył się także, ale dla podlejszych powodów; myślał, że może potrafi uniknąć walki, w której miał przed sobą dwie równie przykre ostateczności: strzały żołnierzy Zbigniewa lub topór Sieciecha, gdyż wiedział, że wojewoda krakowski zwykł był podobnych dotrzymywać obietnic.

Tymczasem przybył Stefan i, zsiadłszy z konia, z przynależną powagą zbliżył się do wodzów, kiedy jego rycerze witali się ze znajomymi i przyjaciółmi.

— Przewielebny biskupie! — zabrał głos przed wszystkimi Sieciech — opuściłeś spokojne przybytki Pańskie dla przeniesienia się na pole, które wkrótce krew ludzka obleje; zapewne chcesz nam dać święte twoje błogosławieństwo przed bitwą?

— Jeśli do niej przyjdzie — odpowiedział sędziwy kapłan — nie omieszkać tego uczynić. Ale teraz posłuchajcie mnie uważnie!...

— Może chcesz nam zabronić sprawiedliwej zemsty? — przerwał Mieczysław, uniesiony obrazem uwięzionej Hanny. — Ale, choćby cię wszyscy usłuchali, jeden tu się zostanie i będę walczył, dopóki siebie lub wroga pod gruzami tego zamku nie zagrzebię.

— Synu Bolesława — rzekł Stefan — wstrzymaj gwałtowność, która twego ojca zgubiła, i posłuchaj słów człowieka, którego obowiązkiem jest przywracać pokój i dzikie łagodzić zapędy! Słuchajcie mnie wszy-

scy, bo wszystko, co wam ogłoszę, zgadza się z przepisami Boga, Kościoła i cnoty!

Po tych słowach zamilkł na chwilę Stefan i witął się z każdym wodzem.

— Czyby nie lepiej było pójść do jakiego namiotu, niż tu przed wszystkimi się wynurzać? — rzekł Skarbimir.

— Wszyscy mogą słyszeć moje słowa — odparł biskup — bo nic złego w nich się nie mieści; nacóż dla niewinnej narady udawać się do namiotu, kiedy jak najprędzej nam ją odbyć potrzeba? Alboż — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy pod szerokim namiotem, rękami Stwórcy rozciągnionym? A to świetne słońce czyż nie weselsze myśli pokoju i szczęścia w nasze wlewa serce od ciemnych mieszkań ludzi, w których często odbywa się zbrodnia i kryje się obłuda? Zaczynam więc moje przełożenia i proszę o uwagę. Wczoraj, kiedy szło o sprawiedliwość, zachęcałem króla, by ją wymierzył z całą uroczyością, jakiej wymagało zgromadzenie przedniejszych panów narodu. Stało się podług moich chęci i życzeń. Ale dzisiaj, widząc sposób oszczędzenia smutku i żalu do bre mu panu, przybyłem was prosić, byście mnie w swoim imieniu pozwolili udać się do Zbigniewa. Tam jako poseł i sługa boży na ziemi wystawię mu ciężką niemocą złożonego ojca, ciężką klęską zasmuconą ojczyznę; przełożę mu wasze żądania, aby oddał córkę Wszeborowi z Ciechanowa i przysiągł, że zachowała zupełną niewinność; bo mam nadzieję, że Bóg nie dozwolił, by syn naszego monarchy tak ciężką zbrodnią swoje sumienie obarczył. Ale nie myślcie — do-

dał, widząc zachmurzone czoło Mieczysława — bym przystał na warunki, sławie lub czci waszej ujmę przynieść mogące, bo znam powinność rycerza i Polaka! Może zmiękczę skamieniałe jego serce wyliczaniem popełnionych zbrodni i mam nadzieję, że tej ostatniej nie będzie chciał dodać do przeszłych. Wypełnię obowiązek, który sam na siebie wkładam, jak gdybym był waszym przyjacielem, obrońcą, powiernikiem, jak gdybym jutro miał składać przed Panem świata rachunek z moich czynności. Nie obawiam się śmierci, a jeśli odważy się podnieść rękę na mnie, z Stanisławem razem błagać będziemy w niebiosach Boga, by odwrócił nieszczęścia i klęski od naszej ojczyzny, od Polski. — To mówiąc, wznosił oczy w górę, ogień nadludzki, jak gdyby promień przyszłej nieśmiertelnej chwały, oświecił twarz, zmarszczkami okrytą, i zdawało się, że anioł pokoju zstąpił z nieba na uszczęśliwienie ziemi. — Skończyłem i sądzę, że będziecie woleli ukończyć tę sprawę, jak na cnotliwych ziomków przystoi, niż pluskać się w krwi współbraci, rozrywać przyjaźń bratnią, zapominać o uczuciach, w którychście wzrosli, i srożyć się na synów wspólnej matki.

Taką była powaga biskupa i tak powszechne dla niego uszanowanie, że nikt nie śmiał się jego słowom sprzeciwiać, chociaż Sieciech zawołał:

— Daremna praca!... Zbigniew nikogo nie usłucha!... — A Jarosz z Kalinowy dla przypodobania się wodzowi krzyknął: »Do broni, towarzysze! do broni!«

— I ja pójdę z tobą do zamku, szanowny kapła-

nie — ozwał się Mieczysław — w tej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą lub przebrany, wkradnę się do niej.

— Nie, młodzieńcze, poświęcam siebie dla was i ojczyzny, ale nie zezwolę na to, by książę Mieczysław narażał się na niebezpieczeństwa. Stefana inny biskup zastąpi, zgonu syna Bolesława nikt nie zastąpi, bo Zbigniew jest zbrodniarzem, a jego brat dzieckiem.

— Przeklęty starzec — pomyślał książę — i tej już nie mam nadziei! Wszystko ułoży, oddadzą Hannę, a Zbigniew przy życiu zostanie. Nie, na Boga, muszę się o niej czegoś dowiedzieć, muszę zabić wroga. Henryku! — zawołał.

— Pójdę do zamku — odparł młodzieniec, zgadujący pana swego chęci — dowiem się o Hannie z Ciechanowa, bo mam tam znajomych. Może zginę, a w tym przypadku po zdobyciu zamku każesz moje ciało pochować, jeśli go do Wisły nie wrzucą, i siostrze mojej powiedzieć, żem do ostatniej chwili wiernie i mężnie tobie służył.

Łza zabłysła w oku Mieczysława.

— Zostań się, dobry mój Henryku, zostań się!

— Na Boga, nie zostanę, książę i panie mój! — i to mówiąc, odbiegł księcia.

Tymczasem radzono, kogoby posłać przed bramę zamkową dla oznajmienia Zbigniewowi zamiaru Stefana.

— Nikt do tego zdatniejszym nie jest — rzekł Sieciech — od naszego szanownego Skarbimira, bo z rzadkiem męstwem umie łączyć rzadszą jeszcze roztropność.

— A więc, panie Gulczewa — ozwał się biskup —

polecamy ci oświadczyć stojącym nad bramą zamkową, że Stefan, biskup płocki, żąda posłuchania u księcia Zbigniewa.

Poszedł, chwając się na nogach, z bijącym od strachu sercem zmuszony Skarbimir, ale za każdym krokiem wzmagająca się bojaźń tak, że prawie bez duszy przybył do miejsca, dosyć jeszcze dalekiego od bramy. Tu stanął i, obtarłszy zimny pot, ciekący z czoła, ledwo mógł wymówić kilka słów, które nie doszły uszu stojących na straży nieprzyjaciół.

— Bliżej — zawołał Sieciech — bliżej przystąp, potężny władco Kościelca! Nie obawiaj się niczego, a potem nic to nie szkodzi, kiedy dla dobra ojczyzny strzała w sercu lub w mózgu utkwie!

— Niech cię piekło pochłonie! — rzekł słabo Skarbimir, słysząc dolatujące go jak piorun słowa Sieciecha. Zebrał ostatek sił, wsparł się na mieczu i postąpił dalej. Tu, jak najprędzej mógł, spełnił poselstwo, a nie czekając odpowiedzi, szybkim biegiem uciekł, jak gdyby wszystkie wojska nieprzyjaciół go ścigały, i wrócił do swoich.

— Jakaż więc odpowiedź? — krzyknął Sieciech napół żartobliwym, napół groźnym głosem.

— Jakaż odpowiedź? — zapytali wszyscy.

Ochłonął z bojaźni Skarbimir i wściekle pojrzał na otaczających.

— Możecie posłać — zawołał — jakiego giermka lub żołnierza po odpowiedź, bo pewno wam jej nie przyniesie Skarbimir, pan radny i podskarbnik królewski! Od jakiegoż to czasu wysyłają do bram nieprzyjacielskich ludzi, najwyższymi dostojestwami za-

szczyconych? Ale na ten raz zgoda. Skarbimir z Gulczewa poniósł wasze przełożenia; niechaj Sieciech, wojewoda krakowski, odpowiedź przyniesie!

— Jaroszu — przerwał Sieciech — idź po odpowiedź! Niezmierną chęć czuję rękojeścią pałasza ustamu przymknąć; biegnij, Jaroszu!

— Znowu klótnie, niesnaski! — ozwał się biskup i z smutną twarzą czekał na powrót posłańca, który odważnie, śpiewając piosnkę wojskową, szedł do warowni nieprzyjacielskich, a chcąc swemu wodzowi dogodzić zawstyżeniem Skarbimira, stanął o dwa kroki od ogromnego rowu, zamek opasującego. Wkrótce ukazał się nad bramą Mestwin i odpowiedział, że pan jego, książę Zbigniew, nie może przenieść na siebie odmówienia posłuchania biskupowi plockiemu.

— Jeden tylko mały warunek zastrzegamy — dodał rycerz niemiecki — żeby nikt oprócz Stefana nie wszedł do zamku, czynimy zaś to z obawy niepotrzebnych klótni przed walką, mającą się zacząć, a nie ze złych i zgubnych na osobę szanownego kapłana widoków.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi wzniosł ręce do nieba biskup i, klękawszy, gorącemi modły błagał Boga zastępów. Poszli za jego przykładem wszyscy przytomni, a kiedy Mieczysław z schyloną głową ku ziemi przemyślał nad ocaleniem Hanny, uczył rękę, lekko dotykającą się jego ramienia; odwróciwszy się, ujrzał przy sobie młodzieńca, uzbrojonego na wzór żołnierzy Zbigniewa.

— Skąd dostałeś tej zbroi? — zapytał książę.

— I ja mam Hannę w tych murach — odparł Henryk z nieznacznym uśmiechem. — Żegnam cię, panie.

Po tych słowach wniósł się do ludzi biskupa, którzy z spuszczonei dzidami, ze smutkiem na twarzy, odprowadzali pana, jak gdyby żadnej już na tej ziemi dla niego nie pozostało nadziei, bo znali wszyscy gwałtowność Zbigniewa, wiedzieli, jakich miał doradców, i trzeba było całej biskupa odwagi, wzmoconej wiarą i przekonaniem, że obowiązek wypełnienia, na ośmielenie się do kroku, mogącego najniebezpieczniejsze skutki ściągnąć na jego osobę. Henryk zaś, uniesiony, przywiązaniem ku Mieczysławowi, miłością ku Katarzynie, rzucał się na widoczną zgubę z tą nadzieją i ufnością, młodości właściwą, choć dobrze wiedział, że Zbigniew, jeśli go odkryją jako szpiega i gwałcącego warunki zawartej umowy, stracić rozkaże.

Za przybyciem Stefana do bramy spuszczone most zwodzony, a kilkunastu żołnierzy wystąpiło z zamku i, broniąc przystępu przeciwnej stronie, puściło tylko samego biskupa. Powstały wrzaski i groźby. Przez chwilę trwało zamieszanie, już nawet brano się do oręża, ale na skinienie Stefana opadły ręce, wzniezione na jego obronę. Nie stracił tymczasem z oczu Mieczysław młodego giermka i dostrzegł, jak, wniósłszy się zręcznie do ludzi Zbigniewa, wraz z Stefanem wszedł do zamku. Ale w tej chwili zawarto bramę i podniesiono na skrzypiących łańcuchach most szeroki, który oddzielił dwóch śmiałych ludzi od reszty przyjaciół i towarzyszy.

ROZDZIAŁ IX.

Nie oddam jej, przysięgam na ostrze tej stali.

Feliński, Barbara.

Dwa rzędy ludzi zbrojnych stało z obu stron dziedzińca, przez który przechodził biskup. Dzikie ich spojrzenia i srogie twarze wróżyły nieszczęścia. W rozmaitych ubiorach, z różnych stron i okolic ściągnięni, nie znali się jeszcze dobrze między sobą, bo Zbigniew z mnogich swoich zamków, po całej Polsce rozsypanych, zebrał żołnierzy do bronienia Hanny. Wszyscy jednak mieli jednostajne szyszaki i puklerze, a Henryk za pomocą zbroi, od Katarzyny udzielonej, podczas zgietku i wrzawy łatwo mógł się wsunąć pomiędzy orszak, odprowadzający Stefana do sali posłuchalnej księcia. Od nikogo niepoznany, szedł z odwagą w oczach i bez okazania powierzchownie najmniejszej trwogi. Odzywał się nawet do towarzyszy, rozśmieszał ich żartami i obiecywał, że zapewne kapłan, przez nich otoczony, nie wróci do obozu oblegających. Chwalił hojność Zbigniewa, a czasem cichszym głosem śpiewał dumki i piosnki, ale umilkł i zaczął się ukrywać, kiedy ujrzał Mestwina, przyjmującego biskupa u wniścia do gmachu, starając się, by przenikliwy wzrok Niemca nie spotkał jego twarzy, bo rycerz z Wilderthalu, jak wieść niosła, znał wszystkich Zbigniewa żołnierzy. Henryk nie pierwszy raz już był w zamku syna Hermana, bo dawniej często w nieprzytomności księcia przychodził tu odwiedzać Kata-

rynę, a oprowadzony przez nią po wszystkich zakątkach, miał nadzieję, że potrafi, przechodząc przez jaką ciemną galeryę, zostać się z tyłu, a potem udać się do pokojów Hanny lub Katarzyny, koło których, sądził, że nikogo nie spotka, gdyż wszyscy byli z nadto ciekawi rozmowy biskupa, by w inną podczas niej udawać się stronę. Nie wiedział zresztą, jakim sposobem uda mu się wyjść z zamku; ale kiedy ta myśl nagle się w nim obudziła, spojrzał mimowolnie na pałasz i nabrał odwagi młodzieńczej, odwagi nie mierzącej liczby wrogów, ale idącej na ciosy śmiertelne z nieustraszonem sercem.

— Szanowny kapłanie — rzekł Mestwin napół szydzącym, napół poważnym głosem — chodź ze mną, zawiodę cię do księcia mego i pana! Żołnierze, postępujcie za nami, żeby oddalić natrętnych, którzyby może chcieli ucałować nogi lub kraj szaty sługi bożego! Bo choć się to u nas, szanowny biskupie, nie często zdarza, jednak chcę ci jak najbardziej uprzyjemnić pobyt w tych miejscach i nie ścierpię, by kto przerywał twe pobożne myśli, a osobliwie w zdarzeniu, w którym ci dobrą ich i dobraną liczbę mieć w głowie potrzeba. Proszę za sobą!

— *Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem*¹ — zawołał mocnym biskup głosem i pewnym krokiem wszedł do sieni.

Zdaje się, że Mestwin miał upodobanie oprowadzać kapłana po ciemnych galeryach, ukrytych przejściach,

¹ W tłumaczeniu Wujka: »Po żmijej i po bazyliisku chodzić będziesz i podepczesz lwa i smoka«. (Psalm XC, 13).

krętych, raz w górę się wznoszących, znów w dół zstępujących schodach, aby przerazić jego duszę widokiem miejsc, do których nie dochodziły promienie słońca i gdzie łatwo było, daleko od wszelkich świadków, pozbyć się wroga lub niepotrzebnego gościa. Szli żołnierze z zapalonymi pochodniami i Henryk ciągle z zwyczajną śmiałością postępował z nimi, upatrując wszędzie jakiegoś przejścia, któremby mógł, oddzieliwszy się od nich, bezpiecznie dojść do celu swoich zabiegów. Przybyli nareszcie do małej komnaty, mającej kilka drzwi, od których rozchodziły się galerie na różne strony zamku.

Giermek Mieczysława nieznacznie się odsunął od towarzyszy i, stanąwszy w ciemnym kącie, miał nadzieję, że nie spostrzeżony sam się potrafi zostać w tem miejscu, a potem udać się do Katarzyny. Z początku Mestwin nie postrzegł tego; ale kiedy już miał wychodzić z komnaty, jak gdyby uderzony jakim domysłem, nagle porwał od żołnierza, z tyłu idącego, pochodnię i, obróciwszy się, wzniosł ją wszystkim ponad głowę. Henryk poznał niebezpieczeństwo i udając, że coś poprawia u szyszaka, z zimną krwią został na tem samem miejscu.

— Jak się zowiesz? — zawołał Mestwin — jakie hasło dzisiaj?

Nie mógł odpowiedzieć na to zapytanie młodzieniec, a gniew, że, już tak blizki dokonania przedsięwzięcia, widział się odkrytym, zawrzał w jego duszy i z zapalczywością odpowiedział:

— Śmierć tobie i twojemu panu, takie moje hasło!

— Stójcie wszyscy! Niech się żaden pod karą śmierci

z miejsca nie ruszy! Stój, biskupie płocki, stój, boś nas zdradził! — Zuchwalcze — dalej zawołał — próżne tu kłamstwa i wybiegi; skąd jesteś? jak się zowiesz? kto cię przysłał?

— Jestem twoim wrogiem, przybywam z obozu, ale nie tak blisko przystępuj, bo, na Boga, zginiesz z mojej ręki!

To mówiąc, dobył Henryk z prędkością błyskawicy szablę, rzucił się na Mestwina i przeważnie go orędem w piersi uderzył; ale jego żelazo na drobne się rozleciało kawałki, a zbroja przeciwnika nawet się nie zgięła.

Mestwin nie okazał żadnego znaku zmięszania; zmarszczył brwi naprzód, a potem głośno się rozśmiał:

— Lepszy mój pancerz norymberski od wszystkich waszych mieczy. Zwiążcie go i poprowadźcie za mną! Przedstawicie tego gościa naszemu panu i księciu! Nabójny biskupie, przybywasz ofiarować pokój, a za sobą morderców prowadzisz; ale prawda, wszystko wolno Kościołowi, matce naszej wspólnej. Ani słowa, milczenie, idźmy dalej!

Po przejściu kilku jeszcze pokojów i korytarzów, otwały się przed nimi drzwi ogromnej sali, w której zastali Zbigniewa, siedzącego na wzniesionem krześle. Kilku zbrojnych rycerzy go otaczało.

Za ukazaniem się biskupa skłonił głowę Zbigniew.

— Choć już wszystko gotowem jest do bitwy, szanowny Stefanie, jednakeśmy postanowili z uszanowaniem, winnem twojemu wiekowi i wysokiej godności, którą piastujesz w Kościele bożym, wysłuchać twoich

przełożeń lub rady i z niecierpliwością ich oznajmienia czekamy.

Wtem zbliżył się Mestwin do księcia i kilka słów rzekł mu do ucha. Czoło Zbigniewa pokryło się chmurą, oczy zaiskrzyły gniewem, ale po kilku chwilach bladeść zwyczajna spędziła z jego twarzy gwałtowny rumieniec.

— Po wysłuchaniu biskupa płockiego zajmujemy się tą sprawą — zawołał — a teraz go prosimy, aby niezwłocznie odkrył zamiary — a ten wyraz wyrzekł z przy-ciskiem — które go do nas sprowadziły.

— Zamiary moje — ozwał się biskup — są czyste i nieskażone. Ufny w potęgę Boga, który zamienił niegdyś twarde opoki w ciekące strugi i umie zmiękczać serca grzeszników, przychodzę tu ci wystawić, czego się po tobie spodziewa Polska cała i jej monarcha; przybywam prosić cię, byś, pamiętny na słowa Zbawiciela, przed którym staniesz w dniu sądu ostatniego, zaniechał zgubnych przedsięwzięć i wrócił na drogę cnoty. Otwiera się teraz przed tobą pole poświęceń i pokuty za długie gwałty i występki. Może Bóg dozwolił, byś przez długi czas zapomniiał o Nim, ażebyś z większą świetnością, porzuciwszy błędy, napowrót do Niego się udał. Książę, porwałś dziewicę, zasmuciłeś jej rodzinę, własnego ojca i króla zbliżyłeś swoim postępowaniem do grobu, opuściłeś i w niepamięci zagrzebałeś przepisy świętej religii. Głuchy na prośby niewinności, na głos doświadczenia, popełniłeś gwałty i morderstwa. Zakończ teraz nieprawne działania, skróć burzliwe chęci i stań się posłusznym Bogu, który do ciebie przez moje usta przemawia! Ojczyzna oczekuje wypadku dzisiejszej naszej roz-

mowy. Same niebiosy na nią uwagę zwracają, bo tu idzie o uratowanie duszy, zanadto długo pograżonej w ciemności i zapamiętałości. Nie urażaj się, książę, jeśli z taką do ciebie przemawiam śmiałością, bo nie ja, ale sam Bóg się do ciebie odzywa i poznajesz zapewne, że moje słowa są powtórzeniem tego, co ci bez wątpienia już oddawna wyrzuca sumienie! Przybywam więc ofiarować ci pokój i zgodę braterską, przybywam, natchniony miłością chrześcijańską. Zgromadzone wojska czekają hasła do boju — podzieleni Polacy gotowi są do rozlewu krwi bratniej. Wystąp więc, oddaj ojcu córkę, przysięgnij, że zachowała niewinność, przysięgnij, że odtąd Polska mieć w tobie będzie bohatera, nie zawziętego na własnych współobywateli, ale gotowego jej bronić własnymi piersiami, a tym sposobem pogodzisz się z Bogiem, z monarchą, z Kościołem i sumieniem! Późne wieki zapomną o błędach młodości, lub, jeśli jeszcze staną im w pamięci, będzie to lekka mgła tylko, za słaba na przyćmienie świetnych słońca promieni.

Tu zamilkł biskup i wpatrywał się w Zbigniewa, jak gdyby z jego twarzy chciał skrytość serca przeniknąć. Na czole posępnem księcia znać było to niecierpliwość, to zamyślenie, a pomimo milczenia Stefana zdawał się go słuchać jeszcze — słowem, wystawiał obraz człowieka, dumającego bardziej o przeszłości, niż gotowego do zrzeczenia się dumy i zaniechania najmilszych uczuć, by osiągnął szacunek ludzi i nagrodę życia wiecznego. Mestwin, widząc wtenczas, że książę nic nie odpowiada, obawiając się, by słowa biskupa

zanadto mocnego wrażenia na nim nie sprawiły, wyrzekł po cichu:

— Nieszczęśliwy kraj, gdzie mężę, do walki gotowi, spuszczają miecze, składają zbroje na głos starca, nawykłego do klasztornej spokojności, nie do dzielnych bojów lub rycerskich igrzysk! Książę i panie mój, nie daj się przerazić! Czy dusza twoja za słaba? Czyż zbroja, znosząca groty i razy, silniejsza od serca, które pokrywa? Obudź się, Zbigniewie — dodał ciszej jeszcze — bo już gaśnie twoja chwała! Zginałeś, jeśli...

— Nie zginałem — zawołał oburzony Zbigniew, porywając się z siedzenia, rzucił okiem na otaczających i zatrzymał go na Stefanie. — Nie, krzyknął, nie, nigdy raz dobytego nie schowam miecza, nie, na Boga i Najświętszą Pannę, kończ dalej swą mowę, biskupie! Chciałeś mnie zdradzić, morderców wieszysz za sobą. Mów dalej, słucham! Mówże, póki słucham jeszcze! — Znow usiadł i, schyliwszy głowę, skrył czoło w dłoń, ale można było poznać niecierpliwość ze wszystkich jego, choć nieznacznych ruchów.

Stefan nie stracił odwagi, z pogardą słyszał się obwinionym o zdradę, od której tak był dalekim, że nawet na ten zarzut nie odpowiedział, ale dalej i już groźnym głosem swej mowy dokończył.

— Przełożenia i warunki, które ci podałem dotąd, były łagodne, przemawiałem do ciebie, jak ojciec do grzeszącego syna; ale teraz posłuchaj cięższych rozkazów Kościoła i Boga, słuchaj ich z uszanowaniem i wypełń, jeśli dbasz o ocalenie występnej duszy! Książę Zbigniewie, każę ci imieniem Kościoła, byś natychmiast broń złożył i rozpuścił wojsko.

Tu biskup zamilkł na chwilę.

— Cóż dalej? — odparł Zbigniew, podnosząc głowę i ściskając usta, a twarz zapłonioną od gniewu znów skrył między ręce.

— Byś oddał Hannę z Ciechanowa jej ojcu i błagał jego przebaczenia za tak ciężką wyrządzoną mu krzywdę!

— Nigdy! — krzyknął Zbigniew i znów zamilkł.

— Byś złożył na zawsze oręż, przywdział suknię zakonną i bosemi nogi udał się do naszego plockiego kościoła...

Tu stanął znowu biskup.

— Dobrze, coż dalej? — zawołał Zbigniew, wszystkimi siłami wstrzymujący wściekłość w swych pierśsiach.

— Byś, zrzekłszy się pychy tego świata, rozdał majątki ubogim, wziął różaniec i kij pielgrzymi w rękę i poszedł do Rzymu! Damy ci listy do Ojca świętego, w których go upraszać będziemy, by wysłuchał cię i w nagrodę skruchy wyznaczył pokutę, za pomocą której łaskę boską odzyskasz.

— Cóż dalej? — znów ozwał się książę.

— Nareszcie, abyś odwiedził grób Zbawiciela w Ziemi świętej, nigdy już nie wracał do Polski i zakończył życie, na nieszczęście ci dane, w klasztorze pośród modłów i żalu za zbrodnie! Takie ci teraz podaję warunki. Jeśli na nie przystaniesz, obiecuję ci w nagrodę przebaczenie ludzi na ziemi i przebaczenie Boga w niebiosach.

— Cóż dalej, biskupie plocki? Bo może jeszcze nie

koniec? — zawołał Zbigniew. — Może co jeszcze masz dodać?

— Nic więcej, tylko, żebyś kazał zdjąć okowy z rąk tego młodzieńca, który, sprawiedliwie broniąc swojego życia, schwytany został przez twoich ludzi, spółników twych zbrodni.

Tak przemawiał Stefan, otoczony wrogami, jak gdyby tysiące mieczów wzniesionych było na poparcie słów jego.

— Kiedy taka twoja wola, zatrudniemy się tą sprawą, bo, na Boga — zawołał Zbigniew — nic więcej dla ciebie uczynić nie możemy! Wystąp, młodzieńcze! Niedługo cię tu zatrzymamy z wymierzeniem sprawiedliwości... jak się zowiesz?

— Pozwolisz, książę — odparł śmiało Henryk — że ci moje imię zataję.

— Słusznie, nie chcesz, by się rozgłosiło za prędko, żeś uległ haniebną śmierci na szubienicy. Może odpowiesz na drugie pytanie: kto cię przysłał?

— Nikt i na to przysięgam w obliczu nieba i ziemi.

— Więc już sąd nasz się skończył i jego wyrokiem skazany jesteś na powieszenie; spojrzysz przez okno, a ujrzysz gotową nagrodę za chęć zamordowania naszego powiernika! Sykucie — dodał — oddaję ci tego człowieka i niech za godzinę patrzy w ziemię, a nogami jej się nie dotyka! Zapewnie, biskupie Stefanie, wypowiadasz go przed śmiercią, bo co do nas, nie myślemy ci tej pracy zadawać.

Wystąpił po tych słowach zbrojny człowiek z orszaku, otaczającego księcia, i stanął przy skazanym młodzieńcu.

— Zbigniewie — ozwał się Stefan — zważ ostatnie słowa, które do ciebie przemówię! Może jeszcze na sprawiedliwej szali miłosiernego Boga twoje występki nie przechyliły zarodków cnoty i szlachetności, męstwa i odwagi, które wlał w twą duszę Stwórca świata. Zbrodnia, którą teraz chcesz popełnić, kto wie, czy nie przeważy i nie weźmie góry nad twojem szczęściem, nad twoją pomyślnością.

Te słowa, uroczyście wyrzeczone, zastanowiły księcia. Nic nie odpowiedział, ale wpadł w głębokie zamyslenie. Złożywszy ręce na piersiach, bystry wzrok wlepił w Henryka, stojącego o kilka kroków, ale nie mógł dostrzedz na jego twarzy żadnego znaku wzruszenia lub trwogi; owszem, często uśmiech pogardy dla otaczających osiadał na ustach giermka Mieczysława.

— Najjaśniejszy książę — nagle przerwał milczenie rycerz, który dotąd pilnie zważał na Henryka — przysięgam, że to jest Henryk z Kaniowa, giermek księcia Mieczysława, tak, jak ja jestem Odrowąż z Górzewa!

— Mieczysława! — krzyknął Zbigniew i skoczył ze wzniósłego siedzenia — Mieczysława! — Więc już niema nadziei dla ciebie. Mieczysława! — Zmów pacierze, odbądź spowiedź, bo zginiesz! Natychmiast wyprowadźcie go na dziedziniec! Widzisz tę wysoką szubienicę?

— Tem lepiej — odparł śmieie Henryk — bo im wyższa będzie od murów twego zamku, tem lepiej mój pan się o moim zgonie przekona, tem pewniej jego zemsta spadnie na ciebie.

— Niema wątpliwości — dalej mówił Zbigniew —

to morderca, przysłany od niego. Godziłeś na moje życie?

— Nie ma w zwyczaju książę i pan mój — zawołał Henryk — wyprawiać zbrodniarzy lub czynić zasadzki. Nie chowa się za murami. Nie przesiaduje w zamkach, kiedy dane jest hasło do boju, na otwartym polu każdy rycerz w jego pierś mierzyć może.

— Zuchwalcze! — przerwał książę, przejęty burzliwym gniewem; dalej chciał coś mówić, ale głos skończył mu na ustach. Kilka chwil chodził szybko po komnacie, nareszcie stanął.

— Wyprowadźcie go! — powtórzył. — Biskupie płocki, skończona nasza rozmowa. Prędko go wypowiadaj, sami przytomni będziemy jego śmierci! Mestwinie, odprowadź kapłana tego z giermkim na dziedziniec, zaraz tam przybędę! Odrowążu z Górzewa, pójdz zobaczyć, czy wszystko do walki gotowe, czy wszędzie w porządku stoją! Sam za wami zaraz pośpieszę. Idźcie!

— Niech żyje dzielny nasz książę! — zawołał Mestwin. — Henryku, giermku księcia Mieczysława, wzywam cię, byś szedł na szubienicę, z której, na Boga, będziesz mógł widzieć wszystkie pana swego czyny. Przewielebny ojciec duchowny, podobnież cię wzywam, byś za mną postępował dla oddania ostatniej chrześcijańskiej przysługi odważnemu młodzieńcowi, który niedobrze jednak wymiarkował twardość stali niemieckiej. Sykucie, zdejmu okowy, trzeba śmierć mu przynajmniej przyjemną uczynić!

Na dziedzińcu zamkowym stała wysoka szubienica, wystawiona dla przestraszenia żołnierzy, którzyby chcieli

złębny przykład dawać swoją niekarnością. Otaczała ją zagroda z chróstu, u boków której stały dwa słupy; na jednym leżał topór, na drugim powrozy. Do tej zagrody zaprowadził Mestwin Henryka, który, klękawszy, zaczął się spowiadać biskupowi płockiemu. Nachylił się ku niemu Stefan, w którego oczach raz łzę można było dostrzedz, to znowu ogień żywy, ponury, jak gdyby wezwanie boskiego przekleństwa na zamek i jego pana.

Zbigniew, o kilkanaście kroków oddalony, przypatrywał się temu obrazowi; ale twarz jego straciła piętno nieugiętej woli i znać było na niej pewny rodzaj wahania się. Wszyscy otaczający, przerażeni tym widokiem, nie myśleli przerywać cichości; żołnierze, poglądali na siebie, jak gdyby jeden drugiemu chciał powiedzieć: »Może i nas podobny los czeka«. Niedługo trwała spowiedź skazanego młodzieńca; wzniosł oczy do nieba biskup i z sercem pełnem wiary położył ręce na głowie tego, którego dusza miała wkrótce ulecieć do pierwszej ojczyzny.

— Odpuszczam ci grzechy, synu — rzekł poważnym głosem — umieraj z pewnością, że twoja młodość zmiękczy Stwórcę za złe, które mogłeś popełnić w przelotnem życiu na tej ziemi! Umieraj bez żalu za tym padołem nieszczęść, w którym często cnota opuszczona, a zbrodnia na szczycie wielkości; owszem, ciesz się nadzieją, że za chwilę u stóp tronu Króla królów będziesz mógł błagać Jego miłosierdzia dla nieszczęśliwych braci!

— Ach! gdyby nie książę Mieczysław, gdyby nie Katarzyna — przerwał po cichu młodzieniec — bez

żału zegnałbym ten świat znikomy. Ale gdybym gdzie mógł dorwać się jakiej broni, możeby jeszcze poczuła moją rękę.

— Oddał od siebie te myśli, mój synu, przebacznieprzypięciom!...

— Prędsiej, prędsiej się tam odbywajcie! — zawołał Mestwin — czas upływa, słońce już w górze, a miecze nasze jeszcze w pochwach, a krew wrogów jeszcze w ich żyłach płynie!

— Milcz — przerwał Zbigniew — milczcie wszyscy!

Słowa niemieckiego rycerza wróciły Henrykowi gniew, który na chwilę uciszył się w jego sercu, zajętem rozpamiętywaniem czynów życia i nadziei po śmierci. Nagle zerwał się z miejsca i, dobywając sił wszystkich, skoczył do żołnierza, blisko stojącego. Tak szybko się nań rzucił, że ten napół tylko mógł dobyć miecza; przeważnym razem w piersi obalił go Henryk na ziemię, wyrwał mu sztylet, u pasa zatknął, i przyłożywszy do gardła:

— Książę Zbigniewie — krzyknął — zginie ten człowiek, jeśli mnie nie puścisz natychmiast z biskupem płockim!

— Niech ginie! — zawołał Mestwin.

— Milcz! — przerwał Zbigniew i przez chwilę patrzył z uwagą na młodzieńca, stojącego z orężem nad leżącym żołnierzem. — Henryku z Kaniowa — zawołał — daruję ci życie, ale nie myśl, bym to czynił z bojaźni o życie tego człowieka, bo nie wart służyć u mnie, kiedy nie umie mężnie się stawić bezbronemu nawet; daruję ci życie, boś odważny, a żeby ci prawdy słów moich dowieść, zatrzymasz się w moim

zamku, dopóki ten nędzny nie zginie! Sykucie — krzyknął — prędko i bez spowiedzi, bo jej nie godzien, skończ mi z tym żołnierzem!

Natychmiast Sykut z kilkoma innymi porwali się na nieszczęśliwą ofiarę i na śmierć zawiedli. Musiał biskup i Henryk patrzeć na śmierć żołnierza. Zbladły, szedł on do szubienicy. Rzucił się po wielokroć do nóg Sykuta, ale groźna postać Zbigniewa nie dozwalała nawet myśleć o jego ocaleniu. Wszedłszy do zagrody, kląkł i krótką odmówił modlitwę, podczas której związali mu ręce z tyłu; powstał i obłany łzami, wstąpił na rusztowanie, z którego rzewliwymi krzykami i ręką zegnał naokoło stojących towarzyszy. Srodzy ci ludzie bez wzruszenia patrzyli na ten okropny widok i nawet usłyszano kilka głosów, wyrzucających mu bojaźń i niewieście jęki. Zakrył twarz biskup Stefan, a kiedy po chwili znów pojrzał, już się ciało żołnierza kołysało w powietrzu. Jeszcze ruch gwałtowny nóg i twarzy oznaczał ostatek uchodzącego życia, kiedy nagle krew wytrysła mu z oczu i nosa. Głowa się schyliła, oczy zawarły, a piętno srogich boleści, zachowane na martwym czole, nie zgadzało się z stalową zbroją i hełmem, świetniejącym odbitymi słońca promieniami.

— Teraz wolni jesteście — rzekł książę. — Biskupie płocki, moją odpowiedzią jest, że, jeśli boją się ze mną walczyć, to mogą broń złożyć i przebaczenia u stóp moich zebrać. Henryku, masz ten pałasz za odwagę! Patrzałem ciągle na ciebie, nie okazałeś najmniejszego znaku trwogi; gdybym był dostrzegł bo-

jaźń na twojej twarzy, nie żyłbyś już teraz. Żegnam was obu.

Po tych słowach wrócił Zbigniew z Mestwinem do swoich komnat. Ciężka brama znów się otworzyła, most zwodzony na skrzypiących opadł łańcuchach, a sługa boży i dzielny młodzieniec, obronieni opieką nieba i własnem męstwem, wyszli z zamku, w którym już teraz wszystko w pogotowiu stało do nieodzownej walki.

ROZDZIAŁ X.

Zewsząd szczęk mieczów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą helmy, głowy;
Co miecz oszczędzi, druzgocą podkowy.

Grażyna.

Biskup płocki pośpieszył oznajmić czekającym na jego powrót wodzom, że wszystkie starania nadaremnołożył, żeby odwrócić Zbigniewa od wojny domowej, i ze łzami w oczach zapowiedział, że odjeżdża uwiadomić o tem króla i pocieszyć go w ciężkich tęsknotach świętymi myślami.

— Więc już niema co zwlekać! — krzyknął Mieczysław. — Za mną, towarzysze, bracia, za mną!

Po tych słowach rzucił się na czele wojska i śpiesznie przebiegł dzielącą go od zamku równinę; za nim poszli Wszebor i Sieciech ze Skarbimirem, którego twarz zbladła i napół otwarte usta wydawały przerażenie i bojaźń o życie. Nie wstrzymały dzielnych hufców strzały, sypiące się z murów, i kamienie, na

niech rzucane z baszt i wież wysokich, a choć nie-jeden śmiertelnym ugodzony ciosem, padł bez ducha, inni, pragnący się odznaczyć pod okiem młodego księcia, za jego wodzą na śmierć i niepewną odważali się walkę.

Henryk w zupełnej zbroi szedł za Mieczysławem, a całe wojsko garnęło się za nimi do murów. Zdawało się, że jeden zapal wszystkich ożywia, i nawet powolny Bardan podwoił kroku, choć widział kryjącego się pomiędzy rotami pana. Sieciech z zimną krwią i właściwą sobie rozwągą urządzał bitwę; dawał znaki i hasła, zachęcał, zagrzewał do odwagi, sam się rzucał naprzód, znów ustępując, szykował złamane szeregi, wracał do porządku rozerwane orszaki. Krzyżowały się w powietrzu strzały i włócznie, z obu stron rzucane. Tarany tymczasem, przez część żołnierzy niesione, powoli przysuwały się do bramy i pomimo grotów nieprzyjacielskich zapełniono fosę zamkową ziemią, darniem, kamieniami i chróstem, do tego sporządzonym.

Na najwyższej stronie murów widziano męża wzniosłej postawy, w czarnej zbroi i z odkrytą twarzą, a choć w takiej odległości rysów jego rozeznąć nie można, z rozkazów przezeń dawanych, z nadzwyczajnej odwagi i spokojności, okazywanej wśród boju i grożącej śmierci, łatwo było poznać Zbigniewa. Przy nim stał niżej nieco rycerz, który z równem męstwem zachęcał żołnierzy i czasem, porwawszy łuk od stojących ludzi, niemylnie wysyłał ciosy. Pięć razy już wymierzył w serce Mieczysława, a pięć razy głos księcia: — »Stój, Mestwinie!« — wstrzymał go, bo Zbi-

gniew, pałając nienawiścią ku synowi Bolesława Śmiałego, sam chciał się jego śmiercią i nacieszyć i wsławić. Wrzask, krzyki, rozkazy tłumnie się mieszały, chrzęst zbroi, świstanie rozrywających powietrze pocisków, jęki ginących i rannych unosiły jego duszę, urągał się z śmierci i niebezpieczeństw. Rzucane strzały rzadko dochodziły miejsca, na którem stał, czasem tylko u stóp jego padał osłabły już pocisk; wtenczas z uśmiechem pogardy odsuwał go nogą lub też oddawał Mestwinowi, który szcycąc się z doskonałego strzelania, natychmiast znów go wypuszczał na oblegających, a wtenczas rzadko chybiał celu. Kilku jeszcze innych łuczników otaczało Zbigniewa i, jak gdyby dla zabawy, różnych sam im wskazywał rycerzy. Za jego rozkazem szybkie wylatywały grot i, podobne do piorunu, padały na wskazane ofiary.

Wtem jeden z nich zwrócił oczy na Wszeborę, stojącego przy ludziach, taran do murów przysuwających. Natychmiast poznawszy po świetnym hełmie, że to jakiś wódz być musi, naciągnął łuk, przyłożył strzałę na drgającą cięciwę; ale postrzegł to Zbigniew i, pamiętny danego słowa, silnie uderzył w pierś łucznika; wyleciał grot, ale już bez siły i prosto w górę, po chwili upadł przy księciu.

— Niech żaden z was nie godzi na życie tego człowieka — krzyknął Zbigniew — bo ze mną będzie miał do czynienia! — I wskazał na szubienicę, u której kołysał się nieszczęśliwy żołnierz. — Wszebor i Mieczysław nie są waszym przeznaczeni ciosom. Dosyć innych macie. W tego, w tego traficie — dodał, wska-

zując Sieciecha — w tego zdrajcę, który dawniej z przyjaźnią mi się oświadczał!

Nie ukończył tych słów jeszcze, a już strzała utkwiała w pancerz Sieciecha, ale wielka odległość moc jej osłabiła, nie mogła nawet przebić zbroi; odrzucił ją wojewoda krakowski i dobywszy miecza, ukazał go Zbigniewowi. Zrozumiał znak ten książę i krzyknął, jak gdyby tamten mógł go usłyszeć:

— Może dadzą nieba, że się spotkamy, a wtenczas zegnaj się z życiem!

Tymczasem w niektórych już miejscach zasypano fosę, przystawiono drabiny i rzucił się na jedną z nich Mieczysław. Henryk skoczył na drugą i z kilkoma rycerzami oba wdzierali się na wysokie mury. Zbigniew chciał zaraz pobiedz naprzeciw śmiertelnemu nieprzyjacielowi; ale widząc, że wkrótce cały rów zasypią, musiał zostać na miejscu, z którego najlepiej mógł uważać obroty przeciwników i skąd najłatwiej mu było dawać rozkazy i rozsyłać ludzi. Posłał więc tylko Odrowąża z Górzewa z kilkoma zbrojnymi na wstrzymanie Mieczysława i na zrzucenie z drabin żołnierzy, już wierzchołka muru dochodzących. Ale nim doszedł ten rycerz do przeznaczonego miejsca, już młody książę z Henrykiem na mur szeroki wyskoczył.

Za nimi cisnęli się żołnierze, wołając:

— Górą książę Mieczysław! Górą dzielny nasz książę!

Ale w tej samej chwili rozstawieni po innych stanowiskach łucznicy tak zręcznie zaczęli razić pociskami wrogów, że niepodobnem się stało przystawić

więcej drabin do muru, a mała tylko liczba zbrojnych mogła się wdzierać, i to powoli, na te dwie, którymi Mieczysław i Henryk dostali się na nieprzyjacielskie baszty; przybył też i Odrowąż z Górzewa i zacięta zaczęła się walka. Spuściwszy przyłbicę, syn Bolesława Śmiałego oparł się o szeroki kamień i walecznie napadających odpierał, Henryk zaś posunął się dalej i wszelkimi siłami starał się dojść do Odrowąza. Dopiął wreszcie celu swych życzeń i stanął o dwa kroki od rycerza.

— Poczekajże — zawołał, widząc, że ten chce przeznąć się aż do Mieczysława — nie godnyś z rąk mego pana zginać, poczekaj, niech ci się za dzisiejszą odpłacę przysługę!

Usłyszawszy te słowa, odwrócił się Odrowąż.

— Na Boga — zawołał — Czyż wniwecz obróciły się zwyczaje i prawa nasze? czyż prosty giermek już wyzywa rycerza ze złotemi ostrogi?

Nic nie odpowiadając, zaczął Henryk walkę, której wypadku niedługo oczekiwali otaczający; po kilku zwarcjach upadł Odrowąż śmiertelnie przebity. Porwał go za hełm Henryk i zrzucił z murów w szeroką fosę.

— Macie — krzyknął — na czem oprzeć drabinę!

I wrócił do Mieczysława, który z równą potykął się odwagą. Widział Zbigniew śmierć rycerza i brwi zmarszczył.

— Na szatana, uparta bitwa! Ale niech się sam tylko wmieszam, to zobaczymy; muszę tu jeszcze zostać. Jordanie z Gozdawy, pójdź im na pomoc!

Natychmiast mąż olbrzymiej postawy odłączył się od książęcego orszaku i pobiegł stanąć na miejscu nieszczęśliwego Odrowąza.

— Zareczęm ci, książę i panie mój — zawołał, odchodząc — że wkrótce te muchy odlecą, nie takich-em ja na Pomorzu do ucieczki zmuszał.

— Dobry rycerz — ozwał się Zbigniew do Mestwina, patrzącego z uśmiechem zwyczajnym na rzeź i mordy — a choć najczęściej chwali się z tego, co nie zrobił, w przypadku potrafi wszystko zrobić, co mówi, że już tysiąc razy uczynił.

Wtem zbliżył się do księcia człowiek w szerokiej, czarnej sukni, bez zbroi i oręża. Broda, do której siwe włosy już się mięszały, spływała na piersi, w oczach widać było spokojność, dowodzącą, że nie pierwszy raz patrzy na boje. Trzymał pod ręką kształtnie wyrobioną szkatułę, a u rzemiennego pasa wisiały klucze, flaszka, napełniona żółtawym płynem, i pomniejsze narzędzia, na które niewiadomi ich przeznaczenia i użytku z podziwieniem patrzyli żołnierze.

— Abrahamie z Hamburga — zawołał Zbigniew — już jeden z naszych rycerzy nie potrzebuje twojej pomocy; spojrzij w rów, pod nami będący, a tam zobaczysz jego ciało i zapewne mimo wielkiej nauki nie masz już nadziei wrócenia go do życia!

— Najjaśniejszy, najpotężniejszy panie — odparł złą polszczyzną Żyd lekarz — mam nadzieję, że Bóg Izraela pozwoli, by moje usługi przydały się innym ludziom, bo co do tego, już ciało jego się rozpręga, opuszczone od duszy. Stąd dostrzegam sine pręgi na jego twarzy, co jest znakiem śmierci gwałtownej, jak o tem

Ben Masaadi pisze w rozprawie o nieprzewidzianych zgonach.

Po tych słowach głęboko się uklonił księciu, stanął niedaleko i, wyjąwszy długi pargamin, uważnie czytać zaczął dziwaczne na nim charaktery tak spokojnie, jak gdyby w własnym się widział pokoju; potem zwinął go w trąbkę i oddalił się, niosąc ratunek rannym.

— Dobrzem zrobił — rzekł Zbigniew do Mestwina — zem tego Żyda zamówił do siebie przed rozpoczęciem oblężenia, bo widzę, że na nieszczęście często go będziemy potrzebować. Ale patrz, tam nasi giną! Jordan z Gozdawy dzielnie się potyka.

— Dzielnie — odparł Mestwin — dzielnie, na Boga, ale coś mi powiada, że niedługo kroku Mieczysławowi dotrzyma; dobrze, że Abraham nadszedł, żołnierze nasi przypatrują mu się z uwagą, powtarzając wyrazy: »Czary, czarnoksiężnik«!

— Czy piekło się na mnie sprzysięgło? — przerwał mu Zbigniew. — Już mało naszych się opiera. — Jordan wraca ich jednak do porządku — dobrze, znów zwyciężył się wszczyna. Kazałem, by żaden nie tknął Mieczysława, bo i tak niedługo mu już dni zostały; zachowuję dla siebie przyjemność zabicia go własną ręką; ale co do tego Henryka, bodaj go szatan porwał, szkoda, że go tu nie zatrzymał! Łucznicy — dodał donośnym głosem — lepiej mierzcie, prosto w serca wrogów, za rzadko trafiają wasze groty!

Tymczasem Wszebor starał się ciągle o przystawienie więcej drabin, Sieciech zaś z drugiej strony kierował oblężeniem; kazał szeregowi swoich żołnierzy w pewnej odległości od murów wysypać wały, z za

których bezpiecznie mogliby odpowiadać pociskom, z zamku rzuconym. Tą roztropną zatrudniony pracą, nie wiedział, że Mieczysław walczy na murach nieprzyjacielskich. Długiego czasu potrzeba było na usypianie tych szanów, ale nareszcie pomimo ciężkich strat, które co chwila doznawał, potrafił obrać korzystne stanowisko i zasłonić swoich od niebezpieczeństwa walczenia na otwartym polu przeciw nieprzyjaciołom, ukrytym w strzelnicach i wieżach. Równowaga między ginącymi z obu stron się ustaliła; na każdego wystrzał z zamku odpowiadała strzała z za wałów usypanych, które, z świeżej ziemi zrobione, wkrótce pokryte zostały mnóstwem chybiających pocisków. Z równem męstwem z obu stron wytrzymywano walkę, równa zręczność odznaczała obu wojsk żołnierzy; kilka razy Sieciech usiłował zbliżyć się do murów i, zapełniwszy fosę, szturm przypuścić, ale pomimo jego odwagi, pomimo dzielności Jarosza z Kalinowy, tyle tracono ludzi, jak tylko występowało z za szanów, że musiał, zaniechawszy tego zamiaru, poprzestać na własnej obronie, czekając pomyślnych nowin od drugiej połowy wojska, której nie mógł widzieć, oddzielony od niej częścią rozległych murów, w kącie na równinę występujących. Miał jednak nadzieję, że kiedy się powiedzie Mieczysławowi, da mu on znać o tem i że Zbigniew, przymuszony zwołać swych ludzi do najważniejszego miejsca, ogołoci z części obrońców baszty, których dobywał, i że wtenczas łatwiej mu będzie na nie się dostać. Oczekując tego wypadku, z krwią najzimniejszą wyznaczał każdemu miejsce i powinność.

Tymczasem Jordan z Gozdawy pełnił obowiązek dzielnego rycerza; jak tylko zbliżył się do miejsca walki, zaczął zachęcać już ustępujących przed Mieczysławem.

— Górą księżę Zbigniew! — zawołał — za mną, wiara! za mną, bracia! strąćmy ich z tych murów!

— Górą Zbigniew, księżę i pan nasz! — krzyknęli żołnierze i z odrodzonym męstwem wrócili do bitwy.

Nie jeden jeszcze tu zginął, nie jeden, ciężko raniony, musiał ustąpić, ale pozostali, widząc odwagę Jordana, wstydzi się uciekać, kiedy ich wódz, nie dbając o życie, na ciosy i śmierć tak pięknie się narażał.

Poznał Mieczysław, że nie potrafi utrzymać się na zajętem stanowisku, jeśli nie zabije dzielnego przeciwnika, i do tego celu zwrócił wszystkie usiłowania. Trudno mu jednak było przerznąć się przez tłum walczących do rycerza, siejącego postrach i rzeź dokoła; powstało największe zamieszanie i, kiedy nowe posiłki nadciągały po dwóch drabinach, których nie mogli obalić pomimo największych starań żołnierze Zbigniewa, Jordan, porwawszy ogromny kamień, tak zręcznie go rzucił, że połamał kilka szczeblów u pierwszej drabiny; runęli ludzie, po niej wdzierający się na mury, w głęboką fosę i jęki ich pomnożyły trwogę otaczających Mieczysława. Wkrótce i druga padła z łoskotem, a z nią zdawało się, że wszelka znikła nadzieja dla młodego księcia, już nielicznym wspieranego żołnierzem. Nie zmniejszyło to jednak zapału syna Bolesława i z nową wściekłością rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, zasłaniając się tarczą, znów mieczem, torując sobie drogę z wiernym giermkiem,

kładł trupem opierających się, ale uczuł, że już słabnie i że, jeśli dłużej tak nierówna potrwa walka, niebędnie zginąć mu przyjdzie. Dobytą więc wszystkich sił, roztrącił kilku żołnierzy, stojących przed Jordanem i wpadł na rycerza. Skrzyżowały się ich miecze, a ogień ich oczu wydał uczucia duszy. Zwarli się wstępny bojem, zaczynając krwawy pojedynek, w którym okazywali, że jeden drugiego jest godnym, bo oba z największym męstwem i z największą walecznością.

— Księżę i panie mój — zawołał Mestwin na Zbigniewa, gdzieindziej patrzącego — zwarli się; ciekawy jestem, na którym z nich wieczerzać dziś będą sępy.

Pojrzał w tę stronę Zbigniew i w tej samej chwili dobył oręża.

— Już czas to zakończyć — rzekł — wcześniej czy później trzeba go zabić! Zapomniał chyba Jordan o moim rozkazie. Jordanie z Gozdawy — krzyknął całemi pierściami, biegnąc do niego — Jordanie z Gozdawy, złóż oręż, jeśli dbasz o moją łaskę!

Doszły te słowa do uszu rycerza. Schylił pałasz i wściekle go rzucił na stronę.

— Przez duszę Eryka Steiffroka, któremu zabił w Prusiech, wolałbym zginąć z rąk kata, niż takie słyszeć rozkazy!

Szlachetny Mieczysław nie korzystał z tej chwili, żeby zamordować wroga, i, spuściwszy oręż, z najwyższą niecierpliwością czekał na Zbigniewa, wprost ku niemu lecącego.

— Dziękuję ci, Jordanie, za posłuszeństwo — rzekł księżę, przybiegając — teraz z tobą będzie sprawa! —

i wpadł na księcia. — Niechaj mi nikt nie pomaga, niechaj nas nikt nie rozdziela! Do pochew orężę schowajcie wszyscy! Teraz ja zaczynam walczyć.

Tu dopiero poczęła się walka długa, uparta, której przypatrywali się wszyscy z trwogą i pewnym rodzajem uszanowania. Na każdej twarzy można było wyczytać przykre oczekiwanie wypadku, który jedną lub drugą stronę miał w smutek i zgubę najgłębszą pogrążyć. Nie tylko na murach, ale i na równinie wszyscy bitwy zaprzestali i umilkli. Wszebor podniósł oczy do góry, a za każdym uderzeniem orężów coraz większą czuł bojaźń. Sieciech niepomału się zadziwił, kiedy wrzaski ustały, kiedy wszystko w milczeniu grobowem się pogrążyło; nie wiedząc tego przyczyny, darmo starał się ją wyśledzić. Skarbimir nawet podniósł schyloną głowę i na chwilę zapomniał o pieniądzach, słowem, wszyscy spuścili na dół miecze, łucznicy zarzucili broń na piersi, rycerze oparli się na pałaszach i pilnie najmniejsze dwóch przeciwników uważali poruszenia.

Zbigniew dziwił się, że tak długo mu się młody przeciwnik opiera, i natężał wszystkie siły na pokonanie jego. Syn dzielnego Bolesława za każdym uderzeniem czuł podwojone męstwo i z największą zapalczywością raz odpierał, znów wpadał na wroga. Poszczerbione pałasze, pokrysowane¹ zbroje dowodziły obu zręczności, ale krew dotąd nie płynęła i podobną była walka do igrzyska na turnieju. Wyćwiczony w setnych bojach Zbigniew zaczął jednak mieć przewagę; jednym uderzeniem oderwał przyłbicę od szy-

¹ pokrysowane — na których widać było kresy, szramy, porysowane.

szaka Mieczysława, drugim przeciął pas, który zwieszony na pancerzu, utrzymywał pochwę, nie mógł go jednak przymusić do odstąpienia i jednego kroku. Nareszcie po długich usiłowaniach tak dzielnie uderzył o rękojęść pałasza Mieczysława, że ten opuścił rękę na chwilę.

Radość zajaśniała w oczach Zbigniewa i już miał utopić oręż w piersi przeciwnika, kiedy nagle zbladł, skłonił głowę na piersi i przykląkł.

Strzała, rzucona z równiny, tkwiła mu w lewym ramieniu, a potoki krwi zbroję mu oblały.

Mieczysław, choć tegim uderzony razem, nie odebrawszy żadnej rany, wyniósł pałasz do cięcia; ale jego żelazo, spadając, odbiło się o miecz rycerza, który rzucił się między nim a Zbigniewem, krzycząc:

— Zanieście księcia do komnat i zawołajcie Żyda!

Zbigniew, niesiony przez wiernych żołnierzy, ustępował z pola bitwy; ostatnie słowa jego były:

— Mestwinie, zakazuję ci z Mieczysławem walczyć, bo on z mojej ręki zginąć musi!

Słyszał dobrze słowa pana swojego Mestwin, ale jednak nie zaprzestał boju i zapewne znużonego przeciwnika byłby pokonał, gdyby rzucający się z obu stron do broni żołnierze nie byli ich przedzielili w zamieszaniu.

Coraz trudniejszym stawało się położenie Mieczysława. Osłabiony, nie mógł z równą, jak pierwiej, potykać się dzielnością. Razy jego padały na zbroje wrogów, ale już do ich serca przedrzeć się nie mogły. Zastępował go Henryk i, jak lew rozjuszony, zaścielał trupami mury, ale napróżno tak bohaterskiego męstwa

dawał dowody, bo Mestwin ściągnął z innych miejsc posiłki i coraz bardziej nadchodzące hufce tłoczyły się na przeredzonych obrońców Mieczysława. Widział księżę, jak u stóp jego padali żołnierze, i mógł już porachować nielicznych, zostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Jeszcze dosyć długo trwała zacięta walka, aż dopóki sam tylko Mieczysław i Henryk nie zostali, bez żadnej wprawdzie rany, ale do szczytu znużeni. Mestwin wołał głośno na żołnierzy, by giermka zabili, a pana starali się pojmać. Ostateczna zguba już blizką była tych dwóch młodzieńców, kiedy Wszebor po długich usiłowaniach potrafił przysunąć drabinę do murów o kilkanaście kroków od miejsca, w którym potykał się księżę.

— Zatrzymajcie ich, niech nie dojdą do drabiny! — krzyknął Mestwin.

I sam na czele dobranych rycerzy chciał zabiedz Mieczysławowi, ale nim to mógł skutecznie, już dzielny księżę, stanąwszy z Henrykiem przy drabinie, skoczył na nią.

— Łucznicy — zawołał Mestwin — dosięgnijcie ich, pociskami dobrze wymierzcie! Kto trafi księcia, dwańście sztuk złota dostanie!

Na te słowa wyleciała chmura strzał, z których żadna nie trafiła schodzących bohaterów. Po chwili Mieczysław z giermkiem dostali się do równiny. W tej samej chwili ogromny kamień, rzucony przez rycerza z Wilderthalu, zwałił drabinę. Łucznicy znowu rozstawili się po basztach i dawna wróciła się bitwa, ale

nie z taką odbywana, jak rano, prędkością, bo znużeni żołnierze dobrze naciągać łuków już nie mogli.

Tymczasem Sieciech, dowiedziawszy się o zdarzonych wypadkach przez Jarosza z Kalinowy, którego był posłał do Wszebora, przybył natychmiast z kilkoma rotami i Skarbimirem, którego wszędy z sobą wodził, ale już zastał Mieczysława u stóp murów, na których niedawno z tak bohaterskiem potykał się męstwem.

— Górą księżę Mieczysław! — krzyknął, uniesiony walecznością młodzieńca. — Do drabin, żołnierze moi, do murów!

I sam porwał drabinę i przystawił do wysokiej wieży, ale zaraz runął na nią kamień i w kawałki potrzaskana, w fosę wpadła.

— Nic już im dzisiaj nie zrobimy — rzekł Sieciech — przecież to od rana przepowiedziałem; trzeba żołnierzom i nam samym spoczynku. Moją radą jest wrócić do obozu i, jeśli się podoba księciu Mieczysławowi, dam znak do odwrotu.

— Nie, nigdy! — krzyknął młodzieniec.

Sieciech wskazał ręką na trupy wiernych księcia towarzyszy, które częścią jeszcze na murach, częścią w rowie leżały.

— Czyż wszyscy dzisiaj mamy tak zginąć, księżę? Czyż taka twoja wola? Wprzód usypmy szanę na polu, przygotujmy tarany¹, drabiny, chrósty, kamienie, zaopatrzymy się w oręż i żywność, przetnijmy drożę do zamku, poczekajmy na posiłki, z Ciechanowa

¹ Taran — belka, okuta żelazem, do tłuczenia muru.

przybyć mające, a wtenczas żołnierze z większą ufnością pójdą do boju! Nareszcie wszyscyśmy znużeni i trzeba nam kilka dni odpoczynku, to na wyleczenie rannych, to na pochowanie zabitych, to na pokrzepienie osłabłych; ale zresztą czekam na oznajmienie twej woli, książę.

— Przystaję na twoją — odparł Mieczysław — uznając roztropność rad twoich, ale nim nakazemy odwrót, wprzód jeszcze święty wdzięczności nas wzywa obowiązkiem, który najchlubniej na tem krwawem pobojuwisku spełnić. Henryku, zegnij kolana!

Przykląkł na rozkaz pana giermek, a książę Mieczysław uderzył go w ramię po trzykroć skrwawionym mieczem.

— W imieniu — rzekł — Boga, Najświętszej Panny, świętego Michała i Stanisława, pasuję cię na rycerza, Henryku z Kaniowa; bądź rzetelnym, pobożnym i walecznym, a na znak swojej godności przyjm ten upominek odemnie!

To mówiąc, zdjął świetny łańcuch złoty z piersi i zarzucił go na szyję Henryka, którego własną podniósł ręką, dodając, że mu najmilej będzie, jeśli przy jego boku pozostać zechce.

— Ciebie bronić i tobie służyć pierwszą zawsze dla mnie powinnością będzie, książę i panie mój! — odpowiedział rycerz Henryk z Kaniowa, kiedy tymczasem grad pocisków nieustannie raził oblegających.

— Wojewodo krakowski — zawołał Mieczysław — daj znak do odwrotu!

Natychmiast zagrzmiała trąba; usłyszane to hasło wstrzymało od bitwy wszystkie wojska szeregi. Zwi-

nięto sztandary, odsunięto tarany, pozbierano, o ile można było, trupy i z tym smutnym morderczej walki dowodem zaczęły ustępować hufce. Wodzowie szli za swojemi rotami. Ostatni raz strzały wysypały się na nich z zamku Zbigniewa, ale nie wielu trafiły. Wieczór się już zbliżał; słońce zapadało, otoczone orszakiem chmur złotych, jak król, odchodzący z swoimi dworzany. Czasami odzywały się tłumne głosy, czasami słyszano piosnkę żołnierską, a wkrótce potem wojsko weszło do obozu, gdzie ze smutkiem liczyli wojownicy nader mnogą liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy.

ROZDZIAŁ XI.

Turniej, zabawy rycerskie, niech ukołyszają
wzburzone serca przeciwników, niech sobie
dłoić podadzą bratnią!

Stary romans.

Zboczmy teraz od głównych osób naszej powieści, wracając do biskupa Stefana, który, odjechawszy w chwili rozpoczęcia walki, smutnie zbliżał się do Płocka.

Puściwszy wolno cugle koniowi, rozmyślał starzec nad nieszczęśliwymi skutkami wojny domowej i niezgody i szukał jeszcze sposobów ich odwrócenia. To cichą serca modlitwą błagał Boga, to znów pogrążony w zadumaniu, ważne odkrywał widoki i nowe przedsiębrał zamiary. Daremno towarzyszący rycerze chcieli przerwać jego czarną smętność; nie zważając na ich

mowy, spokojnie w milczeniu jechał; ale kiedy już stałe powziął przedsięwzięcie, kiedy znalazł sposób, którym się spodziewał, że zaradzi nieszczęściom ojczyzny, ściągnął osłabłą ręką wodze u konia i krok jego przyspieszył. Dostawszy się do Płocka, zsiadł przy swoim mieszkaniu, złączonem z kościołem katedralnym, i wszedł do niego; ale kiedy wszyscy sądzili, że myśli odpocząć po tak męczącej drodze, znów go ujrzeli wracającego na ganek i na koń siadającego. Ale nie ku obozowi już się teraz obrócił; udał się w najludniejszą stronę miasta i po kilku chwilach wjechał na dziedziniec zamku królewskiego. Zostawiwszy konia jednemu z swoich koniuszych, wszedł sam do sieni i znikł z oczu zdziwionych dworzan, którzy nie wiedzieli, co rokować z tak nadzwyczajnego pośpiechu w osobie tak wysokiej godności i lat tak podeszłych.

Wielki sokołnik Wolimir z Moskorzowa siedział w przedpokoju królewskim, pustym teraz, bo wiele osób, zwyczajnie go zapelniających, udało się częścią do Zbigniewa, częścią do Mieczysława. Bez wątpienia myślał o przyjemnym dla siebie przedmiocie, bo uśmiech całą twarz mu rozjaśniał, a pukiel czarnych włosów, któremu z umileniem się przypatrywał, trzymał w prawej ręce, na lewej zaś sokół ulubiony trzepotał skrzydłami.

Zapewnie głęboko musiał się zastanowić nad drogim upominkiem, bo nie słyszał otwierających się drzwi za sobą i dopiero za dochodzącemi go słowy: »Wolimirze! czy można naszego miłościwego króla oglądać? — odwrócił się i ujrział stojącego Stefana.

Zawstydzony, że go biskup podszedł, kiedy rozmyślał o rzeczach tak światowych, porwał się natychmiast z krzesła, schował przedmiot miłosnych dumań i odpowiedział, że choć najjaśniejszy pan słaby na zdrowiu, zapewne jednak nie odmówi odwiedzin biskupa płockiego.

— Oznajm mu więc, proszę cię, moje przybycie i powiedz, że ważne przynoszę nowiny!

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokołnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplemi pióry, przypasał pałasz, leżący na stole, i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu, osłoniętem bogatą makatą, i ciężkie kołtyleści ciąglemi modły.

Ledwo wszedł biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i, opierając się na rękę:

— Co się stało ze Zbi... — zawołał i zatrzymawszy się — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam ukrywać słabość moją? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniej zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyślał, biskupie? Czy nie ranny? czy zdrów? — zapytał król, zapominając o tem, że Stefan nie był walce przytomny.

— Stałem się — odrzekł biskup — namową doprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawiałem mu wszystko, co sądziłem być zdolnem do wzruszenia jego serca; ale chęć sławy, namiętność do bitew,

przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie! — zawołał król w rozpacz — Tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy! Tyś uzbroił moją rękę na syna, ty, wyzuty z najmiłszych uczuć, rozerwaleś, rozszarpałeś moją duszę, tobem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna! Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najżywszych miłości ojcowskiej wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mojego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoim zamiarom słów boskich, pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzież to zbawienie, kapłanie? gdzież ta nagroda sprawiedliwości? Może nazwiesz nagrodą żal, zapelniający mój umysł, boleść, pożerającą me serce, przerażenie, ściskające wszystkie moje żyły? Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze, jak duch piekielny, przychodzisz się uragać z twojej ofiary!

Wytrzymał tę burzę biskup z największą spokojnością od początku do końca; nareszcie, kiedy król przestał mówić i opadł na łoże, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem, jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść; wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna nie godzi się cały

naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać! Nieszczęście zesało na twoją głowę trudne do zniesienia ciężary, bo przyznaję, że syn nieposłuszny i nie odpowiadający staraniom ojca najboleśniejszym jest ciosem; możesz go żałować, możesz opłakiwać jego błędy, ale nigdy im pobłażać, kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojej opiece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patryarchę, szanownego sędziwym wiekiem i tyloma cnotami, wspomnij na jego syna, tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi! A jednak ojciec za rozkazem Pana niebios nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z mojem, jego poświęcenie z własną słabością! Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchą, że Bóg sprzyja cnotcie, przestań narzekać na Niego, schyl głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj, jaki sposób wynalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem!

— Jakież to sposób? — zawołał król, który już przestraszony własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie biskupa — jakież to sposób, święty Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę! Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka polski przeprasza ciebie i zarazem pie płocki! Król polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz, co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mego!

— I ojczyzny razem, miłościwy mój panie — odparł biskup. — Twoje uniesienie już z mojej uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem, winnem mojemu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego, zachmurzoną żalem i wyrzutami sumienia; ale źli doradcy, ale szatan, wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od cnoty i sławę, o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do siebie; spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić, i dostrzegłem na licach uczucia skolataney duszy; nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że, gdyby łzy twoje ujrzał, napominania usłyszał, dobroć poznał, wtenczasby się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas której zdawało się, że sobie coś przypomina — kocham go nadewszystko, ale dobrze pamiętam, jak niedawno temu zaparł się przedemną występku swego, jak dał słowo, że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn, którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na mojem łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moją dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do której wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ileż razy mówiłem mu dawniej: »Zbigniewie, jeśli co złego popełnisz, przyznaj się ojcu! U niego pobłażanie i miłość znajdziesz. Chytrzy, fałszywi

przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niej wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze wpośród nich przebaczenie rozeznasz». Ale odstąpił teraz Zbigniew odemnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i żdzierstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiała, ale nareszcie przekonałem się o mojem nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!... Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał syna, tyś nie patrzył na młode jego lata okiem pełnem nadziei, tyś nie pielęgnował tej młodej latorośli, tyś ją nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz, jak ona się wzniosła, okrążyła pień zastarzały, nie czujesz, jak codzień, pnąc się do góry, coraz mocniej go obejmuje, ściska i przytłumia! Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemska nie przerwiała spokojności twej duszy. Ale prawdą jest, że grzech daje zawsze grzechowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła i jeszcze w powiciu napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakżem nieszczęśliwy, biskupie!... — Tu oddech przerwany zatrzymał Władysława; załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój! — zawołał biskup. — Jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wydała, jeśli świat znikomy zawiódł twoję nadzieję, niebo

ci się zostaje, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem.

— Niebo, ach niebo! — odrzekł król polski — tak, niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa! — I zalał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miara jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatrutowający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy; Władysławie Hermanie, królu polski...

Ale nadaremno głos biskupa obijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził uszów przygniecionego strapieniami ojca.

Zawarł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci ciąży na nim.

Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik, niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i, przerywając swoje dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło, nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło, nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszale sługo! — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszale, jak ci się zdaje, szanowny bi-

skupie! — odparł Wolimir i, wyjąwszy z sukni flaszkę, napełnioną mocnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany, które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowej francuskiej ten upominek, nie odstępujący odtąd nigdy jego piersi, a wielce w tej chwili przydatny Władysławowi, bo po chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc, że chce samnasam z biskupem zostać.

— Lepiej, żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w moim sercu przez kilka chwil było, a teraz, wrócony życiu, znowu czuję i widzę na moje nieszczęście!

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył! — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym!

— Mów więc, co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę!

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękcza Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, inszego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem. Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczywego jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary nic na hardym księcia umyśle dotąd

nie działy; ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które, długo stłumione, odzywają się nareszcie i, często błędzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a nie wątpię, że Zbigniew padnie do nóg ojca i winy swe uzna.

— Dałby to Bóg! Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach, Boże, jakżeś srogo mię ukarał!

— Właśnie w tem cała trudność polega — rzekł Stefan — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew, nie mając z kim walczyć, tu się stawia. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków, łączących go z ojcem, jak tyle innych już w życiu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny. Ach, Boże! Ach, Zbigniewie, ty nie wiesz, co cierpi twój ojciec!

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdantym jest do tego Wolimir z Moskorzowa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt często unosi się gniewem, zbyt roztarzionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wysłę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego...

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł biskup — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gul-

czewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości, potrzebnej w takim razie, zupełnie mu zbywa. A to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usługaniu tobie.

— Mylisz się, Stefanie; Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko, co wie, co czuje, wynurza przedemną, a szczere jego serce nie skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira; on naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie! — Wolimirze z Moskorzowa! Wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędzej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach! Ach, Zbigniew, Zbigniew!

— Wolimirze — rzekł biskup — król Władysław przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokół...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzowa — dalej mówił biskup — i pilniej zważaj moje słowa! Przybywszy, oznajmisz księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz. Skarbimiro wi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by

natychmiast udał się do Zbigniewa i w imieniu ojca i króla zaprosił go do Płocka na rozmowę z naszym monarchą, ręką mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta¹ przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzej; ale dzisiaj, zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysięcy, rozłożonych po szerokiej równinie i palających namiętnością do boju; jednak, jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, tylko przed świtem jeszcze.

— Drugą uczyniłbym uwagę — rzekł Wolimir — gdyby na to król mój i biskup płocki pozwolili.

— Mów, wielki sokołniku! — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobliwie w takim stanie rzeczy! Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlachetnego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię, by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze ojca zawołanie opuszczać swoich ludzi i oblężony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiejby

¹ Por. t. I, str. 382.

było inaczej księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą, najjaśniejszy panie, ale potrzeba wtenczas przyczyny, którejby skutkiem było i ustąpienie jego nieprzyjaciół z pobojoziska. Czyby jaka zabawa rycerska, turniej naprzykład tu się nie przydał? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci, królu, byś ją przyjął. Turniej osobliwie łatwiejszemu uczynił ich pogodzenie i świetności mu dodał.

— Kiedy tak chcecie — odparł Władysław — urządźcie to oba, bo wiek, słabość, a nadewszystko smutek siły moje nadwerężył!

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza, a gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokołem siwek¹ lub kobuzów² stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekkiego wstrzymać uśmiechu. — Więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest, we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniej w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana Skarbimir z Guleczewa ma zaprosić księcia Zbigniewa i Mieczysława, rozumie się, z innymi także. Wszystkiego zaś ma być

¹ Siwka — kaczka dzika, odmiana cyranki.

² Kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołów.

główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzowa, wyruszający jutro przededniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniej, który pogodzi rodzinę królewską.

Po tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się biskup — ażeby ani Mieczysław ani Zbigniew doń się nie mieszały, a kiedy wszyscy, zabawą zajęci, ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci zapewne trudu stąd wyniknie, ale pamiętaj, miłościwy panie, że to jedyny w tej mierze ratunek!

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota...

Chciał dalej mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy biskup pocieszać go zaczynał:

— Zostaw mnie teraz — rzekł — szanowny Stefanie; udam się do modlitwy, która może zagoi ciężkie rany!

Kapłan, szanując tę pobożność, opuścił go w milczeniu; odchodząc, nie omieszkął powtórzyć Wolimirowi raz już danego zlecenia.

— Zobaczysz, szanowny biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoły sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków, ani na łowach, jeśli nie pogodzimy

tych młodzików; poselstwo z przykładną powagą odbędzie, Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudniejszym będzie ze wszystkiego. Ale, na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba i że się nie wywczasowawszy, mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię, biskupie, i zabieram się do spoczynku; w tej komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściej się zdarza, na służbie.

To mówiąc, obwinał się płaszczem i usiadł w szerokim krześle...

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tem donieść, Wolimirze! — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana; ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż, snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewiczych.

ROZDZIAŁ XII.

Oj, nie bardzo sobie życzę
Oglądać jego oblicze:
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrząsać mi kości.
Piosnka gminna.

— Stój! Jakie hasło? — krzyknął żołnierz, stojący przy końcu obozu, rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój! — powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać!... Jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła; puszczaj mnie, bo na Boga, śpisać się muszę!

— Stój! — groźnie po trzeci raz ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i Belzebuba, człowiecze, co robisz? Przybywam od króla Władysława; puszczajże mnie, bo, na wszystkie orły gór karpackich, niemiłem ci będzie moje przywitanie! Czyż nie znasz wielkiego sokolnika, Wolimira z Moskorzowa?

— Nie znam, tak, jakem Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swoje godności i imiona, nie puszcę cię, nim mi hasło powiesz, lub przez moje ciało przejedziesz!

— Piekli nieś uparty, Michale! Przysięgam ci, żem Wolimir; król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przesyła mnie do księcia waszego.

— Nie nudź mnie napróżno — odmruknął strażnik — bo nic dla ciebie uczynić nie mogę!

Podczas tego sporu kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwając głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce Wszedora, które, niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury, okrążające niebo, poszły w rozsypkę na wszystkie strony i, oświecone najżywszymi farbami, zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśniejszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych

i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do dyabła, spóźnię moje przybycie; co król, co biskup powiedzą? Żołnierz, puść mnie natychmiast, bo przysięgam, że zdrowo nie wyjdiesz z tej sprawy! Puszczaj, bo cię zwałę pod końskie kopyta!

— Precz stąd, zuchwalcze! — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spał rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstąpili, ale potem, ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża. Ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos, w tej samej chwili usłyszany, nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co to się znaczy? Niech każdy wraca na swoje miejsce! Precz stąd, żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, to zdrajca! Powroza! powroza! Zawlec go do najbliższego drzewa!

— Do stu tysięcy strzał i łuków, precz mi stąd, młochu! — krzyknął Jarosz.

Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękował dobrze sobie znanemu towarzyszowi wojewody krakowskiego i [prosił], by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz. — Prawda, że to wieśniacy, chłopci, ci żołnierze z Ciechanowa; my co innego,

przecie zawsze stojemy i zimą i latem w królewskim zamku.

To mówiąc, pokręcił wasa i uklonił się Wolimirowi, który, obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworną postawą gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz? — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nic nie mogą przeciw tysiącom poradzić, zapewnię ci bez twojej pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie, moi przyjaciele! — i rzucił z obojętnością pańską niedawno zawziętym na siebie garść pieniędzy. Poczem oddalił się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz, i kołnierz szerokiego płaszcza, spiętego złotą klamrą, którą, jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk nie-zrównanej piękności.

— Król Filip¹ wtenczas siedział — ciągnął dalej — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancyi, zgromadzone, patrzyły na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jak gdyby to się dzisiaj działo, żem zwałił z konia Enguerranda de Montemor, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie, cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieniec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency...

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława —

¹ Filip I, król francuski, panował od 1060—1108 r.

przerwał mu Jarosz, który, pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu Filipie, Enguerrandzie i Eleonorze, nie wiedział, czy te osoby na ziemi lub na księżycu prze-siadują...

— Szkoda, że nie trochę dalej go ksiązę wystawić kazał, bobym ci mój opis dokończył; ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza przez chwilę stał przed szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnierzowi, pełniącemu tam służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze, czystej jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolony z własnej postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił dalej i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna, złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię, ksiązę, i was, panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając i najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni moim przybyciem? Przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I, król polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego, odpowiem, że nie najlepiej. Co do drugiego, to właśnie będzie następnej mowy przedmiotem — mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak, jak gdybyście własnego monarchę słuchali, gdyż

jego wolę wam oświadczyć. Wstęp do tej mowy, krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzieli na trzy części.

W pierwszej ogłaszam wolą króla polskiego zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

W drugiej oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniej na rynku plockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana: księcia Mieczysława, Sieciecha, wojewodę krakowskiego, Wszebora, pana Ciechanowa, Skarbimira, pana Gulczewa i Kościelca, i wszystkich, którzy tam zechcą się stawić.

Przystępuję do trzeciej i ostatniej części, w której pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi, panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do świetnego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć natychmiast do księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniej i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upłynieniu, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancyi przysięgam, że nie czuję się więcej na siłach i że dobre śniadanie najlepiejby temu zaradziło.

— Żart przedziwny! — rzekł Skarbimir, drżący ze strachu.

— I ja tak sędzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takimi żartami.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic war-kocze, na ten pałasz u mojego boku, na wszystkie

turnieje całej Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam, że prawdę powiedział!

— Dajże już pokój — ozwał się Wszebor — bo wprawisz nas w mniemanie, żeś oszalał, lub zanadto winem...

— Przysięgam słowem rycerskim, że przysłały od króla i że wszystko, com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana, Władysława Hermana, króla i władcy mego, a ktokolwiek poważy się o tem wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza!

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? Czy sądzi, żeśmy dzieci, na zabawę wypuszczone, z której muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku stąd nie odstąpię!

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka przekłętogo przez biskupa? Jego oddech, jego słowa skazują moją niewinność!

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niej śpiewano *requiescat in pace*,¹ nie masz się czego obawiać. Ale, do pioruna, nie jesteśmy niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniej kto mnie przymusi stąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie, co chcecie, moi przyjaciele — zawołał Wolimir — bylebym z głodu nie umarł. Jeszcze noc

¹ »Niech odpoczywa w pokoju«.

była, kiedym wyjechał, wszyscy spali i nic nie mogłem dostać do jedzenia. Książę Mieczysławie, zginę, jeśli...

— Lassoto — rzekł książę do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika!

— Posłuchajcie mnie! — zawołał wtenczas Wszebor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny, powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić, spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi; jeśliście do brzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny.

— Ale niech, kto chce, idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę! — rzekł Skarbimir.

— Przysięgam na mój Topór — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz! — Kiedy my dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić i jeśli nie orężem, to językiem ojczyźnie się przysłużyć.

Zamilkł podskarbi i, siadłszy w kącie, polecał się świętym i aniołowi stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew, niezwykły sobie — pierwszej te mury odemnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie, o sławę Hanny! Król każe mi się bawić, kiedy każdym uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wycieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam...

— Wstrzymaj się, książę! — przerwał mu Wsze-

bor. — Ogłaszam wam wszystkim, że usłucham woli króla. Nazwijcie mię ojcem wyrodnym, bojaźliwym, niegodnym imienia rycerza — nic to nie pomoże: pierwszej byłem Polakiem, nim rodzicem, pierwszej przysięgałem na wierność monarsze, nim doczekałem się córki. Zapewnie, złożyć broń w takim razie wielką jest dla mnie ofiarą; ale nie straciłem z wiekiem tyle mocy i stałości, bym się na nią nie zdobył. Książę uczynisz, co ci się podoba; ale nigdy ręka Hanny z Ciechanowa twoją nie będzie, jeśli nie przeniesiesz dobra ojczyzny nad szaloną miłość. Obieraj więc!

Usiadł w milczeniu Mieczysław, obiema rękami twarz zakrywając.

Tymczasem Wolimir nie stracił ani chwili i, przedziwną zadając sarninę, skrapiał ją węgierskiem winem.

— Przedziwne śniadanie! Ach, twój kucharz, książę, musi przybyć na turniej. Zdrowie twoje, Sieciechu! Na wszystkie sokoły, nigdy lepszej nie widział zwierzyny. Piję do ciebie, Wszeborze! Nie mogę cię opuścić, giermku księcia Mieczysława!

— To jest rycerz Henryk z Kaniowa, od wczorajszej bitwy — ozwał się wojewoda krakowski.

— A więc muszę zdrowie powtórzyć, bom się omylił. Do ciebie piję drugi raz, szlachetny rycerzu! Do was wszystkich, panowie! Niech żyje król Władysław! Uczy nas religia i o nieprzyjaciółach pamiętać, więc zdrowie Zbigniewa! Nie zapominam i o nadobnej Hannie z Ciechanowa.

— Wielki sokolniku — rzekł, zwolna podnosząc głowę, Mieczysław — odpowiedz królowi i stryjowi

mojemu, że przybędę na turniej. Wszeborze, tyś tylko mógł mnie do tego przymusić.

— Synu mój ukochany, niech wszystkie najlitościwszych niebios błogosławieństwa spłyną na twoją głowę! — odpowiedział rozczulony pan Ciechanowa. — Choćby nawet — dodał — i król tego po nas nie wymagał, straciliśmy wielu ludzi wczoraj. Namioty wypełnione są rannymi i w takim stanie czasu najmniej sześciu dni potrzebujemy do pokrzepienia wojska nowymi posiłkami i do obwarowania obozu; własną więc korzyść połączymy z wolą monarchy. Nie prawdaż, Sieciechu?

— Zawsze z tą wolą monarchy występujesz, Wszeborze — odparł dumny wojewoda — a chciałbym, żeby czasem i naszych radzono się chęci; zresztą potwierdzam twoje wnioski, dodając, że turniej najpiękniejszą jest zabawą i że się spodziewam spotkać na nim z księciem Zbigniewem.

— To się mylisz, wojewodo krakowski — rzekł Wolimir, nie opuszczający stołu — bo ani Zbigniew, ani książę Mieczysław podobno walczyć na tym turnieju nie będą. Chce ich król nasz pogodzić.

— Pierwej ogień z wodą! — krzyknął Mieczysław. — Pierwej żmiję przycisnę do łona, niż syna Władysława!

— Ależ, na wszystkie sokoły, potężny Skarbimirze, śpiesz się do księcia, bo król największej prędkości i pilności po tobie wymaga!

— Jam dotąd sądził, że żartujesz, wielki sokolniku.

— Toś się bardzo omylił, bo daję ci słowo, że król Władysław obrał cię do tak ważnego poselstwa, znając twą mądrość i biegłość, nieraz doświadczoną.

— To nie może być, ani mogę temu wierzyć!... Po co mnie do niego wysyłać, mnie, starca, niewiele dni mającego do grobu?

— Tem mniej będziesz ich żałował, jeśli życie tam postradasz! — krzyknął Sieciech i, obróciwszy się do Lassoty, kazał mu przywołać Jarosza z Kalinowy.

— Skończyłem śniadanie — rzekł Wolimir — i przyznaję, że rzadko podobne w licznych nawet za granicą podróży jadłem. Mam nadzieję, że będę mógł lepiej osądzić jeszcze twoją kuchnię, książę, bo myślę tu się zostać na obiad. Wątpię, by wprzód wrócił z zamku pan Gulczewa.

— Zapewnie ledwie na wieczerzę wróci — zawołał Sieciech, mający największe upodobanie w poniżaniu podłego Skarbimira, który całą nienawiścią chytrego i złośliwego serca odpłacał mu za częste żarty.

— A może Zbigniew go do stołu zaprosi? — dodał Wolimir — Tylko żeby nie do nazbyt wysokiego.

— Najwyższe miejsce — odparł wojewoda — najzaszczytniejszem jest zawsze.

— Zapewnie — znów odrzekł sokolnik — i szkoda, żem mego sokoła z sobą nie przywiózł.

— A to na co?

— Boby odstraszał kruki i żarłoczne ptaki, które może będą przeszkadzać panu Gulczewa i Kościelca.

Tu powszechny śmiech, od którego nawet zamysłony Mieczysław nie mógł się wstrzymać, powstał w namiocie.

— Żeby przynajmniej -- ozwał się Skarbimir — hufiec zbrojnych ludzi mi towarzyszył! Powaga królewska nawet tego wymaga.

— Już temu zaradziłem — przerwał wojewoda — kilku zbrojnych odprowadzi cię do bramy, bobyś inaczej uciekł, wyszedłszy z obozu, a wtenczas prawdziwyby uszczerbek poniosła. Ale kiedy wejdiesz do zamku, zostawimy cię własnym losom i przeznaczeniu.

— Dlaczegoż, wojewodo krakowski — zapytał się Mieczysław — nie mamy przystać na tę prośbę Skarbimira?

— Bo, mości książę, potrzebni są nam ludzie, a choć Henryk uniknął wczoraj śmierci, możeby to się dzisiaj nie powtórzyło.

— Więc wystawiacie towarzysza broni, podskarbiego królewskiego — rzekł pan Gulczewa głosem rozpaczony — na pastwę złoczyńców bez litości, wydajecie go wrogom za to, że wam przyprowadził własne hufce?

— Które — przerwał Sieciech — nie chciał przyjąć książę Zbigniew, wychodząc z sali naradnej.

Zamilkł zawstydzony podskarbi trafnym wyrzutem Sieciecha, który dostrzegł był czyn jego niegodziwy. Wtem ukazał się u wnijscia do namiotu Jarosz z Kalinowy.

— Dzielny mój wojowniku — zawołał Sieciech — odprowadź na czele swojego oddziału z białą chorągwią potężnego podskarbiego królewskiego do zamku księcia Zbigniewa! U bram się zatrzymasz i, przekonawszy się, że wszedł do zamku, natychmiast się wrócisz!

Skłonił głowę Jarosz na znak posłuszeństwa, a Skarbimir, widząc nieodzowną konieczność, stanął w środku oddziału i, pożegnawszy wzrokiem napół smutnym, napół wściekłym przytomnych, oddalił się. Słyszał jeszcze dosyć długo głośnie śmiechy wojewody i wielkiego so-

kolnika, ale nareszcie wszystko umilkło. Minął ostatnie obozu namioty i powoli zbliżał się do zamku z równym przerażeniem, jak gdyby szedł na szubienicę. Chorągiew biała, z daleka jeszcze ujrzana, dowiodła stojącym na straży przy moście zwodzonym, że w zamiarach pokoju zbliżają się do nich; natychmiast uwiadomili o tem pana, który wysłał na przyjęcie gości Jordana z Gozdawy. Grzecznie uklonił się rycerz podskarbiemu.

— Jaroszu — rzekł po cichu Skarbimir — obiecuję ci worek pełen złota, jeśli za mną do zamku pójdziesz.

— Potężny panie Gulczewa, nie potrzebowałbym nagrody dla oddania ci tej przysługi, gdyby rozkazy wojewody Sieciecha mnie nie wstrzymywały; pozwól więc, bym cię pożegnał!

To mówiąc, dał znak swoim ludziom do odwrotu i zostawił Skarbimira z Jordanem, który kazał spuścić most zwodzony, a łoskot, stąd wynikły, wydał się w uszach przerażonego starca ostatecznym zaguby wyrokiem.

ROZDZIAŁ XIII.

Pragniesz mnie, widzę, zdrajco, schwycić w swoje szpony —
Zobaczem, kto z nas lepiej w zdradach wyćwiczony!

Bezimienny.

— Książę i pan nasz trochę słaby — rzekł Jordan, prowadząc Skarbimira do komnaty Zbigniewa. — Ale Abraham z Hamburga obiecuje, że wkrótce go uleczy z lekkiej rany i że będzie mógł wrócić na pole bitew i sławy.

Rycerz żadnej nie uzyskał odpowiedzi, bo Skarbimir cały drżał od strachu i wszystkie natężał siły, by nie upaść; to wszystko, połączone z niespokojnością duszy, z niepewnością, jak go przyjmie książę, w taką wprawiło go trwogę, że odrzekłby się wszystkich bogactw dla uniknięcia przykrego położenia. Nagle bowiem, jak gdyby porwany z obozu i rzucony w mury nieprzyjacielskie, poglądał błędnym na otaczających wzrokiem, a słowa Jordana, choć uprzejmie wyrzeczone, groźnie w jego uszach grzmiały. Miał jednak czas do przyzwyczajenia się, bo nie zaraz za wejściem do zamku do jego pana się dostał; przechodził wiele komnat i galeryi, ale wcale inszą postępował drogą od tej, na której Mestwin biskupowi przewodniczył. W każdym pokoju zastał mnóstwo zbrojnych, różnie czas przepędzających. Jedni z puhaem w ręku dawne opowiadali czyny, drudzy grali w kości i, uniesieni namiętnością, jednym ruchem rozstrzygali los swój przyszły, lub też umiarkowańsi, nie wystawiali całych majątków na pastwę ślepego losu, ale pomniejsze przedmioty, jak hełmy, pałasze, sztylety. Słowem, ożywiony zamek przedstawił oczom Skarbimira liczne hufce i wesoło bawiących się rycerzy, którzy rzadko odwracali oczy na przypatrzenie się jemu. Dostał się on nareszcie do drzwi, za których otwarciem ukazały się ogromne z ciosowego kamienia schody, wybudowane w różne zakręty, coraz bardziej wznoszące się do góry. Tymi poszedł za znakiem, danym od Jordana z Gozdawy, który znowu wszczął rozmowę opowiadaniem własnego poselstwa do jakiegoś dzikiego wódza Prusaków, ale i teraz żadnej nie uzyskał odpowiedzi.

Skarbimir czując, że wkrótce przyjdzie mu spełnić zlecenie Władysława, zaczął nad niem myśleć i, ochłonawszy nieco z przestachu, urządził w myśli tryb całego postępowania; nareszcie i miłość własna, nigdy nie opuszczająca człowieka, ozwała się w głębi duszy i, przemóglszy nad bojażń, pomogła do ułożenia mowy, w której miał ozdobnemi słowy i właściwymi wybiegami wolę monarchy oznajmić, dumy księcia nie zrażając i zarazem czyniąc zadosyć rozkazom króla. Dzięki długości drogi zupełnie był przygotowany do spełnienia odebranych zleceń podskarbi królewski, Skarbimir z Gulczewa, kiedy Jordan z Gozdawy go ostrzegł, że przybył do komnaty księcia.

Był to mały pokój z okrągłemi oknami i wysokim kominem, którego ognisko znacznie występowało. Łoże z zielonemi zasłonami stało po jednej stronie, a nad niem widziano zawieszoną zbroję leżącego teraz Zbigniewa, której brakowało tylko sztyletu, położonego na stole obok łoża, przy którym siedział na aksamitnej poduszce Mestwin z Wilderthalu. Z drugiej strony Abraham z Hamburga obwijał ramię Zbigniewa szerokimi taśmami.

Syn Władysława bledszym się, niż zazwyczaj, wydawał, a chociaż uśmiech umiłał mu usta w chwili ukazania się Skarbimira, można było w nim rozeznąć pewną gorycz i uczucie bólesci. Powiernik jego niemiecki dzikiem wejrzeniem wpatrywał się w otaczające przedmioty, a jeden tylko Abraham zachowywał piękno zwyczajnej łagodności.

— Nie spodziewaliśmy się zaiste twoich odwiedzin, najhójniejszy z panów dworu ojca mojego — rzekł

książę, odpierając zwolna lekarza — ale kiedy przyszło do tego, że cię słuchać musimy, mów prędko, co masz do mówienia, bo zapewne wiesz, że cierpliwość nigdy moim nie była przymiotem, a teraz jeszcze zmniejszył się jej ostatek, kiedy dolega mi rana, przez was sprawiona! Tak, przez was samych. Co za hańba! Kiedym jak prawy rycerz walczył z twoim księciem Mieczysławem, kiedy wszyscy moi ludzie schowali oręż, wyleciał pocisk z równiny i zdrada dokonała tego, na coby nigdy Mieczysław się nie zdobył. Mieczysław, on, to dziecko miałoby mnie zwalczyć? Jedno moje tchnienie zmiotłoby go z tych murów! Ale sprawiaj się z swego poselstwa!

Taka przemowa zastraszyłaby mężniejszego nawet od Skarbimira. Jak wryty, stanął na środku pokoju pan Gulczewa i nie mogąc dalej postąpić, ani wstecz się cofnąć, zapomniał nawet ukłonić się księciu i razem całej swojej mowy. Jej okresy jeden po drugim znikały mu z pamięci, a ile razy otwierał usta, dreszcz śmiertelny, przebiegając wszystkie kości, wstrzymywał go od mówienia, zimny pot kroplami sączył się z czoła. Wzrokiem pomieszanym patrzył na Zbigniewa i nie miał już mocy odwrócenia go w inną stronę. Zmarszczył brwi książę, ale poczekał jeszcze chwil kilka, a kiedy ciągle panowało milczenie, postanowił go przerwać.

— Cóż więc masz nam ogłosić, panie Gulczewa? Po coś tu przyszedł? Nuż, do szatana, Czyż nie otworzysz ust, jak gdyby na kłódkę zamkniętych? czyż ja mam pojedyncze ci zadawać pytania? Gadajże więc, do pioruna!

Ale to nic nie pomogło i podskarbi, coraz bardziej upadając na siłach i nie mogąc się dłużej utrzymać, przykląkł na podłodze.

— Czyś oszalał, tchórze przeklęty? — krzyknął Zbigniew. — Raz przysyłają mi biskupa, któremu ust przymknąć nie można, to znowu człowieka, któremu ich niepodobna otworzyć!

— Dobry mam klucz na takie przypadki — rzekł Mestwin, wskazując na sztylet.

— Daj pokój! — odparł książę. — Ale, Skarbimierze, nie nudź mię tak długo, bo, na Boga, każę cię związać i wrzucić gdzie do lochu, w którym, prześpiawszy się na słomie, rozum i mowę odzyskasz! Ale, na wszystkich świętych, zobaczycie, że zemdleje. Abrahamie, nie masz jakiego lekarstwa, przydatnego podskarbiemu królewskiemu?

— Nasza nauka — odpowiedział Izraelita — zawiera ważne tajemnice; umie odwracać choroby, przewidywać ich skutki i zaradzać licznym ułomnościami, alem takiej słabości nigdy jeszcze nie widział, choć moje stopy okryły się kurzawą ziem odległych z tej i z tamtej strony morza, choć nie w jednej szkole uczyłem się boskiej sztuki uzdrawiania, bo najwięksi nasi mistrzowie i mędrcy w Hiszpanii i cesarstwie Wschodniem dobrze znają Abrahama z Hamburga; jednak na wszelki przypadek będę się starał mu pomódz.

Po tych słowach wyjął z szkatułki, z którąśmy już czytelników zapoznali, kawałek z odległych stron przywiezionego drzewa i przyłożył go do skroni i nozdrzy Skarbimira.

Odskoczył w tył pan Gulczewa i uczył rozlewającą

się siłę po wszystkich żyłach; już mu nogi nie drżały, już pot mroźny nie oblewał czoła i odzyskał nagle przytomność umysłu.

— Doskonale — zawołał książę — radzę ci mieć zawsze przy sobie takiego lekarza.

— A osobiwie — dodał Mestwin — przy poselstwach zdałby się Abraham panu Gulczewa.

— Kiedyś już odżył, to zaczynaj! — ozwał się Zbigniew.

— Racz darować — rzekł nareszcie Skarbimir — racz przebaczyć, nieprzebrany w łasce i litości książę! Chwała, która cię otacza, moc, nigdy nie odstępująca twójemu ramieniu, przeraziły moje serce. Słowa, przez ciebie wyrzeczone, wydały mi się grzotem i padłem na twarz przed tobą. Teraz, wróciwszy do zmysłów, dobroć twoją bez miary poznaję i ośmielam ci się oznajmić zlecenia, przez mego miłościwego króla mi dane. Brzmia one w następującej treści —

— Tylko oszczędź nam swojej wymowy — przerwał książę — krótko i zwięźle wszystko nam opowiedz.

— Twoje rozkazy świętymi są dla mnie, najjaśniejszy króla nam panującego potomku, w najściślejszych obrębach rzecz moją obejmę. Władysław Herman, pierwszy tego imienia...

— Już »pierwszy tego imienia« niepotrzebne — przerwał Mestwin.

— Władysław Herman uprasza cię, książę, byś pozwolił na zawieszenie broni.

— A to dziwy teraz na świecie — zawołał Zbigniew — ojciec i król uprasza syna i poddanego, ażeby pozwolił!

— Więc rozkazuje — rzekł Skarbimir, u którego

dosyć często złość bojaźń przemagała — byś zawarł zawieszenie broni z księciem Mieczysławem, wojewodą krakowskim Sieciechem i...

— Domyślam się, z kim więcej — znów przerwał Zbigniew — dalsze króla rozkazy mi ogłoś!

— Najjaśniejszy książę, zbliżają się urodziny twego ojca; zamyśla on przepyszny wyprawić turniej dla świetniejszego ich obchodu, na który zaprasza cię przezemnie. Wszyscy twoi przeciwnicy tam będą.

— Turniej — krzyknął Zbigniew — turniej! Mój ojciec schorzał, wiekiem osłabiony, lubiący nadewszystko cichość i spokojność, turniej wyprawia! Widzę, że się wszystko przewróciło od kilku dni na świecie. Już nawet zaczynałem się tego domyślać, kiedym nie mógł za drugim uderzeniem zdruzgotać tego Mieczysława, tego dziecięcia, niedawno wyszłego z kolebki.

— Czekam teraz z uszanowaniem i pokorą ci winną odpowiedzi, najjaśniejszy książę.

Pomyślał przez chwilę Zbigniew, a potem, obróciwszy się do Mestwina:

— Tydzień nas dzieli od urodzin ojca, rana się zagoi, a potem chcę ich widzieć, chcę z Sieciechem kilka słów pomówić; nareszcie dlaczegóż miałbym nie uczynić zadosyć woli ojca w tak małej rzeczy? Sześć dni później czy wcześniej zginą, wcale mię to nie zastanawia. Dla nich życie jest drogie, bo już go długo posiadać nie będą. Skarbimirze, możesz upewnić mego rodzica i monarchę, że przybędę na turniej życzyć mu szczęśliwych urodzin i pomyślnej starości.

Po tych słowach wskazał ręką drzwi podskarbiemu, ale ten zamiast pożegnania się z księciem padł przed

nim na kolana i z złożonemi rękami prosił o pozwolenie wynurzenia najszczerzych, jak mówił, chęci i pragnień.

— Znowu cud! — krzyknął Zbigniew — szczerść u ciebie! Ale mów, pozwalamy!

— Najpotężniejszy panie, Bóg mi jest świadkiem, że cię szanuję i uwielbiam nadewszystko, że Mieczysławowi nie sprzyjam, że ciebie tylko zawsze miałem na widoku. Tobie służyć najpożądalszą dla mnie rzeczą, w twojej służbie umrzeć najmilszą byłoby dla mnie nadzieją; przyjm odemnie przysięgę wierności, a za to żądam tylko od ciebie łaskawego wejrzenia! Najjaśniejszy książę, wymów jedno tylko słówko, jedno pozwolenie, a Skarbimir najszczęśliwszym będzie!

— Precz mi — przerwał mu z gniewem syn Władysława — precz mi z oczu, zdrajco! pochlebco! Precz stąd — powtórzył sroższym jeszcze głosem — bo twoja głowa niepewna, dopóki w tych murach przebywasz! Milcz, podły służalcze, milcz, skąpcze obmierzły! Słowo jedno z ust twoich już mnie w wściekłość wprawia; niech jeszcze twój głos usłyszę, a usta, które go wydały, oniemiają na zawsze! Wracaj do swoich, powiedz królowi, jakeś pięknie spełnił poselstwo, jakeś przymusił wymową księcia Zbigniewa do usłuchania ojca; idź bezwstydnie kłamać, jakeś tu bezczelnie zdradzał! Jordanie, odprowadź tego człowieka jak najprędzej! Mestwinie, usuń ten sztylet z pod mojej ręki, bo mógłbym, uniesiony gniewem, zgwałcić na jego osobie uszanowanie, winne mojemu ojcu!

Natychmiast Jordan z Gozdawy silną ręką dźwignął

z ziemi odchodzącego od zmysłów podskarbiego i za drzwi go wyprowadził.

Ledwo wyszedł, aliści powstał milczący dotąd Mestwin i rzekł do księcia, kazawszy naprzód lekarzowi się oddalić:

— Zdać się nam może Skarbimir niezadługo; taki człowiek w naszym zamku próżnym byłby ciężarem, ale w obozie nieprzyjaciół nieoszacowanym jest klejnotem.

— Daj mi z nim pokój! Znam jego chytrość i podstęp; nie chcę, nie potrzebuję jego usług.

— Książę i panie mój, zaufaj mojemu doświadczeniu! Skarbimir, samemu sobie zostawiony, mógłby stać się naszej sprawie szkodliwym pod pozorem przyjaźni i upokorzenia, ale znajdzie we mnie mistrza, w niczem mu nie ustępującego. Wykryję jego wybiegi i podstęp, wyświecę pierwszą jego myśl zdradzieczą, a wtenczas któż nam zabroni zdjąć z szubienicy żołnierza i zastąpić go podskarbim?

— Rób, co ci się podoba, Mestwinie! — odpowiedział zniecierpliwiony książę. — Na dzisiaj daj mi pokój i opuść mnie! Snu potrzebuję.

To mówiąc, obrócił się do ściany, a Mestwin, uzyskawszy pozwolenie, wyleciał z pokoju szybko, dobrze znanymi skrytymi schodami zstąpił na dół i w mgnieniu oka przebiegł cały zamek, po którym tak długo Jordan oprowadzał pana Gulczewa.

Już Skarbimir z radością widział otwierającą się bramę zamkową, już most zwodzony spuszczano, kiedy mocny głos: »Stójcie!« — zawołał i w tej samej chwili stanął przy nim Mestwin.

Na ten widok pewny śmierci starzec skłonił głowę na piersi i głęboko westchnął; ale nim podniósł oczy, uczuł przyjazne ściśnienie ręki i grzecznie wyrzeczone słowa usłyszał:

— Książę chory, trzeba mu uniesienie przebaczyć!

— Przebaczyć — powtórzył zdziwiony Skarbimir — ach! jakże nie przebaczyć takiemu bohaterowi, rycerzu Mestwinie z Wilderthalu!

— Posłuchaj mnie, panie podskarbi królewski! — rzekł Mestwin i odprowadził go na stronę.

— Gotów jestem — odpowiedział Skarbimir, poznając, że chcą go w jakieś sidła ułować. — Ale nie tak łatwo ze mną — pomyślał. — Alboż to nie przepędziłem życia na dworze? Alboż to poselstw mnogich nie odprawiłem? Alboż to nie oszukałem, nie zwiódłem tylu książąt i panów?

— Książę i pan mój — zaczął Mestwin — takiego est ułożenia, że pierwsza myśl, co się nawinie, zawsze mu się z początku najlepszą wyda; ale potem, zastanowiwszy się, często gotów jest do uczczenia rzeczy, którymi pogardzał, do szanowania osób, na które złem okiem patrzył. Właśnie to się samo dzisiaj zdarzyło; nieprzyjemnymi pożegnał cię słowy, aleś ledwo wyszedł, upamiętał się i przysłał mię do ciebie. Skarbimirze, czy można na ciebie rachować?

Te słowa ostatnie wyrzekł stanowczym głosem i mocno ścisnął rękę podskarbiego, który po chwili namysłu:

— Jużem się oświadczył — odpowiedział — z poświęceniem bez granic dla księcia, a choć źle przyjęto moją życzliwość, w niczem się ona nie zmieniła.

— Pozostaniesz więc w obozie nieprzyjaciół, czy tu się przeniesiesz? — zapytał Mestwin.

— Uczynię, co książę rozkaże.

— Tłómacz się jaśniej, szczerze powiedz: czyś gotów wiernie służyć Zbigniewowi? Czy twoje usługi zdrady czasem nie pokrywają?

I patrzył się Mestwin na Skarbimira bystrym wzrokiem, chcąc przeniknąć tajniki jego serca. Ale nikt podskarbiemu nie mógł wyrównać w sztuce udawania, a w spokojnej naradzie, w której nie błyszczały miecze, rzadko kto potrafił zmieszać bezwstydną czoło. Rycerzowi też niemieckiemu nie zbywało na przebiegłości, a miał on tę wyższość nad panem Gulczewą, że czy to w cichej naradzie, czy pośród wrzawy i bojów, zawsze zachowywał niczem nienaruszoną spokojność. Wystąpili teraz ci dwaj ludzie, równie chytry i niegodziwi, każdy w swoim rodzaju, do potyczki; każdy starał się przeciwnika myśli odgadnąć, każdy obiecywał sobie zwycięstwo, każdy był pewnym, że drugiego oszuka; ale rozważa i zimna krew Mestwina zapewniała mu wygrana, bo Skarbimir trwożnym okiem poglądał na rękę rycerza, opartą, jak gdyby od niechcenia, na rękojeści stalowego sztyletu.

— Zdrada daleka odemnie była zawsze i będzie — odparł Skarbimir — przysięgam więc.

— Nieważna przysięga — przerwał rycerz niemiecki — bom słyszał od wielu, żeś nieraz podobną naruszył i złamał.

— Kto mógł mnie oczerniać, kto oskarżać o taką zbrodnię, dzielny rycerzu? Staw mi go przed oczy, a moja niewinność zawstydzi jego potwarze!

— Przyszłoby mi wtenczas stawić przed tobą — zawołał Mestwin — panów wszystkich, którym kiedykolwiek służyłeś, przyjaciół, których zdradziłeś, całą Polskę, w której szeroko się rozlega pogłoska o fałszu twoich miodowych słówek i udanej cnoty. Sam powiedz, czy w tej chwili nie zdradzasz Mieczysława? Więc pewniejszej mi trzeba rękojmi nad twoje przysięgi.

— Ja Mieczysława zdradzam? — odrzekł podskarbi. — Alboż udzielny pan Gulczewa ma jakie dla niego obowiązki lennicze? Alboż słowo lub wdzięczność wiąże mnie do niego? Owszem, chęć serce i uszanowanie zbliżyły mnie do Zbigniewa. Nie od dzisiaj ozwały się te uczucia we mnie. Jeszcze w sali tronowej mu je oznajmiłem, jak sam zaświadczyć może. I któż teraz tak ślepym, tak nierozsądnym będzie, ażeby mojemu słowu nie ufał, ażeby nie widział, że same niebiosy natchnęły mnie przywiązaniem do syna mojego monarchy?

— Wszystko to są próżne słowa — rzekł mocnym głosem Mestwin. — Nie możesz inaczej mówić w tem miejscu; będąc w naszej mocy, każdyby na takie same oświadczenia się zdobył.

— Więcej ci jeszcze powiem — zawołał z żywością pan Gulczewa. — Nie cierpię, nienawidzę Mieczysława, Wszebora, Sieciecha — Sieciecha, tego wojewodę, który ufny w swoim mieczu, śmie mnie na śmiechy i żarty wystawiać! Choćbym nie czuł przychylności dla Zbigniewa, nienawiść ku wojewodzie jużby mnie kazała się zaciągnąć pod znaki jego nieprzyjaciół. On, wzniósłszy się na ten urząd, nie wiedzieć, za co i nie wiedzieć, dla czego mnie, zestarzałego na dworze, mnie, wiekiem i godnością szanownego, sto razy na dzień

obraża! Mestwinie, wierz mi, gdybym mógł, udusiłbym go własnymi rękami.

Słuchał tych słów rycerz niemiecki z natężoną uwagą i na chwilę nie odwrócił oczu od twarzy Skarbimira, która dopiero teraz odbijała prawdziwe duszy uczucia. Złość, długo tajona, wybuchnęła we wścieklej mowie, marszcząc jego rysy, a oczy piekielnym ożywiając ogniem.

Odstąpił o kilka kroków Mestwin i rzekł po cichu Jordanowi z szyderczym uśmiechem:

— Trzymam go teraz w mojej mocy; pierwsze słowa szczere teraz wyrzekł i wpadł w zastawione sieci dzięki miłości własnej, która nawet nad chytrą wzięła górę u niego.

Ochłonawszy z zapału, poznał Skarbimir, że niebacznie odkrył prawdziwy stan serca i gorzko westchnął, tak, jak wojownik widzący, że po przegranej bitwie musi ustąpić dzielniejszemu przeciwnikowi. Nie stracił jednak zupełnie nadziei, spodziewając się, że może jeszcze potrafi złudzić Mestwina; zaczął więc nanowo oświadczenia, powtórzył przyrzeczenia i zakończył, dodając, że przejęty jest najżywszem do księcia przywiązaniem.

Rozśmiał się wtenczas głośno rycerz niemiecki i, z urąganiem poglądając na podskarbiego:

— Wierzę, wierzę — zawołał — ale nie wszystkiemu! Z początku i teraz na końcu bezwstydnie skłamałeś, we środku prawdę powiedział. A cóż, czym nie zgadł?

Pozostał w milczeniu Skarbimir, gryząc sobie wargi.

— Panie Gulczewa — ciągnął dalej Mestwin — znam

cię doskonale teraz; oszczędź sobie słów i zabiegów, bo daremnymi będą! Na świecie, gdzie tylu jest niedoświadczonych lub nierozsądnych, możesz jeszcze się pokrywać barwą cnoty, możesz jeszcze udawaniem przyciągnąć i oszukać; ale w tym zamku już nic nie zdziałasz, są bowiem w nim ludzie, którzy wśród najburzliwszych namiętności wzrósłszy, umieją ich uniesienia rozeznaczyć od zimnej rachuby i wykrywać każdego skryte chęci i żądze. Skarbimirze, bądź wiernym Zbigniewowi, a nagrodę pewną ci obiecuję, czy zechcesz poniżenia Sieciecha, czy własnego wzniesienia! Wróć do obozu, w nim ciągle przebywaj i sprzyjaj naszej sprawie, wypełniaj nadsyłane od nas polecenia!...

— Jakież one są?

— Dowiesz się o nich w przyzwoitem miejscu i czasie, a kiedy po drugi raz ujrzysz ten pierścień w ręku drugiego, bądź pewnym, że to mój posłaniec!

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz zresztą postępować; skrytość i chytrość najmilszymi ci towarzyszami od dzieciństwa były. Wszystko uważaj i pilnie nam donoś, pamiętaj oraz o pierścieniu!

— Więc mi szpiega rzemiosło przybrać trzeba, rycerzu?

— Nie szpiega, ale poświęconego sługi mego księcia i pana; bo na wszystkie cienie pomordowanych tą szablą wrogów, gdybym kiedy odkrył chęć zdrady w tobie, nie długobyś na tej ziemi przebywał. Dopóki wiernym nam będziesz, dopótyśmy przyjaciele. Nie ośmielaj się walczyć ze mną, nie ubiegaj się o pierwszeństwo w podstępach, ostrzegam cię, nie knuj za-

dnej zdrady, bo, jak dzisiaj oderwałem zasłonę z twojego serca, tak zawsze to samo potrafię uczynić. Przyznaję, że przez długi czas nikt ci nie zrównał na drodze fałszu i kłamstwa; dotąd pierwszym byłeś, ale dzisiaj uledeć musisz wyższemu od siebie! Znalazłeś pana, który cię utrzyma na wodzy. Porwany jego potęgą, odtąd jego tylko rozkazy wypełniać będziesz, a jeśli zechcesz mu się sprzeciwić, zrzuci cię on w przepaść, z której nigdy nie powstaniesz. Idź więc, wracaj do obozu, spraw się Władysławowi z poselstwa, ale pamiętaj, że odtąd oko czujne czuwać będzie nad tobą i że ręką, zawsze gotową spaść na twoją głowę, wiecznie ci będzie grozić zagubą!

Po tych słowach odszedł Skarbimir, złością i wstydem przejęty. Budowę chytrości, którą z taką pracą wznosił przez lat tyle, zwałił człowiek, na którego dawniej patrzył z pogardą. Wracał więc do obozu z spuszczoną głową, z rozpaczą w sercu; czuł, że odtąd wszystkie jego kroki śledzić będzie nieprzyjaciel, skory do użycia najgwałtowniejszych środków, a sobie samemu musiał przypisywać winę tego nieszczęścia. Czegóż było wydawać się tak porywczo z żalem do Sieciecha? Czyż tysiącznych wybiegów wynaleźć nie mógł na omamienie i odurzenie Mestwina? I rycerz ten, pośród namiotów wychowany, częściej na koniu, niż w radnem krześle siedzący, wziął górę nad przebiegłym Skarbimirem! I on nie potrafił zrzucić tego haniebnego jarzma?—Takie myśli dręczyły zbliżającego się do obozu starca, jednak nadzieja zemsty nad Sieciechem pocieszyła go trochę, a potem rzekł sobie po cichu: »Nie Zbigniew, to Mieczysław upadnie i zawsze

jednym mniej będzie; potem pomyślemy i o tamtym». To mówiąc, nagle odwrócił głowę i obejrzał się z mimowolnem przerażeniem na wszystkie strony tak, jak gdyby Mestwin go mógł słyszeć.

ROZDZIAŁ XIV.

Lecz w piersiach jego piekło zawrzało,
Zawrzała zemsty chęć wściekła,
Gdy się cofnąwszy z postacią śmiałą,
Te dumne słowa wyrzekła:
»Niedoścze ciężką znosiłam mękę,
Że jeszcze zuchwały zbójca
Śmie mi zbrodniczą podawać rękę!
Zbrodniarz.

Wprowadzimy teraz czytelnika do jednej z komnat zamku księcia Zbigniewa, dotąd mu nieznanej, chociażśmy go często i może aż do znudzenia po nim wodzili.

Żeby oznaczyć jej położenie, wypada powiedzieć, że wszedłszy na schody, kręcące się w wieży zachodniej, dosyć długo trzeba było iść nimi, nim się dostano do ciasnej galeryi, oświeconej teraz rzadkiemi pochodniami, których migające światło z trudnością się przedzierało przez nocne ciemności. Przy końcu tej galeryi widziano wyniosłe drzwi, nad którymi zakrzywiało się sklepienie, a za ich otwarciem ukazywała się wzwyż wspomniona komnata, do której opisu przystępujemy, o ile nam tego dozwolą mdłe i słabe promienie samotnej lampy, stojącej na długim stole, zajmującym cały środek pokoju. Kamienna po-

sadzka dźwigała liczne siedzenia, czarnem obite sukniem, i kilka szaf, żelaznemi obwarowanych kraty, z za których lśniły się oręża wszelkiego rodzaju. Spoczywała tam bowiem polska szabla i francuska szpada, angielski topór i włoski sztylet, ciężki pancerz niemiecki i lekka kolczuga południowych krain, strzały, śmierć niosące z daleka, i włócznie, z blizka rzucane, kilka ogromnych kopii stało opartych o ściany, ciemnem obiciem zakryte, na których rzadkie wisiały obrazy, wystawujące morderstwa i walki. W głębi ukazywało się łóże, zasłane niedźwiedzią skórą, a blisko niego zaczynały się kamienne schody, prowadzące do mniejszego pokoju, z którego wypływające światło, wchodząc do szerokiej, pod nim będącej komnaty, konało u stóp łóża, niewyraźnie już tarczę, przy niem zawieszoną, i napis, na niej wyrity, od innych odznaczając przedmiotów.

Wpatrywał się w ten napis rycerz Mestwin z Wilderthalu z założonemi rękoma i powtarzał czasem ze zwykłym sobie uśmiechem: »Śmierć temu, który się mnie dotknie«! Czasem też oddalał się od ściany i, szybko przechadzając się po komnacie, pojedynczymi wykrzyknikami: »Do szatana, jej oczy! jej twarz! Niema nic równego w Niemczech«! poruszenie duszy odkrywał. Nareszcie usiadł przy stole i zaświsnął w srebrną świstalkę, wiszącą na sznurku, okręcającym się naokoło szyi. Natychmiast ukazała się na schodach kamiennych zbiegająca z wierzchniego pokoiku osoba, która, przystąpiwszy do rycerza, lekkim go przywitała ukłonem. Był to młodzieniec, nie więcej nad ośmnaście lat liczący, w kształtnym paziów niemie-

ckich stroju; twarz jego wiosenną specyliły oznaki burzliwych już namiętności, a ogień, błyszczący w oczach, stracił znamię niewinnej cnoty. Jakaś nawet ponurość, daleka od wesołości najpiękniejszej życia pory, kaziła piękne jego rysy. Zresztą żywość i zręczność wydawała się w każdym poruszeniu, a włosy, w gęstych pierścieniach szyję otaczające, przydawały jeszcze powabu do oblicza, na nieszczęście zbrodni, a przynajmniej zimnem do niej przyzwyczajeniem nacechowanego.

— Ulrychu — rzekł Mestwin — powiedz mi szczerze, czy kiedy w naszych bogatych miastach lub na brzegach Elby lub w górach dzikiej Szwajcaryi lub nareszcie na świetnych turniejach naszej ojczyzny widziałeś równą jej piękność, oko tak ponętne, kibić tak kształtną?

— Trudno mi być sędzią w tej sprawie, bo nie wiem, o kim chcesz mówić, mój panie.

— O niej. Czyś nie słyszał? O Hannie!

— O księżnie naszej, rycerzu?

— Kto tu jest księżną? — zawołał Mestwin, podnosząc się nagle i wściekle miotając na wszystkie strony spojrzenia. — Kto tu śmie ją tak nazywać, nie uzyskawszy wprzód pozwolenia odemnie, prawdziwego tych miejsc pana? Kto tu jest księżną? dziecię, pytam się jeszcze raz ciebie.

— A zdaje mi się — odparł zdziwiony Ulrych — jeśli nie w błędzie, że taką jest żona księcia Zbigniewa.

— Kto tu jest żoną Zbigniewa? — po drugi raz zapytał Mestwin. — Czym na to się zgodził? Czyż jedno

moje słowo lub skinienie potwierdziło ten obmierzły związek?

— A czemuż jest Hanna z Ciechanowa?

— Moją żoną! — krzyknął rycerz, kładąc rękę na piersi — moją żoną lub trupem bez czucia, ciałem bez duszy za dni kilka!

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie, które znów przerwał Mestwin, odzywając się do Ulrycha:

— Nie chciałem wierzyć, żeby tajemnicza siła zapalała serca i w ciężkie okowała pęta. Śpiewy naszych minstrelów i zalotności współtowarzyszów broni urojeniami się wydawały; gardziłem miłością, a jeśliś uwodził dziewczyny, było to raczej skutkiem przyjemności, którąś obiecywał sobie z ich łez i westchnień w chwili pożegnania lub opuszczenia. A teraz i mój duch śmiały uległ nieznanej potędze, która przemogła nad wiernością i przywiązaniem mojem do Zbigniewa. Ulrychu, nie wierz, śmieję się, albo raczej wierz i nie śmieję się, bobyś to srogo mógł opłacić: kocham, kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją pojąć, przysięgam, że albo moją będzie, albo zginie! Dwie drogi otwierają się przedemną; jedna prowadzi do zdrady i miłości, druga do wierności księciu i zemsty; rozumiesz mnie, Ulrychu?

— Na szatana, cię nie rozumiem, drogi mój panie!

— Nie rozumiesz, ziemską istotę, prochu nikczemny! Powiadam ci, że Hanna musi do mnie należeć. Z nią ujadę w dalekie strony. Te śnieżne piersi za mną wzdychać, te czarne oczy na mnie tylko zwracać się będą.

— Niepojęte dziwy! — rzekł Ulrych. — Zamek obwarowany, mury wysokie, a serce kobiety innemu oddane; chyba pożyczwszy skrzydeł u sokoła, a wdzięków u serafa, wykonać to będziesz w stanie.

— Wywrócę zamek, przejdę mury, opanuję serce; moja wymowa i mój rozum jednego i drugiego dopną. Łatwo mi stąd, z Polski nawet umknąć. Dzisiaj przyjąłem nowego sługę.

— Nowego sługę, ukochany mój panie — przerwał smutnie młodzieniec — a cóż się stanie z Ulrychem? Czyż na to ojczyste opuścił kraje, byś go zostawił w tych stronach, bez przyjaciół, bez opieki, a nade wszystko bez ulubionego pana? — To mówiąc, schylił się i ucałował rękę rycerza.

— Nie rozumiesz mnie dzisiaj, niepojętne dziecię; mówię ja o inszym słudze, a tym jest Skarbimir z Gulczewa, podskarbi jego królewskiej mości. On mnie wszystko ułatwi, za wyrzeczonym rozkazem przybiegnie podesłać się pod moje stopy i wszystko wypełnić z ochotą, co zechcę. On mi szczęście zapewni, za jego pomocą Hanna moją będzie, albo też, jeśli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzmi w przyszłości, zemsty niewidzianej dotąd!

— Czyś nie słaby czasem, mój panie? — zapytał paż, przerażony uniesieniem pana.

— Precz mi z takimi wnioskami! — przerwał grzmiącym głosem Mestwin. — Owszem, czuję napływ sił nadzwyczajnych, sił, które mi światbym mógł zniszczyć, czuję ogień w piersiach, którego wkrótce wybuchną płomienie. Nigdy nic w życiu lepiej mi nie

usłużyło nad tę ranę, odebraną przez Zbigniewa. Hanna teraz sama przesiaduje w swoich komnatach. Na szatana i piekło zarazem, to moja żona; powiadam ci, paziu, ona moją żoną być musi!

— Jeśliś tak postanowił — ozwał się Ulrych — to będziesz łaskaw użyć mnie do posługi w tej sprawie, wiesz bowiem, że orle mam oko i jelenie nogi, umiem się jak wąż czołgać po nieprzyjacielskich obozach i rzucać się z zajądlnością na wskazane ofiary.

— Doświadczyłem często twojej zręczności — odparł Mestwin — a teraz potrzebniejszą mi ona, niż kiedykolwiek, będzie. Wspomniałeś o obozach nieprzyjacielskich, wkrótce je odwiedzisz. Ale, Ulrychu, zdaje mi się — dodał już ciszej i z szyderskim uśmiechem — że spokojny i wyrachowany zwyczajnie rycerz z Wilderthalu zanadto się uniósł; rysy jego zapewne przybrały cechę namiętności i prawdy, oddawna zapomnianej. Trzeba odmienić ten wyraz twarzy i znowu wrócić do zwykłego stanu! — To mówiąc, zdjął świstalkę, a na jej miejscu zarzucił rycerski łańcuch, szpadę z świetną rękojeścią, z szafy wyjął, zawiesił u boku, a aksamitną czarną czapkę z długimi piórami włożył do ręki.

— Idę — rzekł — zobaczyć, czy pierwsze natarcie mi się uda — ale rzadko od razu zupełne odnosi się zwycięstwo, wolno jednak szczęścia próbować. Wleję w jej serce nieufność ku mężowi, tyle sideł naokoło nastawię, że nareszcie w nich uwięźnie. Ty zaś nie opuszczaj mojej komnaty, a gdyby książę mnie kazał przywołać, o czym bardzo wątpię, wyjdź na galeryę, Z. Krasiński. Pisma. T. II.

stań przy schodach i po trzykroć w tę świstalkę zagwizdaj!

Po tych słowach wyszedł Mestwin, tak zajęty wrzącą namiętnością, że nie słyszał słów Ulrycha:

— Zapewnie oszalał; ale dobrze, że przynajmniej teraz będzie co do roboty.

Śpiesznym idąc krokiem, znanymi sobie przechodami przybył Mestwin do wspomnianej już dawniej sali, w której za pchnięciem gwoźdźcia część ściany się odsuwała; kilka chwil później witał ukłonem i mową księżną Hannę z Ciechanowa, która przyzwyczaiła się poniekąd do odwiedzin Mestwina, często od męża do niej przysyłanego.

— Cóż cię o tak późnej godzinie do nas sprowadziło, rycerzu? Czy mój Zbigniew czasem nie zasłabł? Czy mojej nie potrzebuje pomocy?

— Księżę, miłym snem ujęty, marzy zapewne o chwale. Chęć widzenia ciebie i uwielbienia twoich wdzięków, pani, tu moje kroki przywiodła.

Zdziwiona tak niezwykłą księżną przemową, ze wstrętem odwróciła oczy od Mestwina i w milczeniu obszywała w złote i jedwabne nici rękawiczki z białej jak śnieg skóry, dowodzące swoją wielkością, że nie miała ich nosić piękna i szczupła ręka, która ich przyozdabianiem się zatrudniała. Czasem też prosiła Katarzynę, za nią stojącą, o podanie narzędzi, do tej pracy potrzebnych.

Mestwin nie wiedział, od czego znowu zacząć rozmowę; ale wkrótce zimna jego beczelność wzięła górę nad chwilowem pomięszaniem i tak się odezwał:

— Nadobna Hanno, mam ci ważne odkryć tajem-

nice, głęboko dotąd ukryte; ważne i bardzo ważne, mające wpływać na los twój cały rzeczy ci oznajmię.

— Uwolnij mię, rycerzu, od tych wynurzeń! — odparła księżna. — Nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć od ciebie. Możebyś zmniejszył i tak niebardzo błogie szczęście moje. Zostaw więc mnie i lepiej uczynisz, kiedy pójdziesz obejrzeć nocne czaty w zamku!

Odpowiedź ta rozjątrzyła Mestwina. Miał jednak dosyć siły do wstrzymania gniewu i znów mowę zaczął, ale już mocniej i dobitniejszym głosem:

— Ważne, zaiste, ważne przedmioty i sprawy znały mnie do odwiedzenia cię, pani. Nie bądź tak porywczą i wysłuchaj człowieka, któryby całą krew swoją wylał dla ciebie!

Podniosła wtenczas oczy Hanna i z największym podziwieniem pierwszy raz, odkąd poznała Mestwina, nie postrzegła na jego ustach szyderczego śmiechu. Wnosząc po tej odmianie, że prawdę powiada, z obawą go się pytała o wyjawienie tajemnicy.

— Każ naprzód, piękna Hanno, odejść tej służebnicy!

Te wyrazy oburzyły księżną i żywo przerwała je rycerzowi:

— Wśród tych samotnych murów i niebezpieczeństw, codziennie grożących, znikają różnice stanu; a Katarzyna tyle razy swoje przywiązanie mi dowiodła, że raczej wypadłoby ci ją przyjaciółką, niż służebnicą nazywać!

— Pomyliłem się — odparł Mestwin — racz przebaczyć, pani, ale cię jeszcze raz upraszam, byś kazała oddalić się tej przyjaciółce!

— Czy o Zbigniewie masz mi mówić?

— Przynajmniej o rzeczach, tyczących się mego pana i księcia.

— Odejdź więc, Katarzyno! — rzekła księżna i z bijącym od bojaźni i miłości sercem porwała się z krzesła i zbliżyła się do Mestwina, czegoby nigdy w innym nie uczyniła razie.

Milczał rycerz, dopóki zupełnie odgłos kroków odchodzącej córki Gierdy nie ucichł, a wtenczas ujawszy rękę Hanny:

— Przysiąż — wyrzekł — na wszystkie świętości, przysiąż na ewangelią, że nikomu nie powtórzysz słów, usłyszanych odemnie!

Zwiedziona podstępem, drżąca o Zbigniewa, z całym zapalem kochającego serca przysięgała księżna, mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia. Wpatrywał się w nią Mestwin wzrokiem raz ponurym, znów jaśniejącym nadzieją, ale nie była to nadzieja niewinności, kojąca cierpienia i zamieniająca ciernie życia ludzkiego na woniejące róże; był to raczej szal namiętności, połączony ze zgubnymi widokami, z obrazem przyszłości, pełnej zbrodniczych uciech.

Po skończeniu zaklęcia ścisnął jeszcze mocniej rękę Hanny z Ciechanowa rycerz niemiecki i nareszcie zawołał:

— Pamiętaj, niewiasto, żeś wykonała straszną przysięgę, za której zgwałcenie twój Kościół i religia grożą ci najsroższymi męczarniami; niech więc odtąd milczą twoje usta, jak kamień grobowy, niech wieczne zapomnienie pokryje rozmowę i zdarzenia tej nocy! Zobowiązałaś się słowem, którego naruszenie zwałiloby na ciebie i gniew niebios i gniew ludzi. Pamiętaj więc,

powtarzam ci, Hanno z Ciechanowa, że jakkolwiek twoje podziwienie lub uniesienie wielkimi będą, nie powinnaś ich ukazywać zewnętrznymi znakami, nie powinnaś nawet myśleć o ich wykryciu!

— Znam dobrze — przerwała mu w tem miejscu Hanna — przepisy świętej naszej wiary i możesz być pewnym, że nie złamię przysięgi. Mów więc, Mestwinie, co wiesz, bo tu idzie o Zbigniewa, o człowieka, którego najwięcej na tej ziemi kocham!

Takie oświadczenie wcale nie przypadło do myśli rycerzowi niemieckiemu, który odstąpił kilka kroków i szydersko poprzął na anielską twarz córki Wszebor.

— Mów, nie odwracaj, nie zwlekaj, rycerzu!

— A więc powiem ci wszystko — odrzekł Mestwin — kiedy sama tego żądasz. Wiedz, że roznieciłaś w moich piersiach płomień, pożerający moje serce! Ognie piekła, podsycane przez szatana, niczem są w porównaniu tego, co wre pod tą koleczugą... Tak, kocham, i ciebie kocham, Hanno: musisz być moją!

Zarumieniona księżna od gniewu i wstydu, przerwała mu tę mowę z przynależną godnością i powagą:

— Rycerzu, jako małżonka twojego pana, rozkazuję ci się oddalić! Mowa ta zuchwała nie powinna kazić moich uszu i wcale niedogodne dla niej obrałeś miejsce; tego jeszcze nie dostawało, żeby rycerz Mestwin ośmielał się urągać z swojej pani tak, jak z całej ziemi i nieba samego nawet się urąga!

— Zuchwałą mową zowiesz — krzyknął Mestwin — najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam! I kiedyż, piękna Hanno, widziałś mnie w takim sta-

nie? Czyż kiedy błyszczały moje oczy równym ogniem? Czyż kiedy twarz moja blada pokryła się takim rumieńcem, jak dzisiaj? Przyłóż rękę do moich piersi, a uczujesz, że to serce, spokojne oddawna na groty nieprzyjaciół i spojrzenia dziewic, bije z podwojoną mocą w twojej przytomności!... Pozwól rękę ucałować, pozwól ust różanych się dotknąć, wyrwę cię z tego położenia — dodał, napół dobywając szabli — nie będziesz dłużej jak uwięziona przebywać w obłożonym zamku! Poznasz czarowne Niemiec okolice, gdzie mi wskażesz, tam cię zawiozę; na dworach książąt i królów pierwszą będziesz, a gdyby kto ci śmiał tego zaprzeczyć, ległby u nóg twoich, śmiertelnym uderzony ciosem. Opuść zimnego już dla ciebie męża i przejdź w objęcia człowieka, który cię tak kocha, że gotów na twój rozkaz krwią przyjaciół i krewnych się oblać i świat cały zniszczyć dla twojego upodobania! Patrz, nigdy w świątyni nie kląłem przed Bogiem waszym, nigdy, żebrać przebaczenia lub łaski, nie zniżyłem czoła przed mocarzami, a teraz zginam przed tobą kolana! Hanno, jeśli życie ci drogie, pokochaj mnie, bo jeśli mnie odrzucisz, biada wam wszystkim, wściekle rzucę się w objęcia zemsty i popamiętasz, jakie są groźby Mestwina!

A tu dziko się rozśmiał, schylony u stóp księżny, która z początku z przerażeniem, a teraz z pogardą i gniewem nań poglądała.

Nagle odskoczywszy, wzięła biblią w ręce i zastawiała się tą świętą od rycerza tarczą. Jeszcze chciał odezwać się Mestwin, ale Hanna przerwała mu temi słowy:

— Podły sługo, kiedyś pilnować łoża boleści swojego pana, kiedyś lekarstwa mu podawać powinien, przychodzisz do jego żony i zuchwałemi obrazasz ją mowy, o których w przytomności Zbigniewa nie śmiałyś i pomyśleć nawet! Podeszedłeś mnie piekielnym podstępem.

— Alboż, co powiedziałem ci, pani, nie tyczy się księcia Zbigniewa? — zapytał się szyderskim głosem Mestwin.

— Milcz, zdrajco, nie zatruwaj powietrza zgubnym tchem swoim! Precz z moich oczu, odwróć szatański wzrok od mojej twarzy! Czyż myślisz, że, gdybym nawet kiedy mogła zapomnieć o cnocie i wierze, poprzysiężonej Zbigniewowi, żebym na ciebie choć jedno wejrzenie zwróciła? Czy sądzisz, że szlachetna Polka i córka pana Ciechanowa chciałaby się zniżyć do odbierania hołdów Niemca, posługacza swego? Srogą dziś popełniłeś obrazę, zgwałciłeś wszystkie obowiązki i człowieka i sługi, podniosłeś oczy na własną księżnę, szkaradną zdradą zmusiłeś ją do wspomnienia świętych imion Boga i księgi, przez Niego danej, w okoliczności, w której niegodziwe twoje chęci i zbrodnicze zamiary na jaw się wydały. Przebaczam ci jednak jako chrześcijanka i jako księżna polska, którejby niegodnem było mścić się na takiej, jak ty, istocie. Ale nie pokazuj się więcej moim oczom, uciekaj z tych komnat i niech już twoje stopy nigdy się nie dotkną miejsc, gdzie przeszły moje ślady!

— Rozważ, pani — krzyknął Mestwin, miotany naj-sroższymi namiętnościami — że swój własny wyrok

wymówiłaś teraz, bo jeśli mną wzgardzisz, to ramię dopóty nie spocznie, dopóki cię i miłych tobie nie zagrzebie pod ciężarem klęsk okropnych! Cóż to jest cnota, o której tak dobrze pamiętasz? Jest to mara i widmo, nigdy nie istniejące na świecie, utworzone w głowie mędrców. Jedyłą dla mnie cnotą jest ciebie posiadać, innych się wyrzekam i znać nie chcę!

— Bluźnisz, Mestwinie! — zawołała księżna, która zaczęła sądzić, że pomięszane ma rycerz zmysły. — Bluźnisz, nieszczęśliwy, ale powtarzam, oddal się stąd, wasalu i sługo!

— Gdzież tu widzisz, Hanno z Ciechanowa — odparł wściekły Mestwin — wasala lub sługę? Owszem, lepiejbyś mnie swoim panem i mężem nazwała, bo, na piekło, spodziewam się, że tego dopnę! Inaczej bowiem zemsta... ale, Hanno, ostatni raz powiadam, niema słów w jakimkolwiek ludzkim języku na wyrażenie zemsty, którą tobie gotuję.

— Jestem w twojej mocy — przerwała Hanna — bo krzyków moich niktby nie usłyszał; ale wiedz, nikczemny rycerzu, że choć słabą jestem i lękliwą niewiastą, wcale jednak nie drzę przed ognistym twoim wzrokiem i ręką, spoczywającą na szabli! Bo coż możesz mi zrobić? Zabić?... Nie lękam się śmierci, ale całą potęgą nie zerwiesz miłości, łączącej mnie ze Zbigniewem, nie zatrujesz pięknych młodości myśli i ułudzeń, a te są jedynem mojem szczęściem... Ale dosyć już o tem, odejdz — a kiedy Mestwin i krokiem nie ruszył — lub uderz i zakończ obelgi, których cierpieć nie powinna ani żona Zbigniewa, ani córka Wszebor!

— Mylisz się — odpowiedział zimno Mestwin — sądząc, że zechcę własne żelazo w piersi twojej utopić; przyjdzie czas, dumna Polko, kiedy gorzko pożałujesz, że tego nie uczyniłem. Sroższe ci męki i boleści gotuję nad chwilowe konanie pod mieczem zabójcy. Z rąk ulubionych odtąd gorycze na cię spływać będą, a niepokojność i nieufność napelnia godziny życia twojego. W porównaniu z przyszłością niebezpieczeństwa, którym teraz ulegasz, codzienne troski i zgryzoty dzieciennymi igraszkami, a najprzykrejsze chwile, dotąd przez ciebie doznane, są niebieskiem szczęściem... Ulubione ci związki potargam, nadzieję niszczyć. Lecz i westchnień ci nie stanie na opłakiwanie nieszczęść, które cię otoczą i zamkną wszelką do pomyślności drogę. Kiedy zrzućysz jedną zawadę, natychmiast druga urosnie pod twoimi krokami; kiedy zerwiesz jeden cierń, tysiąc innych przejście ci zagrozi. Opuszczona od męża, okryta hańbą, odrzucona od ojca, nie mogąc strapienia swoich powierzyć przyjaźni, boś straszną związaną przysięgą, pożałujesz chwili, w której nazwałś mię wasalem, sługą, w której nie chciałaś mojemu sercu odpowiedzieć. Taką ci przyszłość zapowiadam, Hanno z Ciechanowa, jeśli mnie odrzucisz!

— Ufna w Bogu — odparła Hanna — przyjmuję ten zgubny obraz, mając nadzieję, że się nie spełni. A gdyby to się sprawdzić miało, pocieszy mię przekonanie, że była cnotliwą. Ale nie, ty nie możesz stać się przeszkodą między mną a Zbigniewem!

Poznał wtenczas Mestwin, że gwałtowność i groźby nic nie pomogą i, zebrawszy wszystkie siły, skrócił wściekłość nim władającą.

— Zostaw mi przecie choć małą nadzieję — rzekł znizonym głosem — że nie zupełnie zabraniasz mi o sobie myśleć, że mi wolno będzie przyjść do ciebie!

— Milcz! — odparła księżna uroczyście. — Kiedy zechcę te rękawiczki przesłać księciu Zbigniewowi, każę cię zawołać, byś je mu poniósł. Inaczej nie śmieję stawić się przedemną! —

Dokończając tych słów, z taką powagą wskazała mu drzwi komnaty, że, uderzony wyższością, którą zawsze zachowuje cnota nad zbrodnią, odejść musiał; powolnym jednak odstępował krokiem i często się odwracał. Nareszcie, mając już wychodzić, jeszcze chciał coś przemówić, ale odwaga go opuściła i zawstydzony własną nieśmiałością, obiecując sobie, że potrafi później dokonać niegodziwych zamiarów, wyszedł, powtarzając po cichu ze zwyczajnym uśmiechem, że trudno odrazu zupełnie odnieść zwycięstwo.

Hanna sama została, a wtenczas powagę i stałość dotychczasową zastąpiły rzewne łzy i jęki. Z trwogą poglądając na przyszłe nieszczęścia, utraciła męstwo. Myśl, że Mestwin może kiedyś oderwać od niej serce Zbigniewa, w taką rozpacz ją wprawiła, że upadła bez zmysłów na ziemię. W samotnym pokoju leżała dosyć długo w tym stanie, zbliżonym do śmierci, żona księcia Zbigniewa, a odzyskując zmysły, ujrzała przy sobie wierną Katarzynę. Żal wrócił za wróconem życiem. Nieвозмоść wyjawienia jedynej przyjaciółce strasznych wydarzeń srodze ją bolała. Musiała zamykać w znękanem sercu gnębiące ją uczucia. Nie mogła szukać nigdzie pociechy, odtąd dni jej życia miały upływać pośród okropnych przewidywań losu, przez Mestwina

zgotowanego, i okropniejszych jeszcze z nim sporów. Ukłękła nareszcie przed obrazem Matki Boskiej.

Oslabiona, zbladła, trwogą przejęta, modlić się już nawet nie mogła i te jedynie tylko wyrzekła słowa:

— Oddal od Zbigniewa tego człowieka i zmiłuj się nad nami!

ROZDZIAŁ XV.

Jeden i drugi wnet mieczów dobywa

I oto się walka zaczęła straszliwa.

Odyniec.

Na szerokiem polu, niedalekiem od Płocka, mnóstwo robotników pracowało nad wznoszeniem wysokich zagród i rusztowań. Niektórzy obalali drzewa, gdzieś tam łąkę oceniające, drudzy wyrywali darninę, na jej miejscu żółty wysypując piasek, przywieziony z blizkich Wisły brzegów na mnogich wozach. Krzyki z piosnkami mieszały się w powietrzu, a czasem słyszano zachęcania i napominania przełożonych nad robotą; szybko wznosiła się budowla w obszer-nym okręgu, na którym porobione siedzenia miały służyć widzom płci obojej.

Przy jednym z końców zagrody wystawiono przeznaczone dla króla miejsce, pokryte okrągławym dachem, pod którym stało bogate krzesło, napół purpurowemi zasłony zakryte, połączane zaś poręcze stały naokoło tego tronu. Z czterech stron gmachu były wysokie bramy z żelaznemi kraty, przeznaczone rycerzom

do wnijscia na przestrzeń, piaskiem zasypaną, w której mieli się potykać, a przy każdej z nich przygotowano siedzenie dla woźnych, ogłaszających przepisy i prawa turniejów.

W tłumie tylu ludzi, pracą zajętych, rozeznąć można było człowieka, szybko się przechadzającego i przemawiającego rozkazującym głosem. Obwinięty w zielonym płaszczu, którego fałdy z wiatrem igrały, zdawał się wszystko rozporządzać i wszystkiem się zatrudniać. Bogaty strój go okrywał i piękne pióra ulatywały ponad aksamitną czapkę. Sokół, niesiony na lewej ręce, bardziej go jeszcze, niż ubiór, odróżniał od innych. Czasem odrywał oczy od otaczających i bystrym wzrokiem przebiegał równinę i niedalekie od niej błoto, jak gdyby spodziewał się w nich odkryć jaką zdobycz dla ulubionego ptaka; ale zapewne hałas i gwar nieustanny odstraszył spokojnych pól mieszkańców, bo wszystkie jego starania nadaremne były i mimo czystej pogody nie mógł znaleźć celu swych życzeń. Odzywały się wprawdzie śpiewy ukrytych w gałęziach ptaszków, ale te głosy nie poruszały szlachetnego sokoła, którego odwaga i siła straszniejszych wymagała przeciwników.

— Nuże, do roboty! — wołał Wolimir z Moskorzowa. — Dokończajcie budowli, bo jutro w miejscu waszych narzędzi dzielnych rycerzy błyszczeć tu będą zbroje i pryskać pancerze! Ten rów zasypcie, podeprzyjcie tę ścianę! Na wszystkie sokoły, leniwo się sprawiacie; prędzejże, prędzej!

Te napomnienia podwajały robotników ochotę. Pot, ciekący z ich czoła, dowodził pracowitości i w mgnie-

niu oka tu zagrody, tam znowu siedzenia podnosiły się z ziemi. Szare przed chwilą ściany żywemi pokrywały się farbami, a pyszne zastony i obicia przyozdabiały stopniami stopniowo przygotowane dla widzów piętra, do których zewsząd liczne prowadziły schody i galerie.

Często dla zachęcenia rzucał wielki sokolnik kilka sztuk srebra pracowitszym, a ociągającym się żywemi karciał słowy. Oznaczywszy każdemu miejsce i stósowne zatrudnienie, oddalił się na chwilę, zwracając kroki do blizkiego strumienia, który sącząc się w ciśnień korycie, rozdzielał się na pomniejsze strugi, niknące wśród gęstych łąz i krzaków. Ziemia grzązka uchylała się pod jego stopami i często nawet zanurzał się w niej po kolana, ale nie zważając na tę niedogodność, coraz się dalej posuwał w nadziei znalezienia jakiej zdobyczy, zmierzając do małego jeziora, którego iskrząca się od słońca powierzchnia przebijała przez otaczające krzewiny i drzewa.

Nagle rozjaśniła się jego twarz radością, bo dostrzegł coś czarnego na środku wody. Jeszcze przez czas jakiś nie mógł rozeznąć, czy to należało do rzędu żyjących istot, ale za zbliżeniem się zaczęło się poruszać i wielki sokolnik z nadzwyczajnem zadowoleniem poznał długi dziób ogromnej czapli i drogie pióra, jej głowę zdobiące. Dotknął się więc sokoła, który ze snu obudzony, spojrzał naprzód na pana, a potem na wskazane jezioro, a oczy mu zajaśniały podobnym ogniem do błyszczącego w wejrzeniu Wolimira, który, schyliwszy się, ostrożnie podchodził czujnego ptaka, odginając rośliny, stojące mu na przeszkodzie, i omijając zeschnięte gałęzie, któreby skrzypnięciem mogły ostrzedz

czapłę o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nareszcie, kiedy już sądził, że dosyć się przysunął, powstał nagle i ukazał się ponad wierzchołkami niskich zarośli. Natychmiast czapla porwała się z wody, a w tej samej chwili za dobrze znanem świshnięciem roztoczył sokół pióra i, zleciawszy z dłoni Wolimira, w górę wzniesionej, puścił się w pogoń za szybko uciekającą zdobyczą.

Założył wtenczas pan Moskorzowa ręce na piersi i z uwagą wpatrywał się w tę gonitwę z pewnością, że, czy później, czy wcześniej, zawsze z korzyścią dlań się zakończy. Nim się jeszcze sokół wysoko wzbił w powietrze, zagrzewał go głosem i poruszeniami, a potem choć go zapewne ptak przywiązany słyszeć już nie mógł, przeciągł gwizdaniem. Z początku czapla, unikając walki, szerokimi skrzydłami szybko przecinała powietrze, oddalając się coraz bardziej od zawziętego wroga. Ale i szlachetny sokół nie ociagał się w drodze, a wkrótce znacznie zmniejszyła się przestrzeń, dzieląca go od ofiary. Mieszkaniec samotnego jeziora poznał wtenczas konieczność walki i obrócił czoło, ale podleciał zarazem pod nieprzyjaciela, starając się, by ten ostatni w natarciu z góry spotkał dziób straszliwy i wbił się na niego. Doświadczony sokół w tysiącnych potyczkach uniknął przecież zamachu czapli i ciężką jej ranę zakrzywionymi zadał szponami.

Przeraźliwy krzyk bóleści przeleciał przez powietrze i obił się o uszy Wolimira, zapewniając mu wygraną, a w tej samej chwili ujrzał, jak wysoko nad nim spotkały się ledwo widziane dwa czarne ciała, jak przez czas jakiś krwawa nastąpiła walka, w której niepodobnem było odróżnić zwycięzcę od pokonanego, i jak

wkrótce potem z szybkością błyskawicy wprost się ku niemu spuścił sokół, trzymając zabitego nieprzyjaciela, którego trzy pióra, wyrwane z ponad dziobu i krwią zbryzgane, obmył wielki sokolnik w jeziorze i zatknął na czapce. Nagrodził sokoła kawałkiem mięsa, z torby wyjętym, i znów go na ręce posadził, a ptak, przeniesiony z siedliska burz i gromów na dłoń wszechwładnego pana, zamknął oczy i zasnął.

Uniesiony radością, wrócił śpiesznie sokolnik i, dostawszy się po krótkim czasie na brzegi przebytych trzęsawisk, niepomału się zdziwił, kiedy dostrzegł siedzącego na koniu męża zbrojnego w pancerz, połykający z daleka, który zdawał się rozkazywać robotnikom, układy jego zmieniać i opuszczone zastępować miejsce.

Skoczył więc prędko ku niemu i z gniewem w sercu dopadł rycerza, kiedy właśnie na jego nalegania obalali robotnicy dopiero co wystawione siedzenia.

— Któż ci dał prawo — krzyknął wielki sokolnik — rozrządzać tu w mojej nieprzytomności?

— Sam go sobie nadałem — odparł mąż zbrojny — i sądzę, że nikt tego prawa nie będzie śmiał zaprzeczyć Sieciechowi, wojewodzie krakowskiemu!

— Zaprzeczam go jednak — odparł do żywego tknięty Wolimir dumnymi słowy Sieciecha — i proszę wojewody krakowskiego, by się nie mieszał do spraw, w nich nie doń nie należących, od króla mu nie poruczonych!

— Gdyby tu się odbywały łowy — zawołał Sieciech — miałbyś prawdę za sobą, chociaż i w nich równą tobie biegleścią poszczycić się mogę; ale ponieważ tu nie o sokołach ani o psach mowa, ale o tur-

niejach i igrzyskach rycerskich, zdaje się, że mieć w nich powinien pierwszeństwo hetman królewski nad wielkim sokolnikiem.

— Mości panie wojewodo! — krzyknął obrażony Wolimir. — Sokoły i łowy nie przeszkadzają mi wiedzieć, że miecz mi jeszcze nie przyrósł do pochwy.

— I mój też jeszcze nie zardzewiał — przerwał Sieciech, uderzając o rękojęść pałasza — ale nie masz konia.

— Broń się! — zawołał gniewem uniesiony sokolnik. — Nie potrzebuję konia dla nauczania zuchwalca, że nie urząd hetmański, ale szlachetne serce pierwszeństwo nadaje.

— Przynajmniej odejdźmy od tego motłochu! — rzekł Sieciech i, zsiadłszy z konia, oddalił się na stronę.

Wolimir poszedł za nim, rozkazawszy pod karą śmierci robotnikom, aby się nie ważyli zbaczać od rozkazów, przez siebie danych.

Przybywszy nad błota, w których przed chwilą tak się Wolimirowi powiodło, stanął wojewoda, dobył szabli i natarł na sokolnika, który, złożywszy ptaka na murawie, odbił mieczem żelazo przeciwnika.

Na nieszczęście wyszło Sieciechowi, że zapomniał spuścić przyłbicy. Za drugim zwarem się albowiem sokół Wolimira, podobny do tego starożytnego kruka, co rzymskiego ocalił bohatera, porwał się z ziemi i rzucił na szyszak wojewody. Stamtąd dopiero szpony w czoło jego zatopił i skrzydłami oczy mu zasłonił. Zmieszany Sieciech, broniąc się jedną ręką, darmo drugą chciał odrzucić nowego nieprzyjaciela.

Nie korzystał Wolimir z tak nadzwyczajnego wypadku i przez chwilę z uśmiechem przypatrywał się tej dziwnej walce, a potem zagwizdął. Natychmiast posłuszny sokół opuścił Sieciecha i przyleciał do pana. Wtenczas wojewoda podał rękę Wolimirowi z Moskorzowa:

— Mogłeś mnie z łatwością zabić. Umieć cenić twoją wspaniałomyślność i winszuję ci tak przywiązanego sługi, do którego mało jest między ludźmi podobnych.

— Zapomnijmy — odparł Wolimir, głaszcząc sokoła — o tem, co się stało! Obaśmy się niewczesnym unieśli zapalem, a teraz wróćmy do zgody! Nie odrzucę rad twoich, choć sam wiele turniejów widziałem i niejednym wieńcem ozdobiły się moje skronia.

— Dobrze — rzekł Sieciech — ale przybyłem z obozu w zamiśle dowiedzenia się od ciebie nazwisk sędziów turnieju.

— Słyszałem z ust najjaśniejszego pana, że nimi będą: książę Mieczysław, Wszebor i Zbigniew, bo koniecznie chce ich król pogodzić.

— Nie nazywam się Sieciechem i Topór nie jest moim herbem — zawołał wojewoda — jeśli to Władysław skutecznie potrafi... Szkodaby mi było tej wojny.

— Zobaczemy — odpowiedział Wolimir — ale jakże się miewają Mieczysław, Wszebor i pan Gulczewa?

— Mieczysław posępny ciągle, Wszebor smutny, a Skarbimir swoim zwyczajem drży na każdy łoskot i wieczorem, zamknąwszy się w namiocie, liczy z Bar-danem pieniądze.

— Obmyjże, wojewodo, twarz krwią zbryzganą, bo mój sokół nie żartem zapoznał się z twojem czołem!

— Dziękuję za przypomnienie — rzekł Sieciech, a schyliwszy się, nabrał wody w rękę i nią się oblał. Odszedłszy potem, wrócił z wielkim sokolnikiem do wznoszącej się budowli.

— Przepraszam cię — zawołał, zbliżając się do robotników — jeśli cię ostrzegę, kochany Wolimirze, żeś zapomniał o nader ważnej rzeczy: o siedzeniu dla sędziów.

— Na wszystkie sokoly, prawda; wdzięczny ci jestem za sprostowanie błędu. We Włoszech jednak podczas całego turnieju stoją sędziowie, czego przykład widziałem na rycerskich igrzyskach, wyprawionych przez księcia Sydonio del Maro.

— Znać, że wytrzymałszy mają od nas nogi — odparł wojewoda. — Ale, prawdę mówiąc, gmach potężnie się wznosi i piękną postać przybiera. Dzielnie jutro na tem miejscu gonić będziemy, a moja kopia niejednego zwali rycerza. Teraz żegnam ciebie, bo muszę wracać do obozu, a dosyć daleka mi stąd droga.

— Bądź zdrow, wojewodo! — rzekł sokolnik, ściskając człowieka, na którego życie godził przed chwilą, a koń Sieciecha, ostrą dotknięty ostrogą, w prędkim biegu wyruszył.

Nadchodził wieczór, a z nim i dokończenie budowli. Przy szerokich ogniskach piekły się dla robotników woły i beczki, pełne miodu, stały tu i ówdzie na łące. Nadciągały też powoli orszaki panów, mających walczyć nazajutrz. Liczne namioty wznosiły się po całym

polu, a zawieszona nad każdym z nich chorągiew z herbem i tarcza z godłem oznaczała godność i dostojęństwo rycerza. Puste przed kilkoma dniami miejsce napełniali teraz biegnący na wszystkie strony to słudzy, to robotnicy. Giermki przybywali z świetnymi zbrojami, obładowane żywnością i ryszunkami wozy przesuwwały się po dolinie, krzyki, rozkazy, nawoływania i kłótnie mieszały się z sobą. Z drugiej strony kupcy budowali niskie chaty, rozstawując w nich sprzęty, ubiory, hełmy, kopie i pancerze.

Ożywiona okolica przedstawiała piękny a zarazem poważny widok wzniesionego gmachu i tłoczących się naokoło tłumów. Wśród takiego zgiefku i zamięszania głos Wolimira często się podnosił. Czynny sokolnik wszyskiem się zatrudniał i przewidywał wszystko, raz w tem, drugi raz w tamtem ukazywał się miejscu, aż nareszcie za jego staraniem ukończono gmach przed zachodem słońca, które ostatnim promieniem oświeciło bogato wystrojoną budowę i orla białego, wznoszącego się na niej z uroczystością, przyzwoitą królowi ptaków i godłu najdzielniejszego narodu sławiańskiego plemienia.

ROZDZIAŁ XVI.

Ledwo najpierwsze słońca wschodzące promienie
 Padły na przestrzeń pola, w którym szranki stały,
 Gdy się na wieży dało słyszeć otrąbienie,
 Że się wkrótce igrzyska rozpocząć miały;
 Szczęk oręża, blask hełmów, strojnych koni rżenie,
 Odwagę, żądzę chwały, męstwo zapalały:
 Król, hetmani i liczne płeć pięknej osoby
 Pysznemu widokowi dodały ozdoby.

Tomaszewski, Jagiellonida.

Dzień 22 maja widział Władysława Hermana zasiadającego na turniejach wśród swojego rycerstwa. Przybywszy z licznym dworzan orszakiem, zajął wzniosłe, przygotowane dla siebie miejsce, z miłą w sercu nadzieją, że może uda mu się rozjątrzone połączyć serca i syna oddalić od przepaści, do której ślepo zmierzał. Wkrótce potem ukazał się Zbigniew z Mestwinem i kilkoma towarzyszami, ale że podług królewskiego rozporządzenia miał być tylko sędzią turniejów, nie błyszczał mu pancerz na piersiach ani świetny szyszak nie krył jego skroni. Zamiast ciężkich żelaznych, nosił dane od żony rękawice, na których złote wyszyła mu róże. W stroju, lśniącem się drogimi kamieniami, stawiał się książę przed ojcem i rękę mu ucałował. Zabłyły łzy w oczach Władysława, kiedy ujrzał na twarzy syna dowód poniesionych cierpień i ramię, nie zagojone jeszcze, zwieszane na bogatym pasie.

— Synu — rzekł — mam nadzieję, że ten dzień wszystko zakończy, że pokój i zgoda wstąpi w wasze

serca, że poznasz swe winy, poprawisz się i podasz rękę bratu...

Zbigniew nic nie odpowiedział, ale wzrokiem, pełnym wyrzutów, spojrział na ojca, a następnie na własne ramię, bezwładne dotąd i srogimi rozrywane boleściami; potem zajął z lewej strony tronu ojcowskiego miejsce, które mu wskazał Władysław Herman, bo dopiero później miał zejść na dół i usiąść na przygotowanym tam dla sędziów siedzeniu.

— Zbigniewie — jeszcze raz ozwał się Władysław — sędzę, że ci wolę boską dostatecznie objawił szanowny biskup płocki, że cię same nieba ostrzegły, pozwalając, by ciężka rana trafiła twe ciało, by doświadczone w tylu bitwach szczęście odstąpiło cię w tej ostatniej, w której oręż na brata podniosłeś. Synu mój, otrząśnij się z pyłu światowego, wzgardź pokusami szatana, nie uwódź dziewicy, nad którą święte ma prawa Miecysław, a świętsze jeszcze Wszebor! Zbigniewie, czyż nie piękniejszemby było z twojej strony, żebyś zamiast bronienia niesprawiedliwości odniósł nad samym sobą zwycięstwo i błękitne oczy Hanny poświęcił przywiązaniu i miłości ojcowskiej, a przed niemi jeszcze powinności chrześcijańskiego rycerza?

— Ojcie! drogi ojcie! — rzekł Zbigniew.

I już wyznanie prawdy miało ukoić żale Władysława i syna mu wrócić, kiedy Miecysław ukazał się na schodach, do siedzenia królewskiego wiodących, a ten widok obudził gniew i dumę Zbigniewa. Krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia, zapelniające duszę, ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty. Ani słowa do wprzód wyrzeczonych nie dodał, ale wlepił

wzrok srogi w młodego księcia, który się witał ze stryjem i królem.

Mieczysław, równie jak Zbigniew, nie miał zbroi, a ubiór, odpowiadający dostojństwu, szeroki płaszcz obwijał. Na twarzy znać było tęsknotę i smutek, sprawiony tak wielką stratą czasu, którego każdą chwilę mógłby był użyć na uwolnienie drogiej oblubienicy. Powiedziawszy kilka słów Władysławowi, stanął przy tronie naprzeciwko Zbigniewa, a dwóch młodzieńców, pałających nienawiścią ku sobie, przedzielił osłabły starzec, schylony pod lat ciężarem i brzemieniem nieszczęść.

Zdało się Władysławowi, że w głosie Zbigniewa poznał prawdziwe wzruszenie, i stąd pomyślnie sobie skutki rokując:

— Synu i synowcze — rzekł — macie dzisiaj wypełnić piękny i szlachetny obowiązek, macie przyznać chwałę dzielnym rycerzom i wyznaczyć nagrody zręczności! Zstąpcie więc w zgodzie z tego wzniesłego miejsca, podajcie sobie dłonie i jak dwa anioły pokoju, ukażcie się otaczającemu ludowi! Zbigniewie, Mieczysławie, pomnijcie na Boga i ojczyznę; ty pamiętaj na strapienia, ty zaś na zgubę własnego ojca! Zbrodni popełnionej, świętokradztwa, pokrywającego całą Polskę kirem żałoby, nie chcecie bratobójstwem powiększać, uwolnijcie wasze sumienie od przyszłych zgryzot, bo, jeśli dotrwanie w złem, każda łza moja będzie ciężać kiedyś na waszem sercu, a odkądście się poróżnili, nie jedną wylał nad wami samymi i nad tym nieszczęśliwym krajem, w którym synowie i krewni nie słuchają głosu ojcowskiego, w którym woła-

nia cnoty giną pośród okrzyków niesfornych namiętności! Jeszcze raz was proszę, żebyście się pogodzili; pogódź się, synu mojego brata, z własnym moim synem! Równiście młodocianym wiekiem, dzielnością, pięknymi przymiotami. Dozwólcie mi się wami nacieszyć, dozwólcie pokrzepić się mojej starości widokiem waszej przyjaźni i zgody, nie wyniszczajcie się wzajemnie, nie poglądajcie na siebie tak dziko, niech uśmiech pokoju rozjaśni wasze lica!...

Napróżno Władysław tak czule przemawiał. Ręce obu książąt nie wyciągnęły się do braterskiego ujęcia, ale, spoczywając na szablach, wściekle ich rękojęści ścisnęły.

Tymczasem niespokojne tłumy oczekiwały z niecierpliwością rozpoczęcia rycerskich igrzysk. Piękny widok przedstawiał ogół tyłu ludzi, tak różnych stanów i ubiorów, razem zgromadzonych. Po wyższych miejscach gmachu siedzieli sędziwi panowie z żonami i córkami, dla których niejedno serce żywiej biło pod twardem żelazem, pokrywającym piersi rycerzy, siedzących na koniu z opartymi o ziemię kopytami. Nim jeszcze dano znak do gonitw, można było uważać, jak spojrzenia młodzieńców, wzniesione ku górnym piętrům szerokiej budowli, spotykały się ze wzrokiem dziewic, zachęcających ich uśmiechem lub skinieniem ręki, trzymającej upleciony z róż i liścia dębowego wieniec, który miał być nagrodą najdzielniejszego.

Połykujące zbroje, wysokie nad hełmami pióra, pyszne niewiast i panów ubiory zgadzały się z przepychem gmachu, świetniejącego bogatemi obiciami i zasłanami przy najpiękniejszej dnia wiosennego pogodzie.

Drogie makaty i kobierce, wszędzie rozesłane, złocene kraty i poręcze, aksamitem pokryte siedzenia dowodziły, że niczego król polski nie oszczędzał dla uświetnienia zgody swojej rodziny.

Na prędkich rumakach okrążali zagrodę rycerze, schylając kopie przed królem i sławionemi z urody dziewczycami. Często nawet, spiąwszy konia ostrogą, pokazywali swoją zręczność, patrząc z radością, jak bladły lica spoglądających na ich niebezpieczeństwa kochanek. Wszystko było pełnem życia i wszystkich serca z podwojoną biły mocą w oczekiwaniu na hasło, mające szerokie pole otworzyć męstwu każdego i każdego zręczności.

Podzielili się na dwie strony rycerze; jedną dowodził Sieciech, drugą dzielny Jordan z Gozdawy. Mestwin albowiem odmówił ofiarowanego dowództwa i, odszedłszy na stronę, rozmawiał z Ulrychem, który mu konia trzymał na pogotowiu.

Pośród orszaku wojewody krakowskiego odznaczał się jeden rycerz męską postawą i pięknymi rysami. Czekał spokojnie na białym koniu znaku do zwarcia się z przeciwnikami, a wzrok trzymając zwrócony ku ziemi, zdawał się żałować czegoś; i w istocie nie było między otaczającemi tej, której serce poświęcił. Pocięszała ona w tej chwili stroskaną panią, a Henryka z Kaniowa nie pobudzała do sławy przytomność Katarzyny. Dumający młodzieniec zawiesił na szyszaku podług ówczesnego zwyczaju wstążkę ulubionej, kiedy tymczasem topór dumnie się wznosił na hełmie Sieciecha, doń się zbliżającego.

— Henryku — mówił — czemuż schylasz wzrok

ku ziemi? Obejrzyj się naokoło i oddaj hołd przynależny pięknościom Mazowsza! Widzisz z tej strony Zulisławę z Górki? Patrz, jak tam Rodosława z Boratyna wszystkich rycerzy zajmuje! Dalej siedzi z smętnemi oczyma Sławomira, córka Żegoty z Kossowa, tu znowu...

— Choćby sto innych, jeszcze piękniejszych, było — przerwał Henryk — nie zwrócą one mojego spojrzenia; wśród tylu niewiast jednej mi nie dostaje. Nie zdobią jej szyi złote ni drogimi kamieniami sadzone ozdoby. Grzebień z kości słoniowej nie wznosi się na włosach, ujętych w niewolnicze, choć bogate pęta; rozpuszczone pierścienie spływają na śnieżne łono, a wieniec z kwiatów polnych skromnie je wieńczy.

— Szkoda, rycerzu — rzekł Sieciech — żeś zamiast pałasza, nie wziął się do lutni, bo, na Boga, nie lada wieszcz byłby z ciebie.

Chwilowym uśmiechem odpowiedział na te słowa młodzieniec, a wojewoda oddalił się i, przystąpiwszy do Wszebora z Ciechanowa, który jeden dotąd siedział na miejscu, przeznaczonem dla sędziów:

— Jakże ci się ten widok podoba? — zapytał.

— Ciało moje jest tutaj — odparł starzec — ale myśl, daleka stąd, przebywa mury Zbigniewa i do córki dolata. Niegdyś w młodości i szczęściu wzruszyłby mnie ten obraz, ale teraz zanadto cierpienia przygniotły mą głowę, żeby co mnie uderzyć mogło. Walka, którą zwodzę codzień między uczuciami ojca a obowiązkami Polaka, między przywiązaniem do córki a miłością ojczyzny, zwątpiła siły i czuję, że, jeśli okoliczności temu nie położą końca, to niezadługo

nową trumnę wniesiecie do moich ojców grobu. Często zwracam oczy ku miejscu, w którym siedzi Władysław Herman, staram się jego słów dosłyszeć, ale twarze książąt nic mi dobrego nie rokują. Stąd choć osłabłym wzrokiem dostrzegam znaki smutku na twarzy królewskiej. Sam powiedz, czy się mylę?

— Zdaje mi się, żeś zgadł — rzekł Sieciech — ale nie smuć się, bo jeśli dzisiaj nie odzyskasz córki, zaręczam ci, jakim wojewodą krakowskim, że zamek Zbigniewa niedługo już nam się będzie opierał!

— Ale gdyby — przerwał ojciec — przed zdobyciem... — a tu okropność obudzonej myśli nie dozwoliła mu dokończyć i smutno spuścił głowę na piersi.

»Na Boga, myślał Sieciech, wszyscy smutni: ten się kocha, ten płacze córki, król w rozpacz, Zbigniew i Mieczysław patrzą na siebie, jak dwie jadowite żmije, ja tylko jeden spokojność zachowałem — ale trzeba nareszcie ten turniej rozpocząć«!

I wrócił do swojego hufcu, kazawszy Jaroszowi z Kalinowa, by mu konia przywiódł. Kiedy ten ostatni wrócił, prowadząc dzielnego rumaka, zapytał go się wojewoda o Skarbimira z Gulczewa.

— Żadnym sposobem — odpowiedział Jarosz — nie mogłem go doprowadzić tutaj. Zrzucił zbroję, którąś go, panie wojewodo, wdziac przymusił i opuścił nasz orszak. Ależ oto na górze rozmawia z Żegotą z Kosowsy.

— Szkoda — rzekł Sieciech — żeś go nie przytrzymał, bo zapewnienie mu było do twarzy z długą kopyą i w ciężkim pancerzu.

To mówiąc, ubódł konia ostrogą i poleciał pod piętro, na którym siedział Władysław. Tu stanawszy, schylił głowę na znak uszanowania, pytając króla, czy już każe ogłosić przez woźnych prawa turniejów.

— Najjaśniejszy panie, żegnam cię — rzekł wtenczas Zbigniew, milczący dotąd — urząd, który sam na mnie włożyłeś, wzywa mnie do innego miejsca.

— Do tego samego i ja dążę — zawołał Mieczysław.

Ale Władysław Herman, zebrawszy całą powagę, odpowiedział rozkazującym głosem, co mu się rzadko przytrafiało:

— Zostaniecie się przy mnie. Po skończeniu igrzysk dość będziecie mieli czasu na osądzenie, komu się należy nagroda. Do tej chwili może was Wszebor zastąpić.

Obawiał się albowiem król polski, aby zemstą palający młodzieńcy, uniesieni widokiem gonitw, prawdziwej i sroższej nie rozpoczęli walki, kiedyby już ich naleganiem lub prośbą nie mógł wstrzymać; a potem miał zawsze nadzieję, że potrafi zwaśnionych pogodzić i na ten koniec cichą modlitwą wzywał często Boga. Sieciechowi zaś odpowiedział, że przystaje na rozpoczęcie turniejów.

Zwrócił więc wojewoda konia, ale dostrzegłszy, że między tyłoma rycerzami niema Wolimira z Moskorzowa, nie chcąc ubliżyć człowiekowi, który tak szlachetnie się z nim obszedł, czekał przez kilka chwil jeszcze na jego przybycie.

Właśnie ukazał się z daleka na polu mąż zbrojny, przylatujący pędem błyskawicy. Przybywszy do zagrody,

skoczył ze znużonego rumaka i wszedł pieszo na pobojowisko; uklonił się wtenczas królowi i najpiękniejszym paniom naokoło. Wysoki szyszak z złotym sokolem, trzymającym w szponach kilkanaście piór czaplich, unosił się nad głową, kolczuga, nabijana złotem, i lekkie obucia ze skóry, srebrem wyszytej, resztę ubioru składały; prosta szpada z rękojeścią z słonowej kości tkwiła u boku, a na tarczy wyryta była strzała z napisem: »Serca i ptaki zarówno przebijają«.

— Witam cię, wielki sokolniku — krzyknął Sieciech — ale cóż, do tysiąca piorunów, tak długo cię zatrzymało?

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach, pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów!

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufcu Jordana i obadwa ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach zachowano następujące przestrogi i prawa:

A naprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

Powtóre, żeby ciż rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń, dozwolona na tych turniejach, jest kopia i topór. Miecz można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący nie ma dalej posuwać zwycięstwa i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekimi będą od duszy wchodzących w te szranki i niech pamiętają, że oczy patrzących się na nich piękności brzydzą się nieludzkością i krwią, w srogich rozlewanej bojach.

Nagrody zwycięzcom przeznaczone są: hełm szczerzoty ze strusimi piórami i puhar, sadzony drogimi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży, i dalej ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami, przeznaczonymi do osądzenia zasług każdego, do przyznania wygranej i udzielenia nagrody są: książę Miecysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciechanowa, Wszebtor z Ciechanowa. Walka między dwoma rycerzami natychmiast ustać powinna za rzuceniem między nich laski któregośkolwiek z sędziów. A teraz niech żyje król Władysław i hojność panów mazowieckich!

Po domówieniu tych słów wysypał się zewsząd na odchodzących woźnych grad złotych i srebrnych pieniędzy, a trąby po trzykroć się ozwały i turnieje się zaczęły.

Zwarły się przeciwnie szyki i w natarczym pędzie zmieszały się z sobą. Przez chwilę stali niewzruszeni rycerze, ale wkrótce potem usłyszano chrzęst zbroi, łoskot żelazców, kruszonych o tarcze, i łamiących się

kopii, w okamgnieniu spadły na ziemię pióra i szyzaki, dumnie przed chwilą nad tłumem się wznoszące. Rozciągały się konie na polu potyczki i potraskane odłamki stali i żelaza wlatywały w powietrze. Wodzowie obu stron, dotrzymawszy jednak siodła, gotowali się do nowej gonitwy; kilku zbrojnych, straciwszy zmysły w szybkim z konia upadku, leżało na ziemi. Na jednych pęknięte zbroje dowodziły mocy poniesionych ciosów, na drugich całe były pancerze, ale hełm lub puklerz zdruzgotany pokazywał, że nie z słabymi przeciwnikami mieli do czynienia.

Giermki i żołnierze weszli wtenczas do zagrody, prowadząc świeże konie rycerzom, mogącym jeszcze walczyć, osłabłych zaś na siłach do własnych zanieśli namiotów.

Trąby znów zagrzmiały i rzuciły się na siebie po drugi raz waleczne hufce. Wojewoda spotkał się z Jordaniem z Gozdawy i tak silnie obaj się zwarli, że ich konie, uderzywszy jeden o drugiego, padły bez ducha na ziemię i jeźdźców przywalały. Jordan pierwszy się wydobył z pod zabitego rumaka, a Sieciech, choć z trudnością, wkrótce potem też samo uczynił; ale jeden i drugi odstąpić musieli dla przywdziania innych zbroi. Podczas ich niebytności odpoczęły obie strony, znacznie na liczbie zmniejszone, ale jeszcze gorejące zapalem; oklaski i krzyki widzów, uśmiechy i wejrzienia dziewic krzepiły ich męstwo, dodawały ochoty i pragnienia sławy.

Tymczasem nadaremno Władysław Herman, nie zważając na turnieje, usiłował pojednać Mieczysława ze Zbigniewem. Milczeniem odpowiadali na jego prośby

i napominania, z uszanowaniem wprowadzie słuchać się go zdawali, ale przewidywał stroskany monarcha, że za oddaleniem się od niego rzuca się na siebie z całą wściekłością, odbijającą się w ich ponurym wzroku.

Niedługo czekano na powrót wojewody i Jordana, a wtenczas po trzeci i ostatni raz spotkały się ich hufce. Okropnie było patrzeć na mieszącą się kopie i puklerze, na topory, wznoszące się i spadające na przeciwników zbroje, na mężów, opuszczających wodze i z bladeścią śmierci padających wraz z koniem lub pod jego kopyta, a choć prawa broniły krwi rozlewu i najczulsze istoty patrzyły na te zabawy, już kilku zginęło rycerzy. Henryk zwał z konia kilku współzawodników i żelazcem niekruszonej dotąd kopii odpierał napadających.

Sieciech patrzył ze zgrzytaniem zębów na swoich, którzy się co chwila usuwali z pobojuwiska. Jedni szli po świeże zbroje, drugich wierni odnosili słudzy, inni znowu, krwią i kurzawą okryci, sami wychodzili z zagrody, a tymczasem dzielny Jordan nieustannie nacierał i krzycząc: — »Niech żyje Gozdawa! górą Gozdawa!« — znaczne odnosił korzyści, kiedy z drugiej strony słabe tylko i rzadkie już głosy odpowiadały: — »Górą Topór! górą wojewoda!«

Nareszcie, kiedy na polu walki jeden tylko Sieciech z Henrykiem się został, Wszebor, powstawszy, zatrzymał bitwę, przyznając zwycięstwo Jordanowi z Gozdawy. Zapewnie smutnem było ojcowskiemu sercu chwalić człowieka, którego musiało liczyć do uciemężycielów córki, ale uczucie sprawiedliwości przemażało nad wszystkie względy w prawej duszy pana

Ciechanowa i własnymi rękoma dał Jordanowi pyszny szyszak z świetniejącego złota.

Wojewoda, wstydem okryty, rozżarzony obrażonej dumy wyrzutami, poprzysiągł przeciwnikowi zemstę i zaczął przemyślać nad sposobami odzyskania przewagi i wiernej dotąd sławy. Zapominając o prawach turnieju, o rodzaju tej zabawy i o przytomności króla, uknuł w głębi duszy śmierć Jordana i dlatego, odszedłszy na chwilę do namiotu, przywdział najlepszą zbroję i przypasał miecz doświadczony, medyolańskiej roboty.

Za swoim powrotem ujrzał, jak wielki sokolnik gotował się do skruszenia kopii z Mestwinem. Z przeciwnych stron zagrody zbliżyli się oba do siebie w najżywszym biegu; kopia Wolimira przebiła puklerz Niemca, a dzida Mestwina strąciła z szyszaku pana Moskorzowa wznoszącego się nad nim sokoła.

Następnie Henryk z Kaniowa gonił z Jordanem z Gozdawy i, choć silnie uderzony bronią przeciwnika, siodła dotrzymał; ale w drugim spotkaniu nie był tak szczęśliwym i runął na ziemię, z której porwawszy się zręcznie, wytrącił za trzeciem natarciem stalową tarczę z rąk Jordana i zgiął mu pancerz przeważnym razem.

Walczyli potem inni rycerze, ale wszystkich pokonał Jordan i zwycięzcą sam jeden na pobojuwisku został. Już Wszebor drugą chciał mu przyznać nagrodę, kiedy wojewoda, wsiadłszy na konia, wyzwał go do potyczki. Nie odmówił jej Jordan, tyloma utarczkami znudzony; wziąwszy kopią z rąk giermka, zanurzył ostrogi w bok dyszącego konia i rzucił się naprzeciwko Sieciecha, który doń przybiegał z wściekłością w sercu.

Wielką miał przewagę wojewoda, na świeżym siedząc koniu, i zaraz też za pierwszym zwarciem upadł rumak Jordana, a rycerz ledwo mógł się z pod niego wydobyć. Rzucił wtenczas Sieciech niepotrzebną kopią, z konia zeskoczył i cichym rzekł głosem:

— Wyzywam cię na śmiertelny pojedynek.

— Gotów jestem — odparł Jordan — choć nie po temu miejsce — i, dobywszy miecza, zastawił się od potężnego zamachu wroga.

Rozległ się po równinie okrzyk oburzenia i trwogi; król powstał i chciał przemówić, ale nie miał dosyć mocy. Wszebor cisnął buławę między walczących, ale to nic nie pomogło, a nikt nie śmiał, rozdzielając rycerzy, nadstawić się ich ciosom. Potykali się więc z sobą wśród mnóstwa przerażonego ludu, wśród jęku i płaczu niewiast, zapomniawszy o własnej powinności i uszanowaniu, królowi należnem. Wtem Jordan słabiej zaczął odpierać napad Sieciecha; utraciwszy siły w tyłu potyczkach, napróżno starał się ich ostatki podźęgnąć wspomnieniem na chwałę i na zagrażające niebezpieczeństwo. Rana, odebrana w piersi, jeszcze bardziej moc jego zwałżyła. Wkrótce potem wojewoda krakowski oderwał mu szyszak ze skroni i w obnażone czoło siekł pałaszem. Tarcza Jordana padła obok potrzaskanego helmu, zawróciła się głowa, oczy nie mogły już rozpoznać nacierającego coraz bardziej wroga; nareszcie przyklął na piasku i, uchwyciwszy oręż w obie ręce, starał się ocalić życie, które upływało w krwi potokach, zbroję jego i miejsce, gdzie walczył, broczących. Wtenczas Zbigniew, widząc blizki zgon tak dzielnego męża, chciał mu na ratunek pobiedz, a kiedy

ojciec go nie puszczał, stanął z szybkością błyskawicy na poręczach, tron otaczających, i stamtąd rzucił się na dół. Trzeba było odwagi i całego uniesienia księcia do tak rozpaczego czynu, a zarazem szczęścia, zawsze mu prawie towarzyszącego, żeby po nim ocalał. A jednakże, choć dość wzniesionym był tron królewski, bez żadnego szwanku dostał się do ziemi, skoczywszy w otwarte objęcia Mestwina, zważającego z pobojowiska na wszystkie jego poruszenia.

— Daj mi twoje rękawice i sztylet! — rzekł Zbigniew, rzucając dane od żony rękawiczki, i, porwawszy broń żadaną, pobiegł do wojewody, silnem ramieniem odsunął konającego prawie Jordana, którego kilku żołnierzy wzięło, a sam z mieczem w prawej ręce, z sztyletem w lewej:

— Musisz teraz zginąć! — zawołał i zaczął walkę z Sieciechem.

Najwyższe zadziwienie wstrzymało wszystkim oddech i głosy. Mieczysław dobył szabli, chcąc, pobiegłszy na równinę, stanąć na miejscu wojewody i rozstrzygnąć pojedyńkiem los domowej wojny, ale Władysław Herman zarzucił mu ręce na szyję i, przyciskając do piersi:

— Jedyna i ostatnia moja nadziejo, zostań! — zawołał, a Wolimir z Moskorzowa, Wszebor i kilku innych panów, którzy się zbiegli do króla, zatrzymali za prośbą nieszczęśliwego monarchy szlachetnego młodzieńca.

To się wszystko w okamgnieniu stało, a kiedy kilku rycerzy chciało rozdzielić księcia od wojewody:

— Śmierć temu, który się przybliży! — krzyknął Zbigniew i dalej ciągnął śmiertelną walkę.

Wszystko, co siła i zręczność doświadczona może, towarzyszyło razem, nawzajem od dwóch przeciwników sobie zadawanym; ale Sieciech nieprzebitą okryty był zbroją, kiedy Zbigniew oprócz miecza i bohaterkiej odwagi żadnej inszej nie miał obrony. Starał się on kilka razy, zatrzymując szablą oręż nieprzyjaciela, sztyletem go, w drugiej ręce trzymanym, ugodzić, lecz zawsze ciężąca na lewem ramieniu rana osłabiała zamach i bezkorzystnymi jego zapędy czyniła. Pomimo najsroższych boleści uciarał się jednak Zbigniew z tak zapalczywym męstwem, że wojewoda zaczął wątpić o wygranej, ale nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że wielokrotne uderzenia wroga, odbite zawsze żelazem, piersi mu strzegącym, bezskutecznymi się stawały. Możeby jeszcze i stalowy pancerz na nie się nie zdał wojewodzie naprzeciw olbrzymiej sile i wścieklej księcia odwadze, gdyby rana, nie dobrze zagojona, nanowo się nie roztwarła, a wtenczas Zbigniew ramię opuścił i sztylet wypadł z jego drżącej dłoni. Radość zajaśniała na twarzy Sieciecha, podwoił natarczywość i wszystkimi siłami rzucił się na nieprzyjaciela. Nie ustąpił jednak i teraz osłabły księżę i, dosyć długo opierając się przeciwnikowi, nawet lekką ranę w nogę mu zadał. Lecz coraz bardziej tracąc na mocy, czuł, że się zbliża chwila, w której mu przyjdzie zginąć, zginąć pod żelazem Sieciecha i opuścić Hannę, tyloma burzami zagrożoną. Obraz łez jej i rozpacz podżegnał na chwilę jeszcze cały jego zapal i wrócił utracone siły: rzucił miecz daleko od siebie, w górę podskoczył i schwycił wojewodę za szyszak, starając się go nachylić do ziemi, gdzie leżał Mestwina

sztylet, którym myślił dokończyć zwycięstwa. Wtenczas Sieciech, słuchając tylko głosu zemsty i uniesienia, nową, cięższą ranę zadał synowi własnego króla, a omdlewający bohater runął na ziemię, pociągając za sobą w upadku niecierpianego wroga. Z trudnością przyszło się hetmanowi wydobyć z nieprzyjaciela objęcie, ale Zbigniew już powstać nie mógł. Napróżno starał się podnieść szlachetną głowę, napróżno ścisnął bezsilną ręką sztylet, nanowo uchwycony, jak gdyby z zimnego żelaza chciał przejąć nowe życia potoki, napróżno, oparłszy raz jeszcze szeroką prawicę o blizki kamień, dźwignąć się usiłował: ciemności pokryły niebo przed tak bystrym przed chwilą wzrokiem, wzdłuż ciała się wyciągnęło i zmysły go opuściły. Zapamiętały Sieciech podnosił już żelazo, kiedy silne uderzenie z dłoni mu go wytrąciło; obrócił się, a rycerz niemiecki, Mestwin z Wilderthalu, stał przed nim z założonemi na piersiach rękoma. Nowy pojedynek jużby się zaczął, gdyby tłumy wchodzącego do zagrody ludu ich nie przedzieliły.

Wtenczas dopiero powstało nadzwyczajne zamieszanie, krzyki i wrzaski rozległy się na wszystkie strony. Całe pobojuwisko pokryte było pospólstwem i rycerzami, niewiastami i żołnierzami, bogato wystrojonymi pany i ubogimi wyrobnikami, którzy, mieszając się w ścisku, największego zaburzenia i nieładu przedstawiali widok. Nieszczęśliwy Władysław musiał patrzeć z tronu na walkę, liczyć każdą ranę, synowi zadaną, a nareszcie widzieć jego pokonanie. Żadna już łza z oczu nie wypływała, ale znamień rozpacz ukazało się w skośnościach od przerażenia rysach.

Gorzko żałował Mieczysław, że wojewoda zajął jego miejsce i jedyny cel pragnień zniweczył, bo już nie można było wątpić, że wkrótce dobieje ostatnia chwila dla księcia Zbigniewa. Leżał on na miejscu walki, krwią własną oblany, a co chwila oddech cięższym się stawał, co chwila większa bladość po jego rozlewała się licach, a sine powieki, wpół zakrywające czarne oczy, lekkim drganiem świadczyły, jak mało już życia pozostało w tak pięknym niedawno ciele.

Nadzwyczajnem zdarzeniem nikomu wśród tylu ciekawych widzów na myśl nie przyszło ratować go jeszcze lub podnieść z kurzawy; czy też dlatego, że w wielu sercach wrzała niechęć ku niemu, czy też, przejęci postrachem bohatera, nie śmieli się go dotknąć i niezrozumianą bojaźnią przejmował ich jeszcze umierający Zbigniew. Dopiero po jakimś czasie przerznął się przez otaczające tłumy Henryk z Kaniowa, a pamiętny darowanego przez Zbigniewa życia, zmierzył okiem pogardy tych, którzy w beczynności rachowali ostatnie wielkiego człowieka chwile, i, dźwignąwszy księcia, cucić go zaczął.

Tymczasem Sieciech, wojewoda krakowski, klęczący przed królem, w takie doń ozywał się słowa:

— Władysławie, królu i panie mój! Nie szukałem walki z księciem Zbigniewem. Wyrwał on poświęconą sprawiedliwej zemście ofiarę, a wtedy... Ale, królu i panie mój, sam patrzyłeś na to zdarzenie. Podniosłem oręż na twojego syna, mnogiemi rany pokryłem mu piersi, choćbym własnymi gotów zastawiać jego ojca i życie oddać za ciebie.

— Wojewodo — rzekł król — serce moje przeklina ciebie.

Zmarszczył brwi Sieciech i pojrzał na straż królewską wymownym wzrokiem; raczej była to straż dumnego hetmana, niż straż Władysława. Zrozumiał nieszcześliwy starzec utajone myśli Sieciecha.

— Wojewodo — rzekł — wiesz, jak cenię twoje zasługi...

Usłyszawszy taki początek, nie czekał Sieciech końca mowy słabego monarchy i rozkazującym wykrzyknął głosem:

— Zanieść księcia Zbigniewa do zamku królewskiego w Płocku!

Tysiąc głosów powtórzyło: — »Zanieść księcia do zamku!« — »Zbigniew do Płocka!« — a wojewoda rozkazał jednemu z swoich rycerzy, Spytkowi z Rytwian, by przerznął się z kilkoma zbrojnymi przez tłumy, otaczające Zbigniewa, i, odebrawszy go z rąk Henryka z Kaniowa, do Płocka wyruszyli. Więc już miały się zakończyć walki i spory, wojna domowa ustaćby musiała, Zbigniew w mocy nieprzyjaciół oddałby Hannę. Mieczysław stał smutnie, oparty o poręcze tronu, bo inny zwalczył jego wroga; nie przewagą własnego oręża, nie narażaniem się na setne niebezpieczeństwa wyrwie kochankę z rąk Zbigniewa, ale przez układy, przez poniżające umowy spokojnie ją odbierze i miecz jego nie zabłysnął, z pochwy wydobyty, i spokojnie przypatrywał się walce i widział krew nieprzyjaciela, od innej przelewana ręki; każda kropla przymnażała mu boleści i wstydu, każde uderzenie Sieciecha hańbą go okrywało. W tej chwili tak go chęć sławy uniosła, że ży-

czył sobie, żeby Zbigniew uszedł niewoli. Gotów był nawet życie jego wszelkimi sposobami teraz ocalić, żeby później mógł mu je sam wydrzeć i w oczach świata ukazać się godnym synem Bolesława Śmiałego.

Takie myśli snuły się w umyśle młodzieńca, kiedy Spytek z Rytwian szedł śpiesznym pośród mnóstwa ludu krokiem, zmierzając do Zbigniewa, którego usiłowania Henryka do zmysłów jeszcze wrócić nie potrafiły.

Zbliżył się rycerz, od Sieciecha posłany, i kazał żołnierzom wziąć syna Władysława. Ale w tej samej chwili usłyszano przeraźliwe krzyki i z przeciwnego końca poboju ukazał się rycerz, który na czele kilku zbrojnych z spuszczoną przybiegał przyłbicą, traktując po ciałach zwalonych przez siebie ludzi. Z dobytym pałaszem dopadł miejsca, gdzie był książę, objął go lewym ramieniem i, porwawszy z ziemi, położył przed sobą na siodle. Spytkowi, zatrzymującemu wodze u konia, miecz w piersi utopił, a spinając rumaka ostrogą, roztrącił opierających się, w najżywszym pędzie uniósł księcia ponad trupy, którymi drogę zaścielał.

Wkrótce potem ujrano młodzieńca, jadącego jego śladami; kilku z przytomnych poznało jeźdźcę, a imię »Ulrych«, z ust do ust przechodząc, kazało się domyślać, że jego pan tak odważnym sposobem wyrwał Zbigniewa z rąk przeciwników i z hańby niewoli.

Dwoma godzinami później puste było pole turniejów. Gmach wznosił się jeszcze wśród ostatków połamanych orężów, krwią zbryzganych trupów i szlacheckich koni, na kurzawie rozciągniętych. Gdzieniedzie wianki z kwiatów, upuszczone przez drżących piękności

ręce, leżały, a róża, wpół z liści obnażona, podnosiła się jeszcze z piasku zbroczonego lub tkwiła wśród szczętów potrzaskanej broni.

Zbigniew zaś leżał w swoim zamku, a u jego łóża stał rycerz z Wilderthalu, Abraham z Hamburga i Hanna z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XVII.

Wierna mężowi, lecz taka wierność
prowadzi do grobu.

Szekspir.

Łzy, płynące po anielskich licach księżnej, zatrzymały się na chwilę, kiedy Zbigniew oczy pierwszy raz otworzył i osłabionym wzrokiem pojrzał na otaczające przedmioty. Utrata krwi, uszłej tyloma ranami, tak go osłabiła, że nie mógł z początku ani słowa wyrzec, ale w niemem ściśnięciu ręki poznała Hanna całą miłość ukochanego męża. Mestwin ponuro patrzył na to porozumienie się dwóch serc, przywiązaniem tchnących, a tymczasem Abraham ze zwyczajną powagą zaczął opatrywać księcia. Z początku nic nie mówił, a cierpienia i srogie księżnej oczekiwanie odbijało się w każdym rysie nadobnej twarzy, w każdym smętnym spojrzeniu, w każdej łzie, co się z niebieskich oczu sączyła. Nareszcie ozwał się lekarz:

— Trzeba czasu, ale rękę, że nie zginie.

Radość zabłysła na twarzy Hanny, jak promień słońca, migający między chmurami; rozjaśniło się czoło posępnego Mestwina i z wyrazem zadowolenia po cichu powtórzył:

— Trzeba czasu!

Następnie ksiązę drżącym głosem powitał powiernika i żonę, a kiedy się dowiedział, jakim sposobem uratował go rycerz niemiecki, jak najczulej mu podziękował.

— Nie wiem — rzekł po chwili — czego mam się spodziewać, czy życia, czy zgonu? Ale to wnet rozstrzygnę. Mestwinie, podaj mi pałasz!

Z zadziwieniem rycerz niemiecki taki rozkaz usłyszał, natychmiast jednak broń żadaną złożył w ręce księcia.

— Teraz — rzekł Zbigniew — postaw na ziemi przed mojem łóżem ten szyszak stalowy!

Również i to Mestwin wypełnił. Abraham śledził z uwagą najmniejsze księcia poruszenia, a do zdumienia Hanny mięszała się jakaś bojaźń, zarówno do opisania, jak do wytłómaczenia trudna.

Wtenczas Zbigniew z trudnością się podniósł i, lewą ręką oparłszy się o łożo, dźwignął miecz swój ogromny w górę, pomimo największych boleści zatrzymał go przez chwilę w powietrzu, a stamtąd spuścił na hełm, z twardej wyrobiony stali; a choć słabsze było to uderzenie od zwyczajnych bohatera ciosów, rozpadł się szyszak z łoskotem, na dwoje przecięty.

— Nie zginę! — zawołał ksiązę i opadł na łożo, dręczony pomnożonym przez te wysilenia bólem; nadzieję znać było jednak w żywych jego oczach, a choć chwilowy rumieniec bledniejące lica opuścił, zostawił na nich ślady życia. Wtem Abraham z Hamburga głos zabrał i oświadczył, że spokojności nadewszystko księciu potrzeba i że bez niej nigdy go nie potrafi pomimo najlepszych chęci i największych usiłowań z tak niebezpiecznego wyprowadzić położenia.

Zapewnie uczuł prawdę tego rozumowania Zbigniew, bo, obróciwszy się do żony:

— Hanno — rzekł — wróć do swoich komnat; nie ścierpię, by widok moich boleści nieustannie cię dręczył, byś przy chorym przepędzała dni młodości, rozkoszom i uciechom przeznaczone! Wróć do siebie, moje kochanie!

— I gdzież mi lepiej, jak tutaj, będzie, drogi Zbigniewie? Z radością każde twoje słowo słyszę, z uniesieniem patrzę na męża, wracającego do życia. Nie posyłam mnie na wygnanie do tych komnat, tak bogatych wprawdzie, ale już tak dawno twoją przytomnością nie ożywionych!

— Księżno i pani moja — przerwał lekarz — twój widok księcia porusza, niespokojnym go czyni, podwaja natężenie umysłu, wlewa ogień w osłabione żyły, a to wszystko jest niebezpiecznem. Jutro, za kilka dni dłużej będziesz mogła przy nim zabawić; ale dzisiaj, zaklinam, oddal się pani, jeśli drogie ci są dni księcia Zbigniewa, za których całość ręczę teraz, jeśli Bóg dwunastu pokoleń pobłogosławi mojej nauce i sztuce!

— Hanno — rzekł książę — myśl, że każdy jęk, wydarty z moich piersi przez ciężkie bóle, twoje serce zasmuca, jest najgorszą dla mnie męczarnią!

Nie mogła się już dłużej opierać księżna. Rzuciła się więc w męża objęcia i, uroniwszy łez kilka na rozdarcie jego łonie, spojrzawszy jeszcze raz na ulubionego, wyszła z Mestwinem, któremu Zbigniew kazał odprowadzić żonę do jej pokojów, a potem zebrać ludzi, rozstawić ich po wieżach i wszystko przygotować do wojny, w której miał dowodzić aż do wyzdrowienia księcia.

wienia księcia. Zalecił mu także Zbigniew, żeby miał staranie o dzielny rycerz z Gozdawy, którego niedawno bez zmysłów wniesiono do zamku.

Drżąca Hanna przebiegała lekką stopą liczne korytarze i manowce, dzielące ją od pysznych pokojów, a ile razy przy wstępowaniu lub schodzeniu z natrafiających się schodów chciał jej podać rękę rycerz niemiecki, odpierała jego usługę spojrzeniem, malującym pogardę i największe oburzenie. Nakoniec, przybywszy do swojego mieszkania, stanęła na progu.

— Tu kończy się twoja droga — rzekła do Mestwina — uchodź więc z moich oczu! — i wstąpiła do komnaty; lecz wkrótce potem, odwróciwszy się, ujrzała z gniewem, z bojaźnią pomięszanym, stojącego za sobą Mestwina. Chciała zawołać na Katarzynę, ale rycerz z Wilderthalu nie dał jej czasu wymówić i słowa. Zbliżył się śmiało, porwał za rękę i cichym wyrzekł głosem:

— Milczenie!... niewiasto, pamiętaj na straszną przysięgę!

— Ach! jakżem nieszczęśliwa — zawołała księżna. — Nierozważna przysięga każe mi ukrywać występki tego zbrodniarza i słuchać miłośne oświadczenia tego potworu, kiedy może w tej chwili mój Zbigniew umiera!

— Potwór i zbrodniarz — przerwał Mestwin — stojący przed tobą, naraził dziś życie dla człowieka, tak kochanego od ciebie, i uniósł go wśród grożącej ze wsząd śmierci z tłumu zażartych wrogów.

— Tem bardziej żałuję — odparła Hanna — że Zbigniew winien za to jakąkolwiek wdzięczność takiemu, jak ty, zbrodniarzowi.

— Czyż zawsze — zawołał Mestwin — zaślepiona, leć będziesz w otwartą przepaść? Czyż zawsze, związana przesadami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą, od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą, a dla kilku słów, przez człowieka równego tobie, przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczymi grotami rękę, którejby tak miłem było przyciskać cię do piersi. Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenie, bo wierzaj mi, pani, że już Zbigniew nie kocha ciebie!

Z trudnością córka Wszeborza zatrzymała łzę, temi słowy wydartą jej boskim oczom, i ze wzgardą odpowiedziała:

— Precz stąd, precz, zmij! Twój jad nie wciśnie się do mojego serca, bo Zbigniew kocha mnie i kochać nie przestanie, a choćby zapomniał o Hannie, ona mu wiecznie zaprzysiężonej wiary dochowa!

— Nie, nie dochowa — przerwał ponuro Mestwin — bo wtenczas najdoskonalszy utwór Boga musiałby zniknąć z tego świata.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła:

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, które mi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz, pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc twojej Hannie? Czyżbyś go nie orężem, ale już samym wzrokiem stąd nie oddalił?

— Niema siły na świecie — krzyknął Mestwin —

k któraby mogła mnie stąd oddalić, kiedy widzę przed sobą postać ulubionej!

— A więc — ciągnęła dalej księżna — trzeba pożegnać się ze złotymi chwilami młodości, z rajem, w wyobraźni utworzonym! Kwiaty, strojące drogę życia, wiedną przed moimi krokami. Zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła duch piekielny się zjawił i, zatruwając szczęście, czarnymi smutkami powłókł me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, napróżno narzekasz. Nie znajdziesz litości w moim sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania. Wtenczas dopiero poznasz nieznane dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkimi. Niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec: ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę! Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach, lub, jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz, co zechcesz, czy niebo, czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko, co można uczynić, uczynię, a to, co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu, zapominasz się zupełnie. Czyż już nie wiesz, do kogo przemawiasz?

— Do mojej żony, lub do mojej ofiary — odparł wściekle Mestwin.

— Jeśliś matkę lub siostrę miłował, jeśliś ojczyznę lub cokolwiek na świecie kochał, w imieniu tego każę ci się natychmiast oddalić.

— I sądzisz — rzekł rycerz, nie zważając na to wezwanie — że Zbigniew jeszcze cię kocha, a przecież — dodał zręcznie — ciągle dzisiaj zwracały się jego oczy na Sławomirę z Kossowy.

Zadrżała pomimowolnie księżna; nie uszło to uwagi rycerza, który cięższe jeszcze rany gotował jej czułemu sercu.

— Powiedział mi nawet na turnieju, że jej piękność nierównie twoją przewyższa.

— Kłamstwo nieraz twoje usta skaziło i dotąd je kazi — przerwała Hanna. — Znam dobrze Zbigniewa, nigdy on mnie nie opuści.

— Wyrzuci cię z serca, jak wyrzucił dar twojej ręki — zawołał rycerz, rzucając na stół dane księciu dnia poprzedniego rękawiczki, które podniósł, kiedy Zbigniew, lecąc do boju, jego własne przywdział. Ten widok przeraził Hannę i, drżąc, przycisnęła do piersi rękawiczkę, która niedawno spoczywała na dzielnej bohatera prawicy.

— Pani — rzekł wtenczas Mestwin — zdaje się, że ten dowód musiał cię przekonać, że przed nim ustąpią wstrzymujące cię dotąd względy, że dłużej nie potrzebuję powtarzać próśb i przełożeń — a to mówiąc, chciał namiętne zarzucić uściski na śnieżne piersi swojej pani.

Cofnęła się Hanna.

— Rycerzu! — zawołała rozkazującym głosem — jestem bez pomocy, bez obrony. Wiara rycerska, jeśli jeszcze nie zaginęła w bezecnym sercu, niech cię wstrzyma w szalonym zapędzie!

Właśnie w tej chwili wypadł sztylet, zatknięty w pa-

sie Mestwina. Porwała broń morderczą księżna i zwracając go do własnego łona:

— Już znalazłam obrońcę — zawołała — i nie lękam się ciebie!

A w jej oczach świetniał nadludzki ogień i zdawała się już nie być mieszkanką tej ziemi.

Stał oniemiały Mestwin, wlepiając wzrok okropny w postać anielską. Niezrozumiana przez niego cnota w całym ukazała się blasku i zwątpił o osiągnięciu szkaradnych celów.

— Ostatni raz powtarzam ci — rzekła księżna — abyś zaniechał na zawsze swoich zamiarów i nigdy nie śmiał stawiać się przedemną. Wieczna zapora między cnotą i zbrodnią dzieli nas w tem życiu, w przyszłym zaś przestrzeń niezmierzona między niebem i piekłem, jeśli skruczą i żalem nie przeblągasz Stwórcy.

Poznał wtenczas Mestwin, że mu żadna nie pozostawała nadzieja, że wszystko oprócz zemsty znikło dla niego na ziemi. Porzucił więc dotychczasową postać i nagle przejął się z wściekłego kochanka przemienił się na wyrachowanego zbrodniarza. Ukłonił się księżnie z szyderskim uśmiechem:

— Pani, już się stało: chciałaś się zgubić i zgubiłaś się. Od tej chwili miłośne oświadczenia już o twoje uszy obijać się nie będą, ale przekleństwa i srogie wyrzuty zajmą ich miejsce. Żegnam cię, Hanno z Ciechanowa, poświęconaś na męki i bolesti, nieznane dotąd temu światu, a jeśli po śmierci mam jęczyć w bezdennej przepaści, twoje życie piekłem się stanie i tak zawsze twój los mojemu podobnym będzie.

Po tych słowach oddalił się rycerz, a kiedy stanął

u drzwi, łoskot rzuconego na ziemię sztyletu obił się o jego uszy; odwrócił się i, podniósłszy broń ulubioną, odszedł do swojej komnaty. Nim jeszcze stanął u jej wnijsia, już miał ułożone pasmo zdrad i podstępów, którymi chciał najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastę doprowadzić do zguby.

Zastał w pokoju Ulrycha, trudniącego się urządzeniem broni w szafach, już czytelnikowi znajomych. Zbliżywszy się w milczeniu do stołu, zrzucił spokojnie szyszak, zdjął ciężki pancerz i odpiął szpadę. Następnie z krwią najzimniejszą usiadł w szerokim krześle, założył ręce na piersi i giermka przywołał.

— Ulrychu — rzekł mocnym głosem — ostatnia nadzieja uleciała dzisiaj odemnie; zostaję wiernym panu mojemu i księciu, ale jego żona musi porzucić tę ziemię.

Po tych słowach głośnym i przeciągłym śmiechem oznaczył dziką radość, pochodzącą z pewności, że Hanna nie ujdzie jego nienawiści.

— Tak, mój chłopcze, będziesz miał teraz dużo do roboty, ale też ufam ci, jak sobie samemu. Przyznać trzeba, żeś się dzielnie dzisiaj spisał: właśnie w stanowczej chwili doniosłeś mnie o niebezpieczeństwie księcia. Zagadałem się z tym Skarbimirem i, gdybyś nie przybiegł, wszystkoby już zgubionem było. Teraz uratowałem Zbigniewa, a on na mnie polega, jak na aniele stróżu. Przewybornie, doskonale! Okoliczności mi sprzyjają, zemsta gotowa, ułożona już i niechybna.

— Od jakiegoś czasu — przerwał Ulrych — nie mogę cię zrozumieć, czy to, że w Polsce rozum

straciłem, czy też, że ciemno i niedobrze się wyrażasz, rycerzu i panie mój.

— Do szatana, zaraz ci się lepiej wytłómaczę, ale wprzód daj mi czarę wina!

Pobiegł na górę giermek i przyniósł złoty puhar, pełny szumiącego napoju, który Mestwin odrazu wychylił.

— Dobre wino, na Boga — krzyknął — kilkam kropli wypił, a już jaśniejsze przychodzą myśli, rozwidniają się zamiary i cele nie tak dalekimi się wydają. Siadź na tej poduszce przy moich nogach i słuchaj uważnie!

Wypełnił rozkaz Ulrych i z natężoną ciekawością wpatrywał się w rycerza, sądząc, że mu wykryje ważne tajemnice. Niezmiernie zdziwił się zatem, kiedy następujące usłyszał pytanie:

— Czy dobry masz sztylet?

— Nie najlepszy — odpowiedział po chwili — bo ten piękny, darowany mi jeszcze w Niemczech przez ciebie, na łowach zgubiłem; wprowadź drugi w Płocku nabyłem, ale nie tak już ostry i mocny.

Wstał Mestwin i, poszedłszy do szaf, jedną z nich otworzył, wyjął z niej sztylet stalowy i dał go giermkowi.

— Weź — rzekł — jego żelazo jadem napuszczane, a kiedy nim tylko zadraśniesz wroga, natychmiast zginie!

Potem usiadł znów rycerz i dalej mówił:

— Czyś zawsze równie silny i wytrzymały w biegu?

Zdumiony młodzieniec odpowiedział, że nie stracił tych ważnych zalet.

— I czujesz się zdolnym narazić się na niebezpieczeństwa?

— Na wszystko, co rozkażesz.

— A gdyby, na przykład, i podstęp trzeba było użyć, czybyś umiał sprawę poruczoną zrzęcznie wykonać?

— Znasz mnie, panie — odparł Ulrych — doświadczyłeś w niejednym razie i nie widzę, do czego te wszystkie zapytania zmierzają.

— Ach! nie widzisz? Zaraz się dowiesz, Ulrychu! chociaż tak młody, powierzę ci jednak najskrytsze myśli, a w nagrodę takiej ufności żądam poświęcenia bez granic, oddania życia za moją sprawę i zrzeczenia się wszystkich uciech bez najmniejszego żalu.

— Gotów jestem, panie! — krzyknął młodzieniec. — Rozkaż, a pójdę na śmierć!

— Dobrze, porywcze dziecię, dobrze — odparł Mestwin i wpadł w głębokie zamyślenie, które nie przędko przerwał.

Nareszcie spokojnym tak przemówił głosem:

— Ta dumna Polka, ta księżna, jak to ją zowiesz, nie chciała odpowiedzieć na uczucia Mestwina z Wilderthalu, rycerza niemieckiego, a zatem zapadł na nią wyrok niczem niecofniony: musi umrzeć. Nie myśl jednak, że ci dał ten sztylet dla jej zabicia; o nie, uchowaj Boże, tak słodkiej i prędkiej śmierci nie dozwolę Hannie z Ciechanowa, córce potężnego Wszebora, żonie potężniejszego jeszcze księcia Zbigniewa! Jeśli nie ze smutku, to przynajmniej z trucizny zginie. Prawdaż, Ulrychu, trucizna jest przedziwnym środ-

kiem, osobiście, kiedy nie wnet, ale przez kilka godzin skutki swe wymierza?

— Bez wątpienia — odparł młodzieniec — ale szkoda tak pięknej i cnotliwej...

Głośnym śmiechem przerwał mu Mestwin.

— Cnotliwej! — powtórzył — a, to coś nowego! Kobieta cnotliwa! Nigdy nie słyszał, nigdy takiego cudu nie widział! A wszakże pierwszą niewiastę w kilka dni po urodzeniu szatan skusił! Wierz mi, Ulrychu, niema na świecie cnotliwej kobiety! Każda skryciej lub jawniej zdradza swoje powinności. Tak królowa, jak wieśniaczka woli żywe oko kochanka od poważnego męża.

— A jednak zdaje mi się — rzekł Ulrych — żeś sam dopiero doświadczył oporu, któryby cię powinien przekonać o cnocie...

— Dziecko z ciebie, wielkie dziecko, nie masz doświadczenia! Że Hanna, powodowana cnotą, odrzuciła moje przełożenia, ja w całym jej postępowaniu tylko dumę upatruję. Wystawia sobie, że prosty rycerz; mniej dźwięcznie brzmi w jej uszach: »Mestwin z Wilderthalu«, niż »Zbigniew, książę polski«, i dlatego też taką odprawę mi dała. Ale na piekło poprzysięgam, że pozna, kto jest ten Mestwin i z kim śmiała się poróżnić. Teraz, mój uczniu kochany, wyobraź sobie, że jestem mistrzem, którego nauk dobrze ci zapamiętać trzeba! Niech od dzisiejszego dnia twoje przywiązanie do mnie ma za granice ściany tego pokoju! Za niemi jesteś moim nieprzyjacielem, stajesz się sługą niewiernym, niecierpiącym swojego pana. Udajesz przed księżną, do której koniecznie musisz się wsu-

nać, i przed jej Katarzyną, że moje okrucieństwo zniechęciło cię zupełnie, okrywasz mnie obelgami, oskarżasz o najokropniejsze zbrodnie. Tym sposobem pozyskasz ufność dowierzających, najczęściej każdemu niewiast, a wieczorem każde ich słówko, każde poruszenie donosić mi będziesz. Dalsze postępowanie później ci oznaczę. Przewiduję, że nieraz odwiedzisz obóz Mieczysława, gdzie Skarbimir poddany mi zupełnie... Rozumiesz, Ulrychu?

— Rozumiem.

— Gdybym innemu te rozkazy ogłaszał, zakończyłbym ich wyliczanie workiem pełnym srebra.

— Ale wiesz — krzyknął młodzieniec — że nie potrzebne ci srebro, kiedy masz ze mną do czynienia.

— I właśnie dlatego nic ci nie dam.

— Oprócz łaski i przywiązania do człowieka — odparł giermek — który cię pewno nie zdradzi.

— Dosyć i nauk i obietnic — rzekł Mestwin, wstając z krzesła — pójdę teraz do Jordana. Słyszałeś?

— I wykonam — zawołał Ulrych.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rzuca się wszyscy — i razem
Płomień słupem w niebo buchnie,
Wszędzie żarzyste migają główne,
Leją się siarki i smoły,

— — — — —
Chmurami wieją popioły.

Odyniec.

Nazajutrz po tej rozmowie tysiączne oręże błyszczały przed murami Zbigniewa i pomieszane wrzaski spokojną od kilku dni przerażały okolice.

Wrzący namiętnością sławy Mieczysław podchodził z żołnierzami baszty, a Sieciech na koniu objeżdżał rotę, gdyż lekka rana pieszo mu iść nie dozwalała. Wszebor również swoich zagrzewał, kiedy Skarbimir, unikając śmierci, krył się pomiędzy tylnymi hufcami — i ten sam stan rzeczy, który był przed zawarciem zawieszenia broni, wrócił na nowo. Jedna tylko w nim zachodziła różnica, że nie już Zbigniew z Jordanem z Gozdawy siał postrach pomiędzy szyki nieprzyjaciół, ale Mestwin z Wilderthalu, który co do znajomości sztuki wojennej i nieustraszonej odwagi, godnym był zastępować ich miejsce.

Myślał z początku wojewoda, że łatwo mu przyjdzie zdobyć zamek, sądząc, że już w nim skonał Zbigniew i że liczba obrońców, znacznie poprzednimi napadami zmniejszona, niedługo opierać się zdoła. Lecz w tem mniemaniu zupełnie się zawiódł, gdyż podczas turnieju, na którego widzenie wszystkie hufce Mieczysława obóz opuściły, nowe posiłki i świeże zapasy żywności dostały się do zamku.

Po krótkim czasie zaczął się prawdy domyslać Sieciech, kiedy ujrzał, jak walecznie broniła się załoga i jak umiejętnie wszystkim rozrządzał Mestwin. Podwoił zatem własne usiłowania, bojąc się, żeby nie powiedzieli, iż rycerz niemiecki przemógł nad wojewodą krakowskim i hetmanem Władysława Hermana.

Roztropność atoli Mestwina w niwecz obróciła jego zamiary, a dziki Gierda, potrząsając ogromnym toporem, w czapce borsuczej i niedźwiedziej skórce, z których włosów krew zabitych się sączyła, wszystkich przerażał. Ciężkie kamienie, świszczące strzały, jadem

napuszczane pociski, z obu stron wylatujące, zaciemniały słońce przed wzrokiem walczących, a krzyki, to uniesienia i zapалу, to boleści i rozpacz, przebijając tę chmurę, wznosiły się do niebios, jak gdyby srogi wyrzuty tyłu mąk i nieszczęść na ziemi.

Ginęli męże i, padając na kurzawę, szlachetną krew wylewali, przeznaczoną sprawiedliwym za ojczyznę bojom.

Wśród tego zamięszania odznaczał się zapalony Mieczysław, doświadczony Sieciech i żartujący z ich wysień Mestwin, który, wzniesiony nad dolinę i głowy wrogów, kierował wystrzałami łuczników i pole trupami zasiewał.

Kiedy tak zawzięta odbywała się walka, zupełnie inne uczucia zajmowały dwie osoby, rozmawiające z sobą w jednym z długich zamku korytarzów. Jedną z nich była dziewczyna z żywym okiem i świeżym licem, drugą młodzieniec, pod którego szlachetnymi rysami krył się fałsz i obłuda.

Katarzyna, przechodząc, ujrzała go wylewającym ciche łzy w ukrytym kącie, a serce osiemnastoletniej dziewczyny wzruszyło się na widok udanych cierpień młodego giermka. Przeszła jednak szybko, ale jęki Ulrycha cofnęły jej kroki i, nazad wróciwszy, zapytała się nieśmiało:

— Cóż to znaczy? Czego płaczesz, biedny młodzieńcze?

Podniósł schyloną głowę młodzieniec i ukazał płomieniste oczy wśród rzęsimy łez potoku.

— Ach! — zawołał głosem rozpacz — tyś szczęśliwa, pędzisz życie przy cnotliwej i łagodnej pani,

wszystkie życia chwile umiła ci anioł dobroci; nie znasz gorzkich płaczów, nie wiesz, co to jest okrutnik srogi i nieubłagany, ach! nie wiesz, co to służyć u Mestwina z Wilderthalu!

Zadrżała na to straszne imię Katarzyna.

— Cóż ci on zrobił? — rzekła po chwili.

— Zapytaj — odparł Ulrych — wszystkich ofiar jego gniewu i zemsty, zapytaj się ich, eo im zrobił Mestwin z Wilderthalu! Z początku słodki, ujmujący, zamienia się potem na gwałtownego ciemiejąc. Mnie także zwiodła jego słodycz, pokrywająca najczarniejsze występki. Oderwał mnie od ojczyzny, wyrwał z objęć matki; dla niego opuściłem piękną, czułą, jak ty, siostrę i z najmilszych wyzułem się uczuć, a teraz coraz surowszym i straszniejszym się staje!

A tu nowe łzy mowę mu przecięły i nowe westchnienia z kłamiwych piersi wydobyły.

— Nie płacz tak, Ulrychu! — zawołała już sama płacząca Katarzyna. — Alboż w naszym kraju niema sprawiedliwości? Alboż nie zasiada w Płocku król nasz miłościwy, a w tym zamku syn jego, potężny książę i pan nasz Zbigniew?

— Nic mi nie pomogą!

— Zanieś skargę, rzuć się mu do nóg, a zapewniam cię, że skarci twójgo pana! Jeśli chcesz, to nawet powiem mojej pani, a ona tak dobra, tak czuła — jestem pewna, że się ujmie za tobą.

Zbladł na te słowa młodzieniec, jak gdyby wyrzuty sumienia ozwały się w duszy, ale to pomięszanie krótko trwało.

— Nie — zawołał z udaniem przerażenia — nie

czyni tego, jeśli nieszczęśliwy, stojący przed tobą, ma jakiegokolwiek prawo do twojej litości! Onby mnie zabił, rozszarpał, gdyby miał choć najmniejsze podejrzenie, że śmiem sprzeciwiać się jemu i żalić się na postępowanie, które wkrótce do grobu mnie wtrąci! O matko, o siostro moja, o luba ojczyzno! czyż was nigdy już nie obaczę? Czyż nie ujrzę tych łąk, na których w dzieciństwie igrałem, tych strumieni, po których tak przyjemnie mi było pływać przy wieczornym powiewie, tych skał, pokrytych zielonymi krzewami, na które często się wdzierałem, czepiając rekoma słabe rośliny i trawy?

— Nie narzekaj tak, Ulrychu, rozdierasz mi serce!

— Ale nie — przerwał giermek, zapalając się coraz bardziej — nie powiedzą, że jak niewolnicze zwierzę schylił kark pod narzuconem jarzmem! I w moich też piersiach bije serce, i w moich żyłach krew płynie. Bez obrony, bez przytułku, w obcym kraju, wydarty matce, wystawiony na okrucieństwo srogięgo pana, zdołam jeszcze zebrać młodzieńcze siły i, jeśli nie pognębić, to ukarać przynajmniej wroga, który mnie wkrótce o śmierć przyprowadzi. Patrz, dziewczyno, na tę twarz pozbawioną rumieńca, na te oschłe i wychudłe palce, na tę schyloną, a kiedyś tak lekką i wysmukłą postawę: oto są skutki niewoli i uciemnienia! Tajemniczy, zawzięty, samą zbrodnią oddychający człowiek to sprawił, a teraz osądź sama, czy nie mam przyczyny łzy wylewać, kiedy codzień czuję słabnące ciało, odzywające się boleści i czarne troski w miejscu dawnej, niczem nie zatrutej radości! Ale przyj-

dzie czas i podniosę się z pod stóp potwora, tłoczącego mnie ku ziemi.

Przerażona dziewczyna w milczeniu i z ściśnionem sercem poglądała na człowieka, uniesionego gniewem.

— Opowiedz mi — nareszcie się ozwała — to, co Mestwin ci wyrządził!

— Wczoraj — odparł Ulrych — wrócił do siebie niezwykle uniesiony szałem, oderwane wymawiając słowa, pomiędzy którymi imię twojej pani i księcia Zbigniewa najczęściej słyszałem; ponure i okropne rzucał na mnie wejrzenia. Nakoniec, wywierając swój gniew bez najmniejszego powodu, mało co w zapamiętałej wściekłości dni moich nie skrócił trzymanem ciągle w ręku żelazem. Wymawiałem mu w rozpacz to niesłuszne obchodzenie się ze mną, nawet śmiałem wspomnieć o słyszanych wyrazach i wyrzucić, że coś zamierza przeciw księżnie, której wdzięki i anielska słodycz pozyskały całe moje przywiązanie, a wtenczas pniąc się od złości, z ognistym wzrokiem, wywrócił mnie na ziemię i, piersi nogą przytłoczywszy, wymógł straszną przysięgę, że nikomu nie powtórzę... Ale zdradzam ją — dodał z oznakami trwogi — może nas podsłuchał? Zgubionym... — i oglądał się na wszystkie strony z przerażeniem na twarzy.

— Bądź spokojny, on teraz walczy na murach! Czyż nie słyszysz wojennych okrzyków i świstu pocisków?

— Prawda, wypadło mi już wszystko z pamięci; prawda, wkrótce rozum stracę! — rzekł Ulrych, zwracając ku ziemi wzrok osłupiały.

— A więc — ozwała się Katarzyna — kochasz moją panią i możnaby rachować na ciebie w razie potrzeby?

— Całą krew chętniebym za nią przelał — krzyknął giermek i wzniosłszy ręce do góry: — Przysięgam, że wypełnię wszystko, co mi rozkaże.

Nie zważając na dwóznaczność tego przyrzeczenia, z radością wyrzekła dziewczyna:

— Pamiętaj o tem, coś wymówił, i staw się w słowie, kiedy czas i miejsce będą po temu!

To mówiąc, oddaliła się, pewna, że znalazła nowego przyjaciela i poświęconego sługę Hannie z Ciechanowa.

Zadowolniony Ulrych z udania się tej pierwszej próby, poszedł na dziedziniec zamkowy dla przypatrzenia się walce, ale coś nieprzyjemnego mięszało się do jego radości.

Okropna bitwa toczyła się ciągle na murach, okrytych pomieszanymi z sobą żołnierzami Zbigniewa i Mieczysława, krwi potoki sływały po kamieniach i basztach. Poobcinane głowy, oderwane od ciała członki i drętwiące jeszcze ostatkiem życia zewsząd się sypały. Wtem ukazał się na najwyższej wieży rycerz z Wilderthalu z kilkoma ludźmi, którzy ogromny, tam leżący kamień podważywszy drągami, zwalili go na drabiny i głowy wspinających się po nich wojowników. Wnet potem zapalone pochodnie, kawały ciężkiego ołowiu, pomieszane z wrzącem wapnem, wysypały się na oblegających. Potok morderczych płynów oblał dobywających się do zamku, a natychmiast rozległ się po przestrzeni krzyk bólesci i żołnierze z napół spalonych dłoni wypuścili żelaza. Strąceni

z wysokich murów rycerze roztrącali się o kamienie, na dole leżące, a grad pocisków bez ustanku leciał na strwożone szeregi. Ze wszystkich stron napadane hufce straciły odwagę, walka nierówną się stała i znak odwrotu nareszcie dowiódł ciężkie nieprzyjaciół straty i przewagę Mestwina.

Podobne codzień odbywały się boje, a zawsze, odparci na końcu, oblegający z odrodzonym męstwem i nową stałością nazajutrz wracali. Zbigniew sił powoli nabierał, ale jeszcze po dwóch tygodniach nie mógł wystawiać się na niebezpieczeństwa, którychby nie był zdolnym odeprzeć. Widziano go jednak niesionego czasem na rękach wiernych żołnierzy; zasłonięty ich puklerzami odwiedzał mury, opatrywał stanowiska i dawał rozkazy. Za słaby jeszcze na dźwiganie ciężkiej zbroi, nosił czapkę z białymi piórami i lekką koleczugę, a wypuszczone nań strzały jak gdyby z uszanowaniem naokoło padały. Tak więc bohater wyrywał się jeszcze z objęć śmierci dla bronięcia żony i zjednania sobie nieśmiertelnej chwały.

Jednego wieczoru po ustąpieniu nieprzyjaciół kazał zawołać Mestwina i spierając się na łożu:

— Czyś nie strudzony? — zapytał.

— Jeszczebym gotów walczyć — odparł rycerz.

— A więc przygotuj się do walki! — zawołał książe. — Jak tylko noc pokryje niebo, z dobranymi wojownikami podejdź ich obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie chcę, byś im wszystkich spalił namiotów, część tylko obejmij płomieniami! Ja zaś wyjdę na wieżę i patrzeć będę na ten obraz, bo jedynostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna.

Trzeba takiego widoku na wyrwanie mnie z słabości, na przywrócenie utraconej mocy.

— Już oddawna — rzekł rycerz — o tem myślałem. Dziękuję ci, książę, że taką sprawiasz mi zabawę. Na Boga, na kilka mil wokoło rozjaśnię okolicę!

Po tych słowach, ukłoniwszy się, wyszedł na dziedziniec zamkowy.

— Do broni! — krzyknął — do broni! — a wnet zgromadzili się naokoło niego dzielni żołnierze. Bystrym wzrokiem przebiegł ich szeregi i wyznaczył mających się z nim udać na krwawą wyprawę. Potem wrócił do komnaty i, pokrzepiwszy siły puhaem wina, rzucił się na łożo, gdzie na chwilę zasnął.

Czarna noc zasępiła niebo, a chmury, silnym pędzone wichrem, na pomoc jej jeszcze przybyły. Obóz pogrążył się w ciemnościach, a stojący na straży żołnierze słyszeli z bojaźnią współtowarzyszów jęki, mieszające się do świstów wiatru. Z powagą przesuwali się chmury, jak orszak milczący, który smętnie postępuje za pogrzebem, i zdawało się, że samo przyrodzenie, sprzyjając zamiarom wrogów, ich wykonanie ułatwia.

Obudził się Mestwin, przywdział zbroję i na czele zbrojnych wyszedł bramą zamkową, schylając głowę przed mężem, który, zasiadłszy na wieży, czekał widoku kłesk i mordów.

W milczeniu szedł rycerz niemiecki, a on jeden tylko miał szyszak na głowie. Wszyscy inni trzymali hełmy w lewej ręce, prawą kryli w ich wydrążeniach zapalone pochodnie. W cichości przesuwali się po równinie, jak duchy złego, natężając wzrok i słuch na

wszystkie strony. Niecierpliwość i żądza walki podwajała bicie serca każdego z nich, ciemności i milczenie pokrywały ich dokoła; za chwilę potoki morderczego światła i tłumne wrzaski miały napęlić miejsca, po których stąpali z ostrożnością łowca, podchodzącego czujną zdobycz.

Kiedy zbliżyli się do obozu, dobył miecza Mestwin, a natychmiast zabłysnęły pochodnie i obok nich podniosły się oręż. Rzucili się żołnierze pomiędzy namioty, a natychmiast zajęły ich płomienie. Czerwonawe kłęby dymu, kręczone wiatrem, uniosły się nad równiną, a krzyki, jęki i rozkazy rozległy się wszędzie.

Obudzony ze snu Mieczysław porwał szablę i wyleciał z namiotu, Sieciech wyszedł później trochę na pole bitwy w zupełnej zbroi, Wszebor podniósł oręż styraną dłonią i również pośpieszył do walki. Napół uśpieni żołnierze skoczyli do broni, ale nie wiedzieli, gdzie się udać i przeciw komu walczyć, bo nieliczni Mestwina towarzysze, podsycając ogień lub pojedynczych zabijając nieprzyjaciół, rozbiegli się pośród namiotów i wałów.

Trudno ich było odróżnić w zamięszaniu i nieładzie, a żołnierze Mieczysława, dobywszy oręża, obracali się naokoło, szukając wroga, nie ukazującego się nigdzie. Wtenczas, wściekli, patrzali z rozpaczą na ogarniające ich płomienie i, słysząc dzikich napastników krzyki, nigdy z nimi spotkać się nie mogli. Mieczysław rzucał się pośród płomieni i trupów, podnosząc błyszczący pałasz, ale ani kropla krwi jeszcze nie spływała z niego. Przezorniejszy Wszebor, zebrawszy kilku ludzi, zaczął pracować około zagaszenia pożaru; ale

kiedy ustawał za jego staraniem w jednym miejscu, wnet z drugiego wybuchał, niewidzianą zapalony ręką. Zdawało się, jak gdyby ziemia się otworzyła i szerokimi płomieniami całą zagarnęła przestrzeń. Nareszcie Mestwin zwołał swój orszak i na jego czele wpadł na przerażone przeciwników szeregi; wnet przeraźliwe krzyki wskazały miejsce okropnej walki.

Mieczysław, uradowany ze znalezienia wrogów, przedzierał się z siłą lwa przez rozognione belki, walące się namioty i ginących towarzyszy, biegnąc do Mestwina; lecz nim się mógł spotkać z niemieckim rycerzem, ozwał się po dwakroć zdala silny głos rogu, a natychmiast spuścił Mestwin skrwawiony oręż i obtarłszy go spokojnie, schował do pochwy.

— Nazad, żołnierze! — zawołał piorunnym głosem. Głos rogu przerwał mu słowa.

— Wstecz, towarzysze! — krzyknął. — Słyszycie? To róg księcia, to rozkaz Zbigniewa!

Potem rzucił się szybko między popioły i trupy z małym orszakiem; wkrótce znikł odgłos ich kroków, a ich postacie pograżyły się w ciemnościach, z pośród których ukazywały się szczątki obozu, zniszczonego morderczymi płomieniami.

Książę Zbigniew ledwo po czwarty raz odjął z ust ogromny róg, zdobny świetnymi ze złota okręgi, kiedy usłyszał kroki wracającego hufcu i kazał zawołać Mestwina.

Stawił się przed panem rycerz, okryty krwią i kurzawą, z poczernionem czołem od dymu i z potrząskaną zbroją przez ułamki rozpalonego drzewa, nieraz podczas walki nań spadłe. Sześciu żołnierzy z zapalo-

nemi pochodniami stało naokoło księcia, którego bładość przeciwny wystawiała widok od rumieńca Mestwina, sprawionego przez trudy i bliskość ognia.

Zdał sprawę rycerz z poruczonego obowiązku, a potem, wyciągając rękę:

— Nie mam co więcej opowiadać — zawołał — niech mi ten obraz zastąpi wymowę!

— Dzielnyś zawsze, Mestwinie — rzekł książę — ale bałem się, byś uniesiony, nie posunął się za daleko, gdyż nie chcę wszystkiego w jednej nocy zakończyć.

— Przyznaję — odparł Mestwin — że, widząc tak sposobną porę, uczułem żywiej krew biegnącą po żyłach i wydobyłem żelazo, ale głos twojego rogu odwołał mnie natychmiast.

— Jeszcze więcej za to ci wdzięczności winienem, niż za ten pożar — rzekł Zbigniew, ściskając mu rękę — ale, na Boga, zdaje mi się, że niebo popsuje, co ziemia sprawiła.

— Raczej piekło — dodał po cichu Mestwin.

— Te czarne chmury — ciągnął Zbigniew — wkrótce w deszcz się zamienia; już kilka kropel padło na moją rękę.

Ledwo tych słów domówił, aliści obudziło się spokojne dotąd przyrodzenie hukem blizkiego pioruna, jak gdyby hasłem do bitwy, i w okamgnieniu błyskawice rozdarły niebiosą, a deszcz rzęśisty spuścił się na ziemię.

Nie ruszył się z miejsca Zbigniew i poglądał wśród burzy na zapalony obóz, z którego jęki nieszczęśliwych jego uszów dochodziły. Ale wkrótce wzbijające się ku niebu płomienie zaczęły się ku ziemi skręcać

i czarny dym wydarł je po części patrzącemu oku, a tymczasem coraz większe potoki lały się z odwiecznych sklepień i coraz bardziej gasły zapalone ręką wrogów ognie. Wzniósł oczy do nieba księżę i przez chwilę zdawało mu się po łunie, przestwór zalegającej, że pożar nic z mocy nie stracił, bo chmury, jeszcze większym oświecone blaskiem, zamieniły się na ogniście ogromy, toczące się z hukiem po przestrzeni; lecz poznał wkrótce, że częste błyskawice zastąpiły śmiertelne ognie, a kiedy spuścił wzrok na dół, już nie ujrzał szerokiego pożaru, ale na miejscu jego czarne, blade odznaczone od ciemnej nocy namioty, które wznosiły się nad leniwo dogorywającymi gruzy.

— Tak znikają nadzieje — pomyślał księżę — jak te świetne płomienie, obwiane wichrem i zalane wodą.

Potem w głos się odezwał:

— Skończyła się na dzisiaj zabawa. Zanieście mnie do łoża! Spodzielam się, że przynajmniej kilka dni odpoczynku mieć będziemy.

Nie ozwała się nazajutrz w obozie trąba, zwołująca do bitwy, nie zarżał wyprowadzony na boje rumak Sieciecha, ani zabłysnął pałasz Mieczysława. Grobowe milczenie zaległo pozostałe od zniszczenia namioty; czasem wybladli wojownicy w napół spalonej odzieży przesuwali się pomiędzy ostatkami własnych mieszkań, schylając się ku ziemi, roztrącali dymiące jeszcze gruzy i szukali opuszczonych orężów w wczorajszym nieładzie. Broń znalezioną znosili na środek obozu, skąd każdy należytość swoją odbierał. Odchodził tu żołnierz z napół stopionym mieczem, tam znowu z połamanym pancerzem lub z świetnym niedawno szyszakiem, po-

krytym teraz to czarnemi, to rudemi od ognia i od wody plamami. Nie słyszano jęków ani westchnień, ale zimna rozpacz malowała się w ich wzroku, pozabawionym życia.

Dotąd żaden wódz się nie ukazał, a przełękłe hufce traciły stopniami odwagę i ufność, położoną w toporze Sieciecha, mieczu syna Bolesława Śmiałego i roztropności Wszebora. Ale kiedy Mieczysław w zupełnej zbroi, tylko bez hełmu, ukazał się w gronie wybladłych i cierpiących towarzyszy, kiedy z nieostygłym zapalem wskazał na zamek i przysiągł, że nigdy nie odstąpi zamiaru, tysiąc głosów ozwało się w tłumnej wrzawie:

— Niech żyje księżę Mieczysław! Niech żyje syn dzielnego zdobywcy Kijowa! — a twarze, przed chwilą posępne, pokryły się rumieńcem i oczy zmartwiałe nowym zabłysnęły ogniem.

— A więc za mną, bracia! — krzyknął młodzieniec, dobywając miecza.

Ale nadchodzący Wszebor i Sieciech wstrzymali go od tak nierozważnego kroku, przekładając poniesione znoje, zmniejszoną liczbę żołnierzy i potrzebne naprawy w zniszczonym obozie. Mieczysław, poznawszy prawdę tych uwag, zaczął wszystkich do pracy zagrzewać i za jego rozkazem setne ręce, rzuciwszy oręż, wzięły się do motyki dla wzniesienia nowych wałów i ustawienia nowych namiotów.

Tak usilnie pracowało całe wojsko, że po kilku dniach naprawiło szkody, sprawione napadem wrogów, i drugi obóz wniósł się nad ostatkami pierwszego. A wtenczas wróciły utarczki, rozpoczęły się boje

i anioł śmierci znów skrzydła nad bijącymi się braćmi roztoczył.

Nowa pomoc przybyła broniącym zamku, kiedy Jordan z Gozdawy po słabości, w której długo pasował się ze śmiercią, ozdrowiał i wystąpił na czele swoich hufców. Zbigniew, choć pragnął przywdziać zbroję i porzucić spokojne łóżę, nie czuł dosyć sił jeszcze do tego. A więc Mestwin i Jordan odpierali razem oblegających, wspartych nowymi z Ciechanowa zaciągami.

Trudno było przewidzieć, kogo uwieńczy zwycięstwo, gdyż obie strony odznaczały się równą odwagą, codzień równe ponosiły straty. Ale Mieczysław nagradzał je świeżemi siłami, kiedy Mestwin, otoczony i zamknięty w małej przestrzeni, nie mógł nikąd zaciągnąć pomocy. Sztuką więc starał się liczbę zastępować. Krył biegłych łuczników między basztami i murami, ogromne kamienie z wysokich wież spychał dragami, poruszającymi od niewidzianych żołnierzy. Nieprzyjacielem, idąc do szturm, nikogo nie widzieli na przeciwnych murach; dopiero kiedy bliżej przystąpili, grad pocisków zlatywał na ich głowy, a daremno szukali oczyma zakrytych i czyhających na najmniej-sze ich poruszenia wrogów. Lecz później za danym znakiem podnosiły się nagle zbrojne szeregi, z pod szarego kamienia błyszczący powstawał szyszak, z za ciemnej baszty wysuwały się bielejące pióra, puste dotąd wież szczyty jaśniały połyskiem stali, chorągwie rozwijały się w powietrzu i zdawało się z początku, że się martwe głazy w żyjących przemieniły rycerzy, których wydobyte miecze i wyciągnięte ramiona nie-

jeden zgon wrogom zapowiadały. Wtenczas zaczynała się zwyczajna walka, a po jej skończeniu cofały się hufce Mieczysława do obozu, załoga zaś Zbigniewa, rozstawiwszy się po murach, zasypiała, na pałaszach lub włóczniach oparta.

W tych tyle razy odnawiających się bitwach ubiegał się o świetne wawrzyny Krystyn z Mortoga, rycerz, przybyły do zamku na czele dość liczego hufcu podczas turnieju. Dawno znany Zbigniewowi, towarzyszył mu w kilku wyprawach i, jak tylko posłyszał o oblężeniu księcia, przybiegł mu na pomoc z ponad brzegów Narwi. Teraz zaś walczył z największą odwagą, ale darmoby się po nim spodziewano roztropności Mestwina lub znajomości Jordana.

Nie pytał się, czy sprawiedliwą była sprawa, której służył, przestawał na tem, że w niej miecza dostać było można i męstwo swoje okazać. Ledwo wiedział, że idzie o Hannę z Ciechanowa i że Mieczysław zamek oblega. Wszystko mu jedno było przeciw temu lub temu walczyć, byleby walczyć przeciw komuś.

Zbigniew tymczasem znowu w młodzieńcze uzbroił się siły, uczuł dawną żądzę chwały i, powstawszy z łoża boleści, nową odrodzony mocą, pośpieszył bronić najdroższej istoty i wojnę zakończyć.

Ale nie szło mu po myśli, bo coraz liczniejsze szeregi zamek otaczały i codzień nieprzyjacielem rośli w potęgę, kiedy on w ciasnym obrębie, z malejącem wojskiem, wytężał wszystkie środki i sztuki i męstwa na odparcie grożącej burzy, która, zaciemniając widnokrąg, z coraz większym rykiem doń się zbliżała. Ale

serce Zbigniewa właśnie w takich okolicznościach nabierało nadludzkiej prawie siły. Umiał dostrzegać nie dostrzeżone wrogów pomyłki, piękne nadzieje wskazywać towarzyszom i z słabą garstką stawiać się potężnym wojskom.

Pośród boju twarz jego jaśniała nadziemskim męstwem i zapalem. Niktby w niej wtenczas smutku lub tęsknoty nie dostrzegł. Lecz kiedy po uciszeniu wojennej wrzawy znużeni spoczywali męże wśród jęków ranami pokrytych towarzyszy, bladość grobowa na jego lica wracała i wzrok tracił ogień, ożywiający go pośród rzezi i mordów. Unikał ludzi, nawet Mestwina, oddalał się od żony, a kiedy prosiła go o wykrycie przyczyny smutków, odpowiadał na jej zapytania milczeniem rozpaczy. Księżna sądziła, że takie postępowanie jest skutkiem zabiegów Mestwina, choć jej odkrył narreszcie Zbigniew prawdziwe swoje położenie, dodając jednak, że się spodziewa wkrótce przybycia Ludwika ze Żmigroda, jednego z rycerzy, których miał po swoich zamkach.

Nie możemy tu opuścić okoliczności, która, ocalając zamek od niespodzianego napadu, zwlekała jego zdobycie, a tą była, że Mestwin tajemnymi środkami dowiadywał się często o zamiarach nieprzyjaciół i wykrywał je księciu.

ROZDZIAŁ XIX.

Podłość nikczemną widać z jego czoła,
Kłamstwem jego usta zieją
I w czyste serce i w duszę anioła
Piekielne trucizny leją.
Drż, nieszczęśliwa, niema już sposobu!
Już sny przeminęły złote
I ten sam szatan, który zgłębił cnotę,
W piekło powiedzie ją z sobą.

Bezimienny.

Spełniały się po części groźby Mestwina. Nieszczęśliwa Hanna z Ciechanowa pędziła dni i nocy w srogich niepewnościach. Rzadko męża widziała; oddalona od świata, daremno chcąc zrzucić ciężar, gnębiący skołatane serce, najpiękniejsza niegdyś Mazowska dziewica traciła stopniami niezrównane wdzięki. Oko, któreby niegdyś mogło w nieśmiertelnego anioła natchnąć ziemskie myśli, straciło dawną żywość w potoku łez, codziennie wylewanych. Lica, gdzie kwitnęły róże, pokryły się bladością, a usta tak miłe, tak pełne, zwiędły od westchnień, wydartych z śnieżnego łona, radością kiedyś poruszonego, a teraz srogiemi trapiącego tęsknotami. Uleciały marzenia młodości, znikły przyszłego szczęścia nadzieje wśród dzikich okrzyków walczących współobywateli i zamachów zbrodni.

Zbigniew, nie odstępujący żony z początku, teraz od niej uciekał, w samotnej zamykał się komnacie, a Hanna sądziła, że jego serce mniej żywiej już bije do ukochanej istoty. Nie, miłość równa zawsze, może

nawet podwajana przeszkodami, napęniała duszę Zbigniewa, ale, lękając się wyrzutów żony, unikał z nią rozmowy.

Zresztą pamięć na ojca, na troski, sprawione jemu, na dumnych wrogów, których nie mógł pokonać, na ubóstwianą chwałę, której tak wielkie zagrażało niebezpieczeństwo, zatruwała inne księcia uczucia, a kiedy łzy wylewała w drugiej stronie zamku ulubiona jego, on, siedząc przy stole, wściekle ścisnął pałasz i w tajonej rozpacz nocy całe przepędzał. Czasem odzywał się głos w duszy, przepowiadający zwycięstwa i sławę, przez chwilę orzeźwiała go to przeczucie, jak powiew wiatru, co spiekle lica wędrownika pustyni ochładza; lecz wkrótce potem wracała smętność i czarne myśli nieprzerwanym cisnęły się tłumem.

Katarzyna wszelkimi sposobami starała się panią pocieszać i oddalać od jej umysłu ciemne obrazy. Nieraz słodkim głosem dumki jej śpiewała, nieraz skracała długie wieczory opowiadaniem powieści i dawnych podań; unikając smutnych i nieszczęśliwych wypadków, wybierała wesołe zdarzenia, uciechy dwojga kochanków, malowała w prostych i niewymuszonych wyrazach tańce i skoki włościan, miłe łąki, okryte igrającą młodzieżą, i ciche chatki, gdzie szczęście przebywa. Wdzięczna Hanna dziękowała powiernicze za jej czułość, ale łzy córki Wszebora obficie płynęły, kiedy porównywała obrazy, wystawiane przez Katarzynę, z ciemnymi murami, które ją otaczały. Nareszcie Katarzyna ośmieliła się raz pani zapytać o przyczynę smutku; księżna odpowiedziała westchnieniem.

— Bo — rzekła Katarzyna — gdybym mogła się

domyśleć, czego pragniesz, natychmiastbym ci to przyniosła.

Uśmiech mimowolny okraślił usta, odwykłe od niego.

— Dobra Katarzyno, nie pragnę niczego, oprócz... — i tu zamilkła.

— Powiedz, dokończ, droga moja pani! Wszystko dla ciebie uczynię, wystaram się wszystkiego, może potrafię twoim życzeniom zadosyć uczynić, jeśli nie sama, to może przez kogo innego.

— Przez kogóż, dobra dziewczyno? któż w tym zamku myśli o Hannie? kto rozumie jej łzy i bóleści? kto się troszczy o słabiejące zdrowie, o niknącą piękność, o strapione serce, któremu nieliczne bicia pozostają? Gdzież znajdziesz pomoc dla mnie? Czy myślisz, że wzruszysz tych zdziętałych wojowników piersi, twardsze od żelaza, je pokrywającego? Zostaw mnie, zostaw i dozwól przynajmniej srogą opłakiwać dołą!

— Tak mówisz, pani, jak gdyby ci już żadnej nie pozostawało nadziei, jak gdyby szlachetny nasz książę już nie miał miecza ku twojej obronie.

— Ach! Zbigniew, Zbigniew — zawołała Hanna — on mi ziemię kiedyś w niebo zamieniał, ale wcisnął się wąż do raju i raj w piekło się obrócił.

— Któż jest tym wężem? — zapytała córka Gierdy — wskaż go mężowi, pani, a on w proch go zetrze i śladu potworu nie zostanie na ziemi!

— Gdybym to mogła uczynić — krzyknęła księżna — jeszczebym znalazła uciechy w tem życiu, jeszczebym odzyskała spokojność! Ale nie, czegoż mam się ludzi prózną nadzieją? Grób mój już stoi otworem i codziennie zbliżam się do niego.

— Nie rozdieraj mi serca, księżno i pani moja! Porzuć tę ciemną mowę, te niezrozumiane wyrazy, odkryj tajemnicę, a ręczę, że potrafię przywrócić ci szczęście! — i padła Katarzyna do nóg Hanny z Ciechanowa i ścisnęła jej kolana, łzami oblewając podaną sobie rękę.

— Katarzyno — rzekła po chwili księżna — święta przysięga moje usta zamyka, ale mogę ci wyjaśnić po części przyczynę moich boleści. Widzę zadumanego ciągle Zbigniewa, poznaję w jego wzroku, tak żywym dawniej, smutek jakiś; rzadko przemawia do mnie, a wtenczas głos jego cichy i poruszenia dziwne; rzadko bawi przy mnie, z moich objęć się wyrwa — nie, on mnie już nie kocha!

— Mylisz się pani, mylisz — przerwała Katarzyna — księżę oddany tobie, ale wojna, straty, niebezpieczeństwa trapią jego umysł.

— Dla kogóż ta wojna, te straty, te niebezpieczeństwa? — rzekła księżna — dla kogóż codzień naraża się śmierci? dla kogóż Polska rozerwana srogimi bojami? Dla mnie, dla mnie to mój ojciec walczy z moim mężem, dla mnie szlachetny Mieczysław wystawia się zgubnym ciosom, myśląc, że odbierze lat młodych oblubienicę, dla mnie nieszczęścia zgromadziły się nad królewską rodziną, z mojej przyczyny najdzielniejszy w Polsce bohater, księżę Zbigniew, dobył szabli na brata! I jakżeż teraz nie mam być smutną? Czy chcesz, bym z uśmiechem radości patrzyła na tylu ludzi ginących? bym z dawną wesołością słyszała jęki i krzyki Polaków? Już mi wszystko obrzydło, samo przyrodzenie czarnym kirem okryte przed moimi oczyma;

znieść nie mogę promieni słońca, kiedy myślę, że ich część się nurza w krwi moich braci.

— Powiedz mi, pani i księżno moja — rzekła Katarzyna — jaką ulgę przynieść ci mogę, a zgadzam się na najokropniejszą karę, jeśli ci jej nie przyniosę!

— Niema ratunku, niema ulgi dla mnie! Już ziemia przestała mnie łudzić, od niejakiegoś czasu wzgardziłam śmiertelnymi myślami, a niebo, cel życzeń i modlitw, niezadługo otworzy się przedemną.

— Może sądzisz — rzekła córka Gierdy — że ja tylko tobie poświęcona w tych miejscach, a przecież znam człowieka, któryby wszystko oddał dla ciebie i na twój rozkaz na śmierć samą się odważył.

Wzdrygnęła się księżna, wspomniawszy oświadczenia Mestwina, ale po chwili zapytała się z uśmiechem niedowiarstwa:

— Któż to jest?

— Ulrych, giermek rycerza Mestwina z Wilderthalu — cichym głosem wyrzekła dziewczyna.

— Mestwin! — krzyknęła Hanna, powstając z krzesła i surowo spoglądając na Katarzynę. — Kto cię z nim zapoznał? gdzieś go widziała? co ci mówił? Potargaj z nim związki, pożegnaj go na zawsze, jeśli przy mnie chcesz zostać! Uciekaj, uciekaj od niego, jeśli nie chcesz płakać przez wszystkie dni pozostałego życia, jeśli nie chcesz w zmartwieniu i boleściach zstąpić zawczasie do grobu! Już i do niej — dodała — wkradł się zbrodniarz, już tu sieci zastawił! Zgubionam, otoczył mnie wrogami! Katarzyno, kiedyż widziałas się z Mestwinem?

— Pani — odparła, spuszczaając oczy, Katarzyna —

nie rozumiałaś mnie; nie widziałam się z Mestwinem, ale z jego giermkim Ulrychem.

— To wszystko jedno. Kto służy u zbrodniarza, sam jest zbrodniarzem.

— Nie, pani moja, on nie jest zbrodniarzem, on cię szanuje i uwielbia, nie cierpi swojego pana, codziennie wylewa nad jego okrucieństwem; wierz mi, Hanno z Ciechanowa, Ulrych do ostatniej kropli gotów wylać krew za ciebie!

Tu dopiero opowiedziała Katarzyna, jak, odkrywszy zmartwienie Ulrycha, w częstych z nim rozmowach przekonała się, że przywiązany jest do księżny i że swego pana nienawidzi. Dodała następnie, że obłuda mieścić się nie może pod tak szlachetnymi rysami, że z takim zapałem ofiarował swoje usługi młodzieniec, że widoczną była szczerłość jego mowy, наконец, że ręczy za jego przebiegłość i odwagę. Z początku z obrzydzeniem słuchała Hanna z Ciechanowa opisu osoby, tak blisko dotyczącej Mestwina; ale kiedy, dowiedziawszy się o nieszczęściach Ulrycha, wystawiła go sobie w kwiecie młodości wyrwanym matce i ojczyźnie, pozbawionym nadziei, dręczonym od srogiemu ciemności, porównała los własny z jego losem: uczuła litość w sercu dla opuszczonej sieroty i przestała się dziwić, że nieszczęśliwy nieszczęśliwej swe usługi poświęca, że młodzieniec, rzucony w odmęt burzliwego świata, pragnie łożyć ostatki pędzonego wśród utrapień i niesmaków życia na wykonanie rozkazów równie, jak on, skolatanej przez nieszczęścia istoty, której zagrażał ten sam, co jemu, nieprzyjaciół.

— Dziękuję ci, Katarzyno — rzekła — za twoją

troskliwość, za twoje starania. Zbłądziłam, zowiąc go zbrodniarzem, ale cóż on może mi pomódz?

— Oznajmij, księżno i pani moja, co chcesz, co żądasz, a wtenczas powiem, w czym Ulrych może ci pomódz!

— Ach! widzę — przerwała Hanna — że ufasz w niego, jak gdyby w najlepszego rycerza, najroztropniejszego człowieka. Zapewnie serce żywiej ci bije na jego wspomnienie?

— Nie, pani — odparła Katarzyna, kładąc rękę na piersi. — Nie powoduje mną miłość w tej okoliczności; serce moje oddane komu innemu, oddane giermkowi, a może już i rycerzowi teraz. Nie zapomniałaś zapewne o Henryku z Kaniowa. Nieraz mi on powiadał, że często odwiedzał zamek ciechanowski z panem swoim, księciem Mieczysławem. Ale teraz nie o tem mowa — dodała, płonąc się od wstydu — nie mam teraz osobistych widoków na uwadze, jedynym moim celem jest twoje bezpieczeństwo i szczęście.

Przycisnęła księżna wierną cierpień towarzyszkę.

— Chciałabym sama się zapewnić o jego uczciwości. Czy możesz go tu przyprowadzić?

— Stawi się przed tobą za pierwszym rozkazem, a za kilka słów, usłyszanych od ciebie, życie ci poświęci. Lecz upraszam cię, pani, odkryj mi swoje zamiary!

Dumała Hanna przez chwilę. Powstawszy nareszcie, zwróciła oczy ku obrazowi Matki Boskiej.

— Natchnij mnie siłą i stałością — rzekła — bo uczynię z siebie ofiarę dla niego! Katarzyno, trudną

rzecz trzeba wykonać, trzeba mi się widzieć z księciem Mieczysławem.

— Z księciem Mieczysławem? — powtórzyła zdziwiona dziewczyna. — Jakże to skutecznić? Jakże się przedrzeć przez mury i tłumy zbrojnych? A twój mąż, pani, cóż na to powie?

— Właśnie dla niego, właśnie dla oszczędzenia mu zmartwień i niebezpieczeństw odważę się na tak niepewne przedsięwzięcie. Może mi hańba lub zaguba narogrodą będą, ale wypełnię świętą powinność i względem męża i względem ojca. Wyrwę ich z pośrodku mordów i klęsk, trapiących ojczyznę, oszczędzę ziomkom krwi, należnej krajowi i, jeśli własnym szczęściem dała powód do nieszczęść, teraz może swoim nieszczęściem błogie dni innym przywrócę. Znam dobrze szlachetnego Mieczysława. Jak tylko się dowie, że jego oblubienica własnego serca życzeniem komu innemu rękę oddała, rzuci oręż, krwią bratnią zbryzgany. Tak, wykonam obowiązek i Polki i żony i córki. Jeśli mi nic nie pomożesz, jeśli się z Mieczysławem nie mam widzieć, możesz porzucić Hannę z Ciechanowa, której niedługie dni na tej ziemi zostały.

— Ja cię nigdy nie opuszczę, pani moja — ozwała się dziewczyna. — Dopóki żyć będę, dopóty zostanę przy tobie. Dzisiaj jeszcze Ulrycha do ciebie przywiodę.

Cały zamek we śnie spoczywał, kiedy Katarzyna wprowadziła giermka rycerza z Wilderthalu do komnaty księżnej Hanny z Ciechanowa. Przypominał sobie młodzieniec wszystkie pana nauki i uzbroił serce w twardą chytrą powłokę, a jednak stanął pomię-

szany przed niewiastą, której miał zagubę przyspieszyć. Niedługo wprawdzie trwał ten stan w jego duszy, a przyklękawszy, oświadczył w wyrazach najgłębszego uszanowania gotowość do zupełnego się jej poświęcenia.

Uprzejmie przyjęła to oświadczenie księżna.

— Zapewniam cię — rzekła — o naszej łasce i wdzięczności, a jeśli nie będę mogła ci jej dowodami stwierdzić, bądź jednak pewny, że Hanna z Ciechanowa zawsze o tobie pamiętać będzie.

— Pamięć twoja, księżno — odparł Ulrych, odwracając oczy od Hanny, gdyż obawiał się wrażenia, sprawionego widokiem oblicza przecudnej urody — najmielszą i najpiękniejszą będzie mi nagrodą. Odwróć zamachy niegodziwych od świętej twojej głowy — dodał z zapalem — ocalę bóstwo, które zstąpiło w poziome śmiertelnych mieszkania, a jeśli nie dokonawszy przedsięwzięcia, zginę w najsroższych mękach, twój obraz i przypomnienie obecnej chwili osłodzi boleści i żelazo okrutnika zamienią na kwitnącą różę. Przebac, pani, że śmiem tak mówić, ale przepełnione serce nie zna granic i wylewa się przed tobą, ufne, że mu za złe nie weźmiesz tego, co czuje i czuć nigdy nie zaprzestanie.

Może, uniesiony widokiem Hanny, szczerze mówił Ulrych w tej chwili, bo oko jego błyszczało ogniem uniesienia i rumieniec prawdy krasał mu lica. Może też dla lepszego pokrycia zamiarów, których był narzędziem, wmawiał w siebie zupełnie różne od swojego położenie i przez chwilę mocą żywej wyobraźni przenosił się do innych okoliczności, bo trudno wie-

rzyć, żeby osiemnastoletnie serce już tak wygórowało w chytrości, że mogło jej nadać tak uderzający pozór nieskażonej prawdy. Bądź co bądź, Hanna z Ciechanowa zupełnie mu uwierzyła i odtąd już jej los stał się nieochybnym. Wytłómaczywszy giermkowi smutku przyczynę, jak to już Katarzynie uczyniła, oświadczyła, że koniecznie wypada się z Mieczysławem widzieć.

— Pani — zawołał Ulrych, przygotowany od Mestwina na wszystkie odpowiedzi — nie możesz tego w tym zamku skutecznie, boby największe niebezpieczeństwo zagrażało synowi Bolesława. Niedaleko stąd, przy brzegu Wisły jest kaplica, rozpadła w gruzy, cierniami pokryte; tam bez żadnej obawy możesz z księciem się rozmówić.

— Ale jakimże sposobem wyjść z zamku? — rzekła księżna.

— To już do mnie będzie należeć — odparł Ulrych. — Z twoich komnat, księżno i pani moja, jest wyjście, jeśli się nie mylę, na brzegi Wisły; żołnierz zwyczajnie jeden go tylko strzeże, łatwo strażnika przekupić. Zresztą w nocy, którą naznaczysz na widzenie się z Mieczysławem, bo tego w dzień w żaden sposób uczynić nie podobna, śpiącemu panu pierścień z palca zdejmę, a za ukazaniem tego znaku puści cię żołnierz.

— I ja tam dopiero czekać będę na Mieczysława? — rzekła księżna. — To być nie może. Kogóż poszlę do obozu? kto go uwiadomi?

— Twój sługa — rzekł Ulrych, przyklękając na nowo.

— Nie, młodzieńcze, nie narażaj się dla mnie na gniew pana i ciosy wrogów!

— Alboż to pierwszy raz Mestwin posyła mnie do

obozu, księżno i pani moja? Ma on tam tajemnicze związki z jednym wodzem; powtarzam ci pani, że wszystko ułatwię, naznacz tylko dzień i godzinę!

Pomyślała księżna i rzekła po chwili:

— Pojutrze, o dwunastej w nocy — a potem, obróciwszy się do obrazu Matki Boskiej, złożyła ręce i cichą modlitwą królowej niebios zasnęła.

Ulrych spojrział jeszcze raz na Hannę z Ciechanowa, a groźne wyrzuty rozdarły mu sumienie; wzrok księżny, przyćmiony łzami, wzruszył jego serce i przez chwilę stał niepewny, czy, rzuciwszy się do stóp anioła, wyzna szkaradną zdradę, czy też dalej pójdzie wskazaną przez Mestwina drogą. Przyzwyczajenie do zbrodni przemożło nareszcie i, oddawszy głęboki pokłon, zwolna odchodził. Jeszcze przy drzwiach komnaty srogą wytrzymał walkę z pasującą się w duszy cnotą, ale mylne wyobrażenie o wierności, winnej panu, któremu służył od dzieciństwa, zwyciężyło. Postąpił krokiem dalej — i już ostatnia nadzieja zginęła dla córki Wszebora.

ROZDZIAŁ XX.

Dlaczego nie idziesz za mną? Rozumiesz, że ta godzina dwakroć uderzy? Zapomniałeś o twojej obietnicy?

Guy Mannering, Walter Skot.

Spokojnie przez całą noc spał Mestwin z Wilderthalu. Ocknąwszy się nad rankiem, ujrzał przy łożu stojącego Ulrycha z wyrazem zadowolenia na twarzy; podniósł się rycerz i zapytał giermka:

— A cóż, jakże się udało?

— Przedziwnie, jak najlepiej — odparł młodzieniec.

— A więc dzień zemsty się zbliża! — zawołał Mestwin, nie mogąc pomiarkować nagłego uniesienia.

— Jutro będziesz mógł jej los rozstrzygnąć — przerwał Ulrych i opowiedział panu rozmowę przeszłego wieczora.

— Ulrychu — rzekł rycerz, odzyskawszy zwyczajną zimność — również odważny, jak przezorny; nie mogłeś mi większej wyświadczyć przysługi.

Śluchał tej pochwały z obojętnością młodzieniec, a potem rzucił się do nóg panu.

— Mestwinie — zawołał — daruj mej słabości, ale wyrzuca mi sumienie, że oszukałem tak cnotliwą, tak piękną niewiastę! Choć przyzwyczajony jestem do obłudy, wczorajsza zdrada tyle mi[ę] kosztowała, że gdyby nie spełnienie twych życzeń było jej celem, dla wszystkich rozkoszy i bogactw świata niktby mnie do niej nie przymusił. Przyszło mi nieszczęśliwą, opuszczoną Hannę pod barwą szczerości naprowadzić na brzeg niezmierzonej otchłani, musiałem okazywać najpiękniejsze uczucia przed tem nadludzkim stworzeniem, musiałem napełniać jej serce chwilową radością, żeby potem wszystkiego ją pozbawić. Przebac, drogi panie, jeśli cię błagam i zaklinam, żebyś jej śmierci nie zamierzał, byś nie niszczył najmilszych nadziei Zbigniewa, a zarazem i najwznioślejszego utworu Boga!

— Gdybym — rzekł pośępnie Mestwin — nie sądził, że tylko chwilowe obłąkanie sprawiły na dziecinie sercu oczy, którym piękności odmówić nie można, jużby mój sztylet przeniósł się z tego stołu w środek twoich piersi. Milcz, giermku, lub wspominać raczej o litości słabym dziewczynom i zniewie-

ściałym mężom, ale nie temu, który jej nie zna i znać nigdy nie będzie!

Powstał Ulrych i kilka kroków w tył się cofnął. »Uczynilem, co mogłem, pomyślał, niech teraz Bóg obroni Hannę, a jeśli ją opuści, czegożbym miał o nią się troszczyć?« Takim rozumowaniem przytłumił ożywiające się jeszcze raz sumienie i z wypogodzonym obliczem zapytał pana o dalsze rozkazy.

Nic nie odpowiedział Mestwin, ale wyskoczył z łóża i zaczął się ubierać. Znać było na jego twarzy zamyślenie, z niepewnością połączone; lecz ta wkrótce znikła i, spinając ostatnią sprzączkę u pancerza:

— Ulrychu — rzekł — zapominam o niegodnej słabości, która cię przez chwilę tak daleko od obowiązków i wierności, mi należnej, odwiodła. Jeszcze pracy nie skończył, zostają niebezpieczne trudy, które, nie wątpię, że pomyślnie uskutecznisz. A naprzód dzisiaj w nocy wypada ci się udać do Skarbimira. Nie raz odbywałeś tę podróż, masz mój pierścień na przekonanie skąpca, że ja cię przysłałem, bo choć tyle razy już cię widział, mógłby bez tego dowodu obawiać się jakiej zdrady lub podstępu. A nareszcie posłuży ci ten pierścień dla żołnierza, stojącego na straży przy drzwiach, któremi Hanna na własną wyjdzie zagubę. Starego skąpca niechybnie musisz przyprowadzić do mnie; uważaj dobrze, do mnie, ale nie do tej komnaty. Znasz podziemne lochy, znasz salę grobową, której sam Zbigniew, pan tego zamku, nie zna. Tam przywiedziesz podskarbnika, bo tajemnie trzeba całą rzecz odbyć, a potem chcę się nacieszyć bojaźnią Skarbimira.

— Nie widzę tu nic trudnego — odparł młodzieniec. — Wejdę do mieszkania Skarbimira, jakem to tyle razy uczynił, zagnę go do pójścia za mną. Poruszę kamień między trzema krzakami i...

— Ciszej, ciszej, chłopcze — rzekł Mestwin, kładąc mu rękę na ustach — dalszego opisu nie potrzebuję. Jak tylko się ściemni, udaj się w drogę, a dwoma godzinami później przyprowadź Skarbimira do sali grobowej! Nie zapomnij chustką mu oczu zasłonić!

— Nie zapomnę, rycerzu — rzekł Ulrych — ale chciałbym wiedzieć, jak później mam sobie postąpić?

— W dzień naznaczony o dwunastej stawisz się przed Hanną i powiesz, żeś wszystko ułatwił, bo uwiadomienie Mieczysława ja biorę na siebie. Zakazuję ci pierwej się widzieć z tą niewiastą, której ciało wkrótce ziemia przysypie — dodał rycerz, obawiając się wrażenia, któreby mogła piękność księżny na umyśle giermka uczynić. — Dalsze postępowanie nie ma już żadnej dla ciebie trudności. Dasz ten worek żolnierzowi, a gdyby to nic nie pomogło, pokażesz ten pierścień, a potem doniesiesz mi, że Hanna z Ciechanowa wyszła do kaplicy.

— Z której nie wróci — przerwał Ulrych.

— Owszem, wróci — odparł srogo Mestwin — ale nie do kochającego męża, wróci do śmiertelnego wroga. O nic więcej się nie pytaj, a teraz podaj mi szyszak!

Wdział hełm rycerz i wyszedł do walki. Zwyczajne boje zakończyły się dnia tego bez żadnej znakomitej z obu stron korzyści. Zbigniew zamknął się w swojej komnacie, Mestwin z Jordanem i Krystynem z Mor-

toga zasiadł do stołu. A tymczasem słońce ustąpiło panowania nad czystym niebem królowi nocy, który, na pół jaśniejący, na pół zanurzony w błękicie, wznosił się powoli na sklepienia, migające rzuconymi przemożną ręką Stwórcy światami.

Otworzyły się drzwi w północnej części murów zamkowych i wyszedł niemi człowiek wysmukłej postawy i ciemnego ubioru. Skórzany szyszak, na którego daremnie padały księżycy promienie, krył mu głowę. Szeroki kaftan czarny, nie wydający pana swoim blaskiem, piersi obwijał, dwa sztylety tkwiły z obu stron rzemiennego pasa, na którym wisiał krótki pałasz, a pierścień Mestwina błyszczał na prawicy, rękawicą nie zakrytej. Szerokim krokiem wyleciał w pole młodzieniec, oddalając się od brzegów szumiącej Wisły, i coraz podwajał szybkości biegu, jak gdyby chciał gwałtownością poruszeń ciała przytłumić wzruszenie duszy. Ale uznał wkrótce, że darmo pragnął przygłuszyć wyrzuty serca i wyrugować z pamięci obraz kobiety nieszczęśliwej i ufnej w człowieka, mającego ją zgubić przez udane poświęcenie i najszkaradniejszą obłudę. Zwolnił więc kroku i obtarł spocone czoło, bo upał dzienny, choć nocną rosą zmniejszony, jeszcze czuć się dawał. Pojrzał w górę i zmarszczył brwi na widok tyłu świecących na niebie wrogów, mogących w każdej chwili go wydać. Ale zaraz potem uśmiech, dowodzący zaufanie w własne siły i zręczność, rozjaśnił twarz nieco posępną, która po jego zniknięciu znów przybrała pozór powagi i smętności, nie zgadzającej się ani z wiekiem ani ze zwykłym Ulrycha usposobieniem.

Darmo starał się czarne myśli oddalić, wyjmując sztylety jeden po drugim, poprawiając osuwającą się szablę i przypatrując pięknemu i uroczystemu widokowi nocy letniej, strojonej we wszystkie przyrodzenia wdzięki. Opuścił więc głowę na piersi i, oddawszy się całkiem smętności, przechodził powoli szerokie błonie, dzielące go od bielejących z daleka namiotów, do których zdążał.

Pole okryte było rzadkimi krzewami jałowcu i poziomą leszczyną, świetniejącą kroplami upagnionej przez cały dzień rosy. Nad temi zaroślami wznosiły się gdzieśgdzie brzozy z opadłymi na dół gałęziami lub wysokie sosny, rozrastające się dumnie nad niskimi krzewinami, które się u ich stóp czołgały. Nie dość jednak licznymi były te drzewa, żeby mógł Ulrych w przypadku potrzebną w ich cieniu znaleźć ochronę, gdyż zewsząd przeciskające się między ich liście promienie księżyca pole naokół oświecały, jeśli nie równym dniu jasnemu blaskiem, przynajmniej dostatecznym na rozpoznanie człowieka i sprowadzenie największych nieszczęść na młodego giermka, który już nieraz odwiedzał nieprzyjacielski obóz i Skarbimira z Gulczewa. Ale na to zwykle burzliwe i ciemne nocy obierał, a teraz w niczem nie miał nadziei, oprócz w mieczu i niezgiętej odwadze.

Już mógł każdy namiot odróżnić, rozpoznać przechadzających się w pewnej odległości od siebie strażników, rozeznac rozmaite godła, zawieszane nad namiotami rycerzy, i widzieć błyszczące stosy broni, złożonej pod płóciennymi opony. Zagrożające niebezpieczeństwo zmieniło kierunek jego myśli, a choć

w tak przykrem był położeniu, uczuł ulgę w duszy i wolne od ciężaru serce.

Schyliwszy się, zaczął się czołgać od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, od kamienia do kamienia, odpoczywając często w tak męczącej drodze. Nareszcie zbliżył się znacznie do wałów i czekał, aż żołnierz, strzegący tej ich części, kilka kroków w bok odejdzie. A właśnie, kiedy odwrócił się strażnik i, nucąc pieśń wojenną, odstąpił od miejsca przeciwległego Ulrychowi, stanął w mgnieniu oka giermek na dość wysokim kamieniu i natężając wszystkie siły, skoczył z niego tak zręcznie i tak lekko, że nie usłyszał żołnierza, jak upadł w rów, wykopany za okopem, na którym się strażnik przechadzał. W jego głębi, usłanej w tem miejscu szczęśliwym trafem murawą, czekał młodzieniec, aż znów nie odejdzie żołnierz, który był wrócił na stanowisko, a kiedy kroki jego oddalające się usłyszał, znów się rzucił z rozciągniętymi ramionami pośród namiotów, zaraz obok wystawionych. Strażnik widział coś przy świetle księżyca i położył rękę nad oczyma, żeby lepiej ten przedmiot rozeznac, ale, kiedy jego palce oparły się o czoło, już wszystko znikło. Słyszał wprawdzie niedaleko szelest, ale podobniejszym on był do sprawionego przesuwaniem się jaszczurki lub węża, niż krokami człowieka. A przecież były to kroki uchodzącego młodzieńca.

Lotem błyskawicy biegł Ulrych pośród uśpionego obozu. Nie zatrzymywały go w drodze ciała żołnierzy, śpiących na ziemi; przeskakiwał je z nadzwyczajną zręcznością, a kiedy który oczy otworzył, rzucał się giermek w mgnieniu oka na ziemię i twarz odwra-

jąc od rozespanego nieprzyjaciela, oszukiwał go, rozciągając się lub też sen głęboki udając, a żołnierz, biorąc go za towarzysza, wracał po krótkim czasie do stanu, z którego wyrwał go odgłos kroków Ulrycha, który, porwawszy się, z podwojoną szybkością leciał do pana Gulczewa.

Przybył nareszcie do niewielkiego, w czworokąt wystawionego z drzewa budynku, którego drzwi dębowe podwójnym opatrzone były zamkiem. Zapukał Ulrych, a głos z wnętrza zapytał się natychmiast:

— Czy to ty, Bardanie?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec, pragnący wejść jak najprędzej, a zaraz ogromny klucz zakręcił się w każdym zamku i drzwi się otwały. Zdyszany Ulrych wszedł natychmiast, przymykając wejście za sobą i ujrzał się w małym, brudnym pokoju, napelnionym ogromnymi skrzyniami, których podniesione wierzchy mnóstwo pieniędzy i kosztownych sprzętów ukazywały. Lampa gliniana oświecała mdłym światłem zgromadzone bogactwa, pomiędzy którymi stał Skarbimir z Gulczewa bez zbroi, w szerokiej, czarnej sukni, podartym pasem podwiązanej. Zbladł na widok zbrojnego człowieka i ledwo stłumionym mógł wykrzyknąć głosem:

— Bardanie! zdrada! Bardanie! żołnierze!

— Czy chcesz całe wojsko przebudzić, nierozważny starcze? — ozwał się młodzieniec, odkrywając twarz z pod przyłbicy. — Czy sądzisz, że po twoje skarby przychodzę? Wpatrz się w moje rysy, panie Gulczewa!

Ale przerażony Skarbimir, nie zważając na te słowa, śpiesznie zamykał skrzynie i nieustannie wołał:

— Bardanie, zbójcy! Bardanie, do mnie!

— Milcz! — surowo ozwał się giermek. — Jestem Ulrych, przybywam od Mestwina z Wilderthalu.

Dopiero wtenczas poznał Skarbimir nieraz już widzianego posłańca i w cichości poszedł drzwi zaryglować, a potem:

— Jutro — rzekł — uradzili wodzowie, żeby напаść ze strony...

— Tu nie o jutrzejszy dzień idzie, ale o dzisiejszy — przerwał Ulrych.

— Czegoż więc chcesz? — z wróconą bojaźnią zapytał Skarbimir.

— Byś przywdział zbroję i szedł za mną! — odparł giermek.

— Ja, za tobą? o tej godzinie, w nocy? ja z tobą mam iść? gdzie? po co? Czyś zmysły utracił? Do kogo?

— Do Mestwina z Wilderthalu — odrzekł Ulrych, pokazując błyszczący pierścień, na którego widok zadrżał Skarbimir i mało co na ziemię nie upadł.

— Nie pójdę, nie, twój pan oszalał.

— Milcz i chodź za mną, bo podobne słowa srogo mógłbyś przypłacić, gdyby mnie chęć wzięła panu je mojemu powtórzyć! Mestwin potrzebuje ciebie, nie zwlekaj więc, panie podskarbi, a ja ci ręczę, że niema tu podstępu, o czym już ten pierścień powinien cię przekonać. Powtarzam więc, przywdziej zbroję i chodź za mną!

Usiadł starzec na drewnianym stołku i głowę skrył

w obie ręce; przerażenie opanowało słaby umysł i kilka chwil w pewnym stanie odurzenia zostawał. Nareszcie smutna konieczność stanęła mu przed oczyma. Dla ocalenia i sławy i życia musiał wykonać rozkazy Niemca. Dopóki szło o zdradzanie ziomków dla dogodzenia własnej złości, podejmował się wszystkich Mestwina poleceń, ale kiedy przyszło narażać się samemu z uzbrojonym posłańcem i udać się do wroga, czekającego nań może z dobytym żelazem, gorzko zaczął opłakiwać nierozmyślność swoją i przeszłe zbrodnie, które teraz tak wielkie nad nim prawo Mestwinowi nadawały.

Byłby może długo jeszcze dumał wśród steku trapiących myśli i srogich wyrzutów sumienia, gdyby głos Ulrycha nie wyrwał go z zamyślenia; przekonał się wtedy, że nic nie mógł przedsięwziąć na odwrócenie niebezpieczeństwa. Bo choć łatwem mu było w tej chwili krzykami obóz przebudzić, pewnym był, że go później czy wcześniej dosięgnie zemsta rycerza z Wilderthalu, a potem widział przed sobą pałasz i sztylety, mogące go o śmierć przyprowadzić, nimby żołnierze zdołali wybić drzwi do jego mieszkania. Powstawszy więc, zniżył się potężny pan Gulczewa, mnogich władca skarbów, do prośb i błagań, zaklinając giermka, by zlitował się nad wiekiem, pewną mu obiecując nagrodę.

Do żywego obruszony taką podłością, zimno odpowiedział Ulrych, że nic mu nie zagrażało oprócz gniewu Mestwina, jeśli się spóźni lub nie zechce usłuchać jego woli. Wtenczas chytremu Skarbimirowi nowa myśl przyszła do głowy.

— Jakże wyjdziem z obozu? — zapytał się giermka.

— Prawda, że trudno, byś tak wyszedł, jak ja się wkradł do niego — odparł młodzieniec — ale zawołaj Bardana, któremu we wszystkim się zwierzasz i każ mu oddać z wałów żołnierza, ich strzegącego z tej strony, pod jakim bądź pozorem.

Znikła ostatnia trudność, a Skarbimir, zmuszony koniecznością, przypasał szablę drżącą ręką, pancerzem trwożliwie okrył piersi i czapkę, podbitą żelazem, włożył na skronie, z których zimny pot się sączył.

Wtem zapukał ktoś do drzwi; za ich otwarciem wszedł Bardan, który, natychmiast poznawszy dobrze znanego Ulrycha, przywitał się z nim i chciał długą mowę zacząć. Lecz giermek milczenie mu nakazał i w kilku słowach wytłómaczył, czego żądał od niego.

— Ale pierwej, nim odejdiesz do wałów — rzekł Ulrych — daj mi puhar wina na pokrzepienie sił, trochę drogą zwątlonych.

Przyniósł Bardan roztruhan pełny miodu, »gdyż — mówił — nie stać mojego pana na tak drogi napój, jakim jest wino«.

Z uśmiechem pogardy wychylał młodzieniec podaną czarę, kiedy tymczasem Bardan śpiesznie odchodził do okopów. Potem obejrzał sztylety, kilka razy pałasz napół wyjął i schował do pochwy, pomógł Skarbimirowi do zapięcia płaszcza cynową klamrą i, pozwolewszy skąpcowi dość długiego czasu na zamknięcie wszystkich skrzyń i zaryglowanie drzwi dębowych, szybko z nim wyruszył; lecz wkrótce spostrzegł, że towarzysz został z tyłu i, musiał, wróciwszy nazad, wspierać jego drżące ciało i niepewne kroki. Ostro-

źnie mijał leżących żołnierzy i zaklinał starca, by, wstrzymując westchnienia i ciężki oddech, pośpieszał. Ale kiedy to nic nie pomogło, zaczął mu grozić gniewem niecierpliwego Mestwina, a na to wspomnienie tak się Skarbimir przeraził, że zupełnie ostatek mocy utracił na blizkim kamieniu. Wtenczas gniewny Ulrych podniósł go silnem ramieniem i, napół dźwigając, napół stawiając na ziemi, doprowadził do wału, na którym stał już oddawna Bardan. Natychmiast sługa oparł szeroką deskę na obu brzegach rowu, a po niej przeszedł Skarbimir. Giermek, gardząc podporą, przeskoczył fosę, stanął na okopie, a stamtąd podał rękę starcowi, który po wielu usiłowaniach weszła nareszcie i z równą trudnością zeszedł z drugiej strony. Wtenczas uradowany młodzieniec zachęcił go kilkoma słowami i, pożegnawszy Bardana, któremu pan zalecił, żeby miał czujne oko na swoje mieszkanie i skrzynie, zniknął wraz z towarzyszem wśród otaczających krzaków.

Prędzej zaczął iść Skarbimir, ale jego chód dalekim był jeszcze od szybkości, wymaganej po nim od Ulrycha.

— Czegóż Mestwin żąda odemnie? — rzekł Skarbimir.

— Co żąda, to wypełnisz, mości podskarbi, bo inaczej nie na długoby ci się zdały skarby, które widziałem.

— Jeśli Boga się boisz, jeśli matkę kochasz — zawołał starzec, padając do nóg giermkowi — nic nie mów o tem panu, a za to ci dam...

— Ani ja, ani pan mój nie potrzebujemy twoich

pieniędzy — przerwał młodzieniec. — Lepiejbyś kroku podwajał i nie uniział się przed człowiekiem, który gardzi skarbami, a wkrótce nauczy się i ich posiadaczem pogardzać.

Powstał Skarbimir i szedł dalej. Ochłonawszy nieco z bojaźni, przywołał na pamięć znajome wybiegi i całą chytrą, którą wszystkich umiał oszukiwać oprócz jednego Mestwina i tak zręczne zaczął zadawać pytania giermkowi, tak sztucznie go podchodził, że dowiedział się po części z ust Ulrycha, że szło teraz o Hannę z Ciechanowa. Nie podobna opisać radości, która napełniła duszę podłego skąpca, kiedy się przekonał, że zamiary niemieckiego rycerza nie jemu, ale innej osobie nieszczęściem zagrażały.

Dodało mu to odkrycie nowej mocy, pokrzepiło słabnące nogi i wkrótce potem doszedł miejsca dość odległego jeszcze od zamku, gdzie zatrzymał się Ulrych i oświadczył, że ma rozkaz podskarbiemu oczy zawiązać. Na te słowa dreszcz przeszedł po kościach Skarbimira, ale musiał uleść młodzieńcowi, a wtenczas postąpił Ulrych kilka kroków dalej, prowadząc towarzysza za rękę, potem zawrócił, poszedł w bok i znów wstecz się cofnął, a nareszcie stanął między trzema krzakami jałowcu nadzwyczajnej wielkości, których iglaste gałęzie unosiły się nad szerokim i podługowatym kamieniem. Natężając wszystkie siły, podniósł go Ulrych i na bok przewalił. Ziemi pod nim nie było, ale natomiast żelazna, na kilka stóp szeroka krata. Za pchnięciem znajomej sprężyny odsunęła się i ukazała schody, w głąb wiodące, których niewiele stopni dostrzedz było można wśród ciemności tej

otchłani. Rozkazał młodzieniec Skarbimirowi ostrożnie po nich zstępować, dodając, że zaraz za nim pośpieszy. Rad nie rad musiał się odważyć na tak niebezpieczną drogę z zakrytymi oczyma pan Gulczewa.

Ulrych zakrzeszał ognia, uderzając o krzemień stalowym sztyletem. Zapalił małą lampę, którą się opatrzył, wychodząc z zamku, a wtenczas, słysząc głos Skarbimira, wołającego o pomoc, skoczył w otwartą przepaść. Przez chwilę oświeciły jeszcze promienie księżycy błądawą rękę, podnoszącą się z ciemności na zasunięcie kraty, a zaraz potem, zapewne za uderzeniem drugiej sprężyny, kamień, jak gdyby sam z siebie, nachylił się zwolna i upadł z łoskotem na żelazne prety.

Znikło wszystko i znów tajemne wejście do zamku księcia Zbigniewa zamieniło się w puste miejsce, w którym trzy jałowce ocieniały kamień, mchem porośły.

ROZDZIAŁ XXI.

Jakże można tak ważne zamiary odwlekać?
Czy aż do dnia sądnego będę tutaj czekać?

Zamek księcia Zbigniewa był wystawiony na piaszczystym brzegu Wisły, który w tem miejscu pokrywał twarde skały, rozległe przestrzenie, napełnione kamiennymi opoki, składającymi niewzruszoną ogromnego budynku podporę. Pod murami więc szerokie rozciągały się lochy, częścią przyrodoznem, częścią ręką ludzi utworzone w odległych od teraźniejszego czasach, kiedy jeszcze światło chrześcijaństwa nie ja-

śniało w pogańskiej krainie. Później założyciel zamku, odkrywając przestronne i ciemne lochy, umiał je sztucznie rozprzestrzenić, a właśnie podczas oblężenia posłużyły za skład rozmaitej broni i żywności.

Zbigniew, odwiedzając podziemne te miejsca, poznał wszystkie ich zakątki, ale tylko do pewnej granicy; pozostałe przestrzenie, stopą jego nietknięte, zupełnie nieznane mu były. A jednak często odwieczne milczenie, w nich panujące, przerywał odgłos ludzkich kroków, śmiało po nich błądzących, i uśmiech szyderczy, godny okropnych ciemności i strasznych otchłani, z pośród których się wznosił. Wtenczas przerażone gady rozstępowały się na wszystkie strony, a obudzone z długiego snu opoki i kamienne ściany przesyłały aż do wód z daleka głucho szumiącej rzeki przerywane słowa, szatańskim wyrzeczone głosem, które się czasem wydobywały z piersi, nawykłych do zbrodniczych uczuć, ale w których bijące serce nigdy bojaźni w życiu nie zaznało.

Była wśród ciasnych przejść i krętych manowców obszerna sala, daleka od miejsc, Zbigniewowi znajomych, zachowująca ślady pracy ludzkiej. Jednakże cztery ściany, w skale wykute, z otworem, w kształcie drzwi wyrobionym, były owocem długich trudów, które nareszcie przewyciężyły opór twardego przyrodzenia. W każdej z nich widziano długie i ciasne pieczary, po części jeszcze zasklepione, lecz największa ich liczba, stojąca otworem, ukazywała w głębi bielejące się czaszki i kości, ostatki już bez wątpienia oddawna zeszyłych z tej ziemi.

Na środku sali wznosił się grób czworokątny, przywalony ogromnym kamieniem, na którym łuk z pałaszem wryty okazywał, że takim godłem uczcili towarzysze znikłego z ich grona wodza. Naokoło tych broni niewycytane dziwne głoski¹, w wieniec ułożone, dopełniały zapewne hołdu smutnych poddanych lub braci, który ich ręce, oddawna już bezsilne, a może rozsypane wokoło, zimnemu powierzyły głazowi. Zresztą nic już nadzwyczajnego nie było w tych miejscach, a miałki, płowy piasek, żadną nie umiłony trawą, leżał spokojnie w mieszkaniu zapomnienia i śmierci.

W tej właśnie sali, tego samego dnia, w którym Ulrych wyprawił się do obozu dla sprowadzenia Skarbimira z Gulczewa, mała lampa, stojąca na grobie, oświecała opartego na nim człowieka, który zupełnie czarnym obsłonięty płaszczem i wzniosłym na głowie hełmem, dumął, czekając, jak się wydawało, na czyjeś przybycie, bo druga jeszcze osoba w zamku znała schronienie, w którym on teraz przebywał. Twarz jego wystawiała pozorną spokojność, ale często na niej ukazywały się silne wzruszenia, bardziej do skutku gwałtownych namiętności, niż do zwyczajnego zadowolenia, pochodzącego z nadziei dokonania zamiarów, podobne. Czasem też szyderski uśmiech rozszerzał usta, gotowe do miotania okropnych bluźnierstw, ale, jak gdyby dla doświadczenia własnej mocy nad sobą, wstrzymywał się gość tych podziemnych przepaści,

¹ Runy — tajemnicze («niewycytane») pismo dawnych ludów germańskich.

kiedy już miał wymówić srogie przekleństwa, i w ciągłym milczeniu zatapiał wzrok ognisty w otaczające ciemności, które pochłaniały bezsilne małej lampy promienie, jak tylko się odważyły opuścić własne ognisko.

Wtem oderwał się kamień z wierzchniej części sali, czasem nadpsutej, i runął przed stopami rycerza z przerażającym łoskotem; nie ruszył się jednak z miejsca wojownik i nie odwrócił na chwilę wlepionego wzroku w otwór północnej ściany, skąd zapewne spodziewał się kogoś. Zmienił tylko położenie ręki, na której oddawna się opierał, a wtenczas roztworzył się płaszcz szeroki i okazał ciemną szatę, ściśnioną u dolnych piersi bogatym pasem, w którym tkwił większy od zwyczajnych sztylet. Zresztą żadnej innej nie było broni przy jego boku, a znak rycerstwa, szczeroloty łańcuch, otaczał mu szyję.

Dobył mąż czarny sztyletu i jego ostrzem poprawił knot u lampy, która na chwilę świetniejszym zabłysnęła blaskiem, a wkrótce potem znów wróciła do dawnego stanu. Jeszcze przez długi czas spokojnie stał rycerz, ale nakoniec zaczęły się okazywać znaki jego niecierpliwości w poruszeniach twarzy, w częstym zmianie położeń i nareszcie w szybkim pochodzie, którym okrążał starożytny grobowiec. Zbliżał się czasami do otworu i zdawał się z natężoną słuchać uwagą, lecz żaden odgłos uszu jego nie dochodził oprócz odległego szumu, jak gdyby wody, o głązy się roztrącającej; wtenczas dopiero kilka słów wymówił:

— Może go zabili... Może tamten iść za nim nie

chce... Gdyby przez tego skąpca ostatnie moje nadzieje zniknąć miały!...

I spojrzął na sztylet, a podwoił szybkość kroków, płaszcz zarzucił na drugie ramię i znów lampę poprawił; przypatrywał się otaczającym grobom, rozrzuconym kościom i brał do ręki nietknięte od ich rozprężnienia się czaszki, rzucał je z gniewem, tratował po nich i z dzikim uśmiechem słyszał pękające pod stopą kości. Lecz to nic nie pomagało, czas uchodził, a nikt nie przybywał.

Już niecierpliwość rycerza najwyższego doszła stopnia, kiedy usłyszał w oddaleniu odgłos ciężkiego stąpania, pomieszany z lekkim suwaniem się dobrze znanej stopy. Natychmiast poskromił żywą niecierpliwość i, oparłszy się o szeroki grobowiec, czekał niewzruszenie na ukazanie się przybywających. Twarz jego przybrała barwę surowej powagi i niezmięszanej niczem spokojności, choć chwilę przedtem najgwałtowniejsze malowała uczucia.

Wtem wszedł otworem północnej ściany młodzieniec, trzymający lampę w jednym ręku, a drugą wiodący starca z zasłoniętymi oczyma. Na znak, dany przez męża w czarnym stroju, odkrył mu je towarzysz, a Skarbimir z Gulczewa, zbłądły i okropnym rażony widokiem, stał o kilka kroków od Mestwina z Wilderthalu.

— Spóźniłeś się, Ulrychu — rzekł srogim głosem rycerz niemiecki. — Cóż to się ma znaczyć?

— To znaczy, rycerzu i panie mój — odparł giermek — że zamiast odważnego rycerza miałem zniechęczonego starca za towarzysza drogi.

— Więc twoja w tem wina — ozwał się znów zwolna Mestwin — Skarbimirze z Gulczewa, podskarbi króla Władysława!

— Daruj — odpowiedział Skarbimir — przyjacielowi, to jest najniższemu słudze!

— Nie usprawiedliwiaj się napróżno, trwożliwy panie Gulczewa — przerwał Mestwin — ale pamiętaj, że taką opieszałość umiem śmiercią nadgradzać! Teraz słuchaj mnie z uwagą, jeśliś zdolny do słuchania człowieka, który długo czekał na ciebie, oparty na tym grobie wśród milczenia nocy i śmierci!

— Słucham — rzekł Skarbimir — słucham, potężny panie i władco, tyle cię szanuję...

— Nie wysilaj się na daremne pochlebstwa, bo wiem, że nie mnie, ale ten sztylet szanujesz! Wypełń więc wszystkie moje rozkazy, jeśli się nie chcesz bliżej z nim zapoznać!

— Słucham — powtórzył upokorzony Skarbimir.

— Trzeba, żeby jutro z rana dowiedział się wasz Mieczysław, że Hanna z Ciechanowa chce z nim mieć tajemną rozmowę w kaplicy, leżącej ponad brzegiem Wisły. Zapewnie nieraz ją widziałeś, łatwem ci będzie ją opisać.

— W tem ostatniem niema żadnej trudności; ale co do pierwszego nie wiem, jak sobie postąpić, nie pojmuję, jakbym ci miał w tej okoliczności usłużyć.

— Chwila — rzekł zimno Mestwin — w której przekonam się, żeś mi na nic niezdatny, będzie ostatnią twojego życia.

Prerażony podskarbi prosił o czas do namyslenia się i usiadł w kącie na małym kamieniu. Tymczasem

Mestwin po cichu rozmawiał z Ulrychem, a potem stanął naprzeciwko dumającego starca, wlepiając bystry wzrok w zsiniałe od bojaźni rysy.

— Czy już niemiłe ci życie — zawołał rycerz z Wilderthalu — że tak długo nadużywasz mojej cierpliwości?

— Dozwól mi jeszcze trochę czasu!

— Patrz — rzekł szydersko Mestwin — na tę drobną garstkę popiołu, bielejącego się nad rozognionym knotem mojej lampy, jak śnieg nad ognistą górą; kiedy on na dół opadnie, a ty jeszcze nie wynajdziesz sposobu wykonania moich zleceń, możesz pożegnać się z Gulczewem i Kościelcem.

Myślał Skarbimir, że rycerz doda: »i skarbami«; ale kiedy tego słowa nie usłyszał, uczuł ulgę w ledwo już bijącym sercu i, wstawszy po chwili, oświadczył, że wszystkiemu zaradził.

— Mów więc, a zwięźle tylko! — rzekł Mestwin.

— Wiesz zapewne, potężny rycerzu, że posiadam rzadką sztukę pisania i czytania, z której i Hanna z Ciechanowa słynie, którą ojciec tak starannie wychował. Napiszę więc list do księcia Mieczysława, wyluszcze w nim mniemane żądanie, to jest, prawdziwe żądanie księżny — dodał starzec, widząc, że Mestwin brwi zmarszczył — podpiszę: »Hanna z Ciechanowa«. Znam jej pismo, bo nieraz Wszebor, chlubiąc się z rozległych córki wiadomości, mi je pokazywał, oddam księciu...

— Ale jakże ten list dostanie z rąk twoich? — rzekł rycerz.

— Pewny jestem, że rozkochany Mieczysław nawet

o to się nie zapyta; w przypadku mogę odpowiedzieć, że Bardan, naczelnik mojego wydziału, schwytał człowieka, wydającego mu się być szpiegiem, że ten człowiek list mu oddał i przyniósł mi go Bardan, ja, wyczytawszy słowa: »Do księcia Mieczysława«, pośpieszyłem mu oddać przyniesione pismo. A co, czy nie zręcznie? — zapytał starzec z pewnym rodzajem dumy i chępliwości.

Rzucił nań łagodniejszym Mestwin wzrokiem, ale zarazem wszystkie namiętności, które dotąd gnębił siłą żelaznej woli, wyrwały się z pod jej przemocy i tłumnie wybuchnęły. Z jednej strony radość, z drugiej nasycona już napół zemsta zmieszwały się w nieładzie w wzburzonym sercu i już rycerz nie mógł ukryć w sobie niezwykłego uniesienia. Groźnie rękę wyciągnął i zaśmiał się śmiechem piekła. Zapominając o przytomności zważającego na każde słowo, na każde poruszenie starca, wykrzyknął:

— Nie chciałaś wejrzeć na błagającego Mestwina, musiał on znosić obelgi od ciebie, a teraz jakaż ci pozostaje nadzieja? Czyż nie lepiej było odwdziżyć miłością za miłość, przywiązaniem za przywiązanie? Dumną Polko, w zamku potężnego Zbigniewa, któryby ostatnie wysileniałożył na twoją obronę, gotuje się twoja zaguba i nic już jej nie odwróci. Zdradzisz go napozór, on uwierzy zdradzie i zginiesz. Obiecałem ci boleści, już oddawna cię trapią. Druga część obietnicy spełni się niezadługo. Nie pod żelazem...

Wtem Ulrych uchwycił pana za ramię i wskazał na Skarbimira, ale zapóźno, bo tajemnicę odkrył już chytry starzec. Natychmiast ustąpiło uniesienie Me-

stwina, jak zwykle, za zmianą jego myśli i poznał zaraz nieroztropność swoją i korzyść, którą z niej mógł ciągnąć Skarbimir. Zbliżył się więc do niego z posępną twarzą i z dobytym sztyletem, a przykładając broń do piersi truchlejącego podskarbiego:

— Zapomnij — rzekł — o tem, coś słyszał!

Schylił się aż do ziemi Skarbimir, a te słowa tak szczególnym i nadzwyczajnym wyrzeczone były głosem, że ciągle odtąd brzmiały w uszach starca, jak gdyby go ostrzegając o niebezpieczeństwie zdradzenia władającego nim pana.

Ale Mestwin, chcąc go jeszcze bardziej zachęcić do poruczonej sprawy, w krótkich oznajmił mu wyrazach, że upadek dumnego Sieciecha będzie niezawodnym skutkiem wypełnienia okrutnych zamiarów.

Na to zapewnienie, któremu sam rycerz nie wierzył, radość przejęła duszę Skarbimira i przysięgi w jej głębi ślepe posłuszeństwo odebranym zleceniom.

Wtenczas skinął ręką rycerz niemiecki i kazał giermkowi odprowadzić pana Gulczewa. Ulrych zawiązał oczy towarzyszowi i wyszedł z nim północnym otworem.

Mestwin przez chwilę został niewzruszony na miejscu, a poglądając na rozsypane wokoło kości, zawołał:

— Wkrótce twoja głowa, twe lica, do róży świeżo rozwitej podobne, taką postać przybiorą.

Schylił się i podniósł czaszkę z ziemi.

— Witam cię, przyszły obrazie Hanny z Ciechanowa!

A potem rzucił daleko od siebie ostatki pięknego może niegdyś ciała i z lampą w ręku wyszedł z grobowej sali.

ROZDZIAŁ XXII.

Pociągiem zemsty i zbrodniczą radą

Postąpił z swoim panem z jak największą zdradą.

Bezimienny.

Nazajutrz po widzeniu się Skarbimira z Mestwinem nie ujrano żadnego w obozie nieprzyjacielskim poruszenia i z wielkiem załogi zadziwieniem cały dzień bez walk upłynął. Jordan z Gozdawy i Krystyn z Mortoga, wciąż stojąc na basztach, starali się dostrzedz wszystkich obrotów przeciwnego wojska i domyśleć się przyczyny niezwyklej spokojności. Mestwin ze zwykłą rozważą dawał głośno rozkazy, towarzysząc księciu Zbigniewowi, który przechadzał się po wałach z schyloną głową i obchodził wierne hufce, witające go okrzykami, nie budzącymi już teraz ognia i młodzieńczego zapалу w smętnem sercu.

Są bez wątpienia wieszczki w duszy człowieka przeżycia, rokujące mu blizkich nieszczęść nawałę. Może są one tylko skutkiem wyobraźni, wylatującej za przeznaczone krańce na odkrycie ciemnej przyszłości, może też duchy innego świata, przyjazne nam kiedyś za życia, w chwili stanowczej wokoło nas się gromadzą i, jedyną świadcząc w ich mocy przysługę, jakąś niepewność i smutek wlewają w serce, żeby je przygotować do niespodziewanego ciosu.

Bądź co bądź, pewnem jest, że w dolegliwym teraz był księżę Zbigniew położeniu, bo choć nigdzie tak blizkiego i grożącego nie upatrywał niebezpieczeń-

stwa, choć spodziewał się, że tego samego dnia w nocy wkradnie się do zamku z mnogim orszakiem Ludwik ze Żmigroda, przeczuwał on niezrozumiane i tajemnicze cierpienia i dlatego właśnie, znizywszy wyniosłą głowę, nie czuł dawnej radości, słysząc okrzyki i wrzaski żołnierzy.

— Mestwinie — rzekł ponuro — przygotuj wszystko na przyjęcie Ludwika ze Żmigroda, który dzisiaj ma przybyć! Właśnie zbierają się chmury i sędzę, że noc burzliwa ułatwi mu wejście do zamku. Nie spodziewam się, by natarli na nas swoim zwyczajem nieprzyjaciele, bo już wieczór się zbliża. Odejdę do komnaty, przygotuj jednak wszystko na przypadek, a gdybyś zobaczył rozwijające się przeciwników szeregi, donieś mi o tem natychmiast!

Po tych słowach oddalił się książę; przechodząc blisko żony pokojów, chciał ją odwiedzić, ale przypomniawszy sobie, że ją widział zrana smutną i pomięszaną, a nie czując się na mocy jej pocieszenia, podwoił kroku i zamknął się w własnej komnacie. Tu dopiero zapadł w głębokie dumanie, a jeśli kiedy słodkie zabłysło wspomnienie, odpędzały go zaraz czarne myśli, bez ustanku się snujące.

Nieszczęśliwy Zbigniew wywoływał z głębi przeszłości gorzkie pamiątki, z żalem patrzył na strawioną wśród zbytków i występków młodość, na zużyte w niegodnych sprawach siły, na pogrążoną przez siebie w otchłań smutków Hannę z Ciechanowa, którą oderwał od świata i, pozbawiwszy najmielszych uciech, nie umiał w najprzykrzejszych chwilach pocieszyć. Myśl, że może córka Wszebora, zwiedziona dziwa-

cznem jego od niejakiegoś czasu postępowaniem, sądzi, że zapomniał o jedynej lat młodych oblubienicy, o aniele, który najpiękniejszymi natchnął go pomysły i szczęściem obdarzył, tak go przeraziła, tyle razy stała się przed jego umysłem, że już porywał się i, przypominając dawną uprzejmość, oddawna zaniebane miłośne wyrazy i gorejące oświadczenia, chciał, pobiegłszy do żony, u jej stóp błagać przebaczenia winy, kiedy ktoś do drzwi zapukał. Poszedł je otworzyć z wyrazem gniewu na twarzy, ale ten znikł za ukazaniem się Mestwina z Wilderthalu.

— Czy myślą szturm przypuścić? — zawołał książę z iskrzącymi się od zapалу oczyma, w nadziei, że zamęt walki wyrwie go z pod ciężaru trapiących uczuć.

— Nie, panie i książę mój — odparł rycerz — przyszedłem cię uwiadomić o rzeczach, które największej uwagi, a zarazem stałości umysłu wymagają.

Nie słyszał Zbigniew ostatnich słów Mestwina. Jak tylko dowiedział się, że niema przeciw komu walczyć, upadł na krzesło i, nakazawszy ręką milczenie powiernikowi, wlepił oczy w przeciwną stronę i do opuszczonych na chwilę powrócił utrapień. Wreszcie ozwał się w te słowa:

— Mestwinie, jedyne mój przyjacielu, nie uwierzysz, jakem się od jakiegoś czasu zupełnie odmienił. Zapewnie w tej posępnej twarzy, w tej schylonej postawie, w tej drżącej ręce i ustach zbłądłych nie poznajesz dawnego Zbigniewa, którego miecz błyszczał nad wszystkimi mieczami polskiej krainy, którego głowa wznosiła się ponad wszystkie dumnych panów głowy. Gdzież się podziła żywość moja? gdzie uleciał mło-

dzieńczy zapał, wrzący w piersiach, którym już dzisiaj lekka cięży zbroja? Odpowiesz, że choroba, że rany to sprawiły. Nie, nic ziemskiego, żadnej ostrze szabli, żadna słabość na świecie nie była zdolna tak mnie zniżyć i pognać. Ileż razy, okryty ranami, krwią własną oblany, myślałem jeszcze o zwycięstwie, wyglądając z niecierpliwością chwili wyzdrowienia, chwili, w którejbym mógł ująć oręż na nowo i zemścić się na wrogach! Pamiętam, jak lotem orła wzbijały się moje myśli, jak nadzieje uśmiechały się niezatru temu żadną boleścią umysłowi, a teraz wzrok schylam ku ziemi, uciekam od towarzyszków broni, od żony nawet. Unikam Hanny, najmilszej istoty na świecie, dla której jeszcze czuję miłość w przekwitłym sercu. Jej spojrzenie, przejmujące dawniej wszystkie żyły ogniem namiętności, spada teraz na mnie, jak na bryłę zimnego lodu. Czasem trąba bitew obudzi mnie ze snu, a wtedy tylko czuję, że mi serce bić nie przestało; ale krótko trwa przemijające wrażenie, a wszystko dokoła czarnem, ciemnem, posępnem się wydaje. Szczęście ucieka na odgłos kroków moich i nawet przypomnieć sobie nie mogę chwil, które zapełniły część śmiertelnego życia niebieską radością. Zdaje się, jak gdyby piekło wyrzekło moją zagubę, bo mi wydarło i nadzieję i pamięć tych nadziei.

To domawiając, zakrył twarz oboma rękoma. Zapewnie nie chciał, by Mestwin dostrzegł gorzką łzę, spływającą po bladawych licach.

Wahał się odrazu rycerz na zadanie ostatniego ciosu nieszczęśliwemu panu, ale nie było czasu do stracenia; szybko upływały godziny, a z niemi i zemsta zbli-

żała się sroga, zemsta, dla której tyle środków użył Mestwin i tyle zbrodni wykonał. Przybrawszy zatem najzimniejszą postać, przemówił do Zbigniewa:

— Przemina te chwilowe troski. Teraz zaś, książę i panie mój, zbierz wszystkie siły, bo się dowiesz z ust, które ci nigdy nie skłamały, o spełnieniu się ich dawniejszych prorocstw!

— Cóż chcesz mówić? — przerwał syn Władysława z przerażeniem na twarzy.

— Chcę mówić i powiadam, książę i panie mój, że się połączył z niewiastą, niegodną twojej miłości.

— Nędzny! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — pamiętaj, że mówisz o swojej księżnie, o żonie twojego pana!

— Nigdy jej nie nazwę księżną moją — odparł śmiało Mestwin — bo nią być nie może Hanna z Ciechanowa, zdradzająca najświętsze obowiązki.

— Czy więcej od jednego życia posiadasz, że tak lekce terazniejsze ważysz? — zawołał Zbigniew, okryty rumieńcem gniewu, porywając szablę ze stołu.

— Gdybym tysiąc razy mógł umierać i odżyć, nie wahałbym się ostatnie życie dla ciebie poświęcić i nieraz ci już tego dowiodłem. Ale uspokój się, wysłuchaj mnie i przekonaj się o prawdzie słów moich! Jeśli cię oszukam, możesz ten miecz w moje piersi utopić.

— Ja mam ciebie słuchać, niegodny oszczerco? — krzyknął książę, wlepiając oczy w oczy Mestwina; ale rycerz wytrzymał rażące spojrzenie Zbigniewa i nie zniżył własnego wzroku. — Ja mam słuchać potwarze, rzucane na najcnotliwszą niewiastę na ziemi, na drogą moją Hannę, na anioła, co umiał zbrodnicze życie

i na wieki związał mnie do siebie niezerwanym łańcuchem? Czyż to od dzisiejszego dnia wiem, że ją nie nawidzisz? Czyż to pierwszy raz ją obmawiasz? Od kiedym ją zapoznał, zawsze mnie odводził od niej, odradzał zaślubienie, radził najbrzydszą obłudę, a teraz, kiedym już zgębiony prawie nawałą prawdziwych i urojonych nieszczęść, przychodzisz mi ostatnią wydierać pociechę. Oddał się, wychodź, precz mi z oczu!

Mestwin nie ruszył i kroku.

— Czyż już przestałem być panem w własnym zamku? — zawołał Zbigniew z rosnącym uniesieniem. — Nawet, gdybyś co wiedział, zakazuję ci odkrywać.

— A, to co innego! — odpowiedział z najzimniejszą krwią Mestwin. — Zaiste, panem jesteś swojej woli i możesz nawet żony Mieczysławowi odstąpić.

Imię niecierpianego człowieka obudziło wściekłość w duszy Zbigniewa. Przypominał sobie dawne jego związki z Hanną i zbladł nagle, śmiertelne osłabienie zwałilo siły, poduszczone gniewem. Dreszcz zimny rozlał się po całym ciele i przejął go mrozem. Nie mogąc utrzymać się na nogach, musiał usiąść, a pot kroplami spływał po zlodowaciałym czole.

Poznał Mestwin, że sposobna nadarzyła się pora, i, nie dając czasu do namyslenia się księciu, zaczął opowiadać ułożone fałszy z pewnością, samej szczerości właściwą. Wyłożył dawne przestrogi, oświadczył się z przywiązaniem bez granic, a nareszcie opowiedział, jak Ulrych podsłuchał przypadkiem rozmowę księżny z Katarzyną, z której się wydało, że Hanna pała miłością ku Mieczysławowi, że znienawidziła męża

i że się będzie widziała z dawnym kochankiem o dwunastej w nocy nad brzegiem Wisły, w starodawnej kaplicy. Zresztą nowem kłamstwem przebiegły rycerz wytłomaczył księciu sposoby, których użyła Hanna na porozumienie się z synem Bolesława. Nie przepomniał dodać o rzadkiej mowie księżny i o jej listach. Wszystko zaś tak prosto, tak jasno wyłuszczył, że już niepewność i podejrzenia zaczęły się wkradać do serca Zbigniewa.

Wtenczas za świnięciem Mestwina wszedł do komnaty giermek, który, przez pana przyprowadzony, czekał w przedpokoju.

Na rozkaz pana śmiało powtórzył młodzieniec, co rycerz przed chwilą opowiadał, a podczas swojej mowy widział wciąż wzrok księcia Zbigniewa, starający się odkryć napróżno najmniejszego w jego rysach pomieszanania lub trwogi. Ulrych z niepospolitą odwagą łączył poświęcenie dla pana bez granic, wiedział, że go może zgubić najmniejszą oznaką przerażenia. Zresztą już najtrudniejszą część okropnej i tajemniczej sprawy, sobie poruczonej, wykonał oddawna. Kiedy mógł wytrzymać widok łez księżny, nie miał go już później przerazić gniew potężnego Zbigniewa; kiedy nie padł do nóg boskiej córce Wszebora, mało zapewne mogła mieć na nim wpływu rozpacz syna Hermana. A zatem dopełniały się zamiary dzikiego Mestwina i księżę, ujęty w sidła, szatańską uwite zręcznością, otoczony głośnymi przeciwko żonie dowodami, wątpił, czy żyje, czy też przebywa w obłudzie i uludzeń krainie.

Powstał nareszcie z siedzenia i miotając naokoło pomieszanym wzrokiem:

— Gdzież jestem? — zawołał — gdzie się dostałem? Czy już piekło wyciąga ramiona po należną zdobycz? Czy już zemsta niebios dręczyć mnie zaczyna? Ostatnie marzenie tego życia, ostatnie urojenie, wiążące mnie jeszcze do świata, zniknęło. Ale nie, wyście sobie rękę podali i fałsz na waszych ustach. Mestwinie, zmiłuj się nademną, wszak to złudzenie, wszak to nieprawda, com słyszał? Hanna jest moją żoną!

— A zarazem kochanką księcia Mieczysława — odparł rycerz.

— Przypomniałeś mi — krzyknął książę — tem nazwiskiem, że wszystko się zakończyło i że dla mnie świat bezludny wokoło. Nieprzyjaciół wydarł mi więc najmiłszą pociechę! W krwi jego, przysięgam, zanurzę się cały! Ale cóż ta krew pomoże? Alboż ona dostatecznem wynagrodzeniem będzie za życie, odtąd żadnej nie znające pociechy? Mestwinie — dodał, zbliżając się do rycerza i ściskając mu rękę — daj mi sposób godnego pomszczenia się na nim, połóż na jednej szali miłość zdradzoną, zniszczone radości, zatrącone szczęście, życie, ogołocone ze wszystkich rozkoszy, młode lata, zwiędłe u ich początku prawie, serce szarpane wszystkimi rozpaczami mękami, na drugiej zemstę jakkolwiek! Jeśli ona zrównoważy się z tamtymi ciężarami, moje dobra, moje majątki i godności tobie oddaję. Wszystko u stóp twoich składam, bylebym mógł widzieć jego cierpienia, wpatrzeć się okiem żmii w ostatnie chwile wroga; lecz te ostatnie chwile tak się różnić powinny od zwyczajnych zgonów na ziemi, jak różne są męki piekła od uciech niebieskiego raj! Rozumiesz mnie?

Wtenczas Mestwin kazał oddalić się giermkowi, rozkazując po cichu, żeby mu doniósł, jak tylko księżnę wyprowadzi. — Zatrzymanie księcia w tym pokoju już na siebie biorę — dodał, a Ulrych odszedł.

Wtedy rycerz z Wilderthalu srogim ozwał się głosem:

— A cóż się stanie z niewiastą, co zdradziła najświętsze obowiązki i tak ogromną skalala się zbrodnią? Czy przepuścisz jej bezkarnie własne nieszczęście? Czy dozwolisz, książę i panie mój, by z twoich objęć rzucała się w objęcia znienawidzonego Mieczysława i z nich na twoje wracała łono? by, depcąc wszystkie światła prawa, podzielała się wdziękami z mężem i jego śmiertelnym wrogiem?

Milczał wciąż Zbigniew.

— A więc — głośniejsz zawołał Mestwin — książę Zbigniew odpuszcza winy Hannie z Ciechanowa, wystawia się na żarty całej Polski! Wojownik nieustraszony w bojach, niezmiękczonej jękami konających ofiar, ulega przemocy niegodnej kobiety i na jej spojrzenie zapomina o sławie! Zrzucić już zbroję, synu i wnuku tylu królów, zawieść oręż nad łóżem rozkoszy, przywdziej suknię niewieścią i weź do ręki wrzeczono, albo raczej każ sobie okuć dzielną kiedyś prawicę w pęta, gnuśnością narzucone, i, czołgając się u stóp zdradnej żony, z uśmiechem radości i niedołęstwa patrzaj na własną ohydę i własne zhańbienie! Na wszechwładny rozkaz otwieraj drzwi jej komnat Mieczysławowi i dozwól synowi Bolesława cieszyć się posiadaniem Hanny z Ciechanowa!

— Milcz — rzekł osłabiony książę — nie ludzki czoło-

wieczne! W twoich piersiach nigdy słodkie nie urodziło się uczucie. Różny od innych ludzi, od dzieciństwa powlokłeś członki twardą stalą, a od niej i serce twoje swoją oziębłość przejęło. Czyż znasz, co to miłość, Mestwinie? Czyż kiedy doznałeś jej słodczy? Wiedz, że choć okropna prawda odsłania się przedemną, wiedz, rycerzu, że jeszcze kocham tę niewiastę i wątpię, by tak anielskie rysy pokrywały tak niską duszę! Wiedz — zawołał całemi piersiami — że się waham, że wątpię, że nie wierzę waszym potwarzom! Jej obraz, tkwiący w moim umyśle, odpędza podejrzenia i czuję niczem nieosłabione przywiązanie w sercu. Mestwinie, radzę ci, nie powtarzaj wyrzeczonych dopiero obelg, bo o niej wtenczas marzyłem i słabo twój głos dochodził moich uszu; ale gdybym teraz co podobnego usłyszał, nie zważałbym na dawnego przyjaciela i wiernego sługę, widziałbym tylko szatana, chcącego ostatnią pociechę mi wydrzeć i zniszczyć ostatnią srogich cierpień ulgę, a sam rozważ, o ile taka myśl może unieść człowieka, który gotów zrzec się wiecznego i doczesnego życia, byleby usłyszał usprawiedliwienie ukochanej istoty! Walczyłem dla niej, a ona miałaby o tem zapomnieć? Patrzyła na krew, płynącą z moich piersi, a wiedziała, że dla niej płynie; słyszała jęki moich żołnierzy i pewną była, że dla niej giną, że dla niej poświęcam i ojca miłość i narodu przywiązanie, że dla niej znoszę oziębłość przyjaciół — i ona miałaby mnie zdradzić? Nie, na św. Stanisława, to być nie może! Sam Bóg nie dałby wdzięków aniola podłemu stworzeniu. Nie, Mestwinie, nie mów nic dalej, nie ozywaj się więcej, bo mo-

żebym uważał za święty obowiązek przebłagać oczernioną piękność śmiercią jej wroga!

— Nigdy twoga nie zamknę ust moich, panie — odparł rycerz — tem bardziej, kiedy, prawdę mówiąc, chcę twoją sławę ocalić.

— Zaklinam cię, Mestwinie, byś milczał. Dowiodłeś mi tyle razy przyjaźni wśród bitew, niebezpieczeństw; teraz dowiedziesz mi jej daleko lepiej zatajeniem tego, o czem się dowiedziałeś. Nie chcę zasłony żadnej rozdzierać, zapomnę o twoich słowach, bo, gdybym nie mógł zapomnieć, wołałbym nie żyć na ziemi; ale zapomnę za pierwszym jej spojrzeniem, za pierwszym uściskiem zapomnę. Wszakżeś mi nic nie odkrywał, Mestwinie, nieprawdaż, nic nie mówiłeś? Proszę, błagam cię, odpowiedz jeno »nie«, a wszystko, co zechcesz, uczynię!

— Nigdy! — krzyknął Mestwin — nigdy podobną nie zmażę się podłością. Jeszczebym z rusztowania wołał na ciebie: »Książę i panie mój, zdradza cię niegodna żona«!

— A więc zgiń i milcz umarły, jeśli żywy milczeć nie umiesz! — zawołał Zbigniew, rzucając się na rycerza z pałaszem w rękę.

Z największą spokojnością odsłonił piersi Mestwin z Wilderthalu i, oderwawszy szablę od boku, stawiał się bezbronny gniewowi Zbigniewa, którego wznieśiona opadła prawica, a wkrótce potem sam książę prawie bez zmysłów oparł się na łożę, spoglądając łzawem na powiernika okiem.

— Straciłem rozum — rzekł — Mestwinie, ale zarazem i jedyne szczęście.

Wtenczas łzy, wstrzymywane dotąd, oblały lica niezgiętego dawniej wojownika i westchnienia wydobyły się z piersi, w których czułe, choć zatwardziałe długim do występku nałogiem, biło serce. Rumieniec wstydu zapłonął twarz bladawą księcia, który przerywając czasem płacz swój wykrzyknikami boleści, odwracał oczy od dzikiej twarzy Mestwina, której rysów w tej chwili mógłby sam władca piekieł mu pozazdrościć.

— Ah! jakżem już osłabły, ah! jakżem już znękany! — wołał Zbigniew. — Hanna, moja Hanna mnie opuszcza! O Boże, zlituj się nademną!

— Sądziłem — przerwał Mestwin — że się zaciągnął pod dzielnego bohatera znaki, ale ciężką popełniłem omyłkę: szlochającą niewiastę teraz widzę przed sobą.

Te słowa ubodły dumę Zbigniewa i natychmiast zatrzymawszy łzy płynące, przybrał męską i rozkazującą postać.

— Przekonamy się zaraz, rycerzu — rzekł — o prawdziwość słów twoich. Bądź łaskaw towarzyszyć mi do Hanny! Oświadczyć jej nasze podejrzenia, a może odkryjemy, że się słuch twojego Ulrycha w tym razie omylił.

Poznał Mestwin, że największe zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie stracił odwagi, gotów najczarniejszych użyć wybiegów na jego odwrócenie.

— Dobrze — odpowiedział, udając największą obojętność — nie odstąpię cię, panie i książę mój, bo przepaść bliska twoich kroków i potrzebujesz towa-

rzysza, któryby cię na brzegu wstrzymał, lub też z tobą w jej otchłań się rzucił.

— Co znaczą te słowa?

— Znaczą one, książę i panie mój, że zbrodnicza niewiasta zdoła przybrać barwę niewinności. A kto jej uwierzy, już jest nad brzegiem przepaści. Zresztą postępuj podług swojej woli, lecz jakież dowód mieć będziesz, kiedy się zaprze? Wątpię, żebyś chciał mojego giermka stawić przed nią i własną żonę przymusić do bronięcia się od zarzutów sługi. A potem, przypuszczając, że jest niewinną i że Ulrych się przesłyszał, daremniebyś ją zmartwił i trwogi nabawił; lepiej, kiedy o dwunastej sam się przekonasz.

Przyłożył rękę do gorejącego czoła Zbigniewa i wahał się długo. Nie wiedział, co począć, bo namiętności, burząc jego duszę, odejmowały rozagę i zimny rozsadek.

— Książę Zbigniewie — dodał Mestwin — jesteś panem swojej woli; ale usłuchaj rady przywiązanego człowieka, który ci wierny był dotąd i zawsze szanował i kochał, który życie twoje nieraz własnego niebezpieczeństwem obronił. Jakieżbym miał powody do rozjątrzenia twojego serca, do zatruwania twojego szczęścia? Wierz, że ważne i bardzo ważne powody zagnęły mnie do odkrycia ci prawdy, bo tu szło o twoją sławę i jako najwierniejszemu przyjacielowi twojemu, droższą mi jest ona od własnego i nawet od twojego życia! Chciałem tobie tak okropnego ciosu oszczędzić, ale, rozważywszy straszne skutki, wyniknąć mogące z tak występnych przyczyn, uczułem dosyć mocy w sobie na oznajmienie mojemu panu, że Hanna

z Ciechanowa straciła wszystkie do jego miłości prawa. A niemależ potrzebowałem odwagi, niemalego poświęcenia na wytrzymanie wybuchu gniewu człowieka, rozkochanego w osobie, którą oskarżam o tak ciężkie zbrodnie. Do ciebie należy osądzić i czystość moich zamiarów i przywiązanie tak wielkie, że się naraziło na śmierć i gorsze od niej wyrzuty, żeby ostrzedz pana o okolicznościach, wszystkie jego nadzieje niszczących.

Zawsze prawie rady Mestwina, odrzucane z początku przez Zbigniewa, brały potem górę nad jego umysłem, czy dlatego, że zimna rozwaga Niemca miała niezaprzeczoną wyższość nad uniesieniem i zapalczywością księcia, czy też dlatego, że syn Władysława nieznównaną pokładał ufność w wierności i niejednymi dowodami stwierdzonem przywiązaniu powiernika. Również i teraz uległ Zbigniew przewadze rycerza z Wilderthalu i, nie mogąc sam oznaczyć swojego w tej mierze postępowania, skierował je podług myśli i chęci Mestwina.

— Przystaję — rzekł — na twoje uwagi, ale pamiętaj, że gdyby Hanna się niewinną okazała, nieby ci nie mogło życia ocalić! Dosz[ed]łem do takiej ostateczności, że mi trzeba żonę lub przyjaciela postradać, bo zemsta, obudzona we mnie, wymaga jakiegokolwiek ofiary. Przygotuj się więc do śmierci Hanny z Ciechanowa, lub do własnego zgonu!

— Pozwalam ci jeszcze wątpić, książę i panie mój — odparł Mestwin — ale za kilka godzin o wszystkim się przekonasz. O dwunastej przybędę do ciebie i razem udamy się do kaplicy.

— Nie wytrzymam! — zawołał Zbigniew. — Pobiegnę do niej! Mówię ci, że nie wytrzymam, Mestwinie!

— A gdzież się podziła stałość umysłu i męstwo, żadną niezrażone przeciwnością? — rzekł rycerz. — Czyż tylko w bojach mężem być przystoi? Czyż tylko, kiedy zbroja kryje serce, ono się odważnem okazać powinno? W domowem życiu często trudniejsze zachodzą sprawy, niż na pobojuwisku, i nie tylko z szablą w ręku bohater jest bohaterem.

— Możesz sobie tych kazań i przestróg oszczędzić — zawołał książę — bo moje ucho nie przyzwyczajone do nich! Mówię ci po ostatni raz, że nie mam dosyć sił na przepędzenie tylu godzin w tak okropnej niepewności. Niecierpię jej teraz, za chwilę będę ubóstwiał. O Hanno z Ciechanowa, czegożbym nie dał, żebym mógł, jak dawniej, z słodką rozkoszą twe imię wymawiać!

— Jedyń więc tylko środek — rzekł Mestwin — pozostał w tym razie: zamknę cię w komnacie, a o przeznaczonym czasie przyjdę, uwalniając, przekonać ciebie o obłudzie żony i powrócić wyższym celem nad ziemską i niską miłość.

Milczenie Zbigniewa uważał Mestwin za przystanie na podany sposób; odwrócił się więc i, wyszedłszy, zamknął drzwi żelaznym kluczem, który schował pod zbroję.

— Więc już zapewniłem jej zagubę! — pomyślał i z niewypowiedzianem uniesieniem, które brał za radość, oddalił się od komnaty nieszczęśliwego pana.

ROZDZIAŁ XXIII.

Król: Widziałeś?

Inkwizytor: Widziałem.

Król: Słyszałeś?

Inkwizytor: Słyszałem.

Król: O wściekłości! a więc podejrzenie...

Inkwizytor: Stało się pewnością.

Alfieri, Filippo.

— Już czas, księżno i pani moja — rzekł Ulrych, wchodząc do pokoju Hanny, a pierścień Mestwina złowróżbne blaski rzucał z jego ręki.

Czekała już księżna, gotowa narazić się na niebezpieczeństwa i obmowy, żeby dopełnić świętego żony i świętszego jeszcze Polki obowiązku. Spojrzawszy łagodnym na giermka wzrokiem, odpowiedziała, że natychmiast pośpieszy, prosząc, by się do drugiej oddalił komnaty, gdzie Katarzyna już była.

Zostawszy samą, jeszcze raz swój postępek i skutki, z niego wyniknąć mogące, rozważyła. »Może niesława, może wieczna okryje mnie hańba — myślała — lecz mój Zbigniew i sławę i szczęście odzyska. On tyle dla mnie uczynił, niech więc i ja coś dla niego uczynię! On nie zważał na obmowy, kiedy szło o Hannę, a ja bym miała niemi się trwożyć? Nareszcie, gdyby świat cały, gdyby on nawet powstał na mnie, sumienie moje spokojnem pozostanie«.

— I Ty wiesz — zawołała, odwracając się do obrazu Matki Boskiej — że nigdy występna myśl mojej nie skaziła duszy... — Ukłękła potem i złożywszy śnieżne dłonie, wzniosła je ku niebu.

— O Królowo, uwieńczona światłością! zakryj mnie skrzydłami Twojej opieki! Przejrzyj skrytości mojego serca, oświeć mnie promieniem nieśmiertelnej Twojej chwały, a jeśli nieznane mi nawet jakie niskie uczucie kryje się w jego głębi, spraw, bym z tego nie powstała miejsca; jeśli zaś czyste i cnotliwe mną powodują zamiary, daj, bym Zbigniewa szczęściu wróciła!

Po tej modlitwie wstała, czarną zasłonę zarzuciła na siebie i, pożegnawszy ostatniem spojrzeniem pełną tyłu wspomnień komnatę, wyszła do drugiej, a stamtąd, nie rzekłszy i słowa, przebiegła kaplicę z Katarzyną i smętnym Ulrychem. Córka Gierdy otworzyła drzwi, na brzeg Wisły wiodące; pierwszy giermek napróżd wyleciał, ale tak szybko i tak dziwnym sposobem, że zadrżała pomimowolnie księżna, która z Katarzyną pozostała z tyłu.

— Strażniku — rzekł po cichu młodzieniec do przechadzającego się żołnierza — otwórz te drzwi, tylko prędko! — Chciał jeszcze coś mówić, ale słowa na ustach skonały i ledwo drżącą ręką mógł dorzucić worek, dany przez Mestwina.

— Czy śmierci szukasz — odpowiedział głos chrapliwy — że chcesz słabem srebrem zwalczyć żelazo mojego topora?

Zadrżała Katarzyna, stojąca jeszcze z swoją panią w kaplicy. Był to głos jej ojca... Zadrzał i giermek, ale nie z bojaźni.

— Radzę ci, żebyś wziął i otworzył.

— A ja rady tak przyjmuję, psie podły! — zawołał Gierda i ciężki jego topór błysnął wśród ciemności;

lecz Ulrych zręcznym skokiem uniknął śmierci, a topór wbił się głęboko w ziemię.

— Gierdo, co czynisz? — krzyknął Ulrych. — Czyś mnie nie poznał? — i to mówiąc, stanął między dzi kim mordercą a jego orężem.

— Poznałem i dlatego właśnie chciałem dar szatanowi postać — i po tych słowach szabli dobył.

— Jeśliś mnie poznał, to i to zapewne poznasz — rzekł młodzieniec, podnosząc rękę naprzeciwko światłu, wychodzącemu z napół otwartej kaplicy.

— O, nieraz widziałem go już — odparł Gierda spuszczając oręż. — Teraz wszystko wypełnię. Wszakże nam książę zalecił równie ten pierścień, jak jego własny, szanować.

— Puścisz więc, Gierdo, dwie osoby, za mną idące, i zachowasz głębokie o tem milczenie! Są to, przyjacielu — dodał ciszej — dawne... domyślisz się zapewne, książę nie chce, by żona wiedziała...

— Rozumiem — rzekł żołnierz z hucznym śmiechem. — Na cóż mi ten worek dałeś?

— To dar od księcia.

— Niech żyje Zbigniew, pan nasz! — zawołał Gierda, a drzwi, pchnięte jego ręką, otworzyły się w murze.

Gwizdnął Ulrych i dwie postacie przesunęły się w ciemności przed żołnierzem, który, nie chcąc badać tajemnic pana, oczy odwrócił.

— Trzymaj te drzwi otwarte! — rzekł giermek i wyszedł w pole wraz z towarzyszkami.

Księżna mu czule podziękowała, a jednak każdy jej

wyraz przebijał mu serce. Burzliwa i ciemna noc nie dozwoliła uważać Hannie z Ciechanowa, jak nagle zbladł i zadrżał cały. Katarzyna, odzyskawszy przytomność, utraconą na widok ojca, zaczęła namawiać księżnę do przyspieszenia kroku.

Ulrych wśród świstu wichru i huków piorunu doprowadził księżnę aż do zarośli, zamek otaczających. Tu stanąwszy, oznajmił pomieszczanym głosem, że musi ją opuścić, i wskazał niedalekie światło.

— To lampa, paląca się w kaplicy. Tam cię, księżno, czeka Mieczysław; muszę cię pożegnać. Stać będę tymczasem przy drzwiach, strzeżonych przez Gierdę, i pilnować, żeby nikt nie nadszedł.

— Dziękuję ci raz jeszcze — rzekła Hanna i szybkim z Katarzyną oddaliła się krokiem.

Łzy spłynęły po licach młodzieńca:

— O Boże, zlituj się nad nią, bo moja powinność wzywa mnie gdzieindziej! Czemuż topór Gierdy nie przybił mnie do ziemi!

A potem puścił się jak strzała, wyrzucona z cięciwy, przeleciał pole, przebył bramę, komnaty, gale-rye i drzwi pokoju Mestwina z trzaskiem odemknął.

— Już się stało! — zawołał i upadł, napół zemdlony.

— Takeś zdyszany — rzekł siedzący rycerz — jak gdybyś z długiej wracał podróży, a jednak kaplica stąd niedaleka.

— Ale, panie — odparł ponuro Ulrych — podczas krótkiej drogi można wiele uczuć doznać.

— Zapewnie — szydersko odparł Mestwin. — Ale oddaj mi pierścień i powiedz, czyś go użył.

— Musiałem. Dane wprzód pieniądze nic nie pomogły.

— Któż taki stoi na straży? — zapytał rycerz.

— Nieszczęśliwym trafem Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów, rycerzu.

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem ci[ę] się pytać, czyś do samej kaplicy księżnę odprowadził?

— Zostawiłem ją o pół drogi, bom dalej iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce — z politowaniem ozwał się rycerz — bije w twoich piersiach; ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Śpiesz się, panie, do księcia Zbigniewa!

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz. — Niechże wpierw ona dojdzie do kaplicy! Pięknieby było, żebyśmy ją na drodze spotkali, a wiem, że, jak tylko puszcę mojego orła z klatki, do której go wsadziłem, to polecą, nie wstrzymany żadnym głosem ni namową. Ale cóż to się znaczy? Zupełnieś zbladły, do trupa podobny! Wstydz się, chłopcze, takiej słabości!

— Cóż mam robić, panie, kiedy czuła we mnie Bóg włął duszę!

— Zahartuj serce — odparł rycerz, kładąc hełm na głowę — uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu! Zatamaj łzy w oczach! Patrz przez lat wiele na zbrodnie, poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obłu-

dzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnymi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom! Wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczliwych miłymi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnej przyjemniejszem ci będzie, niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną. — Teraz już czas. Ulrychu, żegnam cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem; innego od niej na ziemi nie uznaję pana, więc idę. — To mówiąc, wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdoła opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmilsze nadzieje? Kto potrafi zimnemi słowy oznaczyć ścierające się w jego duszy namiętności? Raz, w zupełnem odrętwieniu, nic nie postrzegł, zapominał o wszystkim. Myśli jego opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba; zatrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni, usypiały w beczynności, to znowu, nabrawszy nadprzyrodzonej siły, przedstawiały mu wszystko, przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Czuł on wtenczas nieznośny ogień, rozlewający się po żyłach, krew rozhukanym strumieniem biła do głowy, oczy ciskały płomieniste wejrzenia, a dla rozpalonych liców darmo szukał ochłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chmury, przed chwilą posępną białością, rozogniły się nagłą zmianą i że wichur niewstrzymany, rozrzucając budowle i mury, wziął górę nad zwy-

kłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiało przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się gładów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowściągniętej wyobraźni, darmo zakrywał oczy: straszne i niepojęte obrazy ściagały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały zaczyna swoje rozpręganie od dnia, w którym stracił to, co mu najmilszym na tym świecie było. Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła powoli namiętność, nim miotająca, i znów wszystko zimną przybierało postać; wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości nic odpowiadającego uczuciom duszy nie widział i nowa męczarnia na miejscu przeszłej go dręczyła.

Noc pokryła ziemię. Żadnej w tem nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogarniające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświecały pokój, czasami piorun grzmiał w górze; ale jakież płomienie mogły rozżarzoną w jego piersiach wyrównać, jakież piorun zastanowić, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę? To przechadzał się szybko, to kładł się na łożu. Odpiął pas żelazny, zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciążyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucił się czasami pierwszej do nóg, drugiemu sztylet w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę, to znów, zapomniawszy o jej zdradzie, ścisnął ręce, całował w usta — ale znikome postacie usuwały się myśli, goniącej w niezmiernym polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały i, stawiając go na szczycie rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bez-

denną strącały przepaść. A jednak dźwigała się jeszcze z niej dzielna dusza i ten umysł, choć przywalony ogromem rozpaczy, w samym pomięszaniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych, błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew otwarte wniście zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnat żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał — nikt nie odpowiada — i dalej mówić nie mógł.

Wtem spojrzał na łożo i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się, rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wzniósł pierwszy raz w życiu wzrok, pełen wyrzutów, ku niebu — ukarał... bo tem tylko mógł ukarać!

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął książę rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Urągasz się! — zawołał cichym głosem i zbliżył się groźny do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń; lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Książę, chodź za mną i poznaj, o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela!

Nie opierał się syn Władysława, podbity zimną towarzysza powagą, a wkrótce potem, wiedziony przez

Mestwina, przechodził pole, dzielące zamek od starożytnej kaplicy.

Deszcz spadał zwolna z czarnych chmur, niebo zasępiających, błyskawice już nie migaly i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze, lekkim poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionej wiosny i panowanie spiekłego lata musiało chłodnej nocy ulegać. A jednak każda kropla, spadająca na głowę księcia, zdawała mu się gorejącą iskrą, murawą, po której stapał, rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawieją.

Prowadził go za rękę Mestwin i szybko zbliżali się do niedalekiej kaplicy, w której zawieszona lampa bladawe rozsyłała promienie na otaczające gruzy i krzewy, pod rosą się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by, wróciwszy do przytomności, szedł ostrożniej i jęki wstrzymywał.

Poszedł za prośbą księżę, czując, że nadchodzi chwila, w której ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć; ale właśnie w takiej chwili naj-sroższą męką stała się ostrożność, poradzona przez Mestwina. Ciężej mu było teraz wstrzymać westchnienie, niż kiedyś jęki, przez najżywsze bóle wydzierane; krótka droga bardziej go zmęczyła niż podróż, nieraz odbywana w żelaznej zbroi, wśród odludnych piaszków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się z pomiędzy krzaków i murów, po części już rozpadłych. Szczyt jej nie wysoko sięgał ponad ziemię, a powoje i bluszcze, wijąc się po nim, zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko,

opatrzone żelazną kratą; niem migaly się mdłej światłości promienie od gorejącej wewnątrz lampy, zasłanianej czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównej w tem miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny znikał i wracał co chwila, a zdało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszył, piekielna radość nappełniła duszę Mestwina, podsunął się bliżej. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział, co czynić, zbierał wszystkie siły, natężał wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Nareszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się księżę. Chciwy wzrok zarzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujrzał niewiastę niezrównanej piękności i klęczącego u jej kolan mężczyznę. Tą niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Księżę ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry.

Mestwin, widząc jego zamysł, rękę mu silnie zatrzymał i, odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz, co to zemsta, księżę?

Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza wzrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami wysączać nad nimi puhar goryczy, niż go wylać odrazu? Czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki i nasycać się widokiem stopniowanej śmierci, której bóle co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrad-



ców obdarzyć i w krwi niegodnej szlachetną zmasać prawicę?

Okropna bladość rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślemy.

Po tych słowach omdlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy i, wszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone zebrać zmysły. Wkrótce potem zerwał się nagle książę i, podnosząc rękę ku niebu:

— Przysięgam — zawołał — jej śmierć i śmierć jego! Niewiasta, zdradzająca męża, nie znajdzie litości i u Ciebie, o Boże!... Kara Twoja nigdyby jej nie ominęła... Dozwól więc, Panie świata, bym ją sam przyspieszył!... Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny... Wszak już nie mam żony... wszak sam na świecie zostałem... ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali!

— Książę i panie mój, pomówimy o tem w twojej komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku!

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały pośród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia, by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi, tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdej porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno książę.

Mestwin przyspieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wyszedł dziki żołnierz i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego mordercę. Skinął nań rycerz i na sam

brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień?

Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Niema żadnego ognia.

— Patrz dobrze, a ujrzysz — odparł rycerz i, wzniosłszy sztylet morderczy do góry, z całemi siłami zanurzył go w plecy Gierdy — a ujrzysz ognie piekła! — dodał z szyderskim uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cała jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatniem skonaniu. Zrzucił szyszak i, tocząc się po piasku, doczołgał się do stóp rycerza i, wspierając się jedną ręką o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymany w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu, drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu z szerokiej rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tem samym miejscu zabójstwa. Przybywając, Zbigniew usłyszał już tylko jęk, pomieszany z szumem fal, ciało unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy, i Mieczysław jużby tak zginął — zawołał książę.

— I jedno tylko cierpienie doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tyś doznać może.

— Śpieszmy się więc, śpieszmy! — krzyknął Zbigniew. — Każda chwila, zwlekająca jego zagubę, jest nową dla mnie śmiercią!

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysiąż, że pójdiesz za nimi i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą! Przysiąż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku!

Nie wahał się książę i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tem ciałem zginie i nie dozna obiecanej nieśmiertelności, niech każdy dzień mojego życia dzisiejszemu podobnym się stanie, jeśli choć jednym słowem, choć tajemną chęcią odwołam śmierć Mieczysława i tej, która niegdyś moją nazywała się żoną!

— Dobrze — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa. I wszedł z księciem do zamku.

Dostawszy się do swojej komnaty, usiadł książę na krześle i obtarł twarz, deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najniešťliwszym z ludzi; prawda, choć tak sroga, zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wmówić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty, pożerające jego duszę, dowodziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną zawść, że wielkie serce, w najczulszych zwiedzione nadziejach, szukało ulgi w drugiej ostateczności. A jednak i w zemście samej pozostały miłości ślady. Jeszcze na wspomnienie córki Wszebora rozdarte serce żywiej biło. Z tem wszystkim postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciąglem o zemście przemyśliwaniem, lecz trzeba było całej jego dzielności na ukrycie pod bar-

wą surowej powagi i zimnej spokojności żaru, w pierśiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj, żebyś dogodził moim żądaniom! Wynajdź, czegooby szatan wynaleźć nie potrafił!

— Jeśli skutecznie taki rozkaz — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swojego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów! — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnej zemsty — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nie zadrżysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało! Hanna kocha Mieczysława, niech więc zginą powolnem skonaniem obok siebie i niech jęki córki Wszebora połączą się z jękami syna Bolesława! Abraham z Hamburga dostarczy mi truciźny, zastawimy w wielkiej sali biesiadę, obładowujemy stoły srebrem i złotem i puhary śmierci uwieńczym różami rozkoszy. Wyślij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadczyć, że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innymi panami w swoje podwoje. Wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora, Wszebora osobiłwie, mój panie i książę. Czy czujesz, jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiądą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciźnę... dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrżał Zbigniew i zbladł na chwilę, lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło odbierze piękność, godną nieba!

Z. Krasiński. Pisma. T. II.

Przyjmuję, przystaję, pošlesz jutro Krystyna. — Zamiłk tu książę, ale później, miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się, duchy zbrodni, uwieńczyć moje i mojego powiernika skronie! Wzywam was do walk. Odpowiedz, szatanie, odpowiedz, czybyś zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie? Nie, nigdybyś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej, jak ja, miłości. Rumieńcie się od wstydu, duchy czarnych przepaści: śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością i namiętnością, w łonie syna ziemi zrodzona, przeciężyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy! Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie; pamiętaj wykonać, coś powiedział, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymają!...

— Wyrzuty, książę i panie mój? — odparł rycerz. — Nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumiem.

— Aż kiedy prawica boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i, pożegnawszy pana, odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg rzekał się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna, zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę. Doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni, podpartej dwoma kamiennymi słupami, i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami, przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, kłę-

kła więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, aliści szybkie kroki słyszeć się dały. Wszedł po chwili człowiek pałający miłością i rzucił się do nóg dawno niewidzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szacunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schylony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzonego wroga,

— Hanno, droga Hanno, — zawołał — błogosławmy niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemieży! — I, to mówiąc, ścisnął rękę księżny i drżące usta przybliżał do różanych liców.

— Książę Mieczysławie! — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymuszał cię do wymawiania czczego, nic nie znaczącego nazwiska. Ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzód w zimnym grobie skościeje, nim opuści miecz, wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał!

— Książę Mieczysławie — powtórzyła Hanna, a Mieczysław zbłądł — nie miotaj gróźb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty.

— Męża?! — krzyknął syn Bolesława — męża? Mów lepiej: wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemężyciela!

— Książę — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znało. Szacuję cię, Mieczysławie, uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, że na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera i zobaczyć, czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki i wrócić szczęście tej, którą kiedyś kochałeś.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław. — Zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę; lecz tyś mnie nigdy nie kochała!

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała rycerza zbrojnego, a chwilą potem przyciskał ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i, spoglądając nań wszystkich podbijającym wzrokiem:

— Proszę cię, Mieczysławie... ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż, pani! — zawołał młodzieniec. — Ale może chciałaś mnie doświadczyć? Powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierną przysięgam mu miłość, a sługa boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnaj cię więc, młodości — zawołał Mieczysław — żegnaj cię, ziemio! Bo coś mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierzałem do jednego celu,

darłem się na skały, gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłym sercu umarła.

— Nie — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzaj się twoje słowa. Przeminie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą odemnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniej kochającej dziewczycy.

— Pani — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie! O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnem słowem, nie odpowie uczuciom, niczem we mnie nie zatartym, że odrzuci kochanka i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było... Lecz mów, księżno, rozkaż, a wypełnię!

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstęp od zamku mego męża, wypełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją! Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że, odrzuciwszy twoje uczucia, powinnabym lękać się twoich wyrzutów; ale Mieczysławie — tklwym głosem dodała — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie powstanie w mojej duszy dla ciebie, że, widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznaję, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała!

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z moim imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz

przytłumię gniew i zemstę. Pani, już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje, bo ty w nim dobrowolnie przebywasz. Wszystko mi już niemiłem oprócz nadziei, ostatniej na tym świecie, że, kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie, rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści usłyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje. Bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz żałobne pienia, a jeśli wtenczas łza zrosi twoje powieki, wierząc mi, ulubiona, że ta łza stanie mi za długie życie, żadną nie umilone nadzieją! Jutro ujrzysz z wież swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty. Życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości, życzę ci szczęścia ze... Zbig...

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzydziło się serce. Ukłonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, księżno — odparł ponuro młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion! Lepiej nie wspominać o Mieczysławie, jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie! Nie żądaj, bym dłoń przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego! Na takie poświęcenie Bogiem, nie człowiekiem być trzeba. Nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uciechy. Pozwól, bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną! Żadna siła ni potęga nie mogłaby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława. Nie obawiaj

się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę, u boku wiszącą — przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego, którego miłość twoja ochrania! Rozdzielamy się teraz, nasze drogi, dotąd przynajmniej w moich zjednoczone marzeniach, odwracają się od siebie. Zasiądziesz na książęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojęstwa, zrzekam się sławy, bo jej dzielić nie możesz... Żegnam cię, księżno... — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami ubóstwianej istoty... — Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie... — i, uchwyciwszy kraj śnieżnej szaty córki Wszeborza, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno, ostatni raz żegnam cię na tym świecie!

To mówiąc, wniósł oczy do nieba, ale, jak gdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz na dół.

— Żegnam cię — dodał — na wieki, już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi!

— A mój ojciec, drogi mój ojciec! — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysław, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże! ześlij pociechę na tak szlachetne serce! — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna

po długiej z lubym rozmowie i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy daremno starała się wpośród ciemności rozeznaczyć poległego już ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jej komnat, a ostatni raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody
I żwawo Kraigdała zapraszaj na gody!
Ballada szkocka.

Jeszcze słońce nie wydobyło się z ciemnych chmur, wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudził.

— Rycerzu, odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie! Z murów sam widziałem, jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają wały.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga! — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łóża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknię na siebie rycerz i lekką wdział kolczugę. Niedługo czekał na Krystynę, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił, by usiadł, i, kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa, księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława

i zaprosisz go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju? — zdumiony powtórzył Krystyn. — A, do dyabła, to coś nowego! Co, już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim oblężeniu, o jakiej kłótni w Polsce? Bobym zaraz tam pośpieszył.

— Teraz śpiesz się wykonać księcia rozkazy!

— Nigdy jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawił. Nieznane mi to rzemiosło. Dla nauki każ mi dać puchar, rozumie się, dobrego i starego węgryna!

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę. Po jej kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn i, przypasawszy pałasz, na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemąło się zdziwił, kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zatrzymał. Żołnierze, nie spozierając nawet na niego, zwijali namioty i zbierali sprzęty. Wały rozsypane, napół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręż i ubiory dziwny przedstawiały widok. Zdawało się, jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrucił zbywającą zdobycz. Przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionymi tłumami, nie odpowiadającymi na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

— Co nam do tego? — wrzeszczeli starzy żołnierze. — Niech cię piekło pochłonie! Długośmy się bili i niema żadnego plonu; bez żadnej korzyści odступujemy od murów, krwią naszą zbryzganych, jak tchó-

rze musimy uciekać, kiedy możeby za kilka dni Zbigniew się poddał.

Młodzi zaś, śmiejąc się, wojennymi piosnkami Krystynowi odpowiadali.

Rycerz, nie wiedząc, gdzie się udaje, coraz się dalej posuwał, unikając męczącymi podskoki uderzenia walących się namiotów i wyrzucanych z nich zbroi przez krzyczących żołnierzy. Błądząc przez długi czas, doszedł nareszcie otwartego miejsca, gdzie już kilka tylko namiotów pozostawało. Siedział tam na koniu młodziemiec w bogatej zbroi i ręką wskazywał otaczającym sługom przeznaczoną każdemu z nich pracę. Naokoło stali w ozdobnych pancerzach rycerze, z których jeden często rozmawiał z siedzącym na koniu, a drugi, już starzec, pochyliwszy głowę, zdawał się dumać głęboko. Zbliżył się do tego grona Krystyn z Mortoga i gniewnym głosem zawołał:

— Na wszystkich czartów, służących pod znakami szatana, powiedzcie mnie, gdzie ten książę Mieczysław? Od godziny go szukam i znaleźć nie mogę.

— Czego żadasz od niego? — odpowiedział młodziemiec, zwracając oczy, smutkiem przyćmione, na rycerza, którego twarz zarumienioną pokrywały krople śluzącego się potu.

— A co tobie do tego? — odparł Krystyn. — Powiedz mi tylko, gdzie namiot księcia! Wszystkich się pytam, a nikt mi dotąd nie odpowiedział.

— Któż cię przysłał? — zapytał powtórnie mąż, siedzący na koniu.

— Już mi cierpliwości nie staje! — krzyknął Krystyn, wyrывая miecz z pochwy. — Mów, gdzie Mie-

czysław, bo inaczej stawię się przed nim z twoją krwią na moim pałaszu!

— Jeśli więc tak pragniesz wiedzieć, gdzie książę Mieczysław, powiem ci, że tu jest i że ja nim jestem.

— Przepraszam — wcale niezmięszany zawołał Krystyn — przepraszam, mości książę, ale niecierpliwy zwyczajnie. Przysłał mnie książę i pan mój Zbigniew, zowie się, nawiasem, Krystynem z Mortoga i niejednego z twoich żołnierzy zabiłem. A więc pan mój i książę zaprasza cię dzisiaj z wszystkimi panami na biesiadę. Winem rozlew krwi zakończycie, a pokojem miłą mi nadewszystko wojnę. To niegodziwem jest, to niesłychanem, tak wcześniej pokój zawierać! Na Boga, gdyby zależało odemnie, całe-bym życie walczył i rąbał wrogów, w nocy-bym nawet się potykał, w dniu powszednie bitwybym zwodził, w święta po mszy już mały pojedynek-by mnie zaspokoił.

Zaprosiny Zbigniewa niezmiernie zadziwiły Mieczysława, ale pomyślał, że żona wszystko mu powiedzieć musiała. Z początku chciał je odrzucić; ale kiedy wystawił sobie, że jeszcze raz ujrzy Hannę z Ciechanowa, że jeszcze nadarza się sposobność pożegnania się z kochanką i oglądania boskich jej wdzięków, nim znikną dla niego na zawsze, odpowiedział Krystynowi, że nie omieszka za kilka godzin przybyć do zamku z swoimi panami.

Nierad temu Sieciech brwi zmarszczył, ale mieniąc, że wstydemby się okrył, opuszczając księcia, idącego do wroga, który czarną może knuł zdradę, przystał na ten układ. Wszebor, który zupełnie prawie przy-

tomność umysłu stracił od chwili, w której się dowiedział o zamęściu córki, pomieszanem tylko na księcia i posłańca poglądał okiem.

Krystyn, dodawszy słów kilka o sztuce robienia mieczem, odszedł sążnistym krokiem i wkrótce potem zdał sprawę Mestwinowi z odbytej wyprawy, przeklinając zarazem cały obóz i mówiąc, że żołnierze Mieczysława nie znają grzeczności, winnej znakomitym rycerzom.

Potał sobie ręce Mestwin z wyrazem zadowolenia i, odwróciwszy się, rzekł po cichu:

— Nie sądziłem jednak, żeby taki z niego był szaleniec. Myślałem, że długo przynajmniej trzeba go będzie namawiać; ale jak najlepiej się stało, sama zwierzyna leci na oślep w zastawione sidła. Żegnam cię, rycerzu, pójdź do mnie i pokrzep się węgrzynem, ja muszę gdzieindziej się udać!

Posłuszny radzie, pośpieszył Krystyn z Mortoga do komnaty niemieckiego rycerza, gdzie zastawszy Ulrycha, zaczął z nim długą rozmowę o sztuce wojennej, odwilżając często usta wybornem winem.

W północnej wieży, na wysokiem piętrze, był niewielki pokój, w którym siedział teraz starzec, otoczony mnóstwem ksiąg i narzędzi. Często, kiedy wszystkie światła w zamku pogały, migał się tam jeszcze przez żelazne kraty kaganiec, oświecający mozolne mędrca prace. Schylony nad trudnem do wyczytania pismem, lub z piórem w ręku, dochodził on przyczyn, poruszających ludzkie ciało i skutków, nań od innych przedmiotów wywieranych. Właśnie teraz w naukach starał się odkryć nową dla cierpiących ulgę i co chwila

ciężkie książki dźwigał z ziemi i przewracał ich paragaminowe kartki. Przed nim na stole leżały ludzkie kości i trupia głowa; dalej świeciły przy promieniach słońca, przez okno się przedzierających, noże i kleszcze rozmaitej wielkości, ogromna szkatułka, na pół roztwarta, rozliczne ukazywała narzędzia, a u stóp Abrahama z Hamburga rozciągniony był na podłodze trup zabitego w oblężeniu żołnierza, obłożony woniami i korzeńmi. Przy ścianach stały rzędem oparte ciała poległych wojowników, obwinięte w zasłony, napojone ostrymi płynami, oddalającymi od nich zepsucie śmierci i skutki czasu. Dwie szafy strzegły drzwi, na pół roztwartych, którei właśnie teraz wychodził młody sługa i zarazem uczeń Abrahama, chcący po długich pracach na wolnem odetchnąć powietrzu; pomimo rozkazu nauczyciela zostawił flaszki rozłożone po wszystkich kątach i szybkim krokiem się oddalił.

Wkrótce potem ciężkie stąpania słyszeć się dały po schodach, wiodących do mieszkania lekarza, a on jednak nie odwrócił głowy i oczu nawet nie podniósł. Po kilku chwilach wszedł Mestwin z uśmiechem posępnym na ustach, ale obrócony tyłem mędrzec nie zważał na jego przybycie.

— Witam cię — rzekł rycerz.

Te słowa nie otrzymały żadnej odpowiedzi.

— Przybywam z prośbą do ciebie.

Zamyślony starzec sądził, że uczeń, zapalony miłością nauk, wrócił do niego.

— Zapewnie chcesz — odpowiedział więc — zrozumieć, jak krew rozlewa się po żyłach i po sercu; ale teraz nie mam czasu.

— Wcale tego nie żądam od ciebie, choć pod innym względem potrzebuję twojej pomocy.

— Dozwól mi kilka chwil wolnych, a tymczasem wylej na tego trupa płyn, zawarty w czarnej flasce! Jest to lekarstwo ze wszystkich najmocniejsze, mogłoby nawet martwe ciało ożywić, ale od czasu Elia-sza Bóg dwunastu pokoleń nie dozwolił tak twórczej siły słabemu człowiekowi. Przepowiadam ci jednak, że przyjdzie czas, w którym nowe płyny odkryją w przyrodzeniu. Nie wiem, jakiego one będą gatunku; może śmiertelni potrafią wykraść niebu cząstkę piorunów, a wtenczas umarli wstaną z grobów i śmierć zaginie.

— Do szatana, starcze, powiedz mi, jaka trucizna najmocniejsza!

— Poradź się, mój uczniu, dzieł Al Darema, tu leżących, lub raczej Jana z Alkontares, oto je masz! — i wtenczas odwrócił się starzec, podając księgę, ale poznawszy Mestwina, powstał i nisko się uklonił.

— Trucizny mi daj, trucizny, Abrahamie!

— Jakiej? Czy wolisz płyn ten jasny? On zabija natychmiast.

— To mi się na nic nie przyda.

— Może ten czarny przypadnie ci do smaku: zwierzę, które go wypije, dwa lata jeszcze pędzi życie wśród boleści...

— I takiego nie potrzebuję — przerwał rycerz. — Daj mi trucizny, niechybne sprawującej skutki w pół godziny, ale niech zarazem głos zupełnie w piersiach przytłoczy!

Rozjaśniło się czoło starca, radość zabłysnęła w oku.

— Właśnie taką wczoraj odkrył! — krzyknął z uniesieniem. — Jest to najpiękniejszy wynalazek, nikomu dotąd nieznany. Zapewnie ci już mój uczeń o nim mówił, on wszystko rozgaduje. Chcesz bez wątpienia dziwnych jej skutków na zwierzęciu jakim spróbować?

Porwał Mestwin flaszkę, pełną morderczego płynu.

— Tak — zawołał — na najpodlejszym zwierzęciu, bo na człowieku! — i wyszedł, a starzec, nie dosłyszawszy prędko wymówionych wyrazów, znów w zawile nauki się pogrążył.

Szybko przebiegł rycerz schody, schowawszy truciznę za giętką kolczugę. Uniesienie dzikiej radości ukazywało się w gwałtownych poruszeniach, lecz kiedy kogo napotykał, zmieniał zaraz wyraz twarzy na surowy i posępny. Zmierzał przez długie ganki i ciemne korytarze do komnaty Zbigniewa; rozemknawszy podwoje, wszedł do niej po cichu, zamykając śpieszno drzwi za sobą.

Tajemną rozmowa niedługo trwała, a kiedy wychodzący ukazał się Mestwin, znać było na twarzy wyższy jeszcze zadowolenia stopień. Żarzącymi się oczyma miotał na wszystkie strony, jak gdyby chciał odkryć jaką okropnym zamiarom przeszkodę i odkrytą znieść natychmiast; lecz, nim oddalił się z przedpokoju księcia, umiał sobie poważną nadać postawę i stanu duszy jeden ślad tylko w szyderskim uśmiechu pozostał.

Z tem więc nieodstępnie najczarniejszych uczuć godłem zwrócił kroki do mieszkania ofiary swojej zemsty i za kilka chwil stanął przed Hanną z Ciechanowa, której blade lica i zsiniałe usta wydawały smutki tęsknoty, ale zarazem rozlany był na czole urok czaru-

jący, w oczach świetniał ogień, wyższy nad wyrzuty ludzi — i zdawało się, że jasność przyszłej nieśmiertelności już zabłysła nad blizkiem rozprzęgnięcia ciałem.

Nie czuła księżna zwyczajnej niespokojności za ukazaniem się zbrodniarza, bo cnota wzniosła ją tak wysoko nad podłe śmiertelnych zamachy, że nią uszlachetnione serce już bojaźni nie znało.

Grzecznym ukłonem przywitał ją rycerz z Wilderthalu i, nim przemówił, długo wlepiął wzrok posępny w piękność, którą niezaślugo zimna śmierć w swoje miała okuć więzy. Lecz, różny od innych ludzi, nie uczył żadnej zgryzoty sumienia, owszem, na widok nadludzkiej urody tem większą pałał żądzą jej zgładzenia, bo jemu przeznaczoną nie była. Z niewymowną więc radością tak zaczął:

— Pani, twój mąż, a mój pan i książę, kazał ci oznajmić, że dla dogodzenia twoim chęciom złożył oręż i pokój zawarł; dziś jeszcze sproszeni na biesiadę dawni jego nieprzyjaciele przybędą do zamku. Prosi cię, byś przyjęła z należąą okazałością księcia Mieczysława i innych panów, między którymi i twój ojciec będzie. Sam zaś Zbigniew, nagłą wstrzymany słabością, spodziewa się, że go w tej okoliczności zastąpisz; może przy końcu biesiady, do której już wszystko sporządziłem, książę się ukaże dla przywitania miłych gości.

— Powiedz księciu — odparła Hanna, przewidując jakieś nieszczęście — że jego rozkazy świętymi są dla mnie!

Chciał Mestwin jeszcze coś dodać, ale księżna drzwi mu wskazała i musiał odejść. Ostatni jego wzrok przepowiadał zagubę.

Zrozumiała go Hanna i mocniejsze nad względy ludzkie jej serce zwróciło się ku niebu, ku pierwszej ojczyźnie, którą niezaślugo oglądać miała.

ROZDZIAŁ XXV.

. . . i skonania blizka,
Padła niema, to nogi ściskając książęce,
To załamane kniemu wyciągając ręce.

Mickiewicz.

Nadzwyczajny ruch panował w zamku Zbigniewa. Wszędzie biegli to żołnierze, to sługi w bogatych ubiorach, noszący sprzęty i kobierce, które rozciągali w ogromnej sali, przeznaczonej do biesiady. Stół, cały środek tej komnaty zajmujący, dźwigał złote i srebrne naczynia, w których spoczywały świeże owoce, pomieszczone z wonnymi kwiatami; puhary, lśniące się drogimi kamieniami, odbijały blask stu pochodni, unoszących się nad tyloma pysznymi świecznikami. Pałące się kadzidła lekkie rozsyłały dymy po całej przestrzeni, a tymczasem tłoczyli się ludzie, obciążeni obiciami, które, rozwinięszy, zawieszali na ścianach i kolumnach, ozdobnych bogatemi kolczugami i pancerzami. Wieńce z lilii i dębowych liści, sztucznie rozrzucone, płątały się ze zbrojami, zewsząd połyskującemi; słowem najświetniejsze ujrano przygotowania na przyjęcie księcia Mieczysława i obfite skarbcie Zbigniewa na ten koniec wyprózniono z zapełniających je bogactw.

Już wieczorna gwiazda zabłysła na niebie, kiedy otworzyły się bramy z łoskotem na głos chrapliwego

rogu. Mestwin, postąpiwszy o kilka kroków, powitał w imieniu Zbigniewa księcia Mieczysława, który przybył na koniu z Sieciechem, Wszeborem i Skarbimirem. Za nimi ukazywał się mały orszak, złożony tylko z Jarosza z Kalinowy, Bardana i Henryka z Kaniowa. Nie chciał bowiem szlachetny syn Bolesława z liczniejszymi towarzyszami przybyć do wroga; ufający zawsze w cnotę innych, nie posądzał Zbigniewa o czarne i zgubne zamiary, a potem pragnął dać dowód ukochanej Hannie, o ile jej zamek i jej męża, choć niecierpianego, zawsze poważa dlatego jedynie, że był jej mężem.

Puszczono wszystkich na podwórzec zamkowy, gdzie stojący żołnierze z wszelkimi uszanowania znakami przyjęli znakomitych gości, a wtenczas znów bramy zawarto i rycerz niemiecki oznajmił synowi Bolesława, że nagle zasłabł brat jego, ale że to żadnej przeszkody nie stawia wesołej biesiadzie, przygotowanej dla uświetnienia upragnionej zgody, gdyż sama księżna zastępować będzie chorego męża.

Na te słowa zadrżał Skarbimir, Sieciech mimowolnie miecza się dotknął, ale Mieczysław uczuł spadający ciężar z serca, gdyż przytomność Zbigniewa zastrząbała jemu całą smętną przyjemność, którą sobie obiecywał z widzenia raz ostatni i pożegnania na zawsze najdroższej kochanki.

Wszebor ani się zasmucił, ani uradował, gdyż od rana w zupełnym stanie odrętwienia zostawał; jego umysł albowiem, niespodzianym ugodzony ciosem, całkiem dawną siłę utracił. Szedł on z towarzyszami z pochyloną głową, nie wiedząc, dokąd się udaje,

i kilka razy nawet mówił Sieciechowi, iż mu się zdaje, że przybył do swego ciechanowskiego zamku.

Zaprowadził Mestwin księcia Mieczysława do gotowej sali i, prosząc, by poczekał przez chwilę, poszedł donieść Hannie o przybyciu gości.

Powoli, przybrana w lśniące się od złota suknie, wyszła z swoich komnat księżna. Każdy krok, zbliżający ją do miejsca, w którym się ojca zastać spodziewała, pomieszanie jej pomnażał; nareszcie stanęła na progu sali, zbladła i z drżącymi pod sobą nogami. Lecz kiedy miłość ku ojcu przemogła nad trwogą, sprawioną przez pamięć zwyczajnej jego surowości, nie zważając na licznych wodzów, szybko postąpiwszy naprzód, nie witając się z nikim, padła do nóg pana Ciechanowa i rękę ojcowską do białych ust przycisnęła.

Nie poznał starzec córki i kilka kroków odstąpił; lecz kiedy głos dziecięcia uderzył mu uszy, zdało się, jak gdyby całą siłą woli gromadził uszłe z osłabłej duszy wspomnienia, jak gdyby dawnymi uczuciami chciał gwałtem rozdarć napełnić serce. Zbliżył się do klęczącej księżnej i pocałunek złożył na anielskim czole; nawet rękę wyciągnął i zaczął znak krzyża, lecz właśnie w tej samej chwili opuściła go pamięć i stanął jak wryty, obracając na wszystkie strony wzrok, nie wyrażający już, jak dawniej, wewnętrznych uczuć, bo już tych uczuć nie było.

Szczęściem nie domyśliła się księżna prawdziwego stanu ojca i powstała, a wtenczas z prawdziwie królewską godnością przyjęła wojewodę krakowskiego i podskarbnika, choć łza stoczyła się z oczu, kiedy przyszło spojrzeć na Mieczysława.

Mestwin stał z boku, dając licznym sługom rozkazy, a jednak żadne słowo, żadne poruszenie nie uszło jego uwagi i im bardziej zbliżała się straszna godzina dla osób, poświęconych jego zemście, tem więcej rozjaśniało się czoło zbrodniarza.

Wtenczas wszedł do sali Jordan z Krystynem z Mortoga, niewiadomi gotujących się nieszczęść; oba, ukłoniwszy się księżnie, uściśli Sieciecha, wielbiąc męstwo, które nieraz niebezpieczeństwem im zagrażało. Niemniej też uprzejmie przywitał się z nimi wojewoda krakowski i zaczął rozmowę o pięknej zamku obronie. Mieczysław, przystąpiwszy do księżny, powtarzał smutne oświadczenia i obietnice. Wszebor stał za nim, a twarz jego nic nie wyrażała oprócz cielesnych boleści, przez wiek, znoje i tęsknoty sprowadzonych.

Wtem Henryk z Kaniowa nachylił się do ucha Mieczysława i, kilka słów wymówiwszy po cichu, prosił jednego z ludzi dworu Zbigniewa, by wskazał mu Katarzyny komnatę, i natychmiast z nim się oddalił.

W głębi sali, zasłonięj przez grube arkady, w luk zagięte, i kolumny z marmuru i w miejscu, do którego kilka tylko śmielszych światła dochodziło promieni, stał wysoki mężczyzna w ogromnym, czarnym płaszczu. Często chował się za filarami, choć ta ostrożność niepotrzebną była, gdyż nikt nie myślał, opuściwszy środek sali, świetnej przepychem i blaskiem pochodni, pogrążyć się w jej ciemne i żałobne zakątki. Bezpiecznie więc mógł mąż nieznajomy z obranego stanowiska poglądać na osoby, stół biesiadniczy otaczające. Kilka razy zwrócił oczy na Mieczysława, z Hanną rozmawiającego. Wyrazów niepodobna mu było słyszeć

dla szmeru i odległości, lecz rumieniec księcia, gwałtowne jego poruszenia oznaczały niezgasłą namiętność, coraz więcej żywości nabierającą, a wtenczas mąż czarny podniósł rękę i sztylet wyrwał z pod płaszcza; ale nim do ostrza go z pochwy wyciągnął, znów schował i tylko straszny pojrzał na księżnę wzrokiem, tak strasznym, że mógłby żywą istotę w martwego trupa przemienić. Wnet jednak potem oczy odwrócił w inną stronę, jak gdyby popędliwej chciał uniknąć pokusy, i, oparłszy się o kolumnę, choć jego lica bledły i rumieniły się naprzemian, stał w milczeniu. Jej godziny już w jego myśli były liczone; właśnie teraz wnieśli słudzy ciężkie, srebrne półmiski i złożyli je na uginającym się pod naczyniami stole.

Wtenczas Mestwin w imieniu księcia Zbigniewa i małżonki jego zaprosił Mieczysława do biesiady, a następnie wojewodę krakowskiego i pana Ciechanowa. Do Skarbimira nie raczył i słowa przemówić. Najwyższe siedzenie pana zamku próżnem zostało, niższe nieco zajęła księżna, z drugiej strony książęcego krzesła zasiadł Mieczysław, a przy samej Hannie posadzono Wszebora; po nim następował Sieciech, dalej rycerze domu Zbigniewa, a na samym końcu Jarosz z Bardanem miejsca zajęli. Mestwin nie usiadł, ale zatrudniał się porządkiem całej biesiady.

Na wszystko uważający tajemniczy mąż w czarnym stroju, posunawszy się cichym krokiem dalej, stanął przy jednym z najbliższych stołu filarów.

Poważna rozmowa, wszczęta między Sieciechem a Jordanem, to ustawała, to znowu się zaczynała. Mieczysław, przedzielony od ukochanej księżcem sie-

dzeniem Zbigniewa, kilka słów tylko czasem mógł do niej mówić. Wszebor spijał w milczeniu puhar starego wina, nie domyślając się wcale, że siedzi przy córce. Często łzawe oczy nań księżna zwracała i napotykała zawsze zimny wzrok ojca, a uważając zamięszania zmysłów za oznakę gniewu, trapiła się smutkiem, podwojonym nieprzytomnością męża, któryby jeden tylko zdołał ją pocieszyć.

Smutna więc i rzadko ożywiona rozmową ciągnęła się biesiada, choć przepych naczyń, dobór potraw i napojów, połączony z miłą kwiatów i kadzideł wonią, powinien był ją najświetniejszą uczynić. Ale, choć brzmiały rycerskie trąby i słodkie piszczałki, choć wszędzie lały się drogie wina i rozsypane paliły się bursztyny, wszystkie twarze, piętnem posępności nacechowane, sprzeczny z okazałością, ich otaczającą, przedstawiały widok.

Jeden tylko Krystyn z Mortoga, zachowując zwyczajną wesołość, użalał się na prędkie wojny zakończenie i rozprawiał to z Jordanem, to z Bardanem o różnych broni rodzajach i gatunkach najlepszych rumaków.

Kiedy już ostatnie wniesiono danie, złożone z najwykwintniejszych utworów ówczesnej sztuki kucharskiej, zbliżył się do księżny dotychczas oddalony Mestwin z lśniącym się od szafirów i dyamentów puha-rem, i, klękawszy przed nią:

— Księżno — rzekł — jest zwyczaj, że pan tego zamku, wypiwszy do połowy tę czarę, oddaje ją najznakomitszemu gościowi, który ją winien do reszty wychylić. Teraz, w nieobecności księcia Zbigniewa, ten obowiązek na ciebie spada.

Po tych słowach złożył w ręce Hanny błyszczący roztruhan i kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia, przez muzyczne tony rozpierchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak wyroczną dlań była, nie wydał ani głosem, ani twarzą żadnego wzruszenia; owszem, im bardziej ona się zbliżała, tem więcej zimnej krwi nabierał i, nie pozwalając namiętnościom wrzeć w piersiach, z spokojną rozwałą gotował się do patrzenia na tak długo oczekiwany widok, który przez wiele dni i nocy cały jego umysł zajmował i wszystkich chęci był celem.

Wzięła w śnieżne dłonie Hanna z Ciechanowa puhar i powstała z siedzenia.

Dzikim wzrokiem ścigał wszystkie ofiary poruszenia Mestwin, natężył wzrok i słuch, jak gdyby podwojonej chciał doznać rozkoszy, a z milczenia, zalegającego całą salę, wzniósł się dźwięczny, choć nieco drżący głos córki Wszebora.

Ostatnie słowa na ziemi z całym wdziękiem piękności i słodczy wymówiła. Twarz jej rozjaśniona, oczy, w niebieskich promieniach błyszczące, zachwyciły wszystkich, a Mieczysław uczuł odnawiającą się w sercu namiętność i rozpacz.

— Księżę — obracając się do niego, rzekła Hanna — niechaj dziś błogi pokój zwaśnionych połączy rodaków i niech zaginie pamięć okrutnej niezgody! O mnie walczyłeś, kiedym już twoją być nie mogła. Przyjm za to wobec zgromadzonych tu panów, wobec ojca mojego, szczere dziękczynienia serca, które mnie cię szanować każe i wdzięczność ci winną oświadczyć!

Na znak zgody przyjm odemnie ten puhar zwyczajem naszych naddziadów!

To mówiąc, podniosła do ust, które na chwilę wszystkim wdzięki róży odzyskały, puhar śmierci, a potem podała go księciu, a Mieczysław do dna go wychylił. Lecz, kiedy chciał oddać roztruhan, ujrzał kochankę zbladłą i rozciągniętą na krześle, a sam uczuł truciznę, w piersiach się rozlewającą, jak ognisty potok, i, opuściwszy nieszczęsny puhar, upadł na własne siedzenie, nie mogąc nawet jęku najmniejszego wydać, choć najsrozsze bóle rozrywały spiekło wnętrzości.

Wtenczas Mestwin, nasycający wzrok tym obrazem, klasnął w ręce, a wnet mąż czarny, dotąd stojący za oddalonym filarem, wystąpił z poza niego na środek sali. Tu płaszcz zrzucił na ziemię i książkę Zbigniewa bez zbroi, z wiernym tylko mieczem u boku, ukazał się przerażonym i zdumionym tego zdarzenia widzom.

— Giń! — zawołał groźnie, wyciągając prawicę ku synowi Bolesława. — Odkąd Boga i rycerstwa święte zgwałciłeś ustawy, uwodząc występku a teraz i kary spółniczkę, przestałeś być godnym mojego żelaza, trucizna jego zastąpiła miejsce. Giń więc przeklęty, i niech żaden z was, tu przytomnych, nie biegnie im na ratunek, bo, nimby dobiegł, jużby ten sztylet tkwił w jego piersiach.

Tych słów domawiając, zebrał całą odwagę, by spojrzeć na nieszczęśliwą księżnę; ale kiedy zoczył wszystkie jej członki drżące, usta zsiniałe, ściśnięte zęby, włosy rozwiane, przeląkł się własnej zbrodni i odwrócił wzrok pomięszany. Wtenczas ognisty rumieniec rozlał się po jego twarzy, włosy powstały na głowie,

pierś wzdęła się wstrzymywanym namiętności wybuchem i okropny wyraz uniesienia zajaśniał posępną światłością w żarzących się oczach.

— Wszeborze — krzyknął — takeś córkę wychował? Dzięki ci składam, wpoileś w serce piękne uczucia! O, tak, zdradziła człowieka, który jej wszystko poświęcił. Ojciec tej występnej niewiasty, sam wydaj na siebie wyrok, czyś nie godzien straszliwej kary!

Ale pan Ciechanowa nie słyszał lub przynajmniej nie rozumiał tych wyrazów, bo w ciągłym odrętwieniu spokojnie poglądał na umierającą przy nim i nieznaną już córkę.

Na domiar nieszczęścia o uszy konającej Hanny obili się słowa Zbigniewa. Nieszczęśliwa widziała jeszcze osłabionym wzrokiem męża zapamiętałość i u brzegu wiecznego rozstania nie mogła odpowiedzieć na zarzuty, bardziej serce rozdzierające, niż sama trucizna. Czasami tylko, kiedy ból się zmniejszał, by zaraz potem srożej udręczać, zwracała oczy na męża, ale nigdy nie mogła spotkać wejrzenia Zbigniewa. Jedyna ta pociecha, wydarta ostatnim jej chwilom, nierównie okropniejszymi je czyniła. Narreszcie zebrawszy ostatek mocy, wzywała w myśl Boga, nie dla siebie, ale dla Zbigniewa, dla ojca. Mieczysław rzucał się obok niej i, pianą okryty, to czołgał się na podłodze, to bezsilną ręką starał się miecza dobyć, by się zemścić tak srogiego i zdradzieckiego zgonu.

Przystąpił do niego z założonemi na piersiach rękoma syn Władysława i z wściekłym uniesieniem wpatrywał się w rysy wroga, zeszpecone boleścią.

Za nim stojący rycerz z Wilderthalu zatapiał przenikający wzrok w twarz księżny, na której cała moc trucizny nie zdołała jeszcze zatrzeć ostatku piękności. Każde poruszenie nieszczęśliwej, każdy znak cierpienia, każdy postęp śmierci, zwycięsko walczącej z życiem, stawał się nową uciechą dla okrutnego Mestwina, a jeśli kiedy zachmurzało się jego czoło, to z bojaźni, by za prędko nie ustały boleści, szarpiące poświęconą na zagubę ofiarę.

Nareszcie wrodzone uczucie ludzkości przemogło w Zbigniewie nad żądzą zemsty i pomimowolnie cofnął się o kilka kroków od Mieczysława, który, nie mogąc mówić, jeszcze śmiałym wzrokiem wytrzymywał posępne nieprzyjaciela wejrzenia. Ramiona syna Władysława opadły i dreszcz lodowaty wstrząsł silnym ciałem, ale w tej samej chwili uczuł usta z tyłu będącej osoby, przyciśnięte do własnej ręki. Przejęty trwogą i rozpaczą, już zaczynającą nim miotać, odwrócił się książę i ujrzał żonę, ostatnie technienie wyziewającą na jego drżącą dłoń. Jeszcze chwilowy uśmiech słodczy okraszył twarz smętną, napiętnowaną zgonem, modlitwa krótka, jak myśl przemijająca, ale czuła, jak pierwsze westchnienie miłości, wzniosła się ku niebu, poprzedzając czystą duszę, która już opuściła martwe ciało Hanny z Ciechanowa, choć jej śnieżna ręka jeszcze przedłużonem ściśnięciem zegnała się z dłonią, tyle razy dla niej w srogie uzbrojoną żelazo.

Ten widok zwątlił całą siłę Zbigniewa i już schyliwszy się ku ziemi, miał upaść bez zmysłów, kiedy przedłużony, okropny uśmiech wyrwał go z słabości. Podniósł oczy, ujrzał twarz Mestwina, a cała wście-

kłość zdradzonej miłości na nowo podjęnęła osłabłe piersi. Skoczył do Mieczysława, którego prawica trzymała na pół wydarte z pochwy żelazo. Podniósł sztylet i trzymał go w górze nad głową śmiertelnego wroga i oczy zatopił w bladawem jego licu, ale wtem rozciągnął się na ziemi syn Bolesława, rzucił raz jeszcze dumnym naokoło wzrokiem, a potem skłonił młodzieńcze skronie i przynajmniej zgonem z kochanką połączony, skonał.

Wszyscy w osłupieniu i trwodze patrzyli na tak niespodziane i okropne zdarzenie. Nikt podczas mąk obojga nieszczęśliwych nie pomyślał o ich pomszczeniu; jak gdyby do swoich miejsc przykuci, spoglądali z przerażeniem na młodość, opuszczającą ziemię, na piękność, przyćmioną boleściami, na wściekłość księcia i zimną rozwagę Mestwina. Lecz kiedy wszystko się zakończyło, jak gdyby piorunem uderzeni, porwali się z dotychczasowego odrętwienia. Pierwszy Sieciech dawszy znak Jordanowi, dobył ogromnego miecza i, zmierzając wprost ku księciu:

— Zbigniewie — zawołał — zerwałś wszystkie związki, łączące poddanego do syna monarchy, umieraj więc z mojej ręki!

Jordan i Krystyn z Mortoga zasłonili pana; uśmiech pogardy mignął na ustach Zbigniewa i za ściśnięciem Mestwina orszak zbrojnych żołnierzy wdarł się do sali z głośnymi okrzykami.

Wnet mnóstwo dzikich wojowników otoczyło Sieciecha, Wszebora, Skarbimira, Jarosza i Bardana.

— Uchodź, Sieciechu — zawołał Zbigniew — z mojego zamku, zostaw te trupy! Dusze, ożywiające ich

za życia, zbrodnią i zdradą oddychały. Oddałem zbrodnię za zbrodnię i zdradę za zdradę. Oddalacie się wszyscy! Precz stąd, dopóki bramy otwarte, ich zawarcie oddzieli was na zawsze od świata!

— Uchodźmy! — drżącym głosem rzekł pan Gulczewa. — Puśćcie mnie, puśćcie mnie, dobrzy panowie!

— Czy się jeszcze wahasz? — zapytał Zbigniew, a sklepienie z migającej stali wzniosło się nagle ponad głową odważnego wojewody.

— A więc odejdę — odrzekł zwolna Sieciech — odejdę, mości książę, lecz mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym, nie strzeżony tłumem siepaczów, sam stawisz się moim, już raz doznanym, ciosom.

Ten wyraz obudził w sercu Zbigniewa chęć nowej zemsty.

— Dobrze! Rozstąpcie się, żołnierze!

Lecz Mestwin wystąpił i zawołał:

— Panie mój i książę, jeśli go zabijesz, powiedzą, żeś go zamordować kazał.

Natychmiast uczuł Zbigniew słuszność tej uwagi i powtórzył rozkazującym głosem:

— Precz stąd wszyscy!

Zmuszony koniecznością, wojewoda porwał w swoje objęcia siedzącego dotąd przy zmarłej córce Wszebora i wraz z towarzyszami zamek opuścił.

ROZDZIAŁ XXVI.

...jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jej dziko lata,
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata.
Byron.

Pamięta zapewne czytelnik, że Henryk z Kaniowa przed biesiadą jeszcze wyszedł z sali w towarzystwie jednego z sług dworskich, który się ofiarował go zaprowadzić do komnaty. W milczeniu postępował za nim dumający młodzieniec, nie zważając na miejsca, po których go wiedziono. Nareszcie poznał, że jest w lewym skrzydle zamku, najbliżej Wisły leżącym, i wnet potem wskazał mu przewodnik drzwi z dębu czarnego. Rzucił się Henryk, miłością wiedziony, i rozemknął podwoje, ale okropny obraz nagle jego oczy uderzył i śmiertelny mróz ścisnął mu serce, wrzące przed chwilą ogniem najsilniejszej namiętności.

W pokoju, czarnemi obiciami zasępionym, leżała niewiasta, srogimi dręczona bólami. Rumieniec gorączki podwajał z daleka urok wdzięków, w oczach płonął nadzwyczajny ogień, po którego natężeniu łatwo można było się domyśleć, że już nie długo miał ożywiać tak świeże dawniej i zawsze rozweselone li-ca; paciorki różańca, rozsypane na ziemi, i krzyż z kości słoniowej, pęknięty we dwoje, dowodziły nieszczęśliwego stanu osoby, przypatrującej się jemu dzikim wzrokiem z łoża śmierci. Stał o kilka kroków od niej Henryk i nie mógł wstrzymać żałośniego westchnienia.

Obudzona tym głosem lat jego młodych kochanka, odpowiedziała jękami i, wskazując na sztylet i szyszak, niedaleko na podłodze leżący:

— Zabili, zabili go — zawołała — on go zabił, a jednak tak był wierny zawsze, tak mnie on kochał!

Nie mógł już dłużej wytrzymać rycerz i, rzuciwszy się, przycisnął do piersi drogą Katarzynę; z przerażeniem wtenczas uczuł krew, gwałtownie we wszystkich jej żyłach bijącą, i widział płomienie choroby, coraz bardziej ogarniające twarz, do róży dawniej podobną. Najczulszymi wyrazami zaklinał oblubienicę, ażeby się nie oddawała rozpacz; choć nie znał jej przyczyny, prosił o wytłómaczenie tak nagłej słabości.

— Wczoraj — rzekł — tak piękną, żywą, tak wesołą byłaś!

— Bo wczoraj jeszcze ojca miałam — odparła Katarzyna.

— Któż go zabił, kto? — krzyknął Henryk wzniezionym głosem. — Mów, a znajdziesz mściciela!

Wskazała dziewczyna na leżący szyszak i, nie mogąc dalej mówić, schyliła twarz rozognioną na miękkie wezłowie.

Podniósł Henryk szyszak i sztylet. Ten ostatni niemieckiego był kształtu i po pilnem przejrzeniu postrzegł na nim wrytego węża.

— To oręż Mestwina! — zawołał.

— A to szyszak mojego ojca — odparła Katarzyna i posępnie spojrzała wokoło. — Mojego ojca! Tak, ten, który mi dał życie, który własne tyle razy dla Zbigniewa narażał, taką nagrodę odebrał z rąk Mestwina!

Przyniósł mi dzisiaj żołnierz ten hełm, znaleziony na brzegu Wisły obok sztyletu.

— Zapewnie go opuścił Niemiec, zadawszy cios śmiertelny, a ciało pchnął w rzekę — przerwał Henryk, wpatrując się w szyszak, okryty czarnej krwi plamami.

Katarzyna znów wpadła w obłąkanie i z niewinnej, wesołej dziewczyny słaby tylko ślad pozostał na ustach, które wśród płomienistych rysów twarzy, rozognionego wzroku przeszłych, błogich chwil piętno zachowały.

— Droga, ulubiona kochanko — zawołał Henryk, zbliżywszy się do łoża — nie rozpaczaj, oddał od siebie okropne obrazy! Postradałaś ojca, ale ja ci zostaję, ja, który wszystko uczynię dla Katarzyny, który pomścę niewinność i zbrodniarza spętanego do twoich stóp przywlokę. O jedyna życia mego nadziejo, nie opuszczaj mnie, poznajże głos Henryka, głos tyle razy słyszany, który dawniej wśród lasów, niesiony po rosie, dolatywał z dala do twoich uszu! Dawniej widziałas za granicami, naznaczonymi oku ludzkiemu, białe pióra mojej czapki, połysk mojej szabli, a teraz blisko ciebie niepoznany stoję! Ja jestem, Katarzyno, ja, twój Henryk, obudź się, patrzaj na mnie!

Patrzała nań kochanka, ale jej oczy nie miłością świećniały; ponury ogień w nich błyszczał, a ręce, wyciągnięte ku leżącemu sztyletowi, dowodziły przedmiotu nieustannych myśli.

— Katarzyno — zawołał już w rozpacz młodzienc — wierz moim słowom! Jeszcze szczęście wszystkie róże swojego wieńca złoży na twoich skroniach.

Błogie dni młodości nie upłyną nam wśród trosk i udręczeń, rozwidni się przyszłość luba. Wystawisz grób ojcu, wiosna go przyozdobi swoimi kwiatami. Co dzień, ale wsparta na mojem ramieniu, odwiedzać go będziesz; odzyskasz, coś straciła, w tem, co ci zostało. Ziemia jeszcze przedstawi ci miłe obrazy, jej ułudy nie zginęły dla twojego serca; uspokój się, zdaj się na opiekę Boga i obronę mojej szabli, a pomszczę ciebie i szczęście ci wrócę!

— Szczęście — przerwała córka Gierdy — jest to marzenie! Szczęście! Nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na ziemi. Szczęście na tym padole zgryzot? O nie, to kłamstwo, to słodka trucizna, której szumne nadano imię. Precz stąd! Ty mnie kusisz, ty chcesz mnie wciągnąć w przepaść, ty kłamiesz, ty jesteś szatanem... — i, podnosząc się nagle, odpychała go rękoma — ty kłamiesz, bo masz śmiertelną ludzką postać, a wymówiłeś słowa bez znaczenia na ziemi, ty jesteś człowiekiem, a mówisz o szczęściu! — Potem osłabiona, z przerażeniem na twarzy, opadła, przyciskając spiekłe czoło do żelaznych łoża prętów.

— Pomnij na Boga i świętą Jego sprawiedliwość! — zawołał rycerz. — Zlituj się nademną, zlituj się, ulubiona! Czyż chcesz mojej śmierci?

— O, nie, Henryku! — odrzekła dziewczyna głosem, nie oznaczającym już pomieszczenia, na chwilę bowiem ustąpiła gorączka i bladość zajęła miejsce rumieńca, kryjącego dotąd jej lica. Lecz po tych słowach daremno siliła się dalej mówić; ruszała ustami, ale żaden głos z nich nie wychodził i daremno Hen-

ryk z Kaniowa, objawszy ją w ramiona, przyciskał kochankę, jak gdyby chciał część własnego życia z swych piersi w jej łono przelać.

Wtem szybkie kroki dały się słyszeć na pobliskim korytarzu, w oddaleniu wzniosły się tłumne głosy, ozwał się szcęk orężów i wnet drzwi z hukiem się otworzyły i wpadł młodzieniec. Henryk sięgnął do oręża, ale nowoprzybyły, choć był pomieszany i dziwnym wzrokiem patrzył naokoło, nie zdawał się mieć nieprzyjacielskich zamiarów, owszem, przybiegł do rycerza i, ścisnąwszy za rękę:

— Przynajmniej jednego ocalę! — zawołał i spojrział na Katarzynę, która, usiłując powstać, z trudnością imię Ulrycha wymówiła.

— Chodź — rzekł giermek — twój pan otoczony, wojewoda w niebezpieczeństwie!

Dobył pałasza Henryk:

— Gdzie? Prowadź!

Ale zatrzymał wylatującego z komnaty Ulrych.

— Wierz moim słowom, sam nic nie zdziałasz, biegnij lepiej do obozu!

— Już niema obozu, wojsko do miasta się przeniosło.

— A więc do miasta biegnij, jeśli ci miłe życie twojego pana!

— Wskaż wyjście! — po chwili namysłu odpowiedział rycerz.

Ulrych klucz mu oddał i oznaczył miejsce, przez które przeszedłszy, mógł się dostać na otwarte pole.

Rzucił Henryk wzrokiem miłości na kochankę, któ-

rej już widzieć nie miał, i wyleciał z pokoju. Namienność ustąpiła miłości w prawem sercu rycerza.

Ulrych sam się został przy łożu Katarzyny. Przez niejaki czas niewzruszony na nią poglądał, ale nagle łzy przedarły się przez powieki i czułość niedopsutej jeszcze duszy ozwała się dla pocieszenia ostatnich chwil nieszczęśliwej ofiary.

Walczył jeszcze z sobą giermek, ale zdało mu się zbrodnią ukrywać prawdę i nie wyznać zdrady przed tą, której zgonu po części był sprawcą. Rzucił się więc do stóp łoża i w obłąkaniu wyrzekł:

— Już się wszystko zakończyło: księżna nie żyje, Mieczysław z nią wypił truciznę, a ja was zdradziłem! Chciałem ci przynajmniej jedną wyświadczyć przysługę, ratując kochanka. Zasluguję na twoje przekleństwa, ale nie przeklniesz człowieka, który ocalił to, coś najdroższego na tym świecie miała.

Razona okropnem wyznaniem, córka Gierdy uczuła w duszy tysiączne cierpienia. Śmierć ojca i śmierć ukochanej pani spadły na jej serce, jak piorun niebios, który dzieła pracy ludzkiej w proch zamienia, a jednak w wzroku, przez nią rzuconym na klęczącego giermka, znać było więcej przerażenia niż gniewu. Ostatnie słowa Ulrycha odwróciły myśl stroskanej córki i przyjaciółki do miłej nadziei, że luby przynajmniej ocaleje, że zostanie ktoś po jej zgonie na ziemi dla błagania za nią Stwórcy i że choć jedno serce zadrży na jej wspomnienie. Łzy giermka przekonały ją o szczerości jego zgryzot i sama płakać zaczęła. Jakaś smętność, łagodniejsza od dotychczasowego żalu, rozlała się w jej duszy. Żegnała się spo-

kojniej z otaczającym światem, z większą ufnością podnosiła oczy ku niebu, którego cząstkę tylko widzieć mogła przez wzniesione okno. Kilka gwiazd, świecących na czystym błękitcie, obudziło jej przecucia i nadzieje. Zdało się umierającej dziewczycy, że promień blizkiej nieśmiertelności przedarł się przez kraty, że dusza, wkrótce odleci[e]ć mająca, przywdzieje złotą jego barwę i w okazałości anioła wzbije się do Stwórcy. Pośród tych myśli uczuła powolne omdlenie, ujmujące miękkimi więzami wszystkie członki. Im bardziej wznosił się jej umysł, tem mniej doznawała cielesnych boleści; a kiedy nareszcie zdało się jej, że już zaczyna nadpowietrzną drogę i słyszy harmonijne arf anielskich dźwięki, jej ziemską powłoka zupełnie czuć przestała i wszystkie uczucia zgromadziły się w daleko szlachetniejszej części życia, w odlatującej duszy — i już Katarzyna skonała.

Opuścił Ulrych zdętwiałe ciało i wyszedł, zakrywając twarz oboma rękami.

Tymczasem Sieciech śpiesznie przechodził wraz z towarzyszami pole, dzielące zamek od miasta. Bardan z Jaroszem podpierali drżącego Wszebora, który, uśmiechając się czasem, wspominał o bojach, w młodości odbytych. Już byli blisko miejskich okopów, kiedy tętent koni w najszybszym wypuszczonych pędzie, dał się słyszeć i wnet potem ukazał się na rumaku rycerz w zupełnej zbroi, wiodący za sobą orszak pancерnej konnicy. Wojewoda z zadziwieniem poznał swoich ludzi.

— Gdzie tak pędzicie? — zawołał, kiedy go już mijali.

Poznał ten głos naczelnik hufcu i przybiegł do wojewody.

— Czy już niema nadziei? Gdzie księżę?

— Ciszej — przerwał Sieciech — ciszej, już po wszystkim! Zdrada zakończyła życie bohatera.

Na te słowa ciężki jęk wydał rycerz i podniósł przyłbicę, a wszyscy poznali Henryka z Kaniowa.

— Przysięgam zemstę! — zawołał i ubódł konia ostrogą, ale Sieciech go zatrzymał.

— Zawarte bramy, setne hufce ich strzegą; zginiesz i zginiesz bez zemsty.

Ta uwaga uderzyła młodziana i zwrócił konia.

— Do króla lecę — zawołał — sprawiedliwość mi odda!

— Zaczekaj, jeśli Bóg ci miły! — krzyknął Sieciech. — Nic nie zrobisz, przerazisz słabego Władysława, zemdleje i na tem się skończy. Poczekaj do jutra, poproszę biskupa, by go o tem uwiadomił!

— Biskup właśnie dzisiaj wyjechał — ozwał się Skarbimir — i dopiero za dwa dni wraca.

— Więc król za dwa dni się dowie — rzekł Sieciech.

— Na Boga, mości wojewodo krakowski — krzyknął Henryk — tak mówisz o tem okropnem zdarzeniu, jak o najprostszej rzeczy! Puszczaj mnie, wojewodo, puszczaj!

— Nic z tego nie będzie — stanowczym głosem odparł Sieciech — i jeśli rozważysz moje słowa, przystaniesz na mój zamiar; inaczej każę cię przytrzymać.

Złożył ręce na piersi Henryk i dumiał, nareszcie rzekł spokojniej:

— Niech się wola boska dzieje, ale przysięgam zemstę!

I wszyscy obrócili ku miastu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przekleństwo ojca wszystkie na ziemi
niweczy nadzieje.

La Bruyère.

Drugi już dzień był upłynął od zawarcia pokoju i rozpuszczenia wojska oblegającego, a jeszcze nie pewnego nie wiadano w Płocku o losie księcia Mieczysława. Rozlegały się wprawdzie pogłoski, ale ciemne, tak powikłane, że z nich niczego dojść nie można było.

Niektórzy utrzymywali, że syn Bolesława został na godach u brata jego; ale dlaczegóż, pytali się drudzy, wyłączył Zbigniew od nich Sieciecha? Dlaczegóż przybiegł dawny giermek księcia wśród nocy do miasta i, obudziwszy śpiących żołnierzy, poleciał na ich czele, a kilka chwil później wrócił? To wszystko szerokie otwierało pole domysłom, to bliższym, to dalszym od prawdy. Ta niepewność była skutkiem ostrożności Sieciecha, który, oczekując biskupa Stefana, zabronił towarzyszom odkrywać zdarzenia tak okropnego i tyle nieszcześliwych skutków pociągnąć mogącego. Smutek jednak, rozlany po twarzy Henryka z Kaniowa, wymowniej od słów oznaczał stan jego serca; stąd niektóre dziwne i rozmaite wyciągali wnioski, a wszy-

scy gotowali się do odebrania wieści o wielkiem nieszczęściu.

Już noc nadeszła i deszcz jesienny zaczął spadać na ziemię, wiatr silny pogasił kagańce, palące się przed bramą królewskiego zamku, i w zupełnej go pograżył ciemności. Rzadko kto tamtędy przechodził i ulice bezлюдne smutnem ciągnęły się pasmem czarnych domów, oblanych rześnistymi potokami. Wewnątrz zamku nie widziano już światła oprócz w jednej z komnat, w prawem skrzydle leżących. Tam bowiem nie tylko lampa świeciła, ale oprócz niej jeszcze zapalony w szerokim kominie ogień buchał jasnym płomieniem. Przy ognisku siedział w krześle wojewoda krakowski z puha-rem w ręku; za nim stał Wolimir z Moskorzowa, którego wesołość i zwyczajne żarty nie mogły pobudzić już do śmiechu dumającego Sieciecha, a trochę dalej Skarbimir z Gulczewa małemi, błyszczącemi oczyma wpatrywał się niewzruszony w twarze towarzyszy, jak gdyby chciał koniecznie domysleć się ich uczuć.

— Dobrze się stało — rzekł Wolimir — żeśmy wyprowadzili starego Wszebora do Ciechanowa, bo cóżby tu robił?

Tu przerwał mu odgłos zbrojnej stopy, zbliżającej się powolnymi krokami do drzwi komnaty.

— Cóż to za sokół, tak późno przylatujący? — zawołał pan Moskorzowa.

Ledwo tych słów domówił, aliści otworzyły się podwoje i ukazał się mąż wysokiego wzrostu w zupełnej zbroi i z spuszczoną przyłbicą. Wszystkie jego poruszenia, chód, postawa, nadzwyczajną powagę i godność

wydawały. Podniósł śmiało głowę, jak gdyby pogardzał otaczającymi, i, nie powitawszy żadnego z nich, dobrze znajomy drogi, zbliżył się do drugich drzwi i zniknął w długim korytarzu, wiodącym do komnaty króla Władysława.

Rzucili się za nim Wolimir i Sieciech, ale skinął tylko ręką rycerz, a kiedy posuwali się dalej, stanął i założył ręce na piersi.

— Jak się zowiesz? Kto jesteś? — krzyknął Sieciech. — Tu króla mieszkanie.

— A więc dobrze — odparł nieznajomy — bo właśnie chcę się z królem zobaczyć.

Po tych słowach podwoił kroków rycerz, otworzył drzwi komnaty Władysława i przymknął je za sobą.

Wolimir już miecza dobywał, sądząc, że to może jakiś morderca, ale Sieciech go wstrzymał.

— Wracajmy, głos jego poznałem!

Król polski siedział w szerokiem krześle, a jeden z jego dworzan w bogatym ubiorze odmawiał mu litanie, stojąc o kilka kroków, kiedy wszedł mąż zbrojny. Ten widok przeraził monarchę, ale rycerz odkrył przyłbicę, a Władysław rozciągnął ramiona i ścisnął niemi ukochanego syna.

— Dobrześ zrobił, Zbigniewie, żeś sobie ojca przypomniał. Dobrześ zrobił, żeś zawarł pokój, żeś zaprosił Mieczysława do siebie. Piękne tam musiałeś wyprawiać gody; zaiste szkoda, że mi wiek nie dozwolił dzielić waszej radości. Dobrześ zrobił, synu, o, dzięki ci Boże! Niechże ci pobłogosławię, mój synu!

Zbladły i pomięszany stał przed ojcem Zbigniew, bo, idąc do niego, nie spodziewał się takiego przyję-

cia, nie spodziewał się słyszeć słów tak łaskawych; przybył zobaczyć jeszcze raz ojca i oddalić się na długo, może na zawsze. Ale kiedy zamiast gniewu dobroć, zamiast przekleństw błogosławieństwo go spotkało, wzdrygnął się na myśl, że tak dobry, czuły ojciec zobaczy za chwilę wszystkie nadzieje powiędłe i radość zniszczoną. Jednak kląkł przed rodzicem i schylił czoło, a Władysław położył mu ręce na głowę i wezwał Boga sprawiedliwości, by nagroził cnotę syna i ciągle nad nim czuwał.

Po tym tkliwym obrzędzie powstał książę i kazał oddalić się dworzaninowi.

— A więc — ozwał się Władysław — już Wszebor odzyskał córkę, Mieczysław narzeczoną, a ty czyste sumienie.

Milczał Zbigniew, starając się oddalić chwilę wyznania; ale, słysząc pochwały Władysława, uczuł, że niegodnem było dłużej uwodzić ojca i króla, a kiedy monarcha zapytał się po drugi raz:

— Więc już pewno, mój synu, Mieczysław i Hanna na zawsze zostali połączeni?

— Tak — odpowiedział uroczystym głosem — połączeni na zawsze w grobie! — A potem rzucił się do stóp króla i w krótkich słowach zdradę żony opowiedział i zbrodnie wyznał.

Trudno opisać wrażenie, jakie uczyniła na duszy ojca mowa księcia. Kołysany dotąd miłym złudzeniem, że Zbigniew wrócił na prawą drogę, ujrzał w jednej chwili wywrócone nadzieje i syn szlachetny, który poświęcił ojcu i krajowi najgorętszą namiętność, zamienił się w jego oczach na wyrachowanego zbrodnic-

rza i zimnego brata i żony mordercę. Nie przygotowany do tak strasznej nowiny, uderzony nagłem odkryciem bez poprzednich domysłów lub przeczuć, uczuł starzec cały ciężar lat i rozpacz, spadających na serce. Krew w żyłach się ścięła i przez chwilę nie widział, nic nie słyszał. W oblędzie i zamęciu wyobrażeń zdawało mu się, że już ziemię porzucił i cierpi męki piekła, których tak za życia się obawiał. A tymczasem książę Zbigniew wciąż klęczał u stóp jego i czekał ostatniego wyroku. Choć i on zapewne w okropnem był położeniu, zachował jednak całą spokojność i pewny rodzaj dumy, pochodzącej z uczucia dopełnionej bez obawy i trwogi powinności, błyszczał na ponurem czole, jak ostatni promień zachodzącego słońca, który, czarne przedzierając chmury, jeszcze raz żegnał się z zieloną łąką i srebrnym strumieniem.

Wtem wrócił do życia król Lechii, a zarazem do najsroższych cierpień; ujrzał przy sobie syna i z drżeniem odsunął krzesło, wyciągnął bladawe ręce, twarz odwrócił i pamięć na brata, którego syn zginął, na nieszczęśliwego Wszebora, któremu daremno sprawiedliwość obiecywał, zajęła zupełnie jego umysł. Zdało mu się, że występki syna nań spadną w dniu ostatecznego sądu i że Bóg sam każe mu Zbigniewa ukrócić.

— Morderco! — zawołał — precz z moich oczu! Bez woli ojca, sprzecznie z chęcią narodu pojąłeś za żonę oblubienicę brata, by potem potargać związki, święte przed niebem, godną piekła zbrodnią. Wyrzekam się imienia ojca, nie znam już ciebie, oddaję cię boskiej i ludzkiej sprawiedliwości; nie cię nie ochroni

od wyrzutów i zgryzot! Rycerzem i księciem być już przestajesz, spadłeś poniżej człowieka! Dzieci cię palcami wytkną, wołając: »To morderca brata i żony!« Zginiesz marnie, przepowiadam ci, zginiesz od żelaza zabójcy, zginiesz z najbliższej ręki! Bóg odwraca oblicze od ciebie, a ja cię przeklinam...

Lecz jak tylko wyrzekł to słowo wyroczne, zatrzymał się, jak gdyby sam nie wierzył sobie, spojrzął na księcia, a kiedy ujrzał szlachetną jego postawę i głowę pokornie, choć jeszcze z ostatkiem dumy, schyloną przed ojca wzrokiem, zalał się łzami i, zapomniawszy o wszystkim, o synu tylko pamiętał.

— Nie, Boże — zawołał — nie wysłuchaj nierozważnych słów człowieka w rozpacz! Odwołuję to, com wymówił!

— Już się stało, panie i ojciec mój — rzekł poświęcony¹ na wszystko Zbigniew — ostatnie nieszczęście już mnie dotknęło. Straciłem ubóstwianą dawniej istotę, imię moje, świetne niegdyś, pokryłem zasłoną obrzydzenia i zawiści. Tego jeszcze nie dostawało, ale i to rąchem przyleciało skrzydłem. Może prędzej, obarczony ludzi i ojca przekleństwami, życie zakończę, a wtenczas lepiej będzie! Teraz żegnam cię, ojciec, jeszcze dzisiaj opuszczam to miasto i udaję się do mojego zamku na Pomorzu. Żegnam cię, kochany ojciec.

I to mówiąc, ze łzami w oczach ścisnął kolana króla i ostatni pocałunek złożył na jego ręce.

— Nie, nie przekląłem cię — rzekł osłabiony Władysław.

¹ Tu w niezwykłym znaczeniu: przygotowany, obojętny na wszystko.

— Już się stało — odparł mocnym głosem Zbigniew — i twój wyrok już zapisany w księdze przeznaczenia.

Po tych słowach oddał głęboki pokłon i wyszedł; ale jak tylko drzwi oddzieliły go od jedynej osoby, od której niższym się uznawał na ziemi, zmienił i postawę i wyraz twarzy. Schyloną dotąd z uszanowaniem głowę podniósł wysoko, smętność zamknął w głębi serca, a jej znamię spędził z bladawego lica, na którym pycha się została. Zamiast chwiejących się kroków poważny chód przybrał i nieustraszona śmiałość zabłysła na czole, jak gwiazda nocy na błękitie niebios. Kiedy doszedł do komnaty, gdzie siedział wojewoda z towarzyszymi, groźnie spojrzął na wszystkich i prawicę złożył do rękojeści miecza, a potem, obracając mowę do Sieciecha:

— Zatrudnij się — rzekł — wojewodo krakowski, pogrzebem tych, co mnie zdradzili! Ich ciała leżą w biesiadowej sali. Takie zlecenie daje ci syn twojego króla, odjeżdżając na Pomorze.

Wszyscy, milcząc i osłupieni, słuchali tego głosu, który tyle razy grzmiał w bojach, a teraz jeszcze po najokropniejszych wypadkach nic z swojej mocy nie stracił, a choć brzydili się widokiem tak okrutnego człowieka, choć się już zdawało, że patrzą na poświęconą sprawiedliwemu gniewowi niebios ofiarę, przejęci śmiałością, nie śmieli ani odpowiedzieć, ani najmniejszym nawet poruszeniem wewnętrznych uczuć wyjawić.

Zostawił ich książę i tym samym poważnym, którym wszedł, krokiem oddalił się od wojewody, dosiadł

konia, czekającego nań przy bramie, i puścił się wśród ciemności dobrze znaną drogą do swojego zamku.

Stały już tam pod bronią szeregi, mające towarzyszyć księciu w dalekiej drodze. Nielicznymi pochodniami oświeceni, żołnierze podobni byli do czarnych duchów, oczekujących na zdobycz, a kiedy Zbigniew wleciał między nich na rumaku, pianą okrytym, kilka tylko okrzyków: »Niech żyje nasz książę!« zmieszało się z świstami wiatru. Jordan i Krystyn objęli dowództwo nad hufcami, porzucającymi zamek, który przez trzy miesiące był świadkiem ich poświęcenia dla pana i dzielnej odwagi.

Książę odmienił konia i naprzód wyruszył. Mówili później żołnierze, że choć wiatr gwałtowny i ciemność wydzierały ich uszom głosy, a oczom przedmioty, niezawodnie zdało im się, jakoby Zbigniew westchnął, odjeżdżając, i, wyciągnąwszy ręce, załamał je w rozpacz. Pochodnia przez jedną tylko chwilę oświeciła twarz jego, a choć błyszcząca przyłbica nie kryła liców, odbił się promień o coś świetnego na nich i przez chwilę tylko zdała się ta twarz okryta jaśniejącymi łzami.

Wtem rycerz z Wilderthalu zawrócił konia i, przybiegłszy do orszaku, z tyłu postępującego, skinął na jednego z ludzi, go składających. Wnet wysunął się on z szeregów i, zaprowadzony przez Mestwina pod mury zamkowe, spytał się o rozkazy.

— Pomyślałem i rozważyłem — rzekł rycerz — a stąd wypływa, że się tu zatrzymasz wraz z ludźmi, w zamku pozostałymi. Bądź na pogrzebie waszej wielmożnej księżny! Ach! ach! ach! jakże się nam udało, mój giermku! Gdyby stary skąpiec chciał się z czym

wygadać, gdyby mnie wydać zamyślał, niech twój sztylet pierwszej jego serca dojdzie, niż jego słowa otaczających uszów! Nie spuszczań go z oka, wszędzie mu bądź towarzyszem, ale nieznacznie, a potem przybiegnij do nas na Pomorze!

— Stanie się, jakieś rozkazał, panie i rycerzu mój — rzekł Ulrych, a Mestwin spał konia ostrogami i zniknął.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wszyscy znają zachwycającą tkliwość pogrzebnego obrzędu. Któryż bowiem człowiek tyle był szczęśliwym, że nigdy nie przyszło mu odprowadzać do grobu ukochanej istoty? Ale jestże co tkliwszego, kiedy ten obrzęd ma za przedmiot zwłoki niewinności i piękności, zwiędłej w kwiecie życia?

Washington Irving.

Nad wieczorem, przy pogodzie jesiennej, mnóstwo ludu napełniało pole, dzielące Płock od zamku, opuszczonego przez księcia Zbigniewa. W tym zbiorze tylu osób wszystkich stanów największy panował porządek i nawet lekkiego nie słyszano szmeru. Wszystkich oczy spuszczone na dół i posępne twarze dowodziły niespokojnego oczekiwania jakiegoś zdarzenia, a zdala dzwony kościoła katedralnego nieustannie brzmiały; z drugiej zaś strony, z dziedzińca zamku, wznosiły się smutne śpiewy księży i zakonników. Setne pochodnie, czerwonego dymu obłokiem przesłonięte, błyskały nad murami i basztami. Czarna chorągiew, za-

tknięta na wieży, niewzruszona stała, bo najmniejszy nawet powiew wiatru cichości i spokojności nie przerywał. Uroczysty, zapewne był obraz, roztaczający się przed okiem widza: tu tłumy ludu w bojaźliwym milczeniu, tam gmach żałobny, oświecony światłem żałoby i uwieńczony sztandarem śmierci. Pienia, unoszące się po powietrzu, dochodziły uszu otaczających. Nie były to lekkie, wesole pieśni, przy godach lub świętach używane, ale surowe, uroczyste tony, wznoszące się ku niebiosom za duszami, które porzuciły ziemię; było to harmonijne wynurzenie żalu, bardziej do ogólnego jęku, niż do śpiewu podobne. Ruch nadzwyczajny ukazywał się w zamku; wszędzie biegali słudzy, księża, rycerze, wodzowie, a nareszcie za znakiem, danym z wieży, zaczął się smutny obrzęd pogrzebu Hanny z Ciechanowa i Mieczysława.

Najprzód z bram zamkowych wyszedł biskup Stefan ze zgrozą na czole, a krzyżem złotym w rękach; za nim tłoczyło się mnóstwo zakonników i duchownych, a każdy z nich trzymał pochodnię. Posuwali się krok za krokiem, odmawiając modlitwy głosem poważnym i smutnym; dopiero za nimi okazywały się mary, na których wierni, starzy żołnierze nieśli syna tego, pod którym Kijów zdobyli. W zupełnej zbroi leżał młodzieniec i z spuszczoną przyłbicą, bo aż zanadto okropne ślady zostawiła trucizna na jego twarzy; ręce, w krzyż złożone, trzymały rękojeść miecza, który, tyle razy zwycięski, szedł dzielić los pana w zimnym grobie.

Stapał za ciałem księcia dzielny jego rumak, po-

kryty całkiem czarną zbroją, a prowadziło go czterech giermków w żałobie. Dalej szedł orszak żołnierzy z spuszczonei dzidami i w ciemnych pancerzach.

Dopiero za tym hufcem następował wóz, purpurowym suknem pokryty i przez sześć koni ciągniony. Na purpurze spoczywała, w śnie śmierci piękna jeszcze, Hanna z Ciechanowa. Oczy zawarte i zsiniałe usta śmierci znanie nosiły, ale nad czołem wznosił się wieniec z mirtu, przeplatający swoje zielone listki z złotą księżęcą koroną. Włosy, rozpuszczone z obu stron, spadały, jak dwa błyszczące z kwiecistej góry strumienie. Ubiór raził przepychem oczy patrzących, które dopiero spocząć mogły na twarzy, z której anielską słodycz jeszcze ani śmierć ani zepsucie zetrzeć nie zdołały. Wszystkim łzy w oczach stawały, a tymczasem przesuwiał się wóz, niosący do ostatniego mieszkania zwłoki niewiasty, której nieba pozazdrościły ziemi.

Zaraz za księżną na niższym wozie leżała nieszczęśliwa Katarzyna. Jej ubiór składał się z śnieżnej sukni, niebieską wstęgą przepasanej, z krzyża srebrnego na piersiach i wieńca z róż białych. Obok jej marpostępował Henryk, chcący odprowadzić aż do ostatniej granicy tego świata drogą oblubienicę. Szedł rycerz z Kaniowa z posępnem czołem, a czasem odrywając wzrok od łubej Katarzyny, ścigał nim niesionego Mieczysława i, nagle przechodząc od cichej ponurości do gwałtownego gniewu, otoczony trupami tyłu drogich osób, pozbawiony prędkiej zemsty, tłukł

piersi żelaznemi rękawicami lub wściekle to wyjmował, to chował do pochwy swój oręż.

Tu dopiero, za ostatnim wozem, tłoczyły się tłumy pospólstwa, panów, rycerzy, to pieszo, to konno, wojewoda krakowski na czele swojego orszaku, Wolimir z Moskorzowa i wielu innych; ale pomiędzy wszystkimi szedł zbladły i drżący człowiek w brudnych i starych sukniach. Wiek podeszły był u niektórych wymówką jego bojaźni, bo mógł się straszyć na widok śmierci, wyciągającej już do niego ramiona; ale bliżsi jego znajomi powtarzali sobie do ucha imię Skarbimira z Gulczewa i dziwne z jego bledości wyciągali wnioski.

Wtem nagle fale runącego ludu uniosły go w pędzie aż do miejsca, gdzie stanęli żołnierze, niosący księcia, i wozy, na których leżały zwłoki Hanny z Ciechanowa i jej towarzyszek. Tu zatrzymały się tłumy, a biskup płocki zaczął odmawiać modlitwę wraz z otaczającym go duchowieństwem.

Pan Gulczewa, zewsząd ściśnięty i popychany, musiał stać wprost naprzeciw ciał osób, których zgonu po części był przyczyną. Przerażający ten widok, smętne wszystkich twarze przejęły starca bojaźnią; śpiewy, wznoszące się ku niebu, zdały mu się wołać o pomstę na sprawców zbrodni. Powoli mięszać się myśli zaczęły, w każdego oku zapalczywość spostrzegał, każdy oręż błyszczący zdał mu się w własne skierowany piersi; uległ nareszcie pod ciężarem wspomnień i upadł, zemdlony. Zaraz otoczyli go własni ludzie, którzy się przez tłum przedarli, a wojewoda krakowski kazał go zanieść do miasta.

Przerwany na chwilę tym przypadkiem obrzęd ciągnął się dalej z tą samą powagą i uroczystością, jak pierwszej. Coraz bardziej mrok zapadał, a szkarłatne na zachodzie chmury co chwila bladziej się stawały. Wtenczas zapalono niezliczoną ilość pochodni i całe zgromadzenie, uwieńczone tysiącami światłami, dalej się posunęło. Zbroje, bogate duchownych ubiory, suknie panów połyskiwały z dala, a pochodnie, niesione przy wozie księżny, zlewając czyste promienie na twarz bladawą, złotą jej barwę nadawały i były obrazem na ziemi promieni chwały, otaczających jej duszę w niebiosach. Niebo, białawą, przeźroczystą mgłą pokryte, przyćmione tysiącami oczyma patrzyło na obrzęd pogrzebu, tak, jak gdyby smutek ziemi mógł się być udzielić sklepieniom nieśmiertelności; a każda kropla rosy, spadającej w cichości na pola, wydawała się być łzą, posłaną od aniołów w hołdzie nieszczęśliwym.

Wszystkich myśli zwróciły się do Boga. Obraz posępnej nocy, towarzyszący posępniejszej jeszcze śmierci, przejmował niezrozumianą, nadludzką trwogą. Wszystkie serca, czy to pod rąbkiem niewieścim, czy pod żelazną zbroją ukryte, zarówno temu wpływowi podlegały. Nie było różnicy w uczuciach tak różnych stanem i zatrudnieniami ludzi, każdy zapominał o rzeczywistości, pograżając się w marzeniach; a tymczasem zbliżali się do kościoła katedralnego, którego dzwony coraz głośniejsze słyszeć się dawały.

Za przybyciem do świątyni stanął biskup i lud cały pobłogosławił, a potem kazał wnieść ciała umarłych pod święte sklepienia. Wszystkie ściany i filary,

czarnem suknem obite, żałobny widok przedstawiały. W środku kościoła Mieczysław, obok Hanny postawiony, zwrócił wszystkich oczy. Po odśpiewaniu modlitw i litanii przystąpił Stefan do pochowania ich zwłoków. Do dolnych grobów znieśli ciała najznacniejsi panowie i urzędnicy, a tam zimny kamień przywalił serca tak piękne, tak namiętne za życia. Mniejszy głaz z marmuru zakrył obok Katarzynę przed oczyma Henryka — i wszystko się zakończyło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Już nad nim Boga rozciągnięta ręka.
Melodye hebrajskie.

Już tydzień upłynął po pogrzebie, kiedy dnia jednego przybył do biskupa plockiego zdyszany Bardan i po krótkiej z nim rozmowie prędko się oddalił. Wnet potem Stefan wraz z kilkoma duchownymi i dworzanami udał się do mieszkania podskarbnika królewskiego, gdzie nadzwyczajne panowało zamięszanie. Na samym progu spotkał szanowny kapłan wojewodę krakowskiego, który mu oznajmił, że od czasu pogrzebu wpadł skarbnik w niebezpieczną słabość, nie wstrzymaną żadnymi sztuki lekarskiej środkami, i że teraz, czując blizki koniec, prosił, by wezwać biskupa, wobec którego i kilku innych panów chciał wyznać ciężkie jakieś winy.

Zmarszczył brwi biskup na te słowa i gorzko westchnął.

— Czyż zawsze zbrodnie — zawołał — ziemię ci w obrzydzenie podawać będą, o Boże! — i szedł za Sieciechem.

Pokój, w którym leżał pan Gulczewa, nosił oczywiście jego skąpstwa dowody. Ściany, żadnem nie zasłonięte obiciem, pokryte były ogromnemi plamami wilgoci, która gdzieś tam nawet w kroplach się sączyła. Kilka słomianych stołków widziano tu i owdzie stojących, a łóżę z najgorszego drzewa stało przy brudnym stole. Twarz Skarbimira, zawsze odrażająca, okropniejszą jeszcze teraz się stała. Wyrzuty sumienia wyrwały na niej ślady swojej zemsty, a oczy, dawniej tak żywe, napół przymknięte były, bo już światło słońca było ciężarem zbrodniarzowi. Naokoło stali w przerażeniu dworzanie i sługi, a między nimi znany przez Bardana Ulrych, który podług rozkazu pana na krok nie odstępował podskarbnika od czasu jego zaśląbnienia. Często zostawał z nim sam na sam, lekarstwa mu podawał, ale nie miał serca zabijać bezbronno i czekał, aż ostateczna konieczność do tego go zmusi. Zdziwił się wprawdzie nieco za przybyciem biskupa i zaczął mieć podejrzenia, »Może, pomyślał, chce przestraszony bliskością zgonu, wyznać wszystko? Ale, na Boga, dopełnię mego pana rozkazy, bo wierność pierwszą jest cnotą, a potem ten stary skąpiec nie godny ani życia, ani imienia człowieka«.

Zbliżył się wojewoda z biskupem; za nimi szło kilku innych panów, pomiędzy którymi wmięszał się i Henryk z Kaniowa.

Na widok Stefana podniósł się trochę Skarbimir i głowę schylił, a potem osłabionym ozwał się głosem:

— Panowie, czuję śmierć bliską. Szanowny kapłanie, już kończę życie, ubogi, biedny, samotny; widzisz, nie mam nawet porządnej komnaty ani dobrego łóża, gdziebym spokojnie dech ostatni mógł wyzionąć. Ale to wszystko zniósłbym jeszcze, gdyby nie okropne wspomnienia. Tak... dalej mówić nie mogę, wzdrygam się.

— Chrześcijaninie umierający — rzekł mocnym Stefan głosem — skrucha i żal mogą cię z toni piekła wnieść pomiędzy szczęśliwych aniołów. Wyznanie winy przedemną samym, jeśli się ciebie tylko tyczy, przed wszystkimi, jeśli i inne osoby dotyka, jest twoją powinnością; bez jej wypełnienia nie trafisz do nieba.

Przerażony Skarbimir spuścił oczy, a potem się odezwał:

— Ah, jakąż sławę zostawię po sobie?

— Obieraj — zawołał Stefan — ziemską sławę, lub szczęście niebieskie!

— Ah, męki piekła! Wyznam wszystko. Tak, biskupie płocki, ja jestem przyczyną śmierci księcia Mieczysława i Hanny z Ciechanowa...

Ale tu dalej mówić nie mógł.

Wtem wszczął się rozruch między otaczającymi; przedarł się przez nich młodzieniec i zbliżył do łóża z przeciwnej strony tej, gdzie stał wojewoda. Sieciech dostrzegł coś dziwnego na twarzy Ulrycha i położył rękę na szabli, a tymczasem giermek schylił się ku podskarbiemu dla podania mu lekarstwa, a postawiwszy potem flaszkę na stole, szybko sztylet wyciągnął i wzniosł do góry; ale prędzej jeszcze wojewoda

długiej szabli dobył i w mgnieniu oka podstawił ją pod spadającą rękę młodzieńca. Odleciała odcięta od ramienia prawica, ściskająca sztylet, a Ulrych ciężki krzyk wydał i upadł bez zmysłów. Natychmiast wojewoda schwytał go i w kajdany okuć rozkazał, biskup zaś ledwie oddychającego już Skarbimira po drugi raz zaklął, by wyjawiał skryte i tak ciężkie, jak wydawało się, zbrodnie. Ale Skarbimir ostatni raz już pasował się z śmiercią; okropny rumieniec wystąpił mu na lica i wzdęły się żyły, ciągnące się sinemi pasmami na czole. Gardło gwałtownymi ruchami doprowadziło trudności oddychania, a nareszcie wybuchnęła nosem, ustami i uszami czarnym krew potokiem. Biskup przycisnął do ognistych liców krzyż srebrny. Ciężkie westchnienie wydał podskarbnik i, podniósłszy się trochę, umoczył palec w własnej krwi, a potem niekształtnem pismem na ścianie napisał: »On wie«. Po tem ostatniem wysileniu utracił całą siłę i upadł na zbroczone łóżo. Chwilą potem ustały jego gwałtowne ruchy, rozciągały się drgające członki i zmarły.

— On wie — powtórzył biskup i wskazał na Ulrycha, który, odzyskawszy zmysły, wściekle poglądał na odciętą rękę i bezwładne już ramię.

Natychmiast wojewoda, Henryk z Kaniowa i insi, otoczywszy młodzieńca, zaczęli mu liczne zadawać pytania; ale giermek Mestwina z pogardą na nich poglądał, usta ściśnięte trzymając. Najsrozsze bóle żadnego jęku mu nie wydzierwały. Spokojny, śmiałym wzrokiem odpowiadał na badania otaczających, a choć pęta ciało mu ścisnęły, dusza jego wolną się wyda-

wała, a choć krew sączyła się z rany, nie słabł umysł i z podwojoną męką podwójnej nabywał siły.

Niecierpliwy Sieciech dobył miecza i groźnie wznosił go ponad głowę Ulrycha. Młodzieniec uśmiechem wzgardy i obojętności wyraził wewnętrzne uczucia i najmniejszego znaku przerażenia nie dał. Długo jeszcze starali się przytomni dowiedzieć się czego, lecz milczenie giermka wciąż trwało. Rozgniewany wojewoda kazał wtenczas kilku żołnierzy zawołać, oświadczając, że najokropniejsze męki zdołają usta mu otworzyć. Biskup nie zgodził się na to i prosił wszystkich, by odstąpili, a sam, zbliżywszy się do młodzieńca, tak słodkim głosem przemówił:

— Dzielnąś okazał odwagę i męstwo, lepszej sprawy godne. Dopóki równi tobie wojownicy zadawali ci pytania, mogłeś sobie mieć za chlubę utrzymanie milczenia, którego ani groźby ani boleści zerwać nie zdołały; ale teraz jako chrześcijanina, jako syna Kościoła, zapytuję cię w imieniu Pana twego i Boga, powiedz, co wiesz w tej ciemnej sprawie! Twoje serce jeszcze nie tak zatwardziało, by się nie wzdrygało na myśl zostawienia zbrodni bez kary. Możesz niewinności, choć już znikłej z tej ziemi, wrócić jej ozdoby i sławę, a więc zaklinam cię, powiedz, co wiesz o Mieczysławie, i, jeśli to w twojej mocy, nie dozwól, mój synu, by na pamięci Hanny z Ciechanowa ciążyła plama hańby i zdradzonych powinności!

Na imię Hanny z Ciechanowa zmieniała się zupełnie twarz młodzieńca, wyraz uporczywej i niezgiętej woli ustąpił niezrozumianej jakiejś czułości. Łza zgasiła ponury ogień, dotąd błyszczący mu w oczach, ale jeszcze

wahanie znać było na ustach, napół otwartych. Z czoła wyniosłego zesła burza gniewu i rozpacz, ale natomiast osiadła tam chmura żalu. Jedno słowo, jedno wspomnienie trafiło do serca i czułość obudzona dzikie namiętności w ciele łzami zatopiła. Dłużej już nie mógł wytrzymać i drżącym głosem zawołał:

— Świadcami jesteście wszyscy, że trwoga przystępu do mojej duszy nie miała. Pozbawiony ręki i wszelkiej obrony, okuty w wasze kajdany, nie schyliłem czoła i na chwilę nawet bladej bojaźni twarzy mojej nie okryła. Męki najsroższe nie wydarłyby tajemnicy z głębi piersi; ale kiedy wezwał mnie biskup płocki na świadka, kiedy kazał mi w ostatnich życia chwilach uwolnić umarłą piękność od sromotnego zarzutu, wypełnić powinność chrześcijanina i rycerza.

— Żelazo moje nieraz nasiąkło krwią nieprzyjaciół lub wskazanych ofiar i umiałem przytłumić wyrzuty sumienia; słyszałem pienia śmierci i dźwięki wzywających na wieczny spoczynek dzwonów i przytłumiałem wyrzuty sumienia. Teraz wszystko odkryję. Kilka chwil do życia mi pozostało, poświęcę je prawdzie, ale niech wasze usta szyderczego śmiechu nie przybiegają, niech wasze oczy wzrokiem pogardy na mnie nie patrzą! Nie róbcie sobie znaków, bo nie przed waszą uległem przemocą, bo nie wasz oręż mnie przeraził, ale uczucie powinności usta mi rozemknęło!... Słuchajcie!

Tu dopiero zaczął opowiadać znajome nam wypadki, wyjawiał przyczynę śmierci księżny i Mieczysława, usprawiedliwił Zbigniewa, Mestwina uniewinnić się starał, wystawując szalę namiętności, który go opano-

wał i nie zostawił żadnej rozsądnej myśli miejsca w jego duszy.

Wszyscy w podziwieniu i trwodze tych słów słuchali, spoglądając na człowieka, któremu w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie mogli.

Ulrych, skończywszy mowę, schylił czoło i przez chwilę dumiał głęboko, a potem prosił, by mu zdjęto okowy. Na znak biskupa uwolniono go od kajdan, a młodzieniec, z dumą zrzuciwszy żelazne łańcuchy, zbliżył się do Sieciecha.

— Panie krakowski — rzekł smętnym głosem, wznosząc ramię, pozbawione ręki — tobiem winien okropną ranę, wytrąciłeś mi oręż na wieki i z nim sławę, mnie czekającą. Kto w tych wiekach niezgód i zaburzeń zechce spojrzeć na nędznego kalekę, ogołoconego z prawicy? Nikt okiem litości nawet na mnie nie spojrzy i nie żądam litości. Zawód mój zakończył się na ziemi. Cięcie twojego miecza oddzieliło mnie od chwały, a zarazem od życia, a jednak nie czuję zemsty ku tobie; zrzuciłem z serca ogromny ciężar i ta rana mniej mi dolega. Lecz może jeszcze potrafię się dobić sławy — dodał, jak gdyby wracała nadzieja do jego serca. — Pozwólcie mi tego miecza, spróbuję nim władać lewą ręką!

Jeden z przytomnych ze łzami w oczach podał mu oręż.

— Teraz — zawołał młodzieniec z nadzwyczajnem uniesieniem — nie lękam się już ani waszych mąk, ani szubienic! Nie zginie Ulrych haniebną śmiercią

zbrodniarzów, bo jeśli pełnił zbrodnie, miał jednak czułe serce. Patrzcie, jakie lewej ręki cięcie!

I nim go kto mógł wstrzymać, utopił w piersiach krótki i ostry pałasz i upadł na ziemię.

Biskup wzdrygnął się i podniósł oczy do nieba, a wszyscy obecni odwrócili je od okropnego widoku. Jeden Henryk z Kaniowa zachował krew zimną, czyli raczej wściekłość nie dozwoliła mu uczuć litości i przeżenienia; wystąpił z grona towarzyszy i stanął przy trupie Ulrycha. Tu wyjął z pod kolczugi pukiel ciemnych włosów i, umoczywszy je w krwi nieszczęśliwego, zawiesił na szyszaku między trzema białymi piórami.

— To są włosy księcia i pana mojego. Przysięgam dopóty ten znak nosić na hełmie, dopóki go powtórnie nie zanurzę w krwi drugiego mordercy, Mestwina z Wilderthalu. Niechaj Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty słyszą tę przysięgę i niech święty Stanisław i szabla moja ku pomocy mi będą!

To powiedziawszy, wyszedł, ściskając rękę miecza.

W kilka dni później pochowano Skarbimira, ciało Ulrycha za cmętarem w dół rzucono. Sieciech zaś, chcąc przywiązać do swojej służby rycerza z Kaniowa, kazał go do siebie zaprosić; ale nadaremno Jarosz z Kalinowy przebiegł wszystkie Płocka ulice, nigdzie nawet i śladu Henryka nie znalazł. Żołnierze, stojący u wałów miejskich w dzień śmierci podskarbiego, donieśli potem wojewodzie, że rycerz, podobny z postawy i ubioru do znikłego, lotem błyskawicy przeleciał już blisko nich w nocy na czarnym rumaku i że

przez chwilę wśród cieni wieczora ujrzeli migającą się zbroję na jego piersiach, kiedy pędził drogą, na północ wiodącą.

ROZDZIAŁ XXX.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję z bliska,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem ..

Dziady.

Musiemy teraz przenieść czytelników naszych daleko od Płocka, do jednej z okolic Pomorza, oświeconej w tej chwili zachodzącego słońca promieniami. Dzikosć największa panowała wówczas w tej krainie, nieuprawne pola leżały odłogiem, a pokrzywy, chwasty i cierń nie rosły, gdzieby mogły kłosa w złotych płynąć przed wietrzykiem falach. Zbliżający się wieczór jeszcze posępniejszą barwę nadawał przedmiotom. Wzgórza to zniżającym się, to podnoszącym wieńcem otaczały liczne jeziora, których wzdęte silnym wiatrem wody wydawały się z dala przy purpurowym blasku słońca niezliczonemi falami z płomienia. Lasy, już jesienną przyodziane szatą, zarastały wielką część przestrzeni. Z bliska można było rozeznaczyć zielone liście, pomieszane z żółtymi i czerwonymi. Dalej zaczynały się stapiać z sobą te kolory, a wzrok, sięgający aż do ostatku widnokrzęgu, postrzegał już tylko szare ogromy, zdające się olbrzymiem pasmem łączyć ziemię z czystym niebios błękitem.

Jedyny ślad pracy ludzkiej w tej dzikiej puszczy była droga, często wijącemi się roślinami zarosła lub ogromnymi kamieniami zawalona i niekiedy w ciasną przechodząca ścieżkę; kręciła się ona ponad wodami, ustawała u stóp wzgórzów, gdzie kilka tylko śladów ciężkich wozów pozostawało, lecz z drugiej strony znów ukazywała się szeroka i dobrze odznaczona, by trochę dalej zniknąć pośród zarośli i kamieni różnego rodzaju i wielkości. Właśnie w jednym z miejsc, gdzie trudną była do rozeznania, ostatnie promienie słońca oświecały młodego rycerza, siedzącego na koniu, który się zatrzymał, by, jak się zdawało, zaczekać na człowieka, schodzącego w oddaleniu z spadzistej skały. Jeździec i rumak długą zmęczeni byli drogą, bo pierwszy nieustannie pot z czoła obcierał, a drugiego całkiem biała piana pokryła. Za siodłem leżał mały tłómoczek, zawierający zapewne ubiór i żywność rycerza, a blisko lewego strzemienia wisiał topór, używany w owoczesnych bojach. Zbroja, pokrywająca nogi młodzieńca, błotem zbryzgana, dawny połysk straciła, kiedy tymczasem pancierz jaśniał stalowemi, na nim wyrobionemi ozdoby. Twarz jego, choć nosiła znamiona znużenia, wyrażała oprócz tego jakąś ciężką tęsknotę, połączoną z piętnem niestartej woli. Hełm, w kilku miejscach porysowany nadybanemi w podróży gałęzmi, dziwne miał znaki, bo wśród trzech piór białych, połamanych i kurzawą okrytych, tkwił pukiel czarniawych włosów, zeszlą krwią zboczony.

Poglądał rycerz w górę, jak gdyby chciał poznać, ile chwil do nocy nie dostaje, to znowu wyciągał rękę i wołał do siebie znakami niedalekiego już wę-

drowca. Im bliżej tamten przystępował, tem chciwiej młodzieniec zatapiał w nim oczy i starał w sobie dawne obudzić wspomnienia. Nieznajomy, ubrany po myśliwsku, rączył postępował krokiem, trzymając ogromny łuk w ręku. Kołczan, wiszący z tyłu, wypróżniony był do połowy z grotów, a ogromny szary orzeł zarzucony był przy nim. Twarz myśliwca, spalona od słońca, wyrażała pewien rodzaj niedbałości o nic odwagi. Już tylko mały rów dzielił go od rycerza, kiedy ten wykrzyknął:

— Witam cię, Krystynie z Mortoga!

Zdumiony Krystyn zatrzymał się na chwilę, a potem zawołał:

— Niech mnie tysiąc Prusaków posieczy, jeśli cię już gdzieś nie widział! Kto jesteś? Skąd? Ach! wiem, nic nie mów, wiem! Henryk z Karnowa... z Karnowa lub coś podobnego.

— Lub z Kaniowa — przerwał rycerz, wyciągając rękę do dawnego wroga.

— A cóż tu robisz na Pomorzu? — przerwał rycerz. — Czy przychodzisz służby szukać u naszego księcia?

— Przybywam owszem służbę jego zmniejszyć o jednego człowieka — odparł groźnie młodzieniec.

— Czy do mnie stosuje się ta mowa? — krzyknął rycerz z Mortoga, dobywając miecza.

Męski zapach Krystyna wycisnął uśmiech zbladłym ustom Henryka.

— Nie — odpowiedział — nie ciebie szukam, bo szanuję rycerzy, godnych tego imienia, a szczególnie tak męznego, jak ty, mój Krystynie.

— Dobrze, dobrze, mój Henryku, ale nie lubię na darmo dobywać pałasza. Spróbujmy się choć trochę, do pierwszej krwi, nie żądam więcej! Mój drogi, mój kochany Henryku, do pierwszej krwi tylko!

— Krystynie — uroczyście zawołał młodzieniec — nie żartuj sobie! Ważna, najważniejsza w moim życiu sprawa przygnała mnie z dworu Hermana w te posępne puszcze. Jużem blizki celu i nie myślę w dziecinnej walce narażać siły, przeznaczone dopełnieniu świętego obowiązku.

— Jeśli tak, to zgoda; ale daj słowo, że nie czyhasz na życie mojego księcia i pana, bo inaczej powinnością stanie się dla mnie pierwej, cię twojego pozbawić!

— Przysięgam, że nie, bo Zbigniew niewinny; inaczej moje żelazo żadnej nie czyniłoby różnicy między jego lub innego piersiami.

— A więc wszystko między nami skończone.

— Krystynie, bądź łaskaw wskazać mi drogę do zamku księcia! Zapomniałem już, jak się nazywa; czy jeszcze daleko? Ledwie mogłem się w tym przeklętym kraju drogi dopytać.

— Zowie się Waplew, stoi nad Czarnowodą, na skale tak wysokiej, że z niziny jest podobniejszym do orlego gniazda, niż do potężnego gmachu. Dobrze zrobił książę Zbigniew, że zabił tego Ottona de Strontheim i zamek na nim zdobył, bo, na Boga, wszystkie panów polskich wojska nie potrafią go stąd wyrugować. Powiem ci szczerze, że mnie się nudzi; niema ani wojny, ani kłótni, ani pojedynków, a trudno księcia opuścić — taki smutny, taki nieszczęśliwy, już

nawet z Mestwinem nie rozmawia. Ale dlaczegoż także się wzdrygnął? A toż i Mestwin dziś na łowy wyjechał; ja w inną stronę się udałem, bo nie lubię tego Niemca.

— A kiedy wróci? — przerwał Henryk.

— Niezawodnie jutro. Lecz muszę psy przywołać.

Po tych słowach przyłożył trąbkę do ust i wydał głos chrapliwy, który w jednej chwili wzniósł się w górę, a potem, spadając, rozległ się wokoło. Natychmiast odpowiedziały dalekie naszczekiwanie, a choć wiatr przeszkadzał, co chwila głośniejszemi się stawały; nareszcie z różnych stron przybiegły ogromne brytany i sześć ich otoczyło pana, wyszczerzając ostre na Henryka zęby.

— Cicho, cicho, Obal! Precz, Warda, stąd, cicho! — zawołał Krystyn, i natychmiast posłuszne psy legły u stóp myśliwca.

— Teraz, gościu, wskażę ci najkrótszą drogę do zamku, bylebyś szedł stępo i nie odbiegł mnie, jak duch na czarnym koniu.

— Idźmy, idźmy więc! — zawołał Henryk.

Ale droga wcale się nie zgadzała z niecierpliwością młodego rycerza, bo, coraz bardziej trudniejszą się stając, prowadziła naszych wędrowców to w głębokie jary, to na strome wzgórza, z których wierzchołka jeszcze mogli dostrzedz kilka chmur, oblaných promieniami zapadłego słońca. Lasy, którymi przechodzili, błota, w których grzęzli, zdawały się być dobrze znajomemi Krystynowi, bo, śmiałym idąc krokiem, ledwo czasem spojrział na ziemię, a najwięcej z wzniesioną głową śpiewał dumki wojenne, kiedy tymczasem dziel-

ny rumak Henryka zapadał w trzęsawiska lub, wszystkich sił dobywając, ledwo mógł się dostać na szczyt spadzistego wzgórza. Mrok, powoli zapadający, przynmnażał jeszcze trudności, ciemne bory podwajały jego cienie, a jeśli czasem widok się rozprzestrzeniał, gęsta mgła, unosząca się nad wodami, przesłaniała go oczom naszych rycerzy.

Już ptaki rzadko się odzywały, już kilka gwiazd zabłysło, kiedy przybyli na brzeg oschłego jeziora, którego powierzchnia, dawniej wodą zalana, teraz zarosła była mnóstwem sitowiu i uginającej się trzciny.

— Jeszcze się tędy przeprawimy — rzekł Krystyn — a potem, stanąwszy na tamtym wzgórku, zobaczymy blizki zamek i Czarnowodę.

— A już czas — odparł Henryk — bo mój biedny koń ledwo już się wlecze!...

Po tych słowach zeskoczył z siodła i, prowadząc rumaka za uzdę, wszedł pomiędzy zarośle; ale z każdym krokiem nowe rodziło się niebezpieczeństwo, coraz więcej ziemia grzązką się stawała i już słyszał Henryk szelest przeciskającej się pod spodem wody. Krystyn jednak ze zwykłą niedbałością zagrzewał go do pośpiechu i bez żadnego przypadku doszli nareszcie do wspomnionego wzgórka, skąd już prawdziwie wspaniały widok przedstawił się im przy świetle księżyca.

Niedaleko wznosiła się niebotyczna skała, żadnem drzewem ni rośliną nie pokryta, a na jej wierzchu zmęczone oko nie dobrze już dostrzedz mogło białawych czterech wież, połączonych murem, w kwadrat wystawionym. Ognie, błyszczące z okien zamkowych,

do małych gwiazdek podobne były. Na najwyższej wieży buchał ogromny płomień, zawsze w nocy zapalony dla zbłąkanych wędrowców. U spodu płynęła szeroka Czarnowoda, a choć srebrne księżycy promienie igrały z jej falami, zachowywała jednak smętną barwę, od której nadano jej imię; płaczące brzozy nad brzegiem i dęby stuletnie rosły w ulice, jak gdyby przez sztukę wytknięte, a dalej ciemny bór pozostałą część równiny zalegał. Kilka chat, rozsypanych u stóp skały, zamek dźwigającej, służyło za stajnię dla koni księcia, nie mogących dojść do wzniesłego mieszkania pana.

Noc, pokrywająca okolicę, księżyc, błyszczący na niebie, ogień, z wieży wybuchający, jak gdyby drugi księżyc na ziemi, i samotność otaczająca dokoła wystawiały obraz okropnej dzikości, a zarazem, uderzając oczy Henryka, najczarniejszemi zajętego myśli, wprawiały go w pewien rodzaj szalu.

Przeniesiony z ludnej krainy do samotnej puszczy, wyrwany tak nagle z rąk miłości i rzucony w objęcia zemsty, nie miał jeszcze czasu do uśmierzenia burzliwych uczuć, a teraz namiętne uniesienie nim ośwładło. Zdawało się, jak gdyby okropne tych miejsc odległych przyrodzenie w zgodzie było z jego sercem, i wystawiał sobie, że widzi krew Mestwina, płynącą, jak strumień wezbrany, po skale. Ognie, zapalone w zamku, wydały mu się płomieniami piekła — i wyciągał ramiona, by, jak anioł śmierci, wzleci[e]ć nad poziom, doleci[e]ć ofiary i życie jej przeciąć.

Wkrótce jednak żarty Krystyna wyrwały go z tego

dumania, i, wsiadłszy na konia, znów zaczął dalej postępować. Niezadługo u stóp skały stanęli.

— Zostaw konia w tej chacie! — rzekł Krystyn.

Henryk zaprowadził zmęczonego rumaka, a za rozkazem towarzysza przyjął go do swojej stajni mieszkarniec chaty, a potem oba, zebrawszy siły, zaczęli wązką i węzłowatą drogą wdzierać się na skałę. Po wielu trudach stanęli u bram rozległego zamku, strażnik je otworzył, usłyszawszy głos Krystyna z Mortoga, a z nim wszedł Henryk z Kaniowa.

ROZDZIAŁ XXXI.

Hamlet: Zdaje mi się, że widzę.

Horatio: Gdzie?

Hamlet: Przed oczyma duszy mojej.

Szekspir.

Podwórzec zamkowy, z czterech stron wieżami zakończony, pustym był teraz. Kilku tylko rycerzy, żywo między sobą rozmawiających, stało na środku i z daleka jeszcze przy świetle pochodni poznał między nimi Henryk ogromną postawę Jordana z Gozdawy.

Krystyn wziął towarzysza za rękę i zbliżył się do znajomych.

— Zapoznajcie się z nim! — krzyknął. — To jest Henryk z Kaniowa, rycerz niezłomnego słowa i niezłomnej szabli. Jordanie, to już dawna dla ciebie znajomość.

— Tak — rzekł uprzejmie, nieco zdziwiony, Jordan — tak, znamy się dobrze. Nieraz iskry sypnęły się

z ścierających się naszych mieczy i widziałem, że żaden rodzaj śmierci go nie straszy. Ale dlaczegoż tu przybyłeś? Książę nasz drży z wściekłości na wspomnienie Mieczysława, niebezpieczeństwa ci grożą.

— Setne już przebyłem — odparł młodzieniec — by się na to ostatnie narazić, a kiedy jużem tak blizki, pewno się nie cofnę. Upadnie gniew księcia przed moimi słowy; mam ważne mu do odkrycia tajemnice i prosiłbym którego z szanownych rycerzy, by doniósł Zbigniewowi, że żądam w tejże samej chwili posłuchania u niego.

Podniósł wtenczas rękę Jordan z Gozdawy i wskazał na najwyższe okno naprzeciwko wieży.

— Tam jest mieszkanie naszego pana od czasu przybycia do tej krainy. Tam samotny przesiaduje dni i nocy. Jeden tylko Mestwin go odwiedza, ale i to rzadko. Nikt inszyby się nie ośmielił przerwać ponure myśli Zbigniewa, a Niemiec teraz na łowy wyjechał.

— Upraszam, zaklinam was — przerwał Henryk — uczyńcie zadosyć mojemu żądaniu!

— Ja ręczę — zawołał Krystyn — że on złych nie ma zamiarów.

— Niechaj będzie aniołem — krzyknęło kilku — lecz żaden z nas nie przyjdzie śpiącego lwa budzić!

— Zaniechaj zgubnego zamysłu — rzekł Jordan — bo ci szczerze powiem, że cię śmierć niechybna czeka!

— Lepiej zrobisz, kiedy wyjdiesz z tych murów, nim cię sokole oko Zbigniewa ujrzy z góry.

— A więc żaden mi nie odda tej przysługi? — zapytał spokojnie Henryk.

Milczenie wszystkich było dostateczną odpowiedzią.

— Jeśli tak, to sam pójde! — zawołał.

Ale jeszcze raz Jordan starał się go odwieść od zamysłu.

— Pamiętam — rzekł rycerz z Gozdawy — że w wojnie z Prusakami jakiś wódz ich, olbrzym z postawy, a bohater z odwagi, schronił się do takiej wieży wśród ciemnego boru. Z toporem w rękę i szablą u boku dostałem się za nim na wierzchnią część budynku. Toporem drzwi wyrąbałem, a szablą Prusaka zabiłem i jego głowę przez okno, jakby jabłko, wyrzuciłem. Ale tu co innego. Księżciu winne uszanowanie, lecz nie bojaźń mnie wstrzymuje.

— Gdyby — odparł z zimną krwią młodzieniec — setne kopie i szable tej wieży broniły, jeszczebym sam jeden na nie się rzucił, by dopełnić świętej przysięgi...

Po tych słowach oddalił się, zostawując wszystkich w zadumieniu, i zniknął im z oczu wśród grubych murów niebotycznej wieży.

Zaraz w sieni napotkał wąskie schody, które w licznych, ciemnych zakrętach nad jego wznosiły się głową. Gdzieniedzie tylko stojące kagańce oświecały je częściami. Poszedł nimi i, stukając orężem o kamienne stopnie, śmiało postępował, aż nareszcie doszedł ostatniego piętra, gdzie się schody zakończyły żelaznymi drzwiami, napół otwartymi w tej chwili.

Młodzieniec rzucił ciekawym wzrokiem wewnątrz komnaty i ujrzał siedzącego męża z twarzą, między dłonie zakrytą. Na bliskim stole paląca się lampa oświecała leżący sztylet, okręcony różaną przepaską.

Przypominał sobie Henryk, że ją miała w dzień śmierci u łona nieszczęśliwa Hanna. Nie zwlekając dłu-

zej, wszedł śpiesznie rycerz z Kaniowa; ale Zbigniew, zatopiony w dumaniu, podniósł dopiero czoło, kiedy już od kilku chwil stał przed nim dzielny młodzieniec.

Zdziwiony syn Władysława porwał się z gniewem i wlepił iskrzące oczy w twarz Henryka. Dawne pamiętki ozwały się w duszy, patrzył się, zbliżył i poznał, a wnet uchwycił oręż i wzniosł go na towarzysza śmiertelnego wroga, nie przemówiwszy i słowa.

— Książę! — zawołał Henryk, nie wiedząc, jak uniknąć grożącego ciosu — Hanna była niewinną!

Wypadła szabla z rąk Zbigniewa, a łzy zalały mu lica na wspomnienie tak drogiego imienia.

Henryk nie stracił sposobnej pory i, nie dając czasu Zbigniewowi do namysłu, zawołał:

— Synu najjaśniejszego króla i pana mojego, przybyłem z Płocka do tych miejsc odległych, by ci odkryć tajemnicę. Hanna i Mieczysław byli niewinnymi. Mestwin wszystko uknuł i Mestwin jest zbrodniarzem.

Po tem oświadczeniu, opowiedział księciu wyznania Ulrycha, wyszczególnił najdrobniejsze okoliczności i sam słowem rycerskiem zaręczył, że w owej pamiętnej nocy widzenia się księżny z Mieczysławem całą ich rozmowę słyszał i z niej poznał, że Hanna ciągle kochała męża najczystsza miłością i że Mieczysław najszlachetniejsze poświęcenie uczynił.

Twarz Zbigniewa rozmaite przybierała wyrazy podczas mowy rycerza; lecz kiedy oczywiste ujrzał dowody, jakiś rodzaj smętnej radości zabłysnął w oczach. Zgiął kolana i ręce załamał, wznosząc je ku niebu:

— O Boże! — zawołał — dzięki Ci składam, żeś

nie dozwolił, bym dłużej posądział niewinność ulubionej, niewinność tej, która mi najmiłszą na tym świecie była. Zginęła z mojego rozkazu, ale ostatnia jej myśl była błogosławieństwem dla mnie. Zmiękczył się więc w gniewie Swoim, o Panie świata, i ulży cięzar przygniatającego mnie życia! Tak — dodał, powstawszy — wolniej teraz oddycham. Tak, równieśmy sobie oddali usługi. Jam ci życie ocalił, ty mi spokojność, to jest, część spokojności wróciłeś.

— Książę — przerwał Henryk — niedawno życie mi darował, teraz większego jeszcze daru wymagam.

To mówiąc, zbliżył się do Zbigniewa, klęknął i zarazem z szyszaku odpiął warkocz włosów, w krwi zbroczony:

— Panie — rzekł poważnym głosem — to są włosy nieszczęśliwego twego brata. Dopókim ciebie miał za jego mordercę, dopótym pragnął je w krwi twojej zbroczyć; lecz kiedym się dowiedział od Ulrycha, że inny sprawił to wszystko, przysiągłem, że je w krwi jego zanurzę. Wymagam więc od ciebie, byś mi dozwolił walczyć z Mestwinem z Wilderthalu.

Na imię Mestwina twarz księcia, przez chwilę rozjaśniona, czarną pokryła się żałobą, wszystkie namiętności uśpione obudziły się w piersiach z podwojoną siłą. Żył czoła nabrzmiały krwi potokiem, rumieniec wściekłości oblał lica, oczy zaiskrzyły się płomieniami i usta się otworzyły, lecz zamiast wyrazów, krzyk okropny i przeraźliwy z nich wybuchnął, a rękę wyciągnął książę Zbigniew i groźno dobył miecza.

— Przysięgam — rzekł po chwili — że nikt inszy odemnie Mestwina nie zabije! Ach! zginiessz, zbrodnia-

rzę, zginiesz! Zbyt długo rozciągnięta przez ciebie zasłona wzrok mój ćmiła — rozerwana teraz. Pozbawiłeś mnie szczęścia, sławy, wszystkiego; ja cię tylko życia pozbawić mogę! O Hanno! O ojcie mój! O Mieczysławie! — I tu znowu łzy wytrysnęły i upadł księżę na blizkie krzesło.

— Nie narażaj się, panie — rzekł rozczulony Henryk — na żelazo tego Niemca! On niegodny twej książęcej ręki. Dozwól mi dokonać przysięgi i zyskać chlubę, że pana mego i ciebie zarazem pomściłem!

Długo Zbigniew nie mógł ukrócić swego żalu, każde wspomnienie dodawało goryczy smutkowi; po długim dumaniu słabym rzekł głosem:

— Rycerzu, nie mogę zadosyć twej prośbie uczynić. Powtarzam i przysięgam, że Mestwin z mojej zginie ręki! Ach, czegoż on mnie pozbawił Hanny! Gdyby mi godności, bogactwa, chwałę był odjął, berło wytracił, darowałbym mu jeszcze, ale Hannę!... O Hanno! o kochanko! o żono moja!.. On z mojej ręki zginie!

Te ostatnie słowa wyrzekł stanowczo i, podniósłszy oręż w górę, spojrział wzrokiem, grożącym zagubą. Po chwili namysłu dodał;

— Czuję, że ci największą przykrość robię. Lecz rozważ, o ile moja zemsta twoją przechodzić powinna! Ja płaczę za żoną, za sławą, za bratem, niegodnie zabitym. Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję — mnie, doszłego do pół drogi życia, odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie, jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z roz-

dartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami. Oddzielony od lubej, odrzucony przez ojca, zwiedziony od przyjaciela, stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani wstecz się cofnąć i muszę ciągle trzymać wlepione oczy w jej otchłanie. Tobie młodość, tobie przyszłość się uśmiecha; miną twe smutki, jak chmury, co nad twoją głową szybko ulatują, a zostanie się niebo czyste i jasne. Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta, a powiedz teraz, czy chcesz mię tej ostatniej pociechy pozbawić? Czy chcesz piekłym wędrownika ustom ostatnią kroplę odmówić, kiedy pełne masz puhary pieniącego się napoju? Mów, Henryku, czyż możesz tego żądać?

Stał młodzieniec z spuszczoną głową i milczał.

— Co mogę uczynić, to uczynię — ciągnął dalej Zbigniew. — Powierz mi ten pukiel włosów; sam go w krwi zbrodniarza umoczę, a potem oddam!

Henryk nie rzekł i słowa, lecz wyciągnął rękę i oddał swój skarb księciu.

Drżały palce Zbigniewa, kiedy ścisnął włosy Mieczysława; przeszedł się potem kilka razy po komnacie, nareszcie stanął i rzekł do Henryka:

— Jutro przed zachodem słońca odbierzesz je. Lecz gdybym nie wrócił?... Wtenczas ci wolno ścigać po całej ziemi Mestwina. Wtenczas przekazuję ci, Henryku z Kaniowa, zemstę własną i tylu nieszczęśliwych ofiar. Teraz żegnam cię, nie mów nic o tem nikomu i rozgość się w moim zamku!

— Księżę — odparł rycerz — nie zostanę w tych murach. Mogłbym w nich zobaczyć wroga, po którego

życie tu przybyłem, a ten widok pomieszałyby wszystkie władze mojej duszy; wola nadaremna by się stała wstrzymania namiętności¹. Pomimowolnie wyrwałaby moja ręka szablę z pochwy i zatopiła ją w piersiach Mestwina. Zejdę na dół i tam w jednej z chat, nad rzeką stojących, zaczekam na wypadek walki. Jakikolwiek on będzie, bądź pewny, książę Zbigniewie, że w Henryku z Kaniowa masz człowieka oplakującego twoje nieszczęścia, a może będziesz miał w nim mściciela.

Po tych słowach uklonił się i wyjść zamyślał, ale Zbigniew go jeszcze zatrzymał.

— Nie myślę — rzekł — wobec mojego dworu staczać walki z Mestwinem, zawiodę go w głąb lasu za rzeką. Czekaj mnie jutro aż do zachodu słońca na tym brzegu! Jeśli noc zapadnie, a ja nie wrócę... lecz nie, zemsta doda sił tej ręce, a ta pierś nie potrzebuje, by jej co odwagi dodało!

Henryk się oddalił, a Zbigniew został sam z swojemi myślami. Już było późno, lampa dopalała się na stole, mdłymi promieniami oświecając komnatę. Książę jeszcze kilka razy pokój okrążył, a potem rzucił się na łóżko. Pamiątki młodości z głębi duszy powstały, przeszłość rozwinęła się przed myślą, a urok jej wdzięków sroższym czynił obraz przyszłości. Miłość, chwała już zniknęły; zimna rzeczywistość miała już aż do grobu towarzyszyć synowi Władysława. Widział przeszłe uciechy i radości zwiędłe, a przyszłe gromy nieustannie grzmiały w przerażonem uchu.

¹ T. j. wola wstrzymania namiętności nadaremna by się stała.

Utracił jedyną istotę, która mogła przynosić mu ulgę w utrapieniach, utracił ją przez zbrodnię. Naraził się na nienawiść ludzi i przyjaciół, zniechęcił naród, któremu kiedyś mógłby być przewodniczyć do sławy. Wszystkie marzenia wielkości, któremi karmiło się serce w tęsknotach, upadły, wszystkie nadzieje okropna zbrodnia wydarła, a ta, która miała być aniołem opiekuńczym życia, pełnego dzieł i chwały, zstąpiła zawczasie do grobu, pchnięta jego własną ręką. Umarła, niewinna, dla spełnienia widoków Mestwina. Najcnotliwsza niewiasta padła ofiarą zamechów, knowanych przez zdrajcę, i nierozważnych namiętności męża, którego tak kochała. Ojciec w rozpacz, naród w żałobie są skutkiem jego czynów. A cóż powiedzą potomni? Jakimże wieńcem przyszłość ozdobi skronie, które miało się wynieść nad wszystkich bohaterów czoła? Czyż strumienie krwi wylanej nie wzniosą się na zagrodenie jego imieniu drogi do nieśmiertelności? Czyż okrzyk trwogi i przerażenia narodów nie przytłumi odgłosu dawnych dzieł i zwycięstw? A tak w jednej chwili widział zniszczone szczęście i zniszczoną chwałę, dla której rzucał się na miecze wrogów, o której marzył od dzieciństwa. Już się wzbijać zaczynał, jej skrzydłem wzniesiony, ku niebu, a teraz jeden czyn, jedna zbrodnia zwróciła go do ziemi i upadł pomiędzy prochy i kości zapomnianych i przeklętych na świecie, a siły zwątłone nie pozwalają mu jeszcze raz się podźwignąć i musi żyć i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najszlachetniejsze, najpiękniejsze dwa cele, chwałę i miłość, na wieki utracił.

Takie myśli snuły się w wyobraźni Zbigniewa, lecz nareszcie, znękany, opuścił głowę i wpadł w odrętwienie, do snu podobne, choć snem nie było. Ocieżały powieki napół tylko zakrywały oczy, a uczucia boleści i żalu odzywały się ciągle.

Dogorywająca lampa to bledsze, to żywsze rzucała promienie na przeciwną ścianę, na której zawieszona była całkowita zbroja z hełmem u góry, z przepaską na pancerzu i mieczem u przepaski. Przemijającym zbroja oświecona blaskiem raz jaśniała, jak gdyby przed światłem słońca, to znów w zupełną pogrążała się ciemność. Wreszcie po długim konaniu zgasła lampa, a jednak widział jeszcze Zbigniew zbroję i zdało mu się, że oczy, wlepione w niego, żarzyły się z pod przyłbicy szyszaku. Chciał się porwać, ale nie mógł i pozostał na miejscu. A tymczasem zdało mu się, jak gdyby oderwała się od przeciwległej ściany zbroja i jak gdyby się mąż jakiś w nią przyoblekł; a wnet druga postać ukazała się w śnieżnych szatach i mąż zbrojny podał jej rękę i oboje, płynąc w powietrzu, zbliżyli się do siedzenia Zbigniewa, a wtenczas przerażony książę poznał w rycerzu Mieczysławą, a w niewieście nieszczęśliwą Hannę.

Zbigniew dobył wszystkich sił, oparł szeroką prawicę o stół dębowy, ale podnieść się nie mógł. A niewiasta w śnieżnych szatach, rzucając nań okiem słodczy, wskazywała niebo; lecz mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał z pod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: »Zemsta, zemsta!« A mury długiem echem powtórzyły: »Zemsta!« Dobył rycerz z pod pancerza świetnego puhara i pokazał go księciu pełnym truci-

zny. Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: »Mestwin!« i powtórzył: »Zemsta!« A wtenczas Zbigniew zebrał całą moc swoją, wyciągnął ramiona ku ulubionej i zdało mu się, że uśmiechem nadziei odpowiedziała jemu. W tej chwili wraz z groźnym towarzyszem znikła; zbroja, jak dawniej, wisiała na ścianie, a Zbigniewa ciężki sen opanował.

ROZDZIAŁ XXXII.

Umiera. — Lecz nikt dla niego nie czuje litości. — Świat szeroki, a żadne w nim serce dla niego nie bije.

Bezimienny.

Przybył rycerz z Wilderthalu o wschodzie słońca z łowów i zaraz stawił się przed księciem... Krótkimi słowami przywitał go Zbigniew:

— Przywdziej najlepszą zbroję, przypasz miecz niezawodny i chodź za mną!

Poznał Mestwin z twarzy księcia, że niezwykle pomięszanie duszę jego trapiło, lecz nie domyślał się jego przyczyny. Usłuchał rozkazów pana, sądząc, że Zbigniew ma jakąś wyprawę na celu. Ukrytymi w murach drzwiami wyszedł z nim z zamku i szedł na na brzeg Czarnejwody.

Zbigniew skoczył w milczeniu na łódkę, a Mestwin poszedł za jego przykładem.

— Książę i panie mój — zawołał — czyżby nie lepiej było wziąć z sobą kilku zbrojnych?

— Nie potrzebujemy — odparł uroczyście Zbigniew — inszego świadka, jak nieba... Odbijaj!

Odbił rycerz od brzegu, a łódka, pędzona wiatrem, szybko przerzynała wody. Dziełnie popychał ją wiosłem Mestwin, a złote jesiennego słońca promienie odbijały się w każdej kropli, wzlatującej w powietrze; czarne fale, konając u boków statku, w białą zamieniały się pianę i daleko za nimi pierwszy brzeg się oddalał, kiedy przeciwny coraz się zbliżał. Nareszcie dopłynęli, a książę wyszedł na ziemię i Mestwin za nim.

Gęstym był las, przez który się przedzierali, krzewy i wysokie trawy utrudniały drogę, wzniosłe sosny, płaczące brzozy, żałobne świerki i ogromne dęby plątającemi się gałęzmi wydzierały oku błękit niebios, gdzieniegdzie tylko przebijający. Za zbliżeniem się kroków ludzkich odlatywały sójki, kruki opuszczały gniazda, a sęp żarłoczny z żalem odstępował gałęzi, z której zdobyćz upatrywał.

— Jakież cel naszej wyprawy? — zapytał Mestwin. — Jeśli łowy, tośmy o małej rzeczy tylko zapomnieli: o łukach i strzałach.

— Poznasz ten cel niezadługo — odpowiedział Zbigniew i szedł dalej z zadziwionym rycerzem. Doszli nareszcie miejsca, w którym rozstępywały się drzewa i gdzie niska trawa z żywszą rosła zielonością przy drobnym, sączącym się wśród kamieni i leśnych kwiatów strumyku. Tu zatrzymał się książę i, dobywając wszystkich sił, zawołał:

— Mestwinie, ziemia, choć tak rozległa, nie potrafi nas dwóch razem objąć! Jeden poledz musi. Znam

twoje zbrodnie, Ulrych wszystko wyznał przy śmierci. Broń się, szatanie!

Z początku stał Mestwin z krwią najzimniejszą; lecz gdy usłyszał, że Ulrych zginął, nadaremno chciał wstrzymać łzę, co samotna przedarła się przez powieki. Zgrzytnął zębami i dobył miecza.

— Zbigniewie, wiesz wszystko, śmierć między nami rozstrzygnie; lecz nim zginę lub ty zginiesz, odkryję ci: Ulrych był moim synem! O Bianco, o nieszczęśliwa! Uwiodłem ją, skonała mi na rękach. Młodym byłem wtedy, odtąd skamieniało moje serce. Jednego tylko lubiłem Ulrycha, a jednak, wstydząc się przywiązania do człowieka, chciałem to ostatnie przytłumić; posyłałem syna na niebezpieczeństwa, przyzwyczajałem do zbrodni. Ah, Hanna miała rysy Bianki! Dowiedz się, że to serce pała płomieniami, które muszą zawsze zniszczyć cel jego miłości! Srogi, okrutny z przyrodzenia, byłem obcą istotą na ziemi, nie znałem tego, w czym ludzie szczęście pokładają. Chciałem także się wynieść, czułem czasami przywiązanie do ciebie... Ale widzę, mości książę — dodał z szyderskim uśmiechem — że cię moje wyznania nudzą. Doniosłeś mi pierwszy o śmierci syna, zgiń za to! Zgiń — krzyknął wściekle — zgiń, mężu Hanny z Ciechanowa!

I starły się ich miecze i wyroczna dla obu zaczęła się walka. Z rozpaczą i najdzielniejszą odwagą potykał się Mestwin, lecz ramię Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednej chęci zemsty, a mogące się w sercu człowieka urodzić.

Walczyli w samotnem miejscu, pod sklepieniem

niebios, z takim zapalem, jak gdyby narodów los zależał od wypadku bitwy i jak gdyby tysiączne okrzyki dodawały im męstwa.

Mestwin nie tracił rozwagi, a Zbigniew namiętnie nacierał, lecz tak namiętnie, że cała przeciwnika rozważa musiała uleść uniesieniu księcia i zwycięskie żelazo nieszczęśliwego bohatera przeszło pierś rycerza.

Upadł Mestwin, a książę umoczył w krwi jego włosy brata. Lecz nie mogąc dłużej znieść widoku umierającego człowieka, którego tak długo uważał za przyjaciela, chciał odejść, kiedy Mestwin dobył głosu z przebitych piersi:

— Zbigniewie, zaklinam cię na męki piekła, dobij mnie!

Pierwszą myślą księcia było uczucie litości; lecz stanął mu w pamięci obraz, przeszłej nocy widziany, i odsunął rękę od sztyletu, odwrócił oczy i śpiesznie się oddalił...

*

Na brzegu Czarnejwody stał rycerz na koniu. Słońce już wzbilo się w górę, a on, niewzruszony, zdawał się czekać na kogoś. Błyszczała jego zbroja, a rynsztunek cały dowodził, że się do długiej przygotował podróży. Często zwracał niespokojny wzrok na drugą stronę rzeki i wlepione tam trzymał oczy, jak gdyby chciał przebić lasów gęstwiny. Często natężał ucho, przysłuchując się dalekim głosom, lecz nic nie słyszał oprócz krakania drapieżnych ptaków lub ryku dzikich zwierząt. Nareszcie bystrem okiem dostrzegł zbrojnego

męża, wychodzącego z pomiędzy ostatnich drzew boru. Natychmiast żywym rumieńcem okryły się jego lica i konia na sam brzeg skierował.

Wtem z przeciwnej strony wsiadł rycerz w łódkę i poznał go Henryk z Kaniowa, a wtenczas, nie mogąc wstrzymać niecierpliwości, ubódł dzielnego konia ostrogą i rzucił się w rzekę. Płynący rumak z odważnym jeźdźcem podnosił czoła nad falę, jak gdyby się chciał im uragać. Zagrzewał go Henryk słowami i głaskaniem, a koń dumny z swego ciężaru, prędkim biegiem przecinał wody. Spotkała się łódka z Henrykiem w połowie rzeki i mąż, na statku w zamyśleniu siedzący, wyciągnął rękę i oddał jeźdźcowi pukiel, krwią świeżą zlany. Uchwycił go Henryk, przycisnął do piersi i, milczącym ukłonem żegnając księcia, odwrócił konia, dopłynął brzegu i, puszczając wodze dzielnemu rumakowi, skierował go ku rodzinnej ziemi — i zniknął.

*

Upływały godziny, a zbrodniarz nie mógł umrzeć. Leżał na ziemi, otoczony krwi strumieniami, spiekle pragnienie garło mu rozdzierało; słyszał szmer blizkiego strumyka, widział przesuwające się wody przed sobą, a nie mógł do nich się doczołgać. Z początku jaśniejące słońce w połowie niebios biło mu w oczy nieznośnym blaskiem, a nie mógł oczów zamknąć ni odwrócić — i przeklinał słońce.

Opanowało go odrętwienie, krew powolniej z szerokiej rany płynąć zaczęła i przez wiele chwil nic nie czuł; lecz znów potem, za zbliżeniem się wyrocznej

godziny, cierpienia się ponowiły i przytomność, naj-sroższe dla niego cierpienie, wróciła.

Przebiegł wśród boleści, śmierci towarzyszących, życia całego liczne wypadki, a nie przypominał sobie żadnego czynu, żadnego słowa, żadnej myśli, coby go obronić mogła przed sądem Boga. Spojrzał w górę, a słońce opuściło wzniosły tron niebios i zstąpiło za wysokie drzewa, oblewając je czerwona zachodu jasnością. Gromadziły się nad jego głową orszaki żałobnych ptaków, z początku w odległych przestrzeniach błękitu krążące, lecz potem, zlatując coraz niżej, czarnym opasywały go wieńcem i pomieszanymi głosami zapowiadały bliskość ostatniej chwili.

Ryk dzikich zwierząt grzmiał ze wszystkich stron lasu i zdało się umierającemu, że widzi ich płomieniste oczy, spoglądające nań z pomiędzy zielonych i żółtawych liści.

Chłód jesiennego wieczoru dolegał rozdartej piersi i krew, sącząca się z niej kroplami, ścinała się na mroźnym wietrze. Nareszcie stanęło słońce na granicy widnokładu — i Mestwin żałował słońca. Przedmioty zmieszwały się przed jego wzrokiem, coraz bardziej krakania i ryki się zbliżały, a nareszcie czarne sępa skrzydło przesłoniło konającemu ostatni promień słońca, a boleść, sprawiona zatapiającymi się jego szponami w piersiach, była ostatniem uczuciem Mestwina na ziemi.

ZAMKNIĘCIE.

Dalsze życie księcia Zbigniewa i wojewody krakowskiego należą do dziejów.

Co się zaś tyczy innych osób naszej powieści, w krótkich słowach opowiemy ich koniec, o ile ten nam jest wiadomy po wielu poszukiwaniach i staraniach, w tym względzie czynionych.

Wszebor w kilka miesięcy po zgonie córki umarł w swoim ciechanowskim zamku.

Wolimir z Moskorzowa ciągle swój urząd piastował, przerywając nudy życia żartami i ulubionymi łowami. Lecz ta ostatnia namiętność przedwczesny sprowadziła mu koniec, gdyż dnia jednego znaleźli go śludzy napół w błocie zatopionym, z sokołem jeszcze na ręku, który już umarłego nie chciał odleci[e]ć pana.

Jordan z Gozdawy towarzyszył wciąż księciu.

Krystyn z Mortoga, pokłóciwszy się z jednym rycerzem o to, czy lepiej prostym lub krzywym potykać się pałaszem, zginął w pojedynku, twierdząc do ostatniego tchnienia, że proste szable są najlepszymi.

Henryk z Kaniowa od chwili rozstania się ze Zbigniewem znika nam zupełnie z oczu; nie wiadomo, gdzie się podział. W mnóstwie chronik jego szuka-

liśmy śladów, ale nadaremnie; nareszcie napadliśmy przypadkiem na rękopism Wilhelma, arcybiskupa Tyru, który krzyżowe wojny opisuje, i tam na następne trafiliśmy słowa:

»Za moich czasów widziano jeszcze za północną bramą Hierozolimy, na polu między czterema palmami grób, przywalony kamieniem, na którym ten, już nieco starty był napis:

HIC I.CET H.NR.CUS DE K.NIO. EQUES
POL.NUS BE.LICA VIRT.TE I.SIGN.S, QUI
T.RT.. DIE P.ST C.PT.M U.BEM ET CAESIS
INF.DE.IBUS EX VULN.RIBUS ACCE.TIS
M.RT.US E.T.¹

R. 1829.

KONIEC.

¹ Po dodaniu wykropkowanych liter napis brzmi: *Hic iacet Henricus de Kaniow, eques Polonus, bellica virtute insignis, qui tertio die post captam urbem et caesis infidelibus ex vulneribus acceptis mortuus est.* Po polsku: »Tu leży Henryk z Kaniowa, rycerz polski, który trzeciego dnia po zdobyciu miasta (tj. Jerozolimy) i pogromie niewiernych z ran otrzymanych umarł«.

AGAJ-HAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i dońskich Kozaków, przemysłiwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięstwem się zdaje. Uradowany niem nad miarę, fałszywy Dymitr wspaniałą wydaje ucztę; bo tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe i, wyjechawszy w pole, na zamierzonej mie-dzy sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassow, niezbyt dawno z bisurmańskiej na grecką wiarę przechrzczony. — Ten, długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony; przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tem pamięci poniesionej krzywdy — żądzy pomśzczenia się za nią. Najsposobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami, obrażonymi również za zabicie ich caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużymi roztruhanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassow, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą. — Bojarowie, widząc mord, uciekają. — Trzech tylko pacholąt polskich, słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak od-

stępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły, w obyczajach rozpasany na wszystko, co nieczne. Znalezione w jego komnacie Talmud, guzy rzemieńne do modlitw i biblię. —

Tymczasem Maryna, dowiedziawszy się o mordzie, zrazu nieszczęściu wierzyć nie chcąc, sama udaje się na miejsce, a znalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpacz, już nocą do Kaługi wraca. Wśród zgiełku i tumultu, z pochodnią w rękę, z rozczochranymi włosami, z obnażonem łonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 Kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzienia wtrącili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy, starosty uświackiego:

»Wyzwólcie, dla Boga, wyzwólcie — dwie niedziele mam tylko zostawionych do życia; pełniście sławy, nabądźcie więcej, wybawiając nieszczęsną! — Bóg będzie wiekiustą zapłatą«. —

Maryna 1611 r.

Posyłają bojarzy po Michała Romanowicza, syna metropolity Filareta, i obierają carem.

W tymże czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz Kozaków, Zarucki, nie opuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki, mówię, po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z kozakami swymi do Kołomy, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy mniemają, że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę Kozacy z Terku. — Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzucało. — Oddalenie się Polaków dozwala Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwałcy wyprawić. — Zarucki,

zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jaik; długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na pałę życie kończy. — Maryna utopiona pod lodem. — Syn jej, mający tylko dwa lata, nielitościwie udu-szon.

Niemcewicz »Dzieje panowania Zygmunta III«.

I loved her as a child, I loved her as a youth,
but she did love me.

Maturin¹ — Melmoth.

Kochałem ją dzieckiem, kochałem ją młodzieńcem
ale ona nigdy mnie nie kochała.

I.

Wieże Kaługi² z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki, śniegiem obciążone, które kołem okrażają równinę, z której śnieg zmieciony, a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo; naokoło gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie; na stoły zastawione, na porzucone ostatki sący się topniejący szron ze świerków i sosien.

Przeszła godzina godów, dziwne po sobie zostawiając ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zagmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białem tle plama krwi, już sucha — znać, że od kilku go-

¹ Karol Robert Maturin (ur. 1782, um. 1824) — nowelista i dramaturg angielski; najlepszy utwór: »Melmoth the Wanderer«.

² Kaługa — miasto w Rosyi nad rz. Oką, stolica gubernii tegoż nazwiska.

dzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać, że dzisiaj wyłana.

Stoły jedne za drugimi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. — Drugie rozrzucone, jak wyspy rozpusty, pomiędzy sosnami, które, idąc od wzgórzów nie gęstymi szeregami, stąpają, otrząsając śnieg z ramion, aż do tego rzędu stołów. Przed nimi, co zostało czystego miejsca od boru, zachodzącego naprzeciw, to zavalone taborem¹ wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, skąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłymi kroplami nad zamarzłymi bryłami, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małmazji.²

A naokół, w prawo i w lewo, jakby na pobojuwisku, porzucone kozuchy, kołpaki,³ oręż; strzały, wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki⁴ próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienia od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby; a nad tem wszystkim znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół szary i węgle, co, konając, sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgiełku leżą ciała trzech pacholąt; każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z roz-

¹ Ta bor — czworobok z spiętych łańcuchami wozów; tu w dalszym znaczeniu: mnóstwo, park.

² Małmazja (od m. Monemwasia na Peloponezie) — przednie wino greckie.

³ Kołpak (z tat. *kalpak*) — czapka, obłożona futrem.

⁴ Sajdak, sahadjak (z tatarskiego) — kołczan, rodzaj torby na strzały.

płataną głową, z rozciągniętymi nogi, drugi z przesyta piersią kłęczy, jedną ręką przymarzył do ziemi, a plecy przymarzły mu do sani z tyłu — trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wsparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bólu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew, ścięta od zimna, połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera¹ i szabli. — Roztłuczone klingi, jak szczątki zwierciadła, migają naokoło nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i społyły się z nimi mocno, na zawsze. Ich palce, szronem okryte, kręcą się wokół onych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo niema trupa, coby leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru, słychać, jak podkowy nurzą się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały — skoczyły na ziemię dwie postaci pośród zmierzchu wiecznego w borze; jedna została przy koniach, druga wyszła z drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba² od szyi do stóp zakrywa całą, ale z pod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod

¹ Bechter (z tatarskiego *bachta*) — zbroja, pancerz.

² Szuba (z tur. *dżuppa*) — suknia podbita futrem.

szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i pełną różę wydają, że niewiasta. — Z czoła sądząc i z pychy na niem, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudę się zamieniły, i szła dalej — aż tu nowa zaporą ją zatrzyma: w szacie książęcej kadłub bez głowy; głowy ni dalej, ni w prawo, ni w lewo nie widać — ale na ręce, odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła. —

Był to krzyk nagły, głośny; znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi, jak tony muzyki — ale zarazem w nim odbiła się cała dusza: pełno zniszczonych nadziei — żądza niewstrzymana osiągnięcia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej na ruinach swego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń dotąd stojący przy koniach. — Leciał, jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi, i lecieć znowu — przybiegł i, spozierając, klasnął rękoma, jak dziecię zazdrośne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodzianie owym było coś dziecinnego i straszego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego rysach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdzięku młodości — oba mieszały się ciągle lub rozdawały się, jeden nad drugim brał górę, choć chwilą później stłumiony wracał i od-

pędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną, jak opalowe połyski.

— Witajże mi — zawołał — panie tyłu carstw i grodów i gródków! — to mówiąc, wstrząsał głową, na której leżała misiurka¹, złotem okwieciona — potężny i wielmożny kniaziu moskiewski! — i igrał z siatką żelazną, spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło — najjaśniejszy i niezwykły jedynowładco gospodarstw² tatarskich! — i przebierał palcami po szarfi zielonej, złotem ziarkowanej — panie i dzie-dzicu wszytkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze,³ Ży-dzie! — i tupał żółtymi bucikami z srebrnymi ostrogi — przepadłeś, jak należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole, przyszczami zasianem, na głowie potwornej z podłymi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu, opity winem i miodem, pełny mię-siwa i jadła!

To mówiąc, drżał cały od złości, aż łuk, przewieszony na plecach, zabrzmiął o miedź sajduku, aż szabla starła się z ogniwoi łańcuszka, na którym wisiała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nuty dziecinnego śpiewu aż do grzmiących dźwięków surowego męża — to ostrym się stawał i zbliżał do świstu, aż znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu tak

¹ Misiurka — żelazne nakrycie głowy z przyczepioną od tyłu siatką, spadającą aż na ramiona dla zasłonięcia szyi.

² Gospodarstwo — państwo.

³ Dymitr Samozwaniec II, który miał być Żydem, podał się za swego poprzednika i został nawet uznany przez wdowę po pierwszym, Marynę Mnischównę.

był okropny, pełny zawziętości i urągania się, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierżyła oczy k niemu niewiasta niby z politowaniem, niby z pobłażaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego, ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wyglądała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli, przelatujących w mózgu — znać zatem, że nieład i burza w jej duszy. —

— Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i, zdjąwszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj! —

Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną; ale, żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału¹ i popracować wokoło palców, szron odskrobać, krew skrzepłą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie zalśniły po dawnemu, i, zbliżwszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie. —

— Dobrze Waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie — ale Waszmość pamiętaj, kto jesteś, a kto ja!

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han — myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, hospodarką ziem i księstw i miast? — Nie. — Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknymi, lwicą, panią

¹ Por. t. I, str. 23.

pustyni mej duszy, gładszą od huryssów¹, w raj u nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. — Takiej mi trzeba!

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. — Spogląda w oczy mowcy, ni zmieniała się na licu, jedno wita każde jego słowo uśmiechem, jak pani, co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania.

Twarz Tatara skrzywiła się i z miękkiej, świeżej na chropowatą, nadętą się zmienia. — On poznał bowiem myśl carowej. — Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach, jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie, a, ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który, zdawało się, że wprzód pęknąć jego piersiom trzeba. —

— Wasza Uprzejmość i Miłość! Hej, lotny mój koń i brzęk moich ostróg i klingi ostrze i strzemion blask i buńczuka powiew i chmura kurzu, w której przelatuję stepy, jako duch i książę ich, lepsze dzisiaj, niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imię carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci, jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca. —

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to, żeś nieświadoma tajemnic Samarkandy² i Diarbeku³ — to, że ci dyament Salomona nigdy nie bił w zrenicę,

¹ Huryssy (z arab. *huri*) — dziewice, które w raj u Mahometa mają być jedną z nagród dla zbawionych muzułmanów.

² Samarkanda — starożytne miasto w środkowej Azji, stolica niegdyś Tamerlana, który tam ma swój grobowiec.

³ Diarbek, Diarbekir, Diarbekr — m. nad Tygrysem, stolica prowincji tureckiej w Azji.

choć twoja zrzenica jego blasku pełna — to, żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwymi i mądrymi. Ale o tem później — teraz znaj mnie, jakim jestem, jakim byłem raczej kiedyś, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał, nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. — Allah, Allah! — tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść — bo Wszechmocny strzeże królów i królewskich synów. —

Oparła się o sosnę owdowiała pani przy ognisku, palącym się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu, wiszącymi na gałęziach — napół słyszy, napół myśl gdzieindziej lata, gdzieś tam ku Kremli¹, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów. —

A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którym błyszczy tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowych Azyi, marzeń ognistych rozhuздany² goniec, pustyn dziecko, promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, Farys³ z Szczęśliwej Arabii⁴, kochanek dziewic o czarnem oku i włosie, bohater w walkach na wielbłądzie i dżannecie⁵, ciągnął dalej z żywymi poruszeniami, podno-

¹ Kremlin, właściwie Kreml — zamek carski w Moskwie.

² Rozhuздany (wyraz w tej formie nieznany Lindemu) — rozuzdany z dodatkiem *h*, jak niżej huздa zamiast zwykłego uздa (na podobieństwo hułan — ułan).

³ Farys (wyraz arabski) — jeździec, rycerz.

⁴ Szczęśliwa Arabia tak nazwana przez Ptolomeusza część południowo-zachodnia Arabii, dziś Jemen.

⁵ Dżanet z włoskiego *giannetto*, a to z arabskiego *dżanneti* — rajski, piękny (koń) — rumak.

sząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując, by wyraźniejszymi były słowa.

— Na różańcu¹ mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało, tyle dyamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic, ile gwiazd na niebie, a jedna tyło królowa, błada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych — matka moja.

Namioty ojca, jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azraela² wezwie do boku. — Stada koni, hordami rycerzy obsiadłe, latają, gdyby Simumu³ wiry. — Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd, na straży przy świętej jego głowie — a mnie, dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła hanów i paszów, powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmia u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur z kadzideł, w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle drogimi kamieniami, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyska i każde dźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze. —

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłał emiry⁴ i strzemię srebrne trzymali, kark pod-

¹ Różaniec mahometański składa się z 99 galek; modlący się wymienienia przy przesuwaniu każdej jeden z 99 przymiotów boskich, zapisanych w Koranie.

² Azrael — anioł śmierci u Mahometan.

³ Simum albo Samum — gorący wiatr pustyni, suchy, unoszący z sobą piasek; wieje zwykle w lecie w zachodniej Azyi, osobliwie w Arabii Skalistej.

⁴ Emir (wyraz arabski) — dowodzący, naczelnik, niekiedy w znaczeniu naszego «książę». Tytuł ten noszą także wszyscy rzeczywiści lub domniemani potomkowie Mahometa z jego córki, Fatymy.

stawiając pod stopę siadającemu — i łuk jednorożcowy¹ mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzały z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. — Każda z nich, lecąc w górę, była wschodzącą, spadając na dół, zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych z nad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę, księżycami zasianą, i oręż farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. — Na polach, ananasami okrytych, zwarliśmy się nieraz — pośród kwiecia padały trupy. — Oh, ty nie wiesz, co to bitwa nasza. Chmury, patrząc z nieba, zazdroszczą nam i lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmiem², nad Iranem³, nad brzegami Kaspii, wokół Stambułu i jeszcze nad górami Krymu, jak zrzennica samego Allah[a], jak koło z topiących się wiecznie dyamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej, niż giaurom⁴ północy. — Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże,

¹ Jednorożec (*Monodon monoceros Lin.*) — ssak, przebywający w morzu Północnem. Jeden z jego zębów wyrasta w długi róg i służy, podobnie jak kość słoniowa, do wyrobu różnych narzędzi.

² Kaszmir — kraina ze stolicą tejże nazwy w Himalajach na północ od Indyj.

³ Iran — wielkie płaskowzgórze Azji, ciągnące się od gór Hindukusz do zatoki Perskiej i morza Arabskiego.

⁴ Giaurom (z tur. *giawur*, niewierny) — nazwa, nadawana chrześcijanom i żydom przez Mahometan.

pierza ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, huryssso moja.

A skarby carów! Śmiej się z nich, harda pani — to błoto i kurz! — Ich korony naszych krymek¹ nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku² by się przedr[zy]żniały. Gąsienicę z nad brzegów Hindu³ okręć wokoło palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni!

O, chodź ze mną! Pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna waszym dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga! —

Uśmiech uszczypliwy błakał się na uśmiech Maryny, nie pewny, czy usiądzie na nich, czy odleci tak, jak zwykle w zadumaniu. Wtem odezwał się tętent — pędzą na dwóch koniach jeźdźcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

— To Urassowa⁴ Tatarzy — zamordowali męża twego i wracają po ciebie. — Czekajno, huryssso moja! —

To mówiąc, oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu⁵ i nogę wyciągnął przed się. — Nagle, tak

¹ Krymka — barania czapka tatarska.

² Ruiny Daldeku — zdaje się pomyłka zamiast Balbeku. Balbek, starożytne Heliopolis — dziś miasteczko w Syrii u stóp Antilibanon, sławne przez swe ruiny.

³ Hindu lub Indus — wielka rzeka w Indjach przedgangesowych.

⁴ Por. str. 389.

⁵ Kołczan (z tatar. *kułdżan* lub *kułczan*) — pochwa na strzały.

nagle, jak cień chmury, burzą pędzonej, odmieniła się twarz jego. Znikło pacholę, marzące o kwiecicach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic dżengiskańskiego rodu¹, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbroczoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. — Biegną jeźdźcy naprzeciw — z cierpliwością fakira² dopuścił ich na śmiertelną metę; mógł był ich ranić od dawna, ale nie — on zabić chciał. —

Oko w piersiach przodem biegnącego utopił, a chwilą później i strzałę; odwinął rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego; przez chwilę bawił się pewnością, iż go dośleże — palcami igrał po cięciwie, jak śpiewak po strunach harfy przed zaczęciem pieśni — wreszcie naciągnął ją, aż stęknęły rogi łuku, a Tatar zajęczał i runął z siodła pomiędzy sanie. —

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawięła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia; dalej więc mówił, oparłszy się na łuku, ale już nie śpiennie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo:

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. — Darmo przez

¹ Dżengiskański ród. Dżingis-chan, właściwie Temudżin — słynny zdobywca mongolski, um. 1227 r.

² Fakir (z arab. *fakyr*, ubogi) — derwisz (zakonnik) indyjski.

dziewięć słońc i dziewięć nocy, osaczeni, walczyliśmy tako, że aż dyamenty pocily się na naszych turbanach. Sułtan, padisza¹, pan żyznych niw, han tysięcy, ojciec mój szablą zagiętą śmigał po karkach nieprzyjaciół, koń rączy podkowami srebrnymi deptał po trupach, na jego szatę przepyszną krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zmieniły...

Patrzę dotąd na las z buńczuków² w górze, na morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy³ i dżyrydy⁴, lecące wskrós powietrza, jak ogniste węże, na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, na strzały, bijące w pióra hełmów i w mózgi pod hełmami, w złote hafty kolczug i w serca pod niemi. Dżarmida tłumy czarne, posępne — to stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty. — My wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obkoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach, aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze rotę blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława⁵ i bułat⁶ każde nasze, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

¹ Padisza (z perskiego) — monarcha, cesarz.

² Buńczuk (wedle Muchlińskiego z pers. *mendżuk*) — sztandar turecki, zrobiony z ogona końskiego.

³ Spisa (z niem. *Spieß*) — długa lanca.

⁴ Dżyryd (wyraz turecki) — krótki pocisk.

⁵ Buława (z tatarskiego *bulaw*) — tu w pierwotnym znaczeniu: maczuga.

⁶ Por. t. I, str. 23.

Darmo — darmo! Zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny. Jeliśmy więc umierać w szajfach pod niebem prześlicznej pogody, dniem i nocą. — Matka moja, perła wschodu, ptak najśpiwniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i, wróciwszy raz do namiotu, trupy, oparte o sznury i słupy, zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblis¹ oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słysząc Diwa², którego on przysłał na naszą zagubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce, jak mała dziewczica; do kogo rączkę przytuli, ten czuje zrazu niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch, jak dwa ciemne topazy, krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysso moja — patrz — noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu, ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy wokoło księżycy brzęczą, jak pszczoły przy ulu! Zapach trupów miesza się z wonią kwiatów, bo kwiaty na naszych polach, choć kopyta je stratuja i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzideł.

Wrzaski dżarmidowych grzmiały w pobliżu, jak skowyczenia szakalów; we mnie i ojcu wre zemsta i chęć

ostatniej rozprawy; w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drży z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem — na insze nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym, hurysso moja, płomień i dym, a płomień czerwony, jak tysiące krwią zaszłych oczów, oderwanych od czaszek, skupionych razem — a dym tak czarny, jak azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. — Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie, gdzie, jak stado przelektłych wróbli.

Biłem się jeszcze dżyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy, ostatnie jego błogosławieństwo... Przeszli wrogi, nie postrzegli mnie — wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha. Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych puharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem, uchodząc z pola, ćwiartowałem ich członki, wyrzywałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze, rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął — ale Allah strzeże królewskiego syna.

Hurysso moja, to szalbierz, żyd, oszust — zawołał strasliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kiafelu — a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysso moja!

¹ Eblis — zły duch, szatan.

² Diwy — według mitologii Persów złośliwe duchy.

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy, odelgnawszy od drzewa, spojrzała z wysoka na mówiącego.

— Idź przodem Waszmość i potrzyмай konie! Wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu W. Kniazia.

Uniesienie młodziana skrzepło pod temi zimnemi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał, budząc się z marzeń na jaw rzeczywistości.

Lecz przemijającym było to osłabienie, bo jego dusza, wieczna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć nierządnicą, na przemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty, tlejącą pod spodem — i, pojrzawszy na Marynę, szedł, jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczy pierścień po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodnią ku tronowi carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje się na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów, kołyszącymi się w cieniu kołpaka, piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreszcie spadkiem ramion i ujęciem kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każdy głębokimi ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach, skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o piersiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na

tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką.

Agaj-Han jechał z tyłu, przodem carowa.

II.

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek carowej; potrzęsają niemi zbrojne ręce. Dziwnie czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach husarzów, po kolczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzyw końskich i buńczuków kozackich, pieszczą się z bogatemi jelcami¹ u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita. Myślą, że białogłową wrzaskiem zastraszą, o żołd wołają, o nadgrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora: męża Dymitra zabili, sama została — niech nam więc sypnie z krążanka kamieniami z mitry² carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na sztuki! Hej, pani! hej, carowo! hej, Dymitrowska żono, gospodarko nasza! a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas!

Zgiełk naokoło bram, zgiełk po dziedzińcu; tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego

¹ Jelce — część rękonośnicy, chroniąca rękę od cięcia.

² Mitra (z greck. *μίτρα*) — przepaska głowy, dyadem.

z tłumu żaden nie zaczepi — bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem, jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze, lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda — bycze barki marszczą się nad kształtnem ciałem, nogi nie prosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i śpią, niż chodzą i śpią na ziemi — jednak one potrafią i naprzód skoczyć i w tył równie giętko się cofnąć — w otworzystych oczach znać, że i do surowych i do namiętnych spojrzeń zdadne; pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodni płyną a w zrenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną, spadłą od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów, uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy nieodstępny towarzysz.

Na piersiach bechter — i znać, że piersi niezwyčajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie; one w kaftanie lub koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie, spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak, jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek; nim rozbija rycerz

pętlice na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowem spojrzeniu wytrzymuje, a kiedy przystąpią, jednym znakiem dłoni, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza carowa ukaże się wam niedługo — czekajcie! —

I młodzian o szarfię zielonej stał oparty na kracie krążanku; nie rzekł i słowa więcej, ale spozierał na żołnierstwo z uśmiechem czy litości czy goryczy, jakby urągając tłumowi. Może też i dawny zwyczaj przypomniał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwa i pogardzać niemi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje carowa! — zagrzwał wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stapań śpieszących na miejsca swoje.

Husarze, pancerni, Kozacy, Tatarzy w porządku stanęli na podwórcu. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozerwanych orszaków, ale po rzędach kirysów¹ jednym, długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem, jak lampy w galeryi.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszone i konie i jeźdźcy, milcząca piechota, jedno szmer bie-

¹ Kirys (z niem. *Küris* a to z franc. *cuirasse*) — pancerz.

gnie po rotach, podobny do szumu gałęzi, śniegiem obwisłych.

Młodzieniec znikł z krążanku i giermkim przed carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałem spojrzenie, które na nią rzucił. W niem przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nadgrody nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach, padających z wysoka świetnie, jak rosa, chłodno, jak szron zimowy, ale w tych względach, którymi piękność osładza trudy walecznego rozkoszy puharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią z ręką na szabli, strzegąc jej kroków, jak ojciec, rozplywając się w jej widoku, jak kochanek.

A carowa wyglądała tej nocy właśnie, jak trzeba na drażnienie męskiego serca: na licu płonie od namiętnego oczekiwania, na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi — ale za to ramiona błysnęły z pod niego. Szata z nad piersi gwałtownem biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhuzydanym oczom. I włosy też zwolna spływają w dół, na ramiona, na plecy. Oh, kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie. Statku i urody tyle na tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liśćmi róży, drżącymi w po-

wiewie — raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoii.

A jako na panią licznych ziem i grodów przystało, obziera szeregi rycerstwa; czasem też łza spłynie z powieki, niby męża pamięć — to pamięć Kremlinu. Każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy. Pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił — ona je, podjawszy, pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem, wreszcie zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzieniegdzie sypiąc złoto i srebro:

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie, Waszmoście! Kiedy patrzę, ja biedna i nieboga, na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce, bo wiem, że Polak odbieżyć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską, Waszmoście, prawą carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puściecie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata! Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców, ależ jam i syn mój zostali! On śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca; uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny. Nie odstąpię przeznaczeń boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu! A więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie, Waszmoście, o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opo-

wiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom stolicy mojej!

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana i klingę obróciła ku pierśsiom; zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścicie mnie, Waszmoście! Zemsty, zemsty za panią waszą! Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna i dzisiaj. — Ratunku, pomsty ja wołam po was!

I żelazo piersi dotknęło i ręką mocno ściska szablę, a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ulatuje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęciła Adama.

Agaj-Hana twarz natężona, oczy wlepione w carową; nie chce stracić i jednego jej słowa i jednego jej ruchu. Rozpływa się w milczącej rozkoszy i wzrokiem ssie jej wdzięki, jak pszczoła, nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawilo na rozkaz wyobraźni, więc niewzruszony, we wschodnim letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem naokoło hełmu.

— Mołodźcy¹, hej, do mnie! Hej, do Zaruckiego²! — Ja przy carowej, a moi przy mnie!

¹ Mołodźcy lub mołojcy — tyle, co nasze chłopcy.

² Iwan Zarucki — głośny ataman kozaków. Miał być rodem z Tarnopola (w dzis. Galicji) lub z okolicy; porwany przez Tatarów, wychował się w hordzie i nawykł do obyczajów tatarskich. Później umknął do Kozaków nad Don i stamtąd przyprowadził hufiec zbrojnych

To mówiąc, zbliża się do niej, wskazuje na szyki, co przybiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności, drży barkami, drży ramionami, już mu ramiona podnoszą się od piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici...

Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam, po ulicach, lecz ówdzie, po rynkach, wrzaski i kłótnie, smolne ognie i kagańców błyski.

*

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zasłony u łoża, firanki u okien, obicie po ścianach błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny¹, złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra to białe, to czerwone.

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Zrana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy — tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż, rumiany od napoju, zataczając się, wyszedł temi drzwiami — już nie wrócił, już nigdy nie wróci!

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej

Samozwańcowi pierwszemu, którego stał się ulubieńcem; po jego śmierci przystał do Dymitra II.

¹ Karacena (z włosk. *corazzina*) — pancerz, złożony z samych łusek stalowych.

poduszce twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci i bezwstydu, że słyszy, jak to ciało rozmarzone po uczcie, przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra, lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewne żadnego nie czuje, obrzydzenie tylko, a jeśli jaki żal doń się miesza, to, że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się, niepewna, czy pójdzie dalej. Coś, zda się, ciągnie ją ku owym drzwiom, na pół rozwartym obok łóża, za którymi schody blade kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje, gdyby wryta, z oczyma, wbitemi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale w jej męskim sercu niedługa bojaźni przewaga, jakkolwiek ta bojaźń być może. Więc, lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła nimi. Dziwne to przejście. Splotami węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie okna, nigdzie strzelnicy, jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkiem idą, ledwo ścian się dotkną gdzieś, zresztą wiążą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szумы i głucho szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają, niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z niemi.

Długo błąkała się carowa, ale to jej nie odstręcza; równym zawsze stąpa krokiem, trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, coraz dalej, wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki — w murze czarnym drzwi się bielily, a od ich kamiennego progu most, rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków carowej, choć dopiero doń się zbliża. — Cóż dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzód próbowała jego mocy, wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając, ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale od razu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku drzwiom jedynie dzierżąc oczy; deszczka ugina się pod jej stopami, jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna niemasz.

Śnieżnymi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwa — rdza została na palcach, nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła z pod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach, o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przerwał — zawisł jak długi na klamce. Przypięła lampę do niego i oboma dłońmi bierze się do kłódki, a lampa, kołysząc się zwolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół czy w górę, skonać musi wśród cienia — ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem i rękojeścią tłukła w nią carowa; drzwi otwarte. Dla-

czegoż nie wejdzie natychmiast? Dlaczegoż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu? — Wszakże niebezpieczeństwo dokoła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo blizka pęknięcia! Nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Blizką celu znów słabość napadła — i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat cmętarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej było skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozczuchrana, z pomięszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i, podniósłszy lampę, rzuciła wzrok naokół śpiesznie, błędnie; tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy, kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła: i ściany, ubrane w pajęczyny, i strzelnic dwie i sklepienie, ostro pnące się w górę, ślady dymu po niem i piec żelazny, szerokie krzesło i stół dębowy z dwoma księgami, z krymką hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na roztwartych księgach pismo niechrześcijańskie, ni greckie ni łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę; nie zagaśła jednak, owszem, żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka sandomierska¹ zalała rękę w gorzkiej rozpacz. Patrz na nią teraz, a ujrysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą o swojej młodości, o domu

¹ Carowa Maryna była córką wojewody sandomierskiego, Jerzego Mniszcha.

ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości wśród niemych dowodów hańby i poniewierki!

Sprawdziły się poszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O, patrz na nią teraz, patrz, jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne, rozmiękle od płaczu, świeższymi się wydają. Wprzód były świetnym, ale suchym kwiatem; rosa czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiośnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą!

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno, jak u dziewczycy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świetle, ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą, jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie, pełne wdzięku; na czole pochmurność, która na łzy stopić się nie może, na czole pozostała дума, ale poniżona, cierpiąca. Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogie Maryi, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelekłej: i wspomnienie pierwszego męża, dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona carów, i towarzyszek dzieciństwa i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła, i kaplicy z grobami Mniszchów, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna za dusze przodków i szczęście rodziców; aż tu znów wali się przepych Kremlinu i ślub z błogosławieństwem króla polskiego i dary bogate i tłumy bojarów niewolników i wesele i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym,

panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy! Ach, to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ach, to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż! — Ach, to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swoim! I znów spoziera na biblię i talmud,¹ na krymkę i szatę czarną; zadrżały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jak gdyby wzywała pomocy, mdło, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada — wtem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szyderczy wróci do życia pýchy i gniewu.

— Huryssso moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe, jak rosa, co błyszczy z rana: w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha, niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego żonę, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swojemi! Huryssso moja — nie taki, nie taki mąż przystoił tobie!

Leż już nie było na jej twarzy ni rozrzewnienia w duszy — ale, choć obrażona, choć chciałaby karcieć młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę tam, gdzie trza było jej, by zastał carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć po licach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał na przeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą

¹ Talmud — dwie księgi żydowskie (Miszna i Gemara) treści religijno-legendowej, czczone przez niektórych Żydów na równi z biblią.

potoku; kląkł Azyanin i, obie ręce w krzyż złożony na piersiach, zawołał, zaśpiewał raczej:

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, zagłu biały na lazurówem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój, niech zrzenicy twej piorun nie pada na mnie! Kroków twoich strzedz chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem. Hetman kozacki, Igor Sahajdaczny¹ Zarucki, twoim rozkazom się stawiał — czeka w sali zamkowej na ciebie, jako na wschód słońca.

Tu uśmiech szyderczy utkwiał mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem:

— Szablę ojcowską uniosłem z pożaru i rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy; piętnaście strzał noszę w kołczanie, a każda ma skrzydła, a każda ma żądło, którem ssąć krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handzar u mnie, zimny jak wąż, śmiertelny jak wąż, ale bez dzwonków i, jak wąż, ostrzegać nie raczy. Huryssso, czy dosyć na jednego wroga? A teraz powtórzmy: hetman kozacki, Igor Sahajdaczny Zarucki, czeka na swoją panią.

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć, skąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia. W jego ruchach, rysach, w głosie, w odwadze, pełnej urągania się, w zapale dziecinny, w marzeniach wschodnich było coś urocznego — może i ten

¹ Sahajdaczny (od sahajdak) — u Kozaków tyle, co hetman polny; tu stały przydomek Zaruckiego.

urok padł na carowę; nie, żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy i szwały, jak gdyby upodobała sobie w jego dziwaczności. Kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścionek, jeden z setnych pierścieni carowej.

III.

Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnemi stopy i wewnątrz i zewnątrz zamku. Moskwa zamek obległa, nie uznaje carowej i wrzeszczy o Władysławie¹ polskim, to o Szujskim, Moskalu, a huczy i burzą wali się na mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jedno zadrży czasem, a potem znów niewzruszona nad głębokim rowem tuli do piersi most zwodzony, jak olbrzym małego pacholęcia.

Kiedy działa grzmiały, strzały w milczeniu przelatują powietrze — kiedy działa umilkły, na nowo świstać zaczynają strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedna naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

¹ Władysław, syn Zygmunta III, wezwany na tron carski, nie przyjął prawosławia i dlatego wybrany został carem Wasyl Iwanowicz Szujski, który się jednak na tronie nie utrzymał; wywieziony do Polski, umarł w r. 1612.

A zamek dokoła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże; z tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galeryami, schody z gotyckimi i wschodnimi ozdoby, na pół twierdzą, na pół minaretem¹ się wydaje, bo naokoło ścian, jak w kościele, wydłutowane świętych postacie i krzyże i róże, tu i owdzie znów palmy i półksiężycy, dalej krużganki z filarami do zażywania chłodu w lecie, a między nimi rozrzucone baszty, skąd długo bronić się można, a gdzieniegdzie występuje przedsiónek, na którym sterczą głazy, beczki smolne, przeznaczone głowom oblężyców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrabiony. Lud wieżę tę »mongolską« nazywa. Na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkoma dworzanami. Rysów jej nie znać w odległości, jedno połysk bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najsrozsza walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem rozkoszy go² wita. Stąpa, jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach; z niego czasem wyjmuję strzały i puszcza łukiem* — one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje, jak gdyby festynem: urządza rotę, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystemi oczyma.

¹ Minaret — smukła wieżyczka przy meczecie, skąd muezzin wzywa 5 razy dziennie muzułmanów donośnym głosem do modlitwy.

² Powinno być: je t. j. niebezpieczeństwo.

Jak ryba, pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, kochanej, przeźroczystej wodzie, tak on wśród krwi płasza, wąsów pokręcając, podnosząc czoła, witając z uniesieniem wystrzał każdego, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem i przykładem, zachodząc wszędzie drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie się on ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce od drabin, od baszt spadają w rów, aż woda kipi od ich spadających ciał.

Tak dnia tego wództwo sprawował Igor Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmiały wokoło, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony. — Młodźcy ochoczo go słuchają; wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych, o pogrzebie pomyśla, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahajdaczny, nie już w radości, ale w goryczy męża, który nadarmo roztrwonił swe siły, który dzielnie się potykał, a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić się może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczuki tańczą pod murami zamku, skacząc do nich, działa rażą ciągłym ogniem — młodźcom głodno, cały dzień nie jedli, nie pili; młodźcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach, niż braci żyjących przechadza się po nich.

Wtem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym

hełmie, z półksiężycem na szczycie, podobnym do półksiężyca niebios, zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdym poruszeniem, iż nieledwo znać na niej muszkuły ramion z pod spodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po łukach, dzidach, hełmach, rozsypanych tu i owdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa, jak dziewczyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciało w tę i ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wśród trupów, jak król wśród poddanych, i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej, Igorze Sahajdaczny Zarucki — zawołał — pani moja i twa, Maryna carowa każe, byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, iż wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męstwie nie zbędzie.

— Giermku — odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa — próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znał moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc, dziecię, chłopię, skądś przybył, bo twój szyszak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą!

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świdrem

poszły mu oczy; porwał za łuk, naciągnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół: warknęła struna, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów Moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się już nie skokami, ale poważnem stąpieniem.

Ktoby był patrzył na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapalem; coraz rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów; wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i podchlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy, garnące się ku zamkowi — ni pomięszania ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. — Ciągłe twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie stanie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie, bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nachodzą po drabinach, bo, karkiem przenosząc i swoich i tamtych, i na chwilę czoła nie zniży, potu nie obciera — niechaj sobie płynie; krwi nie obciera — niechaj sama zasklepi moje rany; a rany nie ciężkie, jedna na piersiach, druga na lewym ramieniu, zbroję mu farbują. Bolesć z nich drażni jego męstwo i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Na próżno! Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podwórzec się dostanie.

Dziki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjacielem wałęsa ku podwojom carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zamku nie obroni.

— Rozsypcie się! — woła na młodźców swoich. — Gdzie który może, niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach, przy broni, w Gorczakowym lesie!

Wnet z około męża znikli towarzysze; w mroku czerwieją ich ciała, schylone, zawieszające się u strzelnic, czołgające po murach, aż wreszcie przepadną to za okopem, to za stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów, każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze. Przez chwilę spozierał na zabita starszyznę wokoło bez żalu, bez litości, wzrokiem, jakim się na powszedni chleb patrzy; potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza.

Krótką ale trudną była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie baczności wrogów. Walczyć musi co chwila z trupami, rozrywać ich gęstwiny, by łatwiej przejść było, zrzucić je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hasają z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze, tu i owdzie przeskakiwać przerwy, od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancierzów, hełmów i szabel — lecz im więcej przeszkód, tem srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie go do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje; jeden tylko tam obraz pani urodziwej zawiesza i kołysze na falach krwi, do czoła bijącej.

Doszedł piętra, równego z murem, w tej samej chwili,

kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galeryi nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar i zbroi i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. — Biegł potem na górę tak, jak zwykle biegał na koniu po stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańczą na wsze strony, przez szyby znać to oręż, to kołpaki, na dziedzińcach u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępuje, jak potok, odparty skałą, a wracający do szturm na skałę, kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopał ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych głucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie, strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświeconej, siedziała carowa z berłem w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją odbiegli. Dwie służebne panny, Polki, i jeden tylko Agaj-Han przy niej w tej stanowczej godzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonem czołem, krwią oblany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jak gdyby gońcem był zwycięstwa, bohaterem wygranej.

— Toż Waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić Wielkiemu kniaziowi, ale wdowie wolno, jako słabej, niemściwej białogłowie. Broń mnie

Waszmość, dopóki kroplę krwi masz w żyłach, lub, jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie!

Wypił ten puhar goryczy Zarucki z stałością męża, przeświadczonego, że powinności dopełnił; nie więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie, ostrzem swojego pałasza. Śmiech szyderyczy rozległ się z tyłu, a on wwiercił mu się głębiej w dumę, niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słychać następnie, jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje pękają pod młotami, pod toporem — coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali carowej po zamku całym, nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny; potem, kiedy coraz bliższy, już nie kona, ale, każdą wpadając strzelnicą, hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drży, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały, zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ściska za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać, jak zazwyczaj, bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpacz wokoło rękojęści, kto ni oczów nie przymruży dla

uniknienia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch, jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igor Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanym ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paizą¹ w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskiem ta chwila jeszcze rozkoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszek, klęcząc, wzywają Boga wpół otwartymi ustami, z których żaden głos nie wychodzi — szczęśliwie, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli i handzaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrz na panią, to na Igora i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki wokoło ust, od skroni, na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na carowę, z ukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu, zatkniętego u łona Maryny, z uwagą pilnuje, izali Sahajdaczny nie odwróci głowy — a tu coraz bliżej, coraz bliżej huki i gwary i wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słysząc, jak pila

¹ Paiza (wedle słownika warsz. z węg. paizs) — niewielka tarcza, używana przez konnych.

wgryza się w belki, jak topór kowadli¹ o rygle; w podwojach znać już dziury wytłukli, bo kagańcowe połyski już biegają po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błędzące, ale coraz żywsze, coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zwarzył różę na licach Maryny. Ostatkiem dumy wiedziona, powstać chciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła na posadzkę i, tocząc się, pobiegła ku drzwiom, minęła Igora, na schody zbiegła i, pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho, jak kamień, co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłośny wzrok rzucił na carowę, piękną w swojej niedoli; potem skoczył, gdyby dzikie zwierzę, z handzarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na hełmie, i stamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu. Nie wiedzieć, jak poszło żelazo, czy głębią, czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele mu przeszła. —

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlącej Maryny i, stanąwszy przed nią, zawołał: »Macie, czego szukacie — bierzcie i prowadźcie!« — ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało — ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewczicę, porwali i znów potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, złali się na dziedzińce. Czuwał

¹ Kowadlić (wyraz, utworzony przez Krasińskiego) — uderzać jakby w kowadło.

nad nią Agaj-Han, czuwał, jako dziecko czuć może: westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciółmi.

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęką broni, ni światła pochodni nie było w pustej komnacie, [z której Moskwa wyprzątnęła wszystko, nie pomyślawszy] o jednym tylko, przed wejściem leżącym ciele, krwią oblanem: ono ciało zaczęło jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzucenia ciężaru z piersi, to się podnosić, aż znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającym a śmiercią, nie skorą do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, targająca każdą żyłą rannego. — Kiedy wreszcie młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrzał naokoło; już krew nie płynie, znać, że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że przywykły do omdlewań z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecko szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom współstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo. Postąpił ku oknu i, słabą kratę wyrwawszy, spojrzał w dół: na dziedzińcu pod nim i pusto i głucho, na dalszych huczno i płoną pochodnie. Nie namyślał się długo, nie raczył ręką sięgnąć do rany, bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał, jak zwykle czynią ludzie, stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży, zaczął spuszczać się po niej,

oboma ramionami trzymając się gzympsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwytą się rękoma, inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci, jeśli o cal chybi, urągając się z niej, bo wie, że o cal nie chybi; bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stopy go jeszcze potrzebują i koń żartki rzy za nim i braci młodźców tysiące czeka na niego i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV.

Świat słyszał o ludziach, nad którymi zapadł kamień grobowy więzienia — którzy zrazu płakali i jęczyli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawał chleba, by wodą popić go mętną i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźniwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze, jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawniej.

Ale oni już, znuzeni trudami życia, dostali się pod czarne sklepienie; nieraz krew z ran im płynęła, nieraz duszę przygniotły frasunki. Mieli może wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze słomy padli, a ciężar przeszłości gniecie

ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy, a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jedynym śladem jest życia, długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swojemi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed nimi, jako duch Cezara przed dumającym Brutusem.¹ Lecz dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają.

Lecz młodej, hożej nad hożemi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami, wiszącymi u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony, ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna, już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych² na dłoń nie wkręcili. W pośmiewisku obok na stole berło drewniane położyli; ni katolickiej książki do modlitwy nie dali, ni towarzyszek żadnej nie przypuścili do boku — zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu; wokoło znać ślady ich paznogci, ich palców, które w szaleństwie, długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pajaka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości, osypanych prochami. Kątem ostrym wiąże się u góry sklepienie, przynajmniej tak się domyslać, bo w połowie ścian poczyna

¹ Por. Plutarcha Życie Cezara, LXIX.

² T. j. kajdan.

się ciemność i ta zakrywa resztę lochu. Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze; kraty w nim tak gęste, jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważą przejść za nią, błedną i, nie długo pobywwszy, cofają się nazad.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zatleje, jadło przynosi i, naszydziwszy się do woli, odstępkuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa, wisząca na łańcuchu, jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, coraz płonąc mocniej, za słabą na oświatę lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryni.

Nie zgasty oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja, podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramię, krwią zbryzgane, zaciętszem na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości — większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod niemi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy białychgłówni i w dojrzałym wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się ozywa; o niemowlęciu swoim marzyła długo w samotnej wieży, ale nad obraz jego kolebki obraz tronu carów się wznosi, opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, a on tak wysoki, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy umiłał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży, w skromnej sukni kłęczy

u stóp jej w ogrodzie ojcowskim; wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, naokół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej młodziuchne dziewczę — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc, dlaczego, lży rozczulenia kapią z jej ocz na włosy młodziana. Pacholę to, nieznane nikomu, na dworze pana sandomierskiego¹ się chowa, mało młomi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu, niż ludziom, z którymi przestaje; z męstwa słynie na łowach, z dowcipu i uprzejmości doma, a córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka w głąb sadów, pośród zarośli idzie za przewodnikiem i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on, kiedy uczuł blizkie jej tchnienie, zarzucił ramiona na szyję i, usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego; ale on jej krzyki uciszył, lży wstydu zatrzymał jednym słowem, od nikogo wprzód nie słyszanem: »Ja carować będę«. —

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały — i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle; liczy bitwy, których konieczność, nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć i swoich i swojego rycerstwa.

¹ Jerzego Mnischcha, wojewody sandomierskiego.

Nie na to mocarze bliżsi Boga, by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedyś do tronu, tem szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. Nie daleko i Rożyński¹ ksiązę i Sapieha² uświacki z pancerni rot; oni zbiegną jej na pomoc, bojarów powalą na ziemię, by padli na twarz przed prawą carową — nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich naokoło miasta... Ależ gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej? Czyżby jego słowo i jego spojrzenia zároveň kłamały? Dostojny to mąż, urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta; w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nieraz i pamiętam rysy jego, kraśne odwagą — żaden z polskich rycerzy ni z moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawždy i rycerski, połysk jego pętlic lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.

Tu znów myśli inszym udały się szlakiem, posępniejszym, bardziej męczącym: o rusztowaniu — o truciznie — o sztylecie. Zaczęły już mary chodzić po jej duszy — aż dopóki późna godzina nie uśpiła oczów. Duszy całkiem uśpić nie mogła. Patrz na leżącą na twardem łożu, prętami żelaznymi podbitem! Licha pościel i brudne wezgłowie, obok piec żelazny, w któ-

¹ Książ Jan Roman Rożyński, słynął z waleczności, um. 1610.

² Jan Piotr Sapieha, starosta uświacki, sławny wojownik, zginął w czasie powstania w Moskwie.

rym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i piers oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takiejże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z Wielkich Kończyc, wojewody sandomierskiego, lwowskiego, samborskiego, medenickiego starosty, carowa moskiewska!

Od wielu dni nietrefione włosy spływają aż na posadzkę, to, w tył odrzucone, snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone tak, jak każdego splot i pukiel ułożył się w chwili, kiedy zasnęła. Z pośród owych ciemnych ram lica jej wypukłe przebijają, bardziej jeszcze blademi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żałośny, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba go kochanek zrozumie. Powieki z rąbkami długich rzęsów zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgnęło czasem; na licu znać sen, ależ zarazem znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęściem, matka przy kolebce słabego dziecięcia; tak spała Kalpurnia¹ dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpadła w sen o dźwiękach harfy czy gitary czy strun jakichkolwiek i o śpiewie znanego głosu. Skądże z pośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A one tony nie brzmią posę-

¹ Kalpurnia — żona dyktatora Cezara.

pnie, nie zwiastują ni pogrzebu ni bitwy, owszem, melodyjnie płyną wokoło, a co dziwniejszego, ona każdy z nich, gdyby na jawie, rozeznąć potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owymi dźwiękami; oczu dotąd nie otworzyła, ale myśli jaśniej krążą już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy, błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tem zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta rozkoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były — lecz wzniósł się z pośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który, konając, na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta i na to, co zobaczyła, jako na sen, patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata — pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia; w dłoniach trzyma naczynie rażącego poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczyń uderzy, a wtedy słychać, jakby rozdzierające stękanie. Ubiór dziwaczny składnie leży mu na ciele: kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnem ziarnem, pas z tyftyku¹ i szarfa takoważ, kindżał, sadzony kamieńmi,

Tyftyk (z persk. *tiftik*) — materya jedwabna, przetykana złotem.

a nad tem wszystkiem suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna, jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełznąca w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się nad piersiami, jedno że i greckiej togi i kastylskiego płaszcza i tureckiej delii¹ wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się, przypatruje się Maryna — owóz on tak jej przyśpiewywał:

— Gdzie niewolniki moje? Już nie stąkam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: »Zaśmijcie słońce, bo ono mnie pali«! — a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i, lecąc jak szarańcza, przesłaniała słońce? Walają się ich kości na Kiafelu błoniach...

Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidlanych drzew, daleko do nadbrzeżów, osnutych konchami, zarosłych korałem — do piaszczystego morza, na którym żagłem moim bywał namiot biały, trawą grzbiet wielbłądki, a łódką siodło rumaka — do miast, gdzie minaretów wieże, równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie, jako wasze sosny wtenczas, kiedy je zachód oblewa — do nieba o krzyżujących się meteorach nad głowami ludzi, jak u was krzyżują się chmury, o burzach, którym przywodzą geniusze na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najezając pustynię.

Już mi nawet język rodzinny, język mój cudo-

¹ Delia (z tureck. *tella, telli*) — opończa z tkaniny bogatej, przesywanej złotem.

wny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy dokoła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapal duszy — krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga, nie umiecie się wyrwać ku Niemu. My to, my to zdołamy marzyć o Nim i o raju długo, świętem natchnieniem przejęci, a wtedy nie miałkie, nie krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontannom, obiecanych po zgonie. — Matka mi umarła, czasu na lzy nie było — ojciec poległ, nie płakałem, lecz przysięgłem zemstę; z szacha spadłem na giermka — nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę, hurysso moja! Czuję co dzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi, jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze...

Wieczorem, kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu — rankiem, kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę, jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a wasza mowa wdiera się do mej głowy, wypycha ostatki dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrań drogie pamiętki, jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, strącony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka — to rozpacz — płaczę, płaczę, hurysso moja!

I tu uderzył o naczynie. — Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

— Zniosę to jednak dla ciebie — bądź mi łaskawą, a niechaj przypadnie język moich ojców we mnie! Bądź mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem lub moskiewskim bojarem — do woli twojej! Kochaj Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on, depcąc, przejdzie po nim — kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem!

Po tych słowach nagle zagasła lampa szyszaku — ciemność większą część więzienia zagarnie. Raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem nie nau-myślnie. Potem nic już się nie odezwie; ni stapań ni oddechu nie słyhać, jeno kroki po schodach wieży gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły, ni rygle zabrzękły. —

Maryna wątpi o sobie, wreszcie poznała, że na jawie — o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścierpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa. Kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana; wtedy więzienie pełne światła i dźwięków — on do niej przemawia, jak kochanek — ona mu jako pani odpowiada — potem gaśnie światło, mdleją dźwięki. — Strażnicy, znać, śpią głęboko, kiedy on między nimi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają — to o zemście napomyka:

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sadaku na plecach, uwolnił ciebie; pierwiej, nim tu do-stąpić, z grobu wstać mu trzeba! Tyś zapadła w sen, podobny azraelowemu, ale mój kindżał wtedy się obu-

dził i cały w uśmiechach radości z pochwy zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handzary, jak nasze wielbłądy, długo wy-trzymałe, ale, kiedy miara cierpliwości przebrana, i wielbłąd i handzar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardze-wieje i na zawsze się przytępi. Nie chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wytry-snęła ze zbroi wroga, jak źródło niegdyś za Musy¹ uderzeniem. — Nikt już nie stanie między mną a hu-ryssą moją!

Marynie się wierzyć nie chce, by tak dziarski mąż zginął od ręki pacholęcia.

— A czemuś nie patrzała? Czyż moja winą, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ocz zagasły? Ha, ciepła krew była w nim — aż mi ścierpłe ożywiła dłonie!

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach:

— Patrz, jakem potężny i wielki — przedemną schylają głowę strażnicy i nie podnoszą jej, aż ranek zabrzasknie. Letarg jest moim niewolnikiem i, gdzie go posyłam, tam idzie; żelazne rygle usuwają się pod moimi palcami, jak pierścienie włosianego nara-miennika, więzienie anielskimi wystroilem ci blaski. Ja sam, jak duch z piątego nieba, zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłymi rozciąga się moja władza! Z złotemi gwiazdami i z czarnemi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.

A kiedy spostrzeża niepewność lub drżenie na twa-

¹ Musa — po arabsku Mojżesz.

rzy carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

— Huryssso moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica i długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza rozkoszy, to początkiem pieśni dopiero! Czyż jej końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: *kocham*, a wnet stąd wyprowadzę cię! Zawiodę na rozległe pola Kiafelu — tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak, że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.

Na to carowa gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się po cichu.

V.

Ciemno po tych korytarzach, ciemno po tych lochach, którymi młode pacholę wiedzie niewiastę o poważnem licu. Światło kagańca, wrzącego w jego dłoni, skacze do murów, zlatuje w dół i rozbija się, czasem też poigra z pajęczyną lub wystąpi, jak czerwona kresa między ciemnymi pasmami, a ciągle cień dwóch osób przesuwają się po ścianach, gnie się we dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej i zawsze postępuje, czarny, olbrzymi, zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pacholęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że uległ po wal-

ce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole — niktby i na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie, azaż oddałeś list uświackiemu staroście?

— Oddałem — głos odpowiedział zważlony, jak zwykle bywają głosy po silnem wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, izaliż pewno czekają mnie u drzwi?

— Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione, jakby konającymi pierściami.

— Dobrze. Wiedź nas Waszmość dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze, na naszej łasce polegaj!

Odwrocił się giermek i pojrzał na carową, wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego: »Czyż nie dosyć, żeś podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? — O, nie mów o łasce«!

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej, oznajmiła.

Jak może, najciszej ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachrzęsała, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję — bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem; niekiedy w przelocie wstąpi poza mury i cichaczem zaszepta w uszy Marynie. — Wtedy lekkie znać wzruszenie na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ; podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto, iż ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości: jednym słowem, jednym skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała,

iż on już nigdy nie zdoła przemawiać po dawnemu. — Drżą mu ramiona i piersi, jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden podrzut, na jedno ukąszenie.

I wiódł ją z wiernością domowego zwierza przez rozmaite galerye i schody, jemu tylko znajome. To nierozwiązaną tajemnicą, jakim sposobem zapoznał się z niemi, jakim trafem dostawał się do więzienia Maryny. Wtenczas, kiedy w mglistej szacie śpiewał o Kiafelu błoniach, coś wyższego przebijało w nim, niby godność strąconego księcia, niby władza potężnego czarownika; na chwilę w całej okazałości swoich marzeń łudził się nadzieją zwycięstwa, ale dziś wrócił do ubioru, do obyczaju giermka. Znać, że jego duszy zabrakło sił na zwalczenie tej, którą kochał, że z uniesieniem miłości rzucił się do przedsięwzięcia, w którym spotkał się z nieużytą dumą. Ta go pokonała, a kiedy uczuł się pod wpływem wyższej siły, zamilkł w głębokim podziw i posłuszeństwie. Odtąd musiał dopełniać zlecenia pani, a dziś bez nadziei, bez pociechy, jedno wiedziony urokiem, któremu oprzeć się nie może, wyprowadza ją z niewoli, poniżony, osłabły, czasem jeszcze spozierający na nią, nie już jako rycerz lub kochanek, ale jako dziecko na pół przerażone, na pół zachwycone widokiem meteoru, przelatującego o północy ponad domem ojca.

Wzbudziłby litość każdego — bo namiętność wyssała mu z twarzy barwę świeżości, bo w oczach zrenice podobne do tych iskier, co ścigają jedne za drugimi w szarych popiołach, kiedy już węgle zcier-

niały pod nimi; kroki niepewne, jak u pijanego, który nie tyle zaślepiony, by upadł i zasnął, ale tak słaby, że statecznie nogi postawić nie potrafi. Młodość i siła pożegnały jego ciało, został się z młodościami starca w piersiach, z wyrazem przerażenia na licu; stracił pychę, która zar pamiątek rozdmuchiwała w nim. Postaw mu teraz przed oczyma zwierciadło: »Synu sułtański, dziedzicu równin Kiafelu, podnieś oczy! — a on czoła nie podźwignie i weń spojrzeć się nie ośmieli.

Stąpa ciągle przed carową; iskry kagańca sypią mu się na rękę, on ich otrząsnąć nie raczy. Zaduch wilgoci i zgnilizny wokoło, tu i ówdzie odrywają się od ścian wyziewy i ciągną nad głowami przechodzących, jak fałdy całunu. One są zwiastunkami wiosny w tych lochach.

Giermek zstąpił w dół, a za nim pani; potem szli oboje płaszczyzną, a słysząc w górze, jako dyszy woda w rowach, jako czasami zakipi, rozgrzana od pleśni, i w tysiąc bąbelków się rozprysnie. Teraz znów wstępują schodami. Dostali się do sieni z nieforemnych gładów. Tu już woń świeżego powietrza zalatuje, a brama dębowa okuta w rygle i trzema opatrzona zamkami.

Agaj-Han dopalającą się pochodnię utkwiał w ziemię, a sam ukląkł przed carową i, załamując dłonie, nic nie mówił, lecz zebrał milczeniem o litości trochę, o jedno spojrzenie, o jedno słowo pociechy, by mu nie tak okropnem było oddać ją w ręce młodźców, dopełnić tak ogromnej z siebie ofiary, bo jeszcze teraz on z nią sam na sam; za tą bramą ona poddanych spotka i już z wysoka nad nim panować będzie.

Ale Maryna, stojąc na progu zbawienia, niczem odwlec go nie chciała.

— Gdzie klucz Waszmość podziałeś? Rozkazujemy Waszmości jak najrychlej się sprawić, uwalniając jak na teraz od tych dowodów uszanowania.

Znalazł się na takowe słowa głos w piersiach młodzieńca. Na kolanach czołgając się ku niej, zawołał:

— Miłościwa pani, hospodarko moja, nie tłocz mnie tak niewdzięcznie ku ziemi, wspomnij na moje usługi! Dla ciebie strzałą przeleciałem od Kaługi aż pod wieże Moskwy. Dla ciebie ja, książę, uginałem karku przed Rożyńskim i Sapiehą. Oni tobie nie chcieli pomódz. Ja cię z więzienia wyprowadzam teraz.

— Nużysz mi umysł Waszmość takowemi mowy. Uzyskasz nadgrode, tylo otwórz prędzej!

Błyskawica nie ma skrzydeł dość żartkich na wyścignienie polysku, który zalał oczy giermka i zagasił w jednejże chwili. To słowo »nadgroda« całą duszę mu wzburzyło — ale po twarzy Maryny poznał, iż nie o tej, której żądał, napomina, więc wschodnim obyczajem, gwoli większemu uszanowaniu, ramiona założył na piersiach i schylił niżej głowę.

— Lata mi w pamięci, miłościwa sultanko, iż raz widziałem cię u biesiady, wśród bojarów, przy początku jesieni, wtedy, kiedy słońce wasze jest prawnikiem naszego, kiedy owady zasypiają naprzód udaną, potem prawdziwą śmiercią. Tego dnia z złotego stropu spadł na śnieg obrusu motyl przed puha-rem twoim, o sultanko moja! Raczyłaś go podjąć; on miał zwinięte skrzydła i skrzepłe ciało pozbawione blasku. Tyś, miłując się nad nim, do ust go przytu-

liła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył: — »Powstań, powstań, o motylu mój«! — Jemu się zdało, że piękne dni lata już z powrotem, że gdzieś dostał się do róży i do słowika; więc się obudził i, trzepocąc skrzydełkami, podlatywał naokoło, a tyś rzucała za nim dyamentami spojrzeń. Zważ sama: owa- dowi miłosierna, nad człowiekiem mieć nie chcesz li- tości! Nie proszę o więcej, jak o względy, świadczone onej drobnej musze.

— Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypa- dło, żeśmy otoczeni wrogami i że Igor Zarucki czeka na mnie za temi bramy, jakieś sam mi o tem wiado- mość przyniósł w ostatnim liście.

Nagła zmiana nastąpiła w postawie Agaj-Hana; sa- ma wydała się carowa — i on uwierzył natychmiast. W szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi zaraz nie uwierzy? A zatem Sahajda- czny unikł śmierci!

— Ha, pamiętam, raz tylko uderzyłem — za słabo! Oszukali mnie — sam byłem posłem od niej do nie- go — chociażem jego nigdy nie widział — ale assa- wułów¹, młodźców, towarzyszków jego. — Nie wspo- miinałem nigdy o nim i oni też nie wspomnieli i ra- zu, ale on kierował wszystkim! —

Złość dziecka i zemsta szalona wschodniej, goreją- czej duszy odbiła się na licach Agaj-Hana. — Parsknął pianą z ust i kilka kropel krwi z nozdrzy mu bry- zgnęło. Porwał się z ziemi, ale nie mógł się prosto trzymać; to zgarbiony, to truchlejący, to o ścianę

¹ Assawuł (z tatar. *jesawuł*, *jesauł*) — u Kozaków porucznik.
Z. Krasiński. Pisma. T. II.

oparty, to nogę wysunie i założy na drugą — to znów ma przyklęknąć, to znów podrzutem odskoczy od bruku.

— Miałem cię w więzieniu, niewdzięczna, a szanowałem cię, jakby matkę moją! Nie mogłem zbliżyć się i ręką ślizgać po twojej sennie piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich i błąkać się pośród wdzięków twoich, a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie? Budząc się, poczułabyś pierścienie potężnego węża, okręcone wokoło kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta, oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzucił na siebie — pod tą zasłoną czarną nogi splótłbym z twojemi nogami, pierś wgniótł w twoje łono ze śniegu, dopóki bym nie uczuł na własnej skórze bicia serca twego! — Ha! Co chwila cisnę cię mocniej. Zwycięzam. Tyś moja, tyś moja! Rozciąga się miękkie ciało podemną, jego dreszcz miesza się z moim, każda żyła twoja bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłaskaniu igrają z moimi włosy... Nie masz raju równego w niebie takiemu na ziemi!

A teraz gdzie wdzięczność, gdzie nadgroda? — Sahajdaczny tam! — Perłę miałem ze skarbu Allaha i, nieuważny, puściłem ją w morze! Przeklęty, przeklęty — o, już nigdy, nigdy, nigdy noc taka nie wróci!

I w jego oczach paliła się rozkosz wspomnień i chuć niewstrzymana — potem nastąpiło osłabienie. — Zamilkł i patrzy wokoło, jak ten, co pamięć, rozum, nadzieję postradał i wyszedł na zwierzę.

— Nie — ty marzysz! — Hej! do więzienia nazad!

I schylił się po kaganiec, chciał go podnieść — on, już dopalający się, rozlał się strumieniem smoły po jego dłoni i gęstemi obsypał ją iskry.

Krzyknął z bólu nieszczęśliwy i padł na kolana i znów wyciągał rękę czarną, spaloną — może sądził, iż łatwiej litości dostąpi. Węgla żarzą się na ziemi, przy nich znać jeszcze Marynę, stojącą wśród cienia; jak duch więzień srogi, nieubłagany, wskazała ku bramie w pełni majestatu swego. Do tego rozkazu pół uśmiechu dodała, jakby z miłosierdzia nad Agaj-Hanem. On poszedł z wolna ku drzwiom i, klucz trzymając w lewej dłoni, prawą chowając pod kaftan, czekał na panią, od której uzyskał, co żądał, bo w tej chwili nie miał sił już na żądanie więcej.

Carowa śpiesznie przy ostatnich iskrach pochodni sama bramę otworzyła.

Księżyc za wiosennym obłokiem, lecz gotuje się do wyjrzenia. Sosnowe krzaki tu i ówdzie, z tyłu podnosi się opuszczona wieża i długi mur i rów głęboki, z przepaskami to grubszego, to cieńszego cienia. Dalej pali się Kaługa w nocy rzadkimi światłami, z przodu równina, a wszystko, co na równinie, to śpi w zmierzchu i tego rozeznąć nie sposób; jużci tam drzewa podobno, jużci z boku to smugi, śniegiem jeszcze przyproszone, ówdzie zda się, że bór czernieje, ówdzie marzy się przed oczyma dzwonnica klasztoru. Za pierwszym spojrzeniem taka postać okolicy; wlep oczy, a nic nie rozeznasz, zwątpisz o każdym szczególe: to nie drzewa, to nie klasztor; nie — to nie bór tam się rozciąga. Takie same wrażenie sprawia na duszy sen,

którego w połowie się zapomniało, a w drugiej połowie nie jasno się pamięta.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału — i oddalił się w bok, gdzieś przypadł w rowie.

Z krzaków powstali męże, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i, ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed Maryną. — Aliści nie takim przywitaniem tylko, znać, że pragnąłby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało — może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał po cichu z nią; w poruszeniach jego przebija radość namiętna — ona nie spuściła nic z głosu ni z obyczaju pani. Po chwili przywiedli młodźcy dwa konie; poddał jej ramię mąż, ona strzemień chwytła.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mieszaninie z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze — wnet po nim zawarczył kindżał i utkwiał w pancerz męża, pełnią księżyca oblały. Znać, iż długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał, Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi, jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej carowej, gwizdnął na młodźców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił i dopiero wyszedł na czyste¹, kiedy go już dognać nie sposób, bo ich daleko ma za sobą i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej odsadza się od nich.

¹ na czyste — na czyste pole.

Więc jęli z powrotem do wodza; wódz wskoczył na siodło, huzdę carowej obwiązał naokoło ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną przy księżycu, wiosenną nocą, nie po bitej drodze ni po gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrósty; czasami kłęb śniegu rozbija podkowy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem, czasami o głaz uderzą, a głaz ogniem się odgraża, szybę lodu trąca, a lód pęknie z trzaskiem, gdyby szklanna szyba. Teraz przelatują łąkę, w młodą murawę grzęzną kopyta, a wilgoć kipi i cmokcze pod spodem, dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki, odskakując, głucho zapadają w trawę; to znów szurują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrążają, rozplaszczone bryły spychają w bruzdy. Zaruckiemu i od biegu i od namiętności serce gwałtem bije, Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych płaszczyn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. — Rada i pełna otuchy, słowami drażni towarzysza, mówi mu o Kremlinie — o bitwach i sławie; a jemu tyło tego słuchać, bo on za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzając zasieki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny — miło mu pomiędzy niemi, jakby w domu ojca. Lecą pod sklepieniem z liści, między którymi tu i ówdzie czołga się promień księżyca — a wiatr szumi głosem tysięcy gałęzi niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu

pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany lub pielgrzym, dumający o Bogu — na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo zrozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr z północy tak hasa, miłościwa pani — on na jutro napędzi chmury, więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę!

I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy, co tylko sił mu staje, a Maryny koń, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znow na pole czyste się dobyli, powietrze, zda się, kipi około ich głów, tak głowami i piersią siekają powietrze, ogony ich z tyłu płyną, jak ślad pienisty od rudla¹, kiedy statek pruje wodę wśród burzy, podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku, jak iskry, co raz błysną, znow zagasną i znowu zabłyszczą; oni pędzą naprzód — drzewa, wzgórza, krzaki, krzyże pędzą w zad, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad nimi z wysoka; ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli, jak znarowione dziecię, to znow poważniejszą postać przybiera, zasępia się wśród mgły i jakby w ciężkiem zadumaniu niknie coraz bardziej; wtedy posępno na świecie dokoła.

A oni bieżą, czy chmury czy jasność nad głową. Wkrótce się rozwidni i zmrok podziwiał się nie wiedzieć gdzie, tak, jak promienie podziwiał się przed

¹ Rudel (z niem. *Ruder*) — ster.

chwilą. Ale cóż to zabłysło w oddali? Zda się, gdyby kopuła cerkwi, blachą obita.

— Miłościwa pani, to Pratwa¹; już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy, byстрыm nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeśli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zaśmiejemy się im w oczy i życzyć będziemy dobrej nocy strzałami.

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia. Przechylony, z głową i pół ciałem wiszącym od siodła, zdał się słuchać czegoś, potem zagwiżdzał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno, jako na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową:

— To mściwe pacholę pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałam żadnego tętentu, a jużem przywysłęknęła ucho do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. — Waszmość się pomyliła.

— Nie, miłościwa carowo, nie, hoża Maryno! Na pierzach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tętentów. Lecz, ażeby je schwycić, kiedy drobne, cichaczem przelatują wokoło uszów, trza wprzód przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostaniemli się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie mojem w Krymie, tośmy bezpieczni — odparł, spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki — ale, miłościwa gospodarko, ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka ma wola, wdzięczne za owies i napój,

¹ Pratwa (Пратва) — lewy dopływ Oku.

za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroiłem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na żwirze. — Na czajkach, miłościwa pani, spuszczałem się Dnieprem i Wołgą i Dniestrem, sultan z seraju¹ mnie widział i kłął mnie, że mu tak wsie palił, rozwałił pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami, posągami z żelaza, rwałem się za pasy, więcem napatrzył się dosyć mordy — nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a te konie że zdechną, to mnie boli. Sam ich hodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki — w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były mojemu orlemy skrzydłami.

Tętenty się odezwały, Marynie mowę przecięły; ale też już im nie daleko. Jeszcze staj kilka i zatoka wylanej Pratwy tuż przed nimi. Już rozeznać mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoży swoje rozprzestrzenia jeziorami. Nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i ówdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głąz, język żwiru, który nie dał się pochłonać, smug, co wysoką trawą jeszcze na świat wyziera, to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów, po tej stronie rosnących, kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słychać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzącego koryta, które bieży, jak zwykle, gnuśniejąc tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, w której stanął hetman z carową, księ-

¹ Seraj (z persk. *seraj*) — pałac sultana (w Konstantynopolu).

żyć w pełni się przeglądając, srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny niema w tem miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów wszere i wzdłuż oświecają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącymi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy, spuszczone w dół.

Było coś fantastycznego w tym widoku, przypominającym morze, we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha, w tętentach grzmiących coraz bardziej, w larwach, biegnących od lasu na rozhuźdanych rumakach.

Jeźdźcy i konie czarne, czasem tylko broń zamigie, jak śniady płomień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca; spuść je w dół, a równina i topiele i drzewa mieszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają, a czyste zaczyna się pole, jak gdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie, dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi.

Zarucki gwizdnął, jak strzelec na sokoła w chmurach; wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją niemi o wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jęku fali odpływającej nie słychać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnymi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami, jak orzeł skrzydłami, kiedy zawisnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich z pod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka¹ wodza dotknęła się lądu, wszystkie inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły; na każdej powstają maszty z rozczuchranymi linami, w mgnieniu oka lekkie żagle zadrgnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wyziewami nadbrzeżów, a bojarzy, goniący w oddali, dziwią się owej mgłę, wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramię Marynie, by pomódz wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i była pora ku temu. Kiedy odwrócił się z nienacka i dobył czerkaskiego tasaku,² konie podług przepowiedni wodza leżały na żwirze, zdyszane, oprószone pianą, jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste rozszerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem. On spojrział na nich, jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobiciem.

— Ukróć wam męki, niewoli oszczędzę i tobie, moja Giemzo, i tobie, Istambule mój — rzekł głosem, stłumionym od wzruszenia i nachylił się nad Giemzą, pchnął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderzwał, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś, ni jutro, ale odplaciecie kiedyś — zawołał do nadbiegających żołnierzy; sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał młodźcom gnać śpiesznie za łódką carowej, która, odpłynawszy, na czele innych zbliżała się już

¹ Czajka — długi a wązki statek kozacki.

² Czerkaski tasak — krótka, czerkieska szabla.

do koryta Pratwy. Cały brzeg czernieje od jeźdźców, wrzeszczących za Maryną i hetmanem. Księżyc, za nimi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które, to zwężając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi; w jej szorstkich kudłach mięknie żelazo strzał, rzuconych z brzegu, a on, szydząc z nich, potrząsa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić wpływ konie, ale uwięźli w mule, więc nazad pierzchają. Jeden tylko wyprzedził wszystkich; niemiłosiernie kalecząc rumaka, zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonemu odważył się płynąć wprost ku łódce hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko wając włócznię, a drugiej ręki z pod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz mu całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby, raz zgrzytnąwszy, już rozprzęgnąć się nie mogły i zmartwiały w tem zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane, hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie jak może najwyżej, parska z rozpaczyny wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy i na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale młodźcy odsunęli się daleko, niema nadziei ich dognania; więc Agaj-Han odwrócił się nazad i, szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, mdlejącymi wśród

wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnymi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz, bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka; wreszcie on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody w nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec, splątany w strzemionach i cuglach, zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak, że sami zdumiewają się, przysłuchując się jego dalekim echom, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedna tylko ręka fale rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by tatarskie pacholę zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie, tak, jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On, szczęściem, pozbył się szyszaku, włosy zroszone połyskują w promieniach miesiąca; twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają, pasuje się rozpacznie w czystej, srebrnej wodzie, która go otacza dokoła, w której głębi księżyc się złoci, ozdoba grobu, zgotowanego na dnie — ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drżenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę, instynkt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energii, wzywającą

każden muszkuł, każdą żyłę do działania, rządzącą siłami ciała tak, jak miłość rządzi myślami mózgu, ostatnią zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum, nieprzytomny sobie, ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej dał się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsye boleści; teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się, pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta, bezsilna, błąka się po wodzie w tą i ową stronę, jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tem wysmukłym ciele.

To nurząc się, to podskakując, jak raniona ryba, jeszcze upłynął kilka kroków.

Już niedaleko do lądu. Powiązali rzemienia od siodła i od kołczanów, rzucili mu na czas właśnie, bo zaledwo uchwycił się zębami i dłońią, aliści zemdlał zupełnie; ale, choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym, walcząc razem, upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu, między towarzyszy.

VI.

Już niemało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka sandomierska, uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackiem czółnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się husarze i, potrzasa-
jąc skrzydły, jako drapieżne orły, ulatują ponad gru-
zami i gęstym trupem. Wycieczki Straceńców,¹ nie
wstrzymane u Kaukazu, w głębie azyatyckie się zapu-
ściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycer-
skim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić
jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami płasają
nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na
zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wasy —
tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azyanek.

Jak wiekiem wprzód na drugim końcu ziemi Hi-
szpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy
wysypują się na Moskwy obszary. Patrz, Korteż²
Montezumę ściągą z tronu, Żółkiewski Szujskich³ pro-
wadzi; Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych je-
zior i wzywa pomsty za skrzywdzonych bogów, Mo-
skwa o tysiącu kopuł burzy się o świętych swoich
i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom, wschodni, szeroki,
otwarty na stratanie końskimi podkowy. Co tylko
spało w Lechii hartownych dusz i dzikich serc, to
przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach od Mo-
skwy do Astrachanu. Żyją więc bez spoczynku, wal-
cząc dniem i nocą, z hełmem, wbitym na czoło, z be-

¹ Straceńcy — hufce Aleksandra Lisowskiego, Lisowczyki, dla-
tego tak nazwane, że zuchwale szły »na stracenie«, t. j. na największe
niebezpieczeństwa.

² Corteż Fernando, zdobywca Meksyku, stracił z tronu i wziął do
niewoli ostatniego władcę meksykańskiego, Montezumę, w r. 1520.

³ Żółkiewski Stanisław, zajmując Moskwę, wprowadził do Pol-
ski cara Wasylą i dwóch jego braci.

chterem, przykutym do piersi, wolni, śmiejąc się
z prośb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani
w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie
dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy; jej, jako pani,
czołem z siodła biją o ziemię. Towarzysze przesadzają
trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic¹ nieraz zima zajrzy w oczy;
z szalów, przewieszonych na plecach, z winogron,
u siodła wiszących, z kamieni wschodu szydzi sobie
mścicielka północy; mróz im członki ćwiartuje i po-
wieki spuszcza nad oczyma. Tak wśród wozów i koni
całe padają hufce, a Moskwicin, który jeszcze wczoraj
o południu lękał się ich wąsów, kiedy przejeżdżali
obok chaty, dziś śmiało, klaszcząc w ręce, depta po
nich i błogosławi niebu.

GINĘLI prędko w onych czasach książęta i hetmani
z rozkoszy i z bojów, a nad świeżą ich mogiłą po-
wstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by
z życiem wcześniej się rozstać, w kilku latach zawrzeć
wiek cały chwały i rozpusty. Nie szło im o to, dziś,
jutro-li padną, ale pragną umrzeć królami, dalekim
niwom polskie dać we znaki imię, zapuścić się w kraje
bajeczne pomiędzy góry i morza, innych widzi[e]ć lu-
dzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu mu nie dając,
i, zapchnąwszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią,
ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohaterowie, zwycięzcy
Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach, tak, że

¹ Z cieplic t. j. z ciepłych, południowych krajów.

od niej pędzeni naprzód, kochali się w błędach,¹ zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkim, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, trając po gruzach na lądzie, a kiedy i ludzi i burz nie stało, kląący w rozpacz, że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lisowa! Nie ujrysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłęb dymu z przed oczów wyrwie w połowie. To migśnie szabla wśród ogniów, to poła burki zakręci się na rozwalinach, to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera księżę Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza, jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana, na twarzy jego coś miększego przymieszało się do wyrazu odwagi i twardości. To nie gladyator² starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego złopie, ale bohater, żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwala mu kochanką wierną była, a w westchnieniach roz-

¹ Por. t. I, str. 385.

² Gladyator (od *gladius*, miecz) — zapaśnik rzymski, walczący w cyrku mieczem, od którego wziął nazwę, lub inną bronią.

plywający się za tą, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie staje czasu, a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze, ostatnim jego światem; w tych kilku belkach, lamparcią skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką do nich nie potrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznanej krainy, gdzie myśleć i modlić się trzeba, a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam, gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azyi, ale rycerz dawnych wieków, Chrobrych i Śmiałych dziedzic w puściźnie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrawa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więziem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje; nie spodziewaj się śladu słabości na licach uświackiego Sapięhy¹ — smutek go nie zwątli! Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów, do ostatniej chwili będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem,

¹ Por. str. 437.

z swoimi i cudzymi, a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, z zmarszczonemi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie, co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wdrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim, i, dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza dla nauki, jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla, zasiadającego na tronie w pierwszym dniu panowania swego. Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamota się w kącie widnokręgu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słyhać już o carowej — inne imiona pną się na stolicę carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie¹. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży, niecierpliwy dostać się do berła. To w kostromskim² monasterze, przy szlochach matki, synowi Filaretowemu³ czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczną i państwo Ruryków.

Zamieszanie, jakby w dzień sądu ostatniego, po-

¹ Zygmunt III pragnął korony carskiej dla siebie, czem całą sprawę zepsuł.

² Kostroma, stolica gubernii tejże nazwy przy ujściu Kostromy do Wołgi.

³ Mowa o Michale, synu metropolity moskiewskiego Filareta, wyniesionym w r. 1613 na tron carski.

wstaje wśród tyłu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodziec wodziem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak w dzikiej postawie pisać we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan, siedząc na dżanecie, patrząc z ubocza, jako gród się pali, użyć spokojnie rozkoszy pożogów.

Języki, oręż, obyczaje, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciur¹ obozowy wschodnie śpiewa powieści, na hełmie husarza półksiężyc złoty połyska, mową polską Tatar się odzywa, Moskal nie wie, komu służy: hufce Władysława i hufce Pożarskiego² pełne jego.

Na bloniu otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmarłych wstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum, jak gromada leśnego zwierza, i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz, stałą okryty, nadbieży i kopią wysuwając, w pędzie zawoła: »Niech żyje Laszka Maryna!« Z boru wystąpi pułk Straceńców i śpiewa żale o umarłym wodzu, Aleksandrze z Lisowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich³, na plon zajadła, sobie żołdująca, nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojni, jak inni, poważniejsi od innych, z pacholętami z tyłu, z sztan-

¹ Ciur, zwykle ciura — sługa obozowy.

² Dymitr Pożarski, sławny wódz rosyjski, stronnik nowo obranego cara Michała Fiedorowicza, do którego wyboru sam przeważnie się przyłożył.

³ Mowa o perekopskich Tatarach.

darem koronnym, i surowymi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece, co płynie w pobliżu, na czajkach błysną młodźcy, lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą, gdyby na stepie, radośni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką na ustach, z czołem wypogodzonym na burze, przeciw którym śpieszą. Na grobli, wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej płacy, z zapalonymi lonty, berdyszami¹ najeżona. Między temi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą, co gałąź leszczyny rozczyni w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół niemylnie.

Tymczasem po drodze, środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czernicy² z krzyżem, co jaśnieje rzędistymi połyski, z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad nimi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawie-

¹ Berdysz (z średn. łac. *barducium*) — kij z nasadzoną na końcu siekierką nakształt halabardy.

² Czernicy — zakonnicy prawosławni.

niem, co, zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.¹

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne; tu chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrósł nad głowami, ówdzie szable, atagany², kindzały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tamci wołają zdać się na chyżość stóp swoich, inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Bogarodzicy³, podkręca wąsa i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybylcy z azyatyckich puszczy trącają łuków swoich struny i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wsparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za niemi gotują rusznice. Ówdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła, jak sen, a śmierć, jeśli ją spotka, wydała się wstępem do bram Edenu. Aż tu huki i wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełźnie nad głową walczących i poległych. Z hufców, dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie — zgrzytają kordy o pancerze i hełmy.

Wszyscy, jedni po drugich, to zwyciężą, to prze-

¹ Patron Moskwy — św. Mikołaj; syn kapłański — car Michał, syn Filareta.

² Atagan lub jatagan (z tur. *jatagan*) — długi nóż zatknięty w pochwie za pasem.

³ Pieśń bojowa: »Bogarodzica dziewica, Bogiem sławiona Marya«.

grają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każdego walczy za kogo innego. Sto hasłów buja ę powietrzu i głuży się nawzajem; sto imion, sto zamiarów, wcielonych w głos, ulatuje ponad walczącymi, miesza się w nieładzie, żadne wygórować nad resztą nie zdoła i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho, samotno — chyba, że słyhać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzień po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża babilońska Dymitra¹, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali, nie mogą dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szalem to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro ręce poczuje krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś trątuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa — o brzusku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginał cały ród bohaterów.

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z startych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia, bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonych nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano, podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą krzyk męża,

¹ Dymitra Samozwańca.

wyciągającego szablę w własnej sprawie: »Z tej szabli mojej, tak płytkiej i cienkiej, musi wylecieć dla mnie królestwo«. I wnet ujrzano, jak młodźców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą przedcudnej urody, trzymającą dziecko w łęku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy rozrywały chmury swoimi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał wśród bojarów, krzyżem leżących.

Ten krzyk, nagły z dziarskich piersi wypuszczony, wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu carowi.

— Kto — zapyta — miesza naszych państw spokój?

— Ej, carze, to Igor Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy równiennicy wokoło niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach ruskich nikogo, coby śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś, kiedy sam się zobaczył panem nad mogiłą tylu zamiarów i chwały, panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia¹, Aleksandra z Lisowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co, rodem z Polski, żyjąc wśród pożarów i bojów, przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło, niż zwykły ludzkie pokolenia — puścił cugle na grzywe koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma, póki wróg stałą nie osadzi mu serca, bo,

¹ Mikołaj Struś, słynny wojownik, wedle Niesieckiego (VIII, 539) umarł dopiero w r. 1627.

dumny, że sam jeden został na starem pobojuwisku, świeżą krwią odmłodzić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestałby i na tem, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, nie znużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku górcom, ku Azji leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się osunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta, panującego nadbrzeżom Kaspii, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga, jak matka, ramionami obtacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad nimi królują wieże, minarety, półksiężycy pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną — rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba.

A po ulicach, korytach¹, rynkach dzieci stref rozmaitych biegną w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; ówdzie Tatar z Ajdoru przesuwa się w czółnie, z roztwartym kaftanem, z wartkiem wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podola. Tam Ge-

¹ T. j. kanałach.

ber¹ z pasem narodowym na piersiach gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perskie kupcy w deliach stąpają poważnie, zamyśleni, głosząc sobie brodę, odwracając się groźnie, kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindżale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; ówdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru², słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy prześlicznej łagodności zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale — na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym³ się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować sułtanom, i ci, którzy, dotąd wolni, paszą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcijanom i panom godzi się wobec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśniej przepychem, a zatknięty krzyż na nim wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej⁴, w cza-

¹ Geber lub Gwebr (z persk. *ghebr*, czciciel ognia) — Pers, wyznawca dawnej religii Zoroastra.

² Hindus z Lahoru — Ind, mieszkaniec m. Lahore w Pendżab, w Indyach przedgangesowych.

³ Tamerlan (właśc. Timur leng, tj. Timur kulawy) — sławny wódz tatarski, potomek Dżengischana, um. w r. 1405.

⁴ T. j. z Anglii.

pce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpada u boku, krokiem sążnistym, nie śpiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy wokoło, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem¹ na nodze, z sztyletem, zatkniętym u brudnej koszuli — a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecyanina po kształcie łódki, którą sobie przypomniać chce adryatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmiały cymbały i naczynia ze spiżu, o które biją wonnemi różdżkami Iranu² dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzenie, przepychem azyatyckim wystrojonych. Pomiędzy nimi tu i ówdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krążganków, od okien leciały hurmem kwiaty i, zatrzymane, kołysały się w powietrzu; nad galeryami, nad płaskimi dachy rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu, pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrażają miasto.

¹ Koturn (z greck. *κωτορν*) — obuwie z grubemi podeszwami i obcasami drewnianymi, którego używali greccy aktorowie tragiczni dla nadania sobie okazalszej postaci.

² Por. str. 402.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnymi języki, okazała tęcza wszystkich narodów Azji, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki młodźców, spragnione, kurz miasto wody piją i lecą dalej z wodzem na czele! Wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli.

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim, potem spoziera ku północy, skąd Wołga płynie, i czeka; niedługo czekał, bo tam, gdzie nurt rzeki miesza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i, nie roztopiając się w niej, pędzi, jak gwałtowna burza.

Im bliżej, tem prędzej bieży, aż słyhać jęk fal.

— To czajki nasze! — krzykną Kozacy.

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki, przesłoniętej kosztownemi firanki, nad którą korona carów z szczerego złota się wznosi, i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko! — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twoja stolica, królowo Azji — odparł hetman i wskazał na wody, okryte czółnami. W tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturm, bom stru-

dzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba!

Słońce ku stepom się spuszczało, ale mniejsza o to!
— Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdążył.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy nie zbyt wyniosłym, ale stanowczym głosem; każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy. Niedługo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie, a już mrokiem, podpalić dom jaki u wnijsia, pierwszy lepszy, byleby gorzał, jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciół zginął naprawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, że sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się ni dziewczki ni wina, ale strzedz się zasadzek i rąbać, dopóki sił stanie! Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie bisurmany¹!

Potem wsiadł na czołno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złożona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi — to czasem spojrzy na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich. Konie z spętanymi kopytami zostawili na brzegu — jutro, jeśli Bóg da, po nie się przeprawia, a one skaczą i rżą za odpływającymi jeźdźcami.

Na wyspie przed nimi w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwnie się łamią, to wy-

¹ Bisurman — wyraz przekształcony z *musulman*, muzułmanin.

skakując, to cofając się w tył; słysząc brzmienie wieczornych modlitw, gdzieś tam światło zamigie, to lampa wejdzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błysnie na wieży, z nad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i leniwo wlece się w górę, na brzegach wichur się zakręci i wzbije tumany białawego kurzu, gwiazda zalśni wśród błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami. Choć robią cicho wiosłami, czasami się pożali uderzoną falą; niekiedy pomiędzy tyłoma zbrojnymi chrzęst pancerza się ozwie, szmer takowoż słysząc, złożony z przytłumionych głosów, podobny brzękowi owadów nad błotami, czołna się zetną z sobą w pędzie i stukną. Na każdego z tych odgłosów rysy wodza pomimowolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w piersiach, jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej kochanki.

Zbliżyli się do wyspy — już mielizny podchwytyją spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego milczenia zgodnie, razem wydobyło się ogromne „*hurra*“, które nad wodami się rozległo i, pędzone wichrem, uderzyło o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu. Wśród kilkunastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał jej panią obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki. Nie uszło chwil kilku, aż tu buchnie pożar, Wołgę ozłoci, niebo łuną rozkrwawi — ogień to wesela, przy którym hasają młodźcy!

Kopyta, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordy, czerwono zabłysły nad miastem; między niemi pędzą kłęby dymu, które je przesłonią, to odkrywają na przemian. Burza to pełna dziwów między niebem a ziemią, po-

niżej czarne postacie płasają wśród płomienia, co chwila znikając, jak duchy, to znowu wracając na widok, podług tego, jak wichher przesłoni ich kurtyną z popiołów lub obwiedzie kręgiem z ognia. Wciąż grzmi wrzask najezdników i nie daje krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż do uszów Maryny, która stoi na przodzie statku, otoczona swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męskie oblicze, by nikt nie wątpił, że zrodzona do berła. Czasami jednak zadrzą jej kolana i słabe westchnienie wymknie się z piersi. Królowa twoja, o Astrachanie, płacze nad tobą pierwszej nocy panowania swego!

Wtem z pośród wyziewów, drzemających nad zatokami Wołgi, od morza żagle się ukażą i suną po wodzie, jak mary po darni cmętarzów; na odsiecz miastu, znać, śpieszą majtki, wracające z kaspijskich połowów, a że miasto już płonie, by zemścić się, wprost pędzą ku czajkom carowej.

Wtedy ona do młodźców się odezwie bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieściu pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi, jakby chustkę jaką, i stanęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie. Pośród błyskawic, lecących od pożaru, zaczęła się walka — ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów łuna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice. Straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz — matki tysięcy iskier i węzów z płomienia, skaczących do oczu, pełnących po drewnie i żelazie, nie zgaszonych niczem. Z rąk młodź-

ców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków — i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła, słupy dymu nad wodą się wzbijają. Wichher gwizdże pośród masztów i lin, coraz wyżej, coraz szerzej pcha ogień, który wdziera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je roznieca. Tymczasem młodźcy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do modlitwy, choć milczą tak uroczyście, jak przy podniesieniu Bożego Ciała. Milczą i celują, razem wypalili; świsnęły kule — słychać jęki zrazu — czarny kadłub tu i ówdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego, ale ci, którzy zostali rzyżu, oniemieli z przerażenia.

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci; już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się stały, płótna w dym poszły. Naokoło niego, jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle z pod wałących się belek i masztów, a, jak tylko owa zawieja przeleci, wracając do szturm. Maryna ciągle rozdawa rozkazy. Tysięczne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak z ukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, radby rzucił się do stóp i uczcił panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej sprawie, by jutro nad tem pięknem czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu łatwo poznać, że nieprzyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście — czasem dym się przerzedzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wichur ogromniejszy, niż przedtem, i popędził pałacy się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia, wiram się kręci i odsuwa, od jego boku leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słysząc też po jakimś czasie, jako, wpędzony na brzeg, rozłamuje się do szczętu. Jeszcze kilka czołen od niego błąka się po Woldze bez wioślarzy, bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonemi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się naokoło Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a nimi. Z za tej opony słysząc wrzaski i szczęki, niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać. Niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie: ręką znać dała, by płynąć ku miastu.

— Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stojemy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, głaszcząc je i trefiąc, jakby na gody śpieszyła. Wpłynęli w dym i zniknęli wśród niego.

Owóż jest wam powinszować czego, Igorze Sahajdaczny Zarucki, żeście w tak przeważnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń, jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczy-

wać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muślinem Indyi znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało to plemię, które niedawno skakało i połyskiwało, wzorem lubieżnych jaszczurek, po twoich ulicach, Astrachanie? Dziś wśród zgłiszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębam, ale niciami, jak zwykle bywa nad spalonymi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przysypiane gruzem i deszczem przemiękłe. Na rynku obcy żołnierze, od progów Dniepru przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca rozdaje kosztowności towarzyszom, twojego wojewodę, spętanego w łańcuchy, kazał stawić przed sobą; biada jemu, bo nie umiał zginać, jako na walecznego przystało!

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta i Wołgę w oddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy, płonące od rubinów, leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i ówdzie szaty niewieście, welony, gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruhany ze srebra, misy, dzbanki miedziane, meszty¹ wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki, oplatane kwieciami ze złota i kwieciami z jedwabiu, bursztyny, kanki², korale. Pośród owych łupów, to walających się na posadzce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz młodszy, otoczony swoimi, i patrzy z po-

¹ Meszty — pantofle niewieście.

² Kanki (z tatarsk. *kanuk* lub *kanak*) — naszyjnik niewieści.

gardą na jeńca, który stoi przed nim wśród strażników z głową schyloną, ze spuszczonej ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Greki to, co się urodził żebrakiem na Archipelagu¹ wyspie, a spanoszył się na dworze carów i wczoraj jeszcze panował nad Astrachanem, jak trzytulny basza². W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy wśród pryszczów od wina i zmarszczek lubieżności lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska; wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy, pas osunął się na piersiach z zgruchotaną kłamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem, skąd zeszła pycha — ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu; rysy, z początku surowe, wypogodniały, znać, że litość czy wzgarda przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić — wtem spojrzał przypadkiem na poduszkę przy krześle. Na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi czarny, stalowymi obszyty pierścieniami, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz, w złoto oprawny — i u owej kłamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowyś, spiekłą krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochmurności czoła zagaś już wschodzący nań brzask

¹ Archipelag grecki — gromada wysp na morzu Egejskim.

² Trzytulny basza (z tur. *tuhl* lub *tuhly*, tulny, tj. mający prawo do buńczuka) — dostojnik turecki, przed którym niesiono trzy buńczuki.

miłosierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem, deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierść ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy, zdziwieni i przełękli, usuwają się przed nim.

— Widzieliście — wreszcie zawoła — widzieliście sami, jako ręce były na suchem i na mokrem polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, ale z kępy sadzały na kępę, w nurtach rzek pływać umiały, gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kołomny¹ — wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana, od dymu i iskier nie odwracał nozdrzy; leciał na zabój przez płomienie i rzał z odwagi.

Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących Kozaków.

— A ty, Sobolewski — mówił dalej, wskazując na jednego z nich — służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Girajem; pamiętaszli, jako biedna Giemza dokazywała podemną? Trzy razy wskrósł przez rzędy bisurmanów przebiełem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dzyryty dolatywać mnie! A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej! Dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta, parsknęła i biegła dalej. A dziś z nich obojga białe kości na brzegach Pratwy! Przekłeta owa noc, owa pogoń, owe tatarskie pachole, przekłeci Moskale, niewierni

¹ Kołomna — miasto pow. w gub. moskiewskiej, na prawym brzegu rzeki Moskwy; por. str. 390.

Marynie, zmienniki, służalce Michała¹, popowskiego syna — oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej!

I tu przestał; po chwili się odezwał, ale już gwałtowniej:

— Ja wam powiadam — słuchajcie, młodźcy, słuchaj i ty, Greku, choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie biegał po stepie, jadłeś, piłeś, ssałeś winograd na sofach — ja wam powiadam, że już nigdy nie zobaczycie nic równego! Jako psy do mnie przywiązane były, a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa — oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy! Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była. Kiedym świsnął, przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał, z radości tarzwały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by łatwiej sięść było. Nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rzeniem, że nieprzyjaciół za borem, za wzgórzem, w borze — nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż powiecie na to?

Nikt nie śmiał się ozwać.

— A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie obaczy.

To mówiąc, porwał za puhar z kryształu, stojący wśród łupów, i, rzuciwszy o ziemię, roztłukł na drobne kawałki.

— Przysiągłem owej nocy, odpływając na łódce, przed patronem moim, św. Igorem, że bojara moskiew-

¹ Por. str. 466.

skiego gardło przyplaci śmierć Istambuła i Giemzy. Wojewoda astrachański za bojara ujść może.

Umilkł i zdawał się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drżenie w głosie.

— Chciałem przebaczyć. — Tu przez chwilkę mowę i oddech zatrzymał. — Żołnierze, prowadźcie go na śmierć!

Zemdlonego wynieśli z komnaty, a wódz niepewnym krokiem poszedł ku siedzeniu, sierść z grzyw konskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył głębiej pod kłamrę, by już nie wyzierała więcej.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali młodźcy. Czasem na wycieczki wylatują, lecz niedługo bawią; z płonem i moskiewskimi głowami wracają, plon dzielą między siebie, głowy pokaza Sahajdacnemu, potem w Wołgę rzucą, zawiesiwszy kamień u szyi miasto kijowskiej relikwii, która gdzieś na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórzu zielonem, nad rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galeryach nieraz widziano, jako się przechadzała Maryna, oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał, już nie kłaniając się, jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał pierś mamki, nauczył się imienia Boga i mordo-

wania ludzi, pozostało uszanowania dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu.

On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust, które niegdyś krótkiem witały go i żegnały słowem, a później do jego własnych się zbliżyły, choć wie dobrze, iż imię »carowej« jest marą bez znaczenia, choć mógłby, koczujących wojowników obyczajem, znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a niktby się za nią nie ujął — dotąd jednak słucha jej słów, jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrów, dotąd namiętnem spojrzeniem rozkoszuje w jej licu i gotów zapomni[e]ć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przepych wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły naokoło błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę rozkoszy po ścianach rozwodzą; makaty, tkane w kwiaty ze złota i srebra, kształtnie się faldują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje, azyatyckie owoce, śniegiem zaprawione cukry, Archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atlasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do komnaty i, jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach. Owym nutom nic nie zrówna

w słodczy, a jednak jest w niej siła ukryta, co powoli, jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy zawraca, drugie mdłą rozkoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezję, chwila teraźniejsza staje się wszystkim, a o przyszłość się nie dba, bo gdzież już szukać miłszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce, aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zechce się konać?

Przy takowych dźwiękach wódz młodźców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski, jako na lipowej czajce przesuwiał się między Dniepru wiry i, śmiejąc się, przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fali przeskakiwał na falę przy grzmotach gromów, lejących się z wysoka — jako na szerszej łodzi morze Czarne nawiedzał i żagle, rozdarte od burzy, w odłamkach padające widział wokół siebie, gdyby zlatujące przybitki po wystrzale, a jednak płynął dalej z jańczarką¹ w prawej, z lontem w lewej ręce, a, przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartymi z turbanów szalami pierś gołą obkręcał — jako do boju sprawiał rotę swoją, kiedy wodzem został, i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół — pożary miast ludnych, odwroty o głodzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemierzali towarzysze, a on chuchał w palce

¹ Janczarka — strzelba, tak nazwana od janczarów tureckich, którzy jej używali.

i śpiewał dumkę stepów — gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świście wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków — pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdym stąpaniem, jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą, z oczkami, podobnemi do iskier, z żądłem migającym, gdyby płomyk śniady — rozpaczne szermierstwa z napotkanymi wrogami z potu i krwi niemalym przelewem, ran odniesionych boleści — nudy też długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał, to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami — i trudny powrót do życia, nim siły znów się zjawia i konia się dosiędzie — a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach, wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tętentu za sztandarem, powijającym w powietrzu — dniem i nocą szturm, harce, błędy, ówdzie chwały, ówdzie złota dla siebie a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy, a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a rozkosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz lubo gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgłiszczów, wpław przez rzeki i piaski, na zabój środkiem hufców — zawsze naprzód, zawsze naprzód. Takim życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codziennie!

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem, a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrzał wzrokiem, którym patrzył w bitwie lub wśród pożaru, ani też głos się nie wznosił do owych ryków, którymi oznajmiał wolę swoją na poboju, ale patrzył i mówił jak bohater, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą rzuciło na łup śmierci, a śmierć, przełknięta takim dzielnym życiem, przyjąć go nie chciała.

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błakał się Zarucki — w niej samej zarazem tysiąc pamiątek się budzi. Dumanie rozwiódło łagodną barwę po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojrzenia, świętością nieszczęścia zamglone i tem ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczy ogień żywej duszy, która tyle cierpień przeżyła, nie żałując się nigdy, nie spuszczać nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzideł i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczulić się dała.

Ku wodzowi, który ją uniósł z więzienia, który dotąd jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła. Niestety, i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku młodością, odwagą i szczęściem, podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruz — a gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział ów drugi, który chciał stąpać jego śladami? Proch z nich obu dzisiaj, a z Igorem może to samo

będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych, gwiazda nieszczęścia i dumi!

Na ten ostatni wyrzut sumienia zbladła wojewodzianka sandomierska i wyciągnęła ręce ku Zaruckiemu, jakby przerażona, chciała tulić się do niego, jakby udręczona, chciała głowę schylić na jego piersi i wstyd swój przed Bogiem zakryć. On jej odpowie westchnieniem — dziwnem było to westchnienie, wydobywające się z jego szerokich piersi.

Ale bo też w owem twardem łonie, na którym każdy pierścień kolczugi znak swój wygniótł od dawna, bije serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołają. Trza mu chwil odpoczynku i chwil rozkoszy! Któżby wierzył? — W oczach wodza młodźców ła nabrzmiewa i pada na rękę ulubionej — on niby się jej wyrzec chce i marsem spoziera wokoło, aż tu druga, równie cicha i niespodziana, zaszklgni zrenicę, znów spłynie po licu i, zatrzymując się na zmarszczkach, trudami wyrytych, zszącając się w bliznę od tureckiego bułatu, miga na twarzy, jak kropla rosy na zgłiszczach pożaru.

Smętność wkrótce jednak inne myśli przerwą i wódza znowu pyta się Maryna, kiedy zamierza wracać w głąb Moskwy, by osadzić ją na tronie carów.

A rankiem biją przed nimi czołem hany pustyni i perskie bogacze. Zarucki rozsądza sprawy, tego na śmierć, tamtego na życie w łańcuchach skazuje, rozdaje towarzyszom ziemie i domy, siodła i rumaki, sam zaś obok lubej płynie po Wołdze na statku, obitym złotymi kobiercy, i miasta wały nawiedza, to

w mieście przechadza się pod baldachimem, jako na wschodniego króla przystało.

Czasami także na zamku palą się tysiączne światła i brzmi muzyka — nie owa pełna słodocy, dolatująca uszu, jak dźwięki w śnie wymarzone, ale huczna, wszystkie przejścia, altany, galerye, portyki zapelniająca, a jeszcze jej nie dosyć, bo i po dziedzińcach się rozlega, mury przeskakuje i dopiero kona z jednej strony na kopułach minaretów, z drugiej na falach Wołgi.

Wtedy niewolnice zdobytych haremów tańczą przed tronem pana i pani, każda podług obyczaju swego, każda w stroju swej ojczyzny, skąd złotem przeplacone wdzięki przyniosła nad brzegi Kaspii na łup wyznawcom proroka. Świeże, jak róże Edenu, z okiem rozżarzonem wiecznie, kołują, splatają się w wieńce, to rozrywają swoje szeregi. Lica niektórych dotąd świeżość niewinności krasi, inne już poznały, co rozkosz, i nadal rozkoszy tylko żądają; ona je przepsuje, przepali, na zgniliznę i popiół rozsypie — ale długo jeszcze będą piękniemi, a dziś żaden kwiat zachodniego świata nie zrówna im w postaci, lekkości, urodzie. Po tych błękitnych kobiercach, wśród owych makat lazurowych snują się nieprzerwanie, ich muślinowe szaty trzepocą się wokoło ich kibici, jak skrzydła u ramion aniołów. To chmury letnie, przesuwające się wśród błękitu, tkane w słońca połyski. Raz osobno płyną, niby błędzą w niepewności, aż się zjednoczą i mgła różnobarbna z nich powstaje wśród sali. Ta burza promieni, uśmiechów, pukłów, szarf, welonów, skupiona razem, pędzi na skrzydłach wia-

tru, lunie deszczem róż i mirtów, zagrzmie dźwiękiem strun i głosami fletów, wreszcie opadnie u stóp Maryny i rozprysnie się w tęczę jasności od jednej ściany do drugiej. A niekiedy z kosztownego puharu popija Sahajdaczny wino, zaprawione wonią i słodyczami, bo mu trosk brzemień cięży na sercu i nie dosyć tańców, lamp, muzyki, by ta pierś hartowna pamięć stracić mogła na chwilę. Trza napoju, by mózg przewiercić do dna, a wtedy lepiej mu patrzeć i słuchać. Wie on bowiem, iż blizkie niebezpieczeństwo, i jego uniknąć nie raczy, choć nie ma nadziei, by go odwrócić mógł lub pokonać, jak tyle razy zdarzało się za młodu. Całe państwo moskiewskie wali się naprzeciw niemu. Wczoraj jeszcze goniec przyleciał i padł z koniem na bruk pałacowego dziedzińca — dobywając ostatniej siły, wyrzekł: »Zbliżają się wrogi twoje, Igorze« — i koń i jeździec rozciągnęli się raz jeszcze, konając, a potem już leżeli bez ducha.

On byłby dawniej porwał za szablę, zawołał na swoich: »Do siodła i zbroi!« i poszedł wprost naprzeciw burzy dla spróbowania losu. Dziś równie śmiały, ni go lata ni wczasy nie garbią ku ziemi — ale już nie ufa szczęściu. Dziwne przeczucie każe mu powtarzać po cichu: »Ostatnie to chwile panowania mego« — bo ludzie, wyżsi nad gmin natchnieniem duszy lub czynami ramienia, bliższe mają spółkowanie z światem duchów i jego poszeptom wierzą głęboko. Zdarza się często, iż takowe przeczucie we śnie się urodzi, czasami we dnie, przy blasku słońca, czasami wieczorem wśród tańców i muzyki, nie wiedzieć, skąd zleciało; ale to pewna, iż rozgości się w duszy i z niej

już się nie oddali, dopóki się wraz życiem nie rozemdleje w chwili dopełnienia. I w tem przeczuciu jakowaś rozkosz przebywa, niepojęta, ale pełna smętnego powabu. Bo nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi, a dusza, przywykła do niebezpieczeństw, nie lękając się zaguby, nim nadejdzie, pewna, że jej uniknąć nie sposób, to używa uciech życia z podwójnym zapalem, to z uroczystością gotuje się na śmierć, a pośród tych przemian co godzina, co chwila siła przeznaczenia mocniej ją krępuje. Nie tylo szczególnie ludzie, ale całkie ludy w takowy sposób konają czasami.

Śpiesz się więc, śpiesz, Igorze Zarucki, nasycić oko wdziękami lubej, usta jej ustami, nacieszaj się przepychem i zbytkami wschodu, nie dbaj o to, że za kilka dni może z owych bogactw i całego królowania twego jedna ci pozostanie żelazna koszulka — szczęśliwy, jeśli ci własny miecz nie rozprysnie w dłoni! — Bohatery są posłańcami przeznaczenia, wieszczami, których natchnienie wywraca miasta i wytępia ludy — od kolebki do grobu siła ich pędzi nieznana, wszechmocna, której ani wrogi się nie mogą oprzeć w chwili zwycięstwa, ani oni sami w godzinie upadku. Pospolitym ludziom przystało się trapić, kiedy śmierć przewidują, ale nie temu, który z wyższego zrządzenia umiera, a żył w taki sposób, że, choćby legł w pustyni lub głębiny morza, stamtąd imię jego zmarłychwstanie jeszcze, by ziemię obleci[e]ć.

A Marynie dotąd śni się o berle i Moskwie; niewieścia wyobraźnia żywyszemi farbami świat wystroić umie i jeszcze wśród burzy tęczę nadziei rozwieść po

chmurach. W jej objęciach Zarucki innym człowiekiem: pośpność z czoła mu precz uchodzi, w ramionach, któremi kibić jej oplata, zdusiłby wszystkich wrogów swoich — ale kiedy przejdzie chwila uniesienia, kiedy nastąpi omdlenie rozkoszy, wtedy znów czuje, iż go śmierć czeka.

Żał mu jednak zamiarów, nad którymi wiele nocy przeczuwał i doczekał się białego ranka; wreszcie schylił głowę przed Bogiem, dalej ludzić się nie myśli — dzieckiem na to, nie mężem być trzeba. »Do upadłego się bronić i upaść« — oto jego ostatnia pociecha, bo w tej ostatniej walce rozwinie wszystkie siły swoje — poznają nieprzyjaciele, jako lew osaczony kona!

Już też i jesień nadchodzi. Słońce nie tak wspólnie krąży po niebie, wichry od kaspijskiego morza śpiewają hymn śmierci kwiatom i drzewom, fale Wołgi pienia się od wściekłości, wokoło Astrachanu piramidy piasku wznoszą się i przechadzają w pustyni, niby ruchome mogiły. Po zachodzie ogromna luna widnokrąg rozpala — rzekłbyś, iż miasto wielkie goreje w oddali; meteory latają w powietrzu i rozpadają się na iskry czerwone, słychać szumy w powietrzu, a chmury biją się na niebie, jak wojska na ziemi. Gmin tymczasem szepce o wróżbach i znakach, o powodzeniach i upadku mocarzy i wodzów.

IX.

Kozaków z Siczy¹ i kozaków z [nad] Terku² wyginęła moc. Do ostatniego bronił się Zarucki, wreszcie konia dosiadł i z hucem młodźców zniknął w stepach.

Wojska moskiewskie zalały oba brzegi Wołgi — Astrachan wrócił pod panowanie carów. Szein Nikomko Horbrokow przywodzi owym tysiącom, które się rozbiegły za Zaruckim, za Maryną. Po pustyniach pędzą Tatarzy i upatrują ślady uciekających, ale nie raz z tej pogoni już do wodza nie wrócą — mróz jeźdźców i konie do ziemi przykuje.

Szwed, który dał się namówić do dalekiej wyprawy, dotrzymuje, jak może, kroku zimie i z ciężką rusznicą brnie po śniegach, brnie w piasku pod spodem.

Moskale śmieją się i powoli stąpają; im nie mroźno, im dobrze, im doma wśród zawiei i śniegów. Zaludniły się puszcze — obozy co chwila przesuwały się po nich; wielbłądy stąpają z białymi namioty, gdyby z skrzydłami na grzbietach, świstom wichru na przekór grają trąby i kotły, pod szaremi chmurami błyszczą hełmy, tłum bród moskiewskich, podobnych z daleka do zgrai buńczuków, posuwa się naprzód. Coraz głębiej zapuszcza się wojsko w manowce pustyni. Tak bowiem car Szeinowi kazał, a Szein przykazuje im teraz.

¹ Sicz czyli Kosz — siedlisko Kozaków przy ujściu Podpolny do Dniepru.

² Rzeka Terk lub Terek wypływa z gór Kasbek na Kaukazie, wpada do morza Kaspijskiego.

Ale też trupów niemało śladami ich leże na śniegu. Kruki i sępy tańczą nad nimi w powietrzu i rwą ciała na sztuki wśród burzy, popijając śniegiem.

Nigdzie nie mogą wykryć śladu męża i niewiasty, za którymi się uganiają; wiatr, co płasza w pustyni, ślady owe zaciera. Zaraza szerzy się po wojsku, głód nastanie wkrótce, a zatem wódz każe stanąć, sobie szopę wystawić, przedniejszym rozbić namioty bojarom, nory w ziemi wykopać żołnierzom i pokryć je sitowiem, co po jeziorach tu i ówdzie rośnie, a że na siłach opadł, kładzie się na skóry niedźwiedzie i rozmyśla, jakby sobie i carowi dogodzić.

Dzień minął, noc minęła, żadnego powziąć nie zdołał zamiaru. — »Wyginą owe tysiące bez żywności i o takim mrozie; mniejsza o to, ale i ja może gdzie padnę na piasku, lub, jeśli ujdę zgonu, a wrócę z niczem, w domu zastanę niesławę, co mnie u progu przywita; ale mniejsza i o nią — więzienia i gniewu Jego Wielicestwa¹ się obawiam; żadnych mi nadgród nie będzie«.

A zatem zwołuje podrzędnych wodzów i bojarów; oni stoją w poszanowaniu naokoło łoża, wśród ścian, trzęsących się od wichru, obitych skórami, porozwieszanych orężem.

— Radźcie — wolno każdemu zdanie powiedzieć! Przysłużycie się mnie, a ja, wiecie, żem u cara pierwszy na urzędzie i względzie.

Naciągną się twarze, najeżą się brody, słysząc szelst szat, bo każdy rękę podnosi ku czołu i długim

¹ Jego Wielicestwa — Jego Wysokości, tj. cara.

rękawem o rękaw sąsiada się zetrze. Radzą i rozważają, jako każdy może: ów rozpacza i zmrożoną pokazuje rękę, tamten spuszcza głowę i mruczy pod nosem — najdzielniejsi uśmiechają się, ale uśmiechem zwątpienia.

Horbrokow wstrzymuje gniew, ale znać, iż wkrótce wybuchnie; więc kilku głos zabierają i wystawiają trudy, które ponieść trzeba: »Nie słyszano nigdy nad brzegami Kaspii o tak ciężkiej zimie; nocy długie, gwiazd jak gdyby nigdy nie było na niebie, toż samo z księżycem. Tumany śniegu, jak larwy, szturmują do obozu; we dnie chmury czarne, nieporuszone, chociaż wichry dmie z całej mocy. Jako słońce wygląda, zapomni się wkrótce, przynajmniej u nas; kiedy mróz, to słońce okazałe, a gwiazd nie policzyć, tyle się ich skrzy w górze. Gdzież w tej obszerności szukać garstki ludzi? Zostawmy ich na jadło czarnym lisom! Już oni nie wrócą nigdy, by zaburzyć państwo niezwykłego Michała — może już dotychczas przemienili się w stos kości, a tych nie znajdziemy. Dnia sądnego czekać, aby na jaw się wydobyły!«

Zgrzytnął wódz i spojrzał surowo; wtedy młodszy odezwą z przechwałkami: »Pójdziem aż na koniec świata, lecz wprzód wrócić do Astrachanu trzeba — żywności i prochu zabrakło. Potem gotowiśmy pomrzeć za cara chrzesne całowanie¹«.

Nastąpiło milczenie. Płowe oczy Szeina żarzą się, jak u chorego tygrysa, w ich spojrzeniach dzikość wo-

¹ Cara chrzesne całowanie (z ros. крестное цѣлованіе) — przysięga, carowi złożona.

jownika, chytróść doradcy zwyczajnie przebijają; teraz dzikość wzięła górę. Zadrżeli przytomni, on zagrział potężną pierś, nazwał ich nikczemnikami; ale boleść przerwała mowę, musiał spuścić głowę i jęknąć. Wyrwał sobie siwych włosów garść i sygnął nimi w oczy otaczającym. Wtem usłyszano głosy straży, kłócącej się u progu, potem skrzypnęły drzwi szopy i wszedł młodzian bez pytania się o pozwolenie. Ta zuchwałość wszystkich spojrzenia ku niemu obróci.

Nosił się dziwnym strojem, ni szwedzkim, ni moskiewskim, zarywającym trochę na ubiór wschodnich emirów. Szyszak miał stalowy, wygładzony jak lustro, niewyczerpanych połysków, koszulkę z posrebrzanych drutów, spiętą czarnymi klamrami, a na każdej wydłutowana głowa niedźwiadka z arabskim wokoło napisem; z pod niej przeziara szata błękitna, kindżał u lewego, bułat u prawego boku, z pochwą o mnogich ozdobach; na ramionach rękawice z futrzaniem obszyte, a nogi żelazem okryte.

Wszedł i nie zatrzymał się, czekając, by mu przystąpić kazano, ale przesunął się między bojarami i stanął o dwa kroki od Horbrokowi.

— Nuradynie murzo, Nuradynie murzo, skąd ta zuchwałość? — szeptali mu do uszów otaczający, a on się uśmiechał tak, jak dziecko, radujące się z własnej swawoli.

— Nie jednego już Tatara kazaliśmy zasmagać na śmierć w karę za krnąbrność — zawołał Szein, podnosząc się na skórach niedźwiedzi i wlepiając oczy w twarz Nuradyna, jakby go przestraszyć chciał. —

Wara, choć dowodzisz tysiącem ich i ubranyś, gdyby odaliska serajów!

Twarc młodzieńca nie zachmurzyła się na takową przemowę; założył ręce na piersi i czekał, aż przeminie burza, potem rzekł z urąganiem:

— Przez proroka, przez Allaha, Szeinie Nikomko Horbrokow, chłopie i sieroto¹ cara Michała, hospodara naszego, tym bojarom, tym zmarłym wojakom precz każ iść stąd, bo ja z tobą rozhovor mieć chcę!

Tu już krzyk wodza, uniesionego wściekłością, i groźby przytomnych wstrząsnęły belkami szopy; słychać brzęk sztyletów, wyskakujących z pochew.

Nuradyn murza rozśmiał się, ale już nie po dziecinnemu. Był to śmiech człowieka, gardzącego podłą czeredą, znającego swój cel i dążącego k niemu z niezłomną wiarą w przeznaczenie.

— Wodzu, kiedy oni chuchają w palce, ja moją rękę wystawiam na zęby mrozu; kiedy o odwrocie zamyślają, ja wnoszę, by pędzić dalej; kiedy zwątpili o pojmaniu żony Dymitra, kochanki Zaruckiego, ja przysięgam, że mojej pogoni nie ujdzie. Teraz komu z nas stąd wyjść przystoi: czy drżącym od bojaźni i zimna, czy temu, który z pustyni i chmur się śmieje, prędzej lata od sępa, zjadliwiej, niż sęp, ciało ofiary rwać będzie na sztuki? Ha, przysięgam, że tę niewiastę wykryję i pojmem! Dziś już mi donieśli, gdzie ona!

Z krwią najzimniejszą Horbrokow skinął na otaczających, by się oddalili; potem rzekł do Nuradyna:

¹ Sierota — tu w rosyjskiem tego słowa znaczeniu: człek nikczemny, biedak.

— Głowa twoja, Tatarze, lub głowa Maryny! — i, wsunąwszy się między skóry niedźwiedzie, słucha ciekawie, co tamten powiada.

— W takowej pustyni o takowej porze zgniją wasze namioty, zmarzną żołnierze, na sitowiu ducha wyzioną bojary i sam wódz może skona; nie z obozem, gdyby miasto, wojować tu trzeba, ale z garstką, w której każdy jeździec, jak strzała, a rumak każdy, jak pierze u strzały. Maryna już za Jaikiem¹ — na łodzie go przebyła z ostatkiem młodźców.

Obyczajem rozjuszonego zwierza tarzał się Szeina na łożu, zwał pięście, nogą pchnął szyszak, stojący w pobliżu, i zrzucił go z łoskotem.

— Uciekła, car mi się nie pokłoni! Wszelkiemu pospolitemu motłochowi pośmiewiskiem będę! »Jaki z niego bojarzyn!« — powiedzą z mnożnem natrząsaniem! Łeb twój z karkiem rozbrat weźmie, Tatarze, za taką nowinę!

— Do moich tysięcy przydaj dwa tysiące Kumańskich,² a twoją Maryna, a twoim Zarucki!

W głosie młodzieńca nie było żadnego wahania się, żadnej wątpliwości. Nie śpieszył się z odpowiedzią Horbrokow; znów skórę niedźwiedzia naciągnął po po szyję i dumał.

— Na słońcu mojej waleczności żadnej chmurki nie masz, od kiedy wam służę, wojewodo. Przypomnij

¹ Jaik czyli Ural — rzeka, wypływająca z gór Uralskich, wpada do morza Kaspijskiego.

² Kumanie lub Polowcy, których szczątki po pogromie mongolskim (w XIII w.) na Rusi zostały.

owe pacholę, co przybiegło do ciebie, kiedyś stał pod św. Trójcą — a dziś wodzem jestem! Czemu wyniosłem się? Oto błyskawicą mej szabli.

— Wracaj do Astrachanu, tam odpoczniesz lepiej, tam i wino kipi w czarach, tam oczy dziewczyn wrą w powiekach — a mnie poszlij za zbiegami! Po bezdrożach, po manowcach, dniem i nocą ich nie odstąpię śladów — ścigać będę za carycą, jak kochanek za kochanką, a choćbym miał gryźć piasek i popijać sokiem piołunu, wytrwam i dogonię!

To mówiąc, ruszał rękoma i całym ciałem; znać, że jego chęci tak żywe, iż nie dosyć mu słów na ich wydanie, a twarz, wycieńczona przez rozkosze i opium, zabłysnęła nadzieją i szczęściem — nie owem szczęściem błogiem, które jest snem namiętności, cichą pogodą bez żadnego wichru, ale owem, co duszę człowieka, jak piorun chmur, zarazem boskim ogniem obleje i rozerwie na sztuki. Oczy jego rozpląmieniły się nad zapadłymi rysami i buchające z nich spojrzenia budują Szeina.

— Dwa tysiące Kumańskich przydawam do twoich ludzi, ale przysięgnij: kiedy ją i jego, związanych powrozem, przyprowadzisz do stóp moich, bym ich zawiódł przed hospodara naszego, że przed hospodarem naszym za to o nadgrode bić czołem nie będziesz! Ja; bojar Szein Nikomko Horbrokow, klnę się przez błahoczesną wiarę naszą, iż sam soroków¹ sobolich przysta dam tobie w zapłacie.

¹ Sorok — czterdziestka.

Uśmiech niewymownej pogardy skurczył usta młodzieńca.

— Przysięgam przez proroka!

— A zatem dziś zaraz wyruszyć możesz.

— I wyruszę!

Po tych słowach poszedł ku drzwiom szopy.

Odwołał go Szein.

— Pamiętaj, młody jesteś, byś nie zabył¹ obietnicy swojej! Ta wszetecznicza, która się carową nazywać śmiała, skarbów z Astrachanu, jak gmin gwarzy, uniosła mnożno. Soroków trzysta.

— Śmiech mnie bierze z twojej przenikliwości — przerwał Nuradyn. — Dowiedz się, iż twe zrzenieby zgasły na zawsze, gdyby tylko połowę tych kosztowności, któremi ja gardziłem, jak piaskiem, oglądać im przyszło!

— Ha! — zawołał Horbrokow — o twoim rodzie Tatarzy twoi dziwacznie bają; słyszałem, słyszałem!

I zamilkł, choć chciałby dalej mówić, i nie oburzał się, choć gniewem nabrzmiały mu lica.

Nuradyn znów ku drzwiom postąpił; śpieszy się, jak człowiek, który pragnie wyjść na świeże powietrze z sali godowej, gdzie napój mózg mu zawrócił i rozpałił serce.

— Jeszcze jedno przykazanie, człeku pogański, weź na drogę! — i odwołał go do siebie wódz skinieniem ręki.

Młodzian tupnął nogą o ziemię.

— Po morzu naszej cierpliwości żeglujesz bezpiecznie, a gdyby to nie morze było, lecz tylko jezioro?—

¹ Zabył (z ruska) — zapomniał.

zawołał, klaszcząc rękoma obyczajem znudzonego dziecka.

— Owa Maryna Laszka czarownicą jest niepospolitą. Bogomodlca archiepiskop Serygiej ogłosił mi zdanie swoje o tej nierządnicy; krasa jej najchrobrsze serce zmiękczy, a ty młody i niewierny!

Na te słowa dreszcz porwał wszystkie członki Tantara, kolana zgięły mu się ku ziemi, sto rozmaitych wyrazów weszło mu i znikło na licach; głos jego, dotąd ciągły, dźwięczny, osłabł teraz i przerywa się co chwila.

— Nie bój się, niechaj mi się pokaże, jak hurysa wśród pustyni! Ona rajska rosą oblana, rajskie wonie wokoło niej płyną, piasek, śnieg, tumany, ona krzewem róż edeńskich wśród głuchej puszczy, nad solnem jeziorem, co dysze pod białą skorupą! Przebrzydła owa okolica — i rumak pieni się od strachu i jeździec nie dotrzyma siodła przed okropnością obrazu. Natura w dzikości swej dzieci swoich się wyrzeka, patrz — trupy leżą na żwirze, ot, sama podusiła swe dzieci! Ale ani mój koń, ani ja nie zginę! Jej wzrok będzie mi gwiazdą, jej głos harfą w pustyni — może i to być, że oboje przepadniemy na wieki. Polegaj na mojem słowie, przywlekę ci ją za włosy, polegaj, do Astrachanu, do pałacu twego... z szczerego jedwabiu jej pukle... Przysięgam...

Ani zadrgnął żaden rys na twarzy Horbrokowa, ale słuchał uważnie, bo chciał podejść młodzieńca i wyrozumieć jego tajemnice.

— Nuradynie, nie przy wszelakich zmysłach zastaje cię pierwszy dzień twojej wyprawy. Wracaj pod

namiot swój i legnij — kogo innego poszlę na brzegi Jaiku!

Zgryzł sobie wargę Nuradyn. Znać w nim żal, iż popuścił cugle językowi, a zatem przybierze barwę spokojności i zarazem uszczypliwym przekąsem usta nastroi:

— Czasami się zdarza, iż mnie żarty porwą. Zawszy niebezpieczne wycieczki i błędy zaczynam od tego; bądź zdrów, wojewodo, o mojej wierności nie wątp i chwili. Nie poznałeś się na mnie.

Lica jego w tej chwili cechę obojętności przywdziały, znikło gwałtowne wzruszenie, co nim miało; bawił się to frendzlą od szaty błękitnej, to rękojeścią kindżału.

Nie wiedział, co wyrzec, Horbrokow, ale boleści coraz bardziej mu dolegają; wicher nabiera siły i tłucze o ściany, słyhać w obozie jęki i odkazywania, a czasami głuchy szcęk rydla o kłęby śniegu i bryły lodu. Znać świeżym trupom świeże doły kopią.

— Tatarze, idź! Rozkazy wydaj. Pamiętaj: głowa twoja lub głowa Maryny!

Rękę położył na sercu młodzieniec, zadrżał cały, ale umiał wnet pokryć wzburzenie duszy i uklonił się nisko uklonem niewolnika, obiecującego panu wypełnienie jego woli. Tymczasem w oczach jego świetnieje, że dopiął zamiaru i że on, a nie kto inny, od tej chwili jest panem.

Nazajutrz obóz moskiewski zwinięty, wojska wstecz wracają ku Woldze, a trzy tysiące jeźdźców oddziela się od niego, jak kłęb śniegu od śnieżnej zawaly, i w przeciwną stronę się udaje ku brzegom Jaiku. Na

czele Nuradyn z przepychem szacha jedzie na arabskim koniu; nie pyta się o wicher, ni o mróz, co pod kopytami trzeszczy, ale pędzi z uniesieniem wojownika, który jedzie na pewne zwycięstwo, z zapalem kochanka, co za lubą goni, z szalem człowieka, przepalonego od namiętności, który długo udawał, ale dziś już udawać nie potrzebuje, bo zbliża się do ostatniej sceny żywota, gwoli której wszystko poświęcił.

Twarz jego otoczona połyskami hełmu, bijącymi z góry, i połyskami pancerza, bijącymi z dołu. Cała siła młodości, wszystek ogień nadziei pała w zrenicy; rzekłbyś, iż on szczęśliwy i chwały i nadgród przecuciem — ale przypatrz się lepiej, a odwrócisz spojrzenie od tego uśmiechu piekielnej rozkoszy, który do ust się przyczepił, jak nienasycona pijawka!

X.

Za Jaikiem ciągną się błonia, przeklęte od Boga. Wicher jedynym ich jest panem — on tylu niewolników ma na swoje rozkazy, ile ziarn piasku drzemie w pustyni, przeciągłymi świsty budzi je i ożywia, potem, jak mu się spodoba, posyła na wsze strony świata.

Wznosi z nich budowle jednym zamachem skrzydeł i rozsypuje wnet drugim. To piramidom każe lecieć na zabój i kręcić się bez ustanku, to cały przestwór zarzuci mogiłami i z głuchym jękiem przechadza się po cmentarzu, to znowu głos wyżej podniesie i wirami przestrzeń zamąci. Sypią się jedne na drugich bałwany piaszczyste, jak spienione fale na morzu,

a jako ze szczytów fal oderwana piana bryzga deszczem w górę, tak i z owych balwanów wzlatuje proszak białawy i mgłą niebo przesłania. Biada żeglarzom, których ta burza napotka, bo wyjdą na rozbitków wszyscy! Żwir, jak olów stopiony, zaleje im gardła, zrzenice wypali, a ciała pójdą na dno, w sypkie, wiekuiste otchłanie. Kiedy opadnie zawieja, cała pustynia w gładką równinę się układa; rozrzucone po niej wysepki z piolunu, tu i ówdzie czołgają się ciernie, a pomiędzy nimi węże okręcają się z sobą, przeciągłem gwizdzeniem ogłaszając swą miłość.

Taki obraz okolicy, kiedy słońce wre nad nią latem w pełni swoich promieni. Ale teraz śnieg obsypał piaski, rzeka stanęła, szron wszędzie połyska; kilka dni sokołowi lecieć ponad tymi stepami, a wzroku mu nie stanie, zatrzepocze skrzydłami, raz jeszcze się podrzuci i padnie, olśniony, na biały śnieg wśród gwiazdeczek z lodu. Tam, gdzie pustynia, zda się, przylgnęła do nieba, podnoszą się wzgórza, dalej podnoszą się skały bez drzew, nagie, chude, jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginął, a skamieniały kości. Tu dopiero zaczynają się manowce i bezdroża, czerwieją paszcze jaskiń, z których snuje się para zjadliwa, granitowe słupy się ciągną, a między nimi kopce ze śniegu; lody, jako blachy, przykuły się do grzbiętów i do piersi skał, wawoży idą naprzód, obracają się w prawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bez ustanku. W tym zamęcie pamiętać na mało się zda: raz wszedłszy, długo wyjścia szukać trzeba o pocie czoła, o krwi, z nóg ciekącej —

coraz inne przechody wabią ku sobie — tyle skał, ile drzew w borze, wszystkie podobne do siebie, jak liście do liści. Po męczących błędach wreszcie zatrzyma się pielgrzym i obejrzy się w rozpacz, a one zdają urągać się jemu, bo te same, które minął od godziny, dotąd stoją naokoło, jak gdyby, cichaczem stąpając za nim, posuwały się, kiedy on idzie, stawały, kiedy i on stawa; mózg w głowie mu się zakręci, wyda mu się, że one kołem tańczą, wirem go porywają i wciąż niosą pomiędzy siebie bez odpoczynku, bez końca; ale jeśli odzyska zmysły i ochotę, jeśli szczęście mu posłuży, po żmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdążył ku owym skałom, bo mu szpiegi donieśli, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porosty stawiał czaty? Co kilka staj koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; zdala miga zbroja, zdala marsowa postać wojownika, ale przystąpi, ktokolwiek jesteś, wrógli czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzieś, słońce wyjrzało. Tysiące udanych iskier błyszczą nad śniegami i, przepadając, pod kopytami trzeszczą, jako prawdziwe iskry, gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak, jak chmura w burzy, która, wyskoczywszy z ogromu wyziewów, zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreszcie oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrywa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca wokoło szyszaku.

— Naprzód — woła — naprzód! Oni tu; i hurysa moja i przeklęty jej mąż, potępieniec mojego gniewu!

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wyzierają z białego śniegu: »To bracia nasi! Nuradynie murzo, odpoczynku wołamy! Nuradynie murzo, przespać się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim! Dozwól, by na pół zmarzłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizał ciepłym językiem«!

— Ha, nikczemniki! — zawoła młodzieniec. — Skąd wam śmiałości takowej przybyło? Żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to, snem, niewolniki moje, a nie prawdą! Niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu z karku, tak, jak dziewica serajów pączek róży z gałązki odrywa — pierwszy lepszy! I ty, Abadzie Sahali — ot, zginiesz jak marny owad; i ty, Mechmecie, już mój koń drży niecierpliw — lepiej mu deptać po tobie, niż po śniegu i lodzie. Zbliź się, Akbareju, a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie! Mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemiesienia, Hadżadynie, ruchem ust tyło mi się nie spodobaj, a stąd kindżał wświdruję ci w czaszkę!

I, to mówiąc, damasceński tasak¹ wysuwał z dłoni

¹ Damasceński tasak — szabla krótka, w Damaszku wyrabiana.

i chował naprzemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami, by wpaść na nich — wtem klinga w drobne kawałki się rozłamała, rękojeść tylko zostanie w prawicy: huk od strzału janczarkowego zagrzmiał pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allaha, za mną! — krzyknął i, nie obzieraając się nawet, czy go usłuchali — za mną, to Zarucki!

Ale kiedy dopadł skał, rumak na nic mu się zdać nie mógł; skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej. Kilkudziesiąt ochotnika pośpieszyło śladami jego, reszta została wokoło wielbłądów i namioty ściągając z ich grzbietów.

Od tego dnia szczękiem szabel, strzelbą janczarek rozlegają się wawoży, pośród skał i filarów z lodu ucierają się męże; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają — o siodełach ani myśleć, bo, gdzie tyło spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość.

Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele młodźców, wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk, co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Perejasław¹ w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdo-

¹ Perejasław — kilka miast w Rosyi; tu zapewne P. Rjazański, czyli Rjazań nad rzeką Trubeż, stolica gubernii tejże nazwy.

były, uciera się, jak może, każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żal ginąć wobec tak dziarskiego hetmana — on trupa uczi spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na dni kilka, żywność ściągają z pod chmur, strzelając w dzikich gęsi stada, mech, przyczajony pod szronem, z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasami jeszcze wśród bitwy dumkę stepów zaśpiewają; śpiewaka nieraz pocisk wkrót przeszyje, on pada ze skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczęta zwrotkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje; to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztopia, to, przyciśnieni, rozsypują się, ówdzie stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego nie masz; tam, gdzieś z tamtej strony opoki, odzywają się szelesty, jakby sto węzów, razem pełznąc, szurorowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich pochodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych, tak, jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysięcy dopnie myśli swojej ogromnej. Ale w nim owa myśl nie w głowie, jedno przesiaduje w sercu; nie wyrze ona skutków na cały naród, może zaginie razem z nim w pustyni, ale dusza jego się śpieszy, by się jej pozbyć i wal-kom swoim koniec położyć, nie dbając o to, czy pie-

kłem czy rajem, byleby ustaly, byleby pokój, rozkosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie ciąży. Onby kraj cały rozniósł końskimi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom, ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tyło do piersi przynieść tę, która go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta, drobnouchne rączki wyciągając, dziewice, zalewając się łzami, skarżą na niego — on gotów, on nie wie, co to jest sąd Boga, ale wie i czuje, co płomień, który piersi mu pożera!

XI.

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakręża się nad nią, tu i ówdzie draśnięte blaskami płomienia, dogorywającego na szerokim ognisku, zasypańcem popiołmi, zasianem węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy, wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasila, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej, lub, jeśli

mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem? Może to sen głęboki? Nie, onby się obudził na pocałunki tej, która go trzyma. — Ot, błyskawica konającego ognia oblala twarz maluczką; rysy skrzeple, drobne ciało, sztywne, gdyby drzewa kawał. Opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży, jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnem otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniewi. Rozciągnęła ręce nad węglami, by się rozgrzać. Szaty jej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów, złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem; stopniami jednak wyraz rozpaczyny ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego żalu, uroczystszej powagi — pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole. Powoli kolana naginają się ku ziemi. Uklękła, a w czarnych oczach, spuszczonech w dół, cichą modlitwę odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini — niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecko, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słysząc pod jej palcami szelest szmat jedwabnych, taśmy złote i srebrne wysliznęły się i pełzną naokoło.

W jej ręku cienki sztylet błyszczy; raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży, różne kosztowności spaja, wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przeszywa. Czasami też bierze miarę ciała, ramion, nóżek, wstążką piersi, główkę, szyję obwiązuje i, odej-

mując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatnich dawnej carskiej pychy giezłeczko¹, lamowane srebrem, na trupa uszyła Maryna.

Nie łatwo odziać niem skościale członeczki; nachyla się matka, całuje zimne powieki: »Pozwól, niechaj matka carowa ciebie, dziedzicu Dymitra, ubierze, jako na cię przystało. W jednym grobie i ty i nasze państwo legniecie razem na wieki, synu mój, syneczku mój drogi«! I chwyta za rączkę, rączka gdyby z marmuru, i technieniem stara się ją rozmiękczyć i twarz pociera i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreszcie suknią błyszczącą przyoblekła syna i zaraz do nowej bierze się roboty: z czarnej szkatuły wyjmuje koronę, nad płomieniem trzyma, a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, dyamenty, rzuca w popioły, gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykładą do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina: teraz już pasuje mu do skroni. Następnie rząd pereł nawlecze i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej rozkoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogimi połyski — chwała Kremlinu, jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża, myśl jej drasnęła. Złożyła ciało na pościeli z mchu i, marząc, że śpi jej carewicz, naciesza się okazałością jego.

¹ Giezłeczko, wyraz staropolski — koszulka.

Ale śmierć na twarzyczce, szydząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, na przekór ich barwom sine plamy i zmarszczki coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania.

— Dopełniają się losy Igora i twoje pójdą za nimi — rzekł głosem pełnym stałości. — Dziś ostatni moi towarzysze poległ; kilku, ranami okrytych, zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ah, ty płaczesz, moja luba?

I spostrzegł leżące dziecko.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwawało do siebie! Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże, bądź pochwalon! — krzyknęła Maryna, podnosząc się nagle. — Masz prawdę, Igorze: on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciało nie pasowało się z odlatującą duszą, a ona teraz, suto promieniami uwieńczona, przyspiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę Przenajświętszej Dziewicy. Śpij, śpij, synu mój! Ty wrzekomo znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz ponad temi skałami. — Śpij, śpij, synu mój — hańby nie poniesiesz, pogardy nie doznasz! Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewiczu mój! Żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień poniżenia zaświtał. Igorze, zapal pochodnię! Grób mu wykopieśmy w głębi jaskini, tam, gdzie leżą twe zbroje.

— Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto? — rzekł wódz posępnie i, łuczywo porwawszy z ognia, szedł naprzód, ona z tyłu, niosąc dziecko w ramionach.

I szli, milcząc, przez długie przejście, kędy sklepienie, wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu, w dziwne to zwęża się, to rozgina otwory, to zdaje się leci[e]ć ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią, to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto, gdyby wykute, się ciągnie, to co kroków kilka łamie się kątem, zakręca się kołem.

Wreszcie doszli miejsca, podobnego okrągłością swoją do kaplicy. Stąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakrąża się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże, filary, arkady, a pomiędzy nimi przerwy dziwacznej kształtu, to połamane, jak gdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane; znać, że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś już nie słychać kapania i wyschło już źródło.

Niżej, w wydrążeniach ścian, Zaruckiego rynsztunek wojenny starownie ułożony, kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelazców strzał, dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena, nabijana srebrem, z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz szeroki, obosieczny, prosty i nim zaczyna w środku jaskini dół kopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtórują bryły ziemi, rozsypujące się pod żelazem. Nie długa praca — domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu. Rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przylgnęły do piersi; w całun go potem obwinę,

a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz, kończąc »Zdrowaś Marya«, pocałunek złoży i wyrzeknie: »Amen«.

Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okrywa; lęka się, by piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia, i własną ręką wygładza dół grobu, a potem głowę odwróci, zatknie uszy i gorąco Bogu się modli.

Kiedy znów spojrzy, już wyrosła mogiła i wódz młodźców, oparty na szabli, duma nad nią. Mogiła czarna, nie wysoka, obnażona; serce matki, że jej nie dostaje czegoś, natychmiast poczuło.

— Igorze, miej litość nad nim, znak zbawienia zatknij nad jego grobem! Wtedy uwierzę, iż szczęśliwy, lecz teraz mu jeszcze skrzydeł u ramion nie widzę.

To mówiąc, oczy trzymała wlepione w górze, jakby pomimo wiązania z głazu ścigała za duszą syna w przełocie od ziemi ku niebu.

Zarucki obziera się naokoło i myśli, jakby można zadosyć uczynić jej żądaniu. Przez chwilę jeszcze stał niewzruszony, potem idzie ku ścianie i łuk zdejmuje z niej.

— Hospodarko moja, to mój stary towarzysz. Miałem ich dwa — jeden dziś pękł mi w dłoni i rzuciłem go w przepaść, drugi również prysnąć musi.

I, zdjawszy cięciwę, nogą tłoczył drewno, dopóki nie rozłupał na dwoje.

— On mi służył po licznych ziemiach. Tatarskie, moskiewskie, szwedzkie z niego przewierciłem gardła. Brzęk tej cięciwy był muzyką dni mojej młodości, najdumniejszy wąż pustyni nie umie tak gwizdać, jak

strzały, które z niej puszczałem — Ale dajmy pokój temu, co minęło, a nigdy nie wróci!

To mówiąc, handżarem strugał i ciosał drzazgi łuku; wióry padały na ziemię, jako puchy ptasie.

— Słyszałem od wiarogodnych ludzi, że, kiedy śmierć bliska, łatwiej człowiekowi przyszłość przewidzieć i duchy ujrzyć w postaci widomej. Czy wierzysz temu, o moja dziewczyno?

Podniosła głowę, schyloną nad grobem dziecka.

— Wierzę.

Zadrżał wojownik i rękojeścią sztyletu zadzwonił o własną zbroję. Dźwięk, który się rozległ, miłym był jemu.

— Tyle razy tratowałem po ciałach, spałem po zburzonych cerkwiach, po cmętarzach, kędy z rozwalonych kurhanów blade wyzierały koście; pod Smoleńskiem, siedząc na zmarzłych trupach wokoło ognisk, z polskiem rycerstwem piliśmy roztruhany miodu noc całą.

Nieraz w puszczach z gwiazdami nad głową sam jeden błądziłem. Dziwne wprawdzie słyhać było szumy to w zaroślach, to po bagnie, to wyżej, między gałęzmi drzew; nie był to wiatr, nie było to skowyczenie wilków ni jęki puhaczów — z tymi głosami znało się moje ucho. Było to coś lekkiego, urywającego się — ledwo się odezwało, a jednak dreszcz, gdyby tysiąc mrówek, biegał mi po barkach i plecach; wytężałem oczy, nadstawiałem uszów, bo ciekawy byłem stworzeń Boga, wyższych nad ludzi, blakających się po świecie, którym noc jest dniem, mogiły mieszkaniem, wichry są skrzydłami, na których przelatują całe

w bieli, z oczyma błyszczącemi, jak próchno, milczące lub w krótkim słowie oznajmujące wyroki niebios, karę, potępienie... Czasem też, jak pospólstwo gwarzy, stoją u łóża, na którym grzesznik umiera i straszne przecucia w duszę mu kładą.

Niemąło też i po zamkach bywałem; w ciemnych komnatach, pośród starodawnych malowideł, w burkę się obwinąwszy, zasypiało się wtedy. Dziwne sny mnie trapiły, lecz na jawie nigdy nic pewnego nie spostrzegł.

Lubiłem jednak zawsze słuchać o marach i widmach, bo wtedy nieznane uczucie miękczyło mi serce; rozptylałem się w niem, jak gdyby w rozkoszy jakiej. Łzy do powiek się cisnęły, choć to nie było ni miłością, ni żalem, ani też bojaźnią; nie potrzebuję chlubić się z odwagi, insi wiedzą o mnie.

Nieraz jeńcom kazałem zdjąć okowy, wyrok śmierci odwołałem, bo godziną wprzód starzec lub białogłowa jaka opowiadała mi o marach, wstających z mogił, kiedy wszyscy zasną, a na cerkwi północ uderzy.

Krzyż już dokończony: cały z drewna, a u końców jego tensam róg, w któren wgryzała się cięciwa. — Wódz złożył go w ręce lubej; ona, klęcząc, posadziła go na grobie i, wstawszy, przypatruje się w milczeniu, a małe ramiona krzyża cień rzucają, który spływa, gdyby wstęga czarna, po bokach mogiły.

Igor odpiął przebity pancerz i pyszną go zastąpił kolczugą, szablę wyszczerbioną odpasał i zawiesił pałasz o klindze bez skazy, nabijanej hartownemi żyłkami. Hełm wziął z kamienia i wsadził na głowę.

— Gdzież się wybierasz, Igorze?

— Gotuję się na jutrzejszą walkę — ostatnią. Dawniej na gody wdziewałem tę zbroję.

Wtedy zmiana zaszła nagle na licach Maryny. Kibić zgarbiona prostuje się, jako dawniej bywało, i, jako dawniej bywało, w oczach, naokoło ust, na skroniach wydatnem się staje, iż ona jest panią, której świat hołdował, jako zamożnej w potęgę i urodę.

Wyciągnęła rękę ku mogile i pożegnała, jako się żegna z brzegu odpływających łódką w dalekie strony; potem wychodzi i stąpa przodem, za nią Sahajdaczny. A kiedy wrócili do pierwszej jaskini, ona głosem nie-wzruszonym się zapyta:

— Czyż wąwozami przemknąć się nie mogę? — Znasz mnie, jako biegnę po górach i pragnienie umiem wytrzymać w pustyni.

Zarucki nic nie odpowiedział; przez chwilę trzymał głowę schyloną — nie rozpoznać, czy on goni myślą za środkiem jakim, czy też poddał się zupełnie zważeniu.

Wreszcie podniósł czoło. Wyraz jego twarzy był świetny w tej chwili, choć nie mówił o chwale ani też o szczęściu; pałała w nim żądza ostatniej rozprawy, zmiękczona przecuciem, że już po niej cisza nastąpi, przeznaczona za grobem w nadgrode skołatanemu życiu, cisza ducha, panującego ziemi z wysoka i przy-słuchującego się głosom ludzkim, szemrzącym o jego sławie w oddali.

Porwał Marynę za rękę i wywiódł z jaskini. Ze-wsząd wieńcem, ciasnemi przejściami rozerwanym, okrążają ich skały. Ramieniem wskazał w górę: po

wszystkich szczytach buńczuki tatarskie zatknięte pływają przy powiewach wiatru, jak grzywy biegnących rumaków, a nad nimi żarzą się półksiężycy, oblane światłem czerwonym — bo tam gdzieś za górami zachodzi słońce.

Wzrok obraca dokoła: co wierzchołek, to znak nieprzyjacielski; słychać czasem wrzaski w odległości. Zrozumiała, ale przeto nie cofnęła się przerażona, ni płaczem niewieściej dowiodła słabości.

— Taki więc miał być koniec Maryny Mniszchówniej! — rzekła wolnym głosem, bez goryczy, bez żalu, z powagą, która wodza młodźców do jej stóp rzuciła.

— Maryno — krzyknął z uniesieniem, a twarz mu jaśnieje od męstwa, w prawicy miecz ściska — i ja kiedyś byłem wielkim i mnie dni pychy się zdarzały, ale nigdy, czy w złych czy w dobrych losach, twej nie zrównał duszy!

I rękę jej do ust przycisnął. Nie było to gorącym pocałowaniem kochanka, ale hołdem uwielbienia. Oboje wrócili do jaskini. Igor tlejące węgle mchem rozżarzył, dwa sajdaki rzucił i pęk strzał w ognisko.

— Niegdyś byłbym, to czyniąc, kilkudziesięciu wrogów udarował życiem... Palcie się, palcie, strzały moje, płomieniem przysłużcie się panu, kiedy już wasze żelazca i pióra na nic się nie zdały — w dym i perzynę lećcie, strzały moje, mróz z członków mi zdejmcie! Jutro jeszcze ich kilku trupem obale.

Przy ognisku zasiadł, a na jego ramieniu głowę oparła Maryna; za każdym słowem tchnienie jego po włosach jej buja, ręką opasał jej kibić, niekiedy po

cichu na uścziech pocałunek złoży. Ale już minęły owe czasy miłości, pianej rozkoszą chwilową i nadziejami bez końca. Wtedy żywe bywały rozmowy, iskry w oczach nie gasły, rumieniec gorączki nie schodził z lica, do uścisków mieszały się westchnienia, pośród nich mózg się zakręcał, drżały kolana, serce to biło, jak gdyby od piersi oderwać się chciało, to znowu, ciszej się kołysząc, omdlewało, jak gdyby na wieki. Dziś on ją kocha równie mocno i jej miłość wyżej ceni, niż kiedykolwiek wprzód, ale o kilka kroków przed grobem zadumał się o grobie. Uroczystość zwykła tym, którzy nie lękają się zgonu, a wiedzą pewno, że gardło dać trzeba, zastąpiła dawny jego zapach. Śmierć jest świętością nad świętościami. Jej zasłona, migająca w cieniu, nim człowieka obmroczy dokoła, już mu dostojność nadaje — bohater w ostatnich chwilach żywota jest kochankiem wieszczów — a kiedy opona zapadnie, pod jej całunem na wieki wieków giną drobne plamy, wróg sam nie śmie ich wspominać, siedząc na zabitego mogile, a promienie chwały zostają w górze i unoszą się nad światem.

— Dlaczegoż widma nie snują się naokoło? — ozwał się Zarucki — Przecież już niedaleko do wschodu słońca, które ostatni raz moją szablę obaczy w powietrzu. Dzisiaj jeszcze pora wam, duchy — dajcie przestroge pielgrzymowi, który się wybiera w nieznane manowce! Nie byłem ja owadem podłym na tej ziemi, nie czołgałem się pomiędzy ludźmi, ale wyżej od ich głów rozpuszczałem moje loty. Znacnie mnie więc, jako znacie błyskawicę wśród burzy!

Umilkł, bo uczuł głowę Maryny, cisnącą się do jego

łona, jak gdyby, nie mogąc się oprzeć trwodze, przytułku szukała.

— Nie drżj, hospodarko moja miła! Zbliżamy się oboje ku nieznany krainom — jakom cię strzegł i bronił po ziemi, takż i w nich nie opuszczę ciebie, jeśli Pan Bóg dozwoli.

Tu zamilkł powtórę i długo milczał. Pał się pociśki, już ostrza się rozczzerwieniły, dym w żałobnych chmurkach wznosi się w górę i gdzieś między szczeliny opoki się wkrada.

Milczenie zaległo całą okolicę. Ani Tatar ani szakał się nie odezwie, ognisko tylko brzmi różnymi głosami: to rozłupie się drzazga i sypnie iskrami, to stopione żelazo zaszumi, padając na węgle, to płomień syczy, okręcając się naokoło drewna, to popiół zsuwa się niżej z tłumionym szelestem.

— I jeszcze was niema — zawoła hetman niespokojny — w godzinie upadku i klęski nie raczycie spojrzeć na mnie! Czyż i wam, jako ludziom, trza przeprychu i fortunnych losów? Towarzysze moi, synowie stepów, jako ja, wy, którzyście odpadli od mojego boku w setnych bitwach na wzór liści od pnia dębowego, pokażcie mi się!

Bohaterzy, mistrze mojej młodości, których widziałem krótkimi gośćmi po rozlicznych tronach i ziemiach, Dymitrze, Rożyński, Sapieho, pokażcie mi się! Pamiętam owe dni, kiedy głowy z karków nieprzyjaciół, chorągwie z wież miejskich zlatywały ku waszym stopom, ale i wam też powodziło się do czasu tylko. Jako ja po was marnie, takeście wszyscy przedemną zginęli!

Wrogi, które własną ręką pomordowałem w boju, żadnego z was nie zgładził ni trucizną ni handżarem w plecy, ale strzałą z daleka lub pałaszem z blizka! Teraz już między nami winna nastać zgoda. Zstąpcie ku waszemu zwycięzcy, który w tą samą wybiera się drogę, w jaką sam popchnął was przed laty!

Jęk z zewnątrz wleciał do jaskini i rozległ się żałobnie pomiędzy jej ściany. Maryna oczy wlepiła w otwór naprzeciwko, słupem stanęły jej oczy; wyciągnęła ramiona, jakby coś odepchnąć chciała, lecz nie rzekła i słowa, nie wydała żadnego krzyku.

Na progu jaskini, wśród słabych połysków ognia i pasm cienia miga zbroja i widmo jakoweś czernieje — chwilę postoi, potem wlecze się ku Zaruckiemu krok za krokiem, potykając się i jęcząc, a im bardziej się zbliża, im w jaśniejsze okręgi wstępuje, tem okropniejsze się wydaje.

Stąpa, jakby co chwila w dół zapaść się miało. Twarz blada i krwią zbryzgana, włosy przypłaszczone do skroni, chrzest zbroi na piersiach się odzywa, ręką jedną bok trzyma, drugą wstrząsa gwałtownie, jak gdyby grozić chciał lub wzywać ratunku.

Igor wzdrygnął się cały.

A ten, który szedł ku niemu, już stoi z tamtej strony ogniska, czerwoną jasnością oblany; szmaty blachy kołyszają się u ramion, u szyi, u piersi i, odrywając się, padają na ziemię. Zrzenice, jak szron, przystygły do oczu, usta się ruszają, ale ich głosu nie słychać. Nachylił się dwa razy i dwa razy się wyprostował z przeraźliwym stękanem. Ziewnął i głowę podał w tył, ramię wyciągnął, jakby dla odzyskania równo-

wagi, i głowę podniósł, ale nie zdoła jej utrzymać i spuścił na piersi.

— Atamanie, jutro o świcie pogany tu... Nasi w jasyrze u nich. Wziąłem szablą w łeb, włóczęnią w biodra, kulą w bok — cały niemogę...

I podrzucił w górę oba ramiona na wzór tonących.

— Hrehory umiera, niechaj żyje Igor Sahajdaczny!

I upadł na plecy. Ostatni krzyk jego był pożegnaniem wodza i odgrózką wrogom — on rozbił się o głazy, jak łoskot pancerza, co pęka od tęgiego razu.

Porwał się Zarucki i obszedł ognisko. Na ziemi leży Kozak, rozciągnięty jak długi; krew jeszcze pluska z czoła i z piersi, ale zresztą żadnego ruchu nie dostrzedz w ciele. Wódz pojrzał nań wzrokiem, przyzwyczajonym do takowych obrazów. Barwa oczekiwania z twarzy mu zesza — on myślał, że to duch, który rozwalił mogiłę, by gońcem innego świata stawić się jego wezwaniu, a to człowiek, co się przywłókl, by donieść o ziemskiej wieści, i umarł wzorem tysięcy.

Ale ten człowiek wśród bólów konania o hetmanie swoim pamiętał, jak syn o ojcu, po śniegu się zataczał cały w ranach, by raz jeszcze wykrzyknąć jego imię przed nim samym.

Za tę wierność i kochanie Zarucki ścisnął rękę martwemu i rzekł, jako zwykł był mawiać nad trupami swoich: »Wieczny odpoczynek tobie, Hrehory! Byłeś dzielny w boju«. Potem znów się położył na ziemi przy struchlałej Marynie.

— Anioły i duchy przymknęły uszy na moje wołania; znać, grzechy moje stanęły waleń między nimi a mną. Życie jest marną bitwą, w której człek nigdy

z konia nie zsiada i, walcząc bez ustanku, wreszcie przegrać musi. Nie żałuję życia — ale ty, dostojna i hoża, zrodzona, byś ludziom panowała, krwawisz mi serce widokiem tylu wdzięków, które zaginą przed czasem, bo na jutro pewna zaguba.

— Ci, którzy państwami rządzą, nie wschodzą i nie zapadają gwiazd codziennych trybem — odrzekła, wstrząsając pierścieniami włosów, z płomiennem spojrzaniem — nasze urodzenie i śmierć zarówno jest podziwem dla ludzi; w tem niechaj będzie nasza pociecha! — ale tu głos się zmienił nagle i reszta dumy odpadła od czoła. — Na mróz i głód nie brakło mi wytrwałości, na zgryzoty i utęsknienia szerokie nosiłam serce, a teraz, kiedy rozleciało się ono państwo obszerne i prześliczne, obfite w zboża i męże i złoto, kiedy komory pałaców moich na jaskinię się przemieniły, nie płaczę, nie szlocham, ale poczekam odrobinę jeszcze, póki przyjdzie zwycięzca i mnie urągać się będzie, a wtedy uniżony pokłon oddam Panu w niebiesiech i z tego świata usunę się na wieki.

Kiedy świtać zaczynało, wódz młodźców porwał za szablę i rusznicę, objął ramieniem kibić Maryny i w głąb jaskini się zanurzył; ani brał się już drogą, wiodącą ku mogile dziecięcia, ale inną zupełnie, w bok tej pierwszej. Słabe światło zaziera przez otwory i szczeliny, gruzów pod nogami niemiara, zgiełk wiszących urwisk nad głową, słupy, szronem okryte, jak larwy bieleją. Czyż on żywcem do grobu zstępuje z kochanką?

Wtem jaśniej się robi, płachta światła, jakby ode-rwała się od niebios i skałę przebiła, leży na dolnych

głazach, zewsząd otoczona cieniem; nad nią rozerwane sklepienie i widać przelatującą chmurę.

Tu Zarucki ścisnął rękę carowej i, wstępując schodami, które czas wydłutował w ścianie lochu, wiódł ją za sobą, przebył otwór w górze i wdarł się na wierzchnie sklepienie.

Niebo całe szare od obłoków, u wschodu tylko zorza ognisko rozpalila swoje i czeka słońca; gdzieniegdzie błękit przebija, chmury już się nie trzymają razem, ale jedne za drugimi pędzą, przecucie wiosny w powietrzu rozlane. Wszędzie naokoło podnoszą się skały, śniegiem ubielone.

Hetman wie dobrze, dokąd zmierza; ani śpieszył się, jak zbieg, ani zastanawiał się, jak zbłąkany wędrowiec, ale równym stąpa krokiem, pilnuje towarzyski, a zarazem okolicę przebiega oczyma. Jeszcze buńczuki powiewają na tych samych cyplach, dotąd nie słysząc ni głosów ni szczęków. »A więc dalej, a więc dalej, ku tej skale, co się stromemi piętrami wzbija nad jaskinią, jak wieża nad zamkiem — u jej szczytu raz ostatni walczyć i zginąć chcę!«

I, jak gdyby fale ogromnej powodzi, lecące z góry, nagle skamieniały, w takowy sposób piętrzy się skała, to wydymając pierś swoją, to wziewając ją nazad; po tych szczeblach z głazu wdzierali się oboje. Doszedłszy krawędzi najwyższej, zasiedli i patrzą na świat, co się pod nimi i nad nimi rozciąga, wzrokiem pożegnania. Stąd objąć mogą tę całą warownię natury, która wznosi się z łona pustyni. Cisną się tłumem opoki, rozdzielone tu i ówdzie przepaścią. Ich ostrza to skupione, to rozerwane, to ząbkowane, jak baszty, to spi-

czaste, jak minarety, to wzorem kopuł spłaszczone. Największa ich część nie naśladuje żadnych kształtów, ale pną się w górę, obwisłe śniegiem, najeżone lodami, łamiąc się w kąty, zaginając się w łuki, z dziką wspaniałością. Wschodzi słońce nad krańcem pustyni, piaski zapłonily się, zatliły się szczyty — a ono ogromne, krwawe, pośród pożaru chmur się wznosi.

Wtedy jedną razą ozwały się krzyki, nawoływania i hasła. Głosy te grzmiotem rozlegają się pomiędzy skalami i, jak burza, owiały hetmana dokoła.

— To dzwony pogrzebu naszego — rzeknie z cicha i rusznicę opatrzy, lufę obciera z rosy, by składniej celować mógł.

Z okolicznych gór sypią się hufce, z okolicznych wawozów występują rotę; to idą naprzód, to się cofną, to gromadzą się do kupy, to rozchodzą, to ciągną jednym szeregiem, to małymi oddziałami, znać, że wodza szukają. Jemu, spoglądającemu z wysoka, zda się, jak gdyby ludzie owi, nagłą tknięci ślepotą, zataczali się, drogi znaleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie, kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów, i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć nie zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu; wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyl nas — rzekł spokojnie.

Wzdrygnęła się pomimowolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu:

— O Polsko, Polsko, gdzież jesteś, o ojczyzno moja!

Ale ta słabość chwilę trwała tylko. Podniosła się i, promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów. Oni wdzierają się, którędy mogą, i znów milczą tak, jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po ślizkich tarzają się głazach, nie jeden runie w dół, by nie powstać więcej; odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami, dobywając sił wszystkich, jak gdyby na polu bitwy z wrogiem. Napróżno; co ujdą kroków kilka, zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona, by się utrzymać, kląną proroka od złości i bólu. Napróżno, napróżno — skała odpiera ich ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on, siedząc na wysokości, spogląda na nich, jako człek, zwyczajny pracownik ludzki, w pocie i krwi odbyty, a które długo na nic się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach, by się unosił weselem dlatego, iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później po wielu trudach i zgonach dojdą cyplu, na którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu, by cieszył się przedłużeniem o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słysząc głos jakiś, co do nich przemawia, a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego, znać jeszcze wyraz gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby rozkazy, niby odezwa do każdego

po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale z pomiedzy czarnej ich masy występują męże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zechce własnych lotów spróbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długi, zaczęły się wdziarać, wszyscy czarni, po białym śniegu. Co chwil kilka przerzedzają się: ów zniknął i śladu po nim nie masz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha; ale kto szczęśliwszy, ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę. Już zbroję na każdym rozeznać można — rysów jeszcze nie.

A ten, który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jak gdyby anioł stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie — w rękę trzyma szabłą. Towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach; on jeden swojej klingi śniegiem zmasać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój lśni mu się futrem i połyska dyamenty, koleczuga to samo, a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe śpieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy który się obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniejsze uraga.

— Bądź mi zdrowa na wieki! — rzekł Zarucki,

podnosząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnieć się Bogu.

Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasał i rzucił o dwa kroki od siebie:

— Słyszałem, że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co Go orężnie wzywają.

Przy nim w milczeniu uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa hetmana krótką była; w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął gorąco, prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa jęki usłyszał i dwa trupy zśliznęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; niema już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść — ona to głucho szurnie po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głazy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnem ciałem zakrywa. W tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają. Nie była to wściekłość ani też krwi pragnienie, nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie, ale wyższość umierającego bohatera nad zwycięzcami, ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie napróżno błąkała się po ziemskim wygnaniu. By stanąć przed Tym, który ją zesłał, jednego trza podrzutu jeszcze; patrz-

cie, jak z nieustraszonem sercem zabiera się do niego: piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi! Dojrzyj na licach jednego znaku wahania lub trwogi, a lutnię moją rozbiję na wieki! — Lewą ręką z tyłu dłoń ukochanej trzyma — chwila jeszcze, a osaczą go wrogowie.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały wypuścić, ni kuli nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką — uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się, Igorze Sahajdaczny Zarucki!

I to, mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał to samo. Ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwyciężonemu przebija z jego liców; zasępione ma czoło, a namiętność jakowaś goreje w zrenicy.

Hetman zbyt go milczeniem i wynosi ramię do cięcia — wtem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona, blada, oczy przesłoniła ręką i powoli nachyla się, mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn murza i klasnął w dłonie.

— Ha, poznała! Bierzcie go, bierzcie ją! Dla niego męki, dla niej czwarty mąż.

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpacz:

— Bóg wie, czem karze grzechy mego żywota — śmierci się nie lękałem, aż On zesłał na mnie hańbę niewoli!

XII.

Jak mogli, tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów. — Już też pogodniejsze niebo, słońce przygrze-

wać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem — a nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ojuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie. Na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońce z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbijają namioty, ogniska rozpalą, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują sobie, wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją dalej.

Na piaszczystem wzgórzu, z którego wiatr zmiótł śniegi, stoi namiot Nuradyna, podparty słupami, długi i szeroki, obity skórą, z kopułą, malowaną w połyskujące barwy, z półksiężycem nad nią.

Stąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokładu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze w oddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swoimi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z nimi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu: męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkim słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej. Nadeńm tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów wokoło ognia, wśród rozrzuconych ostatków biesiady, przebudził nagle hałas jakowyś; ciekawie, na pół rozmarzeni, wyjężyli uszy: brzęk kajdan słychać było

i głos Nuradyna, ale słów żadnych nie można rozemnać — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: »Allah!« — Łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło; oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każdy wychyli czarę i znów oprze głowę o siodło, by zasnąć.

Teraz to południe; słońce na niebie z chmurami się zabawia, to do piersi je tuli i na pół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zasłoniętą welonem, broniąc jej od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, śpiesząc się, o ile tchu im stanie. Przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakłócając do namiotu; podniesie się opona i wypuszczają z pomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali, potem za usłyszonym rozkazem oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. Ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyszki, chrześcijance wśród pogan, Polce wśród słuzalców Moskwy — ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? czy już świat pożegnała i, zapomniawszy o śmierci, dostała się do krainy czarów? Zewsząd wiązki światła różnobarwnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza dokoła. Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność mura- wy, dyamenty rosy przejrzystość i krople — u ścian piętrzą się obicia, przetykane wieńcami róż, fiolek, jaśminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra, a z góry pada światło dzienne;

ale, nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabów, długo błędzić musi po harfach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy, całe piane od farb i połysków, na dół się stoczy i płąsa w drżące łuki, którym końca nie masz; one biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitanie i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem, zieleni się, jak szmaragd, to złoci, jak pomarańcza, i do oka wpływa mile, bez rżenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli, igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy, a zachodzi w złocie, księżyc zaś naprzeciwnie się podnosi, lamowany srebrem, a między nimi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo. O takowej godzinie chciałoby się zasnąć z rozkoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu, znać z oczów, że marzy o miłości i śmierci; bo, choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo, choć tyle wzruszony, iż blizkim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki, by wyczytać, iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnem łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasaniem było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na posłaniu; ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na niem, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą, pełną statku i hartu, bo chce inakszym się pokazać, niż

był przed laty — nie już po dziecinnemu i prosić i domagać się, ale, jako na męża przystało, zagnać i rozkazywać.

Napróżno, napróżno! Jakąż siłą potrafi zaprzec u siebie ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni żadnym sposobem; on, syn pustyni, ssał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawždy została się w łonie. A zatem zgrzytnie i, rękoma uderzając o łożę, odeprze się od niego — skoczył, stoi wśród namiotu naprzeciwnie niej. Tu jeszcze walczył z sobą samym, ale nie zdołał wyстроить liców w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżące żałamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmysły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale nie potrafił, bo siła namiętności trzyma zrzenie jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, który w nim bucha — a zatem rzucił się, jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni i zatrzymał się, dysząc, z potem na czole, z obłąkanym wzrokiem, do szczętu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nic nie spuszcza. Wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek; ale, kiedy te łzy wylała, o tem nikt nie wie, a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn wpatrywał się w nią i długo i długo. Dziwna, że tak nagle się uciszył — głos mu zasnął w piersiach, ruch zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia, zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla; zapewne nie trybem ludzi, którzy wąż na szali roztropności zamiary i, do-

szedłszy brzegu przepaści, wahają się nad nim, ale tak, jak godziło się jemu, który nigdy żadnego uczucia nie rugował z duszy, o przyszłość nie dbał i duszę za pole bitwy oddał namiętnościom, a tej, co zwyciężyła, hołdował zawsze i sercem i ciałem.

Zapewnie teraz w nim podobna odbywała się walka, a promienie różnofarbne światła, igrając po zielonej szarfi, ziarkowanej złotem, po kaftanie i mieniącem się futrze, po białym zawoju, twarz mu najmiłszymi oblewają tęczami. Wreszcie lica jego znów wyrazu żywego, zmiennego nabiorą, głos do ust się ciśnie i mówić zaczyna. Słowa jego muzykę naśladują, ani jednej ciągle trzymają się miary, ale przechodzą od tonów pieśni słabej, ginącej w oddali, do dźwięków wojennego pienia, brzmiącego ponad szczątkami broni i zwłokami poległych w ustach zwycięzcy.

O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna — pamięć pacholęcia zaginęła, jak gdyby to pacholę przypomni[e]ć się nigdy nie miało; prawda — on był lęklwym, kochał panią i służył wiennie, śmierci za nią się nie bał, nawiedzał ją pod czarnem sklepieniem. O jakież z niego dziecię było wtedy! Precz mi z tem wspomnieniem, niech ono będzie dla mnie, jak skóra dla węża, kiedy ją odrzuci, a w nowe ustroi się szaty! Hej, wąż wtedy śmiga i syczy w radości, bo mu jadu przybyło, bo w pierścienie ze srebra i złota oblekł giętkie ciało — biada ptakom, co nadleca, biada wędrowcom, którzy nadejdą: w pysze z chwały swojej nie daruje nikomu! O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna, ale on nie przepadł, jak gwiazda, co zlatuje na dół w głębinę świata, jak koncha, co z brzegu

zsuwa się w bezdenność morza — on wybrał się sam jeden i przez pustynię życia do Medyny¹ serca swojego pielgrzymował długo, o skwarze i pragnieniu, urągając się z przeszkód i trudów, aż wreszcie doszedł, a choć spalone ma czoło, nadwątloną siłę, nie żałuje tego, bo to dla ciebie czynił, huryssso moja!

A teraz chwila szczęścia nad nim zawisła, jako zbawienie nad grzesznikiem, co długo błagał proroka, aż prorok zlitował się jego wołaniem.

— Losem wojny — odrzekła surowo — w ręce sługi swego dostała się pani, ale nie przeto znikł rozdział między carową a giermkim. — Tu się zatrzymała, ale zaraz potem zawoła: — Nie — zanadtośmy blizkie śmierci, ażeby się jeszcze pysznić z darów, które niegdyś Bóg zlał na naszą głowę, a w upodobaniu Swojem odjął nam za to, żeśmy jego przykazań we wszystkim się nie pilnowały. Wśród tej pustyni, w której, jako przeczuwamy, grób nas czeka, zapomnijmy o Kremlinie i dniu owym, kiedy nie byłbyś śmiały oczu podnieść aż do poręczy naszego tronu; ale imię, na chrzcie nadane, ale drugie imię, od przodków wzięte, tobie dobrze znane, twoją hardość ukrócić powinno. Owem pierwszem chrześcijanką jestem: uchyl czoła, pohańcze; owem drugim Polką: pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, uniż się, Tatarze!

— Udajesz, chytra, bo znasz moje dzieje; one były muzyką twojego więzienia. Tam obsypałem cię perłami i dyamenty z skarbnicy chwały moich nadziadów.

¹ Medyna — obok Mekki święte miasto mahometan w Arabii.

Uśmiech goryczy wykręcił mu usta.

— Nie mów już mi o tem, co przeszło — potem będzie sprawa i z nim i z niemi; ale mów, że mnie kochasz, ale mów, że chcesz być morzem jasności i rozkoszy, w którym zatone! Tyś mi życie przepsuła na niwecz — jako gwiazda, co wróży nieszczęście, ukazałaś mi się i drasnęłaś promieniem, a potem zniknęłaś, o gwiazdo moja; porwały cię wiry z ognia i uniosły daleko odemnie, a ja zostałem w ciemności, klnąc proroka, szarpiąc włosy. Językiem moim stały się przekleństwa, napojem łzy i krew, sącząca się z potłuczonych skroni. Ha, nagle porwałem się do biegu, ten, który cię uwiózł, nie ujdzie mej zemsty! Ścigałem i pieszo i konno, podliłem się przed ludźmi, klękałem przed bojarami, a śmiałem się w duszy; oni myśleli, że to dla nich, a to dla ciebie było.

Kiedy to mówił, ciemniały mu rysy i pański głos przybierał; ona milczy i zdaje się nie słuchać.

— Ha, patrzcie: syn padyszachów, mocarz nad emirami, synowiec słońca, darmo żebrze miłosierdzia u Laszki! Gdzie twoje wojska, gdzie dwory, posagi, potęga, gdzie Dymitr, gdzie Zarucki? Opuściło cię wszystko, liść po liściu opadł z drzewa, strumień szczęścia fala po fali wysechł na żwirze niedoli. W kim dufasz, na czym się oprzesz? Spójrzysz wokoło, sama jesteś wśród hufców moich!

— Wiem o tem, że sama, i dlatego na śmierć się gotuję. Giermku, nie przeszkadzaj myślom moim, bo długi wątek życia muszę okręcić wkoło chwil tych kilku, co mi jeszcze pozostały, a potem rozkazy cara wypełnisz! —

— O, zważaj, zważaj na moje słowa! Pokochałem ciebie, najcudniejszą wśród urodziwych, kiedy anioł, zesłany od Allaha, przelatując powietrze, zatrzymałby się w locie, roztoczył nad tobą skrzydła i przypatrował się tobie tak samo, gdyby jaką nową spotkał gwiazdę w chwili, kiedy na rozkaz Stwórcy wznosi się z otchłani i pierwsze najświeższe promienie rozsyła po świecie.

Dziś, huryssu moja, po długim niewidzeniu znów oglądam ciebie; ale mgła żalości obwija twe czoło, jad głodu i nędzy wgryzł się w rysy twoje, pył długich błędów i bitew przyprószył kwiecie jagód twoich, od zimna skrzepla twa zrzenica, na powiekach dźwigasz ciężar bezsennych nocy. Byłaś, jak chmura, ukochana od słońca; na całym niebie żadna insza jej nie zrówna, ona jedna ciągnie oczy k sobie, bo do niej całego nieba zbiegły się jasności, szkarłaty i złota, wiatry jej się przymilają i śpiewają w chórze podczas błękitnej żeglugi. A teraz zda mi się, jakoby zaszło słońce, a owa piękna została z tyłu. Księżyc wznidzie i srebrem ją wieńczy, ona cała srebrna, przetykana gwiazdami; i patrzę na nią dotąd i kocham dotąd. Zerwij się do lotu, chmuro, przebiegnij od morza do morza: gdzie takiego drugiego znajdziesz, coby zarówno cię ubóstwiał, czyś w pełni czyś o zmierzchu twej chwały?

Zważaj, zważaj na moje słowa! Car tu jest niczem; z potęgi jego śmieje się Agaj-Han, jak z kurzawy, którą z nóg otrząsa. Ja tu panem na całą pustynię. Zapomnij o przeszłości, jako o ptaku, co przele-

ciał i nigdy nie wróci! Na rączych koniach uchodź ze mną razem! Za tymi piaski murawy się zielenią, kwiecia niemiara i ocean rozkoszy. Tam, hurysso moja, nas dwoje będzie, a świat cały naszym łóżem miłości. Precz mi z ojczyzną, Bogiem, prorokiem, sławą i ludźmi! Żyć będę w objęciach twoich i skonam na twojej piersi.

I zbliżał się do niej z drżącymi ramionami, jak gdyby ciało zabierało się do gwałtownego rozprzężnienia. Rozhuzdane chucie szarpia mu rysy na twarzy, skrecają usta, na których pożądliwość się pieni. Zęby dzwonią, lica biją od krwi, co do nich napływa. W tej chwili wszelki ślad boży odpadł od niego i stał się człowiekiem na podobieństwo szatana.

A ona, zawsze równie poważna i nieulekniona, wzrokiem, którym go hamowała przed laty, wstrzymuje i dzisiaj. On ślepego był męstwa na polu bitwy, odwaga w nim stawiała się namiętnością, nieraz rzucił się jeden pośród tłumu nieprzyjaciół, nieraz, choć słabszy, okręcił się giętoko naokoło wroga i nagiął ku ziemi; nie z rozwagą, nie z zimnym statkiem szedł naprzeciw śmierci, ale z wściekłością, z obłąkaniem, a teraz do tej, za którą ścigał tak długo, przystąpić nie śmie. Wyciąga ramiona: opadają ramiona; rzuca się ku niej, radby ją porwać w objęcia i przygnieść do piersi i tarzać się z nią po ziemi, jako wąż z gadziną, ale, zawsze odparty owem spojrzeniem napół dumnym, świętem napół, w którym i wstyd niewieści i uroczystość duszy, myślącej o zgonie, i ślad cierpienia miesza się do czegoś dawnego, do okazałości, pozostałej z tyłu powodzeń i potęgi, nie wiedząc, co

czynić, to płacze, jak dziecko, to zgrzyta, jak potępieniec.

Ale bo też na czoło Maryny Mniszchówny dziwna zstąpiła uroda, nie owa ziemską, której hołd składają ludzie westchnieniem i pocałunkami, w której przypadek zdarza, iż róże zakwitną na licu a gwiazdy zaiskrzą się w oczach, ale owa niebieska, co, jako cień znikomy, czasem objawia się na twarzy, a rysów się nie trzyma, a z płcią się nie zlewa, ale jest córką duszy, niepojętą i boską, jak dusza.

Agaj-Han śpiesznym krokiem przeszedł namiot i stanął naprzeciw łoża. Tam u makaty, haftowanej w najśliczniejsze kwiecia, wisi sznurek jedwabny z błyszczącą gałką; porwał za nią i zawołał:

— Ha, doszedłem tajemnicy twojej! Ty sądziłaś, że to perła, ukryta w morzu. Igorze Sahajdaczny Zaruscki, sam ukaż się lubej i rozwiąż ją od przysięgi wierności!

Rozśmiał się całym gardłem, jak śmieją się owi, co zmysły stracili, i ściągnął sznurek. Wnet podniosła się kurtyna i coraz wyżej się podnosi i zwija.

A otóż na czarnej pościeli leży człowiek w zboczonych szatach. Twarz blada i ręce białe, na szyi skrzepła krew się czerwieni, jak naszyjnik z koralu, ale świeżości życia śmierć jeszcze dotąd całkiem wyssać nie potrafiła, choć już rysy rozwałkiła i sinością powlekła. Nachylił się Tatar, rękę oplótł włosami głowy — i głowa poszła za ręką bez żadnego oporu. Przez chwilę kołysał ją w dłoni, urągając ściętym ustom, spuszczonej powiekom, rozkoszując w śmierci niecierpianego, kiedy nie mógł rozkoszować w miłości

kochanki; potem rzucił ją pod stopy Marynie i wtedy utopił w nią wzrok przenikający, zacięty, jakby dla wysłedzenia, czego mógł się spodziewać z niej po takim widoku.

Niegdyś byłaby wszystek ogień oczów wypłakała nad ciałem kochanka, przekleństwami i zemstą ścigała mordercę, sama do oręża i konia się wzięwszy, w tropy za nim poleciała wśród ciemnej nocy, po bezdrożach, napotkanego zmusiła do walki.

Ale dziś insze i myśli i czasy. Ręce wychudłe od nędzy, osłabłe od ciężaru kajdan; nikt nie stawia się na rozkaz, nikt nie poda ni sztyletu ni szabli, a też już i pono ostatnia chwila się zbliża, o ziemskich uczuciach zapomnieć się godzi gwoździ świętszym marzeniom, duszę puścić trzeba w niebieskie szlaki, w drogę, u której początku się stoi, a której końca nie domyśleć się, o Panie Boże!

A zatem, nie ledwo że konająca z wzruszenia i załości, uklękła nad ową śniadą głową i spuściła ku niej oczy, a czem jednym mogła przysłużyć się jej, to za nią ofiarowała: modlitwę szczerą i niepokalaną, którą polecała duszę zmarłego opiece aniołów. A potem wstaje, drżąc od osłabienia, z równym jednak blaskiem w zrzenicy, łzami nie zamglonej. Łzy są dziećmi przelotnego smutku; jak z chmury wiosennej na lica spadają i wróżą pogodę, ale, kiedy zetnie ich mróz boleści, wtedy nie pytaj się o słońce, bo ono może już nigdy nie wróci.

W Agaj-Hanie wre ciągle namiętność i mózg szaleje. Znów przeszedł namiot, jak długi, hetmana głowę pchnął nogą — ona potoczyła się ku ciału —

i zapuścił kurtynę; potem zdjął z nad łoża tesak, oprawny w szmaragdy, i, niosąc go w ręku, zbliża się do Maryny:

— Nie igraj ze mną, niewiasto, iżby chwila miłości rąco nie uleciała, a wtedy nadciągnie godzina zemsty i kary, bo zemsta, jako miłość, weselem jest sercu, które przesiąkło rosą południową! Każda kropla takiej rosy od waszych iskier gorzej pali i rozjątrza; różane w niej wonie i trucizna piekielna zarazem. Ogień, co krąży po mnie, jest wieczną ci tajemnicą, córko północy; ale z nim tak ostrożnie, jako z płomieniem Allaha — bo on równie zabijać umie!

Tu nagła zmiana zaszła w jego rysach i postawie: raz jeszcze udaje się do prośby, raz jeszcze schyla przed nią czoło, jako przed panią, spojrzeniem swoim żaru ujmuje i na drżące, czule zamienia, głos zniżył i płyną jego dźwięki, jako dumka, przez dziecię śpiewana:

— Zmiłuj, o, zmiłuj się nademną, hurysso moja! Gwoli tobie całe poświęciłem życie, potok lat młodych, który mógł huczyć i pnieć się po świecie, rozwalać skały i wykorzeniać lasy, zmusiłem do płynienia za twymi śladami, a on się stał drobnym strumieniem, który wyschnie w pamięci ludzi.

Ostatni jestem z mojego szczepu. Mamże się rozbić marnie na skale twojego miłosierdzia i zaginać bez sławy, bez rozkoszy, jako wyspa na morzu? Patrz, występuje z łona kipiących balwanów, dniem i nocą złote miota ognie, nikt jej nie widział i nie dziwił się jej; samotna wśród pustyni wód, wylała całą okazałość i znów zapada w otchłanie. Tak i ze

mną będzie. Śmierć ci grozi wszędzie, piołun rośnie, gdzie spojrzysz tylko, a tam, gdzie ci wskazuję, wonięją róże i jaśminy. Skosztuj, hurysso, puharu miłości mojej, służyć ci będę, jako duchy w niebie służą Allahowi — w jasności oczu twoich, jako motyl, ulatywać będę, dopóki olśniony, upojony, spalony, nie padnę u stóp twoich, a wtedy popiół ze mnie i kurzawa, a wtedy deptaj po mnie i przeklinaj mnie; ale teraz bądź moją, roztwórz objęcia twoje i synowi padyszachów daj spocząć na liliach twej piersi, na białej piersi!

I rysy młodocianą przybierały barwę. Jako kwiat, o skwarze słońca zwiędniały, a wieczorem podnoszący liście, tak i on w tej chwili rzeźwił się w nagłej czułości; uśmiech miłośny, swawolny usta mu krasi — założył ręce i błaga.

— Nuradyna murzy żaden z jego ludzi nie poznał w tej chwili; myśląc o tobie, zatraciłem i język i naukę moich ojców, z duchami już nie umiem rozmawiać, ludziom rozkazywać nie potrafię! — Wymknął mu się tesak z dłoni i podnosił oczy ku Marynie, jako chrześcijańskie dziecko, klęcząc, podnosi oczy ku obrazowi świętej.

— Morderco, pohańcze bez wstydu i bojaźni bożej, nie każ moich myśli twoimi gwary! Możesz mnie męczyć i zabić; Maryna Mniszchówna śmierci nie lęka się, bylebyś umilkł i chwil kilka do modlitwy zostawił.

Głos jej posępny, wzgardliwy przeszył wskrósł Agaj-Hana. Schyla się niżej, ale nie w pokorze, jedno, by podnieść sztylet upuszczony, a kiedy go podniósł, wy-

rwał z pochwy, pochwę cisnął pod nogi, a rękojeść okręcił palcami, aż mu żyły ręki nabrzmieją, a do oka, do rysów ciśnie się wyraz wściekłości. Całem ciałem trzęsie się gwałtownie, ścisnął zęby, jak gdyby chciał się wstrzymać, ale głos, w którym wcieliła się namiętność duszy, usta mu rozerwie.

— Miłość twoja była dla mnie jako ten most ślizki nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; ale teraz dostałem się do raju — do raju zemsty!

I klingą tesaku śmigał wokoło jej skroni, wokoło piersi; ona zbladła, lecz do prośby się nie zniży, krzyku nie wyda, a na klindze rozbite promienie wiązkami światła błądzą po jej licach i szyi, jak błyskawice, które lustro miecie, kiedy w niem odbije się słońce.

On igra z nią i po jej puklach, po czole rozwodzi sztyletu połyski powoli, z przerwany oddechem, z jaskrawymi oczyma, jak gdyby w tem czuł lubieżność jaką.

— Hurysso moja, jakżeś mi piękną w godzinie śmierci! A wieszże, dokąd idziesz i gdzie dostać się masz? Bez duszy¹, bez życia wiecznego, maro, stworzona ku uciechom mężów, w proch się rozpadniesz i nic z ciebie nie będzie. Czemuż tak się kwapisz do snu i ciemności grobowej? Mniejsza o śmierć dla nas, którzyśmy nieśmiertelni, ale ty, niewiasto, nie ujrzyś nigdy pałaców Allaha; jako lampa, którą duch bagnisk zawiesza na swoich kępach, świecisz trochę

¹ Mahomet odmówił, jak wiadomo, duszy kobiecie.

i umierasz na wieki. Ty i róża obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie, nikt nie troszczy się o was ni na ziemi ni w niebie.

Wzdrygnęła się na te słowa niewiernego; ona stoi nad grobem, a on jej przepowiada, iż nie odżyje więcej! Mróz przejął serce nieszczęśliwej — bo, choć wierzy dusza w obietnice Pańskie, ciało drży, zziębłe i osłabłe, kiedy chwila zgonu nadchodzi.

Ależ anioły — stróże pilnują chwil naszych ostatnich i powiewem skrzydeł swoich rzeźwią nas w konaniu; ona też wraca do wiary i ufności, na Agaj-Hana spojrz, jak na złego ducha, i, milcząc, każdym biciem serca modli się do Boga.

Agaj-Han lewą ręką porywa ją za szatę, prawą tesak podniósł i trzyma nad jej piersiami. Ona oczy przyknęła; ale powoli jego ręka mdleje, ramię zgina się i opada na dół stopniami, wreszcie opadło zupełnie, a sztylet wisi u palców i ledwo się ich trzyma.

— Gierмку, dlaczego przedłużasz konanie Maryny Mniszchówniej? Jużem myślała, że, zawarłszy powieki, dopiero się obudzę gdzieindziej, nie w tym namiocie — nie na tej ziemi. Izali czekasz jej prośb za życiem, jej ukłonów tobie? Próżna zwłoka, próżne i płonne nadzieje! Daj mi pokój, Tatarze, i kończ, coś zaczął, bo ci Polka zaprawdę powiada, iż przed tobą nigdy się nie uniży! Panie Boże i święta Bogarodzico, zmiłuj się nademną!

Jęk rozpaczy wyrwał się z Agaj-Hanowej piersi i ścisnął tesak i znów podnieść chciał, ale nie potrafił; ten drobny oręż nad miarę ciężał jego dłoni.

A zatem go upuścił i zdeptał gniewnie, potem w milczeniu po namiocie się przechadza, to krok za krokiem wlecąc się, gdyby na siłach mu zbywało, to podskakując, jak gdyby nagle kula mu w piersiach utkwiała. Bładość śmiertelna po licach mu się rozlewa. Zda się, że namiętność, co miotła nim i życiem jego była, z przesilenia skonała. Padł na kobierzec i gdyby nie oddech głuchy, ciężki, przerywany, miałbyś go za trupa.

Po chwili podnosi się wpół i, wyciągając ramiona, przemówi głosem człeka, co, draśnięty światłem miesięcznej nocy, we śnie się odzywa:

— Garnijcie się do syna waszego sułtana, emiry pustyni, bo on dziś piękną pojmuje żonę! Długo błdził i chleb gryzł suchy u niewiernych i psem był chudym u ich żłobów — ale teraz weźmie za rękę tę, którą ukochał, i pójdzie z nią.

Horbrowie, nędzny bojarze! Tyś myślał, że ci tę perłę rzucę pod stopy, abyś ją zgniótł i u cara za to miłościwej łaski nabył? Gnij w Astrachanie, stary, i nie pytaj się o najurodziwszą z córek Adama!

Tu uśmiech gwałtowny usta mu opanował tak, że przez chwilę dalej mówić nie mógł.

— Ojciec mój, gdzie jesteś? Trzy krople krwi z głowy twej spadły mi na skronia... Hurysso moja, we śnie i na jawie panią byłaś Agaj-Hana. Co to za imię? Ktoś go nosił przed laty... Królom i szachom dyament potęgi pali się na zawoju, ale to znikoma gwiazda! Oni dziś panują, a jutro ich synowie skowyczą z głodu po ulicach miast!

Widziałem, zważałem, kiedym przechodził, a zi-
mno usypiało nogi, wiecznie tam lodu nie masz,
otwór... Pchnąć — zleci — Moskałom się nie dosta-
nie — oniby ją rozćwiertowali! Tu głowa się toczy,
tam skacze ręka, drgają ówdzie piersi — nie — nie,
przez Allaha, przez Haruna¹ — cała, nieskażona, jako
piękna jest na ziemi, tak piękna zstąpi w dół —
a w głębi miękki piasek — i rozciągnie się na nim,
jako na łożu rozkoszy!

Podczas tych słów zrzenica jego nabierała sto-
pniami coraz więcej oblędu. Z początku latała pręd-
ko, a była zimną i szklniącą, jak gdyby lzy do niej
przymarły, potem zajęła się suchym ogniem, prze-
stała się toczyć, wryła się w białko. Już nie roz-
maite uczucia, jako dotąd bywało, unoszą się na różne
strony w jego spojrzeniach — myśl jedyna, po której
żadnej drugiej już nie nastąpi w jego duszy, przebija
we wzroku. Powstał, jak zwierzę, pędzone instynktem,
i ujął za ramię Marynę i szedł ku tylnym drzwiom
namiotu; ani, wychodząc, przypasał bułat lub wziął
kindżał swój, szedł, wlepiając oczy w nią, ściskając
za rękę tak, że jęczyła z bólu, lecz ani już grozi, ani
się przymiła — w milczeniu prowadzi ją zdala od
obożu, po piaskach, ku brzegom Jaiku.

Stońce już ma się ku zachodowi i, jako zwykle
w pustyni, im bardziej spuszcza się na dół, tem bar-
dziej krwią się zalewa; powietrze wiosenne ciepłe,
śnieg tu i ówdzie wypami się jeszcze trzyma, w gó-

¹ Harun — z przydomkiem al Raszyd (Sprawiedliwy), słynny
kalif z dynastji Abbasydów, opiekun nauk, poezji i muzyki, umarł
809 r.

rze klinem suną żórawie, za nimi ciągną kuliki¹
i ostrymi głosy rozmawiają podczas podróży.

Stanęli nad Jaikiem. Strome z piasku i żwiru ulane
jego brzegi, a rzeka cała, dotąd ścięta lodem, połyskuje
czerwienią zachodu; ale można już dojrzyć w oddali
wałące się ogromy, nurtem pędzone, gromadzące się
u zapory z lodu, nie przerwanej jeszcze, trzymającej
się obu nabrzeży, które właśnie w tem miejscu zbie-
gają z góry i wstępują w koryto, jakby na pomoc lo-
dowi; ale już słyhać z daleka huki łamiącej się kry,
roztrzaskujących się brył, a bliżej głuche szumy, które
podnoszą się z głębi wód — to niby kipią tam pod
spodem fale, to znowu stękają, przyparte ciężarem.
Znać, że się rzeka zabiera do buntu, a wiatr, ulatując
nad nią, poklaskuje ciepłymi skrzydłami.

O, sił już nie staje Marynie — zawróciła się głowa
wśród odmętu przyrodzenia. Jeszcze raz palce podnio-
sła ku czołu i, tam znak święty składając, szepcze:
»W imię Ojca« — i wargi nie zbiegły się, usta na pół
otwarte zostały, ale głosu już się nie spodziewaj po
nich!

Agaj-Han porwał ją z siłą olbrzymia i, niosąc w ob-
jęciach, na zabój się rzucił pomiędzy urwiska i cyple.
Zlatuje na dół, bezpieczny, bo duch szaleństwa czuwa
nad nim, jako nad synem swoim. Piasek urywa się
pod stopami, a on nie pada; o głazy się potyka, a nie
nachyli się nawet, skacze i pędzi, żwir z pod jego nóg
leje się strumieniem coraz niżej, coraz niżej — wre-
szcie dobiegł, kędy ląd się kończy a lód pocyna.

¹ Kuliki — ptaki brodzące z rodzaju bekasowatych.

Wstąpił bez namysłu, bez wahania i, jako biegł po ziemi, tak ślizga po lodzie bez żadnego szwanku — wśród zawałów śniegu.

Oba brzegi cienie swe na Jaik rzucają, pośrodku nich, gdzie już zetknąć się mają, wstęgę krwawego światła rozciągnęły zachodzące promienie; do tej kiedy doszedł Agaj-Han, stanął i szukał czegoś wokoło — ale nie złożył Maryny, choć dyszał i kroplami potu oblane miał czoło. Czego szukał, znać, że dojrzał, bo skoczył i znów w bieg się wprawił i leciał w stronę morza, w cienie już nie zbaczając, ciągle się trzymając drogi, którą słońce wytknęło.

Niedługo znów stanie. Coraz huki się powiększają, gdzieniegdzie lód już pęka, ale on jeszcze stoi na bezpiecznym miejscu, choć u samego brzegu otworu, w którym tryska woda; znać, iż tam źródło odwieczne, bo naokoło wszystko zmarzło, a ono czyste, wirem się kręci i parą bucha.

— Obudź się — obudź się, huryssso moja!

I ręką tarł jej skronia i kroplami wody twarz jej obsiewał.

Otworzyła oczy i, milcząc, z ramion jego wysunęła się ostatkiem mocy. Chciała krokiem postąpić dalej, padła na lód kolanami, ale już nie mdleje; widzi, słyszy, zrozumiała, jaki los ją czeka, i w tej uroczystej chwili jeszcze raz podniosła głowę, jak gdyby chciała umrzeć z godnością królowej.

Kłęczy na samym brzegu przepaści — on stoi nad nią z wzrokiem szaleńca. I może nie wie już, kto ona, skąd przyszła, może zapomniał swej miłości, swoich cierpień i trudów; ale on wie, że tu jej zginąć

trza, i objął ją ramionami bez wściekłości, bez wyrazu zemsty na twarzy, pomimowolnie prawie, jak gdyby tajemnicza siła władała nim i on jej oprzeć się nie mógł.

Poszła na dno i fale zakipiały nad nią; wróciła raz tylko, ręce podniosła nad wodą i znów fale je zaleją, ani słysząc, by już mocowała się z niemi. Źródło wre, jak pierwaj, ale żaden inny głos nie przymiesza się do jego szumu — jedno na niem, wśród czerwonej jasności igra między bąbelkami czarna wstążka z haftem złotym. Głowa, która go nosiła za życia, kędyż leży teraz?

Agaj-Han, niewzruszony, patrzy na topielę i czasami ręką pociera czoło. Nie łatwo rozum odwołać, kiedy opuści duszę i zostawi pustkami, jako świątynię, z której wyszli bogi. Stoi i czeka, jakby się spodziewał, że owa, którą kochał, nazad podniesie się z toni, świeża i młoda, a w powtórny na świat przyjściu zapomni o przeszłych dolach i jego miłości wysłucha.

I oczy wytrzymują i natęży ucho, jako strzelec w kniei. — Tymczasem wokoło powstają hałasy rozmaite, dziwaczne, które, z dołu się podnosząc, zdają się ostrzegać o niebezpieczeństwie. To jęk z oddali przylatuje — to wiatr gdzieś wpadł między kłęby śniegu i wzdycha, jak dziewczyna — to niby skowyczenia gromady szakalów, co, uciekając, ku nadbrzeżom pędzi; aż tu znowu ścierają się gdzieś bryły lodu i chrobocą, jak piły, nagle zahuczą, jakoby wysadzone w powietrze, potem słysząc szum fal, wartko płynących, i wrzaski ich wściekle wokoło przeszkód

biją się, potem znów szumią — znać, że tamę przepały.

A bliżej wokoło niego lód się ugina i warczy, pokrywa się rysami, to dziurki się wylupią, to cały kawał się oderwie i, kołysany przez wodę, tłucze o przyległe ściany; świsty wiatru się wzmagają, pomiędzy nimi gęsi dzikich z góry zlatują głosy i jastrzębiów przeraźliwe krzyki — z tyłu coraz więcej gromadzi się lodu, już nie bryłami, ale wzgórzami, które oblegają zaporę, co dotąd się nie ruszyła, i wałą w szeregach z łoskotem piorunu. — Ich ostre szczyty połyskują żarem od ostatnich promieni słońca. I, by chciał nawet odjąć się zagubie, już zapóźno — ależ on o tem nie myśli. Ku miejscu, gdzie zniknęła niewiasta, wciąż dzierży oczy, ani zważa na to, co się dzieje wokoło; bojaźni żadnej twarz jego nie pokazuje, stoi, gdyby wryty, i nie zadrży ni razu, stoi i czeka wciąż, a w jego mózgu szaleństwo odprawuje tajemnice swoje.

Słońce zapadło w głąb gdzieś za krańcem pustyni, pożar ogromny po sobie zostawiło na niebie; tam palą się chmury i wzbijają się dymy, a tu roztrzaskują się lody. Nurt, płynący z góry, je rozbija i miele, co chwila się przysuwa, a posada, na której Agaj-Han duma, trzęsie się od jednego brzegu do drugiego; w wirach podniosły się śniegi i latają w powietrzu, jako mgły jakie, wichur pomiędzy nimi harce odbywa swoje i żałośnie jęczy, grzmoty jedne po drugich się rozlegają coraz bliżej, coraz bliżej. Zda się, jak gdyby na nowo archanioł ciemności zwoływał

swe hufce i gotował się do walki przeciw wszechmocnemu Bogu.

Wszystko rwie się i pęka; chwil kilka uszło jeszcze, na krę cały lód się podarł, a on został na szerokim cyplu i oddala się od źródła, kędy zginęła Maryna. — Błyskawicą pędzi pomiędzy bryłami, a ręce wyciąga i jeszcze patrzy na niego¹ wzrokiem bez życia, świecącym, jako świeci próchno.

I z tyłu i z przodu pędzą za nim, pędzą przed nim lody, on na swojej wyspie, okolony słupami, wzgórzami, ostrzami, leci wśród odmetu; co chwila topnieją, kruszą się jej brzegi, to w kliny się wytną, to wygładzą się okrągło, ale coraz ich mniej, coraz mu ciaśniej. Trzyma się na środku, ręce na piersi założył, zawój bogaty mignie jeszcze czasem w promieniach zmierzchu. Nadbrzeżów Jaiku nie dojrzeć już, bo filary, zawały, kopce z lodu je przesłaniają; woda i lód — oto świat jego — ale on tego nie poznaje świata, bo dziwaczne otaczają go kształty, bo płynie, jak strzała, i te kształty płyną z nim przy ciągłym huk, przy ciągłym szumie. — To mu się wydaje, że kręci się na jednym miejscu, to znowu, że olbrzymy krainy nadziemskiej podają mu dłonie i ciągną go z sobą, a zimno, a okropnie, a coraz ciemniej, lecz pośród cieniów znać ciągle; jako te duchy skaczą i suną wokoło. Raz tylko podniósł głowę, i to nie z namysłu — przypadkiem, nie wiedzieć, dlaczego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś był w oko-

¹ Zamiast: na nie, tj. źródło.

licy, skąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypominać sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki, dziecię mojej wyobraźni — za chwil kilka pochłona cię fale i przerzucać sobie twoje ciało będą! Życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami na tych, których nienawidziłeś, na tej, którąś kochał. Teraz ty i ona jednymżeście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słysząc było, jako z waszych wykradały się piersi, nie słysząc było ich lotu w przestrzeni, ale ona, konając, modliła się Maryi...

Królowo Polski, daj jej zasiąść u stóp Twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie całe długą pielgrzymką, daleko od ojczyzny, wśród obcych i zawistnych! Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją!

Skończone 7-go stycznia 1832 r. w Genewie.

DODATEK KRYTYCZNY.

SKRÓCENIA.

Rps — rękopis.

A — autograf.

Pdr. — pierwodruk.

W² — wydanie drugie.

w. — wiersz (wiersze liczą się zawsze od góry z wyłączeniem tytułu lub motto).

Przy opisach rękopisów rozmiary podane w centymetrach.

Nawias () oznacza, że autor sam przekreślił wyraz lub zwrot, tym znakiem objęty.

Nawiasem [] objęte są uzupełnienia i dodatki wydawcy.

Pisownia ta sama, co w tekście, tj. używana w wydawnictwach Akademii Umiejętności.

str. 1.

WŁADYSŁAW HERMAN I DWÓR JEGO.

Nr. 9 Rps (A) 19'8×16'2, k. 140, opr. w pólsk. Na grzbiecie wyciski w złocie i tytuł: »Zbigniew 1.« (t. j. tom pierwszy) obejmuje 14 pierwszych rozdziałów, t. j. t. I i t. II od str. 1—91 pierwodruku, czyli str. 1—187 niniejszego wydania.

Tytuł ręką poety »(Zbigniew)

Hanna z Ciechanowa

powieść z dziejów

XI-go wieku.

Ofiarowana 1-go stycznia 1829 roku.

Poniżej ręką jen. Krasińskiego dopisane:

»W. Krasińskiemu

przez syna

Z. Krasińskiego.

Wydrukowany w 1830 r. pod tytułem: Herman i dwór jego.

Pdr. »Władysław Herman i dwór jego. Powieść historyczna z dziejów narodowych XI-go wieku. przez N. K. W. Warszawa, przy ulicy Mazowieckiej Nro 1349«. 1830, mała 8, 3 tomy. T. I str. 198, t. II str. 218, t. III str. 185 + 3 nlb.

Odmianki tekstu.

str. 3 Motto w. 4 »uwiędną' A; »powiędną' Pdr.

» — w. 3 »po błoniach' Pdr.; »po polu' A.

» — » 4 »(u)zieleni(a)ły' A.

» — » — »pola' Pdr.; »błonia' A.

» — » 8 »szczęściem... natury' Pdr.; »szczęściem'

- wszystko odświeżoną piękność natury przypominało' A.
- str. 3 w. 12 ,cenić' Pdr.; ,czuć' A.
- » 4 » 4 ,o pobożności' Pdr.; ,pobożności' A.
- » — » 5 ,wyrity' Pdr.; ,wyrznięty' A.
- » — » 8 ,do drzewa' Pdr.; ,do krzyża' A.
- » — » 30 ,a oddawszy' Pdr.; ,i oddawszy' A.
- » 5 » 5 ,niepewności' Pdr.; ,męce' A.
- » — » 6 ,w bogatej' Pdr.; ,bogatej' A.
- » — » 28 ,mię, że' Pdr.; ,mi o tem, że' A.
- » 6 » 2 ,najwyższej' A; ,najwyższej' Pdr.
- » — » 3 ,tam' Pdr.; ,sam tam' A.
- » — » 17 ,obiły nam się o uszy' Pdr.; ,uderzyły nam uszy' A.
- » — » 19 ,ale ja, pomnąć' Pdr.; ,ale pamiętny' A.
- » — » 21 ,zeszedłem' Pdr.; ,zeszedłem' A.
- » — » 29 ,a gotowe' Pdr.; ,i gotowe' A.
- » 7 » 11 ,przychylnego ma we mnie' Pdr.; ,przychylnego sobie ma ze mnie' A.
- » — » 20 ,rozkosz' Pdr.; ,wesele' A.
- » 8 » 2 ,otworzy się' Pdr.; ,otwarła się' A.
- » — » 3 ,i' Pdr.; w A brak.
- » — » 10 ,uprzedzić' Pdr.; ,zamówić' A.
- » — » — ,Bo... dzisiaj' Pdr.; ,Bo (dziś) postanowiłem, jak wiesz to oddawna, dzisiaj' A.
- » — » 17 ,mej woli' Pdr.; ,mojej woli' A.
- » 9 » 9 ,na głos' Pdr.; ,za krzykiem' A.
- » — » 14 ,Stój (Mestwinie)' A.
- » — » 17 ,rycerzy poległych' Pdr.; ,wrogów, co legli' A.
- » — » 25 ,szyderczym' Pdr.; ,szyderczym na ustach' A.
- » — » — ,pocóż? Zrób' Pdr.; ,pocóż? Albo nie możesz wszystkich tego świata użyć rozkoszy bez kilku słów, przez kapłana wymówionych? Sam to rozważ. — Zrób' A.
- » 10 » 11 ,Jazbym' Pdr.; ,i jazbym' A.

- str. 10 w. 12 ,w nieszczęściu, okrywać' Pdr.; ,w nieszczęście i nasycając dzikie namiętności, okrywać' A.
- » — » 19 ,w ciągu' Pdr.; ,z ciągu' A.
- » — » 25 ,pozostać' Pdr.; ,pozostawać' A.
- » 11 » 6 ,panu' Pdr.; ,panu swemu' A.
- » — » 8 ,że aż... szyję' Pdr.; ,że aż zbroja, szyję mu pokrywająca, się zgięła' A.
- » — » 17 ,Zbigniewa' Pdr.; ,księcia Zbigniewa' A.
- » — » 23 ,słowy czynić krzywdę' Pdr.; ,słowy krzywdy' A.
- » 12 » 6 ,tęż' Pdr.; ,tąż' A.
- » — » 20 ,kochać go' Pdr.; ,kochać' A.
- » — » 21 ,namiętnościami' Pdr.; ,namiętności' A.
- » — » 29 ,to do zbrodni' A; w Pdr. brak.
- » 13 » 12 ,jakem cię obraził, tak gotów' Pdr.; ,jeślim cię obraził, gotów' A.
- » — » 16 ,zetrze się' Pdr.; ,spotka się' A.
- » — » 26 ,żeś do mnie' Pdr.; ,żeś (jesteś) do mnie' A.
- » — » 27 ,do rękojeści' Pdr.; ,do pochwy' A.
- » — » 28 ,jednym' Pdr.; ,jedyntym' A.
- » 14 » 2 ,niewiasta, cofał się' Pdr.; ,niewiasta, przez mnichów nauczona, cofał się' A.
- » 15 » 2 ,siadaj' Pdr.; ,siadajmy' A.
- » — ,Koniec Rozdziału 1-go' A; (Dopisek ten z odpowiednią zmianą powtarza się po każdym rozdziale).
- » — Motto w. 2 ,w twem sercu' Pdr.; ,w sercu twem' A.
- » — w. 3 ,ani pragnę' Pdr.; ,ani chcę' A.
- » — » 11 ,opatrzonem. Piękne rysy' Pdr.; ,opatrzonem. Na twarzy znać było niedbałość i słabość charakteru — piękne rysy' A.
- » — » 22 ,o bogobojności' Pdr.; ,bogobojność' A.
- » 16 » 3 ,wysokie' Pdr.; ,i wysokie' A.
- » — » 12 ,grozy' Pdr.; ,zgrozy' A.
- » — » 18 ,przemówił' Pdr.; ,przemawiał' A.
- » — » 24 ,niemasz' A; ,niemasz' Pdr.

- str. 17 w. 10 ,na ich czele' A; ,na czele ich' Pdr.
 » 18 » 1 ,pokażę mu' Pdr.; w A brak.
 » — » 3 ,przez chwilę' A; ,na chwilę' Pdr.
 » — » 8 ,Witam cię' Pdr.; ,Dobry dzień' A.
 » — » 11 ,ocierając' Pdr.; ,obcierając' A.
 » — » 13 ,ani domyślać się możemy' A; ,i domyślać się nie możemy' Pdr.
 » 19 » 15 ,(ale) czuł jednak' A.
 » — » 16 ,Hanny. Ale' Pdr.; ,Hanny, która go nade wszystko kochając, pozwoliła na swoje porwanie. Ale' A.
 » — » 28 ,jako i' A; ,i' Pdr.
 » 20 » 11 ,spozierając' A; ,pozierając' Pdr.
 » — » 22 ,skargi' A; ,skargami' Pdr.
 » 21 » 12 ,jeszcze' Pdr.; ,już' A.
 » — » 23 ,Piotrze' A; ,Pietrze' Pdr.
 » 22 » 10 ,pośpiechu' Pdr.; ,prędkości' A.
 » — » 11 ,uwieźli' A; ,unieśli' Pdr.
 » — » 17 ,przebywali'; ,przybywali' A i Pdr.
 » — » 18 ,przechwalać się z podłego i karygodnego czynu' Pdr.; ,chwalić się z podłym i karygodnym czynem' A.
 » — » 19 ,pośpiech jeden' Pdr.; ,prędkość jedna' A.
 » — » 22 ,skoczył' A; ,zbliżył się' Pdr.
 » 23 » 7 ,przeciw Polakom' Pdr.; ,Polakom' A.
 » — » 14 ,zostanę' Pdr.; ,został' A.
 » — » 20 ,Herman do syna' Pdr.; ,Herman się przeżegnał, po drugi raz ucałował obraz Matki Boskiej, i odmówiwszy różaniec ze złota i kości słoniowej wyrobiony, do syna' A.
 » — » 23 ,jako ojciec' Pdr.; ,jak ojciec' A.
 » 24 » 14 ,jużem' A; ,jakżem' Pdr.
 » — » 16 ,łagodnemi' Pdr.; ,mojemi' A.
 » — » — ,surowe mogą ci dać' Pdr.; ,mogę ci srogię dać' A.
 » — » 21 po wyrazie ,groźby': ,Zbigniewie... Bolesławowi' A. w Pdr. brak. Ustęp ten wskutek

- powtarzania się ,Zbigniewie — Zbigniewie' przez pomyłkę w pierwodruku opuszczony; jest jednak potrzebny, gdyż inaczej zwrot: ,Taka rada Mestwina' (str. 25 w. 15) byłby niewytłómaczony.
 str. 25 w. 12 ,pomyślał' Pdr.; ,myślał' A.
 » — » 16 ,i niech' A; ,niech' Pdr.
 » — » 18 ,nikt i' A; ,i' Pdr.
 » 26 » 1 ,w Płocku' A; ,niedaleko Płocka' Pdr.
 » — » 5 ,równina, z drugiej' Pdr.; ,równina, na której kilka chat rozsypanych dostrzedz można było, które tworzyły przedmieście stolicy. — Z drugiej' A.
 » — » — ,toczyły się' Pdr.; ,płynęły' A.
 » — » 6 ,w oddali' A; ,w oddaleniu' Pdr.
 » — » 9 ,się wznosiły' A; ,wznosiły się' Pdr.
 » — » 11 ,Dowodziły tego... drzewa zrobiona' Pdr.; ,Wysokie mury... drzewa zrobiona tego dowodziły' A.
 » — » 18 ,dziedzińca' Pdr.; ,tego dziedzińca' A.
 » 27 » 8 ,sobie budowali' A; ,budowali' Pdr.
 » — » 23 ,o kamienie' Pdr.; ,o mury i kamienie' A.
 » — » 25 ,ogłaszające... spoczynek' Pdr.; ,ogłaszające, żeby każdy szedł na spoczynek' A.
 » 28 » 4 ,ci' A; ,mi' Pdr.
 » — » 5 ,córkę moją' Pdr.; ,córkę' A.
 » — » 7 ,gdyby szło — dodał cichszym i nieznacznym głosem —' opuszczono w pierwodruku przez pomyłkę wskutek powtarzającego się zwrotu: ,gdyby szło'.
 » — » 13 ,już' A; w Pdr. brak.
 » — » 17 ,samotny' A; ,smutny' Pdr.
 » — » 19 ,na żywy' A; ,w żywy' Pdr.
 » — » 22 ,miał na głowie' A; ,miał on na głowie' Pdr.
 » 29 » 11 ,ich' Pdr.; ,je' A.
 » — » 20 ,dowodził... wojny' Pdr.; ,dowodził długie wojny' A.

- str. 29 w. 21 ,o ścianę, zdawała się' Pdr.; ,o ścianę, tam sztandar, spływający na ziemię, zdawał się' A.
- » — » 29 ,niepodobna' Pdr.; ,niepodobnem' A.
- » — » 30 ,schody' A; ,wschody' Pdr.
- » 30 » 10 ,zdobne' A; ,ozdobne' Pdr.
- » — » — ,kamieniami' A; ,kamieniami' Pdr.
- » — » 15 ,co się (zwabić może) oczom' A.
- » — » 18 ,a Pismo święte... leżało' Pdr.; ,a książka, zawierająca Pismo święte, w... oprawna... leżała' A.
- » 31 » 12 ,doznanych od dni kilku' Pdr.; ,które doznała przez kilka dni jej dusza' A.
- » — » 16 ,jej uśmiechowi' A; ,uśmiechowi' Pdr.
- » — » 21 ,to' Pdr.; ,takie' A.
- » 32 » 2 ,poprzysięgnie (ci)' A; ,przysięgnie' Pdr.
- » — » — ,którą' Pdr.; ,którąm' A.
- » — » 7 ,mające wypłynąć z tego kroku' Pdr.; ,mające spłynąć z powodu tego' A.
- » — » 17 ,przyjm usługi tej ręki, nawykłej' Pdr.; ,przyjm rękę, nawykłą' A.
- » — » 21 ,Tymczasem Zbigniew' Pdr.; ,A Zbigniew tymczasem' A.
- » — » 23 ,mają' A; ,mogą' Pdr.
- » — » — ,milczeniu' Pdr.; ,milczeniu i wierności' A.
- » — » 24 ,sposób zachowania' Pdr.; ,sposób dla zachowania' A.
- » — » 29 ,jaki' Pdr.; ,który' A.
- » 33 » 9 ,trwa to' A; ,trwa' Pdr.
- » — » 18 ,nieznaną' A; ,nieznośną' Pdr.
- » 34 » 3 ,i' A; w Pdr. brak.
- » — » 17 po ,skracaj brak w Pdr.: ,Zresztą mniejsza o to — cała różnica, że jutro mniej jedną mszą będzie w klasztorze' A.
- » — » 20 Ustęp ,A zdaje mi się... zakonnika' opuszczono w pierwodruku; jest on jednak potrzebny, gdyż bez niego śmiech Mestwina (str. 34 w. 23) nie byłby uzasadniony.

- str. 34 w. 23 ,rozśmiał się' A; ,roześmiał się' Pdr.
- » — » — ,pytał' Pdr.; ,pytał się' A.
- » — » 25 ,sam pozostać' Pdr.; ,być samym' A.
- » 35 » 4 ,wszystko' Pdr.; ,rzecz' A.
- » — » — ,i nikomu' Pdr.; ,nikomu' A.
- » — » 6 ,po wczorajszych pogroźkach' Pdr.; w A brak.
- » — » 15 ,mą duszę' Pdr.; ,duszę' A.
- » — » 18 ,Nie nie wiem' A; ,Nie wiem' Pdr.
- » — » 19 ,Słyszałam' A; ,słyszałem' Pdr. Jedynie lekcja A jest właściwą i łączy się logicznie z następnem: ,Zapewnie, pani...'
- » — » 20 ,przerwał jej' A; ,przerwał' Pdr.
- » — » 22 ,potrzebuje' Pdr.; ,potrzebuję' A.
- » — » 26 ,przed nią' Pdr.; w A brak.
- » — » 27 ,księżną' A; ,księżno' Pdr.
- » 36 » 16 ,nim w swoje zamknę cię kłęby' Pdr.; ,który cię później w swoje zamknę kłęby' A.
- » — » 20 ,swoją' A; ,twoją' Pdr.
- » — » — ,uwolniony' A; ,uwolnij się' Pdr.
- » — » 31 ,przewidywanie' A; ,przewidywania' Pdr.
- » 37 » 7 ,nieprawie' A; ,nieprawne' Pdr.
- » — » — ,twe kroki' Pdr.; ,młode twe kroki' A.
- » — » 19 ,wyrzucać' Pdr.; ,wyrzucić' A.
- » — » 31 ,Raz podsycala... wielkości' Pdr.; ,Raz chęć sławy, znów żąda zaszczytów i wielkości mnie podsycali' A.
- » 38 » 2 ,Zdradą' Pdr.; ,Zdradą i dzielnym bojem' A.
- » — » 3 ,głuchym byłem na jęki' Pdr.; ,za nic miałem łzy' A.
- » — » 8 ,Ale' Pdr.; ,Alem' A.
- » — » 9 ,(Zbigniewa) Mestwina' A.
- » — » 14 ,nierozłączny' A; ,nierozłączony' Pdr.
- » — » 20 ,bez granic' Pdr.; ,bez granic, bez końca' A.
- » — » 22 ,więc' A; w Pdr. brak.
- » — » 24 ,za nic w świecie' Pdr.; ,za rozkosze nieba' A.

- str. 39 w. 1 ,oboje' Pdr.; ,obu' A.
 » -- » 3 ,szlachetnem sercem' Pdr.; ,szlachetnem nie-
 gdyś sercem' A.
 » — » 11 ,Zapomina(l)m' A.
 » — » 13 ,wyratuje' Pdr.; ,to wyratuje' A.
 » — » 14 ,z tej toni' Pdr.; ,od złego' A.
 » — » 18 Po ,zagubę' brak w pierwodruku: ,i ognie
 piekła w drugim życiu nie zatrwożą nie-
 śmiertelnej duszy — Zniosę je z stałością,
 przystojną na rycerza i Zbigniewa' A.
 » — » 20 ,i' A; w Pdr. brak.
 » — » 26 ,a cóż' A; ,cóż' Pdr.
 » 40 » 8 ,córkę... że' Pdr.; ,córkę — myśli zape-
 wnie Wszebor, że' A.
 » — » 13 ,przyniósłszy' A; ,podniósłszy' Pdr.
 » — » 16 ,i' Pdr.; w A brak.
 » — » 18 ,Przysięgam... że przytłumię' Pdr.; ,Ja,
 księżę Zbigniew — rzekł — i pań mnogich
 zamków i włości, przysięgam przed Bogiem
 i przysięgam na Pismo święte, które zesłał
 na ziemię, że przytłumię' A.
 » — » 20 ,gniew' Pdr.; ,gniew sprawiedliwy' A.
 » — » 21 ,krzywdy ojcu' Pdr.; ,krzywdy Wszeborowi
 z Ciechanowa, ojcu' A.
 » — » — ,mej żony' Pdr.; ,żony mojej, Hanny z Cie-
 chanowa' A.
 » 41 » 6 ,Mieczysław' Pdr.; w A brak.
 » — » 11 ,o nim' Pdr.; ,o nim, powtarzam' A.
 » — » 14 ,nieszczęścia' A; ,nieszczęść' Pdr.
 » — » 18 ,zaguba' A; ,zguba' Pdr.
 » — » 21 ,nakoniec' Pdr.; ,wtenczas' A.
 » — » 25 ,moja luba' Pdr.; ,nadobna' A.
 » — » 26 ,Zbigniew... do łona' Pdr.; ,Zbigniew —
 i zbliżył się do żony i w jej objęciach za-
 pomniał o niebie i ziemi' A.
 » 42 » 2 ,do jednej z komnat(y)' A.

- str. 42 w. 4 ,zastawionym... pełnymi' Pdr.; ,na którym
 stały dzbany i puhary, pełne' A.
 » — » 6 ,wyprawy... szukania' Pdr.; ,wyprawy,
 którą odbyli, szukając' A.
 » — » 10 ,smutnym' Pdr.; ,smętnym' A.
 » — » 11 ,gdzie' A; ,gdzież' Pdr.
 » — » 13 ,i odzyskania jeszcze nadziei' Pdr.; w A
 brak.
 » — » 15 ,tylu' Pdr.; ,długich' A.
 » — » 20 ,o jej sławę obawiać' Pdr.; ,obawiać o jej
 sławę' A.
 » — » 22 ,w smutku i rozpacz' Pdr.; ,w żalości
 i smutku' A.
 » — » 25 ,na lotnym' Pdr.; ,i na lotnym' A.
 » 43 » 4 ,istoty' Pdr.; ,dziewicy' A.
 » — » 17 ,władca' Pdr.; ,anioł' A.
 » — » 18 ,w tę' Pdr.; ,w tą' A.
 » — » 29 ,pomyślności? Nie' Pdr.; ,pomyślności, dla-
 tego że niewidoma władza zamierza mą
 zgubę? Nie' A.
 » 44 » 1 ,w Bogu' Pdr.; ,w Boga' A.
 » — » — ,ratować' Pdr.; ,uratować' A.
 » — » 4 ,powłokę' Pdr.; ,powlekę' A.
 » — » 5 ,osłabłą' Pdr.; ,oschłą' A.
 » — » — ,dobędę jeszcze szabli' Pdr.; ,wydobędę je-
 szcze szablę' A.
 » — » 7 ,puścimy' A; ,puścimy' Pdr.
 » — » 12 ,licznego orszaku' Pdr.; ,nielicznego z kilku
 żołnierzy orszaku' A.
 » — » 17 ,go pozbyć' Pdr.; ,się jego pozbyć' A.
 » — » 21 ,podskarbnika' Pdr.; ,podskarbnik' A.
 » — » 22 ,zgrzybiała' Pdr.; w A brak.
 » — » 28 ,ubiór' Pdr.; ,a ubiór' A.
 » — » 29 ,rdza' Pdr.; ,rzdza' A.
 » — » 31 ,Pierścień... błyszczał' Pdr.; ,Pierścień tyl-
 ko, w którym spoczywał kawałek prawdzi-
 wego krzyża, błyszczał' A.

- str. 45 w. 2 ,ręce' Pdr.; ,ręce złotem i drogimi kamien-
mi' A.
- » — » 3 ,Gulczewa' A; ,z Gulczewa' Pdr.
- » — » 13 ,żwierciadło' A; ,żwierciadło' Pdr.
- » — » 21 ,Mieczysława... pokłon' Pdr.; ,Mieczysła-
wa. — Ale dzisiaj podwójny wydatek zmniej-
szył moje dostatki, jeśli dostatkami nazy-
wać można zebrane potem czoła pieniądze,
ledwo wystarczające na utrzymanie moje
na dworze królewskim. — Ale i za to dzie-
kuję niebu — i to mówiąc, wznosił oczy
do góry — bo wszyscy zakonnicy klasztoru
Benedyktynów oprócz jednego, który zginął
temu kilka dni, a to sprawiło wielką mię-
dzy jego braćmi trwogę, modlili się za
prędkie uwolnienie córki pana Ciechanowa,
którego prawdziwie można wielkim i boga-
tym nazwać, bo co do mnie jestem nędznym
sługą księcia mego i pana. — To mówiąc,
drugi jeszcze głębszy pokłon' A.
- » — » 24 ,a Wszebor brwi' A; ,więc brwi' Pdr.
- » — » 27 ,raczyło' Pdr.; ,raczył' A.
- » 46 » 6 ,przydatków' Pdr.; ,długości' A.
- » — » 15 ,któż' A; ,kto' Pdr.
- » — » 24 ,sztuk' Pdr.; ,sztuczek' A.
- » — » 27 ,ponieważ' A; w Pdr. brak.
- » 47 » 5 ,z Gulczewa i' A; ,z Gulczewa' Pdr.
- » — » 13 ,wszystko ci' A; ,wszystko' Pdr.
- » — » 15 ,dziewczyną, a ojciec' Pdr.; ,dziewczyną,
jeśli tak chrześcijaninowi mówić się godzi,
a ojciec' A.
- » — » — ,ojciec jej' Pdr.; ,ojciec' A.
- » — » 16 ,pogłaskał' Pdr.; ,i pogłaskał' A.
- » — » 18 ,opuść' Pdr.; ,zostaw' A.
- » — » — ,wszystko insze' A; ,wszystko' Pdr.
- » — » 19 ,zdruzgocę' A; ,zdruzgoczę' Pdr.
- » — » 27 ,miodu' Pdr.; ,węgierskiego wina' A.

- str. 48 » 1 ,wiele' Pdr. ,dużo' A.
- » — » 6 ,mu' A; w Pdr. brak.
- » — » 16 ,w rękę' Pdr.; ,w mojem rękę' A.
- » — » 21 ,raczej' Pdr.; w A brak.
- » — » 22 ,synowi' A; ,synowi swemu' Pdr.
- » — » 26 ,i' A; ,a' Pdr.
- » — » 28 ,księcia (za rękę)' A.
- » 49 » 3 ,i żal' Pdr.; ,żał' A.
- » — » 8 ,w Polsce, już i tak nieszczęśliwej' Pdr.;
,w już tak nieszczęśliwej Polsce' A.
- » — » 11 ,Musi' Pdr.; ,Musi jednak' A.
- » — » 12 ,a ochłonawszy' Pdr.; ,i ochłonawszy' A.
- » — » 19 ,i' Pdr.; ,i nieraz' A.
- » — » 20 ,nam' A; ,nas' Pdr.
- » — » 27 ,które ten' Pdr.; ,które dosyć ten' A.
- » — » 29 ,zrzucenia go' Pdr.; ,go zrzucić' A.
- » 50 » 3 ,będzie ci się starał' Pdr.; ,będzie starał
ci' A.
- » — » 5 ,Nie przystoi' Pdr.; ,Nie przystoję' A.
- » — » 7 ,jest' Pdr.; w A brak.
- » — » 9 ,poprowadzić' A; ,prowadzić' Pdr.
- » — » 17 ,przejrzeć' Pdr.; ,przetrzasać' A.
- » — » 19 ,zgadzamy' Pdr.; ,zgadzam i dziękuję za
radę' A.
- » — » 21 ,byłoby lepiej' Pdr.; ,lepiej by było' A.
- » — » 27 ,się' Pdr.; w A brak.
- » — » 31 ,przełamuje' Pdr.; ,zrzuca' A.
- » 51 » 1 ,mówię ci' Pdr.; ,ci mówię' A.
- » — » 4 ,najjaśniejszy' A; ,najjaśniej' Pdr.
- » — » 5 ,cię' Pdr.; w A brak.
- » — » 6 ,i żegnam' Pdr.; ,żegnam' A.
- » — » 19 ,Czy' Pdr.; ,Czyż' A.
- » — » 22 ,i pan' A; ,pan' Pdr.
- » 52 » 15 ,żołnierzami' Pdr.; ,żołnierzy' A.
- » — » 19 ,leżała' Pdr.; ,spoczywała' A.
- » — » 22 ,głowę' Pdr.; ,głowę i zamknął oczy' A.

- str. 53 » 1 „z Moskorzowa” i tak zawsze A; „z Moskorzowa” Pdr.
- » — » 3 „Jakem” Pdr.; „Tak, jakim” A.
- » — » 5 „to” Pdr.; „a to” A.
- » — » 6 „(pióra) skrzydła” A.
- » — » 20 „mi to” Pdr.; „mi ten” A.
- » — » 29 „twoje zachmurzone” Pdr.; „zachmurzone u ciebie” A.
- » 54 » 3 „ojcu? — Miłościwy” Pdr.; „ojcu? — A jednak codzień pięć razy różaniec mój odmawiam, prosząc Boga o zakończenie smutków waszych. — Miłościwy” A.
- » — » 9 „wyrwij” Pdr.; „wyratuj” A.
- » — » 11 „w tym względzie” Pdr.; „pod tym względem” A.
- » — » 30 „której... będzie” Pdr.; „której skutkiem będzie utrudzenie twoje” A.
- » 55 » 4 „się lękał” Pdr.; „się bał” A.
- » — » 11 „i (dał) rozkazał” A.
- » — » 12 „obejrzeć” Pdr.; „obejrzyć” A.
- » — » 17 „ustraszy” Pdr.; „straszy” A.
- » — » 21 „Boże... umysł” Pdr.; „Wszyscy święci i biskupi, męczennicy i apostołowie, dodajcie mi mocy — pokrzepcie mój umysł!” A.
- » — » 28 „udzielił... duszy” Pdr.; „zesłał moc i stałość w moją duszę” A.
- » 56 » 6 „rozkazał uwiadomić” Pdr.; „uwiadomił” A.
- » — » 7 „o (dzisiejszej) jutrzejszej” A.
- » — » 12 „Hetmanie” Pdr.; „Sieciechu hetmanie” A.
- » — » 14 „uwiadomił... wszystkich” Pdr.; „pośpieszył... do wszystkich” A.
- » — » 15 „o wezwaniu” Pdr.; „z wezwaniem” A.
- » — » 21 „wypełnij” Pdr.; „wypełń” A.
- » 57 » 24 „podobny” A; „podobnym” Pdr.
- » — » 26 „a Mieczysław... oddalili się” Pdr.; „a Mieczysław z zachmurzonym czołem, Wszebor z zasępioną twarzą się oddalili” A.

- str. 57 w. 28 „Wojewodo” Pdr.; „Mój wojewodo” A.
- » 58 » 4 „nakarmiać” Pdr.; „karmić” A.
- » — » 8 „z królewskim” Pdr.; „królewskim” A.
- » — » 9 „pozawieszane” Pdr.; „rozwieszzone” A.
- » — » 10 „W środku” Pdr.; „U środka” A.
- » — » 11 „zaginającego się” A; „zginającego się” Pdr.
- » 59 » 6 „od drugiej części” Pdr.; „od części pozostałej” A.
- » — » 9 „zdobne” A; „zdobione” Pdr.
- » — » 10 „przy każdym” Pdr.; „a przy każdym” A.
- » — » 17 „poblizkie... zajmowali” Pdr.; „na pobliskich siedzeniach z drugiej strony siedzeli” A.
- » — » 18 „biskup płocki naówczas” A; „podówczas biskup płocki” Pdr.
- » — » 23 „porwania” Pdr.; „porwanej” A.
- » — » 26 „zmarszczył” Pdr.; „marszczy” A.
- » — » 30 „psy... dojeżdżacz” A; „psami... dojeżdżaczem” Pdr.
- » 60 » 1 „myśliwy... dzik osaczony” A; „myśliwym... dzikiem osaczonym” Pdr.
- » — » 6 „bez gwałtu” A; „bez gwałtów” Pdr.
- » — » 13 „Sieciech... do sali” Pdr.; „Sieciech. Nie dziwię się, że Władysław Herman tak się lubi modlić — ozwał się Skarbimir z Guleczewa — bo tak piękne ma różańce, wszystkie ze złota lub kości słoniowej.
- U mnie najlepszym różańcem jest dobra szabla, dzielny koń i wierny mój topór — przerwał mu Sieciech — choć jednak nie myślę temi słowy ubliżać świętemu Kościołowi. — Tylko chcę powiedzieć, że wysłuchawszy jednej mszy, pewno na drugą nie zostanę. Wolę sięść na konia i hasać po polu w ciężkim pancerzu i kopią u toku.
- Ja zaś z sokołem moim — zawołał Wolimir z Moskorzowa — nic niema przy-

jemniejszego nad łowy — porywają się ptaki, odkrywam kaptur, puszcza.n sokoła, widzę, jak dzielne skrzydłami wznosi się w górę, to znów opada, ściga, zabiega, spoczynku nie daje i nareszcie pod obłokami, wśród czarnych chmur, dogania zdobycz, szpony w niej zatapia i świetny zwycięstwem, wraca na mój głos. — To życie dopiero, to zabawa! — Niech żyją łowy, niech żyje sokół i niech żyje król Władysław, bo oto wchodzi do sali! A.

- str. 60 w. 18 ,i zbliżając się' A; ,zbliżając się' Pdr.
 » — » 22 ,otoczony' Pdr.; ,obtoczony' A.
 » — » 29 ,spływał mu z ramion' Pdr.; ,z jego ramion spływał' A.
 » — » 31 ,co było skutkiem' A; ,w skutku' Pdr.
 » 61 » 8 ,do monarchy' Pdr.; ,do słabego monarchy' A.
 » — » 11 ,za zbliżaniem' A; ,za zbliżeniem' Pdr.
 » — » 13 ,nie okazując' Pdr.; ,nie okazał' A.
 » 62 » 9 ,łupiestwa' Pdr.; ,wydarcia' A.
 » — » 13 ,synami' A; ,między synami' Pdr.
 » — » 17 ,burzliwych... gniewów' Pdr.; ,burzliwe... gniewy' A.
 » — » 25 ,polskie' Pdr.; ,Polski' A.
 » — » 28 ,wszędzie' Pdr.; ,a wszędzie' A.
 » — » 29 ,wzywają rycerzy' Pdr.; ,wzywają dźwiękiem... na modlitwę rycerzy' A.
 » 63 » 6 ,właśnie teraz się wydarzył' Pdr.; ,oto teraz świeżo się zdarzył' A.
 » — » 9 ,do opowiadania' Pdr.; ,do opowiedzenia' A.
 » — » 11 ,dowiedział się bowiem' Pdr.; ,bo dowiedział się był' A.
 » — » 12 ,o opowiadaniu Bardana' Pdr.; ,o słowach, przez Bardana słyszanych' A.
 » — » 14 ,przez niebiosą' Pdr.; ,przez same niebiosy' A.

- str. 63 w. 19 ,nareszcie nabrał' Pdr.; ,nareszcie, zwróciwszy oczy na obraz Najświętszej Panny, dotknąwszy się drogiej relikwii, na pierśiach wiszącej, nabrał' A.
 » — » 24 ,wdzięków' Pdr.; ,gładkości' A.
 » — » 27 ,ledwo ze snu' Pdr.; ,ledwo co ze snu' A.
 » — » 28 ,z porywających' Pdr.; ,z przeciwnej strony' A.
 » 64 » 8 ,Sprawiedliwości, sprawiedliwości' A; ,sprawiedliwości' Pdr.
 » — » 11 ,mówił dalej Władysław' Pdr.; w A brak.
 » — » 12 ,oto' Pdr.; ,o tu' A.
 » — » 15 ,poddani (nasi)' A.
 » — » 19 ,nie czas już' Pdr.; ,już nie czas' A.
 » — » 28 ,tajemnica' Pdr.; ,skrytość, tajemnica' A.
 » 65 » 6 ,nic, nic cię nie wyratuje' Pdr.; ,nic cię nie wyratuje' A.
 » — » 8 ,zdziwiło' Pdr.; ,zadziwiło' A.
 » — » 15 ,dodał' Pdr.; w A brak.
 » — » 26 ,bliżej tronu stojący' Pdr.; ,bliżej tronu' A.
 » 66 » 6 ,czy czasem... z Ciechanowa' Pdr.; ,czy czasem w nich nie jęczy w srogiem Hanna z Ciechanowa więzieniu' A.
 » — » 15 ,z pochew oręża' Pdr.; ,oręża' A.
 » — » 16 ,niebem' Pdr.; ,nieba' A.
 » — » 27 ,przerwał mu... postąpił' Pdr.; ,przerwał mu głos, do pioruna podobny, i Zbigniew postąpił' A.
 » — » 28 ,a założywszy' Pdr.; ,i założywszy' A.
 » 67 » 3 ,jego' Pdr.; w A brak.
 » — » 5 ,nieporuszeni' Pdr.; ,z początku nieporuszeni' A.
 » — » 12 ,wstrzymał go' Pdr.; ,uderzył mu oczy' A.
 » — » 13 ,o własnej zemście' Pdr.; ,o dogodzeniu własnej zemście' A.
 » — » 19 ,jedyną (jego została) pokłada nadziej(ą)ę' A.
 » — » 24 ,i uciemięziela' Pdr.; ,uciemięziela' A.

- str. 67 w. 26 ,książę' Pdr.; w A brak.
 » 68 » 4 ,klękąwszy' A; ,klękający' Pdr.
 » — » — ,znowu' A; ,znów' Pdr.
 » — » 19 ,przychodzić' A; ,wychodzić' Pdr.
 » — » 24 ,zszedł' A; ,szedł' Pdr.
 » 69 » 5 ,Przeszedł' A; ,Poszedł' Pdr.
 » — » 15 ,pan Gulczewa' A; ,pan z Gulczewa' Pdr.
 » — » 21 ,na (sałę) całe' A.
 » — » 25 ,potrawy' Pdr.; ,smaczne potrawy' A.
 » — » 27 ,usprawiedliwianiem' A; ,usprawiedliwie-
 niem' Pdr.
 » — » 30 ,niecierpianemu' A; ,niecierpliwemu' Pdr.
 » 70 » 6 ,rękę synowca' A; ,synowca' Pdr.
 » — » 19 ,toporem bramę do jego jaskiń' Pdr.; ,to-
 porem, dojdę do jego jaskini' A.
 » — » 23 ,stać' Pdr.; ,stawać' A.
 » — » 25 ,w orężu... Ale wróćmy' Pdr.; ,w orężu
 została, chwycę się jego, bo same nieba
 każą mi córkę ocalić, a choćby i nieba nie
 kazały, serce każe. — Ale wr(aca)j(ó)ć-
 my' A.
 » — » 28 ,sklepienie' A; ,sklepienia' Pdr.
 » — » 31 ,podzieliła' A; ,przedzieliła' Pdr.
 » 71 » 4 ,za (synem) potomkiem' A.
 » — » 22 ,władzę' A; w Pdr. brak.
 » — » 26 ,Te słowa wróciły' Pdr.; ,Te słowa, jak
 niegdyś Zbawiciela rozkaz, uciszający wzdę-
 te morza fale, wrócił (s)' A.
 » 72 » 11 ,(króla) narodu' A.
 » — » 18 ,zaguba' A; ,zguba' Pdr.
 » 73 » 15 , (wojewody) Sieciecha' A.
 » — » 20 ,śmiałego' Pdr.; ,dzielnego' A.
 » — » 28 , (ściskając) ściśnięciem ręk(ę)i' A.
 » 74 » 9 ,przysięgnij, że' A; ,przysięż mi, że' Pdr.
 » — » 13 ,głosem. — Ojczy' Pdr.; ,głosem. — Święta
 Panno Maryo, Ojczy' A.
 » — » 16 ,poświęcenie' A; ,poświęcenia' Pdr.

- str. 74 w. 17 ,syna' Pdr.; ,syna. Okrutny biskup przy-
 musiał mnie — prawda, nie ma dzieci. —
 Panno Maryo, módl się za nami w godzinę
 śmierci — Amen' A.
 » — » 19 ,znów' Pdr.; ,znowu' A.
 » 75 » 24 ,trąba, wzywająca ich do walki' Pdr.; ,trą-
 ba bitew' A.
 » 76 » 1 ,nadciągające wojsko' A; ,nadciągnięcie
 wojska' Pdr.
 » — » 6 ,zbroi' Pdr.; w A brak.
 » — » 7 ,zachodzącego' Pdr.; ,zachodzącemi' A.
 » — » — ,promieńmi' A; ,promieniami' Pdr.
 » — » 12 ,najludniejsze' A; ,najładniejsze' Pdr.
 » — » 16 ,z niewielkim' A; ,z wielkim' Pdr.
 » — » 21 ,bo jego' Pdr.; ,bo jak jego' A.
 » — » 22 ,niezdatną' Pdr.; ,równie tak niezdatną' A.
 » — » 27 ,z której w milczeniu' A; ,w milczeniu' Pdr.
 » — » 31 ,słyszano' A; ,słyszany był' Pdr.
 » 77 » 2 , (ksią) przez Mestwina' A.
 » — » — , (stawały) gromadziły się' A.
 » — » 17 ,giermkowie' Pdr.; ,giermki' A.
 » — » 24 ,jakiś' A; ,niejakiś' Pdr.
 » 78 » 11 ,oble(kały)wały' A.
 » — » 23 ,myślami' Pdr.; ,myśli' A.
 » — » 25 , (więcej mocy) siły' A.
 » — » 29 , (na zachodzie) chwilowo' A.
 » 79 » 4 ,korytarze' Pdr.; ,korydory' A.
 » — » 11 ,murami' Pdr.; ,mury' A.
 » — » 12 ,niemocy' Pdr.; ,rozerwaniu' A.
 » 80 » 3 ,wiedzieć' A; ,wiedzić' Pdr.
 » — » 5 ,domyślić' Pdr.; ,domyślić się' A.
 » — » 12 ,łask ci moich' Pdr.; ,łaski ci mojej' A.
 » — » 16 ,dziewice' A; ,dziewicę' Pdr.
 » — » 17 , (otruwać) zabijać' A.
 » — » 28 ,wierny' A; ,wiernym' Pdr.
 » 81 » 6 ,w moje' Pdr.; ,na moje' A.
 » — » 20 ,torowałem' Pdr.; ,utorowałem' A.

- str. 81 w. 26 ,i po' Pdr.; ,a po' A.
 » — » 29 ,wnosić' A; ,wnieść' Pdr.
 » 82 » 3 ,nakłoniły' A; ,a nakłaniały' Pdr.
 » — » 12 ,zdruzgocze' A; ,zdruzgocze' Pdr.
 » — » 19 ,roztropny' Pdr.; ,i roztropny' A.
 » — » 20 ,zaszczycają mnie' A; ,zagrażają mi' Pdr.
 » — » 25 ,(się) mój' A.
 » 83 » 9 ,mające się' Pdr.; ,się mające' A.
 » — » 23 ,przeciwn' Pdr.; w A brak.
 » — » 24 ,zakończyła' Pdr.; ,zakończył' A.
 » 84 » 3 ,serce żywiej' Pdr.; ,żywiej serce' A.
 » — » 6 ,tęż samą' Pdr.; ,tą samą' A.
 » — » 9 ,(Katarzyna) drżąca' A.
 » — » 15 ,Księżę... obiegają' Pdr.; ,Mój ojciec i księżę Mie... mój ojciec obiegają' A.
 » 85 » 2 ,zwycięstwem' Pdr.; ,ale zwycięstwem' A.
 » — » 17 ,(męstwa) siły' A.
 » — » 21 ,wolał' A; ,wolał jednak' Pdr.
 » 86 » 1 ,córka' Pdr.; w A brak.
 » — » 10 ,cnot(y)ę dla mnie (nie) porzucił(y)o' A.
 » — » 11 ,jednym' A; ,jedynek' Pdr.
 » — » 12 ,Tak, Hanno, łatwoby' Pdr.; ,Tak, Hanno, ogień, rozlewający się po twoich żyłach, miłość, obejmująca twą duszę żarem namiętności, z początku cofnęłaby się na wspomnienie cnoty, ale później za ukazaniem się Zbigniewa, za prośbami jego poszłabyś w ślady tylu nieszczęśliwych ofiar. Łatwoby' A.
 » — » 14 ,jeszcze' A; w Pdr. brak.
 » — » 19 ,otoczona' A; ,otoczona' Pdr.
 » — » 22 ,ich' A; w Pdr. brak.
 » — » 25 ,(swą) córkę' A.
 » — » 26 ,wiecznie kochać, tobie' A; ,kochać i tobie' Pdr.
 » — » 30 ,nie powinny' Pdr.; ,nie powinne' A.

- str. 87 w. 1 ,jeden tylko' Pdr.; ,jeden tylko Zbigniew, jeden tylko' A.
 » — » 4 ,chmurami' Pdr.; ,chmury' A.
 » 88 » 1 ,z Gulczewa... mówiąc' Pdr.; ,z Gulczewa sądzi, że wszyscy święci w niedostatku zbroi, pochodzącego z niedostatku pieniędzy, zesłał męstwo i zdrowie na ludzi tu przytomnych, których mianował mnie dowódcą, mówiąc' A.
 » — » 4 ,dostatków' Pdr.; ,dostatków i kościół, który wystawiłem...' A.
 » — » 5 ,Dajże pokój — przerwał' Pdr.; ,Dajże pokój z swoim kościołem — przerwał' A.
 » — » 8 ,Pójdź' Pdr.; ,Póđz' A.
 » 89 » 1 ,tych' Pdr.; w A brak.
 » — » 25 ,nad wszystko' Pdr.; ,nadewszystko' A.
 » 90 » 5 ,żołnierze' Pdr.; ,żołnierz' A.
 » — » 13 ,wzrostu... stojącego' Pdr.; ,wzrostu i szczerości wyrazem napiętnowanej twarzy, stojącego' A.
 » 91 » 16 ,cię' A; ,się' Pdr.
 » — » 23 ,z sztyletem' A; ,sztyletem' Pdr.
 » — » 29 ,w twojej' Pdr.; ,twojej' A.
 » 92 » 14 ,nie mniemam... własną osobą' Pdr.; ,nie myślę, światową uwiedziony próżnością, bym wiele wam dopomógł własną osobą' A.
 » — » 15 ,wyniszczyły' A; ,wycięczyły' Pdr.
 » — » 20 ,zawsze gotów jestem' Pdr.; ,zawszem gotów' A.
 » 93 » 18 ,dobądźcie' Pdr.; ,i dobądźcie' A.
 » — » 20 ,kto to jest' Pdr.; ,co to jest' A.
 » 94 » 4 ,zaś' Pdr.; w A brak.
 » — » 7 ,może' Pdr.; w A brak.
 » — » 16 ,krucyfiks' Pdr.; ,ogromny krucyfiks' A.
 » — » 29 ,uparty' Pdr.; ,zawsze uparty' A.
 » 95 » 9 ,gdyż' Pdr.; ,bo' A.

- str. 95 w. 26 ,jeden... dopóki' Pdr.; ,jeden tu się zоста-
jąc, nie zaprzestanę boju, dopóki' A.
» — » 31 ,zapędy' Pdr.; ,popędy' A.
» 96 » 3 ,witał' A; ,przywitał' Pdr.
» — » 11 ,ją' Pdr.; ,się' A.
» — » 13 ,rozciągnionym' A; ,rozbitym' Pdr.
» — » 27 ,żądania, aby' Pdr.; ,żądania, to jest, by' A.
» — » 31 ,sumienie obarczył' Pdr.; ,swojego obar-
czył sumienia' A.
» 97 » 1 ,zachmurz(ające się)one' A.
» — » 2 ,waszej' Pdr.; w A brak.
» — » 3 ,rycerza' Pdr.; ,i rycerza' A.
» — » 4 ,wyliczaniem' Pdr.; ,wyliczaniem mu' A.
» — » 20 ,się' Pdr.; w A brak.
» — » 26 ,choć... Zbigniew' Pdr.; ,choć Sieciech:
Daremną pracę — zawołał — Zbigniew' A.
» — » 29 ,wodzowi' Pdr.; ,wodzu' A.
» 98 » 7 ,jest' Pdr.; w A brak.
» — » 22 ,nie zostanę' Pdr.; ,że się nie zostanę' A.
» 99 » 19 ,uciekł... i wrócił' Pdr.; ,uciekając... wró-
cił' A.
» 100 » 2 ,niechaj' Pdr.; ,niech' A.
» 101 » 16 ,Za przybyciem Stefana' Pdr.; ,Kiedy Ste-
fan przybył' A.
» — » 17 ,kilkunastu' Pdr.; ,kilku' A.
» — » 22 ,z oczu' Pdr.; ,z oka' A.
» 102 » 13 ,bez okazania... trwogi' Pdr.; ,bez okazania
najmniejszej w ruchach swoich trwogi' A.
» — » 19 , (Zbigniewa) Mestwina' A.
» — » 20 ,u wnijścia' A; ,na wnijściu' Pdr.
» — » 22 ,niosła' Pdr.; ,nosiła' A.
» 103 » 4 , (Zbigniewa) Hanny' A.
» — » 21 ,a osobliwie' Pdr.; ,osobliwie' A.
» — » 22 ,ci' A; ,mi' Pdr.
» 104 » 1 ,w górę... w dół' Pdr.; ,na górę... na dół' A.
» — » 4 ,łatwo' Pdr.; ,łatwem' A.
» — » 8 ,jakiego' A; ,jakiegoś' Pdr.

- str. 104 w. 14 ,od towarzyszy' A; ,od towarzyszków' Pdr.
» — » 21 ,ponad głowę' A; ,ponad głową' Pdr.
» — » 22 ,u szyszaka' Pdr.; ,u szyszaku' A.
» 105 » 3 ,kłamstwa' A; ,kłamstwo' Pdr.
» — » 17 ,przedstawicie' A.; ,przedstawcie' Pdr.
» — » 22 ,korytarzów' Pdr.; ,korydorzów' A.
» — » 30 ,twoich przełożeń' Pdr.; ,twe przełożenia' A.
» 106 » 3 , (Zbigniew) Mestwin' A.
» 107 » 27 ,zrzeczenia się dumy' Pdr.; ,zrzucenia się
z dumy' A.
» — » 28 ,osiągnąć' A; ,osiągnął' Pdr.
» — » — ,nagrode' A; ,nagrody' Pdr.
» 108 » 14 ,nie schował' Pdr.; ,nie położy' A.
» — » 18 ,Znów' Pdr.; ,i znów' A.
» — » 23 ,i już' A; ,już i' Pdr.
» 109 » 1 ,Tu' Pdr.; ,A tu' A.
» — » 6 ,ciężką wyrządzoną mu krzywdę' Pdr.; ,cięż-
ką (wyrządzoną mu) krzywdę' A.
» — » 12 ,Tu stanął znowu' Pdr.; ,I tu stanął' A.
» — » 17 ,pielgrzymi' Pdr.; ,pustelnicy' A.
» — » 19 ,by wysłuchał cię' A; ,o wysłuchanie ciebie' Pdr.
» — » 20 ,za pomocą której' A; ,za skutecznienie
której' Pdr.
» — » 25 ,pośród' A; ,w pośród' Pdr.
» 110 » 5 ,spólników' Pdr.; ,przez spółników' A.
» — » 13 ,z wymierzeniem' Pdr.; ,oddaniem' A.
» — » 15 ,że... zataję' Pdr.; ,bym... zataił' A.
» — » 22 ,skazany jesteś' Pdr.; ,skazanyś' A.
» — » 24 ,Sykucie' A; ,kacie' Pdr.
» — » 26 ,jej się' Pdr.; ,się jej' A.
» — » 29 , (Zbigniewie) wystąpił' A.
» 111 » 3 ,miłosiernego' A; ,miłosierniejszego' Pdr.
» — » 4 ,zarodków' Pdr.; ,zarodków (s)' A.
» — » 5 ,w twą' Pdr.; ,w twoją' A.
» — » 23 ,Mieczysława' A; w Pdr. brak.
» 112 » 6 ,każden' A; ,i kaźden' Pdr.
» — » 17 ,gotowe' Pdr.; ,gotowem' A.

- str. 112 w. 23 ,widzieć' Pdr.; ,widzić' A.
 » — » 28 ,Sykucie' A; ,kacie' Pdr.
 » 113 » 6 ,Nachylił się ku niemu' Pdr. ,Schylił się do niego' A.
 » — » 11 ,straciła' A; ,utraciła' Pdr.
 » — » 23 ,popęlić' A; ,zrzędzić' Pdr.
 » 114 » 7 ,już w górze' A; ,w górze' Pdr.
 » — » 16 ,ten' Pdr.; ,ten ostatni' A.
 » — » 19 ,gardła' Pdr.; ,garła' A.
 » — » 23 ,ginie' A; ,zginie' Pdr.
 » — » 27 ,czynił' A; ,uczynił' Pdr.
 » 115 » 4 ,porwali się na... ofiarę' Pdr.; porwali na (śmierć) nieszczęśliwą ofiarę' A.
 » — » 14 ,okropny' A; ,okrutny' Pdr.
 » — » 19 ,(ulat) uchodzącego' A.
 » 116 » 21 ,otwarte' Pdr.; ,roztwarte' A.
 » — » 22 ,nie wstrzymały' A; ,nie wstrzymywały' Pdr.
 » 117 » 1 ,rzucane' A; ,wyrzucone' Pdr.
 » — » 2 , (nie) śmiertelnym' A.
 » — » 14 ,orszaki (oddzielił się wreszcie od księcia i poszedł z swoimi boczną stroną zamku dobywać) krzyżowały się' A.
 » — » 16 ,rzucane' A; ,rzucone' Pdr.
 » — » 19 ,kamieniami' Pdr.; ,kamieniami' A.
 » — » 23 ,nie można (było) A.
 » — » 31 ,wstrzymał go' Pdr.; ,go wstrzymał' A.
 » 118 » 12 ,chybiał' Pdr.; ,chybiała' A.
 » — » 15 ,wskazywał' A; ,okazywał' Pdr.
 » — » 21 ,naciągnął' A; ,wyciągnął' Pdr.
 » 119 » 1 ,Sieciecha; Zbigniewa' A; ,Zbigniew' Pdr.
 » — » 8 ,tamten' Pdr.; ,wróg' A.
 » 120 » 1 ,mała... mogła' Pdr.; ,mało tylko zbrojnych mogło' A.
 » — » 26 ,(rycerz) Zbigniew' A.
 » — » 29 ,zostać' Pdr.; ,zostawać' A.
 » — » 30 ,im' A; ,mi' Pdr.
 » 121 » 5 ,takichem' Pdr.; ,takich' A.

- str. 121 w. 10 ,co mówi' A; ,i mówi' Pdr.
 » — » 12 ,w szerokiej czarnej sukni' Pdr.; ,w szerokim stroju czarnym' A.
 » — » 26 ,najpotężniejszy panie' A; ,najpotężniejszy' Pdr.
 » 122 » 1 ,Masaadi' A; ,Massadi' Pdr.
 » — » 3 ,się uklonił' Pdr.; ,ukłonił się' A.
 » — » 12 ,z Gozdawy' A; ,z Gozdowy' Pdr.
 » — » 23 ,przyjemność' Pdr.; ,boską przyjemność' A.
 » 123 » 11 ,z zamk(owy)u' A.
 » — » 22 ,której' Pdr.; ,którą' A.
 » — » 30 ,każdemu' Pdr.; ,każdego' A.
 » 124 » 2 ,do (walczących) miejsca walki' A.
 » — » 15 ,celu' A; w Pdr. brak.
 » — » 19 ,których' Pdr.; ,które' A.
 » — » 24 ,trwogę' Pdr.; ,trwogę w sercach' A.
 » 125 » 7 , (i) zacz(ęli)ynając' A.
 » — » 23 ,Steiffroka' A; ,Heyfroka' Pdr.
 » 126 » 1 ,na (Mieczysława) księcia' A.
 » — » 8 ,w smutek i zgubę najgłębszą' A; ,w smutku i zgubie najgłębszej' Pdr.
 » — » 13 ,kiedy wrzaski ustały' A; w Pdr. brak.
 » — » 18 ,na (żelazo) pałaszach' A.
 » 127 » 1 ,zwieszony' A; ,zawieszony' Pdr.
 » — » 16 ,Żyda! — Zbigniew' Pdr.; ,Żyda! — rana mała — Wkrótce on tu wróci. — Zbigniew' A.
 » 128 » 18 ,zabiedz' A; ,zapobiedz' Pdr.
 » — » 30 , (walka) bitwa' A.
 » 129 » 6 ,wszędę z sobą' Pdr.; ,wszędzie za sobą' A.
 » — » 14 ,zaraz' A; ,teraz' Pdr.
 » 130 » 9 ,święty' A; ,świętej' Pdr.
 » — » 30 ,trąba' Pdr.; ,trąba bitew' A.
 » 131 » 4 ,rotami' Pdr.; ,roty' A.
 » — » 11 ,liczbę namiotów... rycerzy' Pdr.; ,liczbę opuszczonych, pozbawionych już swoich (panów) rycerzy namiotów' A.
 » — Motto ,Turniej' A; ,Turnieje' Pdr.

- str. 131 w. 18 ,wojny domowej i niezgody' Pdr.; ,domo-
wej niezgody' A.
- » — » 19 ,ich odwrócenia' A; ,odwrócenia ich' Pdr.
- » 132 » 14 ,sieni i znikł' A; ,sieni, znikł' Pdr.
- » — » 18 ,z Moskorzowa'; ,z Moskorzowa' A i Pdr.
- » — » 23 ,rozjaśniał' A; ,rozjaśnił' Pdr.
- » 133 » 13 ,(Stef) biskupa' A.
- » — » 14 ,osłonięciem bogatą makatą' A; ,słoniowem,
bogatą pokrytą makatą' Pdr.
- » — » 15 ,modły' Pdr.; ,modły do mnóstwa obraz-
ków, tu i owdzie rozwieszonych' A.
- » — » 27 ,staralem się' Pdr.; ,staralem' A.
- » 134 » 4 ,mię' Pdr.; ,mnie' A.
- » — » 6 ,(Wł) syna' A.
- » — » — ,ty' Pdr.; w A brak.
- » — » 14 ,swoim zamiarom' A; ,swoich zamiarów' Pdr.
- » — » 15 ,mi' Pdr.; ,mnie' A.
- » — » 18 ,pożerającą' A; ,przerazającą' Pdr.
- » — » 19 ,żyły' A; ,siły' Pdr.
- » — » 22 ,swojej' A; ,twojej' Pdr.
- » 135 » 15 ,(t) swoim' A; ,twojem' Pdr.
- » — » 28 ,jesteś pośrednikiem' Pdr.; ,miejsce zastę-
pujesz' A.
- » 136 » 1 ,I ojczyzny razem, miłościwy mój panie' A;
,i ojczyzny razem.— Miłościwy mój panie' Pdr.
- » — » 7 ,wszędzie mu' Pdr.; ,mu wszędzie' A.
- » — » 9 ,wpośród' Pdr.; ,pośród' A.
- » — » 14 ,(nadzieje) słusne przyczyny' A.
- » — » 26 ,(teraz) przeciwko' A.
- » — » 29 ,Ileż' A; ,Ile' Pdr.
- » 137 » 4 ,wpośród' Pdr.; ,pośród' A.
- » — » 14 ,syna' A; ,dzieci' Pdr.
- » — » — ,jego' A; ,ich' Pdr.
- » — » 21 ,prawdą' A; ,prawda' Pdr.
- » — » 23 ,i jeszcze... napiętnowała' A; ,jeszcze...
i napiętnowała' Pdr.
- » — » 24 ,jakżem' A; ,jakem' Pdr.

- str. 137 w. 30 ,Jeśli' A; ,i jeśli' Pdr.
- » 138 » 7 ,jest' Pdr.; w A brak.
- » — » 10 ,do przybytku cnotliwych. — Królu mój'
Pdr.; ,do świętej Jerozolimy — święty Apo-
stoł odepchnie go od świętych siedzib
wybranych i strąci do piekła. — Królu
mój' A.
- » — » 27 ,najwyższego' A; ,do najwyższego' Pdr.
- » 139 » 2 ,mocnym' Pdr.; ,wawrzyn' (s) A — wa-
wrzynowym?
- » — » 10 ,chce (się)' A.
- » — » 15 ,na' A; w Pdr. brak.
- » — » 21 ,przydatnem' Pdr.; ,zdatnem' A.
- » 140 » 3 ,odzywają się' Pdr.; ,ozywają się' A.
- » — » 6 ,nie wątpię' A; ,niewątpliwie' Pdr.
- » — » 8 ,Bóg! Ale' Pdr.; ,Bóg i Najświętsza Panna
i święci Apostołowie! Ale' A.
- » — » 9 ,z swego' Pdr.; ,z swojego' A.
- » — » 10 ,mię' Pdr.; ,mnie' A.
- » — » 28 ,doradcy' Pdr.; ,doradce' A.
- » 141 » 1 ,lecz' Pdr.; w A brak.
- » — » 3 ,A' A; ,Ja' Pdr.
- » — » 4 ,osądzania' A; ,osądzania' Pdr.
- » — » 10 ,polecenia' A; ,polecania' Pdr.
- » 142 » 9 ,tysiąców' A; ,tysiące' Pdr.
- » — » 14 ,tylko' A; ,by tylko' Pdr.
- » — » 26 ,ojca zawołanie' A; ,zawołanie ojca' Pdr.
- » — » 27 ,przed jego murami' Pdr.; ,przed nim' A.
- » 143 » 3 ,i ustąpienie' A; ,ustąpienie' Pdr.
- » — » 4 ,(naprzykład) jaka zabawa' A.
- » — » 5 ,turniej... przydał' A; ,turnieje... przy-
dały' Pdr.
- » — » 13 ,bo wiek' A; w Pdr. brak.
- » — » 15 ,łatwo' Pdr.; ,łatwem' A.
- » — » 17 ,a gdzie' A; ,gdzie' Pdr.
- » — » 18 ,siwek lub kobuzów stada' Pdr.; ,gromada
siwek lub kobuzów' A.

- str. 143 w. 24 ,Władysława' Pdr.; ,Władysława Hermana' A.
 » 144 » 6 ,swemu' Pdr.; ,swojemu' A.
 » — » 24 ,zagoi' A; ,zgoi' Pdr.
 » — » 25 ,rany! Kapłan' Pdr.; ,rany — to mówiąc,
 złożył ręce i głośno zaczął odmawiać litanie do Matki Boskiej, a kapłan' A.
 » — » 26 ,szanując' A; ,szacując' Pdr.
 » — » 28 ,danego' Pdr.; ,dane' A.
 » 145 » 4 ,w Polsce' Pdr.; ,w Polsce' A.
 » — » 5 ,wywczasowawszy' Pdr.; ,wypawszy' A.
 » 146 » 1 ,jeździec' Pdr.; ,jeźdźca' A.
 » — » 11 ,z Jarluty' Pdr.; ,z Jarluty' A.
 » — » 12 ,godzinę' Pdr.; ,godzinę całą' A.
 » — » 13 ,swoje godności i imiona' A; ,swojej godności imiona' Pdr.
 » — » 18 ,nudź' A; ,ludź' Pdr.
 » 147 » 16 ,Co to się znaczy' A; ,Co się to znaczy' Pdr.
 » — » 20 ,Powroza, powroza' Pdr.; ,Powroza nam trzeba' A.
 » — » 26 ,i' A; w Pdr. brak.
 » — » 30 ,innego' Pdr.; ,inszego' A.
 » 148 » 1 ,i zimą' A; ,zimą' Pdr.
 » — » 7 ,z nimi' Pdr.; w A brak.
 » — » 16 ,złota' A; ,słaba' Pdr.
 » — » 23 ,Enguerranda de Montemor' A; ,Engerranda de Mortemar' Pdr.
 » 149 » 5 ,że trochę dalej... kazał' Pdr.; ,że (go) nie trochę dalej kazał go książę wystawić' A.
 » — » 15 ,stroju' Pdr.; ,ubioru' A.
 » — » 21 ,i najpiękniejszych' A; ,najpiękniejszych' Pdr.
 » — » 24 ,Ale' Przysłał' A.
 » 150 » 15 ,go król' Pdr.; ,król' A.
 » 151 » 9 ,władcy' Pdr.; ,władcę' A.
 » — » 14 ,wypuszczone, z której' Pdr.; ,wypuszczeni, której' A.
 » 152 » 8 ,dobro'wierni' A.
 » — » — ,rzekł Skarbimir' Pdr.; w A brak.

- str. 152 w. 9 ,jeśliście... powinny' włożono w Pdr. niewłaściwie w usta Skarbimira.
 » — » 17 ,nie orężem, to językiem'; ,nie językiem, to orężem' A i Pdr.
 » 153 » 1 ,wyrodnym' Pdr.; ,bez wnętrzości' A.
 » — » 19 ,piję' A; ,pijem' Pdr.
 » 154 » 3 ,książę' synu' A.
 » — » — ,najlitościwszych' Pdr.; w A brak.
 » — » 9 ,szczęściu' A; ,szczęść' Pdr.
 » — » 11 ,połączymy' A; ,połączamy' Pdr.
 » — » 17 ,spotkać' Pdr.; ,spotkać się' A.
 » — » 24 ,przycisnę' A; ,przypuszczę' Pdr.
 » 155 » 1 ,To... wierzyć' Pdr.; ,Nie może być, nie mogę uwierzyć' A.
 » — » — ,Po co' Pdr.; w A brak.
 » — » 13 ,Zapewnie' A; ,Zapewne' Pdr.
 » — » 17 ,go' A; w Pdr. brak.
 » 157 » 13 ,nie' Pdr.; w A brak.
 » — Motto ,mnie' A; ,mie' Pdr.
 » 158 w. 11 ,się' Pdr.; w A brak.
 » — » 26 ,ciosowego' Pdr.; ,stosowego' A.
 » 159 » 10 ,przygotowany' A; ,przygotowanym' Pdr.
 » — » 12 ,go ostrzegł' A; ,ostrzegł go' Pdr.
 » — » 16 ,zasłonami' Pdr.; ,zasłony' A.
 » 160 » 2 ,cię' A; ,ją' Pdr.
 » — » 3 ,zapewnie' A; ,zapewne' Pdr.
 » — » 12 ,zmiotłoby go' Pdr.; ,zmiotło goby' A.
 » — » 20 ,śmiertelny... wstrzymywał' Pdr.; ,śmiertelna... wstrzymywała' A.
 » — » 25 ,postanowił' Pdr.; ,wziął na siebie' A.
 » — » 27 ,masz nam' A; ,nam masz' Pdr.
 » 161 » 2 ,upadając' Pdr.; ,opadając' A.
 » — » 10 ,Ale' Pdr.; ,Ależ' A.
 » — » 14 ,zemdleje' Pdr.; ,zemgleje' A.
 » — » 24 ,mistrzowie i mędrce' A; ,mędrcom' Pdr.
 » 162 » 6 ,A' Pdr.; w A brak.
 » — » 14 ,i padłem' A; ,upadłem' Pdr.

- str. 162 w. 16 ,się' Pdr.; w A brak.
 » — » 19 ,Tylko... opowiedz' A; w Pdr. brak.
 » — » 24 ,pierwszy... niepotrzebne' A; ,pierwszy ten
 wyraz niepotrzebny' Pdr.
 » 163 » 15 ,zdrzgotać' A; ,schwytać' Pdr.
 » — » 21 ,zagoi' A; ,zgoi' Pdr.
 » 164 » 18 ,przebywasz' A; ,przebywa' Pdr.
 » — » 19 ,służalcze' A; ,zuchwalcze' Pdr.
 » — » 22 ,oniemieją' Pdr.; ,oniemia' A.
 » — » 29 ,mojemu ojcu' Pdr.; ,Władysławowi, moje-
 mu ojcu' A.
 » 165 » 16 ,ustępującego' Pdr.; ,odstępującego' A.
 » — » 30 ,mocny' A; ,nowy' Pdr.
 » 166 » 15 ,odprawilem' Pdr.; ,odprawiałem' A.
 » — » 20 ,uczczenia' A; ,rozeznania' Pdr.
 » 167 » 10 ,a' Pdr.; w A brak.
 » — » 25 ,Skarbimir — przysięgam' Pdr.; ,Skarbi-
 mir — dzięki świętemu Stanisławowi i naj-
 świętszej Matce Boskiej' A.
 » 168 » 5 ,miodowych' A; ,miotanych' Pdr.
 » — » 28 ,pod znaki jego nieprzyjaciół' Pdr.; ,pod
 jego nieprzyjaciół znaki' A.
 » 169 » 6 ,tajona' A; ,zatajona' Pdr.
 » — » 10 ,szyderczym' A; ,szyderskim' Pdr.
 » — » 11 ,w (swojej) mojej' A.
 » — » 19 ,zupełnie' A; ,zupełnej' Pdr.
 » 170 » 2 ,daremnymi' A; ,nadaremnymi' Pdr.
 » — » — ,jest' Pdr.; w A brak.
 » — » 4 ,pokrywać' Pdr.; ,pokryć' A.
 » — » 5 ,nie nie zdziałasz' A; ,nie zdołasz' Pdr.
 » — » 7 ,wzrósłszy' A; w Pdr. brak.
 » — » 10 ,obietuję' Pdr.; ,obietuje' A.
 » — » 13 ,wypełniaj' Pdr.; ,wypełń' A.
 » 171 » 8 ,sprzeciwić' A; ,sprzeciwiać' Pdr.
 » — » 13 ,zagubą' A; ,zgubą' Pdr.
 » — » 15 ,Budowę' Pdr.; ,Budowa' A.
 » — » 25 ,namiotów' A; ,namiotu' Pdr.

- str. 172 w. 2 ,To' Pdr.; ,I to' A.
 » — Motto ,zbójca' Pdr.; ,zabójca' A.
 » — » ,mi' Pdr.; ,mnie' A.
 » — w. 7 ,(dosyć) często' A.
 » — » 10 ,w wieży' A; ,u wieży' Pdr.
 » — » 13 ,migające' A; ,migające się' Pdr.
 » — » 17 ,ukazywała się' A; ,okazywała się' Pdr.
 » — » 18 ,przystapiemy' A; ,przystępujemy' Pdr.
 » 173 » 7 ,rzucane' A; ,rzucone' Pdr.
 » — » 8 ,ściany' A; ,ścianę' Pdr.
 » — » 11 ,a' A; w Pdr. brak.
 » — » 12 ,mniejszego' A; ,ciemniejszego' Pdr.
 » — » 16 ,odznaczając' Pdr.; ,rozdzielając' A.
 » — » 21 ,się' A; ,ją' Pdr.
 » — » 25 ,zaświsnął' A; ,zaświsnął' Pdr.
 » — » 26 ,w srebrną świstalkę' A; ,srebrną świstał-
 ką' Pdr.
 » 174 » 11 ,Ulrychu' A; ,Ulrych' Pdr.
 » — » 25 ,dziecię' Pdr.; ,dziecie' A.
 » 175 » 11 ,współtowarzyszów' Pdr.; ,spółtowarzy-
 szów' A.
 » — » 25 ,Na szatana, cię nie rozumiem' Pdr.; ,Jak
 szatana i jego dwór kocham, tak cię nie
 rozumiem' A.
 » — » 28 ,strony. Te śnieżne' Pdr.; ,strony, nasyce
 się jej wdziękami, te śnieżne' A.
 » — » 29 ,tylko zwracać się będą' Pdr.; ,tylko zwraca-
 ąc się tylko się będą' A.
 » 176 » 2 ,innemu' A; ,komu innemu' Pdr.
 » — » 3 ,pożyczywszy' Pdr.; ,pożyczysz' A.
 » — » 4 ,wykonać... w stanie' Pdr.; w A brak.
 » — » 5 ,przejdę' Pdr.; ,przeskoczę' A.
 » — » 6 ,moja wymowa' Pdr.; ,mój pałasz' A.
 » — » 11 ,czyż' A; ,czyś' Pdr.
 » — » — ,zostawił' Pdr.; ,zostawiał' A.
 » — » 20 ,z ochotą' Pdr.; w A brak.
 » — » — ,zapewni' Pdr.; ,zapewnia' A.

- str. 176 w. 28 „(Zbigniew) Mestwin’ A.
 » 177 » 1 „tę’ Pdr.; „tą’ A.
 » — » 2 „Na szatana i piekło’ Pdr.; „Na Boga i szatana, na niebo i piekło’ A.
 » — » 3 „ona moją żoną’ Pdr.; „to moja żona’ A.
 » — » 9 „rzucić się’ A; „rzucić się’ Pdr.
 » 178 » 7 „przechodami’ Pdr.; „manowcami’ A.
 » — » 17 „Książę miłym snem itd.’ mówi Mestwin w A; włożone mylnie w usta Hanny Pdr.
 » — » 18 „wdzięków’ Pdr.; „wzdzęków’ A.
 » — » 28 „znowu’ Pdr.; „znów’ A.
 » 179 » 7 „czaty w zamku’ Pdr.; „w zamku czaty’ A.
 » — » 10 „dobitniejszym’ A; „dotkliwym’ Pdr.
 » — » 13 „krew swoją’ A; „swoją krew’ Pdr.
 » — » 25 „a Katarzyna’ A; „Katarzyna’ Pdr.
 » 180 » 11 „na ewangelią’ Pdr.; „na ewanielią’ A.
 » — » 14 „przysięgała’ A; „przysięgła’ Pdr.
 » — » 15 „przez to’ Pdr.; „tem’ A.
 » — » 19 „był to raczej szal... połączony’ A; „była to raczej cechą (s)... połączonej’ Pdr.
 » — » 26 „grozą’ A; „grozi’ Pdr.
 » — » 29 „(wyrazy) rozmowę’ A.
 » 181 » 3 „znaki’ Pdr.; „oznaki’ A.
 » — » 10 „przypadło’ A; „przypadało’ Pdr.
 » — » 12 „pojrzał’ A; „patrzył’ Pdr.
 » — » 17 „niczem są’ Pdr.; „niczem nie są’ A.
 » — » 20 „moją? — Zarumieniona’ Pdr.; „moją, muszę ovladnąć tobą — poruszę wszystkie światy siły, bylebym przez jedną chwilę ciebie mógł przyciskać do łona. — Zarumieniona’ A.
 » — » 24 „Mowa ta zuchwała nie powinna’ Pdr.; „Podobne żarty nie powinny’ A.
 » — » 25 „i’ A; w Pdr. brak.
 » — » — „dla niej’ Pdr.; „do nich’ A.
 » — » 29 „Zuchwałą mową’ Pdr.; „Ty żartami to’ A.
 » — » 30 „najżywszy... pałam’ Pdr.; „żartami nazywasz namiętność, niczem nie wstrzymaną —

- żartami nazywasz uniesienie, niezwykle dotąd we mnie’ A.
 str. 182 w. 15 „w objęcia’ Pdr.; „w ręce’ A.
 » — » 18 „przed Bogiem’ Pdr.; „przed dumnym Bogiem’ A.
 » — » 21 „Hanno’ Pdr.; „Hanno, Hanno’ A.
 » — » 24 „groźby’ Pdr.; „żarty’ A.
 » 183 » 1 „swojego’ A; „twojego’ Pdr.
 » — » 4 „śmiały’ Pdr.; „śmiały’ A.
 » — » 5 „Odszedłeś; „Odeszłeś’ A i Pdr.
 » — » 13 „(tak prędko) kiedy’ A.
 » — » 15 „Czy’ A; „Czyż’ Pdr.
 » — » 16 „chciałaby’ Pdr.; „chciała’ A.
 » — » 19 „(swoją) własną’ A.
 » — » 28 „dotkną’ A; „tchną’ Pdr.
 » 184 » 3 „Cóż to jest... widmo’ Pdr.; „Cóż to jest wiara, cóż to jest cnota... są to mary i widma’ A.
 » — » 6 „mędrców’ Pdr.; „księży i mędrców’ A.
 » — » 28 „krokiem’ Pdr.; „kroku’ A.
 » — » 30 „ani... ani’ Pdr.; „i... i’ A.
 » 185 » 3 „przyjdzie’ Pdr.; „i przyjdzie’ A.
 » — » 6 „(spłyną) na ci(ebie)ę spływać’ A.
 » — » 7 „godziny życia twojego’ Pdr.; „życie twoje’ A.
 » — » 17 „(Odrzucona przez) Opuszczona’ A.
 » — » 28 „stać się przeszkodą’ Pdr.; „stanąć’ A.
 » 186 » 4 „księżna uroczyste’ Pdr.; „uroczyste księżna’ A.
 » — » 17 „zupełne... zwycięstwo’ Pdr.; „zupełnego... zwycięstwa’ A.
 » — » 27 „wyjawienia’ Pdr.; „objawienia’ A.
 » 193 » 29 „swoim zwyczajem’; „twoim zwyczajem’ Pdr.
 » 194 » 9 „o nader ważnej rzeczy’; „nader ważnej rzeczy’ Pdr.
 » 195 » 17 „aż nareszcie’; „a nareszcie’ Pdr.
 » 196 » 9 „rozporządzenia’; „rozporządzania’ Pdr.

- str. 204 w. 3 ,Żulislawę'; ,Zalislawę' Pdr.
 » 205 » 10 ,patrzających'; ,patrzającej' Pdr.
 » 208 » 17 ,z Jordanem'; ,za Jordanem' Pdr.
 » 215 » 6 ,pośród mnóstwa'; ,pośród mnóstwami' Pdr.
 » 218 » 24 ,zasmuca, jest'; ,zasmuca, i jest' Pdr.
 » 252 » 7 ,dla oszczędzenia'; ,dla ocalenia' Pdr.
 » 303 » 23 ,fal'; ,fali' Pdr.
 » 319 » 27 ,nieodstępny'; ,niedostępny' Pdr.
 » 321 » 21 ,je'; ,ich' Pdr.
 » 325 » 7 ,żywą'; ,życia' Pdr.
 » 328 » 13 ,wnet'; ,nawet' Pdr.
 » 339 » 6 ,blizkiej'; ,blizki' Pdr.
 » 350 » 17 ,biskup'; ,arcybiskup' Pdr.
 » 357 » 5 ,biskup'; ,arcybiskup' Pdr.
 » 366 » 25 ,stromie'; ,stronne' Pdr.
 » 368 » 4 ,Czarnowoda'; ,Czarnawoda' Pdr.
 » 378 » 21 ,zbliżyli'; ,zbliżyły' Pdr.
 » 379 » 13 ,Mestwin'; ,chętnie' Pdr.
 » 386 » 11 ,T.R.T.. DIE'; ,TRIDIE' Pdr., co zapewne będzie pomyłką drukarską, gdyż wyrazu ,tridie' w łacinie niema.

str. 387.

AGAJ-HAN.

Nr. 10. Rps (A), 23·8×19, 36 luźnych arkusików ze znakiem wodnym »J. Whatman 1830«.

Zawiera 11 rozdziałów (bez wstępu), przepisanych na czysto, o ile z pisma sądzić można, w drugiej połowie r. 1831, z nieznacznymi tu i ówdzie poprawkami (str. 393—531 niniejszego wydania).

Nr. 11. Rps (A¹) 25·3×20·7, 5 luźnych arkusików ze znakiem wodnym »J. Whatman«, oznaczonych liczbami 22—26, ostatnia strona niezapisana; pismo, jak się zdaje, z drugiej połowy 1831 r. Pod utworem dopisek odmiennym od tekstu (później-

szem) pismem Z. Krasińskiego: »Skończone 7-go stycznia 1832 r. w Genewie«.

Zawiera część rozdz. XI i następne rozdziały, tj. od str. 528 w. 3 do końca niniejszego wydania. Jest to widocznie brulion, w części tylko dochowany; arkusiki 1—21 zaginęły, gdyż na ich miejscu istniał przepis na czysto, zachodzący arkuszem 36 do $\frac{3}{4}$ treści arkusza 22 brulionu, tj. do końca rozdziału XI.

I tekst pierwotny i poprawki pochodzą z tego samego czasu tj. z drugiej połowy 1831 r.; tylko 8 poprawek pismem większym i atramentem nieco bledszym zdradzają późniejsze pochodzenie. W 5 miejscach znajdujemy notatki autora, stresszające pewne ustępy lub zdania, które w zmienionej postaci weszły do tekstu; mamy wrażenie, że były pisane wcześniej niż tekst właściwy, za czym też przemawia nieco odmiennie pismo. Oto owe dopiski: ark. 22, str. 1 u góry (str. 528 w. 4): »Agaj-Han z tłuma (*s*) się odłącza«; ark. 23, str. 1 u góry (str. 533 w. 9): około 7 wyrazów wskutek przemazania nieczytelnych; ark. 24, str. 1 u góry (str. 538 w. 17): »że piękną kochał, i wycieńzoną kocha«; ark. 24, str. 4 u góry (str. 542 w. 10): »O zemście południowych ludzi — ona coś odpowiada — on — (rajem)... (wyraz nieczytelny) raj zemsty — Chce ją zabijać sztyletem — nie może — prowadzi na lód — Nikt cię inszy nie zabija, tylko ja«; tamże (str. 543 w. 13) na lewym marginesie w połowie stronicy: »Tu czy przyklął, czy co —« pod tem: »Huryssso moja, o Maryno, zmiłuj się nademną!«

W rpsie uderza na pierwszy rzut oka mnóstwo poprawek tej samej ręki. Na 680 (około) wierszy naliczyliśmy zaledwie 166, tj. niecałe 25% takich, w których niema poprawek, a wypadków, w których całe wiersze są przemazane w liczbie 2—7, znalazło się 8. Nader drobne pismo, grube mazanie, niemal zalewanie atramentem, wreszcie okoliczność, że autor pisał zawsze po obu stronach, utrudniają wielce odczytywanie poprawek tak, że niekiedy wszelkie usiłowania w tej mierze spęły na niczem. Z tych też powodów wypadło ograniczyć się w odmiankach do wiernego odtworzenia jedynie pierw-

sze, tj. 22 arkusika (str. 528 w. 3 — str. 533 w. 8 niniejszego wydania), tem bardziej, że już ten jeden arkusik daje nam dokładne wyobrażenie o tem, w jaki sposób poeta tworzył »Agaj-Hana« i następne pod tym względem już nic nowego nie dodają; z ark. 23–26 podano tylko różnice, jakie zachodzą pomiędzy poprawionym tekstem brulionu a pierwodrukiem.

Porównanie pierwodruku z brulionem nasunęło pewne spostrzeżenia i wnioski. Poeta nasz, przepisując z brulionu na czysto, miał zwyczaj jeszcze przy przepisywaniu robić pewne, acz nieliczne poprawki. W tym wypadku jednak Pdr. trzyma się ściśle poprawionego w brulionie tekstu i dalszych poprawek niema nawet śladu; nieliczne i drobne różnice, jakie zachodzą między pierwodrukiem a brulionem, dadzą się, z wyjątkiem trzech, wyjaśnić pomyłką autora lub drukarza. Natomiast trzy znaczniejsze różnice są nader charakterystyczne: str. 536 w. 5 ,hołdował' A¹; ,dał dowód' Pdr.; ta lekcya pierwodruku jest poprostu nonsensem i powstała z mylnego odczytania ,dołdował' (pomyłka zam.: ,hołdował'). Str. 536 w. 23 ,jestem... Tatarze' A¹ przyjęte do tekstu jest jedynie właściwą lekcją, podczas gdy tekst pierwodruku: »Owem pierwszym (imieniem) chrześcijanką jestem, owem drugim Polką — uchyl czoła, pohańcze, pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, ucisz się, Tatarze' wykazuje dwa błędy: ,uchyl czoła, pohańcze' powinno logicznie być, jak w A¹, po zwrocie ,chrześcijanką jestem', gdyż jest tak samo wnioskiem z poprzedniego zdania, jak ,pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, uniż się Tatarze' jest logicznym wynikiem zwrotu: ,Polką (jestem)' Widoczny ten i niewątpliwy błąd pierwodruku tłumaczy się całkiem jasno stanem rękopisu (A¹). Zwrot ,uchyl czoła, pohańcze' stanowi tam aż czwartą, najniższą warstwę poprawek, a ponieważ zajmuje koniec wiersza, a następny wiersz zaczyna się od zwrotu: ,owem drugim Polką', poczem cały niemal wiersz jest przemazany, nic dziwnego przeto, że ktoś, odczytując rps, zniżył ów pod linią napisany zwrot: ,uchyl czoła, pohańcze' do następnego wiersza i połączył w całość ze zwrotem: ,owem drugim Polką'. Błąd pierwodruku ,ucisz

się' powstał po prostu przez złe odczytanie ,uniż się' A¹. Wreszcie str. 545 w. 15: ,a na kłindze rozbite promienie wiązkami światła błędzą po jej licach i szyi, jak błyskawica, którą lustro śmignie'. Taką lekcję daje pierwodruk, niewątpliwie mylną, gdyż liczba mnoga ,promienie' wymaga także ,błyskawice' i tak też jest rzeczywiście w A¹. Powodem bałamuctwa był tu wyraz ,miecie' A¹, który jest tak nieczytelny, (na domiar *e* w zgłosce *mie* zalane), że odczytujący, nie mogąc sobie widocznie z nim dać rady, zastąpił go wyrazem ,śmignie', a w logicznym następstwie z ,błyskawice' musiał zrobić ,błyskawica', uważając słusznie, że lustro jednym razem kilku błyskawic ,śmignąć' nie może.

W ten sposób tłumaczmy różnice pomiędzy Pdr. a A¹, a raczej pomyłki, jakie się zakradły do pierwodruku. Czegoż to jednak dowodzi? — Oto, że naprzód tych pomyłek nie mógł popełnić autor, a następnie, że autor — z jakich powodów, nie wiemy, może z powodu bólu oczu — »Agaj-Hana« począwszy od rozdziału XII, sam nie przepisał na czysto, lecz wyreczył się w tem ręką cudzą, która na ogół ze swego zadania wywiązała się wcale dobrze, choć nie obeszło się także bez kilku pomyłek i jednej zmiany na gorsze; na szczęście posiadamy brulion, który nam daje pierwotny tekst utworu.

Pdr. »Agay-Han. Powieść historyczna, oryginalnie napisana przez A. K.« W Wrocławiu, u Wilhelma Bogumiła Korna 1834, 16, str. 212.

W²: »Agay-Han. Powieść historyczna. Edycja druga.« W Wrocławiu, u Wilhelma Bogumiła Korna 1838, 16, str. VIII i 9—220.

str. III: »Poświęcone Maryi«.

str. 9 motto pierwodruku zastąpiono innem: »Amor chea nullo amato amar perdona« Dante, Inferno V 103. (Miłość, co kochaną istotę do kochania zmusza), zastosowaniem oczywiście do dedykacyi »Poświęcone Maryi« (Bobrowej), podczas gdy motto pierwodruku »I loved her as a child« itd. wskazuje dość wyraźnie na Amelię Żaluską, jak wogóle cały utwór jest poetycznym obrazem nieszczęśliwej miłości Agaj-Hana (Krasińskiego) do Maryny (Żaluskiej). Ponieważ wedle planu wydawnictwa rok

powstania utworu (1832) ma być uwidoczniiony pod samymże utworem, przeto do przedruku, jak łatwo zrozumieć, nadawało się jedynie wydanie pierwsze.

Odmianki tekstu.

- str. 393 w. 1 „(po) z daleka” A.
 » 395 » 16 „trzeba” Pdr.; „trza” A.
 » — » 25 „przy (ich) nich” A.
 » 396 » 26 „wdzięk” Pdr.; „wzdięk” A.
 » — » 28 „wdzięku” Pdr.; „wzdięku” A.
 » — » 29 „mieszały się” Pdr.; „miesza(ły)li” A.
 » — » — „rozdwajały się” Pdr.; „rozdwajali się” A.
 » 397 » 5 „okwieciana” A; „okwieciana” Pdr.
 » — » 16 „opity” A; „opily” Pdr.
 » 400 » 9 „(wdowa po Dymitrze) owdowiała pani” A.
 » — » 10 „pokryci(em)ami” A.
 » — » 18 „rozhużdany” A; „rozhużdany” Pdr.
 » — » 20 „Farys” A; „Parys” Pdr.
 » 401 » 10 „stada (konie) koni” A.
 » — » 11 „Simumu” Pdr.; „Simoonu” A.
 » — » 15 „(strusie) wachlarze” A.
 » 402 » 1 „łuk (wielorybi) jednorożcowy” A.
 » — » 23 „strumienie” Pdr.; „strumienia” A.
 » 403 » 9 „Hindu” Pdr.; „Hindy” A.
 » — » 12 „ze mną” Pdr.; „za mną” A.
 » — » 14 „(wo) aniołem woni” A.
 » — » 15 „waszym dniem” A; „dniem” Pdr.
 » — » 22 „Urassowa” Pdr.; „Urussowa” A.
 » 404 » 16 „rogi łuku” Pdr.; „rogi od łuku” A.
 » 405 » 2 „(zawojach) turbanach” A.
 » — » 14 „to” A; „te” Pdr.
 » 406 » 13 „ciche” Pdr.; „cichie” A.
 » — » 27 „dżarmidowych”; „dżermidowych” A i Pdr.
 » 407 » 2 „w (małej) słabej” A.
 » — » 8 „skupionych razem” Pdr.; „skupionych i rzucanych razem” A.
 » — » — „a dym” A; „dym” Pdr.

- str. 407 w. 11 „gdzie (to w tę to w ową stronę) jak sta-
do” A.
 » — » 27 „(na kadłub Dymitra) w stronę” A.
 » 409 » 18 „my (posieczem) toporem” A.
 » 410 » 10 „(znać po nich jednak) jednak one potra-
fią” A.
 » — » 14 „w (połyskach) świetle” A.
 » — » 29 „kiedy (spotka) zejdzie się” A.
 » 411 » 1 „pętlice” A; „petkie” Pdr.
 » — » 26 „w (długiej) galerii” A.
 » 412 » 6 „które” Pdr.; w A brak.
 » — » 29 „na tych (hożych) licach” A.
 » 413 » 9 „(śnież) (ręk) dłonią” A.
 » — » 10 „(jej) nad czołem” A.
 » — » 23 „spi” Pdr.; „spie” A.
 » — » 30 „(mi) jeden” A.
 » 414 » 25 „Zarucki” Pdr.; „Żarudzki” A (i tak zawsze).
 » 415 » 6 „on (nie żądał inszej) przestał” A.
 » 416 » 12 „(otwar) roztwartym” A.
 » — » 21 „(kręca) wiją” A.
 » 417 » 16 „(belka) deszczka” A.
 » 418 » 7 „krat” Pdr.; „kratę” A.
 » 419 » 17 „wdzięku” Pdr.; „wzdięku” A.
 » 420 » 17 „(twarzy (niemiej))” A.
 » — » 28 „migają” Pdr.; „śmigają” A.
 » 421 » 7 „Igor” A; „Igar” Pdr. (i tak zawsze).
 » — » 21 „nie (umie) raczy” A.
 » 422 » 2 „(jak kochanka) bliżej” A.
 » — » — „(ale) jedno” A.
 » — » — „(ale) jak” A.
 » 423 » 13 „(carską) mongolską” A.
 » 424 » 4 „czoła” A; „czoło” Pdr.
 » 425 » 14 „w tę” Pdr.; „w tą” A.
 » — » 15 „(zbroi) kolczugi” A.
 » — » 24 „Zarucki” Pdr.; w A brak.
 » 426 » 8 „coraz rzadszym” A; „rzadszym” Pdr.
 » — » 10 „podchlebiał” A; „pochlebiał” Pdr.

- str. 426 w. 21 „(kilcum) kilku' A.
 » 427 » 22 „(wrzes) krzyczą' A.
 » 428 » 13 „(się sypią) sypią się' A.
 » 429 » 21 „(strzelnicą) strzelnicą' A.
 » 430 » 8 „i (kość) dłoń' A.
 » — » 24 „(czy) izali' A.
 » — » 28 „jak piła' Pdr.; „jako (pyła) piła' A.
 » 431 » 3 „(słabe) słabe' A.
 » — » 4 „żywsze, coraz' A; w Pdr. brak.
 » 432 » 4 „Komnacie [z której... nie pomyślawszy]
 o jednym tylko'; „komnacie o jednym tylko'
 A i Pdr. Zwrot, który czytamy w A i Pdr.
 utworzony (błędnie) na podobieństwo: „kom-
 nata o jednym oknie' wydaje się nam na-
 wet u Krasińskiego mało prawdopodobnym
 i dlatego przypuszczamy raczej opuszczenie
 przy przepisywaniu jednego wiersza, który
 staraliśmy się w tekście uzupełnić.
 » — » 11 „(wypukłą piersią) aż znów' A.
 » — » 14 „boleśna' A; „bolesna' Pdr.
 » — » — „ręk(ę)ą ś(c)iągnąć' A; „rękę ściągnąć' Pdr.
 » — » 16 „w pośmiewisku' A; „pośmiewisko' Pdr.
 » — » 28 „domyślać' Pdr.; „domyśleć' A.
 » 435 » 1 „i (zakr) ta zakrywa resztę (loch) lochu' A.
 » — » 21 „pod niemi (a ugiąć się, nigdy się nie
 ugnie)' A.
 » — » 28 „a(le)' A; „ale' Pdr.
 » 436 » 25 „i (rozmiękły) jagody rozmiękły' A.
 » 437 » 2 „do tronu (tem silniej krępuje się teraz do
 jego... 2 wyrazy nieczytelne)' A.
 » — » 14 „(pomalowane) kraśne' A.
 » — » 18 „pętlic; „petlic' A; „petki' Pdr.
 » — » 23 „o sztylcie' A; „sztylcie' Pdr.
 » 438 » 19 „z rąbkim' A; „rąbkim' Pdr.
 » — » 28 „marzyć' Pdr.; „marzeć' A.
 » 439 » 5 „ocz(y)u' A.
 » — » 14 „przemienia' Pdr.; „przemienia, zamienia' A.

- str. 439 w. 18 „jako' A; „jak' Pdr.
 » 440 » 7 „wdzięki' Pdr.; „wzdziki' A.
 » — » 19 „do (tych) miast' A.
 » — » 25 „Simunu' Pdr.; „Simoanu' A.
 » — » 26 „(slupami) piramidami ze (piasku) żwiru' A.
 » 441 » 14 „na (prostego) giermka' A.
 » — » 15 „moje(go)j (języka) mowy' A.
 » — » 16 „huryssu' Pdr.; „hourysso' A.
 » 442 » 30 „Tyś (spała) zapadła' A.
 » 443 » 1 „(mojej zabłysł) zabłysnął' A.
 » — » 8 „w stru(gu)dze czerwon(ym)ej, któr(y)a' A.
 » — » 9 „Musy'; „Mousy' A; w Pdr. brak.
 » 444 » 5 „cię (dźwięki) struny' A.
 » — » 11 „(nad kościami) (z prochów) z popiołu' A.
 » — » 16 „korytarzach'; „korydarzach' A; „kuryta-
 rzach' Pdr.
 » 445 » 4 „(izaliś) (czy) azaż' A.
 » — » 24 „lekkie' Pdr.; „letkie' A.
 » 446 » 1 „(do niej) po dawnemu' A.
 » — » 2 „(zatrutej) zdeptanej' A.
 » — » 8 „(niepojęta) nierozwiązaną' A.
 » — » 18 „pokonała (a piękność, w której się rozmi-
 łował, zatrzymała, by ze wstydu nie odbiegł
 na zawsze) a (teraz czując) kiedy uczuł' A.
 » 447 » 8 „(kiefelski) Kiafelu' A.
 » — » 22 „(choć) a brama' A.
 » 448 » 19 „iż (ona) nie o tej' A.
 » 449 » 6 „(swoich) spojrzeć' A.
 » — » 24 „(wszystkiem) kierował wszystkim' A.
 » — » 29 „(struchlały) truchlejący' A.
 » 450 » 7 „wdzięków' Pdr.; „wzdzików' A.
 » — » — „błąkać się pośród wdzięków twoich' A
 i Pdr.; w W² brak.
 » — » 9 „poczułabyś' Pdr.; „byś poczuła' A.
 » — » 13 „pod tą zasloną... bicie serca twego' A
 i Pdr.; w W² brak.

- str. 450 w. 17 „Rozciąga się... miesza się z moim” A i Pdr.;
w W² brak.
- » — » 21 „włos(ami)” A.
- » — » 23 „nadgroda” A; „nagroda” Pdr.
- » — » 25 „Przeklęty, przeklęty” A; „Przeklęty” Pdr.
- » 451 » 22 „śpi” Pdr.; „spie” A.
- » — » 23 „drzewa” A; „drzewo” Pdr.
- » 452 » 1 „W połow(y)ie” A.
- » — » 4 „przypadł” A; „przepadł” Pdr.
- » — » 24 „(doscoczyli) doskoczą” A.
- » 453 » 4 „(stepową) wiosenną” A.
- » — » 11 „cmokcze” A; „smokcze” Pdr.
- » — » 31 „(wciąż) co chwila” A.
- » 454 » 1 „na któr(ych)e” A.
- » — » 2 „(zakochany) młodzieniec zakochany” A.
- » — » 16 „(co) co raz” A.
- » — » 17 „pędzą... krzyże” A; w Pdr. brak.
- » 456 » 2 „żwirze” A; „murawie” Pdr.
- » — » 19 „(drugich) przeciwnych” A.
- » — » 25 „(jego) (tylko) słyhać” A.
- » — » 26 „(widać) dojrzeć” A.
- » — » — „(doma) bieży” A.
- » 457 » 14 „płomień (wonnego?) płynu lub ogień nocny co wśród nocy krząta(jący) się” A.
- » 458 » 9 „(już) sam” A.
- » — » 12 „na (ziemi) żwirze” A.
- » — » 28 „odpłyn(ęła)wszy” A.
- » 459 » 21 „(sączą się) krople z twarzy i piersi które) hełm” A.
- » 460 » 7 „(już) nie wątpi” A.
- » — » 18 „do (łądu) brzegu” A.
- » — » 23 „(błyszczą) połyskują” A.
- » — » 24 „(boleści) mdłości” A.
- » — » 27 „(złoty) się złoci” A.
- » 461 » 9 „(zrzenice mu) głowa” A.
- » — » 10 „(roz) namokłych” A.
- » — » 11 „bezsilna (spalona)” A.

- str. 462 w. 9 „(u) na zgłiszcz(ów)ach” A.
- » 463 » 21 „(legną) padną” A.
- » — » — „królami (panami)” A.
- » — » 22 „we znaki” A; „w znaki” Pdr.
- » 464 » 20 „na twarzy jego (męskiej)” A.
- » — » 22 „na (rysa) licach” A.
- » 465 » 6 „(nie umie) ramion wyciągnąć nie umie” A.
- » — » 7 „(ostatnim) własnym jeszcze ostatnim” A.
- » — » 14 „a (mieczem) potrącać władać” A.
- » 467 » 9 „spokojn(ej)ie” A.
- » — » 12 „(pancernego) husarza (złoty) półksiężyc złoty” A.
- » 468 » 1 „surow(ym)ymi głos(em)y” A.
- » — » 7 „(do nich) ku nim” A.
- » — » 21 „co (strzela) jaśniej” A.
- » 469 » 21 „(słyszeć się) dadzą się słyszeć” A.
- » 470 » 13 „(opanowa) miotani” A.
- » — » 23 „(styg) krzepnęła” A.
- » 471 » 1 „(porywającego się do broni) wyciągającego szablę w własnej sprawie (wyciągającego szablę)” A.
- » — » 16 „zastanie” A; „zostanie” Pdr.
- » — » 19 „sam(ym)” A.
- » — » 25 „(więcej) głębsze” A.
- » 472 » 26 „(zrówna) podola” A.
- » 473 » 3 „(ogień się) palą” płomień goreją” A.
- » 474 » 3 „(rzadko) niekiedy” A.
- » — » 7 „a(le)” A.
- » 475 » 19 „(ale) Potem” A.
- » 476 » 22 „(Maryny) złocona” A.
- » 477 » 7 „Zaśni (się)” A.
- » — » 17 „Zbliżyli się” A; „I zbliżyli się” Pdr.
- » 478 » 12 „pierwsze(golj (dnia) nocy” A.
- » 479 » 7 „wdziera się” Pdr.; „wzdiera się” A.
- » — » 22 „wracając” A; „wracają” Pdr.
- » 481 » 2 „(pot) znój” A.
- » — » 26 „(pomieszanych razem) to walających się” A.

- str. 482 w. 20 „(leżącą na) przy krześle” A.
 » — » 26 „w(śród) pochurności” A.
 » 483 » 18 „Girajem” A; „Gierajem” Pdr.
 » — » 23 „(niwy) łąki” A.
 » — » 25 „obojga” Pdr.; „obojgu” A.
 » 487 » 5 „(zwiesiwszy) upuści” A.
 » — » 15 „i (z śmiechem) śmiejąc się” A.
 » 488 » 5 „(jedno) tylko” A.
 » — » 18 „i trudny” A; „trudny” Pdr.
 » — » 27 „lubo” A; „luba” Pdr.
 » — » 30 „zawsze naprzód” A; w Pdr. brak.
 » 490 » 4 „(do) ku” A.
 » — » 18 „i zatrzymując” A; „zatrzymując” Pdr.
 » 491 » 26 „To (jak) chmury” A.
 » — » 28 „osobno” A; „osobne” Pdr.
 » 492 » 11 „(uniknąć) odwrócić” A.
 » 494 » 25 „szepce” Pdr.; „szepcze” A.
 » 495 » 10 „konie” Pdr.; „koni” A.
 » 496 » 9 „nory” Pdr.; „nury” A.
 » 497 » 13 „(sily) mocy” A.
 » — » 22 „młodszy” A; „młodzi” Pdr.
 » — » 23 „(Oni) Pójd(ą)ziem” A.
 » 498 » 5 „(rzu) sypnął” A.
 » 500 » 15 „motłochowi (służyłym ludziom)” A.
 » 501 » 19 „rys(y)ami” A.
 » 503 » 4 „Serygiej” A; „Lerygiej” Pdr.
 » — » 15 „nad solnem(i) jezior(am)iem” A.
 » 504 » 11 „(zupełnej) obojętności” A.
 » — » 13 „bawi” A; „bawił” Pdr.
 » — » 18 „(jęk) szczęk” A.
 » 505 » 2 „(rum) koniu” A.
 » — » 26 „na drugich” A; „z za drugich” Pdr.
 » 507 » 1 „(do siebie) ku sobie” A.
 » — » 21 „(skrzepłe) ramiona” A.
 » 508 » 26 „(tyło) wysuń” A.
 » 509 » 20 „ucierają się” A; „ścierają się” Pdr.
 » 511 » 11 „(ręce) rączki” A.

- str. 511 w. 17 „(połyskiem) blaskami” A.
 » 512 » 8 „w zupełne(jm) otępianiu” A.
 » 513 » 27 „śpi” Pdr.; „śpie” A.
 » 515 » 1 „szli” Pdr.; „szedli” A.
 » — » 25 „(długi) prosty” A.
 » 516 » 20 „ku (murowi) ścianie” A.
 » 517 » 4 „(gdyby) jako” A.
 » 518 » 2 „niebios” A; „nieba” Pdr.
 » 519 » 10 „(stojąc na) z brzegu” A.
 » — » 16 „(cierpieć) wytrzymać” A.
 » 522 » 1 „(mogła) mogąc” A.
 » — » 13 „(roz) stopione” A.
 » — » 27 „(karki) głowy z (głów) karków” A.
 » 523 » 13 „pasm(ów)” A.
 » 524 » 19 „wzorem tysiąców” A; w Pdr. brak.
 » 527 » 3 „(lodem) śniegiem” A.
 » — » 19 „nagłą” A; „nagle” Pdr.
 » 528 » 4 „słabość” A; „słabość niewieścia” A¹.
 » — » — „tylko. Podniosła się” A; „tylko — (potem
 znów wróciła (odzyskała) do powagi i sta-
 tku, ramię wsunęła, powstała). Podniosła
 się” A¹.
 » — » 8 „wdzierają się” Pdr.; „wzdzierają się” A i A¹.
 » — » 9 „więcej, odwalają” A; „więcej (inni pasują
 się z urwiskami) odwalają” A¹.
 » — » 12 „Naprawdę” A; „Naprawdę, naprawdę” A¹.
 » — » 15 „(pienią się od złości) klną proroka” A¹.
 » — » 16 „odpiera... obchodzą” A; „odpiera ich
 gdyby fale potoku (przystępu nie daje nie-
 wzruszona natrząsa się z nich w milczeniu)
 obchodzą” A¹.
 » — » 22 „i (pod nim) konają” A¹.
 » — » 24 „(znojach) trudach” A¹.
 » — » — „(jego szczytu) cyplu” A¹.
 » — » — „(siedzi) ich czeka” A¹.
 » — » 25 „(godzinę więcej życiem) przedłużonem (ży-
 ciem)” A¹.

- str. 528 w. 27 „Wrócili się” A; „Wtem patrz, co się dzieje, wrócili się” A¹.
- » — » — „skały... słyhać” A; „skały (na ziemi zasiały, stanęły hufce w porządku i nie ruszają) i stoją niewzruszeni, może odstąpili zamiaru. Słyhać” A¹.
- » — » 30 „(gniew) wyraz gniewu i (wz) pogardy” A¹.
- » 529 » 2 „(oddzielają się) występują” A¹.
- » — » 3 „(gdymby) jak” A¹.
- » — » — „chmura od gęstwin” A; „chmurka, (której chce się własnych)(ego) spróbować lotu gęstwin” A¹.
- » — » 4 „zbitych... po niebie” A; „zbitych (obłoków) drzemających obłoków (której) zachciało się jej własnych lotów spróbować po niebie” A¹.
- » — » 7 „śniegu (jako (który) wielu walczyło nadaremno) i utkn(ą)ło na lodzie jako (który) wielu (spadł w otchłań i nie podniósł więcej) zanurzyło się w głąb jako (niektórym). Co chwil kilka” A¹.
- » — » 8 „ów (nie może się wydobyć, tamten zleciał w przepaść, innemu członki rozerwały) zniknął” A¹.
- » — » 9 „jeszcze widać” A; „jeszcze i ramiona widać” A¹.
- » — » 11 „ale” A; w A¹ brak.
- » — » 16 „ślizga” A; „ślizga się” A¹.
- » — » 17 „włosy; rzadko” A; „włosy — wysmukły, giętki (odważny) rzadko” A¹.
- » — » 18 „(wzrok) oczy” A¹.
- » — » — „(utopiony trzyma) wlepia” A¹.
- » — » 20 „(przerwa pod nogami) doły” A¹.
- » — » — „od nich” A; „by uniknąć (jej) ich” A¹.
- » — » 21 „w pędzie... szablę” A; „w pędzie — w każdym jego poruszeniu zręczność i szaleństwo) ona odwaga (...) w (dłoni) ręki (sza-

- blę) (krzywy bułat) trzyma zakrzywioną szablę” A¹.
- str. 529 » 22 „Towarzysze” A; „Towarzysze jego” A¹.
- » — » — „i bułatach” A; „i mieczach” A¹.
- » — » 25 „(Helm) (Kołpak) Zawój” A¹.
- » — » 27 „każe śpieszyć za sobą” A; „każe im (prędzej iść) śpieszyć za sobą” A¹.
- » — » — „(urąga się) szydzi z ich (słab) ostrożności” A¹.
- » — » 30 „(hetman) Zarucki” A¹.
- » 530 » 1 „z (ziemi) siedzenia” A¹.
- » — » 4 „Przyklął” A; „Przyklął na jednym kolanie” A¹.
- » — » — „(utkwil) złożył” A¹.
- » — » 6 „(ten, który umarł) Zbawiciel” A¹.
- » — » 7 „(dla) za nasze” A¹.
- » — » — „winy” A; „grzechy” A¹.
- » — » 11 „była (jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie ale) w pokorze” A¹.
- » — » 18 „trupę ześliznęły się” A; „trupę, krwią bryzgającą, (obaczył, zsunęły) ześliznęły się” A¹.
- » — » 19 „(drzewa) pnie” A¹.
- » — » — „(rzucone) spuszczone” A¹.
- » — » 20 „(w twarz nadchodzącym) w przepaść” A¹.
- » — » 23 „(w tej chwili) Marynę” A¹.
- » — » 24 „(zapału) płomienia” A¹.
- » — » 25 „(bohaterów) wojowników (wznecają) zapalają” A¹.
- » — » 27 „ale (godność zwyciężonego wobec żyjących ale wyższość) wyższość” A¹.
- » — » 29 „duszy (uchodząc) u (rozbratu) progu” A¹.
- » — » 30 „wyznaniu (do tego, który ją przysłał) by stanąć” A¹.
- » — » 31 „zesłał” A; „przysłał” A¹.
- » 531 » 2 „(pociski) groty” A¹.
- » — » 12 „(na swoich) swoim” A¹.

- str. 531 w. 13 ,miłosierdzie (ale niezwykłego litość)
ani uwielbienie' A¹.
- » — » 14 ,(na) (w) z jego lic(ach)ów — (uśmiechem
szyderstwa zatrute ma usta) zasępione' A¹.
- » — » 15 ,goreje w (czarnej) zrzenicy' A; ,goreje
w (czarnych) czarnej (mu w oczach) zrze-
nicy' A¹.
- » — » 16 ,wynosi' A; ,podnosi' A¹.
- » — » 17 ,uczuje (zimne gdyby kawał lodu w dłoni
lewej drugiej dłoni) (marznące) drętwie-
jące' A¹.
- » — » 22 ,mąż On spuścił' A; ,mąż. (Zaruckiemu)
Rzucili się wszyscy i przytrzymali odwró-
conego Igora (Rzucili się na Igora, już mu
ręce przytrzymali z tyłu) (Hetman) (Zaru-
cki) On spuścił' A¹.
- » — » 26 ,niewoli. (Ale wnet potem z dumą pojrzał
na Tatarów, lecz nie mówił, odgrażał się
już więcej — w jego wzroku. —
W łańcuchy jego, a ją w (powrozy) ta-
śmy z jedwabiu (krzyknął) zawoła Nura-
dyn, a zważcie na moje (rozkazy) słowa —
Niechaj żelazo kajdan wgrzyzie mu się w ra-
miona, by mi zaczął jęczyć, nim wrócimy
do obozu. — A ją (nieście) weźcie na bar-
k(ach)i — jeśli się jej stopa choć raz do-
tknie śniegu, w przeprawie (tych co ją nie-
śli, nie spodziewać się gwiazdy, jeśli choć
raz westchnie, lub pożali się, ci, którzy
ją nieśli, jutrzejszego nie obaczą słońca.
I zstępować zaczęli) A¹.
- » — » 27 Pierwszy wiersz ustępu XII nieczytelny.
Drugi wiersz: ,(Nad Jaikiem obozem poło-
żył się Nuradyn)' A¹.
- » — » — ,(od lodu) od wąwozów' A¹.
- » 532 » 1 ,(topi się) topnieje' A¹.
- » — » 2 ,a nadzieja' A¹; ,nadzieja' Pdr.

- str. 532 w. 3 ,z Astrachanu i (w żywność i drzewo...) o-
juczone' A¹.
- » — » — ,doda(je)ła' A¹.
- » — » 7 ,(białe) roz(winą)biją' A¹.
- » — » 12 ,(Nuradyn) Na (miejsu) piaszczystem wzgó-
rzu' A¹.
- » — » — ,zmiotł śniegi (szeroki namiot kazał wysta-
wić sobie) stoi' A¹.
- » — » 15 ,(na szczycie) nad nią' A¹.
- » — » 17 ,(kręcące się bezustanku) snujące się' A¹.
- » — » 20 ,(Nad rank) Dotąd' A¹.
- » — » 23 ,(I męża spętan) męża' A¹.
- » — » 24 ,na (szczyt) (wierzchołku) cyplu' A¹.
- » — » 25 ,(przybył) stanął na miejscu (namiot roz-
bić) krótkim słowem (przerywanym gło-
sem) oznajmił' A¹.
- » — » 26 ,sam (w namiocie się zamknął) wszedł' A¹.
- » — » 27 ,(ludziom swoim) więcej' A¹.
- » — » 29 ,(przebudził jęk nagle jakiś) wśród rozrzu-
conych (czar i mis) ostatków' A¹.
- » — » 30 ,nagle (jęk) (hałas) (szum) hałas jakowys
(który zdał się pochodzić od namiotu) cie-
kawie' A¹.
- » 533 » 1 ,głos (dobrze znany) Nuradyna' A¹.
- » — » 3 ,(wyrzekli) zawołali' A¹.
- » — » 4 ,Allah (bo ten jęk nad ich głowami się roz-
legł, znać z silnych piersi wydobyty, osta-
tnim był ich) a łoskot' A¹.
- » — » 5 ,usta — (czekali)' A¹.
- » — » 8 ,(oparłszy) oprze' A¹.
- » — » 10 ,do (siebie) piersi' A¹.
- » 535 » 3 ,u siebie' A¹; ,w siebie' Pdr.
- » — » 4 ,ten dreszcz' Pdr.; ,tego dreszczu' A¹.
- » — » 20 ,z obłąkanym wzrokiem' A¹; ,obłąkanym
wzrokiem' Pdr.



- str. 536 w. 5 ,holdował¹ A¹; ,dał dowód' Pdr. W².
 » 537 » 6 ,czyinił' Pdr.; ,czyinił podejmował' A¹.
 » — » 23 ,jestem... Tatarze' A¹; ,jestem, owem dru-
 giem Polką — uchyl czoła pohańcze, pa-
 miętny klęsk i wstydu swojej braci, ucisz
 się, Tatarze' Pdr.
 » 538 » 18 ,nie słuchać' Pdr.; ,nie słuchać jego' A¹.
 » — » 29 ,kilku' A¹; ,kilka' Pdr.
 » 539 » 7 ,z otchłani' Pdr.; ,otchłani' A¹.
 » 540 » 20 ,okręcił się giętko' Pdr.; ,obwinał się wę-
 żem nad tem, okręcił się giętko' A¹.
 » — » 23 ,za którą' A¹; ,którą' Pdr.
 » 541 » 17 ,ją' Pdr.; w A¹ przemazane.
 » 542 » 17 ,o Panie Boże' A¹; ,Panie Boże' Pdr.
 » 545 » 15 ,błyskawice, które lustro miecie' A¹; ,bły-
 skawica którą lustro śmignie' Pdr.
 » 546 » 1 ,nie macie duszy' Pdr.; ,nie macie duszy'
 nad tem: ,jesteście bez nadzieji' A¹.
 » — » 3 ,ni na ziemi' A¹; ,na ziemi' Pdr.
 » 550 » 29 ,i (on) może' A¹; ,i on może' Pdr.
 » 551 » 3 ,stromie z piasku' A¹; ,z piasku' Pdr.
 » — » 26 ,skowyczenia' A¹; ,skowyczenie' Pdr.

TREŚĆ TOMU II.

Władysław Herman	str.	1
Agaj-Han	»	387
Dodatek krytyczny	»	555
» » Władysław Herman	»	557
» » Agaj-Han	»	588

SPROSTOWANIE POMYŁEK.

- str. 69 w. 15 zam. ,pan z Gulczewa' ma być ,pan Gulczewa'.
 » 70 » 31 zam. ,przedzieliła' ma być ,podzieliła'.



¹ W A¹ jest właściwie ,holdował'; obok jednak przemazany wyraz ,holduje' wskazuje, że to pomyłka w pisaniu.